



Aleksandra Tyl

MAGICZNE  
LATO

brozanni

Aleksandra Tyl

MAGICZNE  
LATO



## *Rozdział 1*



Poszarzałe popołudniowe niebo ciężko unosiło się nad miastem. Nietrudno było zauważyć napływające ze wschodu poszarpane, ciemnoszare chmury. Alicja skrzywiła się, obserwując zmieniającą się aurę. Żałowała, że nie ma przy sobie parasolki. Kiedy wychodziła z domu, było w miarę pogodnie. Teraz, stojąc na przystanku autobusowym, czuła nieprzyjemne podmuchy coraz silniejszego wiatru. Kilka osób schroniło się przed deszczem pod wiatą przystanku. Każdy z nadzieją wypatrywał swojego autobusu. Wraz z narastającym wiatrem, krople zacinały coraz mocniej. W oddali zaczęło grzmieć. Niebo jeszcze bardziej pociemniało. Gdy podjechał wyczekiwany przez Alicję autobus, niemal rzuciła się do drzwi. Tuż przed nią biegła kobieta, której reklamówka z zakupami zahaczyła o ostrą krawędź stojącej na przystanku ławki. Pociągnięta, rozpruła się, a z jej wnętrza wypadły jabłka i pomarańcze. Alicja w pierwszym odruchu chciała je pozbierać, widząc jednak, że kobieta machnęła ręką na ten incydent, sama również wbiegła na schodki autobusu. Otrzepując płaszcz z ciężkich kropli, rozglądała się za wolnym miejscem. Dostrzegła je na samym końcu. Było jej zimno, pragnęła usiąść i skulić się w sobie, aby choć trochę rozgrzać wysmagane wiatrem dłonie i uszy. Dochodziła czternasta. Nie była to godzina szczytu, powinna zatem dotrzeć do szkoły na czas. Wiedziała, że jej córka nie lubi czekać w szatni, a na świetlicę, gdzie przebywały również starsze i mocno onieśmiałające ją dzieci, za żadne skarby nie dawała się zaciągnąć.

Gdy autobus w końcu ruszył, Alicja, pocierając dłonie, wyjrzała przez okno. Prawdziwe oberwanie chmury. W ciągu kilku minut z betonowego chodnika zrobiła się niemal rwąca rzeka. Deszczówka

płynęła mocnym strumieniem, nie przejmując się próbującymi ocalić swoje buty przechodniami. Razem z deszczem płynęły siłą rozpędu złote pomarańcze.

Kiedy dotarła do szkoły, z zadowoleniem zauważyła, że jest przed czasem. Przeczesała przemoknięte włosy, zdjęła płaszcz. Po chwili do szatni zaczęły wchodzić inne matki, opiekunki, babcie. Z liczącej dwadzieścioro siedmioro dzieci klasy, zaledwie dziesięcioro zapisanych było na świetlicę. Reszta miała zorganizowany odbiór ze szkoły tuż po zajęciach. Przed budynkiem zawsze można było kogoś spotkać. Idealna okazja do rozmowy z inną mamą, bliższego poznania się. Alicja jednak czuła się obco. Zbyt rzadko bywała w szkole, aby kojarzyć którąkolwiek z mam. Nie kojarzyła nawet dzieci z klasy Matyldy, a co dopiero ich opiekunów. Oni wszyscy znali się dość dobrze. Nie licząc spotkań w szkole, okazji do poznania się było znacznie więcej. Urodziny, imprezy klasowe. Matyldzie do tej pory udało się zaliczyć tylko jedną z takich imprez. Akurat tę, na której wynajęty klaun z przerażająco wymalowaną twarzą wystraszył ją tak bardzo, że po piętnastu minutach z krzykiem oświadczyła, iż chce już wracać do domu. Nie była w tym odosobniona. Inne dziewczynki też się popłakały i również namówiły swoich rodziców na wyjście. Z tą różnicą, że one opuściły tylko tę jedną nieudaną imprezę, a Matylda tylko na tej była.

Alicja, stojąc przy drzwiach do szatni, przysłuchiwała się rozmowom. Zazwyczaj nie było jej to dane, ponieważ wychowawczynie, kładąc nacisk na samodzielność dzieci, nie pozwalała rodzicom wchodzić do szkoły. Czekali więc posłusznie przed budynkiem. Niektórzy zbierali się w grupki, plotkując lub omawiając szkolne wydarzenia. Alicja nie miała na tyle odwagi, by podejść do którejś z grup. Czekając na córkę, siadała z książką na ławce lub spacerowała wzdłuż ogrodzenia. Tym razem jednak, z uwagi na szalejącą na zewnątrz wichurę i mocny deszcz, opiekunowie ruszyli wprost do szatni. Jedyne tatusz, równie wyobcowany z towarzystwa co Alicja, postanowił poczekać na schodach. Tymczasem kobiety, stłoczone w niewielkim pomieszczeniu, prowadziły ożywioną dyskusję na temat zbliżającego się występu dzieci. Wymieniały się uwagami o tym, gdzie można dostać odpowiednie stroje, w którym sklepie sprzedają najtańsze rekwizyty, a w

którym jest akurat promocja szyfonu i tiulu.

– Przepraszam, a kiedy ten występ? – zagadnęła zaintrygowana Alicja. Matylda w domu nic o nim nie mówiła, w jej dzienniczku również nie znalazł się na ten temat żaden wpis, choć na zebraniu wychowawczynie deklarowała, że ważne informacje będzie przekazywała rodzicom właśnie w ten sposób.

– Słucham? – spytała jedna z kobiet, zauważywszy przysłuchującą się ich rozmowie Alicję. – Pani o coś pytała?

– Kiedy ten występ? Nic o nim nie wiedziałam.

– A pani jest mamą...

– Matyldy.

– Matyldy... – powtórzyła w zamyśleniu kobieta. – Ach tak, to z naszej klasy.

– To córka pani nie mówiła? – zainteresowała się inna. – Przecież już od dwóch miesięcy uczą się ról, wierszyków, piosenek. Niewiele czasu zostało, a przecież trzeba przygotować stroje.

– Nie, nic nie mówiła... A kiedy ten występ?

– Za półtora tygodnia. Dwudziestego pierwszego marca. Starsze klasy mają wtedy dzień wagarowicza, zaplanowano dla nich różne atrakcje. A nasze maluchy przygotowują dla całej szkoły przedstawienie – wyjaśniła krępa starsza pani, podając się za babcię niejakiej Wikusi.

Alicja chciała jeszcze o coś zapytać, ale rozległ się dzwonek i już po chwili do szatni zaczęły wbiegać roześmiane dzieci. Ogólny gwar spowodował, że rozmowa o przedstawieniu została przerwana. Matylda weszła do szatni jak zwykle naburmuszona. Ostatnio coraz częściej zamiast uśmiechu na jej twarzy pojawiał się grymas niezadowolenia. Pytana przez Alicję o powód niezadowolenia, wzruszała tylko ramionami, tłumacząc, że nie ma humoru tak po prostu. Tego dnia również, gdy tylko wyszły z szatni, wzruszyła ramionami. Alicja jednak nie odpuszczała.

– Przecież widzę, że jesteś smutna – powiedziała, kucając przy córce i patrząc jej w oczy. Stały nieopodal szkoły. Deszcz przestał już padać i choć na próżno było szukać tęczy, to niebo wyraźnie pojaśniało, pozwalając słońcu niemrawo przebijać się przez rzadsze nieco chmury.

– Nie jestem smutna – odrzekła ponuro Matylda, uciekając

wzrokiem.

– A może chodzi o przedstawienie?

– O jakie przedstawienie?

– To, które przygotowujecie na pierwszy dzień wiosny.

– Nie chodzi o przedstawienie. O nic nie chodzi. Idziemy?

– Nie. Najpierw chcę się dowiedzieć, dlaczego nie powiedziałaś mi o tych występach. Przecież trzeba znaleźć jakiś kostium, nawet nie wiem, jaką masz rolę.

– Nie muszę mieć kostiumu.

– Jak to? Słyszałam w szatni, że wszyscy będą poprzebierani, pani na pewno poprosiła o przygotowanie kostiumu, przypomnij sobie.

Alicja, mówiąc to, pilnie obserwowała córkę. Dziewczynka nie patrzyła jej w oczy, jednak dało się zauważyć, że mimo zaciśniętych ust, broda zaczyna jej się trząść, co było sygnałem, że za chwilę wybuchnie płaczem.

– Matysia, co się dzieje? Nie chcesz brać udziału w tym przedstawieniu?

– Chcę.

– To o co chodzi?

– O nic. – Dziewczynka zaczęła płakać.

– No dobrze, więc powiedz mi, jaką masz rolę. – Alicja przytuliła córkę.

– Będę drzewem.

– Cudownie – powiedziała Alicja bez przekonania.

– Wcale nie cudownie – załkała Matylda. – Inne dziewczynki będą motylkami, biedronkami. Będą miały skrzydełka i sukienki. A ja będę drzewem.

– Ależ drzewa też są piękne – pocieszała Alicja.

– Drzewo nic nie robi. Tylko stoi – rzekła twardo Matylda, ocierając łzy.

– Kochanie, nie wszyscy aktorzy muszą chodzić po scenie...

A masz jakąś kwestię do wypowiedzenia?

– Nie.

– A inne drzewa coś mówią?

– Nie ma innych drzew. Tylko ja.



– To może jakieś krzaczki?

– Nie ma krzaczków.

– A kostium? – Alicja czuła, że jej głos, dotychczas miękki, staje się coraz bardziej nerwowy.

– Nie muszę mieć kostiumu. Pani namalowała na kartonie drzewo i mam je trzymać.

– Chodź. Porozmawiam z twoją panią.

– Ale nie powiesz, że płakałam? – upewniła się dziewczynka.

W pokoju nauczycielskim unosił się duszący zapach potu. Podczas przerwy przebywało w nim wiele osób, a z uwagi na burzę nikt nie odważył się uchylić okna. Alicja odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że wychowawczyni Matyldy siedzi przy stole.

– Dzień dobry – przywitała się Alicja, wchodząc do pokoju. – Ja do pani w sprawie przedstawienia. A raczej roli Matyldy.

– Witam. Matylda wie, co ma robić w czasie przedstawienia.

Wszystkie dzieci otrzymały role. O co dokładnie chodzi? – Nauczycielka niechętnie podniosła wzrok znad dziennika.

– Chodzi o to drzewo. Przyzna pani, że to nie jest zbyt ciekawa rola, w dodatku Matylda nie ma do wypowiedzenia żadnej kwestii. Jest jej smutno, gdy widzi, że inne dziewczynki ekscytują się przedstawieniem, szukają sobie barwnych strojów...

– Przepraszam – weszła w słowo nauczycielka – przecież oboje wiemy, że szansa na to, że Matylda w ogóle weźmie udział w tym przedstawieniu, jest niewielka. Powinna się cieszyć, że mimo wszystko uwzględniłam ją i otrzymała jakąkolwiek rolę.

– Nie rozumiem, dlaczego Matylda miałaby nie wziąć udziału w przedstawieniu?

– Proszę pani. – Nauczycielka westchnęła ciężko. – Statystyka mówi sama za siebie. Proszę bardzo. – Otworzyła dziennik na liście obecności. – Wrzesień – ledwie tydzień była obecna w szkole, październik – ile? Osiem, przepraszam, dziewięć dni. Listopad... Poszarpany, może znów dziewięć dni by się uzbierało. Grudzień...

– Wiem – przerwała kategorycznie Alicja. – Nie musi mi pani wyliczać. Matylda ma słabą odporność, gdyby inne dzieci przychodziły do szkoły zdrowe, zapewne nie łąpałyby tych wszystkich katarów

i przeziębień, nie chorowałyby tak często.

– To jest szkoła. Nie jesteśmy w stanie zmusić rodziców, aby trzymali w domu kichające dzieci. I nie nasza wina, że pani córka wciąż się od kogoś zaraża. Zresztą ten temat już podejmowałyśmy nie raz. Proszę jednak nie mieć do mnie pretensji, że boję się powierzyć Matyldzie większą rolę w przedstawieniu. Przecież jeśli nie przyjdzie, nie będzie miał jej kto zastąpić.

– Można by dopisać kwestię neutralną. Taką, którą można w razie czego wyciąć. – Alicja nie dawała za wygraną. – Przecież nie możemy dodatkowo karać dziecka za to, że często choruje. To nie jej wina. A przez to, że nie ma konkretnej roli, czuje się dodatkowo wykluczona z klasy.

– Nic na to nie poradzę. Już za późno na zmianę scenariusza.

– A o czym jest to przedstawienie?

– O wiosnie. W skrócie: różne zwierzęta witają Panią Wiosnę. Wiewiórki, zajaczkę, jeże, motylki... Role są już obsadzone, nie da się nic dopisać, przykro mi.

– Ale przecież i drzewo może powitać Panią Wiosnę. Listki się zielenią, drzewo budzi się do życia – przedstawiła swoją wizję Alicja.

– A widziała pani kiedyś gadające drzewo? – odcięła się nauczycielka.

– A widziała pani gadające wiewiórki?

Zamilkły, wpatrując się w siebie groźnie. Wychowawczyni pierwsza postanowiła wyciszyć emocje.

– Pani Alicjo, nie ma co się kłócić o szczegóły. Matylda bierze udział w przedstawieniu, jest drzewem i nie widzę możliwości zmiany. Umówmy się, że w przyszłym roku pomyślimy o jakiejś większej roli dla niej. O ile oczywiście zdrowie jej na to pozwoli. A teraz muszę panią przeprosić, kończy mi się okienko. – Nauczycielka podniosła się zza stołu, wskazując brodą drzwi i ucinając tym samym rozmowę.

– Dobrze. – Alicja niechętnie skinęła głową. – Proszę mi tylko powiedzieć, czy możemy popracować nad strojem, żeby był ciekawszy?

– Nie ma takiej potrzeby. Ale jeśli ma pani ochotę, to proszę. – Kobieta wyciągnęła zza szafy zwinięty rulon. – Wszystko już jest namalowane, ale można podkolorować jeszcze farbami listki.



– Dziękuję.

Wyszły w tym samym czasie. Alicja skierowała się do ławki przy oknie na korytarzu, na której siedziała Matylda. Nauczycielka, szybko się pożegnawszy, pobiegła schodami na górę.

– I co? – spytała z nadzieją w głosie Matylda.

– Możemy przyczepić listki. Poza tym... możemy wymyślić przywitanie Pani Wiosny. Powiesz dwa zdania na początku.

– Naprawdę?

– Tak. Okazało się, że grasz najlepszą i najważniejszą rolę.

– Jak to?

– A niby skąd wiadomo, że idzie wiosna? – Alicja udawała zniecierpliwioną banalnym pytaniem. W głowie gorączkowo szukała argumentów za tym, że drzewo naprawdę jest ważne.

– Bo robi się ciepło?

– Bo drzewa wypuszczają liście, przyroda budzi się do życia. To właśnie drzewa dają znać zwierzętom, że pora wybudzić się z zimowego snu.

– Ale co będę mówiła?

– Nie teraz, kochanie, popracujemy nad kwestią w domu. Strasznie jestem głodna. Może zjemy dziś na mieście?

– Tak, hurra, pójdźmy na pizzę.

– Niech będzie pizza. A potem wstąpimy do przychodni.

– Ale po co? Przecież nie jestem chora! – Matylda niepewnie spojrzała na matkę.

– Nie, oczywiście, że nie jesteś. Ja tylko wpadnę na chwilę do pani doktor po kropelki na swędzący nos. Chyba mam jakieś uczulenie.

\*

Recepcjonistka z uśmiechem przywitała Matyldę, gdy ta tylko przekroczyła próg przychodni.

– Witamy naszą księżniczkę. Ale chyba nie zamawiała pani wizyty? – te słowa skierowała do Alicji.

– Dzień dobry, pani Urszulo. Nie, nie umawiałyśmy się. Wpadłam tylko na chwilę, żeby coś skonsultować. Może pani doktor przyjmie mnie między pacjentami? Dosłownie pięć minut.

– Ojej, ale doktor Koterskiej dziś nie ma. Nie będzie jej do końca tygodnia. Lekarze niestety też czasem chorują. – Pielęgniarka uśmiechnęła się do Matyldy, podając jej, jak zwykle, lizaka z witaminami. – Chyba że doktor Miszczuk. Jest w zastępstwie. Na pewno panią przyjmie. Jeden pacjent nie dotarł, a kolejny umówiony jest dopiero za pół godziny.

Doktor Miszczuk okazała się mocno posuniętą w latach kobietą o ciepłym spojrzeniu. Alicja, przyzwyczajona do młodej, energicznej Koterskiej, bez przekonania weszła do gabinetu, prosząc o chwilę rozmowy. Lekarka, upewniwszy się, że żaden pacjent nie czeka, zgodziła się ją przyjąć. Recepcjonistka przezornie przyniosła kartę Matyldy, a dziewczynkę, na prośbę Alicji, usadowiła nieopodal siebie przy biurku, dając jej do zabawy kartki i flamastry.

– Pani doktor – zaczęła Alicja, gdy tylko za pielęgniarką zamknęły się drzwi. – Mam ogromną prośbę. Ten tran, który poleciła mojej córce doktor Koterska zapewne działa, ale bardzo, bardzo mi zależy, żeby dać jej coś jeszcze. Ona nie może się rozchorować przez najbliższe półtora tygodnia. Czy mogłaby pani przepisać coś ekstra na wzmocnienie? Coś, co dałoby stuprocentową gwarancję, że Matysia przez najbliższe półtora tygodnia nie nabawi się żadnego kataru, nie złapie przeziębienia, grypy, gorączki czy...

– Zaraz, zaraz, spokojnie. – Lekarka podniosła dłoń. – Chwileczkę. Dlaczego pani córka miałaby się rozchorować? Jak rozumiem, nic jej obecnie nie dolega?

Alicja ucichła, wpatrując się w lekarkę z konsternacją. Nie była przyzwyczajona do takich pytań. Tu, w przychodni, znali ją i jej córkę od tylu lat i dla każdego było jasne, że Matylda co chwila choruje i że jej odporność jest o wiele słabsza niż u statystycznego siedmiolatka.

– No... Akurat teraz nic jej nie dolega – przyznała, akcentując słowo „akurat”. – Ale jej niewiele trzeba, żeby coś podłapała. Niebawem jest w szkole przedstawienie z okazji Dnia Wiosny. Bardzo chciałaby w nim wziąć udział, ale boimy się, że nie dotrwa do tego czasu. To znaczy jej wychowawczyni się boi, że Matysia nie dotrwa, bo ja oczywiście mam nadzieję, że ten tran...

– Nie, nie, nie. Tak nie damy rady rozmawiać. Proszę dać mi

minutkę. – Lekarka założyła na nos ciężkie okulary, poprawiając je u nasady. Otworzyła kartę Matyldy i zagłębiła się w lekturze.

Alicja cierpliwie czekała, próbując przypomnieć sobie, jak długi okres uwzględnia obecna karta i czy lekarka będzie w stanie na jej podstawie stwierdzić, jakie lekarstwo byłoby najlepsze dla Matyldy w tym momencie. Och, jaki to pech, że nie ma doktor Koterskiej – pomyślała. Ona od razu, bez zagładania w kartę wiedziała, co może przepisać Matyldzie; doskonale pamiętała, co na nią działało, a raczej co nie działało, i co – spośród szerokiej gamy dostępnych środków na wzmocnienie odporności – można jeszcze dziecku zaaplikować.

Lekarka, wydymając wąskie, pomarszczone usta, podniosła w końcu wzrok znad karty. Zdjęła okulary i szczupłą, przetykaną fioletowymi nitkami żył ręką, przetarła oczy.

– Droga mamó – powiedziała, patrząc ciepło na Alicję. – Widzę, że pani córka nie przechodziła jakichś szczególnie poważnych chorób, zwykle przeziębienia... Po prostu ma słabą odporność.

O Boże – westchnęła w duchu Alicja – odkrycie Ameryki!

– No właśnie – przytaknęła głośno. – Dlatego chciałabym coś ekstra, superskutecznego, żeby chociaż do przedstawienia...

– Dziecko drogie, skąd ja ci wezmę coś takiego? – Lekarka uśmiechnęła się, składając ręce, co spowodowało, że Alicja przeklinała w duchu lekarkę starowinkę za ton, jakim się do niej zwróciła.

– Może panią to bawi – powiedziała nerwowo. – Ale z mojego punktu widzenia nie ma w tym nic śmiesznego, że moja córka, zamiast chodzić do szkoły, męczy się w domu z gorączką, kaszlem czy katarem. Zamiast integrować się z klasą, integruje się co najwyżej z Muminkami, które jej czytam, albo z Kubusiem Puchatkiem. Przecież nie żyjemy w średniowieczu, na pewno są jakieś skuteczne środki na wzmocnienie odporności, brałyśmy już tyle syropów...

– Otóż to – weszła jej w słowo lekarka. – Szprycuje pani córkę kolejnymi syropami, kropelkami, teraz tranem... Niebawem nic nie będzie na nią działało.

– To niby co powinnam zrobić? Nic jej nie dawać? I czekać, aż znów dopadnie ją gorączka?

– Przecież i tak dopada – zauważyła trzeźwo lekarka, stukając

palcem w kartę.

– Przyszłam do pani po radę. – Alicja odchyliła się na krześle. – Doktor Koterska przynajmniej próbuje pomóc Matyldzie...

– Oj, dziewczyny, dziewczyny... Ja może jestem stara, ale uwierz mi, droga mamó, że jeśli chodzi o dzieci, to żadne syropki nie pomogą. Dziecko musi się uodpornić w sposób naturalny.

– Ale przecież to są naturalne wyciągi. W dodatku wzbogacone o witaminy.

– Pani Alicjo, absolutnie nie chcę wchodzić w kompetencje doktor Koterskiej. To młoda, zdolna lekarka. Jestem przekonana, że każda jej sugestia odnośnie do zdrowia pani córki była podyktowana troską. Sylwia jest dobrym pediatrą i nie ulega to wątpliwości. Ale mimo wszystko, jeśli chodzi o wzmocnienie odporności u dziecka, to nikt mnie nie przekona, że jakiegokolwiek syropki są lepsze niż natura. Od zawsze w takich przypadkach doradzałam wywiezienie dziecka na wieś i zawsze efekt był pozytywny, a co najważniejsze – trwałe. Teraz nastały jakieś dziwne czasy. Wy, rodzice, oczekujecie recepty. My, lekarze, staramy się wam ją dać. Tylko że żadna firma farmaceutyczna, droga pani, nie wyprodukuje natury. Wyciąg z malin nie zastąpi świeżych malin. Wie pani, o czym mówię?

– Nie bardzo... – Alicja zmarszczyła czoło, starając się przetrawić informacje. Do tej pory była przekonana, że lekarze potrafią wypisać receptę na wszystko. Zazwyczaj łudziła się nadzieją, że dany lek potrafi zdziałać cuda, a brak działania na Matyldę był spowodowany tym, że jej córka była wyjątkiem i potrzebowała więcej czasu, aby dopasować coś specjalnie pod jej organizm.

– Każde dziecko jest inne – kontynuowała lekarka cierpliwie. – Jedne w ogóle nie chorują, inne natomiast chorują w nadmiarze. Tu nie ma jednego szablonu. A jednak za moich czasów dzieci chorowały mniej.

– Ale na gorsze choroby – docięła Alicja.

– Owszem. Teraz mamy szczepionki, antybiotyki, po prostu wiedzę. Ale na katarek, proszę pani, do tej pory nie znaleziono skutecznego lekarstwa. I dobrze. Dziecko musi się uodporniać w sposób naturalny i nie ma co szprycować młodego organizmu kolejnymi

dawkami sztucznie wytwarzanych witamin. Pewnie, że nie zaszkodzi jej ten tran, który pani podaje. Ale czy aby na pewno pomoże?

– To co mi pani radzi? – spytała zrezygnowana Alicja.

– Niech weźmie pani dziecko na wieś, na wakacje, do babci. Niech tam pobiega, niech wyrwie się z miejskiego smogu, pooddycha czystym powietrzem.

– Nie mamy babci na wsi. Zresztą akurat na wakacje wyjeżdżamy nad morze, to chyba lepiej? Jod i te sprawy. Co roku na dwa tygodnie. A potem jeszcze z tatą zostaje przez tydzień, więc w sumie spędza trzy tygodnie nad morzem. Ale i tak choruje.

– A tam. – Lekarka machnęła ręką. – Co to są trzy tygodnie? Organizm nie zdąży się przestawić. Minimum trzy miesiące.

– Dłużej nad morzem nie możemy zostać, przecież pani wie, jakie tam są ceny...

– Nie musicie koniecznie jechać nad morze. Owszem, dobrze by było, gdyby nawdychała się jodu, ale nie ma twardych danych o tym, że jod, który aktywizuje się nad Bałtykiem, rzeczywiście skutecznie przenosi się do organizmu. Jeśli nie da się nad morze, to na jakąkolwiek wieś. Niech dziecko biega boso po trawie, szaleje w deszczu, na słońcu, niech je prawdziwe warzywa, owoce, a nie te z supermarketu. Niech robi sobie wycieczki po polach, do lasu, cieszy się świeżym, nieskażonym powietrzem.

– Łatwo pani mówić – obruszyła się Alicja. – Gdybym ją puściła boso, natychmiast złapałaby katar.

– A niech złapie! Niech chodzi z katarą! Nie pamięta pani, jak się kiedyś biegało z glutami po dworze? Nikt afery nie robił. Teraz rodzice przegrzewają dzieci, trzymają w sterylnych warunkach. Ledwo trochę wiatorku i już zakładają szaliki, czapki, a najlepiej w ogóle nie wypuszczaliby dzieci z domu. I takie mamy efekty.

– Ale jakoś inne dzieci w szkole tak często nie chorują... – wtrąciła nieśmiało Alicja.

– Bo pani się trafił mniej odporny okaz i trzeba nad tym popracować. Ja pani nic dzisiaj nie przepiszę. Trzy miesiące na wsi, ot co. To moja rada. Ona ma dopiero siedem lat, niedawno zaczęła szkołę, to nie są jeszcze trudne przedmioty. Dramatu nie będzie, jeśli zrobi pani

dziecku wcześniej wakacje.

– Rozumiem. Trzy miesiące na wsi – powtórzyła zrezygnowana Alicja.

\*

Rozłożony na podłodze arkusz szarego papieru nabierał barw. Namalowane na nim drzewo nie wyglądało może ładnie, ale za to Matylda miała uciechę, wycinając z kolorowego papieru liście i przyklejając je, gdzie tylko się dało.

Alicja w tym czasie przygryzała ołówek, męcząc się nad kartką, by wymyślić jedno krótkie, ale za to bardzo ważne zdanie, które mogłoby wypowiedzieć drzewo na początku przedstawienia.

– A co mówią zwierzątka? – dopytywała córki.

– Przychodzą i mówią: „Witaj, Pani Wiosno, piękna i radosna”.

Dalej nie pamiętam.

– A kto gra Panią Wiosnę?

– Nasza pani.

– Aha. Nieźle sobie wymyśliła – wycedziła pod nosem Alicja.

Za oknem zmierzchało. Matylda, zmęczona już przyklejaniem, oparła się o sofę, ściskając w ręku pilot od telewizora.

– Mogę? – spytała z nadzieją.

– Ale nie tutaj. Obejrzyj w swoim pokoju. Ja teraz myślę i muszę mieć spokój. I możesz obejrzeć tylko jedną! Potem kolacja i spać – kategorycznie oświadczyła Alicja. Nie pozwalała oglądać córce bajek bez uprzedniego ustalenia z nią limitu. Mimo że Matylda zawsze zdołała ubłagać kolejne odcinki uwielbianych przez nią kreskówek, to Alicja pragnęła zachować pozory zasad w tym temacie.

„Witaj, Pani Wiosno, piękna i radosna, to ja, drzewo...”, „Drzewa witają wiosnę, piękną i radosną”...

– Tfu! – krzyknęła Alicja, męcząc się nad tekstem. – Ani nie jest piękna, ani tym bardziej radosna ta baba – mówiła do siebie, wspominając spotkanie z nauczycielką. – Błagam, weno, przyjdź do mnie! – mamrotała, wznosząc oczy do góry.

Jak na zawołanie rozległ się dzwonek do drzwi. Alicja podskoczyła na krześle wyrwana z letargu. Zanim zdążyła wyrzeć przez wizjer, ktoś



z rozmachem nacisnął klamkę.

– Alicja, wiem, że jesteś, otwieraj, szybko! – Usłyszała głos swojej siostry.

Już po chwili do mieszkania wkroczyła Dorota w towarzystwie wystraszonej skośnookiej, młodej kobiety.

– Jest afera – powiedziała Dorota bez wstępów, siadając ciężko na kanapie. – Trzeba przemocować tę dziewczynę, jutro się nią zajmę.

– Ale kto to jest? – spytała Alicja, patrząc na zdezorientowaną Azjatkę.

– Dziewczyna potrzebuje pomocy – wyjaśniła Dorota, rozmasowując sobie prawą kostkę. – Cholera, winda u ciebie nie działa, musiałyśmy przytelepać się po schodach.

– Ale jakiej pomocy? Kto to jest? – dociekała Alicja.

– Nie wiem, jakaś Chinka. – Dorota wzruszyła ramionami. – Prawdopodobnie porwana albo co. Przetrzymana siłą... Znęcają się nad nią, musimy powiadomić jakiś urząd, trzeba ją ratować. Gdyby nie ja...

– Dzień dobry – przywitała się Alicja z Azjatką. – Może pani spocznie? – Wskazała krzesło.

Kobieta zaczęła mówić coś płaczliwym tonem, wpychając do rąk Alicji zwitek dokumentów.

– Co to jest? Po co ona mi to daje? – spytała z przerażeniem Alicja.

– Nie wiem. Może to jakiś list błagalny do potencjalnych wybawców. No... czyli do mnie. Ważne, że dziewczyna jest już bezpieczna. Daj coś do picia.

Alicja posłusznie przyniosła z kuchni butelkę wody i szklanki. Azjatka wciąż stała przy drzwiach, kuląc się i przyciskając do piersi torebkę.

– Widzisz, jaka wystraszona? – zauważyła Dorota, odbierając od Alicji szklankę z wodą. – Siadaj, Mia. Tak ją nazwałam. Mia – ładnie, prawda? Nie mogę jej wziąć do siebie, bo Artur dziś w nocy przylatuje i wiesz... No nie może być u mnie Chinki. Musi spać u ciebie. No siadaj, Mia, nie krępuj się – ponagliła gestem. – Jesteś już bezpieczna. *Do you understand?* Rozumiesz?

Chinka nie rozumiała. Stała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym

w podłodze.

– Jak ją znalazłaś? – spytała Alicja, nie bardzo wiedząc, czy może pozwolić na to, aby obca Chinka nocowała w jej mieszkaniu. Gdzie ją położy, skoro ma tylko dwa łóżka?

– Mówiłam ci, Artur dzisiaj przylatuje, postanowiłam kupić coś na kolację. Wiadomo, nie będę sama stać przy garach, poleciałam więc do baru i zamówiłam chińszczyznę na wynos. Kiedy czekałam aż przygotują dania, usłyszałam krzyki. Nie byłabym sobą, gdybym nie zajrzała na zaplecze. Udając, że szukam toalety, zapuściłam żurawia. I co? Stoi biedna Mia, a nad nią facet, który się wydziera i wymachuje tasakiem! Żebyś ją widziała, jaka wystraszona, łzy jej leciały ciurkiem, a on się darł jak oszalały. Mówię ci, żadnych gości, tylko ja. Poczulałam się odpowiedzialna za tę dziewczynę, też byś tak zrobiła! Nie będzie w moim kraju jakiś dupek znęcał się nad biedną Chinką. Jeszcze by ją zabił i nikt by się o tym nie dowiedział...

– Ale co on krzyczał?

– A bo ja wiem? Przecież nie znam chińskiego. Darł się i tyle. Wpadłam tam, krzyknęłam na niego, pogroziłam policją, wzięłam Mię i uciekłyśmy.

– Nie mogłaś zadzwonić po policję?

– Nie pomyślałam, tak szybko się to działo... Trzeba ją tu przenocować, a jutro się coś wymyśli.

– Czeka! – krzyknęła nagle Alicja i twarz jej się rozpromieniła. – Przecież Basia Grad jest tłumaczką chińskiego, zaraz po nią zadzwonię, mieszka piętro wyżej. – Mówiąc to, chwyciła za komórkę i pokrótce naświetlając Basi sprawę, poprosiła ją o przyjście.

Już po kilku minutach rozległo się pukanie do drzwi.

Basia była drobną blondynką o wydatnych ustach i dużych, granatowych oczach. Dorota blado uśmiechnęła się na jej widok, nie lubiła przebywać w towarzystwie kobiet ładniejszych od siebie, a Basia nie dość, że ładna, to jeszcze przyjaźnie szczebiocząca i szczerze zainteresowana niesieniem pomocy biednej Chince. Przywitawszy się z nią, wolno i spokojnie spytała ją, o co chodzi. Z dziewczyny, która usłyszała swój rodzimy język, wypłynął potok słów. Miała na imię Lao i jak przetłumaczyła Basia, przebywała w Polsce legalnie, dowodem

czego miały być zabrane przez nią w pośpiechu z baru dokumenty, ale Dorota nawet w nie nie spojrzała. Dziewczyna była przekonana, że Dorota jest z urzędu imigracyjnego, dlatego pojechała z nią, wyjaśnić sprawę.

– Nic nie rozumiem. – Dorota wzruszyła ramionami. – Coś kręci. Na własne oczy widziałam, jak kucharz drze się na nią, wymachując tasakiem.

– Ten z tasakiem to jej wuj. Nie znęcał się nad nią, po prostu rozmawiali.

– Rozmawiali... – burknęła Dorota. – On krzyczał, a ona płakała, też mi rozmowa.

Basia odwróciła się do Lao i spytała ją o powód łez.

– Ona pochodzi z biednej prowincji – wytłumaczyła po chwili. – W Polsce jest od niedawna, dołączyła do rodziny swojego wuja mieszkającej tu od ośmiu lat. Co miesiąc wysyłają do Chin pieniądze, które, jak się dzisiaj dowiedzieli, nie zawsze docierają do jej ojca i matki. Giną po drodze, prawdopodobnie ktoś z urzędu pocztowego z ich wsi rekwiruje co którąś wpłatę. Dlatego jej wuj się zdenerwował. Krzyczał, owszem, ale nie na nią. A ona płakała, bo uświadomiła sobie, jak wiele pracy wymaga od nich tutaj wysupłanie kilku złotych, by móc przelać dolary do Chin. A te dolary nie docierają...

– To przykre – zasmuciła się Alicja.

– Jednym słowem, nastąpiło nieporozumienie. Lao jest w Polsce legalnie i krzywda jej się nie dzieje.

– Strasznie mi głupio – wyjąkała Dorota, wstając z kanapy. – Myślałam, że...

– Już wyjaśniłam Lao, skąd to nieporozumienie, nie jest zła. Pyta, czy może już wrócić do domu.

– Oczywiście. – Dorota sięgnęła do torebki, wyjęła portfel, a z niego sto złotych. – To na taksówkę. Bardzo przepraszam, że tak brutalnie wyciągnęłam cię z baru.

Lao kiwnęła głową, czekając, aż Basia przetłumaczy, co powiedziała Dorota. Wkrótce kobiety pożegnały się i Lao, już mniej spięta, wyszła z mieszkania poinstruowana przez Basię, gdzie znajdzie postój taksówek.

– Dziękuję za pomoc. – Alicja uśmiechnęła się do Basi. – Gdyby nie ty, przetrzymałabym przez całą noc biedną Chinę, zmuszając ją do spania w moim łóżku.

– E tam – obruszyła się Dorota. – Pewnie sama by uciekła w końcu. Nic się nie stało. O Boże! – krzyknęła nagle. – A gdzie Matysia? Mam nadzieję, że się nie wystraszyła tą akcją?

– Zasnęła przed telewizorem – wyjaśniła Alicja. – Jak złapie pierwszy sen, to może się wokół walić i nic jej nie obudzi. Macie ochotę na sernik?

– Nie, dziękuję, zaraz muszę lecieć, żeby wyszykować się na wieczór i kupić coś do jedzenia, bo z tego wszystkiego nie wzięłam chińszczyzny – powiedziała Dorota.

– A ja chętnie. I tak nie mam nic do roboty. Janusz po pracy miał wpaść do warsztatu wymienić opony, a Tomek śpi dzisiaj u kolegi. – Basia usiadła przy stole, biorąc do ręki gryzmoły Alicji. – A co to? Wierszokletką zostałaś?

Alicja zrobiła kwaśną minę i pokrótce opowiedziała o sytuacji z przedstawieniem.

– Co za pinda z tej nauczycielki! – oburzyła się Dorota. – W moją Matysię kochaną nie wierzy? W moją córcię jedyną?

– Dorcia jest matką chrzestną. – Alicja wyjaśniła Basi zawiłości rodzinne.

– Już ja jej pokażę drzewo! – kontynuowała Dorota. – Wyrzuć ten papier, co to jest w ogóle? Malowanki komunistyczne? Do śmieci z tym!

– Ale Matylda się namęczyła... Cieszyła się na te listki...

– W dupie z listkami. Wytnij kawałek gałęzi i zawieś u niej w pokoju na pamiątkę. Ja jej przyniosę strój. Będzie takim drzewem, że wszystkim szczęki poopadają z wrażenia! Poproszę chłopaków z produkcji, już oni wymyślą taki bajer, kochana, światełka, muzyczkę, szum prawdziwych liści. Te motylki i biedroneczki będą mogły co najwyżej po kątach się schować. Zobaczysz. Kiedy ten występ?

– Za tydzień.

– Ups... Trochę mało czasu... Ale damy radę, moja w tym głowa! Dobra, dziewczyny, leczę. Pa! – Chwyciła leżącą na sofie torbę i wybiegła z mieszkania.

– Fajną masz siostrę – przyznała Basia, gdy za Dorotą zamknęły się drzwi, a ona z Alicją siedziały przy stole, delektując się sernikiem i zieloną herbatą.

– Fajna, tylko trochę postrzelona, jak widzisz. Pracuje w agencji reklamowej, jest bardzo kreatywna, energiczna, no i... czasem szybciej działa, niż myśli... Co było widać na przykładzie biednej Chinki.

– Dobre ma serce, ot co.

– Nie wiem, czy to dobre serce, czy jakaś nadmiernie rozbuchana potrzeba niesienia pomocy.

– To chyba dobrze?

– Zależy dla kogo – zadumała się Alicja. – Zdarza się, że Dorota angażuje się w coś, co nie wymaga wcale jej pomocy. Czasem mam wrażenie, że po prostu lubi błyszczeć, zwracać na siebie uwagę; lubi, gdy ludzie są jej wdzięczni, czuje się wtedy chyba bardziej doceniona... Nie wiem... Właściwie to zawsze taka była. A to przygarnęła psa, a to kota, a to stanęła w obronie koleżanki, którą gnębiono z powodu tuszy. Jest niczym radar wykrywający słabszych, taki superman w spódnicy. Kiedyś na przykład zrobiła całą akcję na osiedlu, kiedy jeszcze mieszkaliśmy z rodzicami, żeby pomóc biednej rodzinie. Chciała im zrobić niespodziankę na święta, zaangażowała sąsiadów, kupowali jedzenie, ubrania, zabawki dla dzieci. Naprawdę olbrzymia akcja pomocowa. W Wigilię przysłała do nich wraz z dwiema innymi sąsiadkami, niosąc wielkie pudła. Była szczęśliwa i przekonana, że robi dobrze, że będą jej wdzięczni. Tymczasem ta rodzina, choć rzeczywiście biedna, nie oczekiwała od nikogo pomocy. Żyli bardzo skromnie, ale dawali radę. Poczuli się upokorzeni tymi paczkami, a przede wszystkim tym, że Dorota na całe osiedle rozgłosiła, że są biedni. Potem te dzieci chodziły ze spuszczoneymi głowami po szkole, bo inne oczekiwały podziękowań za zabawki, które im przyniosły. Ach, szkoda gadać... Dorota nie rozumiała, gdzie popełniła błąd, nie docierało do niej, że powinna najpierw z nimi porozmawiać, zapytać, co sądzą o takim pomysle. Niewiele ją tamta akcja nauczyła, potem jeszcze miała kilka tego typu wpadek. A, nieważne...

– Mimo wszystko dobrze, że są tacy, którzy mimo wpadek, chcą dalej pomagać – zamyśliła się Basia.

– Masz rację. – Uśmiech rozświetlił twarz Alicji. Doląła herbaty z imbryczka.

– Szkoda, że ja nie mam siostry. Dwóch młodszych braci to zupełnie inna bajka. Prawie nie mamy kontaktu, widzujemy się od święta. Z siostrą to jednak i poplotkować można, i na wino pójść...

– Ha! Dobrze powiedziane. My niestety rzadko wychodzimy gdzieś razem. Ona ma swoją pracę, swoje życie. Ja mam Matyldę, siedzę w domu... Zresztą Dorota jest ode mnie trzy lata starsza, a czuję się, jakbym to ja była starszą siostrą. Bardziej poukładaną, bardziej odpowiedzialną, no wiesz... Myślę, że ona wolałaby pójść na wino z jakąś koleżanką niż ze mną. Ale fakt, dzwoni dość często.

– Ty jesteś bardziej poukładana? – zdziwiła się Basia. – To chyba mało cię znam. – Uśmiechnęła się.

– Bo nie znasz Doroty. Mimo wszystko to ja mam już dziecko, mieszkanie. No, męża nie mam, ale przecież byłam wiele lat w stałym związku. Ona z kolei stale coś zmienia, a to fryzury, a to styl ubierania się, ciągle się przeprowadza, facetów też zmienia jak rękawiczki. Teraz jest niby z jakimś Arturem, ale ja go jeszcze na oczy nie widziałam. Mam wątpliwości, czy on w ogóle istnieje, bo zawsze, gdy mówię, że chciałabym go poznać, ona odpowiada, że jeszcze nie czas, że on taki zabiegany, bo mieszka w Poznaniu, a tu wpada na chwilę w interesach...

– Może naprawdę jest zabiegany. A ona zakochana i woli każdą minutę z nim spędzać niż wozić go po rodzinie.

– Może...

– U mnie tak było. Rodzice poznali Janusza dopiero po siedmiu miesiącach, akurat w dniu, gdy postanowił mi się oświadczyć. Wcześniej jakoś nie było okazji... To znaczy my nie mieliśmy ochoty wyfruwać z jego ówczesnej kawalerki, czyli naszego gniazdka miłości. – Basia się roześmiała, puszczając oczko. – Chłonęliśmy każdą sekundę, którą mieliśmy dla siebie. Janusz wtedy dużo podróżował. Teraz role się odmieńczyły, to ja podróżuję. Ale niedosyt pozostaje. Śpimy wciąż mocno wtuleni w siebie, jakby jutro miało nie być... À propos, znów kroi mi się wyjazd do Chin. Janusz trochę kręci nosem. Tym razem mam jechać na pół roku. Nie wiem, jak sobie z Tomkiem we dwóch poradzą...

– Aż pół roku? Jak ty sobie poradzisz bez nich?



– No właśnie... Ale to dobra propozycja. Polska firma odzieżowa otwiera tam fabrykę, mam być tłumaczem. Świetnie płacą, moglibyśmy dzięki temu kupić z Januszem działkę nad Świdrem. Byłoby gdzie jeździć latem, on tak lubi ryby łowić... Ech, właściwie to już postanowiłam.

– A kiedy masz jechać?

– W maju. Myślisz, że dobrze robię?

Alicja się zamyśliła. Znała Basię od niecałych ośmiu miesięcy, odkąd zaprzyjaźniły się podczas awarii windy. Zawieszona w dźwigu pomiędzy piętrami, razem z dziećmi i wśród rozchodzącego się apetycznego aromatu wiezionej przez Basię pizzy na wynos – zaczęły rozmawiać, potem jeść, a w końcu, gdy zostały wreszcie uwolnione, umówiły się na wieczorną kawę. I tak zaczęła się ich przyjaźń. Zbyt krótka jednak, by Alicja mogła rzetelnie ocenić, na ile półroczny wyjazd Basi jest trafionym pomysłem.

– Nie wiem – przyznała. – Ale skoro już postanowiłaś...

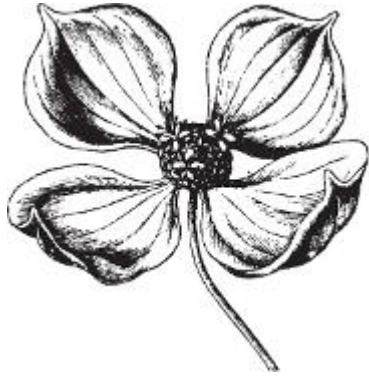
– Główny powód to pieniądze, bo przecież w Chinach już byłam, nie muszę ich ponownie zwiedzać. Ale żal mi Janusza, dorabia po nocach, pisząc wnioski o pozyskanie funduszy dla początkujących firm. Działki z tego nie kupi, a wiem, że o niej marzy... No nic, uciekam, przemyślę to jeszcze, buziaki.

Alicja po wyjściu Basi jeszcze chwilę siedziała nad tekstem dla Matyldy. W końcu zdecydowała się na proste dwa zdania:

„Wiosnę poznacie po liściach na drzewach. Zielenią się na nich zanim ptak zaśpiewa”.

Zadowolona zamknęła zeszyt. Uznała, że niezależnie od tego, czy ptaki na zimę milkną czy nie – zdanie, które będzie wypowiadać Matylda, daje przewagę nad innymi aktorami. To ona, drzewo, będzie pierwszym zwiastunem wiosny.

Cholernej Pani Wiosny – zaklęła w myślach.



## *Rozdział 2*



Dozorczyńni ubrana w ciemnozieloną kurtkę wyprowadzała ukochanego jamnika na spacer. Dzierżąc w jednej ręce łopatkę do zbierania psich odchodów, a w drugiej brązową, mocno już zużytą smycz, podążała w stronę niewielkiego skrawka zieleni odgradzonego od chodnika niskimi, czerwonymi barierkami. Dochodziła godzina siódma, pierwsi lokatorzy wychodzili z kamienicy, podążając szybkim krokiem w kierunku przystanku lub zaparkowanych samochodów. Dozorczyńni witała się z każdym krótkim „dzień dobry”, obiecując sobie, że to już ostatni raz, gdy wita się z sąsiadami pierwsza. Obietnicę taką składała sobie niemal każdego dnia, nazajutrz o niej zapominając. Właśnie miała ukłonić się Rudej, bo tak nazywała w myślach lokatorkę spod czwórki, gdy nieopodal klatki schodowej zatrzymał się okazałych rozmiarów samochód, a kierowca zaczął przeraźliwie trąbić. Ruda, zaspana jeszcze i nie do końca przytomna, przystanąła poruszona nagłym dźwiękiem. Dozorczyńni zaś, z rysującym się na twarzy zacięciem, pociągnęła smycz i – mimo że jamniczek w najlepsze prężył się pod krzaczkiem – ruszyła w stronę hałaśliwego auta.

Wysiadła z niego kobieta, która nie zważając ani na osłupiałą Rudą, ani też na coraz bardziej czerwoną na twarzy dozorczyńnię, zagwizdała na palcach i krzyknęła w stronę jednego z okien:

– Pobudka! Drzewo przyjechało! Wstawać, śpiochy, wiosna przyszła!

Ponownie wsiadła się do samochodu i zatrąbiła.

– Oszalała pani? – krzyczała w jej stronę zdyszana dozorczyńni. – Pobudzi pani ludzi! Nie wszyscy wychodzą do pracy, są tacy, którzy jeszcze śpią! Co pani?

– Wiosna przyszła, ptaki powrócą do gniazd – wymamrotała Ruda filozoficznie, pokiwała głową i uśmiechnąwszy się lekko, odeszła w stronę parkingu.

– Jaka wiosna? To nie powód, żeby nam tu o siódmej rano hałasować! – krzyczała wzburzona dozorczyńni. Nie zauważyła nawet, że jamnik, próbując dotrzymać jej kroku, zaplątał się w smycz i biegł, kuśtykając, na trzech nogach.

– Niech pani nie dramatyzuje. Przecież nie ma już ciszy nocnej. Zresztą mnie też nieraz budzi facet, który ostrzy noże. Krzyczy pięć razy głośniej niż ja. „Noże ostrzę, nożyczki, noże!!!”.

– To co innego. Pan z ostrzałką krzyczy, bo to jego praca. W ten sposób informuje mieszkańców, że przyszedł – wycedziła dozorczyńni, usiłując uwolnić psa ze smyczy.

– Ja przecież robię to samo. Informacyjnie krzyczę, że drzewo przywiozłam. Halo, pobudka! – zaprezentowała. – Drzewo przywiozłam!!! Wiosna, wiosna!!!

– Dorota? – Nagle otworzyło się okno na drugim piętrze i wychyliła się z niego Alicja. – Nie drzyj się tak, chodź na górę. Dzień dobry, pani Konarska, przepraszam za siostrę, ale dzisiaj pierwszy dzień wiosny i przywiozła drzewo.

– Pani Alicjo – odkrzyknęła dozorczyńni – mnie nie obchodzi, co wy tam sobie zwozicie. Ja muszę dbać o spokój lokatorów!

– Tak, tak, ma pani rację – przyznała Alicja. – Dorota, chodź na górę.

Dorota dotarła pod drzwi Alicji równocześnie z Basią, która usłyszawszy jej pokrzykiwania, założyła na siebie szlafrok i przybiegła, by podziwiać przebranie dla Matyldy.

– Obudziłam cię? – spytała rozbawiona Dorota.

– Ależ skąd. Nie spałam już, Tomka do szkoły wyprawiam o tej porze. Pomogłaś mi, bo nie chciał się zwlec z łóżka. Ale gdy usłyszał o wiosnie, to zaraz wyskoczył, sprawdzić, co to za wariatka wydziera się pod oknami. Janusz akurat był w łazience i też przybiegł. Trzeba przyznać, że masz kawał głosu – roześmiała się Basia.

Kiedy weszły do mieszkania, obydwie w dobrych humorach, nie od razu zauważyły, że Alicja jest jeszcze nieubrana, a do tego smutna

i blada.

– O Boże! Jak ty wyglądasz?! – krzyknęła po chwili Dorota, wpatrując się w siostrę. – Zaspałaś? Siódma już! Budź Matyldę i jedziemy. Drzewo jak ta lala! Piękne, mówię ci, chłopaki się postarali. Na kółeczkach, nie musi mała nic trzymać, jest otwór na twarz, a ponadto wydaje szumiące dźwięki. Taki akumulator i głośniczki zamontowali, mówię ci, cudo. Przepiękne!

– Nie zaspałam. Całą noc nie spałam. Nigdzie nie jedziemy – wydukała smutno Alicja.

– Dlaczego? Co się stało? – spytała zdziwiona Basia, siadając przy stole.

– A jak sądzicie, co się mogło stać? Matysia wczoraj w nocy dostała gorączki. Nici z występów. Cholera jasna, ta przemądrzała nauczycielka będzie teraz zacierać ręce z satysfakcją, że miała rację.

– O rany, tak mi przykro – powiedziała Basia. – A sprawdzałaś teraz temperaturę? Może dostała wczoraj gorączki ze stresu, że dzisiaj występuje...

– Gdzie tam ze stresu. Zwyczajnie się rozchorowała, jak zwykle. Przepraszam, Dorota, powinnam była do ciebie zadzwonić, żebyś nie przyjeżdżała z tym drzewem, ale tak się załamalam, że w ogóle nie miałam do tego głowy. Strasznie mi przykro, że nie wykorzystamy tego stroju, wiem, że i ty się zaangażowałaś, i twoi koledzy.

– A tam. – Dorota machnęła ręką. – Jeszcze będzie okazja... – powiedziała bez przekonania.

– Kawy wam zrobię – zaproponowała Alicja. – Matylda jeszcze śpi. Niedawno dałam jej paracetamol, trochę pokasływała w nocy, pewnie dopiero się zaczyna. Byle nie zapalenie oskrzeli, bo niedawno przechodziłyśmy...

– Tran nie pomógł? – spytała Dorota.

– Jak widać. Prawdę mówiąc, jestem zdeterminowana, żeby jechać z nią na tę cholerną wieś, jak radziła lekarka, tyle że mnie nie stać.

– Jak to? Przecież na wsi to raczej drogo nie jest... – zadumała się Dorota.

– Ale pobyt gdziekolwiek kosztuje. – Alicja przyniosła dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą. – A nie wystarczy pojechać na tydzień. Lekarka

zasugerowała trzy miesiące! Przesiedziałam całą noc w internecie, sprawdzając oferty hoteli, pensjonatów, gospodarstw agroturystycznych. Niestety, żebym nie wiem jak się starała, to na trzymiesięczny pobyt mnie nie stać.

– To może bez wyżywienia... – zaproponowała Dorota.

– Zgłupiałaś? – wtrąciła się Basia.

– A Bartek nie może zapłacić? Przecież to także jego córka.

Uważam, że powinien zasponsorować chociaż część kosztów wyjazdu! – powiedziała Dorota.

– Bartek, Bartek – westchnęła Alicja. – Rozmawiałam z nim w nocy. Byłam naprawdę zdesperowana. Ale zbagatelizował sprawę. Powiedział, że to fanaberie, że dziecko w końcu się wychoruje i żadna wieś tutaj nie będzie miała wpływu. Taki wiek według niego.

– No tak, nie siedzi z nią, to nie widzi problemu, kutas jeden – wycedziła Dorota.

– Nie przeklinaj. Poza tym, on teraz szykuje się do ślubu z tą swoją Andzią – kontynuowała Alicja. – Więc tym bardziej pieniądze zbiera, przecież nigdy nie był bogaty, nie ma oszczędności.

– No pewnie, jeszcze się nad nim lituj! – oburzyła się Dorota. – Powinnaś więcej wymagać. Nie możesz brać wszystkiego na swoje barki. To jego córka...

– Alimenty płaci – wtrąciła Alicja.

– Alimenty-srenty. Pięć stów ledwie rzuca, co to jest na dziecko?

– Racja. Przecież to ty jesteś z nią na co dzień – zauważyła Basia. – To ty opiekujesz się nią, biegasz po lekarzach, jesteś uwiązana w domu, nie możesz iść do pracy... On nie ma tych problemów. Tylko płaci... Zresztą niewiele. Dorota ma rację, powinnaś go przydusić o kasę. Albo niech to on jedzie na trzy miesiące na wieś.

– O, dobry pomysł! – przyklasnęła Dorota. – Niech on jedzie. Po pierwsze zrobi coś dla dziecka, po drugie ty trochę dzięki temu odsapniesz, a po trzecie niech on wreszcie zobaczy, jak to jest!

– Nie pojedzie. – Alicja wzruszyła ramionami.

– Dlaczego? Zaproponuj mu to. Wy tłumacz, że to nie fanaberie. Skoro Matyldzie nic innego nie pomaga, to warto spróbować. Przecież nie namawiasz go na wyjazd do Honolulu, ale na polską wieś. Niech



spróbujecie wziąć kilka miesięcy wolnego, przecież ty musiałaś odłożyć swoje zawodowe ambicje na kilka lat... – drążyła Dorota.

– Nie pojedzie – powtórzyła Alicja. – Mało tego, w tym roku również nie spędzi z Matyldą wakacji, właśnie mnie o tym poinformował. Zaproponował, że w zamian zabierze ją na ferie, bo teraz nie będzie miał czasu... Przygotowania do ślubu, szukanie sali, sukni, garnituru, załatwianie podróży poślubnej. No wiecie, Aneczka jest wymagająca, ona nie zadowolili się byle czym, trzeba zadbać o każdy szczegół...

– I zrezygnował z wakacji z córką? – Basia kręciła głowę z niedowierzaniem. – Co za świnią.

– Ma wpaść w któryś weekend – uściśliła Alicja. – Obiecał, że zabierze ją do zoo, do kina. Co miałam zrobić, zgodziłam się. Przecież nie będę mu dziecka na siłę wciskała. Szczególnie teraz, gdy mieszka z tą lafiryndą...

Dorota i Basia spojrzały na siebie kwaśno. Obydwie uważały, że Alicja jest zbyt miękka w stosunku do Bartka. Widząc jednak zmęczenie i smutek rysujące się na jej twarzy, odpuściły pogadankę na temat facetów i ich ojcowskich obowiązków. Siedząc w ciszy, każda zatopiła się w swoich myślach.

– Pożyczyłabym ci kasę na ten wyjazd – odezwała się po chwili Basia. – Ale nie mam.

– Dziękuję, kochana jesteś. – Alicja się uśmiechnęła. – Ale nie chcę pożyczać. Zlecenia mam ostatnio na tyle nieregularnie, że nawet nie potrafiłabym przewidzieć, kiedy udałoby mi się oddać. Ledwie mi starcza na rachunki. Nie mówiąc o innych wydatkach, dobrze że rodzice trochę mi pomagają.

– Ja też teraz nie mam – wtrąciła Dorota smutno. – Wszystkie oszczędności poszły na cycki...

– Jakie cycki? – Alicja spojrzała na siostrę zdziwiona wyznaniem.

– Nawet nie zauważyłaś...

– Zrobiłaś sobie cycki? – Basia wpatrywała się w klatkę piersiową Doroty. – Mogę dotknąć?

– Kiedy zrobiłaś? Po co? – dopytywała Alicja.

– Dwa miesiące temu... Nie chwaliłam się, bo ciekawa byłam, czy

zauważysz. No, ale nie noszę teraz jeszcze dekolców, to w sumie można nie dostrzec. – Zamyśliła się. – Właściwie nie zarejestrowałam większego zainteresowania ze strony mężczyzn, może powinnam jeszcze je powiększyć...

– Zgłupiałaś? Przecież miałaś ładne piersi. Nie mów, że to ten twój Artur cię do tego namówił.

– A skąd, nawet się nie przyznałam. Prawdę mówiąc on też nic nie zauważył, a przecież tydzień temu dotykał.

– A ja mogę dotknąć? – dopytywała Basia.

– A dotykaj, byle nie ściskaj za mocno, bo ciągle mam fobię, że ten silikon strzeli. Słuchaj, Alicja – zmieniła nagle temat. – A może rodzice by się dorzucili? W końcu to ich jedyna wnuczka, mama nie żałuje na prezenty dla niej.

– Aha, pewnie. – Alicja zmarszczyła nos. – Szczególnie teraz, gdy robili remont i ojciec zrzędził w słuchawkę, że kredyt musiał wziąć, bo mama uparła się na podłogę z egzotycznego drewna. Poza tym pomagają mi na co dzień, a to Matysi buty kupią, a to kurtkę...

– Rzeczywiście...

– Dziewczyny. – Klasnęła w dłonie Basia, oderwawszy się od piersi Doroty. – A po cholere pensjonat? Przecież można się najzwyczajniej w świecie wprosić do kogoś na wakacje. Ja wiem, że trzy miesiące to nie tydzień, ale babcia czy ciocia mieszkająca na wsi na pewno zrozumie sytuację... Rodzina powinna się wspierać. Możesz zaproponować, że innym razem ktoś może przyjechać do ciebie, zrobisz mu wycieczkę po Warszawie...

– Świetny pomysł – przyznała Alicja. – Tyle że ja nie mam do kogo się wprosić. Nie mam rodziny na wsi.

– Na pewno masz. Przecież każdy ma.

– My nie – odrzekły zgodnie Dorota i Alicja.

– Z żadnej strony? Ani od mamy, ani od taty?

– Mama z Mokotowa, tata z Żoliborza. – Alicja wzruszyła ramionami. – Poznali się w kinie, mama wtedy pracowała jako kasjerka w Feminie. Wzięli ślub i zamieszkali najpierw u babci na Mokotowie, potem dostali mieszkanie na Woli. Brat naszej mamy mieszka z żoną na Pradze Południe, drugi wyprowadził się z Warszawy, ale niestety nie na

wieś, tylko do Bydgoszczy. Siostra taty mieszkała na Powiślu, ale gdy dziadkowie zmarli, przeniosła się na Żoliborz. Aha, jest jeszcze brat dziadka od strony taty i jego dzieci, ale oni też na Żoliborzu. A nie, jedna mieszka na Ursynowie...

– Nawet na wakacje nie jeździłyśmy na wieś – wtrąciła Dorota. – Tata zawsze załatwiał wczasy albo nad morzem, albo na Mazurach, w typowych ośrodkach wypoczynkowych z domkami, boiskami, świetlicami. Żadna tam wieś... Jak na tamte czasy, to były prawdziwe kurorty.

Basia patrzyła zdumiona. Trudno jej było zrozumieć, jakim sposobem te ponad trzydziestoletnie kobiety mogły się uchować bez jakiegokolwiek członka rodziny, który nie mieszkałby w mieście. Ona sama, mimo iż urodzona w Warszawie, jedną babcię miała na wsi pod Wrocławiem, a drugą nieopodal Białegostoku. Niestety, żadna z nich już nie żyła, a domy zostały sprzedane, więc nawet gdyby chciała, to nie mogłaby zaproponować Alicji pobytu na którejś z tych wsi.

– Alicja! – krzyknęła nagle Dorota. – Jednak mamy kogoś! Pamiętasz tę staruszkę, która przyjechała na pogrzeb babci? Ona ze wsi jest przecież, to jakaś jej siostra cioteczna, pamiętasz?

Alicja zmrużyła oczy, starając przypomnieć sobie wydarzenie sprzed roku. Na pogrzeb babci oprócz nielicznej rodziny przybyło też mnóstwo babcinych przyjaciółek, sąsiedzi i koleżanki z Klubu Seniora.

– Taka siwa, w czarnym toczku...

– Co druga tam była siwa – zauważyła Alicja.

– No, ale taka charakterystyczna, bo nikogo tu nie znała, na stypie trzymała się z boku. Pamiętasz? Józefina jakaś tam.

– Czekał, rzeczywiście, była taka. Zachwyciła się Matyldą.

– No widzisz, to już masz z górki, bo lubi Matysię. A pamiętasz, jak się z nami żegnała? Powiedziała, że zaprasza do siebie na wieś, że koniecznie musimy przyjechać...

– Powiedziała tak z grzeczności. Nie mogę do niej zadzwonić. To było prawie rok temu, nie utrzymujemy ze sobą kontaktu. Była na liście osób do powiadomienia o pogrzebie, ale tylko tyle. Nie mogę ot tak wprosić się do niej na trzy miesiące.

– Nie bądź głupia, dzwoń – naciskała Dorota. – Przecież mówiła,

że mieszka sama, syn w Australii siedzi. Może staruszka akurat potrzebuje towarzystwa? Nic o niej więcej nie wiemy. Nie możesz zakładać z góry, że ci odmówi. Być może właśnie się ucieszy.

– A nawet jeśli odmówi, to trudno, nie masz nic do stracenia – zauważyła Basia.

– Dzwon, mówię ci – ponaglała Dorota.

– Nie mam do niej numeru. Może mama ma...

– Ależ oczywiście, że masz. Obdzwaniałaś wszystkich, na pewno masz tę listę, przecież ty nic nie wyrzucasz. Założę się, że jest w szufladzie z pamiątkami po babci.

Alicja podrapała się po brodzie niezdecydowana. Pamiętała ciotkę Józefinę jak przez mgłę. Podczas stypy rozmawiała z nią tylko przez chwilę, byłoby niezręcznie zadzwonić do niej nagle i wpraszać się na trzy miesiące.

– No, szukaj tej kartki – niecierpliwiła się Dorota.

– Ale co mam jej powiedzieć? Dzień dobry, nie wiem, czy mnie pani pamięta, widziałyśmy się na stypie Wandy Moreń, mojej babci...

– Nie „pani”, tylko „ciocia” – przypomniała Dorota. – Siostra cioteczna babci to dla nas ciocia.

– Albo stryjenka – zamyśliła się Basia.

– Nieważne – kontynuowała Alicja. – Co jej powiem? Że mnie zapraszała i właśnie sobie o tym przypomniałam? I że mam ochotę przyjechać z córką na, bagatela, trzy miesiące. Przecież ona zejdzie na zawał po takim telefonie.

– Nie marudź, szukaj tej kartki i dzwoń.

Alicja, przyciśnięta do muru, otworzyła jedną z głębokich szuflad w komodzie. Trzymała tam wszelkie pamiątki, nie tylko po babci, ale też swoje i rodziców. Były tam pamiętniki, zdjęcia, stary obrus z motywem świątecznym. Szuflada kryła również kilka płyt gramofonowych, spięte recepturką papierki z historyjkami obrazkowymi po gumach „Donald”, a także dwa lekko wyszczerbione kryształowe kieliszki, które niegdyś stały na honorowym miejscu w mieszkaniu rodziców. Kieliszki, którymi wznosili toast w dniu ślubu, a które chcieli wyrzucić podczas ostatniego remontu.

W szufladzie było również pudełko po butach, gdzie swoje miejsce

znalazły drobne szpargały, pamiątkowe bilety, kilka starych znaczków pocztowych oraz dziesiątki luźnych kartek.

– Jest. – Alicja wyjęła z pudełka zapisaną ręcznie kartkę z nazwiskami i numerami telefonów.

– No to dzwoń. – Dorota podała swój telefon. – Nie ma na co czekać.

– Ale chyba za wcześnie, dopiero wpół do dziewiątej, nie wypada tak wcześnie dzwonić.

– O Boże! Ale się zasiedziałam! – krzyknęła Basia. – Moi chłopcy dawno już wyszli z domu, a ja nie zrobiłam Tomkowi kanapek... Może Janusz zrobił? – pocieszyła się. – O rany, co za wyrodna matka ze mnie...

– Starzy ludzie wcześnie wstają, dzwoń – powiedziała z przekonaniem Dorota, nie zważając na lamenty Basi.

– Mamo, pić – usłyszały nagle słaby głos Matyldy z drugiego pokoju.

– Ja się nią zajmę – zaproponowała Basia, sięgając po stojącą na stole szklankę z sokiem. – Zdziwi się, kiedy zobaczy mnie w szlafroku, ale trudno. Wyjaśnię, że czasem sąsiadki tak właśnie się odwiedzają.

Alicja wzięła telefon, kartkę i wyszła do kuchni. Peszył ją wzrok siostry, wołała odbyć tę rozmowę na osobności. Kiedy po piętnastu minutach wróciła, jej wzrok niewiele mówił. Dorota z Basią wpatrywały się w nią wyczekująco.

– I co? Odebrała telefon? Żyje? Rozmawiałaś z nią? – Siostra Alicji jak zwykle była bezpośrednia.

– Rozmawiałam. Sama nie wiem... Ucieszyła się, że dzwonię, od razu mnie skojarzyła, kiedy się przedstawiłam.

– No i? – ponaglała Dorota.

– No i naświetliłam jej sprawę. Spytałam, czy mogłabym przyjechać z Matyldą. Powiedziałam o jej problemach zdrowotnych, o tym, co zaleciła lekarka i o tym, że nie bardzo mam dokąd jechać. Że nie stać mnie na pensjonat, ale oczywiście zapłacę za pobyt, żeby też nie wystraszyła się, iż zwalimy się jej na głowę bez grosza przy duszy. Powiedziałam, że chodzi o trzy miesiące od czerwca.

– Zgodziła się? – dopytywała Dorota.

- Zgodziła – powiedziała Alicja sucho.
- Super! – Basia klasnęła w dłonie. – Czyli po problemie!

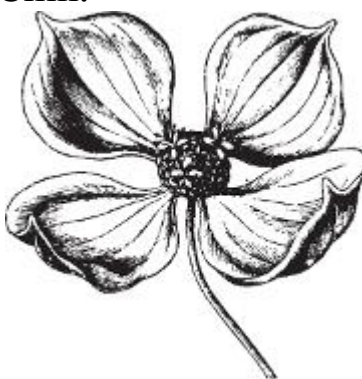
Wspaniale!

– Ale nie słyszałam w jej głosie entuzjazmu... – zamyśliła się Alicja.

- Może zaspana była. Zresztą co tu dużo gadać, zaskoczyłaś ją.

Ważne, że się zgodziła.

- Janusz też się zgodził, tak à propos – wtrąciła Basia.
- Na co? – Dorota nie była w temacie.
- Na mój wyjazd do Chin.





### *Rozdział 3*



Miarowy stukot pociągu sprawiał, że Alicja robiła się coraz bardziej senna. Po nieprzespanej nocy organizm domagał się odpoczynku. Były w przedziale same. Matylda, naburmuszona i milcząca, wpatrywała się beznamiętnie w mijane krajobrazy. Nie była zadowolona z wyjazdu. Nie rozumiała, dlaczego nie wyjadą jak zwykle nad morze, do pensjonatu z placem zabaw i mnóstwem atrakcji w okolicy. Nie wiedziała, dlaczego w tym roku nie będzie tak bardzo wyczekiwanych wakacji z tatą. Marzyła, że zabierze ją do parku linowego, tak obiecywał. Mieli razem pokonywać przeszkody i wspinać się po zawieszonych na drzewach mostkach.

Alicja tłumaczyła, że ojciec pracuje, że zabierze Matyldę na ferie. Nie przeszło jej przez gardło, iż powód jest zupełnie inny – przygotowania do ślubu. Do tej pory unikała tematu związanego z Bartoszem i jego nową partnerką. Rozmowy z Matyldą o ojcu ograniczała do suchych informacji – kiedy przyjedzie, żeby spędzić z nią weekend, kiedy ją zabierze na lody. O Annie nie wspominała ani słowem. Na pytania Matyldy o nową partnerkę ojca, której jeszcze nie poznała, Alicja wzruszała tylko ramionami, mówiąc, że kiedyś na pewno będzie okazja. Po cichu miała jednak nadzieję, że ta okazja nigdy nie nastąpi; że zauroczenie Bartka minie i znów będzie sam, a wtedy być może zażętkni za nią i za Matyldą. I wróci.

Wiadomość o planowanym ślubie spadła jak grom z nieba. Którejś soboty Bartek przyjechał radosny i podekscytowany, zdradzając, że dzień wcześniej oświadczył się Ani, a ta go przyjęła.

Alicja przepłakała tego dnia wiele godzin, ciesząc się, że Matylda, spędzając czas z ojcem na mieście, nie musi oglądać jej w takim stanie.

Cholera – pomyślała teraz, patrząc na córkę. – Dziewczyny mają rację, jestem za mało wymagająca wobec Bartka. On właśnie beztrąsko szuka garnituru i nawet nie pomyśli o tym, że Matysi jest przykro z powodu obiecanych, a niezrealizowanych planów wakacyjnych. Dlaczego mu o tym nie powiedziałam? Dlaczego godzę się zawsze na wszystko? On sobie układa życie, jest szczęśliwy, a ja?

Pytanie zawisło w powietrzu niczym ciężka zasłona, za którą nie ma błękitnego nieba, ale szary, gęsty od smogu świat.

Mimo że planowała wyjechać pierwszego czerwca, to ze względu na Matyldę, przełożyła podróż o kilka dni. Dzień dziecka postanowiła spędzić z córką w mieście, aby choć trochę poprawić Matyldzie humor. Był plac zabaw, pizzeria, lody i kino. Matylda, za dnia uśmiechnięta i szczęśliwa, wieczorem znów zapadła w niezadowolenie. „Nie chcę nigdzie jechać” – mówiła. – „Tam nic nie będzie, tylko nudy”. Alicja pocieszała ją, mówiąc, że na wsi dużo się dzieje, nie potrafiła jednak podać konkretnych przykładów. Opowiadała o tym, że na pewno będą tam jakieś zwierzęta, że będą miały okazję obcować z przyrodą, ale Matyldy to nie przekonywało. „Nudy” – powtarzała uparcie. – „Nudy na pudy”.

– Chcesz kanapkę? – spytała Alicja, wyjmując z torebki zapakowany w srebrną folię prowiant.

– Nie jestem głodna – wymamrotała Matylda, nie odwracając od okna.

– A może chcesz soku?

– Nie.

Alicja odłożyła kanapki. Ona też nie miała apetytu. Najchętniej położyłaby się na siedzeniach i usnęła. Dorota jednak ostrzegła ją przed bezmyślnym spaniem w pociągu, straszyla złodziejami. Starając się ze wszystkich sił nie zasnąć, sprawdzała w myślach, czy o niczym nie zapomniała. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżała na dłużej niż dwa tygodnie, nie potrafiła więc ocenić, co powinna ze sobą zabrać na tak długi czas, tym bardziej że musiała się ograniczyć do dwóch walizek – nie dałaby rady wziąć więcej, bo Matylda jest jeszcze zbyt mała, by ciągnąć za sobą ciężką torbę na kółkach. Oprócz typowych letnich ubrań spakowane więc zostały tylko dwa swetry – po jednym dla każdej, cieplejsze bluzy

na wieczór, kurtka przeciwdeszczowa dla Matyldy i kalosze. „Na wsi na pewno będzie błoto, weź kalosze” – wyrokowała matka Alicji, gdy dowiedziała się o planowanej eskapadzie po zdrowie. – „I nie zapomnij o jakiejś kiece. Na wsiach w remizach robią dyskoteki, możesz zostawić Matyskę pod opieką Józefiny i wybrać się na potańcówkę, może kogoś poznasz – najwyższy czas, bo przecież ten twój Bartek to raczej nie wróci” – prorokowała. – „Byle nie gołodupca. Zorientuj się tam, kto ma ziemię i za takiego się bierz”.

Alicja spakowała więc i kalosze, i jedną sukienkę, chociaż wcale nie miała zamiaru się w nią ubierać. Ostatnia rzecz, na jaką miałyby ochotę, to wiejska dyskoteka. Nie wypadało jednak odmówić – w końcu mama przyjechała i czynnie pomagała w pakowaniu, nalegając na spakowanie sukienki.

Zaczął padać deszcz. Krople leniwie spływały po szybie. Matylda palcem podążała po ich śladzie. Pod nosem zaczęła nucić jakąś piosenkę, dzięki czemu Alicja odetchnęła, zadowolona, że może w końcu jej córkę opuścił zły humor i przygnębienie.

Spod przymkniętych powiek patrzyła się na dziewczynkę. Zebrane w kucyk włosy miały barwę słomy, gdzieniegdzie dało się zauważyć jaśniejszy o ton kosmyk. Zaczesa na bok grzywka przypięta była fioletową spinką. Mały, zadarty nosek dodawał drobnej twarzy uroku. Alicja cieszyła się, że córka nie odziedziczyła nosa po swoim ojcu. Bartek, mimo iż twarz miał dość delikatną i symetryczną, to wydatny orli nos nadawał jej ciężkości i powagi. Idealnie pasował do przyszłego profesora historii sztuki. Tym bardziej że Bartek od pewnego czasu ozdabiał nos nisko opadającymi okularami. W ten sposób chciał sobie dodać lat i wyglądać dostojniej.

Bartek... Alicja przymknęła oczy i odpłynęła we wspomnienia.

Poznali się na imprezie u wspólnej koleżanki. Alicja była wtedy na ostatnim roku malarstwa. Bartek zaczynał doktorat z historii sztuki. Dość szybko przypadli sobie do gustu. Już tamtego wieczora przegadali pół nocy o sztuce, o ulubionych artystach, o swoich planach na przyszłość, o życiu. Alicji imponował ten postawny chłopak o rozległej wiedzy. Ona zaś ujęła go swoją dziecinną niemal naiwnością, gdy roztaczała wizje otwarcia własnej galerii, planowanych wystaw, promowaniu młodych

polских malarzy. Sama porzuciła złudzenia o zostaniu światowej sławy artystką. Studia zweryfikowały jej umiejętności. Była dobrym rzemieślnikiem, jednak tworzonym przez nią dziełom brakowało tego czegoś, co sprawia, że ludzie zatrzymują się i stoją zafascynowani – swoistej „energii obrazu” przechodzącej na oglądającego – niezależnie od tego, czy obraz przedstawia wyrazisty temat, czy tylko plamę między innymi plamami.

Alicja zdawała sobie sprawę z tego, że potrafi doskonale odtwarzać, nie potrafi zaś tworzyć. Wprawdzie na początku studiów miała jeszcze nadzieję, że jej talent rozwinie się na tyle, że nagle spłynie na nią upragniona wena, jednak im dłużej studiowała, tym większego nabierała przekonania, że malowanie zostanie dla niej pasją, nie zaś sposobem na życie.

– Nie chcę być sfrustrowaną artystką, której nikt nie kupuje i która tłumaczy sobie, że ludzie nie rozumieją jej sztuki – tłumaczyła rodzicom i siostrze. – Skoro do tej pory nie zauważyłam zachwyty w oczach odbiorców, to znaczy, że się do tego nie nadaję. Mogłabym zostać kopistą, ale tego też nie chcę. Dlatego zamierzam otworzyć galerię.

Rodzice pukali się w głowę, przekonując Alicję, że takie marzenia kosztują, to duża inwestycja, a oni, ani tym bardziej ona, nie mają funduszy na to, by wynająć na początek choćby niewielki lokal, który mógłby zostać przekształcony w galerię.

– Nie zamierzam otwierać galerii od razu po studiach – broniła się Alicja. – Najpierw na nią zarobię. Zobaczycie, że przyjdzie dzień, gdy zaproszę was na wystawę u siebie.

Kiwali głowami z politowaniem, próbując przekonać ją do zmiany pomysłu. Szczególnie matka, która oczami wyobraźni od początku widziała Alicję jako światową artystkę, o którą biją się największe galerie w Londynie i Nowym Jorku. Pragnęła dla córki tego, czego jej nie udało się osiągnąć – sławy i bogactwa. O ile Dorota, która nigdy nie wykazywała zapędów artystycznych, miała pod tym względem spokój, o tyle Alicja, gdy tylko zauważono jej talent malarski, natychmiast została zapisana na szereg kursów, później do szkół o profilu plastycznym, aż w końcu sama wybrała Akademię Sztuk Pięknych jako ukoronowanie drogi, którą szła od dziecka.

Matka Alicji do końca miała nadzieję, że plan otworzenia galerii jest tylko fanaberią aktywizującą się podczas nieudanych zajęć. Przez cały ostatni rok studiów Alicji wbijała córce do głowy, że prowadzenie galerii jest mało prestiżowe, wręcz ujmujące jej talentowi. I nawet gdyby jakimś cudem udało się jej taką galerię otworzyć, to szybko uzna, że prowadzenie sklepu z obrazami – jak zwykła mówić – nie daje takiej satysfakcji jak sprzedawanie własnych dzieł, nawet – początkowo – za niewielkie kwoty.

– Wszyscy artyści musieli poczekać na swój czas – powtarzała. – Nie jesteś jedyna. Nie należy się poddawać. W końcu zostaniesz odkryta. Po co masz iść do pracy, jak zwykły człowiek, skoro czeka na ciebie coś więcej!

O ile rodzice patrzyli na jej pomysł nieprzychylnym okiem, o tyle Bartek szybko mu przyklasnął. Już od pierwszego spotkania chłonał każde słowo Alicji, uważając, że jest nie tylko zdolna, ale i mądra. I że galeria z pewnością będzie sukcesem. Nawet jeżeli w to nie wierzył, to Alicja nie wyczuła w jego słowach fałszu. W końcu trafiła na kogoś, kto ją wspiera – nawet jeśli tylko werbalnie. W tamtym jednak czasie bardzo tego potrzebowała.

Spotykali się sporadycznie, ponieważ ona zajęta była przygotowaniem dyplomowej wystawy, on zaś prowadził badania wymagające wielu podróży, a oprócz tego wykładał na uczelni, co dość mocno ograniczało go czasowo.

Dopiero po około roku ich dotychczas luźny związek nabrał tempa. Alicja, zgodnie ze swoim planem, od razu po studiach podjęła pracę – najpierw jako sekretarka w firmie dystrybuującej książki, potem, po zaledwie dwóch miesiącach, za namową koleżanki zrobiła licencję agenta nieruchomości i trafiła do biura nieruchomości komercyjnych. Pod względem finansowym ruch ten okazał się strzałem w dziesiątkę. Alicja, napędzana marzeniami o galerii, dzięki determinacji szybko pięła się w górę. Niebawem jako liderka w firmie zaczęła otrzymywać najlepszych klientów i najbardziej intratne oferty. Co prawda na umowę o dzieło, ale prowizje były tak wysokie, że dzięki wynajmowaniu olbrzymich powierzchni handlowych mogła odkładać pieniądze na planowany za dwa, może trzy lata, zakup lokalu na swoją galerię.

Bartek doceniał jej zaangażowanie. Doceniał także pieniądze, które zaczęła zarabiać. Sam, pracując na uczelni, zarabiał niewiele. Ledwo starczało na wynajem skromnej kawalerki i mniej niż skromne utrzymanie. Dlatego też skwapliwie korzystał z wszelkich zaproszeń do kina czy do restauracji inicjowanych przez Alicję. Życie nabrało rumieńców, podobnie jak ich związek – ponieważ wreszcie stać ich było na beztroskie spędzanie czasu. Praca już go tak bardzo nie męczyła, częściej spotykał się z Alicją, wiedząc, że gdy do niego przyjedzie, weźmie ze sobą nie tylko produkty na pyszną kolację, którą sama ugotuje, ale także butelkę wina oraz paczkę czekoladowych michałków, które tak uwielbiał.

Alicja lubiła o niego dbać. Nie przeszkadzało jej, że to ona zarabia więcej. Rozumiała, że naukowe ambicje nie pozwalają Bartkowi na razie rozwinąć skrzydeł finansowo, a droga, którą obrał, jest długa i żmudna, jednak w przyszłości różnice w zarobkach na pewno się zatrą, a być może to właśnie on wtedy jej pomoże, gdy zamiast zarabiać na nieruchomościach, będzie podejmowała ryzyko prowadzenia własnej galerii. Taki był plan i taką też wizję roztaczał przed nią Bartek.

– Za trzy lata – mówił – ja już będę miał na koncie tyle publikacji i będę na tyle pożądanym pracownikiem dla uniwersytetów, że będą się o mnie biły. Może nawet wyjedziemy za granicę. I wtedy, kochanie, nie w Polsce, ale na przykład w Barcelonie, otworzysz galerię. Czyż nie chciałabyś mieć galerii w Barcelonie?

– Chciałabym – wzdychała Alicja. – Nie tylko w Barcelonie, ale i w Pradze, Paryżu, Londynie. Kto mi zabroni otwierać kolejne i kolejne? Zacznę w Polsce, ale przecież świat stoi otworem.

– Otóż to – przytakiwał Bartek, wznosząc toast kieliszkiem kupionego przez Alicję wina.

Kochała go. Nie była to miłość namiętna i szalona, o jakiej czyta się w książkach lub jaką ogląda w filmach. Była to miłość zwyczajna. Alicja tłumaczyła sobie, że rzeczywistość filmową kreują scenarzyści i miłosne uniesienia niewiele mają wspólnego z prawdziwym życiem. Cieszyła się z tego, co ma. Bartek imponował jej swoją wiedzą, obyciem. Lubiała patrzeć, gdy z nosem, swoim dużym orlim nosem, siedzi w książkach, mamrocząc coś cicho, podczas gdy ona przeglądała

na laptopie oferty powierzchni do wynajęcia. Lubiła wspólne kolacje i wieczorne dysputy przy lampce wina. Nie oczekiwała szaleństwa. Zresztą Bartek nie był mężczyzną, któremu jakiegokolwiek szaleństwa byłyby w głowie. Jedyłą przyjemnością, której ulegał, było jedzenie. Nie byle jakie, ale wyrafinowane, ciekawe dania. Nie dla niego schabowy z kapustą. Alicja dość szybko odkryła, że oczy najbardziej mu błyszczą, gdy przyrządzi dla niego paellę z owocami morza albo stek z kupionej w drogich delikatesach wołowiny argentyńskiej. Uwielbiała gotować i uczyć się nowych przepisów, wiedząc, że gdy uda jej się zaskoczyć czymś Bartka, będzie o tym mówił przez tydzień, chwalać ją pod niebiosa i podkreślając na każdym kroku, jak niewiele jest dobrze gotujących kobiet.

Kiedy wychodzili do restauracji, wybierał najdroższe dania, marudząc często, gdy potrawa nie zaspokoila jego oczekiwań. Mimo iż zawsze płaciła Alicja, to on decydował, czy kucharzowi i kelnerom należy się napiwek.

Alicja nie liczyła wydawanych pieniędzy. Przy tak dobrych zarobkach mogła sobie pozwolić na spełnianie kulinarnych zachcianek Bartka. W jego oczach widziała szczęście i dzięki temu sama czuła się szczęśliwa. O ile w rodzinnym domu wciąż wysłuchiwała utyskiwań matki na to, że Alicja nie spełnia jej oczekiwań, o tyle przy Bartku nie mogła narzekać na brak akceptacji czy uczuć, o których mówił wprawdzie rzadko, ale okazywał często – a to muśnięciem w policzek po dobrej kolacji, a to pogłaskaniem po włosach, gdy przyjeżdżając do niego, wylewała żale na rodziców. Poza tym zawsze powtarzał jej, że artystą można być na wiele sposobów i mama Alicji z pewnością zmieni zdanie, gdy nazwisko córki rozbłyśnie pełnym blaskiem przy hucznych otwarciach kolejnych galerii. Podtrzymywał jej marzenia skutecznie. A te napędzały ją do coraz cięższej pracy i coraz większych pieniędzy. Marzyła i pracowała. Pracowała i marzyła. Ale przyszedł czas, gdy marzenia rozbiły się o rzeczywistość.

Zaszła w ciążę. Prawdopodobnie tej nocy, gdy ześlizgnęła się prezerwatywa. Po pierwszym szoku nadszedł czas na planowanie. Bartek błyskawicznie zdecydował, co powinni zrobić.

– Przede wszystkim kupimy mieszkanie – powiedział. – Nie

będziemy się we trójkę gnieździć w mojej wynajmowanej kawalerce, a do twoich rodziców nie mam zamiaru się wprowadzać.

– Ale jak kupimy mieszkanie? – martwiła się Alicja. – Przecież to kupa kasy. Ja nie mam etatu, który umożliwiłby wzięcie kredytu, chyba że na ciebie, ale nie wiem, czy twoje zarobki wystarczą...

– Kochanie, przecież masz pieniądze – przypomniał Bartek. – Starczy na dwa pokoje. Później się coś wymyśli.

– Bartek... To są pieniądze, które zbieram na galerię, zapomniałeś? Jeśli kupię mieszkanie, nie zostanie nic. Lepiej wziąć kredyt, wielu ludzi tak robi.

– Równie dobrze możesz wziąć kredyt później, na galerię.

– Nikt mi go nie da! Tłumaczę ci, że nie mam etatu, bank nie będzie miał zabezpieczeń.

– Odkujesz się. Zarabiasz na tyle dużo, że raz dwa i uzbierasz ponownie. Poza tym do tego czasu ja też zacznę więcej zarabiać, będę mógł ci pożyczyć. A teraz potrzebujemy mieszkania.

– Właściwie to nawet słyszałam o niezłej okazji. Licytacja komornicza – jeśli nie będzie chętnych, to jest szansa na kupno za dwie trzecie wartości. Dwa pokoje w kamienicy na Mokotowie. Nawet ładne, widziałam zdjęcia, bo Marek ode mnie z biura się interesował... Ale on woli polować na apartament niż mieszkanie w starej kamienicy.

– No widzisz, jak się robi w nieruchomościach, to o okazji nietrudno – ucieszył się Bartek. – Nie ma co się zastanawiać.

Z jednej strony była przerażona kupnem, z drugiej cieszyła się, że tym samym Bartek zaproponował, by razem zamieszkali. Nigdy wcześniej taka propozycja z jego ust nie padła. Alicja zawsze tłumaczyła sobie, że brak takiej inicjatywy ze strony Bartka spowodowany jest jego sytuacją. Na pewno wolałby, żeby wprowadziła się do jego mieszkania, a nie wynajmowanej kawalerki, w której ledwie mieścił się on i jego książki.

Kupiła więc mieszkanie, umeblowała je, urządziła pokój dla dziecka. Przyszłość, mimo że trochę przearanżowana, to jednak wciąż rysowała się w jasnych barwach. Alicja mimo ciąży pracowała, nie zwracając uwagi na to, że im większy miała brzuch, tym mniejsze oferty dostawała. Pocieszała się tym, że po porodzie sytuacja wróci do normy.



Planowała po trzech miesiącach pobytu z dzieckiem w domu znaleźć opiekunkę, wrócić do pracy i znów zarabiać tak duże pieniądze, jak wcześniej. Nie przewidziała jednak, że deklaracje szefa to jedno, a dynamicznie zmieniająca się struktura firmy to zupełnie co innego. Kiedy więc po dwóch miesiącach od narodzin Matyldy zadzwoniła do biura, okazało się, że jej miejsce zajęła równie ambitna i tak samo obrotna młoda agentka.

– Co za dupki! Jak tak można? – denerwował się Bartek. – Byłaś przecież liderką, płacili ci ogromne prowizje. Powinni przyjąć cię z pocałowaniem ręki z powrotem.

– Bartek, myślę, że wolą mieć niezależną i dyspozycyjną agentkę niż młodą matkę. Ale też uważam, że to dupki. Cholera jasna! Pierre obiecywał, że miejsce będzie na mnie czekało.

– Paskudne żabojady. Po części to twoja wina, trzeba było walczyć o stałą umowę.

– Miałam ją podpisać, ale gdy okazało się, że jestem w ciąży... No, wstrzymali się po prostu. Nawet ci nie mówiłam, wiedziałam, że cię to wkurzy.

– Co za czasy! Człowiek wypruwa sobie żyły na śmieciowej umowie, a jak przychodzi co do czego, to ani ubezpieczenia, ani nic. NIC! Cholera!

– Ale pieniądze większe. Taka branża, raz są zlecenia, raz ich nie ma. Widocznie nie opłaca im się zatrudniać agentów na etaty i miesiąc w miesiąc płacić koszty pracownicze.

– Jeszcze ich bronisz?

– Nie bronię, staram ci się wytłumaczyć, jak to działa. Coś za coś.

– No to masz coś. Nic nie masz. Z czego będziemy teraz żyli?

– Damy sobie radę. Twoja pensja wystarczy na opłaty i jedzenie.

Mam jeszcze trochę oszczędności, to będzie na pieluchy. – Alicja starała się zachować zimną krew. – Nie martw się. Znajdę pracę. Przecież to nie jedyne biuro nieruchomości w tym mieście.

– Mielśmy szukać opiekunki... – przypomniał. – Ale na razie szkoda na nią kasy. Dasz radę szukać pracy z dzieckiem na rękę? – zastanawiał się głośno.

– Przecież ty mógłbyś siedzieć z Matyldą. Możesz wziąć urlop

tacierzyński. Dopóki ja będę szukać pracy, a nie będzie jeszcze opiekunki, to najlepsze rozwiązanie.

– Chyba oszalałaś. Ja mam swoje zobowiązania, rozgrzebaną pracę naukową, wykłady, badania... Nie mogę teraz wszystkiego rzucić, żeby niańczyć dziecko.

– Posłuchaj, moi rodzice pracują, twoi są daleko i specjalnie się nami nie interesują. Coś musimy wymyślić. Opiekunkę na godziny? Ktoś musi być z Matyldą, kiedy będę jeździła na rozmowy kwalifikacyjne.

– Opiekunka na godziny – zgodził się Bartek. – Popytam wśród znajomych, najlepsza byłaby jakaś z polecenia.

Znajomi na szczęście nie zawiedli i już wkrótce w mieszkaniu Alicji i Bartka pojawiła się Gabrysia, studentka trzeciego roku polonistyki.

Podczas gdy Gabrysia zabawiała Matyldę, Alicja jeździła po biurach nieruchomości, zostawiając swoje CV. Telefon jednak milczał. Kryzys w branży sprawił, że nie szukano nowych pracowników, a ci, którzy mieli już pracę, kurczowo się jej trzymali.

Alicja po miesiącu bezowocnych starań zaczęła rozglądać się za jakimkolwiek innym zajęciem, jednak równie bezskutecznie. Była co prawda zaproszona na kilka rozmów, jednak kiedy potencjalni pracodawcy dowiadywali się o jej trzymiesięcznym dziecku, natychmiast tracili zainteresowanie jej osobą.

– Oni chyba nie mogą o to pytać... – zauważył któregoś dnia Bartek.

– Ale pytają – prychnęła Alicja. – Przecież nie będę kłamać i udawać, że Matylda nie istnieje.

Z każdym kolejnym tygodniem topniały nadzieje Alicji na znalezienie pracy. Topniały także oszczędności. Trzeba było zrezygnować z usług Gabrysi. Najgorsze było jednak to, że topniały również uczucia. Bartek coraz częściej narzekał na monotony jadłospis, w którym zamiast jego ukochanych owoców morza królowały teraz na stole pulpety z mizerią. Irytował go płacz dziecka wciąż domagającego się uwagi i zabawy. Coraz częściej zasłaniał się pracą, przesiadując wieczorami na uczelni albo korzystając z zaproszeń na sympozja,

konferencje, rauty. Po wieczorach przy winie, które spędzał kiedyś z Alicją, pozostało jedynie mgliste wspomnienie.

Alicja z początku nie zauważała jego braku. Oddalał się tak wolno, stopniowo, że niemal niezauważalnie. Ona pochłonięta była córką. Brak pracy rekompensowała sobie miłością Matyldy. Odnajdywała szczęście w drobnych przyjemnościach: kilkugodzinnych spacerach, zabawach, gotowaniu zupek. Matylda była wdzięcznym dzieckiem. Często się uśmiechała, wcześniej zaczęła gaworzyć, a krótko potem mówić. Nie sprawiała żadnych problemów. Alicja chuchała na nią i dmuchała, niczym na największy skarb. Z biegiem czasu urosło w niej przeświadczenie, że tak właśnie miało być. Bo przecież gdyby pracowała tak intensywnie jak kiedyś, ominęłyby ją te wszystkie najważniejsze momenty z życia córki: pierwsze słowa, pierwsze kroki, pierwszy całus.

Po dwóch latach jednak monotonia dni zaczęła Alicji doskwierać. Nie mogła się doczekać, aż Matylda skończy trzy lata i będzie mogła pójść do przedszkola, a Alicja w końcu do pracy – wszyscy jej powtarzali, że pracodawcy patrzą przychylniejszym okiem na matki, których dzieci są już nieco odchowane. Nie myślała już o galerii – te marzenia dawno wyblakły. Teraz pragnęła po prostu wyjść do ludzi. Mimo że od czasu do czasu wpadała do niej siostra albo jakaś koleżanka, to siedzenie w domu z dzieckiem coraz bardziej jej doskwierało. Rzadko zapraszała do siebie rodziców. Co prawda uwielbiali małą, a ojciec na jej punkcie wręcz oszalał, matka Alicji jednak za każdą wizytą dawała upust swojemu niezadowoleniu.

– Nie tak miało być – powtarzała za każdym razem. – Sama zobacz, do czego doprowadziłaś. Siedzisz w domu, zamiast bawić się na salonach. Jak można było być taką głupią? Zaprzepaścić taką karierę? Zmarnować talent?

Alicja puszczała te uwagi mimo uszu, chociaż gotowało się w niej za każdym razem, gdy to słyszała. Na szczęście wizyty rodziców były nie tylko rzadkie, ale i krótkie. Przyjeżdżali zazwyczaj wtedy, kiedy nie było Bartka. Co prawda żadne z nich nie powiedziało tego głośno, ale dało się wyczuć, że nie darzą partnera Alicji sympatią. Nigdy o niego nie pytali, nie interesowali się jego pracą, osiągnięciami. Nie pytali nawet o ich wspólne plany, o ślub. Zupełnie, jakby Bartek nie istniał.

Ale istniał. Teoretycznie wciąż byli razem, ale w rzeczywistości coraz rzadziej można go było spotkać. Często pracował do późna, a po powrocie przysypiał na kanapie przed telewizorem albo siedział przy biurku, pisząc jakiś artykuł lub czytając prace studentów. Weekendy także spędzał na uczelni, ponieważ prowadził grupę ze studiów zaocznych oraz dodatkowe kursy. Alicja coraz częściej łapała się na tym, że zazdrości Bartkowi wyjść do pracy, wyjazdów na konferencje, uczelnianych imprez. Coraz częściej także afiszowała swoje niezadowolenie, na co on odpowiadał tym samym. Tym bardziej więc uczepliła się myśli, że sytuacja ulegnie zmianie, gdy Matyllda pójdzie do przedszkola, a ona do pracy.

Kiedy więc nadszedł upragniony wrzesień i pierwszy dzień córki w przedszkolu, Alicja wieczorem otworzyła wino i samotnie wypła toast za czas, który miał nadejść. Planowała wreszcie zająć się sobą, pójść do kosmetyczki, fryzjera, kupić nowe ubrania, a następnie powysłać dokumenty aplikacyjne. Liczyła na to, że już od października lub listopada będzie mogła rozpocząć pracę.

Plan przesunął się najpierw o ponad miesiąc, gdy Matyllda po zaledwie tygodniu w przedszkolu złapała ospę i musiała siedzieć w domu, a następnie o kolejne miesiące, gdy okazało się, że przy obniżonej po chorobie odporności mała łapie wszelkie infekcje, a o to wśród dzieci nietrudno.

Alicja z ciężkim sercem odsunęła więc w czasie poszukiwania pracy i na wszelki wypadek zostawiła Matyldę w domu aż do marca. Niewiele to dało, bo ledwie mała zaczęła znów chodzić do przedszkola, po kilku dniach wróciła z niego z katarem.

– Wiosna to najgorszy okres, pełno wirusów – tłumaczyła lekarka rodzinna. – Jeśli ma pani możliwość, to lepiej przetrzymać ją w domu aż do lata.

Bartek narzekał, że to wina Alicji, ponieważ nieodpowiednio ubiera dziecko, nie aplikuje córce tak szeroko reklamowanych witamin, wspaniałych jogurtów i innych serków.

Zacząła więc aplikować, wierząc w to, że Matyllda, będąca okazem zdrowia w pierwszych latach życia, straciła odporność jedynie na chwilę. Zaprzyjaźniona lekarka utwierdzała ją w tym przekonaniu, przepisując

kolejne wynalazki, które dziecko w jej wieku „musi” przyjmować, by być zdrowe.

Tak mijały kolejne miesiące. Alicja, pochłonięta dbaniem o Matyldę, zapomniała o pracy i własnych potrzebach. Bartek coraz lepiej zarabiał, dlatego zdołała namówić go na wymianę okien, żeby zimą nie uciekało ciepło, na specjalny – jonizujący – nawilżacz powietrza, na odkurzacz, który zgodnie z obietnicą producenta miał pochłaniać najdrobniejsze cząsteczki kurzu i roztocza. Na wakacje wyjeżdżali nad morze, by mała nawdychała się jodu. Zawsze w to samo miejsce – do pensjonatu Pod Rybą we Władysławowie, ponieważ jego właściciele – jedyni w tamtym czasie – reklamowali się jako ci, którzy oferują swoim gościom nie tylko sterylne warunki pobytu, ale także ekologiczne jedzenie, co dla Alicji było o tyle ważne, że w pewnym momencie, za sprawą wizyty u homeopaty, zaczęła się doszukiwać przyczyny ciągłych przeziębień Matyldy w modyfikowanej żywności. I tak jak w domu przygotowywała dla niej potrawy z produktów zakupionych w ekologicznym sklepie, tak i na wakacjach pragnęła, aby w ten sposób zadbano o jadłospis jej córki. Zdrowie Matyldy było najważniejsze.

– Halo, proszę pani! – Głos konduktora wyrwał Alicję ze snu. Zaspanym wzrokiem zmierzyła intruza, zastanawiając się, gdzie się właściwie znajduje. – Bilety do kontroli.

– Bilety... – powtórzyła bezgłośnie, otrzepując z powiek resztki snu. Rozejrzała się po przedziale. Matylda siedziała oparta o okno i grała w grę na tablecie. Ten widok przywrócił Alicję do rzeczywistości.

– Przepraszam – szepnęła w kierunku mężczyzny. – Zamyśliłam się... Właściwie zasnęłam chyba. Gdzie ja mam bilety? – wymamrotała do siebie.

Pomna na ostrzeżenia Doroty na temat złodziei grasujących w pociągach, część pieniędzy trzymała w portfelu, część w kieszeni dżinsów, a kartę płatniczą ukryła w zasuwanej kieszonce plecaka Matyldy. W jedno z tych miejsc prawdopodobnie zawędrowały również bilety. Teraz jednak nie potrafiła sobie przypomnieć, w które.

– W kurtce – znudzonym głosem przypomniała Matylda.

Alicja sięgnęła do kieszeni wiszącej obok niej wiosennej czerwonej

kurtki i podziękowawszy córce, podała konduktorowi bilety. Kiedy wyszedł, schowała je do torebki.

– Lepszy masz już humor? – spytała Matyldę. Ta jednak wzruszyła tylko ramionami.

– Nie chcę tam jechać – powiedziała, nie odrywając wzroku od tabletu. – Nie znam tej pani.

– To twoja ciocia. Poznasz ją. Ja też ledwie ją pamiętam.

– Wołałabym jechać z tatą nad morze.

– Tłumaczyłam ci, że tata w tym roku nie może zabrać cię na wakacje, bo pracuje. Pojedziesz z nim na ferie.

– Już bym chciała, żeby były ferie. Nienawidzę wsi.

– Skąd wiesz? Nigdy tam nie byłaś.

– Bo wiem – wycedziła Matylda.

Alicja westchnęła. Nie miała siły przekonywać Matyldy, że będzie fajnie, ponieważ sama w to nie wierzyła. Uznała, że najlepiej przemilczeć ten temat. Przyjęła plan, w którym przemęczą się obydwie przez te trzy miesiące, ale w zamian czeka je nagroda: wzmocniona odporność Matyldy.

– Daleko jeszcze? – spytała Matylda, ziewając.

– Możesz się zdrzemnąć, obudzę cię. Za godzinę dojedziemy do Wrocławia, tam czeka nas przesiadka.

– Nie lubię pociągów. Wołałabym jechać samochodem. Z tatą.

– Ja też. – Alicja westchnęła smutno.

\*

Zmierzchało już, gdy dotarli do celu. Na dworcu w Brzegu przywitał je Piotr Stefański, znajomy ciotki. Był około sześćdziesięcioletnim roslym mężczyzną o miękkim spojrzeniu.

– Dziękuję, że pan po nas wyjechał – powiedziała Alicja, siadając z przodu. – Mówiłam cioci, że nie trzeba, mogłyśmy dojechać autobusem...

– Gdzie tam autobusem? – roześmiał się. – Autobusy o tej porze już u nas nie jeżdżą. Ostatni odchodził o szesnastej. Nawet gdyby jakimś cudem puścili kolejny, to i tak trudno by było wam dotrzeć. Do Józefiny z przystanku z trzy kilometry będzie. A dla mnie to żaden kłopot. Po

ładne dziewczyny to i do samego Wrocławia bym pojechał. – Puścił oczko. – Pani z Wrocławia?

– Z Warszawy.

– Ooo, piękne miasto, piękne. – Stefański z uznaniem pokręcił głową. Głos miał niski, nieco chrapliwy, ale przyjemny. – Z żoną tam byłem ostatnio w dziewięćdziesiątym pierwszym. Wycieczka z zakładu. I do Wilanowa my pojechali, pałac zwiedzili i Starówkę calusienką. Piękne czasy. Żona do dzisiaj wspomina, jak żeśmy bryczką nad samą Wisłę zawitali. Jeżdżą dalej te bryczki u was?

– Jeżdżą.

– A Zygmunt stoi?

– Stoi – przytaknęła Alicja.

– Znaczy się, nic się nie zmieniło.

Roześmiali się. Matylda z tyłu przytknęła nos do szyby, niezainteresowana rozmową. Chciało jej się spać. W pociągu, do którego się przesiadły we Wrocławiu, były twarde i niewygodne siedzenia. Próbowwała się zdrzemnąć, ale bezskutecznie. Nie chciała kłaść głowy na kolanach mamy, żeby nie okazać słabości. Wciąż afiszowała się ze swoim niezadowoleniem. Teraz zamykały jej się oczy.

Samochód jechał słabo oświetloną drogą. Stefański opowiadał o okolicy. Mijali pola i lasy. Matylda zasnęła.

– Dojechali – oświadczył Stefański, zwalniając, a po chwili zatrzymując samochód przed drewnianym domkiem, w którego oknach tliło się słabe światło.

– Matysia, wstawaj, jesteśmy. – Alicja rozpięła pasy i odwróciwszy się, delikatnie pogłaskała córkę po policzku. Matylda podniosła się, spojrzała nieprzytomnym wzrokiem, po czym znów położyła głowę na siedzeniu.

– Obudź się. Wychodzimy. Zaraz położę cię do łóżka – ponagliła Alicja. – Panie Piotrze, ile jestem winna? – spytała Stefańskiego, sięgając po portfel.

– Niby za co? – obruszył się mężczyzna, wyciągając z bagażnika walizki. – Przecie ja nie dla pieniędzy pojechał. – Roześmiał się.

– Wiem, ale i czas, i benzyna...

– A daj pani spokój. Dziecku cukierki pani kupi. O, pani Koperska!

– krzyknął w kierunku domu. – Dowiozłem panienki całe i zdrowe.

Alicja podążyła za jego wzrokiem. W uchylonych drzwiach stała drobna postać. Otulona ciemnym pledem, zeszła po kilku schodkach i otworzyła furtkę.

– Idzie na deszcz – powiedziała zamiast przywitania. – Chmury naszły, Księżycyca nie widać.

– Dobry wieczór. – Alicja ukloniła się. Matylda odruchowo chwyciła ją za rękę. – Matylda, przywitaj się z ciocią.

– Dzień dobry – mruknęła niewyraźnie Matylda.

– Wejdźcie do środka. Pietrek pomoże wnieść torby. Dużo tego nie macie – zauważyła. – Pietrek, herbatki z miodem się napijesz? Kolację dziewczynom naszykowałam, może i ty się dołączysz.

– Żeby mnie baba przechrzcila? Czeka pewnie w oknie, bo jej krzyżówki obiecałem przywieźć.

– No to leć. I pozdrów ją ode mnie. W tygodniu po jajka do was zajdę, to niech mi odłoży z dziesięć.

Stefański wtaszczył walizy do domu, pożegnał się i odjechał. Alicja pomachała mu z wdzięcznością. Ciotka Józefina nie oglądając się, podążyła do kuchni.

– Rozbierzcie się i usiądźcie do stołu – zaordynowała. – Zaraz podam kolację. Łazienka jest na prawo, pod schodami.

Alicja powiesiła kurtki na haczyku w przedsionku, a następnie bez słowa pociągnęła Matyldę za sobą do łazienki. Umyły ręce.

– Chcesz siusiu? – spytała.

– Nie – warknęła ze łzami w oczach Matylda.

Nie podobało jej się tu. Łazienka pod schodami, ciasna, z małą wanną, nad którą położone były dwa rzędy popękanych bladoniebieskich płytek, ani trochę nie przypominała tej w domu, gdzie przy wannie tłoczyły się zabawki, a różowe ręczniki pachniały i zachęcały do otulenia się nimi po kąpieli. Nie przypominała również tej z pensjonatu Pod Rybą, gdzie marmurowa podłoga lśniła, a prysznic z migoczącą kolorową nakładką zapraszał do zabawy i puszczania mydlanych baniek.

– Brzydko tu jest.

– Jest inaczej. Wcale nie brzydko. Inaczej. – Alicja nie traciła zimnej krwi.



– Brzydko.

– Herbata na stole! – Usłyszały głos ciotki.

Salon, a właściwie pokój gościnny, także nie był duży. Prowadziły do niego dwie pary drzwi. Jedne od strony przedpokoju, a drugie od strony sypialni ciotki. Ta z kolei połączona była drzwiami z kuchnią. Z kuchni natomiast można było przejść do przedpokoju. Alicja chciała powiedzieć Matyldzie, że w takim mieszkaniu można z powodzeniem biegać cały dzień w kółko, widząc jednak nieszczęśliwą minę córki, zrezygnowała z jakichkolwiek uwag.

Światło było przytłumione. Żyrandol sufitowy nie został włączony, a Alicja, mimo że nieprzyzwyczajona do mroku, nie miała odwagi poprosić ciotki o włączenie go. Jedyne światło dawała lampa stojąca przy wersalce oraz świeca paląca się na jednym z parapetów. Alicja dyskretnie rozejrzała się po wnętrzu. Nie było tu antyków, raczej wystrój z końca lat siedemdziesiątych. Jeden regał wypełniony książkami, trzydrzwiowa szafa, wersalka z kolorową kapą, sześciuosobowy stół z krzesłami, a pod jednym z okien mała ława oraz fotel przykryty zielonkawym kocem. Na podłodze leżał dywan o kolorze niegdyś zapewne brązowym, teraz ze starości już w wielu miejscach przetarty, beżowy. W oknach nie było typowych firanek. Zastępowały je zazdrostki przymocowane bezpośrednio do framug, dzięki czemu parapety mogły służyć jako półki. Nie były one jednak wypełnione kwiatami. Na jednym stały przeróżne gipsowe figurki – aniołki, pieski, słoniki, a drugim paląca się świeca. Jedyne kwiat, który Alicja dostrzegła, stał na ławie. Nie była jednak pewna, czy nie jest on sztuczny. Z daleka tak odbijał światło lampy, że liście zdawały się nienaturalnie błyszczące.

Stół przykryty białym obrusem już po chwili wypełnił się jedzeniem. Ciotka przygotowała i parówki na ciepło, i wędlinę, i jajka.

– Wszystko ma być zjedzone – pouczyła gości, siadając. –

A u mnie jedzenie swojskie, nie trzeba się bać.

– Ale my się nie boimy – wyrwało się Alicji.

Czuła się spięta. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale czuła się przy ciotce niczym uczennica na dywaniku u dyrektora. Nie знаła dobrze tej kobiety, lecz dzisiejsze spotkanie z nią przyniosło garść rozczarowania.

Oczekiwała, że ciotka będzie bardziej wylewna, przytuli je na powitanie, ucieszy się, zacznie pytać co u rodziny... Jak to starsza pani, której samotność daje się we znaki. Tymczasem ciotka ani nie przytuliła, ani nie okazała wylewnej radości. Siedziała teraz naprzeciwko, czekając, aż zjedzą, wpatrując się w nie wzrokiem byстрыm, przenikliwym i – może to się Alicji tylko zdawało – wyczekującym. Nie zaczynała żadnego tematu, a na pytania odpowiadała krótko i zdawkowo. Jakby tylko czekała, aż skończą jeść i pójdą spać. Nawet gdy po skończonej kolacji Alicja zaproponowała, że sprzątnie ze stołu i pozmywa, ciotka tonem nieznoszącym sprzeciwu zdecydowała, że sama się tym zajmie.

– Ty, kochana, musisz sobie teraz odpocząć. Późno już, a podróż była męcząca. Tam na górze macie przyszykowane spanie. W razie gdyby było wam zimno, to w szafie jest koc.

Na piętrze znajdowało się tylko jedno pomieszczenie. Był to sporych rozmiarów pokój z oknami wychodzącymi na dwie strony domu. Po środku królował okrągły stół przystrojony wydzierganą ręcznie serwetą. Po lewej stronie od wejścia stała olbrzymia, dębowa szafa, a pod oknem na wprost drzwi – niewielkie biurko. W pokoju znajdowały się dwa wąskie łóżka, ustawione jedno za drugim pod ścianą, której skos spływał aż do podłogi. Pod drugim oknem stało kolejne, większe biurko, na którym piętrzyły się książki i poszarzałe teczki na dokumenty. Nieopodal Alicja dostrzegła lustro – ustawione na podłodze wysokie zwierciadło, w którym z powodzeniem można by obejrzeć całą sylwetkę. Niestety, było na tyle zmatowiałe, że odbijało zaledwie kontury postaci.

– Mamo, tu śmierdzi – zauważyła kwaśno Matylda, rzucając swój mały, różowy plecak na jedno z łóżek.

– Nie mów tak – zganiła córkę Alicja. – Nie śmierdzi. Pachnie starością. Starzy ludzie w starych domach tak mają, to specyficzny zapach, ale nie smród, nie wolno tak mówić.

– Śmierdzi – jęknęła pod nosem niezadowolona Matylda.

– Uchylę okno. Przyniosę ci piżamę. Na fotelu ciocia położyła ręczniki, weź jeden i idź się umyć.

– Nie będę się myła. – Matylda runęła na łóżko. – Nie chcę tu być.

– Dobrze, jutro się umyjesz. Rozbierz się tylko i śpij, zaraz

przyniosę nasze rzeczy.

Alicja stanęła u szczytu schodów, nasłuchując. Ciotka skończyła krzątać się po kuchni. Cisza, która ogarnęła dom, była wprost niewiarygodna. W warszawskim mieszkaniu nigdy czegoś takiego nie doświadczała. Nawet jeśli u niej była cisza, to wciąż dochodziły dźwięki z innych mieszkań: a to telewizor, a to strzępki rozmów, a to odgłosy zamykanych drzwi czy spuszczonej wody w toalecie. W melodii tych dźwięków zawsze zasypiała, a kiedy budziła się, dochodziły inne: szum przejeżdżających ulicą samochodów, odgłos jeżdżącej w kamienicy starej windy, szczekanie psów wybiegających na spacer, pokrzykiwania śmieciarzy, którzy zawsze denerwowali się, gdy ktoś zastawił samochodem śmietnik.

Dźwięki towarzyszyły Alicji od zawsze, dlatego teraz, w domu ciotki, nawet miarowe stukanie wiszącego w salonie zegara, zdawało się nienaturalne i złowrogie. Cisza była tak obezwładniająca, że powodowała uczucie niepokoju. Schodząc po schodach, Alicja drżała przy każdym, nawet najmniejszym skrzypnięciu deski, martwiąc się, czy nie narobi zbyt dużego hałasu. Postanowiła pójść śladem Matyldy i przełożyć kąpiel na rano. Po podróży czuła się nieświeża, mimo to myśli o puszczaniu wody i hałasowaniu w łazience wydała jej się zbyt brutalna w obliczu zatopionego w ciszy domu. Zrezygnowała nawet z pomysłu wnoszenia ciężkich waliz na górę. Przechodząc do przedpokoju na palcach, wciąż nasłuchiwała, przerażona wszechobecną ciszą. Nagle zaskrzypiała podłoga w sypialni ciotki i dało się usłyszeć kroki. Alicja aż podskoczyła, nieruchomiejąc przy walizce. Ciotka pociągnęła dwa razy nosem, odchrząknęła, aż w końcu do uszu Alicji dobiegł dźwięk skrzypiącej sprężyny.

Po chwili Alicja rozsunęła walizki i w popłochu, korzystając z poświaty, jaką dawał wpadający przez okienko w drzwiach frontowych Księżyc, wyszukała piżamy i kosmetyczkę. Następnie zasunęła walizy i z bijącym sercem, wciąż na palcach, podążyła w stronę schodów. W sypialni ciotki zaległa cisza. Znów jedynym dźwiękiem domu stał się tykający w salonie zegar.

Alicja dotarła do pokoju na górze i zamknęła za sobą drzwi. Robiła to powoli, modląc się w duchu, by nie skrzypiały.

– Zwariuję tu – wyszeptała do siebie, spocona. – Nie wytrzymam trzech miesięcy.

Matylda już spała. W ubraniu, leżąc w poprzek łóżka, oddychała lekko i spokojnie. Alicja przykryła ją białą kołdrą i ucałowała w policzek. Przez chwilę przypatrywała się córce z czułością. Potem uchyliła okno, zgasiła światło i najciszej jak mogła przebrała się w piżamę, a następnie wsunęła się pod kołdrę na drugim łóżku. Poduszka była miękka, pachniała krochmalem.

\*

Chłód wygonił Alicję z łóżka. Za oknem było szaro. Padało. Deszcz zacinał jednostajnie, rysując na szybie rozmazane wzory. Zamknąwszy okno, wróciła do zimnego łóżka. Matylda spała odwrócona do ściany. Włosy przykrywały jej twarz, jedna noga wystawała za łóżko. Alicja przez chwilę miała ochotę położyć się obok niej i przytulić do ciepłego, rozgrzanego nocą ciała. Ale mogłaby ją obudzić, a przecież sama miała ochotę jeszcze z godzinę pospać. Zwinęła się w kłębek, podkulając nogi. Tak było znacznie cieplej. Żałowała, że zostawiła okno otwarte na całą noc. Jeszcze tego brakowało, żeby Matylda, przyjechawszy tu, aby nabrać odporności, rozchorowała się już pierwszego dnia.

Przypomniała sobie o leżącym w szafie kocu. Niechętnie wyszła spod kołdry i otworzyła ciężkie dębowe drzwi. Powiało naftaliną. Alicja skrzywiła się i spojrzała na córkę. Śpi, nie poczuje. Wyjęła koc i delikatnie przykryła nim Matyldę, uważając, aby wystająca noga także została okryta.

Wracając do swojego łóżka, chwyciła leżący na stole telefon. Poprzedniego wieczoru zapomniała nastawić budzik, teraz chciała ustawić go tak, by zabręczał o dziewiątej. Położywszy się z powrotem, leniwie spojrzała na wyświetlacz komórki. Dwunasta dwadzieścia trzy. Z niedowierzaniem przybliżyła ekranik do twarzy. Dwunasta dwadzieścia trzy.

– O Boże! Wpół do pierwszej! – krzyknęła, zrywając się z łóżka. – Wpół do pierwszej! Matylda!

Matylda usiadła na łóżku, wpatrując się w matkę nieprzytomnym

wzrokiem. Alicja zakładała w pośpiechu spodnie i szukała rzuconej gdzieś niedbale poprzedniej nocy bluzki. Nagle stanęła w bezruchu, oddychając ciężko.

– Przecież nigdzie się nie spieszymy – rzuciła ni to do siebie, ni to do Matyldy. – Nigdzie się nie spieszymy...

– To co, mogę dalej spać?

– Co to, to nie – odparła Alicja nieco już spokojniej i usiadła na łóżku. Rozejrzała się po pokoju. W świetle dnia wyglądał na jeszcze większy niż wczoraj. Pełno tu było książek, które leżały nie tylko na jednym z biurków, ale także szafie i komodzie. Kolejne stosy piętrzyły się na podłodze pomiędzy sekretarzykiem a lustrem. Podobnie rzecz się miała z obrazami. Niektóre wisiały na ścianach, inne stały na meblach oparte o wazony lub puste doniczki. Było ich naprawdę dużo, większość stanowiły obrazy przedstawiające świętych, ale były wśród nich i takie, które pokazywały nieco kiczowate widoczki wiejskie lub martwą naturę.

Kiedy zeszły na dół, Alicję znów uderzyła wszechogarniająca cisza. Ciotki nie było. Na kuchennym stole leżała kartka z informacją, iż na dziewczyny czeka śniadanie w postaci kanapek w lodówce oraz obiad w garnkach stojących na kuchni. Józefina miała wrócić późnym popołudniem.

Alicja odetchnęła z ulgą. Ucieszyła się, że są same w domu i bez skrępowania mogą hałasować w łazience, biorąc prysznic czy spuszczać wodę.

Zajrzała do garnków. W jednym znajdowały się obrane ziemniaki, które wystarczyło ugotować, w drugim mięso w sosie.

– Te kanapki są chyba wczorajsze – zauważyła kwaśno Matylda, gdy w końcu, po porannej toalecie, usiadły do stołu.

Alicja nie skomentowała słów córki. Zaciekawiona rozglądała się po kuchni. Głównym meblem był tu biały kredens stojący na prawo od okna. Obok drzwi do sypialni ciotki postawiono kuchenkę na węgiel, a przy niej pogrzebacz i wiadro. Dalej były drzwi do przedpokoju i kolejna ściana, tym razem z szafką, w której zamontowany był zlewozmywak. O ile szafka wyglądała na dosyć współczesną, o tyle emaliowany zlewozmywak być może pamiętał jeszcze czasy wojny.

Stół, przy którym jadły, pokryty był ceratą w bladoczerwoną

kratkę. Nie było przy nim krzesel, ale niewygodne stołki. Na brzegu stołu, pod oknem, a także na parapecie i wszystkich dostępnych kuchennych blatach zieleniły się sadzonki. Poutykane były do niewielkich plastikowych pojemników po serkach homogenizowanych, śmietanie i jogurtach. Tu, w przeciwieństwie do reszty domu, pełno było roślin.

– Co będziemy robić? – spytała Matylda znudzonym głosem.

– Na razie siedzimy w domu, bo pada. Ale kiedy przestanie, może wybierzemy się na spacer?

– W błocie?

– Mamy kalosze.

– Nie lubię błota. Mogę iść na górę i pograć na tablecie?

Alicja skrzywiła się na to pytanie. Rzadko pozwalała córce grać. Tym razem jednak nie miała zbyt wielu pomysłów na to, co mogłyby robić. Rysować? Czytać? Matylda na pewno kręciłaby nosem na takie propozycje, a Alicji zależało na tym, aby przestała marudzić.

– Dobrze. Dopóki pada, możesz pograć. Ale potem wyjdziemy na spacer.

Matylda kiwnęła głową. Odchodząc od stołu, potrąciła stojącą na podłodze skrzynkę z sadzonkami.

– Dlaczego tu jest tyle kwiatków? – spytała poirytowana.

– Nie wiem. Widocznie tu mają najlepsze światło. To młode rośliny, być może ciocia przesadzi je wkrótce do ogródka. Przesuń tę skrzyneczkę na miejsce. I na przyszłość uważaj, jak chodzisz. Jesteśmy tu gośćmi.

Matylda wzruszyła ramionami i wyszła z kuchni. Zadzwoił telefon. Alicja odetchnęła radośnie, widząc, że na wyświetlaczu pokazała się Dorota.

– Cześć, siostra! Miałaś dzwonić jak dojedziesz!

– Przepraszam, zapomniałam. Wysłałam do mamy SMS-a, że dotarliśmy. Nie przekazała ci?

– Nie rozmawiałyśmy jeszcze. No mów, jak tam? Możesz gadać w ogóle?

– Mogę. Jestem sama. Nie wiem, co ci powiedzieć... Jest... dziwnie. Nie wiem, czy tu wytrzymam. Miałam taką myśl, żeby wziąć

walizy, nierozpakowane jeszcze, i wracać.

– Ale dlaczego? Ciotka nie jest miła?

– Nie można powiedzieć, że nie jest miła, ale miłością też nie tryska. Spodziewałam się czegoś innego, a prawdę mówiąc, czuję się trochę jak intruz. Przyjęła nas, owszem, nawet kolację zrobiła, obiad na dzisiaj, ale... no wiesz, brakowało mi takich zwyczajowych uprzejmości. Gadałyśmy o bzdurach, głównie o podróży albo o pogodzie. A dzisiaj w ogóle jej nie ma. Może chce mi przez to zasugerować, że nie jesteśmy mile widziane...

– Daj spokój, przecież inaczej by was nie zapraszała... – tłumaczyła racjonalnie Dorota.

– Sama się wprosiłam, nie pamiętasz?

– Mogła odmówić, powiedzieć, że wyjeżdża, cokolwiek. Ale się zgodziła, więc ciesz się, że możesz tam być. Powiedz lepiej, jak ta cała wieś?

– Jeszcze nie wiem. Jak wczoraj przyjechałyśmy, to już było ciemno, a dzisiaj z kolei pada deszcz. Siedzimy w domu. Jedyne przez okna mogłam obejrzeć okolicę. I nie jest ciekawie...

– Bo co? Bo błoto? – Dorota się roześmiała. – Mówiłam, żebyś wzięła kalosze.

– Wzięłam. Nie o błoto chodzi.

– A o co?

– Ogólnie. Inaczej wyobrażałam sobie wieś. Myślałam, że tu będzie zielono, ładnie. Że polany, łąki, kwiaty...

– Pola malowane zbożem rozmaitem, wyłacane pszenicą, posrebrzane żytem... – zachichotała Dorota.

– Żebyś wiedziała. Tak właśnie to sobie wyobrażałam – obruszyła się Alicja. – Tymczasem pole, owszem, widziałam z okna sypialni na górze, ale nie złoci się, raczej nic na nim nie rośnie. Jest czarne i przygnębiające. Z drugiego okna też rozciąga się niezbyt ciekawy widok. Coś w rodzaju zaniedbanego trawnika ciągnącego się aż do kolejnych zabudowań, które wyglądają jak zapuszczone gospodarstwo z czerwonej cegły, nic romantycznego, mówię ci. A las, który tu rośnie, to właściwie zagajnik. Jest droga, ale nie asfaltowa, szara. A tu, z kuchni, mam widok na ogródek ciotki, ale nic w nim nie rośnie. Gdybym miała

choć jedną dziesiątą takiego ogródka, na każdym jego centymetrze rosłyby kwiaty i krzewy ozdobne.

– A ona nic nie posadziła?

– Nic nie widać. Ale są grządki, więc może coś kiełkuje, albo powsadza rośliny, które hoduje w kuchni. Pełno tu tego.

– Kiedy wyjdzie słońce, to poczujesz się lepiej... – pocieszyła Dorota.

– Może... Na razie nie wiem, co ze sobą zrobić. W tym domu panuje przytłaczająca cisza, aż w uszach dzwoni. Nie mam pomysłów, co robić w taką pogodę. W Warszawie zawsze potrafiłam znaleźć sobie zajęcie, a to prasowanie, a to szkice. Tutaj siedzę jak ten osioł...

– To dopiero pierwszy dzień! Musisz się zaaklimatyzować. Porozmawiaj z ciotką, może w tym ogródku trzeba pomóc? Może ona chciałaby tam zasadzić kwiaty, tylko nie ma na to siły, stara jest...

– Oho – Alicja ściszyła głos. – Chyba wróciła, muszę kończyć.

– To pa! Trzymaj się!

Alicja poczuła podenerwowanie. Nie zdążyła jeszcze przenieść z przedsiönka walizek, które stały tam od wczoraj, i teraz wyobraziła sobie, że ciotka złorzeczy pod nosem na jej lenistwo i brak zorganizowania. Szybko umyła talerz po kanapkach i posprzątała okruszki ze stołu. Było jej wstyd, że wstała tak późno i nie chciała ujawniać, że dopiero co zjadły śniadanie.

– Zmokłam jak lis – powiedziała gromko ciotka, wchodząc do kuchni.

Alicja pokiwała głową. Nie wiedziała, jak mokną lisy.

– Ale wszystko załatwiłam i jestem wcześniej. Nawet udało mi się dostać ryby na jutro, więc na obiad będziemy mieć pstrągi.

– Ale ciociu, tego mięsa wystarczy do soboty. – Alicja wskazała brodą na garnek stojący na kuchni.

– Do lodówki się wstawi, w sosie jest, dotrzyma do soboty. Jutro przecie post.

Alicja spojrzała na nią zdumiona.

– A co to za święto? – spytała.

– Jak to? Piątek! Wy w piątki nie pościecie? – Tym razem ciotka wyglądała na zaskoczoną.



- Nie. Pierwsze słyszę.
- A ty niewierząca?
- Wierząca... – wybąkała Alicja. – Ale niepraktykująca.

Przypomniała sobie wiszące na ścianach święte obrazki i nagle wszystko zaczęło jej się układać. Trafiła do domu dewotki, która z samego rana biegnie do kościoła, wymyśla piątkowe posty, a niebawem zapewne zechce ją i Matyldę nawracać. Podobnie jak babcia, która na starość zrobiła się bardzo bogobojna, wszędzie chodziła z różańcem, a na jej szafce nocnej zawsze leżała nie tylko Biblia, ale i małe książeczki z różnorakimi nowennami.

– Niepraktykująca – powtórzyła Józefina, wkładając ryby do lodówki. – A cóż to w ogóle znaczy?

– No, że... rzadko chodzę do kościoła. Niestety nie codziennie – próbowała wytłumaczyć się Alicja. Co niedzielę też nie – dodała w myślach, mając nadzieję, że ciotka nie będzie drażnić tematu. Nie chciałyby jej podpadać wyznaniem, iż bywa w świątyni tylko od wielkiego dzwonu, w święta.

– Aha. – Ciotka przyjęła to do wiadomości. – Może napijemy się kawy?

– Bardzo chętnie. Nie piłam jeszcze, nie wiedziałam, jak zagotować wodę.

– Na kuchni stoi czajnik.

– Zauważyłam. Ale nie potrafiłabym rozpaść kuchenki.

– Nic trudnego. Wystarczy trochę papieru na podpałkę.

Ciotka chwyciła zapalki i zademonstrowała. Już po chwili pojawił się ogień.

– Ziemniaki też od razu wstawić? – spytała.

– Nie, dla nas za wcześnie, chyba, że ciocia...

– Ja nie będę jadła. Mam jeszcze buraka z wczoraj.

– Buraka? – Alicja spojrzała na ciotkę zdziwiona.

Przeszły do salonu. Ciotka wyjęła z szafki kruche ciasteczka i postawiła na stole. W pokoju unosił się aromat kawy. Świeżo zmielonej, fusiastej. Alicja u siebie piła rozpuszczalną, nie pamiętała nawet, jak mocno może pachnieć kawa.

– A gdzie mała? – zagadnęła ciotka.

– Na górze. Bawi się.

– Szkoda, że dzisiaj pada. Pewnie biedactwo miałoby ochotę pobiegać.

– Pewnie tak...

Rozmowa się nie kleiła. Przez chwilę siedziały w ciszy, pijąc kawę i pogryzając ciasteczka. W końcu Alicja zebrała się na odwagę, by poruszyć dręczący ją temat.

– Ciociu... eee – zająknęła się i odchrząknęła. – Mam nadzieję, że nie jesteś zła, że przyjechałyśmy...

– Zła?

– No, że tak zwałyśmy ci się na głowę. Mało się znamy, a ja nagle zadzwoniłam. Na pewno niełatwo byłoby ci odmówić. Niezręcznie się czuję. Jeśli nie masz ochoty na towarzystwo, to powiedz, proszę. Naprawdę, głupio mi, że w taki sposób szukałam kąta na lato, ale nie miałam wyjścia.

– Dlaczego miałabym być zła? Dobrze, że zadzwoniłaś. Dziecko na wsi szybko odżyje, nabierze rumieńców, bo bledziutka teraz...

– Na pewno nie przeszkadzamy? – upewniała się Alicja. – Bo odniosłam wrażenie, że nie jesteś zadowolona... – wykrztusiła. – Naprawdę, możesz mi powiedzieć, jestem dorosła, nie obrażę się. Nie musimy tu przecież być z Matyldą do końca lata, możemy wrócić w każdej chwili. Jeśli tylko uznasz, że...

– Och, moja droga, odniosłaś złe wrażenie – przerwała jej ciotka. – Owszem, może nie jestem zbyt wylewna, ale to dlatego, że od śmierci Stasia nie przyjmuję gości, nikt mnie nie odwiedza, nie licząc sąsiadek. Nikogo tu nie było na dłużej niż kilka godzin. Nie mam wprawy w zabawianiu gości... Co nie znaczy, że się nie cieszę z waszego przyjazdu. Czujcie się jak u siebie w domu.

Alicja odetchnęła głośno. Kamień spadł jej z serca.

– Ale skoro już o tym mowa... – kontynuowała ciotka. – Obydwie jesteśmy dorosłe... No cóż... Chcę powiedzieć, że mam trochę swoich zajęć...

– Ale ja chętnie pomogę! – wyrwało się Alicji.

– Nie, nie. To takie MOJE zajęcia – podkreśliła ciotka. – Chodzi o to, że hmm... mam pewne... zobowiązania towarzyskie, które

powstały, zanim dowiedziałam się o waszym przyjeździe, dlatego czasami po prostu nie będzie mnie tu, na miejscu...

– Ciociu, nie ma żadnego problemu! Nami się nie przejmuj. Damy sobie radę. Broń Boże nic nam nie gotuj. To ja będę ci gotować i sprzątać. I absolutnie nie zmieniaj swoich planów dlatego że przyjechałyśmy.

– Za dwa tygodnie chciałam wyjechać na kilka dni...

– Popilnujemy domu. Nakarmimy kury, kaczki, co tam masz.

– Nic nie hoduję. – Ciotka parsknęła śmiechem. – Ale roślinki przyda się podlewać.

– Podlejemy.

Zadzwonił telefon. Alicja aż podskoczyła na donośny dźwięk aparatu stacjonarnego. Ciotka dostojnym krokiem podeszła do stoliczka i podniosła czerwoną słuchawkę.

– Alooo? – powiedziała, przeciągając głoski. – Tak? Aha... aha... rozumiem. Jak najbardziej. Tak, tak. Na poniedziałek, aha. Dobrze, dobrze. Paaa!

Józefina zanotowała coś w kajeciku leżącym przy telefonie, po czym wyrwała kartkę i schowała ją do kieszeni.

– O czym to myśmy... – powiedziała, wracając do stołu. – Ach, może opowiesz mi coś o sobie, drogie dziecko? Pracujesz?

– Niestety nie. Matyllda wciąż wymaga mojej opieki. Do szkoły chodzi w kratkę przez te wszystkie przeziębienia... Ale dorabiam sobie na umowy o dzieło. Rysuję ilustracje do książek dla dzieci. Nieźle płatna praca, tyle że zlecenia są niezwykle rzadko...

– Umiesz rysować?

– Studiowałam malarstwo.

– Och! – Józefina klasnęła, a w jej oczach pojawił się błysk. – Mój świętej pamięci Stasiulek też malował. On samouk, ale zdolny jak sam diabeł. Ludzie go cenili. Za dnia pracował na gospodarstwie, ale każdą wolną chwilę poświęcał talentowi. Co ja się z nim miałam, gdy wena na niego spadała... Czasem zapomniał spać, czasem nic nie jadł, tylko malował. Uwielbiał Piłsudskiego. O proszę – Józefina wstała i zatoczyła ręką – tu marszałek ma koniu, tu pod gruszą, tu zamyślony...

Alicja podążyła wzrokiem. Rzeczywiście, na kilku obrazach

rysowała się postać mężczyzny w mundurze. Jednak zaburzone proporcje jego ciała, w którym dominowało tułowie, wskazywały raczej na rękę niewprawnego amatora niż szanowanego, miejscowego artysty.

– Lubił też zwierzynę łowną – kontynuowała Józefina, ocierając niewidzialną łzę. – Te wszystkie sarny, dziki, jelenie. Tu wisi jeden obraz, reszta stoi w komórce, nie było już miejsca na ścianach.

Alicja bez słowa podeszła do obrazu. Podobnie jak wcześniej u człowieka, tak i tu, u sarny, widoczne były niedociągnięcia warsztatu, których nie dałoby się wytłumaczyć artystyczną wizją. Zwierzę wydawało się płaskie, co było o tyle dziwne, że w tle majaczyła ciekawie zarysowana perspektywa.

– No i widoczki, pejzaże – ciągnęła ciotka. – To co prawda rzadziej, ale zawsze na żywo, że tak powiem. Znajdował sobie miejsce, chodził tam codziennie ze sztalugą i malował. A sztalugę sam skonstruował – dodała z dumą. – Ten tutaj – obróciła się i wskazała na obraz nieopodal drzwi – powstał na zamówienie młodej Kasi Piechniczki, wnuczki młynarza. Kazała namalować młyn, bo konający dziadek ciągle go wspominał. Chciała mu rodzina zrobić przyjemność. To pojechał Stasiulek, ale że akurat żniwa były, to też nie miał za dużo czasu. Przed świtem wstawał, jechał, malował, potem prosto na pole. I zeszło mu się z tym, aż Piechnik umarł i obrazu nie zobaczył. A Kaśka się obraziła i nie chciała płacić. No to się ostał ten młyn u nas.

Alicja wpatrywała się w rzeczony obraz z niedowierzaniem. Był piękny. Zdawało się, że rzeka płynie, a koło z młyna z impetem rozbryzguje wodę. Na pierwszym planie trawa przecierana gdzieniegdzie ciemnymi plamami ziemi. W oddali złote pola, kilka drzew i to niebo, tak lekkie, mieniące się porannymi promykami słońca.

– Niesamowite! – westchnęła z zachwytem Alicja. Zerknęła na pejzaż wiszący obok. Ten też zapierał dech w piersiach. Czowała się porażona. Wydedukowała, że samorodny talent wuja objawiał się w malowaniu plenerów, na które patrzył bezpośrednio. Gdy próbował przenieść na płótno obrazy swojej wyobraźni, pędzle płatały figle.

– No patrz ją! – krzyknęła nagle ciotka, zerkając przez okno. – Przecież dałam jej parasolkę. Gdzie ją posiała? Lezie teraz jak ta zmokła kura!

Alicja podeszła do okna. W strugach deszczu, powłócząc nogami, szła ubrana na czarno kobieta. Lekko przygarbiona, o ciemnych, choć pokrytych siwymi pasmami włosach, wyglądała niczym zjawą znikająca powoli za zakrętem.

– Kto to? – spytała się Alicja.

– Czarna Maria. Bezdomna. Kręci się tu już od jakichś dwóch lat. Niemowa. No – pokręciła głową – niezupełnie, bo swoje imię akurat często powtarza. W marcu dałam jej parasolkę, gdzie już ją przepuściła? – Józefina ostatnie zdanie zamruczała bardziej do siebie, niż do Alicji.

– Bezdomna? Nie chce iść do noclegowni?

– A kto ją tam wie. – Józefina wzruszyła ramionami. – U nas co chwila jakiś bezdomny, a to człowiek, a to pies się przybłąka. Przychodzą i odchodzą. Ta już długo po okolicznych wsiach się błąka, może jej u nas dobrze... Ludzie niebogaci, ale zawsze ktoś poratuje kawałkiem chleba, mlekiem... Ubrania czarne jej dają, bo mniej brudzące.

– Ale przecież musi gdzieś spać. Mówi ciocia, że od dwóch lat już tu chodzi... Latem nie ma problemu, ale jesienią, zimą?

– No, będzie już ze dwa lata, jak się pojawiła. Ano, gdzie śpi? Różnie. Zimą to ją proboszcz przygarnia. Ma na plebanii dwa pokoje gościnne. Ale kiedy tylko cieplej się zrobi, to Czarna Maria zaraz ucieka do Biblioteki. Tam jej chyba najlepiej. I towarzystwa nie ma. Mało kto teraz za książkami chodzi.

– A bibliotekarka?

– Bibliotekarka? – Ciotka parsknęła śmiechem. – To nie taka prawdziwa biblioteka, ino dom, który stoi pusty. Od wojny nie widać właścicieli, pewnie już nie żyją... Kiedyś Rudzki remont u siebie robił, książek się chciał pozbyć, ale szkoda mu było. On jeszcze z tych, co uczeni byli, że książek się nie wyrzuca. To zaniósł do tego domu i tak to się zaczęło. Każdy znosił. I każdy może taką książkę wziąć... Chociaż chętnych jakoś nie ma. – Zaśmiała się gorzko. – Sołtys kazał tam jednego roku regały, półki z drewna pobudować, żeby jakoś te książki pomieścić. Wcześniej leżały na ziemi. Teraz już elegancko, ludzie się złożyli i jest biblioteka. Z myślą o dzieciach powstała, tak mówią. Ale żeby dzieciaki rzeczywiście do tej biblioteki prowadzali to nie

widziałam. Elektryczności tam nie ma, okna zabite dechami, ale Czarna Maria sobie upodobała. Nikt jej zresztą nie wygania. Może ona jedna korzysta z tych książek... Przynajmniej się nie marnują.

– Nuuudzi mi się. – Jęcząca Matylda zeszła z góry, przerywając rozmowę.

– Poczytaj – zaproponowała Alicja.

– Nie chcę.

– Pobawimy się w słówka.

– E tam. To nudne.

– Ja mam dla ciebie zajęcie, młoda damo. – Ciotka podeszła do kredensu. – Masz tu koraliki, będziesz nawlekać. Do obiadu ma być zrobione.

Kategoryczny ton głosu Józefiny sprawił, że Matylda bez słowa wzięła pudełeczko.

– Pomożesz mi? – Spojrzała błagalnym wzrokiem na Alicję.

– Oczywiście.

– A co to, nawlekać koraliki sama nie potrafisz? – zagrzmiała Józefina, szukając w szufladach żyłki. – Kto to widział, żeby taka duża dziewczyna...

– Potrafię – wtrąciła Matylda obrażonym głosem.

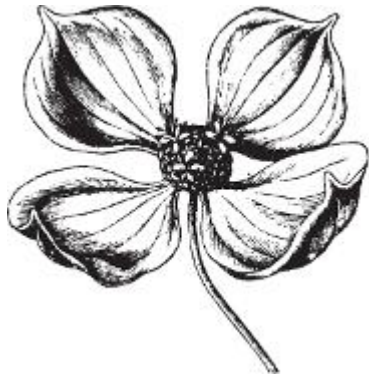
– No to proszę bardzo, nawlekaj. A ja idę do piwnicy po ogórki do obiadu.

– To ja przyniosę – poderwała się Alicja.

– O nie! – Ciotka powstrzymała ją gestem dłoni. – Do piwnicy wstęp wzbroniony, to moje królestwo. Mam tam taki bałagan, że jeszcze byś się o coś potknęła, złamała nogę i tyle bym miała z ciebie pożytku. Lepiej ziemniaki wstaw, ogień już umiesz rozpalić.

Alicja przytaknęła głową. Wychodząc do kuchni, kątem oka zauważyła, jak ciotka wyciąga z kredensu klucz do piwnicy. Kiedy do niej zeszła, zamknęła za sobą drzwi.

– Mamo – załkała przytłumionym głosem Matylda. – Ja nie chcę tu być.



## *Rozdział 4*



Sklep U Wojtaszka był jednym z dwóch sklepów spożywczych we wsi. W przeciwieństwie jednak od tego drugiego (zwanego marketem), umiejscowionego nieopodal kościoła, na terenie, który sołtys nazywał dumnie Rynkiem, marząc, że kiedyś wieś uzyska prawa miejskie, U Wojtaszka zachował swój prowincjonalny charakter. Nie było tu koszyków ani kasjerki. Przy ladzie stała Wojtaszkowa, która na zmianę z córką obsługiwała klientów. A tych nigdy nie brakowało. Mimo że w sklepie był bardzo mały wybór produktów, to schodziło niemal wszystko – od proszku do prania po wina. Wojtaszkowa знаła swoich sąsiadów i wiedziała, czego potrzebują, co lubią, a co byłoby dla nich za drogie. Uwielbiano ją także za to, że wciąż – chociaż ganiona przez męża – prowadziła zeszyt, w którym zapisywała dłużników. Można więc było od czasu do czasu kupić coś mimo braku pieniędzy, a po wypłacie uregulować dług. Zdarzali się, owszem, tacy, którzy zwlekali z oddaniem pieniędzy i wówczas robili zakupy w sklepie na Rynku. Szybko jednak wracali do Wojtaszków, bo tylko tu można było bez skrupowania poplotkować i napić się piwa w towarzystwie najlepszych przyjaciół. O ile kobiety rzadko korzystały z tej możliwości, zadowolając się rozmowami w środku, o tyle mężczyźni chętnie przysiadali latem na plastikowych krzeselkach ustawionych przy białym stoliku pod oklapłym już nieco parasolem. Nigdy nie zdarzało się tu pijaństwo czy awantury. Wojtaszkowa trzymała się bowiem odgórnej zasady, mówiącej że „osobom nietrzeźwym alkoholu nie sprzedajemy”. Co innego jej córka. Młoda Małgorzata nieraz przymykała oko na słaniających się imprezowiczów ze wsi. Doliczała do rachunku swoją marżę, ciesząc się z łatwego zarobku. Mało kto orientował się, że cena



została podwyższona, a jeśli nawet widział, że Małgorzata dolicza dwa złote, milczał, bojąc się, że jeśli on zauważy pomyłkę, ona również zorientuje się we własnej i wskaże powieszoną przez matkę kartkę „nietrzeźwym alkoholu nie sprzedajemy”...

Zbliżało się południe, kiedy komendant Grzelak z nosem zatopionym w lekturze szedł powolnym krokiem w kierunku sklepu U Wojtaszka. Zamierzał kupić gazowaną wodę mineralną, ponieważ uznał, że najprostszym sposobem pozbycia się brzucha będzie oszukiwanie żołądka bąbelkami. Woda nie tuczy, a przynajmniej przez chwilę poczuje się pełny. Byle do obiadu wytrzymać bez przekąsek. Na drugie śniadanie miał zaplanowane jabłko, które zamierzał zjeść o trzynastej, ale nie wytrzymał i rzucił się na nie już przed jedenastą. Wyrzuty sumienia nie pozwalały mu sięgnąć po kolejne wcześniej niż o drugiej. Woda była najlepszym rozwiązaniem.

Zbliżając się do sklepu, nieomal runął jak długi, nie zauważywszy krawężnika.

– Gieniuś, ty lepiej patrz pod nogi, bo cię te książki zabiją! – zarechotał Wojtaszek wynoszący właśnie na zewnątrz puste skrzynki. Zawtórował mu gromki śmiech kilku młodych mężczyzn, którzy stali pod sklepem.

– A co to czyta pan komendant? – zainteresował się wesoło jeden z nich. – Pewnie jakiś romans, skoro taki zamyślony...

– No, harlequinów się zachciewa, a baba w domu pewno usycha – mówiąc to, Wojtaszek dławił się ze śmiechu. Na wszelki wypadek nie czekał na odpowiedź, tylko wrzucił skrzynki na przyczepkę, odpalił wóz i odjechał.

Komendant nie znał się na żartach. Spojrzał ponuro na roześmiane twarzach i pokazał okładkę. *Śmierć przyjdzie nagle* – głosił brunatno-czarny tytuł. Grzelak uwielbiał kryminały i thrillery. Zaczytywał się w nich niemal nałogowo. Najbardziej odpowiadały mu te, których akcja działa się na odludziu lub wsi, ponieważ wtedy oczyma wyobraźni widział własną wieś. Marzył, że to właśnie w lesie nieopodal jego domu znaleziono trupa albo że w chacie na końcu wsi wydarzyła się masakra. I to on byłby tym błyskotliwym detektywem, który niczym wytrawny łowczy tropi zwierzynę, aż w końcu ją dopada.

Grzelak był prawdopodobnie jedynym stałym bywalcem stworzonej przez mieszkańców biblioteki. Bywał tam średnio raz w tygodniu, uważając, aby nie natknąć się na Czarną Marię. Był przekonany, że ta starucha jest zwykłą naciągaczką żerującą na dobroci innych. Nigdy nie przyłapał jej co prawda na jawnym żebractwie, ale wiedząc, że niektórzy chętnie jej pomagają, wzmagало w nim przekonanie, że kobieta zabawiła we wsi tyle czasu właśnie dlatego że było jej tu dobrze. Nie znosił bezdomnych szwendających się co jakiś czas w okolicy. Uważał ich za obdartusów, którzy zamiast uczciwie pracować, liczą na litość innych. Kiedy więc przychodził do biblioteki, sprawdzał najpierw, czy pod drzwiami nie stoją czarne trzewiki. Czarna Maria bowiem nie wchodziła do domu w butach, zawsze zostawiała je na progu.

– A wy co tu za zbiegowisko urządzaacie? – spytał gromko, podchodząc do towarzystwa pod sklepem. – Wino chlejecie? W miejscu publicznym? Już ja cię, Kowalczyk, wylegitymuję!

– Gdzie tam wino! A kogo tu niby stać na wino? – Jeden z mężczyzn smutno pokiwał głową, inni wzruszyli ramionami, nic nie odpowiadając. Nie widać było, żeby kryli jakąś butelkę. Jedynie mnóstwo petów leżało pod ich nogami.

– Do roboty, a nie zbiegowisko urządzać!

Mężczyźni niemrawo zaczęli się rozchodzić. Komendant nie był w humorze. A on, kiedy humor mu nie dopisywał, czepiał się o wszystko.

– Wodę gazowaną. Pół litra – powiedział do Małgosi stojącej za ladą.

Dziewczyna usłużnie podała butelkę wody i wódkę.

– Wodę, powiedziałem. Co ty? Nieprzytomna?

– No też się zdziwiłam, że pan komendant... No, gorzałę wodą popijać?

– Pół litra gazowanej daj mi. A tamci coś kupowali? Piwo albo coś? – upewniał się, wskazując brodą na wyjście. Wyjął z portfela dziesięć złotych i położył na ladzie.

– Nie. Czatuja tutaj na tę letniczkę. Strzelecki im nagadał, że ona młoda i ładna, to się ustawili, bo wczoraj była o tej porze.

– Jaką letniczkę? – zainteresował się Grzelak.

– No tę, co do Józefiny Koperskiej przyjechała. Ale ona wcale nie taka ładna, widziałam ładniejsze. I nie taka młoda, jak to Strzelecki przedstawia, bo przecież córkę ma, ją zresztą też widziałam. No, ale wie pan, chłopcy bez roboty to się nudzą, a krew nie woda. Szkoda tylko, że zamiast oglądać się za naprawdę ładnymi dziewczynami – zawiesiła głos i mimowolnie spojrzała na swoje odbicie w kasie – to oni byle za kimś nowym.

– Do Józefiny? Letniczka...? Przecież u nas nie ma żadnych atrakcji dla turystów... A kiedy przyjechała? – zapytał podejrzliwie.

– Dokładnie to nie wiem, ale chyba kilka dni temu, bo przecież wcześniej do sklepu nie przychodziła.

– Ładna i z dzieckiem, powiadasz...

– Już mówiłam, że to, czy ładna, to można by dyskutować.

– Muszę lecieć. – Komendant nagle chwycił wodę, pod pachę włożył książkę i wybiegł.

– Panie komendancie, reszta! – krzyknęła za nim Małgosia. On jednak nie słyszał, zwawo maszerując w stronę posterunku. Dziewczyna uśmiechnęła się i chuchnęła w dłoń. Osiem złotych piechotą nie chodzi, a może w końcu zdoła zbierać na te cudne buty, które upatrzyła sobie w galerii handlowej we Wrocławiu. Pieniądze już po chwili zabrzęczały w kieszeni fartucha.

– Grosz do grosza – mruknęła pod nosem zadowolona.

\*

Grzelak zdyszany otworzył posterunek. Książka wypadła mu spod pachy, kiedy wyjmował telefon. Zupełnie o niej zapomniał, a sprawy, które właśnie prowadził główny bohater – inspektor Svenkoff, odeszły na dalszy plan, bo oto Grzelak myślami był już przy własnej sprawie.

– Jacek? – dyszał do telefonu. – Natychmiast do mnie! Aha.

A o której kończysz? Cholera... Dobra, to czekam.

Nerwowo chodził po pokoju. W głowie rodził się scenariusz, adrenalina rosła. Zapomniał o wodzie gazowanej, o czekającym na niego jabłku. Nie czuł głodu.

Zapalił papierosa. Ciężki dym uniósł się aż pod sufit, ulatując przez

niewielką szparę uchylonego okna. Posterunek był stary, zaniedbany, brudny. Ostał się tylko dlatego, że kiedy dziesięć lat temu z powodu oszczędności likwidowano posterunki w całej okolicy – tutaj, w Polance, dogorywał jeszcze ośrodek wczasowy, do którego co i rusz wzywano policję z powodu drobnych kradzieży. Posterunek i Grzelaka zatem zostawiono, a potem, mimo iż ośrodek wczasowy zamknięto, o Grzelaku zapomniano. On się nie wychylał, wiedząc, że gdy straci pracę, innej w okolicy nie znajdzie, a na emeryturę czuł się jeszcze za młody. Był pewien, że comiesięczna pensja przychodzi tylko dlatego, że jego nazwisko i numer konta znajdują się w systemie i pieniądze wypłacane są automatycznie. W przeciwnym razie przecież już dawno posterunek by zamknięto. Modlił się, aby któregoś dnia we wsi nastąpił spektakularny cud natury kryminalistycznej, w którym on byłby główną gwiazdą, dzięki czemu nawet jeśli komenda główna zlikwidowałaby posterunek, to jemu zaproponowano by awans i przeprowadzkę do Wrocławia. Modlił się, marzył. I oto ten cud właśnie miał nastąpić.

– Co jest, panie komendancie? – zaciekawiony telefonem Jacek Warański wpadł do pokoju.

– Wspominałeś ostatnio, że chcesz pracować w policji...

– No tak, ale mówił pan, że po zawodówce to nie mam szans, że to trzeba mieć maturę.

– Mówiłem, co mówiłem – odchrząknął Grzelak. – Ale jak się chce, to się da. Można iść do prewencji, przyjmą i bez matury, pod warunkiem, że wykazesz się wcześniej pewnymi zdolnościami, no i dostaniesz list polecający od komendanta placówki.

– Naprawdę? – ucieszył się chłopak. – Bardzo bym chciał! Ale jak mogę się wykazać, skoro nie pracuję?

– Zastanawiałem się, jak ci pomóc... I wymyśliłem. Mogę cię wziąć na staż.

– Czyli że co?

– Czyli że będziesz pracował, ale nie za pieniądze. Doświadczenie będziesz zdobywał i papier ode mnie na koniec dostaniesz, że się nadajesz. Pod warunkiem, że będziesz się nadawał, oczywiście.

– Ale od kiedy miałbym z panem pracować?

– Od zaraz.

– Ale przecież szkoła. To ostatni rok, jak się zerwę, to świadectwa nie dostanę.

– Na razie tylko weekendy, a jak skończy się szkoła, to będziesz przychodził codziennie.

– W wakacje?

– A co masz innego do roboty?

– No... niby nic. Ale tak pracować bez pieniędzy...?

– Doświadczenie możesz zdobyć, pomyśl tylko! Co ty bez matury chcesz robić, doły kopać? Zresztą zadzwoniłem do ciebie z czystej sympatii, nie chcesz, to nie, na twoje miejsce mam trzech innych.

– Nie, nie, przecież nie powiedziałem, że nie chcę – zaperzył się chłopak. – Ojciec mówił, że teraz z robotą krucho, a na policji to miałbym miesiąc w miesiąc pewną kasę. No i giwerę pewnie by dali...

– To chcesz, czy nie? Bo stracę cierpliwość.

– Chcę! Pan tylko powie, co będę właściwie robić?

– Przede wszystkim – Grzelak nachylił się nad Jackiem – najważniejsza w pracy policjanta jest dyskrecja.

– Dys...

– Dys-kre-cja – powtórzył z naciskiem Grzelak. – Wszystko trzeba trzymać w tajemnicy, rozumiesz?

– Nawet to, że będę z panem pracował?

– Nawet to. Nie wolno ci także pisać, o czym tu rozmawiamy, nie wolno ci się zdradzić z naszymi planami, rozumiesz? Szykuje się gruba akcja, więc zanim cię wtajemniczę, muszę mieć pewność, że potrafisz trzymać język za zębami.

– Może mieć pan pewność, nic nie wygadam. Nawet gdyby mnie kroili!

Grzelak zapalił kolejnego papierosa i mocno się zaciągnął. Poczęstował Jacka. Chłopak z wdzięcznością sięgnął do paczki. Przez chwilę palili w ciszy.

– Słyszałeś, że do Koperskiej przyjechała letniczka?

– No coś tam słyszałem.

– Będziemy ją śledzić.

– Zrobiła coś? – z błyskiem w oku zainteresował się Warański.

– Jeszcze nie. – Grzelak wypuścił wolno dym i odchylił się na

krześle. – Ale robi.

Warański spojrział na komendanta z wyczekiwaniem.

– Dokona zbrodni – uściślił Grzelak. – Zamorduje. Po to tu przyjechała.

Warański zbladł.

– Nie wiadomo tylko kogo i kiedy – ciągnął Grzelak. – Dlatego musimy ją śledzić.

– Ale jak to... Skąd pan wie, że ona kogoś zamorduje? Nie wyglądała na taką. W dodatku jest z dzieckiem...

– I tu cię mam! Każdy tak sądzi. Niewinna, grzeczna, z dzieckiem. Nie wygląda na zabójczynię. A zapewniam cię, młody człowieku, że właśnie tacy najczęściej mordują z zimną krwią. Nie te obdartusy, co tu się pałętają, nie pijaki, bo takich to prosto jest wskazać. Najtrudniej znaleźć sprawcę wśród tych, co się kryją. Niby taki „ę, ą”, elegancik, inteligencik, kto by się po takim spodziewał?

Warański wziął wdech, chcąc coś powiedzieć, ale komendant nie dopuścił go do głosu.

– Zapamiętaj sobie, Jacuś – ciągnął, obracając w rękę paczkę z papierosami. – Kiedy na wyspie pojawia się obcy, po pewnym czasie zawsze dochodzi do morderstwa.

– Na jakiej wyspie?

– Miałem na myśli wieś – poprawił się Grzelak. – Nieważne zresztą. Chodzi o to, że obcy zwiastuje nieszczęście. Zobaczysz, że prędzej czy później ona by odjechała, a ktoś znalazłby trupa. I szukalibyśmy wśród swoich, bo pewnie motywów to można by się doszukać, nikt tu u nas święty nie jest. I nikomu nie wpadłoby do głowy, że to ta miła, przyjazna letniczka z dzieckiem...

– Czyli chce pan ją śledzić, żeby zapobiec morderstwu?

Grzelak skrzywił się na te słowa. Zmrużył oczy i przyglądał się przez chwilę Warańskiemu.

– Zapobiec? Zdurniałeś? – zapytał w końcu. – Przecież wtedy nie będzie trupa.

– Nie rozumiem.

– Co tu jest do rozumienia? Będzie trup, to będzie śledztwo. Mamy o tyle prościej, że jest już morderca, więc pół roboty odwalone. Będzie

morderca, to będzie efekt. Rozumiesz? Będzie sto procent wykrywalności morderstw w naszym powiecie. Duży sukces. A jak będzie sukces... no to, Jacuś, chyba nie muszę ci dalej tłumaczyć?

– Eeee... – zająknął się Warański, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nic z tego nie rozumiał.

Grzelak westchnął niecierpliwie.

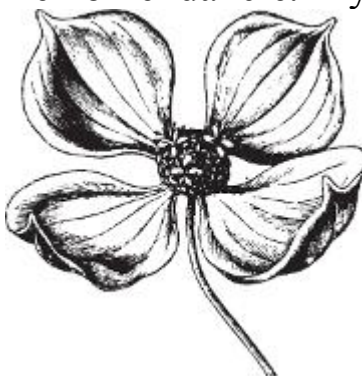
– Jak będzie sukces, to ja awansuję, a ty dostaniesz robotę z miejsca – wyjaśnił.

– A, teraz rozumiem!

– Brawo. A zatem plan jest taki: ja chodzę za nią w tygodniu, ty przejmujesz pałeczkę w weekendy. Nigdy nie wiadomo, kiedy ona uderzy. To równie dobrze może być poniedziałek, co niedziela.

Mordercy świętości nie uznają. Chociaż... – zamyślił się. – Jeśli jest wyrachowana, to może chodzić do kościoła dla niepoznaki... No nic, zobaczymy. Ważne, żeby się nie zorientowała, że ją śledzisz, bo wtedy cały nasz plan weźmie w łeb.

– Wszystko jasne, panie komendancie. Myślę, że się sprawdzę.



## Rozdział 5



Słońce chyliło się ku zachodowi, granatowe niebo nad Polanką mieniło się czerwono-złotymi nićmi. Wieczór był ciepły i spokojny. Jeden z tych, podczas których spacer byłby prawdziwą przyjemnością. Nikt jednak nie spacerował. Matylda po kolacji poszła na górę rysować, a Alicja i Józefina rozmawiały, siedząc w salonie. Alicja ośmielona tym, że ciotka tak dużo mówiła o swoim małżeństwie, opowiedziała jej o własnym nieudanym związku z Bartkiem. Staruszka słuchała z zainteresowaniem.

– Długo byliście małżeństwem? – spytała w pewnej chwili.

– Nie byliśmy małżeństwem. – Alicja lekko się zmieszała. Nie wiedziała, na ile siedemdziesięcioletnia kobieta jest w stanie zrozumieć to, w jaki sposób funkcjonuje współczesny świat. – Wiele par tak żyje – wytłumaczyła szybko. – Po prostu mieszkaliśmy razem, mamy wspólne dziecko... Byliśmy szczęśliwi, nie potrzebowaliśmy do tego papierka.

– Papierka?

– W sensie ślubu, formalności. Co do tego byliśmy zgodni. Przecież ślub i tak niczego nie zmienia. Jak się ludzie kochają, to się kochają. A jak chcą się rozstać, to się rozstają. W przypadku ślubu przecież jest tak samo, tylko później dochodzą kłopoty w razie ewentualnego rozwodu...

– A wy oszczędziliście sobie tych kłopotów.

– Można tak powiedzieć... – Alicja zamyśliła się. – No po prostu on się spakował i odszedł. Do innej. Niby mówił, że to nie przez nią, że po prostu już mnie nie kocha... Ale nie wierzę. Nieważne zresztą, co było powodem. Zabolało. No bo sama niech ciocia przyzna, rzucić kogoś tak z dnia na dzień? Zostawić z dzieckiem i pójść sobie?



– Ja tam się nie znam, za moich czasów było inaczej. Ślub to ślub. Pewnie, też byli tacy, co się zdradzali, rozwodzili, kłócili, podobnie jak byli tacy, co się kochali do grobowej deski. Na przykład ja i Stasiulek... Chociaż miewaliśmy i gorsze dni... Był nawet taki czas... – Ciotka zamilkła. – No cóż, kto wie, czy gdybyśmy nie mieli ślubu, to też byśmy się nie rozstali – powiedziała po chwili.

– Wujek ciocię zdradził? – zainteresowała się Alicja.

– Aj tam, wujek. – Ciotka machnęła ręką. – Nie miał czasu na amory. Ja go o mały włos nie zdradziłam.

Alicja spojrzała oszołomiona nagłym wyznaniem.

– Byliśmy jakieś piętnaście lat po ślubie. Ojciec się Staškowi pochorował i on jeździł pomagać matce na gospodarstwie. Ciągłe go nie było, bo kiedy wracał, to trzeba było tutaj pracować. Mało się wtenczas widywaliśmy. Po kolacji, którą jadał bardzo późno, zasypiał, chrapiąc ze zmęczenia. Wstawał o czwartej rano, żeby iść do świń, ja jeszcze spałam. Oddaliliśmy się od siebie. Brakowało mi rozmów, czułości... Marek był już duży, do szkoły chodził, a ja pracowałam w tym ośrodku wczasowym, co tu kiedyś istniał. Byłam kaowcem, wiesz, odpowiadałam za umilanie pobytu wczasowiczom. Organizowałam wycieczki, wyjścia do lasu, ogniska... No i poznałam takiego Zbycha. Z zakładu pracy przyjechał na wczasy. Inżynier z Wrocławia, stary kawaler... A przystojny jak sam diabeł, baby za nim latały niczym osy. Jak pojawiał się na dansingu, to tylko szmer po sali przechodził i zaraz jedna z drugą się wierciły, żeby tylko je poprosił do tańca. Od razu zauważyłam, że strzela za mną okiem. Kobiety to wyczuwają... Co tu dużo gadać, mnie on też się podobał. A jaki miał głos! – rozmarzyła się ciotka. – Przy ognisku, jak zagrał na gitarze i zaśpiewał, to echo niosło aż pod Wrocław. Stasiulek nigdy nie umiał śpiewać... Ale miał za to inny talent – dodała z uśmiechem, mimowolnie spoglądając na ścianę z obrazami. Zamilkła.

– No i co z tym Zbychem? – dopytywała Alicja.

– Ach, Zbych... No cóż. Dorwał mnie kiedyś w sali telewizyjnej, właśnie zamykałam... Miałam iść do domu, kiedy klęknął przede mną i wyznał miłość. Kończył się turnus, błagał, żebym z nim wyjechała.

– I co ciocia na to?

– Mało nie zemdlałam. – Roześmiała się. – To było jak spełnienie marzeń. Oczami wyobraźni widziałam te wszystkie miastowe, wyfiokowane wczasowiczki i zastanawiałam się, jak zareagowałyby, widząc, że Zbysch właśnie mnie wybrał. Kręciło mi się w głowie, gdy obcałowywał moje dłonie i szeptał, że kocha, że pragnie. Przyznaję, kusilo mnie. Bo tu taki inżynier światowy, co szarmancko rzuca się na kolana, a w domu chłop w starej kufajce, milczący i obcy... No, ale potem pomyślałam sobie, że przecie ślub, że Marek...

– Żałowała ciocia?

– Przez pierwsze miesiące. A potem sytuacja się unormowała, ojciec wracał do sił, a i bracia Stasia się angażowali, już nie musiał tam jeździć codziennie. Zresztą przyszła jesień, potem zima, więc i naszego pola nie trzeba było obrabiać. Wczasowiczów nie było, więcej czasu spędzałam w domu, pomagałam Stasiulkowi przy trzodzie. Nie był już taki zmęczony, wieczorem zamiast zasypiać, adapter puszczał, żartował, śmiał się. Na nowośmy się do siebie zbliżyli. Wymusiłam na nim, żeby po przyjściu z chlewu zawsze się w sieni przebierał. A Stasiulek wcale nie gorszy od Zbyszka. Jak się ubrał i wypachnił, to aż дума mnie rozpieła, że takiego męża mam. Szybko mi ten Zbyszek z głowy wyleciał. Dziś myślę, że bardzo, oj, bardzo bym żałowała, gdybym wtedy uległa. Bo takiego męża, jakim Stasiu był, to ze świecą szukać. Mnie ślub uratował przed życiowym błędem. No, ale tera inne czasy... – westchnęła.

– Inne ciociu, inne. Teraz nikt się już nie oświadcza, tak jak kiedyś, o rękę rodziców panny młodej nie prosi. To znaczy, może są i tacy – roześmiała się Alicja. – Ale ja ich nie znam. Teraz ludzie między sobą uzgadniają, jak ma wyglądać ich związek. Bartek nigdy o rękę mnie nie poprosił. Zawsze byliśmy zdania, że papier jest niepotrzebny... A jednak... Okazało się, że tylko w moim przypadku, bo Annie się oświadczył – dodała smutno.

– Mamo, złamała mi się kredka. – Matylda zjawiała się w salonie, przerywając rozmowę.

– Jutro zatemperujemy... Teraz do łóżka i spać.

Matylda się skrzywiła.

– A po co pali się świeczka w oknie, skoro świeci się lampa?

Przecież jest prąd – zauważyła, mając nadzieję, że rozmowa na temat świeczki choć na chwilę odwlecze konieczność udania się do łóżka.

– Podejdź tu na chwilę. – Józefina wstała od stołu i podeszła do okna. Matylda, zadowolona z efektów swojego podstępnego działania, podbiegła do niej w podskokach.

– Widzisz ten zagajnik? – spytała ciotka.

– Co to jest zagajnik?

– Las. Ten mały laszek, który zaczyna się po drugiej stronie drogi.

Widzisz?

– No, widzę. – Matylda przytknęła twarz do szyby, próbując dostrzec w zapadającym zmroku zarysy drzew.

– Zapalam w oknie świecę – Józefina zniżyła głos – bo nocą wychodzą z lasu strzygi i podchodzą pod domostwa. Światło świec je odstrasza.

Matylda z przerażeniem w oczach odskoczyła od okna.

– Co to są strzygi? – zapytała cicho.

– Strzygi nie istnieją. – Alicja uśmiechnęła się do córki. – Niech ciocia jej nie straszy, bo potem będzie miała koszmary.

– E tam – prychnęła Józefina, po czym spojrzała na Matyldę z powagą. – Lepiej ukryj się pod kołdrą, żeby cię nie dostrzegły.

– A mama? – spytała Matylda drżącym głosem.

– Dorosłych się boją. Ale ty, jeśli zaraz nie pójdziesz spać...

– Już idę. – Matylda nie czekała, aż ciotka dokończy. – Tylko niech mama zaraz do mnie przyjdzie.

– Przyjdę.

Kiedy mała zniknęła na górze, Alicja odetchnęła ciężko.

– Ona ma siedem lat. Nie można jej straszyć upiorami – wyraziła swoje niezadowolenie.

– Dzieci lubią się bać. – Ciotka wzruszyła ramionami. – Mój Mareczek w jej wieku trzymał pod łóżkiem baśnie braci Grimm, musiałam mu czytać na dobranoc. Poza tym, jak widzisz, zawsze można postraszyć i wtedy robią, co każesz.

– Nigdy w życiu nie przeczytałabym Matysi żadnej bajki braci Grimm na dobranoc. Sama się wzdrygam, kiedy o nich myślę. Są przerażające. Na pewno nie dla dzieci.

– Dobre mi sobie. A niby co w nich bardziej przerażającego od innych bajek?

– Jak to, co? – zdziwiła się Alicja. – Wszystko. Zdecydowanie wolę współczesne wersje ich bajek. Są mniej drastyczne.

– Na przykład które? – zainteresowała się Józefina.

– *Królowna Śnieżka, Jaś i Małgosia, Kopciuszek...* – wyliczała Alicja.

– Rozumiem, że bajka o dzieciach, które wsadzają do pieca staruszkę nie jest przerażająca? Podobnie jak o królownie, na którą czają się mordercy i truciele? – prychnęła ciotka z uśmiechem. – Może jeszcze *Czerwony Kapturek*?

– Oczywiście, że jest przerażająca – przyznała Alicja. – Ale w wersjach, które ja opowiadałam Matyldzie, nie było takich okropieństw. Zmieniałam treść. Jaś i Małgosia zamknęli Babę Jagę w jej domku i uciekli. Pieca tam w ogóle nie było.

– A wilk nie połknął babci... Dobre sobie. Ech, co to za pokolenie dziwne jakieś – zamruczała pod nosem Józefina. – Kiedyś dzieci straszło się Cyganami i było dobrze. Tera zamiast straszyć, sami się ich boicie – powiedziała z przyganą.

– Cyganów? – Alicja nie załapała.

– Własnych dzieci! Rządzą wami, jak chcą.

\*

Cisza przestała być złowroga. Alicja powoli przyzwyczajała się do nowych dźwięków: porannego piania kogutów, ujadania psów, ćwierkania ptaków, a nawet do dzwonów kościelnych, które z początku drażniły, a teraz pomagały zorientować się w porze dnia. Nie nosiła zegarka. Czas tutaj zdawał się biec innym rytmem niż w mieście. Za oknem nie stukały obcasy śpieszących do pracy kobiet, nie warczały silniki odpalanych samochodów, nie było słychać karetek, alarmów, klaksonów ani cudzych rozmów i wieczornych kłótni kochanków zza ściany. Nawet radio, które od czasu do czasu włączała Józefina, koilo zmysł słuchu delikatną nutą muzyki klasycznej.

Dzień zapowiadał się pogodny. Alicja otworzyła okno. Już po chwili rozszedł się po pokoju oszałamiający zapach kwitnącego przy

domu jaśminowca.

Matylda od rana szczebiotała, ciesząc się na obiecaną wycieczkę rowerową. Odkąd Józefina załatwiła im rowery, starały się jeździć codziennie. Trasa jednak była oklepana: do sklepu U Wojtaszka i z powrotem. Ponieważ Alicja nie chciała przemęczać Matyldy, nie decydowała się póki co na dalsze wypadki. Obiecała jednak, że jeśli pogoda dopisze, to dziś w końcu wybiorą się w inną stronę i pojedą wzdłuż lasu, w którym zrobią piknik.

Alicja podłączyła do laptopa przenośny modem Wi-Fi i sprawdziła e-maile w nadziei, że przyszło w końcu jakieś zlecenie. Lubiła spędzać czas z Matyldą, jednak były momenty, kiedy córka rysowała lub grała na tablecie, więc nic nie stało na przeszkodzie, aby ona w tym czasie pracowała. Żadna wiadomość jednak nie nadeszła. Wakacje zazwyczaj były martwym czasem, mimo to Alicja na bieżąco sprawdzała pocztę. Nie mogła sobie pozwolić na nieobecność i brak kontaktu. Każda, nawet najmniejsza ilustracja do książki, była dla niej na wagę złota.

– Jedziemy? – ponaglała Matylda.

– Zrobię kanapki. Weźmiemy sok, jabłka i możemy jechać.

Józefina od rana spędzała czas w piwnicy. Alicja zostawiła jej na kuchennym stole kartkę z informacją, dokąd się udały i spakowawszy wiktuały do niewielkiego koszyka, który można było zamontować przy bagażniku roweru, wyszła z domu. Matylda już siedziała na swoim Błękitnym Rumaku. Tak nazywała swój rower, który – co prawda – miał barwę bardziej stalowoszarą niż błękitną, ale Matyldzie to nie przeszkadzało.

Kiedy dotarły do niewielkiej polany znajdującej się tuż na skraju lasu, Alicja oparła rower o drzewo i rozejrzała się z niepokojem. Nie pierwszy już raz miała wrażenie, że gdy jechały, słyszała jakieś skrzypienie w oddali. Tak jakby jakiś rower podążał za nimi. Bo o ile ich rowery zostały przez sąsiada dobrze naoliwione, o tyle dźwięk, który do niej czasami dochodził, przywodził skojarzenia o starym, zardzewiałym rowerze, którego właściciel musi włożyć sporo wysiłku, aby na nim jeździć. Kilka razy oglądała się za siebie, ale niczego nie dostrzegła. Mimo to nieodparte poczucie czyjejś obecności towarzyszyło jej za każdym razem, gdy wychodziła z Matyldą – czy to na przejażdżkę

rowerową, czy zwykły spacer. Kilka razy zdawało jej się, że widzi jakiś cień lub postać, która uskakuje w popłochu, gdy nagle się odwracała. Rozmawiała nawet ze swoją siostrą na ten temat, dzieląc się swoimi obawami.

– Głupia jesteś – pocieszała Dorota. – Moim zdaniem to zwykła reakcja organizmu na odstawienie od miasta.

– Jaka reakcja? – dopytywała Alicja.

– Przecież w Warszawie, kiedy wychodzisz, zawsze spotykasz ludzi. Na każdym kroku i z każdej strony. Podobnie kiedy wyjeżdżałaś do nadmorskich miasteczek, tam także roi się od spacerowiczów. Ludzie są wszędzie, nawet ich nie zauważasz, bo to anonimowe tłumy, bezimienni przechodnie. Więc teraz, kiedy wylądowałaś na zabitej dechami wsi, twój mózg nie potrafi się przystosować – psychologizowała Dorota. – I dlatego wyobraźnia dokłada obrazy, wrażenia, które znasz z miejskiej codzienności. Jeszcze trochę czasu minie, zanim się przyzwyczaisz do innego natężenia masy ludzkiej na nowym terenie.

– Co ty wymyślasz? Jakiej masy ludzkiej? Ja myślę, że mnie ktoś śledzi.

– Niby kto?

– Nie wiem. Jakiś miejscowy świr...

– Wymyślasz. Nawet jeśli jest tam jakiś świr, to przecież ciotka by cię uprzedziła. Na wsiach wszyscy się znają, wierz mi, co nieco o tym słyszałam. Moim zdaniem brakuje ci ludzi.

– Rzeczywiście, czasem przez cały dzień nie spotykamy nikogo, nie licząc sklepowej...

– A widzisz!

Alicja po rozmowie z Dorotą nieco się uspokoiła, jednak dziwne wrażenie jej nie opuszczało. Czasem bardziej, czasem mniej, ale jednak dzień w dzień czuła niemal fizycznie czyjąś obecność w pobliżu.

Rozejrzała się raz jeszcze. Matylda, nie zwracając na nią uwagi, rozłożyła niewielki koc, który wiozła na swoim bagażniku. Zadowolona położyła się na nim, przyciskając policzek do twardej powierzchni.

– Nie, nie, Matysiu! – Alicja doskoczyła do córki. – Wstań, kochanie. Usiądziemy dodatkowo na moim swetrze. – Zdjęła opasany na biodrach pulower i rozłożyła na kocu. – Tak będzie cieplej.

– To co, jemy?

– Już? Głodna jesteś?

– Nie, ale skoro mamy piknik...

– Dobrze, zaraz wyjmę kanapki. Ty tymczasem możesz pobiegać po trawie. Na bosaka, jak radziła pani doktor.

Matylda ucieszona zaczęła ściągać buty i skarpetki. Już miała zejść z koca na miękką trawę, gdy Alicja mruknęła:

– Albo lepiej nie. Jeszcze ci się jakaś drzazga wbije... Może jednak pobiegaj w skarpetkach. Upierzemy po powrocie.

Matylda westchnęła, ale posłusznie założyła skarpetki. Alicja spojrzała na nią z troską.

– Jednak buty też załóż – poprosiła po chwili wahania. – Mimo wszystko nie ma jeszcze pełnego lata, od ziemi idzie zimno... Żebyś się nie przeziębila.

– To co mam robić? – zniecierpliwiła się Matylda.

– W butach pobiegaj.

Dziewczynka, kręcąc nosem, założyła buty i z mniejszym już entuzjazmem zeszła z koca. Bieganie szybko ją znudziło. Usiadła więc z powrotem i z apetytem dorwała się do kanapek.

Drzewa szumiały łagodnie, Alicja przymknęła oczy, wdychając zielony zapach rozpościerającego się tuż za nimi młodego lasu. Gdzieś w oddali dało się słyszeć miarowy stukot dzięcioła. Matylda zaczęła nucić piosenkę o jagódkach. Czas płynął leniwie i przyjemnie.

Kiedy wróciły po dwóch godzinach, ciotka przyjmowała gościa – swoją przyjaciółkę, panią Teresę, która zawsze z dobrodusznym uśmiechem przyglądała się Alicji i Matyldzie.

– Piękne te dziewczuszki, oj piękne – powtarzała za każdym razem, kiedy je widziała. – Oczu nie można oderwać, kawalerowie pewnie w kolejkach się ustawiają...

Alicja odwzajemniała uśmiech, dziękowała za komplementy, ale nie komentowała uwag odnośnie do kawalerów. Chciałaby, żeby bodaj jeden w tej kolejce stanął, ale same chęci nie wystarczały. Nie dobijał się do niej nikt. Marzyła, aby jej córka w przyszłości, słysząc takie słowa, mogła uśmiechnąć się i odpowiedzieć: „Tak, pani Teresko, stoją w kolejce, mam w kim wybierać”. Pragnęła, aby Matylda miała więcej

szczęścia w miłości niż ona, choć i tak wdzięczna była losowi za to, co jej do tej pory dał – za Bartka, który mimo że odszedł, to sprawił, że miała Matyldę. Gdyby nie on, nie byłoby dziecka, a tego nie potrafiłaby już sobie wyobrazić.

Józefina i pani Teresa siedziały na ławeczce przed domem, zajęte obcinaniem ogonków fasoli szparagowej. Na widok podjeżdżających dziewczyn Teresa uśmiechnęła się jak zwykle i powtórzyła nieśmiertelne zdanie o tym, jakie z nich są piękne dziewczuszki.

– Głodne? – spytała ciotka.

– A skąd! Miałyśmy piknik, do kolacji nam starczy. Prawda, Matysia?

Matylda jednak nie usłyszała pytania. Niczym zaczarowana wpatrywała się w gospodarstwo położone jakieś sto metrów dalej, skąd dobiegały radosne dziecięce okrzyki i piski. Po chwili na drodze pojawił się chłopiec pchający przed sobą taczkę z siedzącą w niej roześmianą dziewczynką.

– Miiichaś! – krzyknęła do niego Józefina, widząc tęskny wzrok Matyldy. – Podjedź no tu!

Chłopiec z niemałym wysiłkiem zawrócił taczkę i pchając ją z wolna, podszedł do płotu Józefiny.

– Dzień dobry – przywitał się.

Dziewczynka, która siedziała w niezwykłym pojeździe, także się przywitała i wyszczerzyła w uśmiechu szczerbatą buzię.

– Dzień dobry, kochani. Chciałabym was z kimś poznać. – Józefina stanęła za Matyldą. – Przyjechała tu do mnie na wakacje przemiła dziewczynka, Matylda, jest w waszym wieku, może zaprosilibyście ją do zabawy?

Matylda spuściła wzrok i wyczekiwała w napięciu. Była zbyt nieśmiała, żeby przywitać się i dołączyć do dzieci, w duchu jednak marzyła o tym, żeby spędzać czas z rówieśnikami – zabawy z matką były nudne i przewidywalne, wciąż tylko czytanie lub rysowanie. Nigdy jeszcze nie jeździła taczką, nawet nie wiedziała, że może ona służyć do jeżdżenia.

– No to wsiadaj – zaproponował beztróska Michał. – Ewka, wyskakuj, popchniemy. A potem będzie zmiana.



Dziewczynka ubrana w przykurzoną sukienkę wygramoliła się z taczki, robiąc miejsce dla nowej koleżanki. Przyglądała jej się z zaciekawieniem, bo Matyllda zamiast wskoczyć, nieśmiało podeszła trzymając się maminej dłoni.

– Ojej – jęknęła Alicja. – Ale to strasznie brudne – zauważyła, dostrzegłszy na dnie taczki resztki słomy i zaschniętego błota. Dzieci spojrzały na nią zdziwione. Matyllda mimowolnie przygryzła wargi, martwiąc się, że z zabawy nici.

– Ala, a ty już nie masz się czego czepiać? – spytała ciotka. – Dajże dzieciom się pobawić. Wskakuj, Matyllda.

– Nie, nie – zaprotestowała Alicja. – To przecież najgorsze siedlisko przeróżnych bakterii. Sama ciocia wie, że Matysia ma problem z odpornością... Ale nie martw się, kotku – powiedziała, napotykaając na szklany wzrok córki. – Posiedźcie tu chwilkę, ja to zaraz szybko wyszoruję. – Odwróciła się na pięcie i pobięła do domu w poszukiwaniu ryżowej szczotki.

– Co ona taka spięta? – zapytała półgłosem pani Teresa.

– Ech, Tereniu, szkoda gadać... – Józefina westchnęła. – Dzieci, a może w tym czasie utrzyć wam kogel-mogel, zjecie? – spytała głośno.

– Taaak! – odezwał się zgodny chór Michała i Ewy. Matyllda nie odpowiedziała, nie bardzo wiedząc, co to za potrawa.

Dzieciaki z uśmiechem wkroczyły tuż za Józefiną do kuchni, gdzie Alicja przeglądała znajdujące się w wiadrze pod zlewem przeróżne szczotki.

– Ta będzie dobra – mruknęła do siebie.

– Kogel-mogel będziemy jedli – pochwalił się jej Michał, wymownie mlaskając.

– Co? O Boże, chyba ciocia nie obiecała im... Przecież to surowe jajka! Salmonella!

– Oszalałaś? – spytała zdumiona Józefina.

– Nie, nie, absolutnie. Nie zgadzam się – trwała przy swoim Alicja.  
– Wszystko, tylko nie surowe jajka. To może się źle skończyć.  
Absolutnie.

Józefina bezradnie rozłożyła ręce.

– No, dzieci, dziś kogla-mogla nie będzie.

Rozległ się jęk zawodu.

– Może coś innego? Ciastka już mi się skończyły... A może... – Jej wzrok padł na stojącą na stole miskę z czerwonymi lodygami rabarbaru.

– Nie... To kwaśne – skrzywiła się Ewa.

– Pajdę chleba z cukrem! – krzyknął Michał.

– Dobrze. – Józefina sięgnęła po okazały bochen, nie zwracając uwagi na Alicję, która z pobladłą twarzą oparła się o ścianę.

– Dla ciebie też? – Józefina spytała Matyldę. Dziewczynka z błyskiem w oku skinęła głową. Stała tyłem do matki, dzięki czemu nie mogła obserwować jej reakcji.

Józefina przyłożyła sobie chleb do piersi i zaczęła kroić. Alicja obserwowała to ze zgrozą. Nie mogła się przyzwycząić, że ciotka, zamiast używać deski, operuje nożem niemalże w powietrzu.

– Dla mnie piętka – powiedział Michał.

– Dla mnie też – zawtórowała mu Ewa.

– I dla mnie – nieśmiało wtrąciła Matylda.

– Oho, jeszcze co? – Józefina się roześmiała. – Nie ma aż tylu. Piętka będzie dla mnie, bom najstarsza. A wy dostaniecie po równo.

Już po chwili trzy kromki chleba leżały na stole, gotowe do posypania cukrem, kiedy jednak Józefina chwyciła za cukiernicę, Alicja nie wytrzymała:

– Błagam, czy nie możecie zjeść kanapki z serem? Albo z szynką? Pyszną wędlinę kupiłam.

– Ale one chcą na słodko – przypomniała Józefina.

– No tak, ale to żywy cukier – zaczęła gorączkować się Alicja.

– Jaki tam żywy? – parsknęła ciotka. Dzieci zaczęły chichotać.

Nawet Matyldzie zatrzęsa się broda z uciechy, ale dzielnie powstrzymywała śmiech, żeby nie podpaść matce.

– Mam na myśli to, że nieprzetworzony – broniła się Alicja. – Zęby im się od tego popsują – pouczała.

– Bój się Boga! – krzyknęła Józefina. – Chleba z cukrem dzieciom żałujesz?

– Nie żałuję... Przecież ciocia wie, że nie o to chodzi...

– Aj, Ala, Ala... – Ciotka westchnęła. – Ty lepiej weź tę szczotkę

i szoruj, jak lubisz, bo cię wieczór zastanie.

Alicja, nie odpowiedziawszy nic, wyszła na podwórko. Ignorując Teresę zaciekawioną docierającymi do niej pokrzykiwaniami z kuchni, podłączyła szlauch i wzięła się za szorowanie. Zaabsorbowana pracą nie zauważyła, że przy płocie stanęła młoda kobieta, przyglądając się jej szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– A wchodź, Karola, wchodź, dzieciaki są tutaj. – Pani Teresa zaprosiła ją gestem na podwórze. – Józefina ich karmi, zara przyjdą.

– To pani tam krzyknie do nich, że obiad gotowy. Niech się nie najadają, bo przecież u mnie zupa stygnie. – Kobieta zerkała co chwila na Alicję. – To moja taczka? – spytała po pewnym wahaniu.

– A, dzień dobry, przepraszam, zamyśliłam się. – Alicja wyprostowała się i otarła pot z czoła. – Pani mnie o coś pytała?

– Czy to moja taczka? Poznaje po pochłapanym farbą kole...

– To Karolina Zadura, sąsiadka, mama bliźniaków – wyjaśniła pani Teresa. – A to Alicja z Warszawy. Przyjechała do Józefiny. Z córką. A mała w wieku twoich.

– Ja panią już chyba widziałam w sklepie... – zauważyła sąsiadka.

– Możliwe. Miło mi panią poznać. – Alicja skinęła głową. – To pani taczka. Dzieciaki w niej jeździły. Przepraszam, że tak bez pytania o zgodę, ale postanowiłam umyć, żeby miały czystą do zabawy.

Sąsiadka skrzywiła się zdziwiona, po czym uśmiechnęła się do Alicji niemrawo.

– No racja, racja, gnojówkę wiozłam z rana, to pewnie się zaśmierdła... – wyjaśniła przepaszająco. Warszawianka-hrabianka, kurna jego mać – dodała w myślach zgryźliwie.

– Pani Teresko, pani pogoni te moje dzieci, niech raz dwa wracają na obiad – zwróciła się do Teresy, która na te słowa podniosła się i weszła do domu.

– Już idą, pięć minut, piją tera kompot – powiedziała po powrocie.

Zadura kiwnęła głową na pożegnanie i już miała odejść, gdy cofnęła się i spytała:

– A pani to nie miała przypadkiem u Polniaków mieszkać?

– Nie rozumiem – zdziwiła się Alicja.

– Bo Polniakowa kilka dni temu chwaliła się, że wynajęła dom...

– U Polniaków? – zainteresowała się pani Teresa.

– No tak, Polniakowa mówiła, że jakaś miastowa ma przyjechać i że domu szukała, koniecznie z widokiem na las, ten przy jeziorze. Sołtys chodził i dopytywał, kto wynajmie. No, a że syn Polniakowej w Niemczech siedzi i prędko nie wróci, to ona zaproponowała właśnie ten dom, co dla niego pobudowali. Pusty stoi, a tak trochę grosza wpadnie.

– Ciekawe... – zamyśliła się pani Teresa.

– Ale to nie o mnie chodziło – wtrąciła Alicja. – Ja tu do cioci przyjechałam.

– Ach, to pani ciocia... Niepodobna – przyznała Zadura. – No nic, rzeczywiście, tamta chyba z Wrocławia... Ale dziwne, dom na wsi wynajmować... Przecież tu u nas nic ciekawego.

Wychodzące z domu dzieci przerwały rozmowę. Michał zmarszczył nos, spoglądając na wywróconą do góry nogami taczkę, na którą Alicja wciąż polewała wodę.

– Akurat zdąży przeschnąć w słońcu, kiedy będziecie jeść obiad – uśmiechnęła się.

Kiedy wrócili po godzinie, taczka rzeczywiście była już sucha i dzieci, wraz z Matyldą, wozily się nią po drodze. Alicja – niczym kapral – stała przy płocie, pilnując ich, w razie gdyby pojawił się jakiś samochód.

Zrobiło się chłodno, gdy zmęczeni zabawą, postanowili wracać.

– Jutro wybieramy się na łąkę przy strumyku. Będziemy łapać ważki. Idziesz z nami? – zwrócił się do Matyldy Michał na odchodne.

– I Wojtek z naszej klasy też będzie – dodała Ewa. – On jest mistrzem w łapaniu ważek i motyli.

– Ojej, jak to miło z waszej strony. – Alicja kucnęła przy Matyldzie i objęła ją. – Jeszcze nigdy nie łapałyśmy ważek. Chyba nawet ich nie widziałyśmy na żywo. Chętnie się do was przyłączymy. – Uśmiechnęła się.

Michał niepewnie spojrział na siostrę, która wybałuszyła oczy i wpatrywała się to w niego, to w Alicję. Ciotka Józefina, która akurat zamiatała obejście, zastygła w bezruchu, a pani Teresa przysypiająca na ławeczce ocknęła się i nastawiła uszu.

– A o której godzinie się wybieracie? – ciągnęła Alicja.  
– Yyyy... Po szkole... Kończymy o dwunastej... – wyjąkał niepewnie Michał. W myślach ganił się za nieroztropność. Koledzy na pewno będą źli, kiedy dowiedzą się, że sprowadził ze sobą tę babę. Zabawa w towarzystwie dorosłych, to nie zabawa. – Zostawimy plecaki i idziemy – dokończył zrezygnowany, bo teraz już trudno było się wycofać.  
– Dobrze – ucieszyła się Alicja. – To my już będziemy gotowe. Do jutra!

\*

Matylda przy kolacji wierciła się na krześle podniecona wizją polowania na ważki. Zastanawiała się głośno, czy gryzą, czym się odżywiają, jak długo żyją. Alicja, nie znając odpowiedzi, cierpliwie poszukiwała informacji w internecie. Kiedy w końcu mała poszła spać, Alicja wyłączyła laptopa i wzdychając ciężko, zwróciła się do ciotki:

– Nie mam pewności, czy rzeczywiście chcą, aby Matylda im towarzyszyła... Może zaprosili nas z grzeczności? Odniosłam wrażenie, że nie byli zachwyceni, gdy potwierdziłam, że pójdziemy...

– Trudno, żeby skakali ze szczęścia. – Józefina wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem?

– Alicjo – ciotka złożyła ręce, opierając się łokciami o stół – nie chcę cię pouczać, bo to ty jesteś matką...

– Ależ niech ciocia mówi – powiedziała Alicja, czując wewnątrz niepokój po takim wstępie.

– No cóż... Dzieciaki zapytały Matyldę, czy chce z nimi iść... Matyldę – podkreśliła ciotka – nie ciebie.

– Ale wiadomo, że Matysia sama nie pójdzie, szczególnie nad wodę. Oni przecież też sami nie idą...? – zauważyła Alicja niepewnie.

– Dlaczego?

– Bo to dzieci. Musi być z nimi ktoś dorosły. Co za nieodpowiedzialny rodzic puściłby dziecko samo nad rzekę? Nie wyobrażam sobie. Matysia ma dopiero osiem lat. Niecałe zresztą. We wrześnie skończy.

– Po pierwsze nie nad rzekę, tylko nad strumyk. Wody tam jest po kostki. Po drugie Matysia ma aż osiem lat, nawet jeśli nieskończone. Nie jest dzidziusiem, którego trzeba pilnować. Nie obraż się, ale uważam, że nie dajesz dziecku żyć. Cóż to za dzieciństwo z matką na plecach? Za tobą matka chodziła, kiedy miałaś osiem lat?

– Wtedy były inne czasy – broniła się Alicja. – Moja mama pracowała, ja biegałam po podwórku z kluczem na szyi. Ale kiedyś było bezpieczniej. Dzisiaj nie znam nikogo, kto puszczałby dziecko samopas.

– Nie wiem, jak tam u was w mieście, ale u nas biegają samopas. I są szczęśliwe. Tu każdy każdego zna, każdy na każdego ma oko, nie trzeba chodzić za dziećmi krok w krok. Pewnie, czasami dzieciaki wracają z płaczem, bo a to któreś rozwali sobie kolano, a to wpadnie w pokrzywy, a to złamie rękę, bo łązi po drzewach. Ale zawsze tak było i będzie. Od wypadków nie uchronisz. Nawet przy tobie, na placu zabaw, mogłoby się coś stać.

– Mimo wszystko myślę...

– Tu jest mała wieś – ciągnęła ciotka, nie pozwalając sobie przerwać. – Nikt samochodem po drodze nie szaleje, porywacze nie grasują... Dzieciaki, nawet kiedy bawią się w chowanego, to nie zdarzyło się jeszcze, aby któreś wlało w dziurę, z której nie potrafiłoby wyleźć. Nie są głupie. Nie możesz traktować Matysi jak dwulatka. Przecie dziecko musi samo odkrywać, nawiązywać przyjaźnie. Inaczej niczego się nie nauczy.

– Niby ma ciocia rację – przyznała niechętnie Alicja. – Jednak... No, sama nie wiem... Niedaleko jest jezioro...

– To, że je widać z okna, wcale nie znaczy, że jest blisko. Droga to będzie z sześć kilometrów.

Alicja przygryzła wargi. Nie była przekonana o tym, że może pozwolić Matyldzie iść bez niej na poszukiwanie ważek. A jednak, przypomniawszy sobie zdziwione spojrzenia bliźniaków, poczuła wstrząsający dysonans.

– Dobrze, spróbuję – powiedziała w końcu. – Pozwolę jej iść, a sama zostanę w domu.

– I bardzo dobrze. – Józefina klasnęła. – Zobacysz, że obydwu wam to wyjdzie na dobre. Nie obraż się, ale myślę, że chwila

wytchnienia od ciebie przyda się Matyldzie.

– Myśli ciocia, że ją zamęczam swoją obecnością? – obruszyła się Alicja.

– Tego nie powiedziałam, ale jesteś jak kwoka. Obchodzisz się z nią jak z jajkiem. Za moich czasów dzieciaki to już pracowały, a to w polu, ziemniaki pomagały zbierać, a to kurom sypały, owce zaganiały. Brudne przychodziły do chałupy i nikt problemu nie robił. Szorowało się raz na kilka dni, a nie tak jak teraz, że przed każdym posiłkiem ręce myć, a to bluzkę zmienić, bo zaplamiona. Nie dziwota, że choróbska łapia i te wszystkie alergie. A gdzie się mają uodpornić? Kiedyś tego nie było... Kto to widział, żeby taczkę myć? Może jeszcze podwórze wyszoruj porządnie proszkiem jakim, żeby kurz się nie wznosił przy chodzeniu.

– Niech ciocia nie ironizuje...

– Oj, dziecko, dziecko, ja ci tylko tłumaczę, że...

– Wiem, co chce ciocia powiedzieć – przerwała Alicja. –

Rzeczywiście, może powinnam trochę odpuścić... Tylko to nie takie proste.

– Pamiętaj, kochanie, że wszystko zaczyna się tutaj. – Józefina dotknęła palcem czoła Alicji. – Sami nakładamy na siebie ograniczenia. I sami musimy się ich pozbywać.

Alicja nie mogła zasnąć, myśląc o tym, co powiedziała Józefina. Czyżby naprawdę była aż tak przewrażliwioną na punkcie swojej córki matką? Rzeczywiście stała nad nią jak strażnik, trzymała pod kloszem. Ale robiła to z troski, z miłości. Odkąd straciła pracę i mężczyznę, nie liczyło się nic prócz Matyldy.

A jednak spróbowała. Z bolącym brzuchem, podenerwowana, stała nazajutrz przed furtką i obserwowała oddalającą się z kolegami córkę. Dziewczynka obejrzała się dwa razy, machając. Jej twarz rozpromieniał nieśmiały uśmiech, widać było, że jeszcze nie ma wprawy w nawiązywaniu kontaktów. Ewa i Michał zdawali się tego nie zauważać, zadowoleni, że mogą komuś nowemu pokazać swój świat. Przekrzykiwali się, gestykulując przy tym zabawnie. Każde z nich chciało zaimponować Matyldzie znajomością terenu, tłumacząc jej, gdzie znajdują się skróty, a gdzie najlepsze kryjówki i tajemne przejścia w krzakach.

Alicja obserwowała podekscytowane, idące w podskokach dzieci, dopóki nie zniknęły za zakrętem. Kurz na drodze zdążył opaść, kiedy zdecydowała się wrócić do domu. Tym razem cisza uderzyła w nią mocniej niż kiedykolwiek. Nie słyszała tykającego zegara, świergoczących za oknem ptaków czy krzątającej się w spiżarni ciotki. Do tych odgłosów była już przyzwyczajona, trudno było jednak znieść brak głosu Matyldy.

Snuła się po domu, szukając jakiegoś zajęcia. Poukładała ubrania, sprawdziła pocztę, obrała ziemniaki do obiadu.

– Ciociu, czy mogę ci w czymś pomóc? – spytała, kiedy nie było już nic do roboty.

– A co ty taka wrywna? – roześmiała się Józefina. – Nie ma w czym pomagać, pakuję się. Jutro z rana wyjeżdżam, wracam we wtorek. Mam nadzieję, że w tym czasie deszcz spadnie, a jeśli nie, to podlałabyś ogródek.

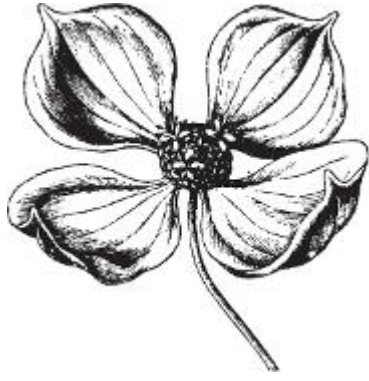
– Oczywiście, o wszystko zadbam. A teraz? Nie masz dla mnie jakiegoś zajęcia? Jakoś dziwnie się czuję. Pusto tak bez Matysi. Niby kiedy idzie do szkoły, też jestem sama, ale w domu zawsze mam coś do roboty... A może posprzątam tę twoją piwnicę? – zaproponowała, ożywiając się.

– Absolutnie! Mówiłam ci, że nie wolno tam wchodzić. Chyba nie chcesz się zabić? Albo zaplątać w pajęczynę? Już lepiej idź na spacer. Albo jeszcze lepiej – pójdziesz po mleko do Janka Grabowskiego. Jego matka na pewno jest. To dwa domy dalej. A może i Janek jest? On stary kawaler, tak się kiedyś mówiło, bo przecie młody jest, po trzydziestce dopiero. Pracowity, zaradny, gospodarzkę ma porządną.

– Co, ciocia, swatać mnie chce?

– E tam, zaraz tam swatać. Mówię tylko, kto tam mieszka. Jak go spotkasz, to żebyś ogląd miała, z kim gadasz.





## *Rozdział 6*



Zbliżał się wieczór. Nad stawem nieopodal posterunku trwało posiedzenie żab. Komendant Grzelak, poirytowany wiercącym w uszach skrzeczeniem, przymknął okno. W oczekiwaniu na Jacka Warańskiego umiłał sobie czas lekturą. Porucznik Svenkoff zauważył właśnie na piasku ślady prowadzące w stronę opuszczonego domostwa. Odbezpieczył broń i stąpając bezszelestnie niczym kot, zbliżył się do zabudowań. Po prawej stronie dostrzegł cień. Ktoś chował się za drewnianą szopą. Poszedł w tamtym kierunku, trzymając pistolet w gotowości. Nagle potknął się o coś przypominającego starą, sklepową wagę. Runął jak długi, pistolet wystrzelił, płosząc ukryte pośród drzew ptactwo.

– Cholercia! – zaklął Grzelak i zdenerwowany odłożył książkę. – To i mordercę wypłoszył! Skąd tam waga na odludziu? – zastanawiał się głośno. – Pewnie zasadzka.

Jego rozmyślania przerwał huk zamykanych z impetem drzwi. Grzelak podskoczył na krześle, ale nie zdążył wstać zza biurka, bo do pokoju wpadł Warański.

– Panie komendancie, jestem – wycedził zasapany. – Przepraszam za spóźnienie, ale nadawali pogodę, więc obejrzałem. Pan wie, że jutro ma lać? To chyba z mojej pracy nici?

– A w czym ci deszcz przeszkadza? – wzburzył się Grzelak. – Co ty, z cukru jesteś? Rozkaz jest rozkaz! Siadaj tu i słuchaj, bo głodny jestem i do nocy nie będę z tobą przerabiał lekcji.

Warański bez słowa przysiadł na wskazanym stołku.

– Czyli jednak śledzimy? – wymamrotał.

– Oczywiście! Myślę, że miałem nosa. Od tygodnia za nią łażę

i widzę, że coś kombinuje. Co chwila ogląda się za siebie. Jakby sprawdzała, czy ktoś za nią nie lezie... Niewinny przecież tak by się nie zachowywał.

– Racja.

– Zaczynasz o dziesiątej. Ona wcześniej nie wychodzi. Masz być pod jej domem, czy będzie padać, czy nie. Zrozumiałeś?

– Tak jest!

– Weź ze sobą rower.

– To nie na piechotę będę ją śledził?

– A skąd mam wiedzieć, człowieku! Myśl! Przecież żaden z nas nie przewidzi, co ona jutro będzie robić. Jak pójdzie gdzieś na piechotę, to idziesz za nią. A jak weźmie rower, to jedziesz. Tylko uważaj, bo na rowerze jest trudniej, nie da się uskoczyć w krzaki. Zawsze masz odczekać, aż zniknie za zakrętem i wtedy ruszasz. Powolutku, bo ona z dzieckiem, więc nie ma przyspieszenia. Kiedy zauważysz, że się odwraca, to hyc z roweru i razem z nim do rowu się chowasz.

– Zdążę?

– Zdążysz. Ona na szczęście nie potrafi się odwracać, jadąc, bo wtedy traci równowagę. Zawsze, kiedy chce spojrzeć za siebie, to staje i dopiero wtedy się odwraca. Masz jakieś pięć sekund, żeby uskoczyć do rowu.

– Trudna praca...

– Nikt nie powiedział, że będzie łatwo.

\*

Weekend mijał deszczowo i leniwie. Kiedy więc w poniedziałek pokazało się słońce, Alicja już od rana zapagnęła wybrać się na przejażdżkę. Polubiła rowerowe wycieczki, Matylda także radziła sobie coraz lepiej, nie męczyła się, mogły wreszcie wybrać się gdzieś dalej. Było po dziesiątej, kiedy wsiadły na rowery i pojechały w kierunku Rynku.

Dzień rozbrzmiewał kolorami. Mijając złote pola i mieniące się barwami kwiatów przydomowe ogródki, Alicja przystawała co chwila, by wyjąć telefon i zrobić Matyldzie zdjęcie. Błękitne niebo unosiło się lekko nad nimi, pozwalając słońcu pieścić roześmiane i szczęśliwe

twarze. Kiedy dotarły do Rynku, Matylda odstawiła rower, oparła go o ławkę i natychmiast podbiegła do stojącej wśród kwiatowych rabat starej studni. Alicja, nie myśląc wiele, ruszyła w ślad za nią.

– Nie wychylaj się za bardzo, żebyś nie wpadła! – krzyknęła.

– Nie wpadnę, tu jest krata. Masz pieniądze?

Alicja wyjęła z portmonetki dwugroszówkę i podała Matyldzie. Widząc, jak córka zamyka oczy i w skupieniu wymyśla życzenie, po czym wrzuca monetę do studni, uśmiechnęła się. Przypomniała sobie, jak sama, będąc dzieckiem, zamykała oczy i wymyślała życzenia, mając nadzieję, że kiedy je otworzy, spełnią się.

– A ty nie wrzucasz? – spytała Matylda.

– Ja już się w życiu nawrzucałam pieniążków do wielu studni – uśmiechnęła się Alicja.

– I co, spełniło się?

– Oczywiście! Za każdym razem myślałam to samo życzenie.

– Jakie?

– Że chciałabym mieć taką cudowną, śliczną córeczkę. I mam.

Idziemy na lody? – Alicja rozejrzała się po Rynku. O tej porze był jeszcze opustoszały. Kościół, dwa sklepy, poczta, kiosk, cukiernia i kawiarnia nie wyglądały na oblegane, a nieliczni przechodnie kierowali się równym krokiem do spożywczego. Alicja i Matylda, prowadząc rowery, poszły w stronę kawiarni, przy której błyszczały w słońcu trzy metalizowane stoliki. Zanim tam doszły, Matylda przystanąła pod oknem cukierni U Marianny, gdzie na wystawie piętrzyły się różnokolorowe babeczki.

– Jaka śliczna! – zachwyciła się dziewczynka, wskazując palcem na oblaną różowym lukrem muffinkę. – Ta też! – krzyknęła z uznaniem. – I ta! – powiedziała, przypatrując się babeczce obsypanej błyszczącą posypką. – Mogę jedną? Zamiast lodów – zaproponowała.

Alicja pchnęła drzwi. Mimo że umieszczony na nich napis głosił, iż cukiernia czynna jest od dziesiątej, a było już wpół do dwunastej, drzwi okazały się zamknięte.

– Chyba jednak musimy iść na lody – powiedziała.

– Ale przyjdziemy tu później? – Matylda spojrzała błagalnym wzrokiem.

– Przyjdziemy.

Drzwi od kawiarni znajdującej się nieopodal na szczęście stały otworem. Alicja odstawiła rowery i weszła do środka, ale po chwili cofnęła się, nadeptując podążającą za nią Matyldę. Wnętrze pełne było wieszaków i półek z ubraniami. Pośrodku stał wielki kosz, w którym znajdowały się pogniecione bluzki i spódnice.

– Przepraszam – wymamrotała oszołomiona do siedzącej za kontuarem kobiety. – Myślałam, że to kawiarnia.

Już miała wyjść, kiedy tamta, unosząc wzrok znad gazety, krzyknęła:

– Kawiarnia! Kawiarnia! Zapraszam!

Widząc niepewne spojrzenie Alicji dodała szybko:

– Mam kawę. Zimne napoje też się znajdują.

– A lody? – zapytała wyglądająca zza Alicji Matylda.

– Są i lody! – powiedziała kobieta chrapliwie i przyjaźnie puściła oko do Matyldy. Była korpulentna, ubrana w przyciasną, uwydatniającą obfity biust bluzkę i zielonkawą, powłóczystą spódnicę. Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat, ale wigor, z jakim się poruszała, zdecydowanie ujmował wieku. Mimo tuszy, zgrabnie ominęła kosz i przesunawszy jeden z wieszaków, pokazała stojące pod ścianą lodówki. Matyldzie zaświeciły się oczy na widok ulubionych truskawkowych lodów.

– Wybierz sobie – zachęciła sprzedawczyni. – Kiedyś miałam gałkowe... – wspomniała z nostalgią. – Ale takie też dobre. Możesz sobie wziąć dwa, bo mam promocję. Drugi za pół ceny.

– To będzie dla mamy – ucieszyła się Matylda.

– To wy u Józefiny mieszkanie? – zagadnęła kobieta. – Słyszałam. Tutaj u nas wieści szybko się rozchodzą. Wiedziałam, że w końcu i do mnie zajdziecie, dlatego zawczasu zaopatrzyłam lodówkę – zaśmiała się. – Bo na co dzień to mam tylko śmietankowe i czekoladowe. Wie pani... kiedyś tu była kawiarnia z prawdziwego zdarzenia. Ludzie przychodzili z tego ośrodka nad jeziorem, ciągle był ruch. A teraz? Kto by tam do kawiarni zachodził, jak u siebie ma kawę, a lody to sobie może w sklepie kupić.

Alicja w milczeniu pokiwała głową. Zapłaciła, podziękowała i już chciała wyjść, ale sprzedawczyni ciągnęła swój monolog:

– Z kawiarni bym nie wyżyła, dlatego ciuchy sprzedaję. Mam tu śliczne sukienusie, w sam raz dla takiej pannicy jak ty – zwróciła się do Matyldy. – A i dla pani by się coś znalazło. – Spojrzała na Alicję, mierząc ją od stóp do głów.

Alicja obiecała, że jeśli w trakcie pobytu w Polance będzie potrzebować jakichś ubrań, to na pewno przyjdzie właśnie do kawiarni. Tymczasem chętnie spróbują tych lodów, które za chwilę się rozpuszczą.

Usiadły przy jednym ze stolików. Słońce grzało w najlepsze. Alicja założyła ciemne okulary i wystawiła twarz do słońca. Matylda schroniła się pod parasolem, z zapalem oblizując rękę, po której ciekła lepka strużka truskawkowego lodu.

Po chwili, nie pytając o zgodę, przysiadły się do nich dwie młode kobiety, które wcześniej spacerowały po ryneczku, pchając przed sobą wózki z dziećmi.

– Dzień dobry, wy u Józefiny mieszkacie? – zagadnęła wysoka brunetka o oliwkowej cerze, stawiając na stoliku butelkę ze smoczkami i herbatniki. Alicja skinęła głową, zdziwiona, że co chwila ktoś je zaczepia z tym samym pytaniem. Wiedziała, że na wsiach ludzie się znają i wieści o przyjezdnych szybko się rozchodzą. Nie spodziewała się jednak takiej otwartości.

– Po rowerze poznałam. To ode mnie pani Koperska pożyczyła.

Alicja zdjęła okulary i przedstawiła się.

– Dziękuję, to miło z pani strony. Rzeczywiście, bez roweru tutaj, jak bez ręki.

– Nie ma sprawy. Może bez tej „pani” jednak. Kaśka jestem, a to Ela-Marchewa. – Wskazała brodą pochylającą się nad wózkiem niską, rudą koleżankę. Ta machnęła ręką z uśmiechem i po chwili, odstawivszy wózek ze śpiącym dzieckiem w cień, usiadła na wolnym krzeselku.

– O kurde – zagrzmiała piskliwie. – Ale się nagrzało. Tyłek mi zaraz wypali.

– Pieluchę se podłóż – zaproponowała Kasia.

– Bardzo śmieszne – wystękała Marchewa, wierząc się i obciągając kusą spódniczkę. Matylda z zaciekawieniem zaglądała do wózków.

– To skąd przyjechałaś? – zapytała Kasia. – Na długo?

– Z Warszawy – wyjaśniła Alicja. – Prawdopodobnie zostaną do

końca wakacji.

– O Boże! Oszalałaś? Przecież tu można umrzeć z nudów!

– Nooo – zawtórowała znudzonym tonem Marchewa.

– Nie jest tak źle.

– Mówię ci, dziewczyno, nic tu się nie dzieje. O, patrzcie, tylko jak się odstawiła – zauważyła nagle, podążając wzrokiem za szczupłą, niemłodą już kobietą w czarnych legginsach, bluzce w panterkę i czarnych butach na obcasie. – Ta to ma posrane we łbie, upał jak diabli, a ona po pietruszkę do sklepu w swetrze. Idiotka.

Marchewa wywróciła oczami na znak, że popiera Kasię. Alicja milczała, nie bardzo wiedząc, jak się ustosunkować do takich uwag.

– O, patrzcie, Brylski, pewnie go z roboty wywalili, skoro się o tej porze kręci... Dawno go nie widziałam, chociaż obito mi się o uszy, że w ubiegłym tygodniu prosił o rękę Woźniaczkę, ale go wyśmiała.

– Mnie też kiedyś prosił – zauważyła Marchewa, wzruszając ramionami.

– Oj, i mnie prosił. Co chwila się do którejś przystawia... O czym to my gadałyśmy? A, że przyjechałaś na wakacje – przypomniała sobie, nachylając się nad Alicją. – A tak w ogóle nauczycielką jesteś, czy jak, że wakacje masz wolne?

Zanim jednak Alicja zdążyła w pełni wyjaśnić, czym się zajmuje i co ją skłoniło do przyjazdu na wieś, Marchewa weszła jej w słowo i krzyknęła:

– O, rany! Jak mówisz o tych przeziębieniach, to od razu przypomina mi się zasmarkany nos Kulaka. Ty, Kasia, pamiętasz, jak on wiecznie z glutem chodził? Zasmarkaniec, tak na niego wołaliśmy.

– Pamiętam. – Kasia zmrużyła oczy. – O, czy to nie aby jego matka? – Spojrzała w stronę kobiety stojącej przed furką do kościoła i zaczytanej w ogłoszeniach na niej wywieszonych.

Temat szybko się urwał, a dziewczyny, mimo iż z początku zainteresowane Alicją, bardziej koncentrowały się na własnych sąsiadach. Mówiły jedna przez drugą. Alicja nie mogła się nadziwić, że można aż tak plotkować, w dodatku będąc w towarzystwie osoby, którą dopiero co poznały. Starła się nie okazywać zdumienia, udając, że jest zaciekawiona każdym tematem. Po części była. Dzięki Kasi i Eli wieś

i jej mieszkańcy nagle nabrali kolorów. Poczuli się, jakby znała ich nie od dziś, tym bardziej że niektóre z opowieści okraszone były dodatkowymi smaczkami – kto kogo zdradził, kto się z kim kłóci, a kto ma nieślubne dziecko i z kim. Za nimi, oparta o drzwi, stała właścicielka kawiarni, przysłuchując się rozmowom. Raz czy dwa wtrąciła coś od siebie, jednak częściej kiwała tylko głową albo wzdychała ciężko. W końcu, zmęczona upałem, wróciła do swojej kawiarenki z ubraniami.

– Jednak sporo się u was dzieje – zauważyła z uśmiechem Alicja.

– Że niby co? – zainteresowała się Kasia.

– No, ogólnie... Sporo się dzieje, co chwila przecież o kimś mówicie.

– A tam. – Kasia machnęła ręką. – Owszem, gadamy, bo gadamy. Niby co mamy robić? Ale nie myśl sobie, że my plotkary jesteśmy.

– Albo że kogoś nie lubimy – wtrąciła Marchewa.

– Marchewa dobrze mówi. Tu każdy na każdego gada, ale to oczywiście nie znaczy, że ludzie się nie lubią, bo lubią się – dopowiedziała Kasia. – W końcu żyć jakoś razem trzeba... Tu prawie każdy jest czyjąś rodziną, nie to co u was, w mieście.

– My też jesteśmy dalekimi kuzynkami, ojciec Kaśki jest bratem ciotecznym brata ciotecznego mojej mamy. – Marchewa zamilkła na chwilę, żeby zajrzeć do wózka. Jej synek spał w najlepsze, podczas gdy syn Kasi zaczynał powoli wybudzać się ze snu i wiercić niespokojnie ku uciesze Matyldy, która żywiła nadzieję, że będzie mogła powozić go wózkiem po chodniku. Katarzyna jakby wyczuła jej chęci, bo wcisnąwszy smoczek do ust malca, poprosiła Matyldę o kołysanie go w wózku.

– Jeszcze z pół godzinki powinien pospać – wyjaśniła. – O czym to my mówiłyśmy?

– Że wszyscy tu wszystkich lubią i jesteście jak jedna rodzina. – Alicja uśmiechnęła się lekko.

– No, niezupełnie... – Ton głosu Katarzyny zmienił się na niższy, a wzrok powędrował w kierunku ocienionej rzędem zgrabnie przyciętych klonów uliczki.

– No tak – przyznała równie ponurym głosem Marchewa. – Tej akurat nie znosimy...



Alicja podążyła za ich wzrokiem i ujrzała młodą, idącą dynamicznym krokiem kobietę. Dziewczyna ubrana była w dość specyficzny sposób przywodzący na myśl ubiór amerykańskiej aktorki z lat pięćdziesiątych. Miała na sobie rozkloszowaną, granatową sukienkę w białe grochy, przepasaną w talii białą wstęgą, która zawiązana była z tyłu w fantazyjną kokardę. Jej czarne, upięte wysoko włosy zdobiła biała, szeroka opaska umieszczona tuż nad gęstą grzywką. Czerwone buty na wysokim obcasie wprowadzały ciekawy kolorystyczny akcent do całej stylizacji. W ręku trzymała wiklinowy kosz, z którego wystawały grube pęki szczypioru.

– Wracą z zakupów u Wendlichowej. Prosto z ogródka – prychnęła Kasia. – Przecież w zwykłym sklepie nie kupi, musi mieć ekologiczne. A sama rąk sobie nie skala sadzeniem.

– Kto to jest? – zainteresowała się Alicja, nie mogąc oderwać wzroku od dziewczyny, która mijala właśnie studnię w sercu Rynku.

– Gwiazda tutejsza, nie widać? – wymruczała Kasia.

– Marianna. Cukiernię prowadzi – powiedziała Marchewa. – Ale nikt u niej nie kupuje.

– Dlaczego? – spytała Alicja.

– No co ty, żeby jej jeszcze kabzę napychać? Ona kasy ma jak lodu, kochana. Śpi na pieniądzech.

– Zresztą kto by tam kupił głupią babeczkę za sześć złotych. Albo tort za trzysta. Trzeba chyba na głowę upaść – dodała Kasia.

– To z czego ona żyje, skoro nikt nie kupuje u niej?

– Ona nie musi zarabiać. Spadek dostała taki, że hej! Ma nie tylko dom, tę cukiernię, ale też dwie kawiarnie we Wrocławiu i sklep ze słodyczami. Żyć nie umierać, nie każdy ma tyle szczęścia. Od dziecka miała wszystko co najlepsze, razem do klasy chodziłyśmy. Zawsze najlepiej ubrana, najpiękniejsze zabawki miała, na wakacje jeździła...

– Taka to nie wie, co to jest prawdziwe życie – westchnęła Marchewa. – Ani dzieci nie ma, ani z mężem się nie musi użerać, bo też nie ma. W sukienki się ubiera i książki czyta. Albo wymyśla jakieś nowe kremy do tych babeczek. Z nudów.

– W dodatku z babcią mieszka, dodatkowe pieniądze, jakby jej było mało, bo przecież dom babci w Ostaszowie sprzedała.

– Zachłanna jest. Sama mogłaby mieszkać, ale nie. – Marchewa się skrzywiła. – Przecież ktoś musi jej sprzątać. Mogę się założyć, że pralki nie potrafiłaby włączyć nawet z instrukcją.

– Nie lubicie jej? – spytała Alicja.

– A kto by ją tam lubił?! – parsknęła Kasia. – Od zawsze jest taka... wspaniała, że aż do porzygania. Jak wyjechała, to był spokój, nie musiałyśmy na nią patrzeć.

– Za granicą nauki niby pobierała.

– W Londynie podobno – dodała Kasia. – Wpadała tylko od święta. A potem, jak odziedziczyła fortunę, to się sprowadziła tu na stałe, nie wiadomo, po co. I obnosi się tymi swoimi pozał się Boże sukienkami. Nie znoszę jej. Wielka dama.

– Ja też jej nie znoszę – wycedziła Marchewa. – Jak sobie przypomnę, jak w drugiej klasie przyniosła kosz lalek do porozdawania, to aż mną wzdryga. Myślała chyba, że tym sposobem się wkupi.

– Pamiętam. – Kasia wywróciła oczami. – Nic jej to nie dało, wszyscy się zmówiliśmy w szkole, żeby omijać ją z daleka. Nic nas nie obchodziły te jej kolorowe pisaki i błyszczące pierścionki.

– Strasznie się wywyższa. Kiedyś Marek Bielak się do niej przystawiał, ale dała mu kosza. To samo za siebie mówi.

– Nie rozumiem... – Alicja uniosła brwi.

– Bielak – zaakcentowała Kasia. – Najlepsza partia z całej wsi. W ubiegłym roku za nią chodził. Nie wiem, co w niej widział, ale nieważne. W każdym razie facet jest uuu... – Cmoknęła.

– Nieźle ciacho – dodała Marchewa. – Przystojny i pracę ma stałą. A rodzice gospodarstwo prowadzą, ma je po nich przejąć. Kilka hektarów ziemi. Każda inna dałaby się pokroić za Bielaka. A Marianna dała mu kosza. Za cienki dla niej, jak widać...

– Mamo! – krzyknęła nagle Matylda i zaraz ściszyła głos, przypomniawszy obie, że w wózkach śpią dzieci. – Cukiernia się otworzyła, zobacz – wyszeptała. – Choodź na babeczkę.

– Ooo, lepiej tam nie kupuj – poinstruowała Alicję Kasia. – Nie wyłamuj się, nikt tam nie kupuje. Zresztą, jak widać, ona zupełnie nie dba o klientów, otwiera sobie, jak chce.

– I tak nikt tam nie przychodzi – zaśmiała się Marchewa.

– I co z tego? Skoro prowadzi cukiernię, to powinno być otwarte. – Kasia wzruszyła ramionami. – Mówię ci, Alicja, nie kupuj u niej żadnych ciastek. Jeszcze sobie pomyśli, że sukces odniosła, bo ktoś kupił...

– Ale Matyldzie obiecałam... – zawahała się Alicja.

– He, he, niewykluczone, że kiedy dojdziecie do drzwi, to będą na powrót zamknięte – zaśmiała się Kasia. – Wielka dziedziczka otwiera, kiedy jej się podoba.

– A właściwie po kim ona odziedziczyła tę fortunę? – zagadnęła Alicja, wstając.

– Po rodzicach. Zginęli w wypadku dwa lata temu – wyjaśniła Marchewa.

– O Boże, to straszne – jęknęła Alicja. – A ma jakieś rodzeństwo?

– A skąd, sama zgarnęła tę kasę – wyjaśniła Kasia.

– Samiuteńka. Siedzi na forsie – wycodziła Marchewa, marszcząc nos. – Nie każdy ma tyle szczęścia...

\*

Wpadające do cukierni słońce odbijało się w szklanych oprawkach zdjęć powieszonych na pastelowych ścianach. Zamiast półek uginających się od ciast, można było podziwiać fotografie przedstawiające fantazyjnie udekorowane torty, kolorowe, ociekające lukrem donuty i strzeliste babeczki. Na wystawie królowały prawdziwe ciastka, pojedyncze sztuki stały także w przeszklonej, ustawionej na ladzie chłodziarce.

– Dzień dobry. – Marianna uśmiechnęła się na powitanie, gdy Alicja z Matyldą przeszły przez próg.

– Dzień dobry. Zajrzałyśmy tu wcześniej, ale było zamknięte – powiedziała Alicja. Matylda z nosem przyklejonym do szyby chłodziarki przyglądała się smakowitym cudom.

– Rzeczywiście, dopiero otworzyłam. Zapraszam. Dziś mam tylko babeczki, ale za to świeże i pyszne.

– Ja bym chciała różową z perełkami! – zdecydowała Matylda.

Marianna z uśmiechem podała babeczkę na talerzyku o połączonych brzegach. Matylda usiadła przy małym okrągłym stoliku

i zanim ugryzła, oglądała ją z każdej strony.

Alicja zapłaciła i przysiadła się do córki.

– Proszę, a to dla pani, na spróbowanie. – Marianna postawiła przed nią talerzyk z babeczką wypełnioną czekoladowym kremem.

– Ile płacę? – Zdumiona Alicja chwyciła za portmonetkę.

– Nic. Może zasmakuje i będziecie do mnie przychodzić?

– Dziękuję. To miło z pani strony.

– Na wynos też zapakuję. Będzie na podwieczorek.

– Na wynos?

– Tak! Weźmy! – krzyknęła ucieszona Matylda.

– Ale... To przecież ja zapłacę. – Alicja poczuła się niezręcznie.

Nie miała ochoty kupować babeczek, szczególnie tak drogich. Jednak nie czuła się na siłach odmawiać zabrania dodatkowych ciastek, z powodu których na twarz Matyldy wypłynął błogi uśmiech.

– Nie musi pani nic płacić. Już pani jedną kupiła – uśmiechnęła się Marianna. – Zapakuję, na zdrowie. Szkoda, żeby się zmarnowały. Jutro rano i tak będę robiła nowe.

– Nie rozumiem...

– Bo pani nietutejsza – roześmiała się Marianna. – I dlatego zaszła pani do mnie. Nikt inny tu nie przychodzi. – Wzruszyła ramionami.

Alicja otworzyła oczy, udając zdumienie.

– Ale dlaczego? – spytała. – Babeczki są pyszne.

– Ach... – Marianna machnęła ręką. – No po prostu... Wie pani, to wieś, nie ma tu klientów na takie produkty. Ludzie sami wolą sobie upiec brytfannę ciasta niż zapłacić sześć złotych za babeczkę.

– Maaajaaanna! – Usłyszały nagle słaby krzyk gdzieś z głębi budynku. Marianna wzdrygnęła się na ten dźwięk i odwróciła na pięcie.

– Przepraszam – wyrzuciła z siebie. – Zaraz przyjdę.

Kiedy po dziesięciu minutach wróciła, na jej twarzy malowało się zmęczenie.

– Przepraszam bardzo, mieszkam z babcią. Zawsze się denerwuję, kiedy tak krzyczy. Jest trochę niedołążna, a wciąż o tym zapomina. Boję się, żeby nie zrobiła sobie niechcący jakiejś krzywdy...

– Ale nic się nie stało?

– Nie. Tylko wylała na siebie wodę, musiałam zmienić jej bluzkę.

Przepraszam. Już pakuję babeczki.

– Naprawdę nie trzeba.

– Trzeba, trzeba – roześmiała się Marianna. – To dla mnie duża przyjemność gościć kogoś w cukierni. Tym bardziej, kiedy widzę, że naprawdę smakowało. – Puściła oczko do Matyldy wylizującej ostatnie okruszki z talerzyka. – Jutro będę robić jagodowe. Zapraszam.

– Mniam! – Matylda oblizała wargi. – Mamo, przyjdziemy? Proszę, prooszę. – Złożyła ręce w błagalnym geście.

– Może. – Alicja uśmiechnęła się do córki. – Tylko nie wiem, o której jest u pani otwarte – zwróciła się do Marianny.

– Jutro od rana, bo nie wybieram się na zakupy. Dopiero o drugiej zamykam, ponieważ robię obiad dla babci. A potem znów otwieram. Chyba że będzie burza. Babcia ciężko to znosi, więc zamykam i siedzę przy niej... – Marianna podała Alicji pudełko z babeczkami. – Wie pani, tu do mnie i tak nikt nie przychodzi, więc otwieram głównie wtedy, kiedy chcę przewietrzyć – roześmiała się.

– Postaramy się wpaść. Dziękujemy za prezent.

Alicja umieściła paczuszkę w koszu przymocowanym do roweru i jeszcze raz podziękowała Mariannie. Wbrew temu, co mówiły o niej Kasia i Ela, sprawiała wrażenie naprawdę miłej osoby. Zapragnęła podzielić się tą myślą z nowymi koleżankami, ale nie było ich już na ryneczku. Matylda marudziła, że jest jej gorąco, dlatego postanowiły powoli kierować się w stronę domu, planując wstąpić po drodze do Wojtaszka po mięso na obiad. Alicja chciała przyrzadzić uroczysty poczęstunek na powrót ciotki.

Wojtaszkowa siedziała za ladą z ołówkiem w ręku i zakreślała co ciekawsze pozycje w magazynie z programem telewizyjnym. Kiedy Alicja weszła do sklepu, przywitała ją machnięciem ręki, nie odrywając się od lektury.

– Tu mi się nakładają filmy, przecież się nie rozdwoję – mamrotała do siebie, podczas gdy Alicja rozglądała się po półkach chłodziarki w poszukiwaniu produktów na obiad. – Coś podać? – spytała, odłożywszy gazetę na półkę pod ladą.

– Czy ten schab jest świeży?

– Oczywiście. U mnie tylko świeże mięsko, dlatego taki mały

wybór – wyjaśniła sklepowa.

– To ten kawałek mniejszy. A ma pani suszone śliwki?

– Mam.

– To poproszę. I miód. Mały słoiczek. Zrobię na słodko. Aha, i wodę niegazowaną... I sok pomarańczowy.

– To wszystko?

– Tak.

– Czterdzieści sześć złotych.

Alicja sięgnęła do portfela. Zapomniała, że pięćdziesiąt złotych, które w nim rano miała, stopniało, ponieważ kupowała lody i babeczkę.

– Ojej, nie mam przy sobie aż tylu pieniędzy – jęknęła. – Czy mogę zapłacić kartą?

– U nas nie można.

– A jest gdzieś w pobliżu bankomat?

– O, u nas nie – zaśmiała się sklepowa. – Ale nie ma problemu, przecież ja panią już znam. Sprzedam na kreskę.

Alicja podniosła brwi i już miała zadać pytanie, czym jest owa kreska, gdy z zaplecza dobiegł przeraźliwy rumor i Wojtaszkowa poderwała się sprawdzić, co się stało.

– Cholera, mówiłam mu, żeby nie ustawiał tych skrzynek tak wysoko! – zaklęła do siebie na tyle donośnie, że i Alicja usłyszała.

– Wszystko w porządku? – krzyknęła zaniepokojona Alicja.

– Tak! Na szczęście to tylko puste skrzynki runęły, ale nie zawadziły o nic! Muszę jakoś je uporządkować.

– Może pomóc?

– Dziękuję, nie trzeba! Mam na nie swój sposób! – odkrzyknęła sprzedawczyni i już po chwili do uszu Alicji dobiegł hałaśliwy dźwięk przesuwanych skrzynek.

– To dziękuję i do widzenia! – krzyknęła, ale nie doczekała się odpowiedzi.

\*

Grzelak, dysząc ze zmęczenia i upału, odczekał chwilę, zanim wkroczył do sklepu. Nie martwił się, że straci Alicję z oczu. Widział przez szybę, że kupuje schab, a zatem wraca prosto do domu, żeby

zrobić obiad. Przez chwilę zabrzęczała mu w głowie refleksja, że może to jednak nie jest żadna morderczyni, ale zwyczajna kobieta. Matka, która przyjechała z córką na wakacje. Szybko jednak przywołał się do porządku, odrzucając tę myśl na rzecz powtarzanej przy okazji spotkań z Jackiem mantry, iż profesjonalny zabójca lubi zdobywać zaufanie, udając przeciętnego człowieka.

– Pani Wojtaszkowa! – krzyknął, rozglądając się po sklepie.

– Zara! Na zapleczu jestem!

Grzelak wyjął z lodówki półlitrową wodę gazowaną i wypił duszkiem całą butelkę. Odstawiwszy ją na ladę, sięgnął po następną.

– Pani Wojtaszkowa!

– Co tam? Pali się? – Kobieta wyszła, masując się po plecach. – Ten cholerny Zdzisiek, zamiast pomóc, dołożył mi roboty. Gdzież on się podziewa, już powinien być. Po chemię pojechał, a już dwie godziny ani jego nie widać, ani towaru.

– Pani mi policzy dwie wody. – Komendant postawił pełną butelkę obok pustej, niezainteresowany wywodami sklepowej.

– A co pan, panie Grzelak, o samej wodzie pan żyje?

– Dlaczego?

– Coś pan zmizerniał ostatnio, schudł jakby...

– Schudłem? Naprawdę widać? No, troszkę spadło, nie powiem.

A to na rowerze jeżdżę, a to spaceru długie uprawiam.

– Albo się nasz komendant zakochał. – Sklepową puściła oczko. – Żonę na nowszy model chce wymienić...

– Nie rozumiem.

– No przecie ja ślepa nie jestem. Co Alicja, ta od Józefiny, do mnie wpada, to zara i pan komendant po wodę przychodzi. Zasapany, wymęczony. I zawsze jedną wodę pan wydudni od razu. Toć przecie ja nie muszę być znawcą, żeby zauważyć, co się dzieje. Jeździ pan komendant za tą dziewczyną...

– Nie jeżdżę! Co ci, Wojtaszkowa, to głowy strzeliło!

– Ze mną można jak na spowiedzi. Ja pary nie puszcze. Przecież wszyscy gadają, że ta twoja to hetera, panie komendancie. Nie dziwota, że za młodą się oglądasz. Chłopów to ja znam. Jak nie wódka, to baby ich interesują. Jak nie baby, to wódka. Albo jedno i drugie.

– Wojtaszkowa! Niech ci nie przyjdzie na myśl takich bzdur rozpowiadać o mnie! Za nikim nie jeżdżę, za młodymi się nie oglądam. Po wodę przyjeżdżam, bo spragniony jestem. Kilometry robię na rowerze, odchudzam się. Co ja, wróżka jestem, żeby wiedzieć, kto przede mną do twojego sklepu przychodzi?!

– Ależ niech się pan tak nie unosi. Przecie ja żartowałam tylko. To już z tobą nawet pożartować nie można? Nie dość, że karzesz w godzinach pracy mówić do siebie panie komendancie...

– Respekt musi być, żeby się te gnoje, co ich tu u ciebie pod sklepem można spotkać, nie rozwydrzyły.

– ...to jeszcze awantury mi tu urządzasz i krzyczysz. A przecie to tylko żarty. Tak mi do głowy przyszło, bo już trzeci raz wpadasz tutaj, jak tylko tamta wychodzi.

– Przez przypadek. Powtarzam. Przez przypadek. Swoją drogą, zamiast sobie ze mnie żarty stroić, pomyślałabyś lepiej, gdzie się twój mąż podziewa. Do hurtowni dwadzieścia minut się jedzie. Może zahaczył po drodze o jaką narzeczoną, że go tak długo nie ma. – Grzelak uśmiechnął się, zadowolony ze swojego żartu.

– A tak, zahaczył, zahaczył. Dopiero sobie przypomniałam, że do Biblioteki miał wstąpić, zgrzewkę wody mu dałam dla Czarnej Marii. W taki gorąc to dużo trzeba pić, a kobicina przecie po wodę do sklepu nie przyjdzie...

\*

Matylda, widząc bawiących się na podwórku Ewę i Michała, zapomniała o zmęczeniu i natychmiast zapagnęła do nich dołączyć.

Alicja weszła do domu i od razu skierowała się do kuchni. Wyjęła patelnię i obsmażyła mięso. Następnie przełożyła je do garnka, zalała wrzątkiem, dodała przyprawy, miód i śliwki. Kiedy usiadła przy stole, żeby obrać ziemniaki, zadzwonił telefon.

– Cześć, kochana! Żyjecie? – Z aparatu popłynął dźwięczny głos Doroty.

– Żyjemy – zaśmiała się Alicja, przyciskając telefon ramieniem do ucha. – Właśnie obieram ziemniaki, jakbyś była ciekawa.

– Nie jestem. Bardziej interesuje mnie, jak ogólnie dajecie sobie



radę.

– Nie jest źle. Matylda znalazła kompanów do zabawy, właśnie jest na podwórku.

– A jak tam jej zdrowko, tej naszej księżniczki?

– Dobrze! Raz co prawda wystraszyłam się, bo miała stan podgorączkowy, ale ciotka nasmarowała ją na noc kamforą i gorączka rano zniknęła.

– Od kamfory?

– No nie wiem, może od tego tarcia. Zniknęła po prostu. Podobnie jak kaszel. Któregoś dnia zaczęła w nocy kaszleć, ale nie rozwinęło się dalej. Ciotka poila ją syropem z cebuli cały dzień. I naprawdę pomógł.

– O Boże, biedne dziecko. Musiała pić syrop z cebuli? O ble!

– Słodki, pyszny, próbowałam. Co by nie mówić, to ciotka Józefina rzeczywiście potrafi postawić na swoim. Ja chciałam aplikować Panadol, a ona zdołała mnie przekonać, że trzydzieści siedem i dwa to żadna gorączka i kamfora wystarczy. Nie spałam całą noc, żeby pilnować Matysi, ale ona rano była jak nowo narodzona. Trudno mi się przestawić, szczególnie gdy widzę, jak ona biega, poci się, jaka jest czasami utyłana w piachu i błocie... Niby właśnie po to tu przyjechałam, ale naprawdę czasem trudno mi się opanować, żeby nie lecieć do niej z chusteczką wytrzeć nos albo żeby nie kazać jej się szorować co pięć minut.

– Ciekawe. Przecież w Warszawie nosiłaś ze sobą na plac zabaw płyn dezynfekujący.

– Tutaj też go mam. Ale nie używam... Poczekaj chwilkę.

Alicja odłożyła telefon, opłukała ziemniaki i wstawiła je na ogień.

– Już jestem. Od kilku dni same się rządzymy, bo ciotka musiała wyjechać. Dzisiaj wraca.

– Dokąd wyjechała?

– Nie wiem. Czasami jest trudna w obyciu, jak próbuję się czegoś dowiedzieć. Ale ogólnie nie mogę narzekać. A, słuchaj... co to znaczy „na kreskę”?

– Nie rozumiem. To jakiś malarski termin?

– Nie. Po prostu byłam dzisiaj w sklepie i okazało się, że kart nie przyjmują, tylko gotówkę. A ja nie miałam kasy. Mimo to sklepowa sprzedała mi wszystko bez pieniędzy, tylko „na kreskę”.

– O Boże! – krzyknęła Dorota. – Chyba nie „za kreskę”?

– Nie wiem, może i za. Nie pamiętam dokładnie. Nie bardzo wiedziałam, o co jej chodzi, ale ponieważ nagle zrobiło się zamieszanie na zapleczu, to nie zdążyłam dopytać. Wzięłam więc te zakupy i przyjechałam do domu. A teraz wciąż się głowię, o co jej chodziło z tą kreską.

– No ładnie... – zamruczała Dorota. – Kto by pomyślał...

– Że co?

– Że na wsiach ćpuny. I wcale się nie ukrywają. Ale nie ma co się dziwić, pewnie nudy tam takie, że ludzie muszą sobie jakoś radzić, uatrakcyjniać życie... – westchnęła zamyślona Dorota.

– Ale o czym ty mówisz? Jakie ćpuny?

– A niby co z tą kreską? Nie bądź dzieckiem. Jeśli nie miałaś kasy, a ona była gotowa sprzedać ci coś za kreskę, to przecież wszystko jasne. Pewnie myśli, że jak przyjechałaś z Warszawy, to torbę masz wypchaną kokainą.

– Że co?!

– Kochana – przybrała mentorski ton Dorota. – Ja nie raz słyszałam u nas w agencji rozmowy, jak jeden drugiemu obiecywał coś zrobić w zamian za kreskę. Na imprezach proszek się sypie kilogramami. No, może przesadzam, ale naprawdę, dają czadu. Nie bój się, ja nie biorę, na szczęście za bardzo sobie cenię swój mózg, żeby go niszczyć chemią.

– Okej, okej, już rozumiem. Ale naprawdę, wątpię, żeby sklepowa z miejscowego sklepiku chciała ode mnie kokę. To absurd. – Alicja się roześmiała. – Na pewno jest inne wytłumaczenie.

– Się okaże... Może ciocia będzie wiedziała. O Boże, mam nadzieję, że ona nie bierze?!

– Oszalałaś? Przecież ona ma ponad siedemdziesiąt lat!

– To akurat nic nie znaczy. Dinozaury rocka też mają siedemdziesiąt lat, a ćpają na potęgę.

– Daj spokój, co ty insynuujesz, to nawet nie jest śmieszne. Zapewniam cię, że nikt tu nie ćpa.

– Sama mówiłaś, że miewasz spięcia z Józefiną.

– Ale one dotyczą podejścia do dzieci. Ona chce dawać chleb z cukrem, a ja uważam, że to niezdrowe. O takie spięcia chodzi!

– Czyli ogólnie zachowuje się normalnie... – Dorota nie dawała za wygraną.

– Oczywiście, że tak. Jest najbardziej normalną staruszką, jaką znam. Ma jakieś tam swoje fanaberie, nie pozwala mi wchodzić do piwnicy, na parapecie zapala codziennie świece, nie mówiąc już o tym, że uważa mnie za przewrażliwioną matkę. Ale to wszystko normalne. W końcu to siedemdziesięciolatka, ma swoje przyzwyczajenia po prostu.

– Dlaczego nie możesz wchodzić do piwnicy? – zainteresowała się Dorota.

– Nie wiem. Chciałam jej zrobić porządek, strasznie się tu nudzę, zawsze to byłaby jakaś robota. Ale nie pozwoliła. Uważa, że tam jest taka graciarnia, że mogłabym się o coś zabić. Zamyka drzwi na klucz. Nawet kiedy sama tam wchodzi, a robi to często, to zamyka się od wewnątrz.

– Dziwne...

– No trochę dziwne, ale to w końcu jej dom. Jeśli rzeczywiście ma tam taki bałagan, to pewnie się tego wstydzi.

– Tym bardziej powinna się ucieszyć, że ktoś chciałby jej zrobić porządek... Bardzo dziwne... Myślę, że ona coś kryje.

– Daj spokój, co miałyby kryć.

– A nie korciło cię, żeby tam zajrzeć?

– Oczywiście, że korciło. Nawet jest okienko, dość spore, próbowałam tam zajrzeć, tyle że szyba mleczna i nic się nie dało zobaczyć.

– Dziwne... Bardzo dziwne. Może ona tam kogoś ukrywa?

– Dorota! – Alicja parsknęła śmiechem. – Twoja wyobraźnia nie zna granic!

– Mówiłaś, że ma syna... Ale że niby mieszka w Australii?

– Nie niby, tylko mieszka. Ma tam żonę i dwóch synów.

Zapewniam cię, że nie kryje się w piwnicy, bo sama kiedyś odebrałam telefon, gdy dzwonił. Jest duża różnica czasu, zaspana byłam jak diabli, ale słyszałam go na własne uszy i nawet chwilę rozmawialiśmy o rodzinie.

– To może męża tam trzyma.

– Wujek nie żyje.

– No przecież nie powiedziałam, że żyjącego...

– Bardzo śmieszne.

– Nie śmieszne, tylko dramatyczne. Możliwe, że go tam trzyma, mówię ci. Nawet nie wiesz do czego kobiety są zdolne. Karen McCluskey trzymała zwłoki swojego męża w zamrażarce wypełnionej lodem. W piwnicy właśnie.

– Jaka McCluskey?

– *Z Gotowych na wszystko.*

– Nie oglądałam, to po pierwsze. Po drugie – to tylko serial, już przestań wymyślać.

– Na twoim miejscu bym się tym zainteresowała. Jeśli ciotka trzyma tam trupa...

– O Boże! No przecież nie wejdę tam podczas jej nieobecności... Chociaż wiem, gdzie trzyma klucz.

– Ja bym weszła.

Na chwilę zapadła cisza. Alicja zagryzła wargi, walcząc ze sobą. W końcu jeśli nic tam nie ma, zamknie drzwi, odłoży klucz na miejsce i ciocia nigdy się nie dowie, że tam weszła. A jeśli coś znajdzie...

– Myślisz, że może trzymać tam trupa? – spytała zaniepokojona.

– Sprawdź.

– Wystraszyłaś mnie niepotrzebnie. Czekaaj, zdejmę ziemniaki z ognia, schab niech się pichci... Gdzie ten klucz? – Alicja gorączkowo przeszukiwała miseczki na górnej półce kredensu. – Jest! O rany, czuję się jak...

– Nieważne, nic złego nie robisz. Przecież tylko sprawdzasz. To nic złego – zapewniała ją Dorota.

– Nie rozłączaj się.

– Okej. Jakby co, to ty zwiewaj, a ja zadzwonię po policję.

Alicja delikatnie włożyła klucz do zamka i przekręciła. Kiedy otworzyła drzwi i weszła na pierwszy schodek, uderzył ją zapach stęchlizny. Drżącą ręką odnalazła kontakt na ścianie i zapaliła światło. Błada żarówka oświetliła kamienne schodki.

– Schodzę... – wyszeptała do słuchawki.

Wkrótce znalazła się w niewielkim pomieszczeniu o niepomalowanych ścianach i niskim suficie. Światło wpadające przez

mleczną szybę było na tyle jasne, że nie potrzebowała włączać wiszącej żarówki.

– I co? Zesłaś? – niecierpliwiła się Dorota.

– Taaak. Ciotka mnie oszukała. Tu wcale nie ma bałaganu... – powiedziała Alicja, oszołomiona niezwykłym widokiem, który się przed nią rysował.

– Jest zamrażarka? – dopytywała podekscytowana Dorota. – Otwórz, zajrzyj i wiej. Na górze mi powiesz, czy jest trup. A ja od razu zadzwonię po policję.

– Nie wiem... Chyba tu nie ma zamrażarki. To wygląda jak... laboratorium.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie. Jest duży stół, na którym znajduje się kuchenka elektryczna z dwoma palnikami. A obok taka dziwna konstrukcja z rurkami, z jednej z nich coś kapie... do garnuszka. O rany, to mi przypomina konstrukcję, którą tata robił, żeby wyprodukować wodę destylowaną. Pamiętasz, gdy byliśmy małe, rozstawiał coś takiego w kuchni...

– Spirytus pędził – parsknęła Dorota. – Nie żadną wodę destylowaną. Nam tylko tak mówili. Nieważne. Myślisz, że ona coś pędzi?

– Na to wygląda.

– Ale co?

– Tu jest pełno roślin. Podobnie jak u góry, w kuchni. Tylko że tam są sadzonki, a tu już dorodne rośliny.

– Trawa?

– Po co jej trawa?

– O marihuanę pytam.

– Nie, na pewno nie, przecież wiem, jak wygląda marihuana.

– Może koka?

– No co ty? Znowu zaczynasz?

– A widziałaś kiedyś liście koki?

– Nie widziałam...

– To skąd wiesz, że to nie to?

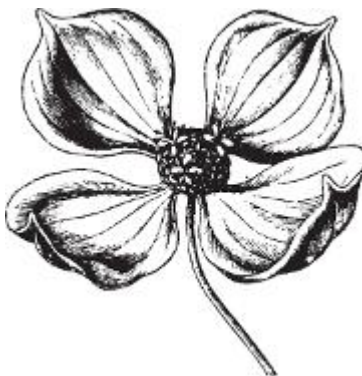
– Dorota, proszę cię...

– A ty nie widzisz, że wszystko zaczyna się układać w całość? Sprzedawczyni uprawia z tobą handel wymienny. Za kreskę. Bo wie, że mieszkasz u Józefiny, która przetwarza kokę. Proste.

– Ale Dorota, opanuj się, od razu widać, że jesteś copywriterem, nikt inny nie wpadłby na coś takiego. Niby skąd siedemdziesięciolatka w Polsce mogłaby mieć liście koki do uprawy?

– Niby stąd, że nikt by jej o to nie podejrzewał. A ćpuny pary nie puszczą. Synuś w Australii, tak? Łyknęłaś bajeczkę? Sprawdziłaś, że z Australii dzwoni? Może jednak z Kolumbii? Przysyła paczuszki.

– Jezu, w co ja się wpakowałam? – jęknęła Alicja, a w głowie jej zaszumiało.



## Rozdział 7



Nie takiego powitania spodziewała się Józefina, kiedy wieczorem dotarła do domu. Pożegnawszy się ze Stefańskim, weszła do przedsionka i już od progu została zaatakowana przez Alicję słowami:

– Nie to, żebym była wścibska, ciociu, ale chyba zapomniałaś zamknąć drzwi do piwnicy – wycodziła Ala półgłosem, uważając, aby zasypiająca na górze córka nie usłyszała rozmowy. – A Matysia, biegnąc, zawadziła o klamkę i je otworzyła... – Kłamstwo wyciekało jej z ust niczym harmonijnie skomponowana muzyka. – Pomyślałam, że skoro nadarza się okazja, to sprawię ci niespodziankę i jednak posprzątam te pajęczyny... – Zamilkła, obserwując reakcję ciotki. Ponieważ jednak Józefina stała w milczeniu, Alicja mówiła dalej: – Ale tam nie ma pajęczyn. Teraz się nie dziwę, dlaczego nie byłaś szczęśliwa z powodu naszego przyjazdu. Nie potrafiłaś odmówić... Ale trzeba było. Wolałabym tu nie przyjeżdżać. Nie do wiary, żeby taka staruszka parała się takim zajęciem...

– A co wiek ma do rzeczy? – Józefina odzyskała głos. – Przecie im starsza, tym jestem bardziej wiarygodna w tych sprawach. Klienci nie narzekają.

– Mój Boże... – Alicja westchnęła. – Nawet nie chcę tego słuchać. O niczym nie chcę wiedzieć. Przecież gdyby policja się dowiedziała...

– Że niby Grzelak? – Ciotka prychnęła. – On przecie wie. Wszyscy wiedzą.

– To akurat zdążyłam zauważyć. Wojtaszkowa próbowała dobić ze mną targu. Nieważne. Jutro wyjeżdżamy z Matyldą. To nie na moje nerwy. Miała być wieś sielska anielska, a o mały włos nie stałam się dilerem prochów dzięki cioci. Pieniądze, które jestem winna

Wojtaszkowej prześlę przekazem pocztowym. Niech ciocia jej nie daje żadnej kreski, ja nie chcę być pośrednikiem.

– Ale o czym ty, dziecko, mówisz? Przecie ja prochów żadnych nie sprzedaję, apteki nie prowadzę. Ino ziółka.

– Jak zwał, tak zwał. Ja cioci nie wydam, może być ciocia spokojna. Chyba że ktoś inny, to wtedy na przesłuchaniu kłamać też nie będę.

– A co to, ziółek nie można zbierać i hodować? Pierwsze słyszę! – zaperzyła się Józefina. – Że firmy nie prowadzę, podatków nie płacę, o to ci chodzi? Do skarbówki chcesz mnie podać? A proszę cię bardzo. Niech przesłuchują, wszystkiego się wyprę, powiem że to na własny użytek. Świadców nie ma. Już od dwóch lat na wsi cicho siedzę. Od nikogo oficjalnie pieniędzy nie przyjąłem. Kryśka mi dała do wiwatu, teraz ty jeszcze policją mnie straszysz?

– Ciociu, bo to jest nielegalne... – wyszeptała Alicja, zdziwiona wojowniczą postawą ciotki.

– Jakie tam nielegalne? A nauczycielka, co za korepetycje od dzieci kasę bierze, to podatki płaci? A ksiądz to podatki płaci od datków, które mu na tacę spływają? Już się mnie dziecko nie czepiaj, bo takich przykładów to na pęczki, a ja kokosów nie zarabiam.

– Ale ja nie o tym. – Alicja ściszyła głos. – Ja o tych ziołach, co ciocia pędzi, te narkotyki czy coś. No, sama Wojtaszkowa chciała ode mnie kreskę dzisiaj.

– Jakie narkotyki? Jaką kreskę? – Józefina zapiszczała cienko, łapiąc oddech.

– Za kreskę chciała mi sprzedać mięso, bo pieniędzy nie miałam.

– Za jaką kreskę, dziecko? O zeszyt ci chodzi?

– O jaki zeszyt? Mięso chciałam kupić, schab.

– Matko Boska Częstochowska. Nic z tego nie rozumiem.

Awanturę mi robisz w progu, nawet butów zdjąć nie zdążyłam. I nie wiem, czy burzysz się o piwnicę, o miętę czy o schab?

– O jaką miętę? Co ciocia teraz znowu?

– Dziecko... – Józefina przygryzła wargi i zamilkła w zamyśleniu.

– Czy ty chcesz mi powiedzieć... – wyszeptała po chwili – że ty narkotyki bierzesz?



– Ja?! – Alicja aż się wyprostowała, zdumiona.

– No przecie nie ja.

Przeszły do salonu w milczeniu. Alicja usiadła przy stole oszołomiona. Józefina odstawiła torbę podróżną, po czym podeszła do kredensu i wyjęła z niego karafkę wiśniowej nalewki oraz dwa kieliszki.

– Wszelkie niesnaski trza wyjaśniać od razu – powiedziała nieco już łagodniejszym tonem. – A Stasiulek mawiał, że nie ma nic lepszego na nerwy jak wiśniówka. Wypijemy po kieliszeczku, ciśnienie nam spadnie i wyjaśnisz, dziecko, co ci leży na sercu, bo na razie ni w ząb nie rozumiem.

Alicja ochoczo wypiła kieliszek, potem drugi. Przy trzecim wyjaśniła jeszcze raz, tym razem wolno i dokładnie, skąd jej podejrzenia co do nielegalnej działalności ciotki. Józefina kręciła głową w skupieniu, nie pijąc, ale maczając usta w kieliszku z wiśniówką.

– Teraz rozumiem – przyznała w końcu. – Wolę nawet nie pytać, co się w miastach dzieje, skoro na widok ziół pomyślałaś o narkotykach. Mój Boże, co za czasy, co za czasy... Przecie ja opium nie uprawiam. Toż to zwykle rośliny, jakich wiele w lasach i ogródkach. Mięta, tymianek, lubczyk, grog.

– Myślałam, że to kokaina... Bo przecież Marek w Kolumbii...

– W Australii.

– No tak. – Alicja sięgnęła po czwarty kieliszek. – A Wojtaszkowa z tą kreską... No i Dorota zadzwoniła. Zgłupiałam, nawet nie przyglądałam się roślinom z bliska. Może gdyby ciocia robiła te swoje wywary w kuchni, jak człowiek, a nie chowała się po piwnicach. Po co taka konspiracja? Dlaczego ciocia od razu mi nie powiedziała, że para się zielarstwem?

– Och, bo to nie jest typowe zielarstwo... Nie wiedziałam, co sobie o mnie pomyślisz. Ledwie się znamy...

– Nietypowe zielarstwo? To jakie? – Alicja podniosła wzrok.

– Miłosne.

– O błagam, chyba nie chciałam tego wiedzieć. – Alicja spojrzała krzywo.

– Należę ci jeszcze.

Józefina napełniła kieliszek Alicji i dopełniła swój, żeby móc nadal

moczyć w nim usta. Z kuchni przyniosła herbatniki i postawiła je na stole. Sięgnęła po jeden i chrupiąc wolno, odpłynęła w zamyślenie.

– Starość to przedziwny stan – powiedziała, przysuwając się z krzesłem do Alicji. – Stan, w którym jesteś, a jakbyś zniknęła. Bo niby żyjesz, ale inni odchodzą. A starość w samotności jest niczym przedsiónek śmierci. Smutna poczekalnia, w której czekasz w milczeniu na swoją kolej. Ja nie chciałam umierać. Zawsze byłam aktywna, pracowita, lubiłam też robić coś dla innych. Bóg dał mi tylko jedno dziecko. Cieszyliśmy się ze Stasiem, że Marek zdolny jest, że na studia poszedł. Kiedy wyjechał do Ameryki na stypendium, trzymaliśmy kciuki, aby go tam docenili, żeby wrócił pewny siebie. Bo miał wrócić. Ale zakochał się w tej swojej Betty i pojechał za nią do Australii. Miłość, mówią, nie wybiera. Cóż miałam robić, dałam błogosławieństwo, mimo że syn jedyny i tak daleko... Zostaliśmy ze Stasiulką sami, ale było co robić. Pracowałam w ośrodku, w domu też nie brakowało roboty. Odkąd przeszłam na emeryturę, doglądałam gospodarstwa razem ze Stasiulką. Kiedy osłabł, wyprzedaliśmy trzodę, ale dalej miałam zajęcie, bo doglądałam Stasiulka, i tak się jakoś kręciło... A potem, kiedy Staś odszedł... – Józefina zamilkła.

Alicja zastygła w bezruchu, czekając na dalszą część. Nie miała odwagi dopytywać. Zauważyła, że ciotce zaszklily się oczy. Przez chwilę siedziały w milczeniu. Wahadło zegara, którego podczas nieobecności ciotki zapomniała nakręcić, nagle stanęło. Józefina podniosła się i wyciągnawszy ze schowka kluczyk, nakręciła sprężynę.

– Widzisz, dziecko – zwróciła się do Alicji, na powrót siadając przy stole – im ludzie starsi, tym bardziej pragną być potrzebni. Samotność jest wrogiem życia. Po śmierci Stasiulka długo nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Nie miałam już dla kogo gotować, komu pracować, z kim rozmawiać. Nikt nie prosił mnie o herbatkę z malinami, o podłączenie radia, o nic. Czułam, że zapadam się w niebyt. Owszem, przychodziły koleżanki, sąsiadki, miałam z kim porozmawiać. Ale przecież w końcu wracały do siebie, a ja snułam się po domu, szukając zajęcia. Nie dla mnie śmierć z powodu nieistnienia, nie dla mnie – zaśmiała się. – W mieście może jest co robić i dla starszych też pewnie coś by się znalazło. Ale tu? Poszłam raz na spotkanie kółka

różańcowego, ale wróciłam jeszcze bardziej przybita. Te smętne pieśni, zawodzenie. Wierząca jestem, ale jeszcze nie martwa przecie. Byłam też w szkole, pytałam, czy nie potrzeba woźnej lub sprzątaczkę, opiekunki w świetlicy albo co. Ale nie potrzebowali. No, w końcu zaczęłam chodzić do tej naszej Biblioteki, co się tworzyła. Ludzie przynosili wszystko. Powieści, słowniki, książki kucharskie. I tak trafiłam na zielnik. A potem na tę zmurszałą księgę magii miłości. Z nudów zaczęłam eksperymentować. Nauczyłam się, jak rozróżniać zioła, jakie mają właściwości. Zaczęłam robić wywary, wyciągi, susz... No i trafiła się Justynka. Też przychodziła do Biblioteki, szukała romansów. To była nieśmiała, zapyziała dziewczyna, rzadko rozmawialiśmy. Ale kiedy przyuważyłam, co czyta, przyniosłam jej wyciąg z lubczyka i mówię: „Justynko, masz tu eliksir miłości. Ubierz się ładnie, uczesz, wypachnij i dolej go do napoju temu chłopcu, którego pragniesz za męża”. Popatrzyła na mnie zdziwiona, ale wzięła buteleczkę.

– I co, zadziało? – dopytywała Alicja.

– Ach, tydzień później wróciła po więcej.

– Nie do wiary. I wzięła ślub?

– No, aż tak skuteczna wtedy nie byłam – przyznała ciotka. – Ale Justynka zadowolona, Grzesiek, co się w nim kochała, zaczął ją zauważać. Wyszła trzy lata później za innego, ale co użyła z Grześkiem, to jej. I właśnie dzięki niej wieść o moich eliksirach się rozeszła, zaczęłam mieć chętnych, z początku tu, we wsi, potem już sława dotarła aż do Wrocławia. Musiałam zatrudnić do pomocy Teresę. Ona też samotna. Szybko się wdroszyła. Tyle że zaczęłyśmy mieć problem z Krystyną.

– A co to za Krystyna?

– Prowadzi u nas to kółko różańcowe. Bardzo zaangażowana.

Trudna, bojowa nawet, powiedziałabym. Lepiej jej w paradę nie wchodzić. Kiedy zauważyła, że u nas tłumy, zaczęła panikować. Zwykła zazdrość. – Ciotka prychnęła. – Wiesz, jak to jest...

– Nie bardzo – przyznała Alicja.

– Chodzi o strefę wpływów. Wcześniej to do niej przychodziły te biedne panny, modląc się o męża. Odkąd moje eliksiry zaczęły działać, Kryśka straciła posłuch. Zaczęła rozpowiadać, że czarownicą jestem, że wiedźmą... Zwykła zazdrość. Przecie ani ja, ani Teresa nie używamy

czarnej magii, nie zabijamy żab, nie karzemy przynosić obciętych włosów czy co tam wiedźmy używają. No, ale Kryśka to Kryśka. Jak zaczęła rozpowiadać, to uznałyśmy z Teresą, że nie ma co i trzeba nieco sprawę ułagodzić... Konfliktów nie chcemy, a że obydwie wierzące jesteśmy i z Panem Bogiem żyjemy dobrze, to wołałyśmy, żeby nas ludzie na mszy palcami nie wytykali. Szczególnie że Teresa słuch ma kiepski i zawsze w pierwszym rzędzie musi siadać, na widoku.

– I tym sposobem zeszyście do podziemia – dodała Alicja.

– Taaa... Dosłownie. – Ciotka się roześmiała. – Udajemy, że zaprzestałyśmy działalności... Ale zamówień nam nie brakuje. Teresa odziedziczyła po ojcu chatkę pod Oławą. Tam jeździmy co jakiś czas i spotykamy się z pacjentkami. Bo tak je nazywamy – dodała z powagą. – Samotne serca pragnące miłości. Pacjentki, które dzięki naszym eliksirom zdrowieją.

– I pewnie nieźle płacą – zadumała się Alicja.

– Nie myśl sobie! – obruszyła się ciotka. – My zachłanne nie jesteśmy. Tyle, żeby się podróż zwróciła. Dla nas ważniejsze jest, że kobiety, bo głównie kobiety przychodzą, są zadowolone, że jesteśmy im potrzebne, że im pomagamy. Na pieniądze to ja nigdy łasa nie byłam. Mnie do szczęścia niepotrzebne, chociaż nie powiem, zbieram sobie. Jak uzbieram, to odwiedzę Marka w tej Australii, wnukom prezenty kupię – rozmarzyła się.

– I kobiety naprawdę uważają, że te eliksiry działają? – Alicja pokręciła głową.

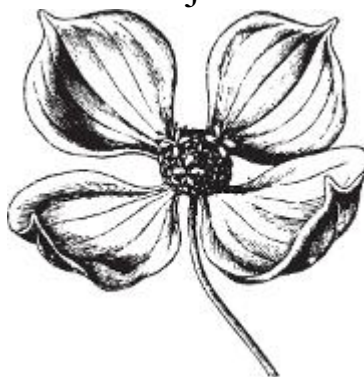
– Nie narzekamy na brak chętnych. Gdybyś ty potrzebowała...

– O nie, nie. – Alicja podniosła ręce i roześmiała się. – Ja dziękuję. Rozumiem, że kobiety szukają jakichś sposobów, chodzą do wróżek, kupują ziółka na miłość. Ale ja w coś takiego nie wierzę. Niech sobie inne całują żaby, ale ja wyrosłam już z takich bzdur.

– Dobrze sobie – wymamrotała Józefina pod nosem.

– Ważne, że mnie uspokoiłaś. Przepraszam za te oskarżenia, teraz mi głupio. Cieszę się, że masz takie hobby i znasz się na roślinach. Pomijając bajki o eliksirach miłości, uważam, że jesteś dobra w tym, co robisz. Syrop z cebuli to strzał w dziesiątkę, muszę wziąć przepis. I na tę wiśniówkę także.

– A wiśniówka to akurat nie moja. Pietrek kiedyś przyniósł.



## *Rozdział 8*



Gdyby nie donośny krzyk Matyldy, nawołującej przez okno kolegów, Alicja spałaby zapewne do południa. Wypity w nocy alkohol podziałał na nią lepiej niż środek nasenny, ponieważ po skończonej rozmowie ciotką zapadła w sen miękko i przyjemnie. Nie pamiętała, czy coś jej się śniło, obudziła się jednak w dobrym nastroju.

– Matysia, nie krzycz tak, przecież nikt cię nie usłyszy, oni są w szkole. Nie zapominaj, że tylko ty masz wcześniejsze wakacje. Rok szkolny jeszcze trwa – powiedziała, przeciągając się leniwie. Zerknęła na zegarek. Dochodziła jedenasta. – Zrobię ci śniadanie.

– Już jadłam. Ciocia mi dała chleb z cukrem.

– O nie. – Alicja zmarszczyła brew.

– O tak. Najpyszniejszy na świecie. Mniam, mniam. Dzwoniła ciocia Dorota – przypomniało się Matyldzie. – Budziłam cię, ale spałeś jak suseł. Kazała powiedzieć, że masz oddzwonić natychmiast, jak wstaniesz. Mogę iść na dwór? Podmucham latawce.

– Oczywiście, leć.

Alicja usiadła na łóżku. Zadowolona, że po wczorajszym pijaństwie ani śladu i czuje się dobrze, chwyciła za telefon i wybrała numer Doroty. Siostra odebrała już po pierwszym sygnale.

– No i co? – dopytywała. – Mów!

– I nic. – Alicja się roześmiała. – Ty wariatka jesteś, tyle ci powiem. A ja jestem druga wariatka, że cię posłuchałam. Szkoda gadać. Aż mi wstyd, że byłam taka głupia, żeby dać się wkręcić w te twoje teorie na temat produkcji narkotyków przez wiekową staruszkę.

– A co, nie produkuje?

– Nie produkuje.

– Jak to, przecież na własne oczy widziałaś liście koki!

– Widziałam liście, owszem, ale nie koki. Z tą koką to był twój pomysł. A ja się dałam wciągnąć. A wystarczyłoby zajrzeć do internetu, żeby sprawdzić, co to za rośliny. Ech, durna jestem i tyle.

– No to co ona z tych roślin produkuje?

– Uśmiejesz się. Eliksięry miłości. Wyobraź sobie, że nasza ciotka hoduje zioła. Lubczyk i te sprawy. Robi z nich wyciągi i potem sprzedaje naiwnym kobietom, które czekają na cud miłości.

– Eliksięry? Żartujesz sobie? – Dorotę po drugiej stronie słuchawki zatkało.

– Wiem, też mnie to rozbawiło. – Alicja westchnęła z uśmiechem.

– No, ale przecież nie będę jej wyśmiewać. Ciotka bardzo się w to zaangażowała. Ważne że ma zajęcie, w dodatku trochę sobie dorobi do emerytury. Powiedziałam jej oczywiście, co sędzę o takich bzdurach, ale nie mam prawa jej oceniać. Niech sobie siedzi w tej piwnicy i czaruje. Ja nie mam zamiaru tam nawet wchodzić... W każdym razie, skoro sprawa się wyjaśniła, to jednak zostajemy z Matyldą. Wczoraj przegadałam z ciotką niemal pół nocy, dasz wiarę? I wypiliśmy prawie całą butelkę wiśniówki. To znaczy ja wypiałam, bo ona tylko moczyła us...

– Ala, posłuchaj – przerwała Dorota, zniżając głos do szeptu. – Daj mi adres, gdzie wy konkretnie jesteście? Co to za wieś? Jak tam dojechać?

– A po co? Przecież mówiłam, że u nas wszystko w porządku. Sprawa się wyjaśniła, narkotyków tu nie ma, nic nam nie grozi. Nie musisz mnie ratować z żadnej opresji.

– Kochana, nie mogę teraz głośno gadać, tu ściany mają uszy, boję się, żeby nie usłyszały o tych eliksirach. Nie chcesz chyba, żebym ci zwiozła pół biura? Wyślij mi SMS-em adres, jutro piątek, urwę się wcześniej i przyjadę. Urlop mi się zaczyna. Miałam jechać na Mazury, ale... No, nieważne, plany się zmieniły. Uprzedź ciotkę, mam nadzieję, że nie będzie miała nic przeciwko.

– Dorota, ty chyba nie chcesz mi powiedzieć, że...

– Dobra, dobra, pani racjonalna. Ty sobie rób, co chcesz, ale ja nie mam zamiaru przepuścić takiej okazji! Własna ciotka! Mój Boże, dlaczego tak późno ją poznałyśmy! Że też babcia nic nie pisnęła, że

mamy taki skarb w rodzinie. Ty wiesz, ile można by było zdziałać? Dolewasz kilka kropel i każdy jest twój! Kobieto!

– No chyba nie wierzysz w to, że wystarczy dodać kroplę wyciągu z jakiegoś zielska, żeby facet się w tobie zakochał.

– A cóż mi szkodzi to sprawdzić? – syknęła Dorota i Alicja już wiedziała, że nie ma odwrotu.

Zeszła na dół w nieco mniej radosnym nastroju niż ten, który towarzyszył jej, gdy wstała. Ciotka kręciła się po kuchni, nucąc jakąś mało znaną piosenkę. Na widok Alicji wstawiła wodę na kawę i otworzyła lodówkę, skąd wyjęła masło, szynkę i żółty ser. Produkty postawiła na stole, a następnie sięgnęła po leżący na kredensie bochen chleba i przytknęła go do piersi. Operując jak zwykle nożem niemalże w powietrzu, odkroiła z niego porządną kromkę.

– Dwie czy trzy kanapki? – spytała.

– Nie jestem głodna. Zjem tylko jedną. Dziękuję. Ciociu, mam złe wiadomości...

– Mój Boże, co się stało? – Józefina odłożyła nóż.

– Dorota chce jutro przyjechać. Moja siostra. Wygadałam się jej o tych twoich eliksirach... Nie sądziłam, że ona... Nawet jeśli w to wierzy, to po co jej eliksir, przecież ma faceta – mówiła ni to do ciotki, ni to do siebie. – Ale się uparła, że przyjedzie. Strasznie przepraszam.

– Ale za co przepraszasz? – Józefina wstała i z powrotem sięgnęła po chleb i nóż. – Niech przyjeżdża, mamy jeszcze jedno łóżko.

– Głupio mi, bo najpierw ja i Matylda, a teraz jeszcze Dorota się zwała cioci na głowę. Ale ona tylko na kilka dni.

– A niech przyjedzie i na miesiąc. Mnie tam nie będzie przeszkadzać, wesoło tu z wami. A teraz, odkąd nie mam już tajemnic, to tym bardziej. Tylko nie rozgłaszaj we wsi, nie chcę, żeby Kryśka znowu gadała.

– Nic nie pisnę. Tylko Dorocie powiedziałam. – Alicja z uśmiechem podniosła dwa palce w górę.

– Mamo, pamiętasz, co mi obiecałaś? – Matylda wpadła do kuchni umorusana w błocie.

– Jak ty wyglądasz? – przeraziła się Alicja. – Umyj się natychmiast, gdzie się tak ubrudziłaś, przecież na dworze jest sucho!



– Sama sobie kałuże porobiłam – odparła Matyllda z dumą. – Szlauchem. Wystarczy trochę ziemi i woda. Mam większe kałuże niż te u Michała i Ewy, bo ja najpierw wykopałam dół!

– O rany, ciociu, przepraszam, nie wiem, co ona wymyśliła. Mam nadzieję, że nie kopała tego dołu pośród twoich grządek.

– Daj ty spokój – zganiała Alicję Józefina. – Niech się dziecko bawi. Leć, Matysia, wykop sobie więcej dziur, najwyżej je wieczorem zasypujemy.

– Mamo, a pamiętasz, co mi obiecałaś? Babeczki jagodowe.

– Ach, rzeczywiście. Dobrze, przebierz się, a ja zjem śniadanie i zaraz jedziemy na babeczki.

– A mogłabyś sama je przywieźć? – spytała przymilnie Matyllda. – Bo ja jestem zajęta. A zaraz wrócą ze szkoły Ewa i Michał i pewnie będą chcieli przyjść do mnie na kałuże.

– Będą chcieli przyjść na kałuże – powtórzyła Alicja. – Rozumiem. Dobrze, przywiozę ci babeczki.

\*

Alicja zeszła z roweru, żeby napić się wody. Spojrzała na zegarek. Było wpół do pierwszej. Najchętniej zawróciłaby i pojechała do lasu pokręcić się zacienionymi alejkami, wsłuchać w szept drzew i delectować się cudownym zapachem mchu i poszycia leśnego. W taki dzień jak ten wycieczka na Rynek była chybionym pomysłem. Rozgrzany asfalt zdawał się płynąć, a powietrze stało, przytłaczając duchotą. Zanosilo się na burzę. W lesie z pewnością byłoby chłodniej i przyjemniej. I byłoby czym oddychać. Nie to co na spalonej słońcem szosie wśród pól. Woda, którą wiozła przed sobą w koszyku, na szczęście nie zdążyła się jeszcze nagrzać. Upiła kilka dużych łyków, a resztką, która została w butelce, połała się po karku. Przez chwilę delectowała się przyjemnym, spływającym po plecach chłodem.

Schowała pustą butelkę do koszyka i wsiadła na rower. Skręciła w szutrową drogę. Już po chwili mijała małą szkołę, pod którą kilkoro dzieci grało w piłkę. Zauważywszy stojący przy furtce śmietnik, zatrzymała się, by wyrzucić butelkę. Miała już jechać dalej, gdy zatrzymał się przy niej biały samochód.

– Dzień dobry – usłyszała damski głos.

Za kierownicą citroëna siedziała krótko obcięta blondynka w ciemnych okularach.

– Dzień dobry – odpowiedziała Alicja.

– Gdzie tu można kupić fajki? – spytała kobieta znudzonym głosem.

– We wsi są dwa sklepy. Jeden na Rynku, drugi – U Wojtaszka. Musiałaby pani zawrócić i przy krzyżu skrócić w lewo – wyjaśniła.

– Byłam. Nie mają. Ja palę cienkie vogue’i z fioletową kropką. Nawet o takich nie słyszeli. Gdzie tu jest jakiś porządny sklep? – spytała, kładąc nacisk na słowo „porządny”.

– Niestety, nie wiem. Ach... – Alicja nagle doznała olśnienia. – Pani zapewne przyjechała z Wrocławia? I wynajęła tutaj dom na wakacje? – przypomniła sobie informacje, którymi niedawno raczyła sąsiadka ciotki. – Ja też nietutejsza – dodała z uśmiechem. – Przyjechałam z Warszawy, też na wakacje. Alicja jestem – przedstawiła się, wystawiając rękę.

Kobieta nie podała swojej. Patrzyła na nią w milczeniu, bez cienia uśmiechu.

– Sorry – powiedziała w końcu. – Nie przyjechałam tu, żeby się zaprzyjaźnić, źle trafiłaś.

Alicja zastygła z wyciągniętą ręką.

– Rozumiem – powiedziała zmieszana. – Co do sklepu z papierosami, niestety nie pomogę, ponieważ nie palę. Cześć.

Nie czekając na odpowiedź, wsiadła na rower i odjechała. Była zniesmaczona. Żałowała, że w ogóle dała się wciągnąć w rozmowę. Od razu trzeba było powiedzieć „nie palę” i odjechać. Co to za babsztyl cholerny, przecież nie miałam zamiaru się z nią zaprzyjaźnić! – myślała wzburzona.

Kiedy dojechała do – otwartej na szczęście – cukierni Marianny, wciąż jeszcze czuła podenerwowanie.

– Dzień dobry. – Marianna skinęła głową z uśmiechem. – Cieszę się, że pani pamiętała o mnie. A gdzie mała?

– Nie mogła ze mną przyjechać. Bawi się z dziećmi sąsiadów. – Alicja starała się brzmieć swobodnie i lekko, ale w głowie ciągle unosił

się nieprzyjemny ton kobiety z citroëna.

– Męczący ten upał... – zagadnęła Marianna, wyczuwając najwyraźniej zły humor Alicji.

– Upał jak upał. Męczący to są ludzie. Miałam przed chwilą nieprzyjemne spotkanie z jakimś babsztylem, który niemal zmiądzzył mnie wzrokiem, po tym, jak się przedstawiłam.

– Nie rozumiem...

– Szczerze mówiąc, ja też nie. – Alicja zazgrzytała zębami i opowiedziała dokładnie o tym, co ją spotkało. Kiedy wyrzuciła z siebie złość, trochę jej ulżyło.

– Niech się pani nie przejmuję. – Marianna machnęła ręką. – Ludzie bywają dziwni. Gdybym ja się przejmowała, to już dawno bym zwariowała albo co najmniej wyprowadziła się stąd.

– Ojej, aż tak źle? – udała zdumienie Alicja. Po rozmowie z Marchewą i Kasią czuła, że wie o Mariannie niemal wszystko, jednak nie chciała dać po sobie tego poznać.

– Nie – roześmiała się Marianna. – Aż tak źle nie jest, dlatego wciąż tu mieszkam. Ale kiedyś się przeprowadzę do Wrocławia i będę miała spokój. Tam nikt mnie nie zna, znajdę sobie jakichś przyjaciół – rozmarzyła się. – Albo sprzedam wszystko i przeniosę się do Londynu. I tam otworzę cukiernię. Wie pani, jak Anglicy lubią babeczki? Do wieczornej herbatki jak znalazł. Tam na pewno nikt nie będzie wyśmiewał moich sukienek. Studiowałam w Anglii. Tam nic nikogo nie dziwi, można wyjść po bułki w szlafroku i krzywo nie patrzeć. Nie to co u nas...

– Chce pani wyjechać, bo tu się babeczki nie sprzedają...? – zagadnęła Alicja.

– Nie. Nie o to chodzi. – Zamyśliła się. – Przepraszam, bo ja tak panią zagaduję, a pani pewnie się spieszy.

Alicja się uśmiechnęła. Po niemiłych doświadczeniach z blondynką miała ochotę porozmawiać z kimś przyjaznym.

– Alicja jestem. – Mrugnęła do Marianny i podała rękę. – Nigdzie się nie spieszę. Córka biega zadowolona z kolegami, nie sądzę, żeby za mną tęskniła.

– Marianna – odpowiedziała kobieta z uśmiechem i uściśnięła dłoń

Alicji. – Może napijemy się kawy?

– Chętnie.

– Zajrzę tylko do babci i zaraz wrócę.

Alicja usiadła przy stoliku. Przez szybę obserwowała ludzi przechodzących przez Rynek. Przez chwilę wydawało jej się, że w słońcu mignęły rude włosy Marchewy, jednak jej samej nie zauważyła. Rynek zaczynał tętnić życiem. Głównie za sprawą dzieci i młodzieży, którzy pod koniec roku szkolnego wcześniej kończyli zajęcia i spotykali się na ławeczkach ustawionych na skwerku wokół starej studni.

Marianna po powrocie stanęła przy ekspresie. Alicja z zachwytem przyglądała się jej sukience, tym razem zielonej z białą lamówką przy dekolcie. Delikatny złoty pasek współgrał ze złotymi sandałkami na małym obcasie.

– Proszę. – Marianna postawiła na stoliku dwie filiżanki cappuccino. – Może babeczkę? – Mrugnęła porozumiewawczo.

– O nie, zostanę przy kawie. Wczoraj przekroczyłam swój limit słodczy.

– Słodczy nigdy za wiele – uśmiechnęła się Marianna. – Trzeba słodzić sobie życie, świat przyprawiać lukrem. Tak przynajmniej powtarzała moja mama. Uważała, że na świecie jest tyle goryczy i brzydoty, iż dla zachowania równowagi należy szeroko się uśmiechać i w sercu pielęgnować piękno. I ładnie się ubierać, bo według niej ubranie nie tylko zdobi człowieka, ale także wpływa na jego nastrój.

– Coś w tym jest, ja na przykład, zakładając buty na obcasie, robiąc sobie fryzurę i makijaż, czuję się bardziej pewna siebie. Tyle że nie mam w sobie na tyle determinacji i odwagi, żeby chodzić tak na co dzień. Nie stroję się więc wcale, bo nie mam okazji... Ale miło byłoby założyć sukienkę. Chociaż, z drugiej strony, wygodniej mi w spodniach i trampkach. – Spojrzała na siebie krytycznie. – Tak, może niezbyt elegancko, ale wygodnie. Szczególnie na rower.

– O, to kwestia podejścia i przyzwyczajenia. Ja nawet na rowerze jeżdżę w sukienkach.

– Do ciebie sukienki pasują – przyznała Alicja. – Ty i te babeczki... Te błękitne ściany, różowe dodatki...

– Chciałam, żeby było ładnie. Mama lubiła takie kolory, ale cukiernia tutaj nie funkcjonowała od wielu lat. Kiedyś, jeszcze jak był ośrodek wczasowy, to i cukiernia działała, wciąż były zamówienia na ciasta, torty, ciasteczka. No a potem... Kiedy babcia zaniemogła i się do nas przeniosła, tata sprzedał jej dom i zainwestował pieniądze w cukiernię we Wrocławiu, a potem, gdy odniosła sukces, w dwie małe kawiarenki. To był nie tylko cukiernik, ale i prawdziwy biznesmen. Planował otworzyć sieć cukierniczą... Rodzice chcieli i ten dom sprzedać i przeprowadzić się do Wrocławia. No ale... – Mariannie załamał się głos.

– Słyszałam o tym, co się stało... Bardzo mi przykro.

– Nie chcę tu mieszkać, patrzenie na każdy przedmiot boli.

Najchętniej uciekłabym i zaczęła nowe życie. Po tacie odziedziczyłam talent cukierniczy, po mamie miłość do piękna. Chcę połączyć jedno w z drugim. Odmalowałam cukiernię, urządziłam ją na nowo, wymyślałam babeczki, które później powielane są przez moich wrocławskich cukierników. Dzięki temu mam przed oczyma swój cel i jakoś daję radę. Na szczęście lokale we Wrocławiu dobrze prosperują, tata miał nosa do ludzi, ja tylko raz w miesiącu jeżdżę i doglądam. – Marianna przełknęła spływającą do gardła łzę. – Przepraszam – odchrząknęła. – Niepotrzebnie tyle gadam. Zaraz się doprowadzę do porządku. – Wysmarkała nos w serwetkę i odetchnęła głęboko.

– Nie szkodzi, naprawdę. – Alicja chwyciła ją za rękę. – Nie musisz się mną krępować. Możesz mówić, ile chcesz, możesz sobie płakać, nawet sobie nie potrafisz sobie wyobrazić, jak jest ci ciężko.

– Przepraszam – załkała Marianna. – Miałam się uśmiechać, są wakacje, świeci słońce, w końcu ktoś przyszedł do cukierni, a ja się rozmazuję jak głupia. Strasznie mi wstyd, po prostu dawno z nikim nie rozmawiałam. Czasem wpadnie jakaś stara sąsiadka, zapyta o babcię, powspomina rodziców, ale to są krótkie chwile, zazwyczaj jestem sama...

– Ale miałaś pomysł, żeby sprzedać dom i przeprowadzić się do Wrocławia. Może to jest dobra myśl.

– Teraz nie mogę.

– Dlaczego?

– Ze względu na babcię. Już wcześniej chorowała, ale krótko po śmierci rodziców, prawdopodobnie na skutek stresu, miała wylew. Od tamtej pory jest częściowo sparaliżowana, muszę się nią opiekować, tylko ona mi została. Kocham ją najbardziej na świecie.

– No, ale mogłabyś przecież zabrać babcię ze sobą.

– Bardzo bym chciała. – Marianna westchnęła. – O niczym innym nie marzę. Ale po tym wszystkim nie chcę jej dodatkowo stresować. Starych drzew się nie przesadza. Nie wiem, jak babcia zniosłaby przeprowadzkę. Tutaj wystawiam ją czasem w fotelu na taras, widzi wszystko z góry, lubi sobie powspominać. Odkąd przestała całkowicie chodzić, mnie samej ciężko ją znosić z góry. Tylko kiedy przyjeżdża pielęgniarka, pomaga mi ją znieść i możemy wyjść na spacer. Na jesieni planuję remont, żeby tu na dole zrobić pokoik.

Rozmowę przerwał nagły hałas dochodzący z zewnątrz. Alicja i Marianna podniosły głowy, wypatrując źródła krzyków. Dzieciaki, siedzące dotąd na ławkach i biegające po skwerze, niczym jeden mąż podążyły teraz za czarną postacią, rzucając w nią patykami i przedrzeźniając głośno:

– Czarna Maria do piekła wpadła!

– Błotnista żaba!

Piskom, śmiechom i krzykom nie było końca. Czarna Maria szła wolno przez Rynek i nie zważała na dobiegające ją przezwiska. Jej długa, czarna spódnica była brudna i mokra. Oblepione błotem buty ledwie przypominały pantofle. Dzieciarnia ku uciesze młodzieży biegła chmarą za Marią, przekrzykując się w wymyślonych na szybko określeniach.

– Zmora!

– Maria, Maria, spódnica podarta!

Nieliczni dorośli, którzy akurat byli na Rynku, w milczeniu obserwowali sytuację.

– Cicho tam, dajcie jej spokój – krzyknął starszy pan wychodzący ze sklepu. Nie widząc jednak reakcji dzieci, machnął ręką i zniknął za budynkiem.

– Ej, Maria, a gdzie ty kąpiel brałaś? Co, zapomniałaś kiecki zdjąć?  
– zarechotał przejeżdżający na rowerze obok chmary dzieci szczerbaty

mężczyzna i nacisnął mocniej na pedał, by po chwili ostro zahamować. Wzniesione drobinki kurzu przykleiły się do mokrej spódnicy. Maria bez słowa szła przed siebie.

Marianna, zauważywszy, co się dzieje, wybiegła z cukierni i pognąła w kierunku Marii.

– Do domów, gnojki! – krzyczała w kierunku dzieci mocnym, podenerwowanym głosem. – Uciekać, bo policję wezwę! No już! Zaraz ja w was czymś rzucę! A pan, panie Pokrocki – zwróciła się do mężczyzny na rowerze – jak panu nie wstyd?

– To mnie ma być wstyd? – obruszył się Pokrocki. – Jej być powinno. Idzie takie pomiotło brudne i dzieci straszy. Stara wariatka i tyle. – Wzruszył ramionami. – Pośmiać się nie wolno?

– Nie wolno! – rzuciła gniewnie Marianna, biorąc Czarną Marię pod rękę i prowadząc w kierunku cukierni. – Do domów, powiedziałam! – krzyknęła do przyglądających się im dzieciom.

Alicja stała przed cukiernią, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Czuła, że powinna dołączyć do Marianny i pomóc jej, jednak nie miała w sobie na tyle odwagi, by stanąć w obronie Czarnej Marii. Nie czuła się częścią tej społeczności na tyle, by angażować się w takie sytuacje. Nie miała też ochoty poznawać bliżej bezdomnej kobiety, dlatego, kiedy Marianna przysła z Marią u boku, Alicja uśmiechnęła się blado i zarzuciła na rower torebkę.

– Pojadę już. Nie chcę przeszkadzać – powiedziała.

– Nie przeszkadzasz. A może nawet będziesz mogła pomóc – powiedziała miękko Marianna. – Pani Mario – zwróciła się do kobiety – tu jest łazienka, proszę się umyć, a ja pobiegnę na górę i znajdę jakieś ubrania, przebierze się pani w suche rzeczy. Co się stało, że pani taka mokra? – pytała, nie oczekując odpowiedzi.

Maria w milczeniu weszła do łazienki, natomiast Marianna, hałasując obcasami, pobiegła na piętro. Po chwili zbiegła, niosąc Marii obszerną ciemną spódnicę i brązową bluzkę.

– Może odprowadzisz ją do Biblioteki? Ona tam mieszka. Lepiej, żeby teraz nie szła sama – powiedziała do Alicji, zamknąwszy drzwi od łazienki.

– Nie wiem, gdzie to jest... – wyjąkała Alicja, błagając w duchu

Mariannę, by zrezygnowała z tego pomysłu.

– No tak. Będzie szybciej, jak sama ją odprowadzę.

Alicja uśmiechnęła się i pożegnała, obiecując, że jeszcze kiedyś wpadnie.

\*

Grzelak ledwie oddychał. Takiej duchoty dawno nie było. W dodatku ta durna morderczyni, zamiast w końcu przejść do czynów, tylko jeździ na rowerze. Co za dureń w taki upał w ogóle wychodzi z domu? Na pewno nie jest normalna. Tylko psychopaci w ten sposób funkcjonują.

Dzisiaj nie zabrała ze sobą córki, przyjechała sama prosto do cukierni. Może zasadza się na Mariannę? Córka bogatych cukierników byłaby nie lada kąskiem, na pewno ma w domu sporo pieniędzy, a kto wie, może i drogocennej biżuterii po matce. Mieszka tylko z babcią, która nie chodzi, nie dałaby rady wezwać policji. Idealna sprawa. Tak! Grzelak był już prawie pewien, że zna motyw i wie, kim będzie ofiara. Teraz powinno pójść z górki. O wiele przyjemniej śledzi się sprawcę, wiedząc, kogo zamierza on ukatrupić i dlaczego. Właściwie teraz mógłby sobie odpuścić śledzenie i tylko czekać na wezwanie. Wszystko już wie.

Zadowolony przetarł dłonią mokre czoło. Jednak warto było jeździć. W dodatku miał nieodparte wrażenie, że schudł. Nie wchodził co prawda na wagę, pragnąc, by niespodzianka była większa, gdy już skończy się śledztwo. Oceniał, że gdy zacznie po wszystkim występować w telewizji, będzie miał co najmniej dziesięć kilo mniej i w końcu zmieści się w swój galowy mundur, ten ze ślubu.

Przez chwilę spoglądał, jak Alicja znika za drzewami. Taka ładna dziewczyna – pomyślał – a taka przebiegła. Po co to marnować sobie życie dla paru złotych? Ile to morderstw już dokonała wcześniej i w jakich wsiach, udając niewinną letniczkę z dzieckiem?

Zacisnął wargi, oko mu błysnęło. Pierwszy raz wpadła mu do głowy myśl, że zwykły morderca nie jest tak spektakularny, co morderca seryjny. To byłoby dopiero coś! Wytropienia seryjnego mordercy nie powstydzilby się sam Svenkoff. Danką chyba z krzesła by spadła, gdyby



się dowiedziała, że jej mąż niby taki nieudaczny, a czaił się w nim groźny zwierz. Prawdziwy łowca. Teraz wszyscy by to zobaczyli. Każdy kłaniałby mu się w pas. Skończyłyby się złośliwe szeptki, że żaden z niego komendant, a jedynie olany przez policję posterunkowy. We Wrocławiu by się o niego bili. Do Warszawy by jeździł, żeby rozwikłać dziesięć kolejnych trudnych spraw.

Rozmarzony nie usłyszał, że w kieszeni spodni od kilku ładnych minut dzwoni mu komórka.

– Halo? – spytał rozdrażniony, gdy w końcu odebrał telefon.

– Panie komendancie, to ja, Jacek. Gdzie pan jest?

– Czego tam? W szkole być nie powinieneś?

– Już skończyłem. Stoję pod posterunkiem i czekam na pana. Mam ważne informacje.

– Co tam?

– Wolne minuty mi się kończą. Wolę na żywo...

– Dobra, czekaj tam, zaraz jestem.

Niechętnie wsiadł na rower. Nie chciało mu się jechać. Brakowało mu sił. Zasapał cicho, odchrząknął i ciężką nogą nacisnął na pedał.

Kiedy dotarł na miejsce, Jacek wylegiwał się na ławeczce pod komisariatem. Oczy miał zamknięte, chyba drzemał.

– Udaru dostaniesz! – wychrypiał komendant. Bardzo chciało mu się pić. Słabą ręką sięgnął do kieszeni po klucz.

Chłopak poderwał się jak oparzony i przez chwilę nieprzytomnym wzrokiem wpatrywał w Grzelaka.

– Co za ważne informacje masz, hę? – spytał komendant, wchodząc do środka.

– To może być pomyłka. Z tą letniczką. Może to nie ona, panie komendancie. Bo przyjechała jeszcze jedna. Sam widziałem. Mieszkam przecie naprzeciwko domu Polniakowej. To znaczy tego, co wybudowali dla Zbyszka. Tera go wynajmują.

– Dom cały?

– Dom.

– Ile to kasy im wpadnie... – zamyślił się komendant, przysiadając na krześle.

– Dużo. Bogata musi być ta pani. I strasznie dziwna jest, z nikiem

nie gada. Polniakowa mówi, że nawet z nią nie zamieniła słowa. Wzięła tylko klucz, nawet nie podziękowała. Da pan wiarę?

– Psychopatka... – mruknął Grzelak.

– I sama przyjechała. Samiuteńka.

– A skąd ty to wszystko wiesz? – Grzelak nagle się ocknął.

– Wróciłem ze szkoły, matka dała supę, więc siedziałem przy stole i jadłem. A ona gadała przez okno z Wierdakową. Wszystko notowałem w pamięci, żeby panu powtórzyć. To może ona jest tą obcą, a nie ta dzieciata...

– Może tak, może nie – zamyślił się Grzelak. – Dobra! – Poderwał się nagle. Zapomniał już, że w gardle ma sucho. Odczuł nagły przypływ energii i pomysłów. – Sprawy się komplikują, możliwe, że one są w zмовie. A możliwe, że nie. Trzeba to wyniuchać. Już byłem w ogródku, już witałem się z gąską... – wycedził wściekle.

– Lubi pan gęsi?

– Co ty mi tu o gęsiach teraz! Działać trzeba! Robimy tak: ty po szkole jeździsz za tą dzieciatą, co u Józefiny mieszka. Ona przed południem i tak zawsze do Marianny jeździ, więc to mamy już obcykane. A ja zajmę się tą drugą. Mówisz, że u Polniakowej się zatrzymała, tak?

– Nie u samej Polniakowej, ale w tym domu, co oni dla syna zbudowali. Tego Zbyszka, co u Niemców siedzi.

– Dobra, nie ma na co czekać, do roboty!

\*

Alicja odstawiła rower i nie spiesząc się, weszła do domu.

– Matysia, przywiozłam babeczki! – krzyknęła, zdejmując buty w progu.

– Matyldy nie ma, pobiegła z dziećmi.

– To może ciocia się poczęstuje? Marianna dała spory zapas.

Jagodowe.

– Oho! – krzyknęła ciotka, wyjrzawszy przez okno. – O wilku mowa. Zostaw babeczki dla paczki głodomorów. Widzę, że więcej ich przyjdzie.

Alicja podążyła za wzrokiem ciotki. Przez ulicę człapała Matylda,

a tuż za nią dzieci sąsiadki i jeszcze dwie dziewczynki. Kiedy dzieci dotarły do domu, nie dało się nie zauważyć ich kwaśnych min.

– O Boże, Matylda, co się stało? – zapytała przerażona Alicja. Zauważyła, że ubranie córki jest mokre i brudne, a włosy potargane. – Biłaś się z kimś? Wylądowałaś w kałuży?

– Nie. – Naburmuszona Matylda ściągała przemoczone buty i skarpetki.

– Ma pani coś pić? – spytała Ewa, patrząc z nadzieją na Józefinę.

– Dam wam zara kompotu. Siadajcie.

– Nie, my na obiad musimy, tylko pić strasznie się chce. A Misia z Wiką dzisiaj do nas na obiad idą, ich mama jest u nas – wyjaśnił pospiesznie Michał.

– Dobrze, dam wam kompotu, odsapniecicie chwilę i pójdziecie na obiad – zakomenderowała Józefina, kierując się w stronę kuchni.

– Dziecko, musisz się przebrać – powiedziała do Matyldy Alicja, biegnąc po ręcznik. – Co się stało?

– Bawiliśmy się przy strumyku. Patyki puszczaaliśmy – powiedziała Matylda, szarpiąc się ze skarpetką.

– I wpadłaś? – zaniepokoiła się Alicja.

– Ale tam płytko, psze pani! Do kostek – wyjaśnił Michał.

– Upadła na dupę! – krzyknęła dziewczynka uczesana w dwa warkoczyki.

– Misia! Nie mówi się tak – pouczyła ją Wika. – Na pupę się mówi.

– Ale tam płytko – powtórzył Michał.

– No to nic się nie stało – uśmiechnęła się Alicja. – Zaraz przyniosę suche ubrania. Masz tu ręcznik.

– Stało się, stało – wyjęczała Matylda. – Ta stara okropna pani rzuciła się na mnie!

– Kto?! – Alicja spojrzała na córkę przerażona.

– Ta starucha, czarna.

– Czarna Maria, psze pani!

– Jak to się rzuciła?!

– Normalnie. Ja upadłam, ale zmoczyłam się tylko trochę, a tamta pani szła akurat i jak nie wskoczy, jak nie zacznie mnie szarpać!

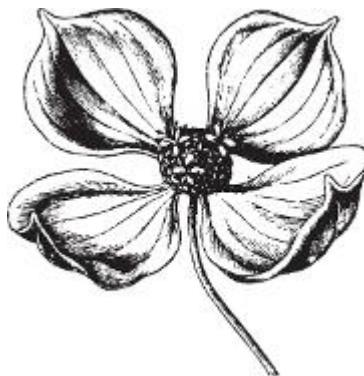
– Szarpać?  
– Tak! Za ręce, za włosy! I bardziej upadłam.  
– Dlaczego zaczęła cię szarpać?  
– Nie wiem. Krzyczała: Maria, Maria! – zaczęła przedrzeźniać Matylda. – Okropna jest ta pani, nie lubię jej.  
– Ale dlaczego cię szarpała? – dopytywała przerażona Alicja.  
– Nie wiem. W końcu jak mnie złapała w pól, to nie mogłam się wyrwać i wciągnęła mnie na brzeg. Okropne to było.  
– Chyba myślała, że się topisz. – Józefina stanęła w progu z dzbankiem kompotu.  
– Ale ja się nie topiłam przecież.  
– Mój Boże... – westchnęła Alicja. Przypomniała sobie Czarną Marię, która w mokrej sukni szła przez rynek i zrobiło jej się wstyd, że wtedy nie zareagowała, gdy posypały się patyki i kamienie. Ta kobieta, w głębi swojego umysłu zobaczyła tonące dziecko, rzuciła się na pomoc, a Alicja nie zrobiła nic, gdy Maria potrzebowała pomocy. Nie chciała jej nawet odprowadzić.  
– Czarna Maria muchy by nie skrzywdziła – spokojnym głosem wyjaśniła dzieciom Józefina, rozlewając kompot do szklanek. – Ta pani jest trochę chora. Widzi trochę inaczej niż my. Być może wydawało jej się, że woda jest głębsza i przestraszyła się, że się utopisz.  
– Trzeba jej podziękować – zdławionym głosem powiedziała Alicja.  
– Ale ja się nie topiłam – podkreśliła Matylda. – A poza tym, mam na imię Matylda, a nie Maria.  
– Ona ma na imię Maria – uśmiechnęła się ciotka.  
– Ona do Matyldy mówiła Maria, sama słyszałam – odezwała się Ewa, a inne dzieci przytaknęły. – Trzymała ją i mówiła: Maria, Maria.  
– Zawsze tak mówi – wyjaśniła Józefina. – Nie umie inaczej.  
– To do siebie mówi czy do kogoś? – spytała rezolutnie Matylda.  
– Właściwie nie wiadomo – przyznała ciotka. – Głównie do dzieci tak mówi. Do dorosłych się raczej nie odzywa.  
– Maria! – krzyknęła nagle Alicja, aż Matylda podskoczyła. – Boże święty! Przecież jeśli ona mówi do kogoś Maria, to może wcale nie ma tak na imię! Może ona szuka tej Marii! Może dziecka swojego szuka!

– Ta pani jest chyba za stara na dziecko – przyznała Matylda.

– Ale jeśli jest chora, to może jej się wszystko pomieszało. Może ma córkę, Marysię, która teraz jest już dorosła, ale ta pani się zgubiła, jest bezdomna i jej córka nawet nie wie, gdzie ona jest, a ta pani chodzi i jej szuka – wyrzucała z siebie słowa Alicja, zdumiona nagłym przyływem logicznego myślenia.

– Może tak być – przyznała ciotka. – No nic, dzieciaki – klasnęła w dłonie – wypić kompot i uciekać na obiad, bo wasze mamy się wściekną.

– A po obiedzie wpadnijcie do Matysi na deserek – dodała Alicja, przypomniawszy sobie o babeczkach.



## *Rozdział 9*



Zapakowawszy do torby kilka kanapek z serem, paczkowaną wędlinę i dwa pomarańczowe soki w kartonach, Alicja w piątkowy poranek wsiadła na rower i pojechała prosto do Marianny. Cukiernia była zamknięta, ale Alicja nie zraziła się tym i zaszła od tyłu, gdzie zauważyła otwarte okno. Krzyknęła kilka razy, wołając Mariannę. W końcu dziewczyna wyjrzała na zewnątrz.

– Wytłumacz mi, gdzie jest biblioteka. Chcę zawieźć Czarnej Marii trochę jedzenia. Jestem jej coś winna.

– Ty jej? – zdziwiła się Marianna.

– Tak. Strasznie mi wstyd za wczoraj.

– Wejdź na chwilę, napijemy się kawy – zaproponowała zaintrygowana Marianna.

Alicja skorzystała z zaproszenia. Nie owijając w bawełnę, wyjaśniła Mariannie swoje pobudki.

– Nie obwiniaj się, rozumiem, że nie chciałaś się wczoraj mieszać, w końcu jesteś nietutejsza. Ja na twoim miejscu też trzymałabym się raczej z boku.

– Ale mimo wszystko powinnam była zareagować. Miała mokrą spódnicę, bo rzuciła się do wody, żeby ratować moją córkę. Śmiali się z niej, a ja nie reagowałam... A potem... nie chciałam jej odprowadzać, kiedy mnie poprosiłaś, bo po prostu nie miałam ochoty z nią iść. Tak mi wstyd...

– Jeszcze się zdążysz zrehabilitować. Zresztą myślę, że Czarna Maria nie czeka na żadne podziękowania.

– Wiem. Tym bardziej mi wstyd. Ona to zrobiła z serca, a ja... Gdzie jest ta biblioteka?

– Nie sędzę, żeby ona tam teraz była. Rano wychodzi, wałęsa się po wsi, czasem nawet w okolicznych miejscowościach ludzie ją widują.  
– Tak czy inaczej pójdę. Zaniosę, najwyżej zostawię pod drzwiami.  
– Czekał chwilę, może pomożesz mi znieść babcię? Włóżmy ją na wózek i pójdziemy na spacer? Ona uwielbia chodzić do tej Biblioteki.

Już po chwili we dwie, ciężko sapiąc, znosiły wózek z niedołączną staruszką po schodach.

– Na jesieni zrobię remont – przypomniała Marianna. – Będiesz babciu miała pokój na dole.

Kobieta uśmiechnęła się nieznacznie.

– Gorąco dziś – powiedziała. Widać było, że mówienie sprawia jej trudność, lewą część twarzy miała sparaliżowaną, obwisłą.

– Nie, babciu, teraz jeszcze nie jest gorąco. Dobry czas na spacer, dopiero dziesiąta. W południe zaczynać być upał. Ale do tego czasu wrócimy i po herbatce zrobisz sobie drzemkę.

Biblioteka okazała się niewielkim, piętrowym, zaniedbanym budynkiem, niegdyś zapewne koloru białego. Teraz straszyl brudną szarością i pozabijanymi deskami otworami okiennymi. Wokół krzewy były tak rozrośnięte, że gdyby nie było drzwi, gałęzie z pewnością dostałyby się do środka.

Mimo brzydoty budynku, babcia Marianny patrzyła nań z czułością.

Czarnej Marii nie było, co Marianna poznała po braku obuwia przed drzwiami.

Wtoczyły wózek po czterech schodkach i weszły do środka. Panował tam półmrok, tylko przez szpary w deskach dostawało się słoneczne światło. Pachniało zmurszałym drewnem i starością.

Wyobrażała sobie, że w Bibliotece będą książki, nie sądziła jednak, że zgromadzono tu aż takie ich ilości. Piętrzyły się w regałach ustawionych pod ścianami oraz na podłodze, ułożone równo, jak od linijki.

– To miejscowa młodzież układa – wyjaśniła Marianna, widząc, że Alicja przygląda się stosom. – W ramach godziny wychowawczej przychodzą tu i robią porządki. Aż dziw, że Czarna Maria nic nie zniszczyła, przecież nocą jest tu ciemno, nie ma prądu. Nie wiem, jak

ona się porusza.

– Pewnie urzęduje na górze – zauważyła Alicja, dostrzegłszy schody.

– Pewnie tak, nie wiem. Mało tu przyjemnie, mogliby okna wstawić. Ale babcia i tak lubi tu przychodzić. Może przez te książki. Zawsze lubiła czytać. Prawda, babciu?

Babcia Marianny z trudem kiwnęła głową.

– Ale też jakby знаła ten dom, od razu wiedziała, co gdzie jest, gdzie kuchnia, gdzie łazienka. Od pierwszego razu, kiedy tu weszła. To było niesamowite.

– Ja też tak czasami mam – przyznała Alicja. – Takie *déjà vu*. Kiedy wydaje się, że coś już się zdarzyło, ktoś coś powiedział, znasz jakieś miejsce.

– Strasznie tu dużo kurzu. Coraz więcej – zauważyła nagle Marianna.

Rzeczywiście, w świetle wpelzających do środka promieni dało się zauważyć mnóstwo unoszących się w powietrzu drobinek.

– Kiedyś, gdy tu z babcią przychodziłyśmy, było tego mniej, ale teraz i książek przybywa, i nie ma jak wietrzyć. Mógłby sołtys w końcu okna porządne wstawić, od razu byłoby przyjemniej. Babciu, wybrać jakąś książkę do poczytania?

Staruszka nie odpowiedziała. Marianna pokręciła się chwilę przy regałach, starając się dojrzeć tytuły, co z uwagi na słabą ilość wpadającego światła wcale nie było łatwe. W końcu wyjęła książkę w twardej, poszarzałej obwolucie.

– *Pani Bovary*. Dawno nie czytałyśmy, prawda? – Pokazała okładkę babci.

– Może położę paczkę z jedzeniem przy schodach? Boję się, że gdybym ją zostawiła przed drzwiami w taki upał, to ser by się w tych kanapkach rozpuścił.

– Może zanieś na górę. Rzeczywiście, to prawdopodobne, że Czarna Maria tam właśnie urzęduje. Tym bardziej, że tam są jakieś łóżka, jeszcze po starych właścicielach.

Alicja spojrzała w górę schodów, jednak nie zdecydowała się tam wejść. Czułaby się jak intruz chodzący po obcym domu. Położyła torbę



na najniższym schodku. Miała nadzieję, że Czarna Maria zauważy ją wieczorem.

\*

Było już grubo po północy, gdy bordowa toyota zaparkowała pod domem Józefiny. Alicja, usłyszawszy samochód, wyskoczyła na powitanie.

– Trafiałaś! – krzyknęła, gdy tylko Dorota wyszła z samochodu i stanęła, masując sobie plecy.

– Mnie GPS zawsze doprowadzi do celu – powiedziała z dumą. – Gdyby nie ten cholerny Wojtuś, który wymyślił baaardzo ważne zebranie, z którego nie mogłam się urwać, byłabym dużo wcześniej.

– Daj buziaka! Stęskniłam się za tobą. – Alicja uściśniła siostrę.

– Ale to dziura. Jechałam po ciemku chyba ze trzy kilometry. Nie mają tu latarni? Co za wieś.

– Nie narzekaj. Nie jest tak źle.

Dorota wzięła głęboki oddech.

– I śmierdzi. – Skrzywiła się. – Gównem. Może już w coś wdepnęłam.

– Żadnym gównem, tylko łajnem. Sąsiad ma oborę i stajnię. Kiedy wiatr zawieje, to się zapachy niosą. Ale można się przyzwyczaić. Chodź do środka, ciotka i Matylda już śpią, ale w kuchni czeka na ciebie kolacja.

– Zgłupiałaś? Ja o tej porze nic nie jem.

– To herbaty się napijesz.

– Daj mi spokój. Nic nie chcę. Wezmę prysznic i pójdę spać. – Dorota ziewnęła. – O której tu wstajecie?

– Jak tylko kur zapieje. Koło piątej rano.

– Neeee!

– Oczywiście, że nie – roześmiała się Alicja.

Weszły do domu. Dorota ponownie ziewnęła, nie siląc się na zasłanianie ust.

– Gdzie jest mój pokój? – spytała szeptem, dostosowując się mimowolnie do panującej w domu ciszy.

– W piwnicy. – Alicji nie opuszczał nastrój do żartów.

Dorota spojrzała na nią skrzywiona.

– Znowu żartujesz – powiedziała kwaśno.

– Będziesz spała z nami. Na górze jest tylko jeden pokój, za to spory i łóżko dla ciebie jest już przygotowane. Tam jest łazienka. – Wskazała brodą drzwi. – Tylko błagam cię, nie hałasuj, bo o tej porze każdy dźwięk brzmi jak wybuch bomby! Chodź najpierw na górę, pokażę ci gdzie śpisz.

Dorota posłusznie poszła za Alicją. Schody lekko trzeszczały.

– Ciekawe, czy są tu duchy – zagadnęła Dorota.

– Duchy nie, ale strzygi czasem podłazą pod okno – z powagą odparła Alicja.

Rano Matylda wstała pierwsza i natychmiast, zauważywszy śpiącą Dorotę, wpakowała się jej do łóżka.

– Cześć, ciocia! – krzyknęła jej wprost do ucha.

– Dziecko, daj nam jeszcze pospać – mruknęła Alicja.

– Która godzina? – wymamrotała zaspana Dorota.

– Dziesięć po ósmej. – Alicja spojrzała na zegarek.

– To nie ma co tracić czasu na sen – stwierdziła Dorota.

– Nie wierzę – jęknęła Alicja.

Dorota zważym krokiem podbiegła do okna i otworzyła je na oścież. Wychyliła głowę i zaciągnęła się rześkim powietrzem.

– Jaaak dobrze wstaaać skoro świiit! – ryknęła na całe gardło.

– Oszalałaś, wieś obudzisz! – oburzyła się Alicja, zatykając uszy.

– Wieś już dawno nie śpi. Jaaak dobrze wstać skorooo świt, jutrzeńki brzaaask duszkiem pić, przynieeesie miii poraaanek szczęście dziiiś...

– To chociaż nie fałszuj.

– ...bo szczęście dziś muuusi przyyyjść.

– Dobra, ja też już wstaję – zdecydowała zrezygnowana Alicja.

Kiedy we trzy zeszły na dół, Józefina krzątała się po kuchni.

Przywitała je uśmiechem i kawą.

– Tak, tak, słyszałam, że panienki już wstały – zaśmiała się.

– Dzień dobry ciociu. To jest właśnie Dorota. – Alicja przedstawiła siostrę.

– My się przecież znamy – przypomniała ciotka, witając się.

– No, gwoli ścisłości, to my ciocię dopiero poznajemy... – Dorota wymownie się uśmiechnęła.

– Zapraszam na śniadanie. Szykuję jajeczka na miękko.

– To ja pierwsza pójdę się umyć – krzyknęła Alicja i zniknęła.

Matylda usiadła przy stole. Dorota stała w drzwiach kuchni, czekając na swoją kolejkę do łazienki. Przyglądała się Józefinie.

Ciotka nie była tak stara, jak w jej wspomnieniach, mocno już zatartych. Zastanawiała się, ile może mieć lat. Sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt? Była młodsza od babci, ale niewiele.

– No tak, stara baba już ze mnie, pamięć nie ta, co kiedyś – westchnęła Józefina, jakby czytając w myślach Doroty. – Do siedemdziesiątki jeszcze jakoś szło, ale teraz za każdym razem zapominam, żeby masło wcześniej wyjąć z lodówki, coby rozmiękło.

– Może ja pomogę – zaoferowała się Dorota.

– Ty sobie, dziecko, usiądź, gościem jesteś. Jajeczka już dochodzą.

Dorota uśmiechnęła się, a zauważywszy kątem oka, że Alicja wychodzi z łazienki, czym prędzej doskoczyła do niej, żeby uprzedzić Matyldę.

– Ciocia, ja chcę siusiu! – krzyknęła dziewczynka.

– Ja też. Starsi mają pierwszeństwo.

– Ech, cztery kobity w domu, a łazienka jedna – westchnęła Józefina z uśmiechem. – Dobrze, że się nie pindrzyta.

– Ja się mam zamiar wypindrzyć – odpowiedziała roześmiana Dorota.

Przy śniadaniu było wesoło i gwarno. Matyldzie, niegdyś małomówniej, teraz nie zamykała się buzia. Opowiadała Dorocie o nowych kolegach i koleżankach, o kryjówkach, zabawach w kałuże i wyprawach nad strumień. Alicja wtrącała z uśmiechem kilka słów, by wyjaśnić siostrze, gdzie jest ów strumień i że woda jest tam płytka. Matylda rzadko kiedy dawała jej dokończyć, bo nagle przypominało jej się coś ważnego, o czym koniecznie musiała opowiedzieć.

Dorota udawała, że słucha z zainteresowaniem, jej wzrok jednak błądził pomiędzy ustawionymi na podłodze doniczkami. Uwielbiała siostrzenicę i cieszyła się, że widzi ją taką radosną i rozgadaną, ale nie mogła się już doczekać, kiedy Matylda w końcu ubierze się i wyjdzie na

dwór. Niecierpliwie czekała, aż stanie z Józefiną oko w oko i poprosi ją o to, po co tu przyjechała.

Kiedy więc skończyły jeść, Józefina z Alicją zaczęły sprzątać ze stołu, a za Matyldą zamknęły się drzwi, Dorota, starając się, aby jej głos nie wykazywał przesadnej euforii, zapytała:

– Czy te sadzonki tutaj to zioła? Alicja wspominała, że ciocia się nimi interesuje.

– A tak. Zioła. – Józefina uśmiechnęła się pod nosem.

– Bo Alicja mówiła, że ciocia z tych ziół potrafi zrobić...

– A potrafię – weszła jej w słowo Józefina. – A ty, dziecko, czego potrzebujesz?

Dorota zawahała się. Nie chciała zdradzać swoich najbardziej skrytych marzeń, a jednak musiała coś powiedzieć, żeby uzasadnić swoją chęć posiadania eliksiru.

– A czego mogłabym potrzebować, ciociu? Jak każda kobieta – miłości. Ala mówiła, że ty z tych ziółek niezłe specyfiki produkujesz, czarować umiesz.

– A, jaka tam ze mnie czarownica. – Józefina machnęła ręką i się roześmiała. – Zielarka zwyczajna.

– Nie taka zwyczajna – wtrąciła Alicja.

– Ale jak ty, dziecko, po miłość przyjechałaś, to dobrze się składa, przecie dzisiaj wianki.

– Jakie wianki? – spytały równocześnie Alicja z Dorotą.

– Noc Świętojańska. Dziewuszki wianki puszczają, miłości sobie szukają.

– Aha, i ten chłopak, który wyłowi, będzie mężem tej, co wianek do wody wrzuciła, tak? – Alicja przypomniała sobie opowieść z dzieciństwa.

– Niezupełnie. Trza upleść wianek. Pójść nad rzekę. Wezwać dobre anioły, żeby pomogły mu płynąć, i rzucić w wodę. Jeśli przez siedem dni i siedem nocy wianek będzie płynął bez zakłóceń, znaczy że miłość dopłynie do odpowiedniego serca. Jeśli zaś zaplącze się w konary drzew, wodorosty lub zahaczy o coś, znaczy to, że na miłość czas jeszcze nie nadszedł.

– A po czym to poznać? – zainteresowała się Dorota. – Przecież nie

będę biegła wzdłuż rzeki przez siedem dni i nocy.

– Poznasz, poznasz. Jeśli wianek dopłynie, siódmego dnia mężczyzna otworzy swoje serce.

– A jaki mężczyzna? – dopytywała zafascynowana Dorota. – Może być jakiś konkretny?

– Oczywiście. Ale skąd wiesz, czy aby on ci jest pisany? Najlepiej puścić wianek z serca, po miłość czystą i niezmaconą, niezakłóconą wizją mężczyzny, który być może uczuć nigdy nie odwzajemni.

– Rozumiem... – westchnęła Dorota. Na jej twarzy malowało się rozczarowanie. Szybko jednak w jej oczach pojawił się błysk nadziei. – A czy można naprowadzić te anioły, pomóc im szukać tego jedyne, dając jakieś wskazówki? – spytała. – Bo jednak wolałabym, żeby nie był to zezowaty kurdupel.

– A kogo byś chciała? – roześmiała się Alicja.

Przeszły do salonu. Ciotka postawiła na stole paterę z kruchymi ciasteczkami i dzbanek z herbatą.

– No cóż... – Dorota rozsiadła się na krześle, westchnęła i sięgnęła po ciasteczko. – Chciałabym, aby był przystojny, zadbany, inteligentny, dowcipny, opiekuńczy... – wymieniała z marzycielskim uśmiechem. – Żeby mnie kochał nieprzytomnie, dawał mi kwiaty, prezenty, żeby...

– Aha, i co jeszcze? – roześmiała się Alicja. – To ideał. A ideały nie istnieją.

– Wręcz przeciwnie – wtrąciła ciotka. – Każdy taki jest. Wystarczy się zakochać.

\*

Jacek od godziny siedział w krzakach, obserwując dom Józefiny. Oprócz tego, że pod płotem zaparkowany był nieznany mu samochód na warszawskich rejestracjach, nie zauważył niczego niezwykłego. Mają gościa – pomyślał. – Cholera jasna, w co ja się dałem wrobić z tym śledzeniem? Zwykła kobita ze zwykłym dzieckiem, którą odwiedził ktoś zwykły, prawdopodobnie mąż. Żadna tam morderczyni. Kto to widział morderczynię, która tak wygląda? Nawet nie brunetka o zabójczym spojrzeniu ani nie ruda. Zwyczajna blondynka. Po cholerę mi to było. Chłopaki na rybach, wieczorem wianki, popijawa, dziewczuchy, a ja od

rana do nocy, cały weekend jak ten przygłup a to w krzakach, a to na rowerze.

O ile na początku miał dużą motywację do pomocy komendantowi, o tyle teraz, im więcej myślał o wakacjach, tym bardziej robiło mu się żal samego siebie, że zamiast spędzać je beztrudnie i wesoło, on zaprzął się do roboty. Ba! Został bezczelnie wrobiony, wkręcony, wykorzystany do pracy bez zapłaty. I to tajnej. Oczywiście, że nikomu się nie chwalił. Czym tu się chwalić? Że się pracuje i nie zarabia? Jaki staż? Koń by się uśmieł. A już na pewno ojciec, matka i kumple.

A jeśli komendant mówił prawdę i dzięki temu otrzyma stosowne papiery i mimo braku matury przyjmą go do policji? Może jednak się opłaca.

Wiercił się na swoim stanowisku w krzakach, żałując, że nie został oddelegowany do tej nowej. Przynajmniej byłoby to coś ciekawego. Bo przecież zawsze miło popatrzeć na nową dziewczynę, choćby i z daleka.

Z plecaka wyjął butelkę z wodą. Nie było upału, ale słońce i tak dawało się we znaki. Jacek miał nadzieję, że ta jedna butelka mu starczy przynajmniej do czasu, kiedy obiekt wyjdzie z domu i pojedzie na Rynek, gdzie i on mógłby skorzystać z okazji i kupić coś do picia i do jedzenia.

Wypiwszy kilka łyków, rozłożył na ziemi bluzę, położył się na niej i bezmyślnie gapił się na chmury. Nagle usłyszał skrzypnięcie drzwi i śmiechy. Kobięce śmiechy. Poderwał się, uważając, żeby nie wystawiać za bardzo głowy zza krzaków, i wyrzwał. Dostrzegł wybiegające kobiety. Zapewne idą do tej małej, która godzinę wcześniej wyszła z domu. Ale nie. Obydwie, zamiast na podwórko sąsiadów, poszły w kierunku lasu.

Jacek rozprostował nogi. Uznał, że skoro one idą pieszo, to i on nie będzie jechał na rowerze. Na wszelki wypadek przykrył leżący pojazd gałązkami i schylony poczłapał rowem wzdłuż drogi.

\*

Alicja, zrywając kwiaty na wianek dla Doroty, rozmyślała o tym, co powiedziała ciotka Józefina. Rzeczywiście, kiedy ona była zakochana w Bartku, nie widziała jego wad. Wszystko jej się w nim podobało.

Nawet orli nos uważała za niezwykle dostojny i dodający uroku. To, że był zaangażowany w pracę naukową, że głowę miał zaprzątniętą ideałami zamiast realnym życiem. To wszystko z początku wydawało się takie fascynujące. Kochała go. Mógłby chrapać całą noc, a ona uważałaby, że to takie urocze i męskie. A przecież nienawidzi chrapania.

– Nie znasz jakiejś innej łąki? – Usłyszała głos siostry, który wybił ją z rozmyślań.

– Dlaczego?

– Bo wianek z samych mleczy wydaje mi się mało elegancki. Jeśli chcę, żeby dopłynął do faceta z klasą, to musi być przeplatany bardziej wyrafinowanymi kwiatami, nie uważasz?

– Co to za różnica, wianek to wianek.

– No tak, dla ciebie nie ma różnicy. Sama sobie upleć z mlecza, ja poszukam czegoś innego.

– Nie mam zamiaru pleść. Nie wierzę w takie cuda.

– Cuda wianki. – Dorota parsknęła śmiechem. – Za mądra jesteś na takie głupoty, co? A ja jestem głupia...

– Tego nie powiedziałam. Rób, co chcesz. Skoro ty masz ochotę się w to bawić, to proszę bardzo.

– Proszę bardzo, proszę bardzo – przedrzeźniała pod nosem Dorota, rozglądając się w poszukiwaniu kwiatów. – O, tam coś widzę – skinęła w kierunku pola. – Chyba maki. Chodź.

Józefina z uznaniem kręciła głową na widok wianka, który uplotła Dorota.

– Bardzo ładny – przyznała. – Bardzo ładny. – Kto to myślał, że dziewczyna z miasta umie pleść wianki...

– Jak się chce, to się umie wszystko. – Dorota z błyskiem w oku wpatrywała się w swoje dzieło. – Szkoda, że Ala nie ma ochoty upleść swojego, bo ona to dopiero umie pleść. Jak mi kiedyś robiła warkocze, to kilka dni się trzymały, nie musiałam rano się czesać.

– O proszę, a Matysi nie pleciesz, ładnie by jej było. – Józefina zwróciła się do Alicji.

– Ona nie lubi, za bardzo ją ciągnę, wrażliwa jest.

– A ciocia mi coś obiecała. – Dorota uśmiechnęła się przymilnie.

– Ale to po obiedzie. Wołać Matyldę, bo ziemniaczki już

dochodzą.

Dorota bez mrugnięcia okiem zjadła cały kawałek karkówki, mimo że nigdy nie lubiła takiego mięsa. Przełknąwszy ostatni kęs, poklepała się po brzuchu, chwając kuchnię ciotki. Alicja dobrze wiedziała, że siostra robi to, żeby się przypodobać Józefinie. Liczyła, że dzięki temu zdobędzie najlepszy eliksir, a może Józefina zapragnie zdradzić jej przepis.

Matylda natomiast mocno podczas obiadu wybrzydzała. Na prośbę Alicji, żeby zaczęła ładnie jeść, skrzywiła się tylko, tłumacząc, że nie jest głodna, a poza tym spieszy się bardzo, bo zaczęła robić z dziećmi szalas i chcą go skończyć do wieczora.

– Będę mogła dzisiaj w nim spać? – spytała z nadzieją w głosie.

– Chyba oszalałaś. W szalacie?

– Tak, proszę, proszę! Robimy go w ogródku Michała i Ewy, przecież tam nie ma groźnych zwierząt, które mogłyby nas zaatakować.

– A ich mama się zgodziła?

– Nie... – przyznała z niechęcią Matylda. – Powiedziała, że szalas jest za mały i że nie ma żadnego materaca, który mogłaby nam dać. Ale nam to nie przeszkadza.

– Nie ma mowy – zdecydowanym tonem powiedziała Alicja. – Śpisz dzisiaj w swoim łóżku.

– A poza tym my dzisiaj z twoją mamą wychodzimy, więc będziesz pod opieką cioci Józefiny – wtrąca Dorota. – My idziemy na imprezę – wyjaśniła z uśmiechem. – Dla dorosłych – dodała szybko, bo Matylda już otwierała usta, aby spytać, czy może pójść z nimi.

Dorocie błyszczały oczy z podniecenia, kiedy Józefina otwierała przed nią drzwi swojej piwnicy. Alicja nie miała ochoty tam schodzić. Zaoferowała się, że posprząta po obiedzie i przygotowuje deser.

Krzątając się po kuchni, umilała sobie czas śpiewaniem. Umyła naczynia, oczyściła truskawki, ubiła śmietanę, rozłożyła miseczki i wyjęła z szafki cukiernicę. Doroty i Józefiny wciąż nie było.

– Halo! – Alicja krzyknęła w dół schodów. – Czy ktoś ma ochotę na kawę?

Odpowiedziała jej cisza. Z piwnicy nie dochodziły żadne dźwięki. Alicja zaniepokoiła się. Krzyknęła raz jeszcze, ale i tym razem nie



doczekała się odpowiedzi.

Dotykając chłodnej ściany, powoli zeszła na dół. Otwierając kolejne drzwi, ze strachu nie była w stanie oddychać. Bała się, że cisza spowodowana jest tym, iż ciotka pomyliła zioła i zamiast eliksiru przygotowała truciznę, którą obie spożyły i leżą bez życia na zimnej posadzce.

Zawahala się, zanim pchnęła skrzydło drzwi. Dopiero kiedy wzięła dwa głębokie oddechy i udało jej się opanować stres, weszła do środka.

Józefina z Dorotą stały pochylone nad parującym garnuszkiem i w milczeniu obserwowały bulgocącą w nim ciecz.

– Deser gotowy – oznajmiła Alicja z ulgą, widząc je żywe.

Obydwie wzdrygnęły się na dźwięk jej głosu, podnosząc głowy. Dało się zauważyć wypieki na policzkach Doroty, a jej oczy lśniły niczym rozżarzone gwiazdy.

– Deser gotowy – powtórzyła Alicja. – Zapraszam, bo śmietana oklapnie.

– Alicja, chodź tu lepiej, zobacz – powiedziała Dorota ochryple. – To fascynujące. Z tego będzie taka mikstura... że... o rany, mówię ci, wymiotę wszystkich.

– Kogo chcesz wymieść? – roześmiała się Alicja.

– No w pracy, mówiłam ci. W tym tygodniu mam prezentację. Jak im doleję tego cuda, to nie ma mocnych, zakochają się we mnie i awans mam w kieszeni. Alicja, to sami faceci są! – Dorota błędnym wzrokiem wpatrywała się w bulgoczący płyn.

Ciotka Józefina uśmiechnęła się pod nosem, przykryła garnuszek małą pokrywką i zakreśliła gaz.

– Teraz musi dojść i się przegryźć. Jak ostygnie, przeleję ci do malutkiej buteleczki.

– Dlaczego do malutkiej? – zdziwiła się Dorota.

– Bo tylko tyle się uda się z tej ilości zrobić. Najpierw odcedzimy to, co jest, a potem przepuścimy przez te rurki, zrobimy wyciąg.

– To mogłyśmy od razu do dużego gara!

– O-ho-ho, w dużym garze to z miesiąc by się pichciło. Taka ilość ci wystarczy – zapewniła Józefina, kierując się do wyjścia. Dorota niechętnie poczłapała za nią. Alicja zamknęła drzwi.

Kiedy wieczorem szły nad jezioro, Dorota wciąż się dąsała.

– Nie jestem usatysfakcjonowana. Ciotka się pilnowała, żebym nie zauważyła, co wrzuca do gara. I tak przecież się nie znam na ziołach, nie potrafiłabym rozróżnić, co jest czym. Ale mimo wszystko liczyłam na to, że poznam jakieś tajemne przepisy. Wiesz, jaka to byłaby moc, gdybym potrafiła przyrzucić coś takiego u siebie w kuchni?

Usta jej się nie zamykały. Wianek na jej głowie już nieco oklapł, gdy w końcu dotarły na miejsce. Było po dziewiętnastej, sam początek, a mimo to na brzegu już roilo się od roześmianych ludzi. Gros stanowiły młode dziewczyny trzymające misternie uplecione wianki.

– A nie mówiłam, że inne bardziej się postarają? – jęknęła Dorota na widok tych kolorowych dzieł sztuki.

– Przestań, to tylko zabawa. Dla nich to tradycja, pewnie przychodzą tu co roku, to i wianki mają okazalsze.

– Bo są mądrzejsze i mają strategię. Widzisz, jakie to konstrukcje? – podziwiała Dorota. – Mój raz dwa się rozpadnie. Mogłyśmy znaleźć mocniejszą nitkę.

Alicja puściła tę uwagę mimo uszu. W tłumie dostrzegła Marchewę zaśmiewającą się z niezdarnych chłopaków próbujących rozpaścić ognisko. Pomachała jej. Marchewa uśmiechnęła się szeroko i podeszła, witając się z Dorotą.

– A gdzie twój wianek? – spytała Alicja, zauważywszy, że Marchewa nie ma go ani na włosach, ani w ręku.

– No co ty, ja już za stara jestem. Męża mam. To ten dureń, co ognia nie może rozpaścić. – Wskazała brodą ciemnego pulchnego blondyna, który usiłował przełamać kolanem grubą gałąź. – Przychodzimy tu dla jaj. Dzieciak z babcią, a my na piwko, w końcu wakacje się zaczęły, no nie?

– Kaśka też tu jest? – spytała Alicja.

– Przyjdzie na pewno. Grześka już widziałam. To jej stary. Ale oni teraz pokłóceni. Nie odzywają się do siebie. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Kaśka na złość Grześkowi puściła dzisiaj wianek. Ale by była draka. A twój wianek gdzie? – zainteresowała się Marchewa, przyglądając Alicji.

– A... Ja też nie mam. Nie szukam faceta.

Marchewa wzruszyła ramionami, nie oczekując dalszych wyjaśnień. Robiło się chłodno i komary coraz mocniej dawały o sobie znać. Dorota założyła zawiązany do tej pory na biodrach sweter. Po jeziorze zaczęły płynąć pierwsze, puszczone w asyście wesołych śmiechów, wianki. Z dala dudniła muzyka. Dopiero teraz Alicja dostrzegła stojący nieopodal brzegu budynek, który oświetlały migoczące, kolorowe lampki. Ustawiony przy nim namiot służył za coś w rodzaju parkietu, na którym już teraz podskakiwały rozbawione pary.

– To Smażalnia – wyjaśniła Marchewa, zauważywszy, że Alicja przygląda się knajpie.

– Smażalnia? – spytały Alicja i Dorota równocześnie.

– Tak, smażalnia ryb. Nazywa się po prostu Smażalnia. A po naszymu imprezownia, dyskoteka. Latem codziennie można tu potańczyć i napić się piwa. Ryby też dają. Po dziesięć złotych porcja. A jak chcesz z frytkami i z surówką, to szesnaście – wyjaśniła. – Duże piwo po osiem – dodała.

– Świeże ryby mają? – zainteresowała się Dorota. – Może jutro przed moim wyjazdem wstąpimy tu na obiad? Dawno nie jadłam dobrej ryby.

– Ha, ha, ha! – wybuchła śmiechem Marchewa. – Świeżo mrożone. Owszem, jest tu jezioro, ale komu chciałoby się łowić. Po pijaku ludziom wszystko jedno, co jedzą, a wiadomo, że wieczorami to się głównie pije. Jedzenie tylko na zagrychę. W dzień zamknięte, nie ma co planować tu obiadu.

– Zamykają w dzień? – zdziwiła się Dorota.

– A po co mają otwierać? Też się muszą wyspać ludzie. Wieczorem w lecie tutaj są takie tłumy, że trudno się dopchać.

– Właściwie to zachciało mi się pić – przyznała Dorota.

– To puśćmy wianek i chodźmy się napić, bo rzeczywiście kolejka tam coraz większa – zauważyła Alicja.

Marchewa nie miała ochoty im towarzyszyć. Jej piwo w puszcze stało obok rozpalonego w końcu ogniska i martwiła się, że ogień za bardzo je ogrzeje.

– Weźcie na wynos – zaproponowała. – I przyjdźcie do nas. Jak się ściemni, będziemy robić zawody w skokach przez ognisko.

– Czy to bezpieczne? – spytała Alicja.

– Przecież obok jest jezioro – roześmiała się Marchewa. – Jak ci się kiecka zapali, to wrzucimy cię do wody.

– Dobra, koniec tego gadania – zarządziła Dorota. Wyprostowała się, zdjęła z głowy przywiednięty wianek i ruszyła dziarskim krokiem w stronę pomostu. Alicja obserwowała, jak siostra przeciska się przez tłum stojących tam dziewcząt i robiąc duży wymach, rzuca swój wianek w kierunku środka jeziora. Przez chwilę wpatrywała się, jak kwiaty unoszą się na wodzie, po czym, uspokojona, że nie zatonęły oraz że wolno bo wolno, ale jednak płyną, wróciła na brzeg.

– Dobra, ruszamy do Smażalni – powiedziała Dorota z uśmiechem.

Marchewa miała rację, że w Smażalni niełatwo o miejsce. W końcu dostrzegli wolny stolik, na którym stały puste kufle i plastikowe pojemniki po jedzeniu. Alicja przesunęła wszystko to na bok, rozglądając się za kelnerką.

– Tu chyba jest samoobsługa – zauważyła Dorota, wskazując na wijącą się aż po koniec namiotu kolejkę.

– Ale posprzątać by mogli – jęknęła Alicja, ścierając chusteczką higieniczną stół, który aż kleił się od rozmazanego keczupu.

– Zamówię piwo i powiem im, żeby nam tu wyczyścili.

Dorota różnym krokiem precyzyjnie się na sam początek kolejki.

– Przepraszam, ja tylko po ścierkę, bo coś się rozlało – wyjaśniła wychudzonej blondynce, która stała jako pierwsza, czekając na złożenie zamówienia. Zanim blondynka zdążyła odpowiedzieć, Dorota krzyknęła w stronę niskiego przepoconego mężczyzny, który przerzucał właśnie smażące się w oleju ryby:

– Panie, czy tu można liczyć na posprzątanie stolika?

Mężczyzna spojrział na nią spode łba, nie przerywając zajęcia.

– Zaraz! Nie wszystko na raz! – krzyknął. – Hanka!

Z zaplecza wysunęła się niewysoka, około pięćdziesięcioletnia kobieta w bladoniebieskim fartuchu.

– Słucham? – spytała, stając za barem.

– Chciałabym poprosić o sprzątnięcie ze stolika. Siedzimy w rogu, przy samej ścianie.

Kobieta kiwnęła głową na znak, że przyjęła wiadomość.

– I jeszcze dwa piwa poproszę – dodała Dorota, wyjmując dwadzieścia złotych.

Alicja minę miała kwaśną. Bała się oprzeć ręce na stole w obawie, że pobrudzi sobie ubranie. Zauważyła, że inne stoły także nie grzeszą czystością. Na podłodze nie było lepiej. Drewniane deski upstrzone były zmiętymi serwetkami, petami i walającymi się tu i ówdzie plastikowymi sztucami.

– Nie wyrabiają. Nie ma co liczyć, że przyjdą posprzątać – zauważyła Dorota, stawiając przed Alicją kufel z piwem.

Nie zdążyła jednak usiąść, gdy przy stoliku pojawił się potężny mężczyzna, który bez słowa zgarnął do plastikowej skrzynki brudne naczynia, a stół przetrął wilgotną ścierką. Po chwili wrócił z miotłą i w kilka sekund zrobił porządek pod stołem.

– Ale jestem skuteczna – uśmiechnęła się Dorota. – Zobacz, tylko u nas posprzątał – wyszeptała, biorąc łyk piwa. – Dobrze. Gorzkie i zimne – przyznała z zadowoleniem.

Muzyka dudniła w uszach. Didżej puszczał taneczne kawałki, głównie disco polo, pop i stare disco, a parkiet był pełen. Ludzie szaleli, nie tylko tańcząc, ale i śpiewając. Widać było, że piosenki są im doskonale znane. Niektórzy zataczali się od nadmiaru alkoholu, objijając się o innych albo lądując na drewnianych ławach.

Alicja spojrzała na zegarek. Dwudziesta czterdzieści.

– Zabawa dopiero się rozkręca – zauważyła Dorota, obserwując nadciągający znad jeziora rozbawiony tłum.

Alicja próbowała wyłowić wzrokiem Marchewę albo Kaśkę, ale one najwyraźniej zdecydowały się na zabawę przy ognisku.

– Jeszcze po piwie? – zapytała Dorota. – Za chwilę kolejka będzie się ciągnąć aż do Warszawy.

– Chyba nie mam ochoty tu być – przyznała smętnym głosem Alicja. – Dopijmy to i idźmy.

– No co ty, noc jeszcze młoda – zaoponowała Dorota. – Przecież nie ma nawet dziewiętej. Nie zachowuj się jak stetryczała staruszka.

– Dorota, ty nie zachowuj się jak niewyżyta małolata. Puściłyśmy ten głupi wianek, chyba o to ci chodziło, prawda? No to możemy wracać.

Dorota przewróciła oczami. W milczeniu dopiły piwo. Kiedy wychodziły, na parkiecie zawiązała się bójka.

Dorota szła wolno, szurając butami po żwirowej alejce. Po drodze mijaly kolejne, podążające na wianki dziewczyny. Księżyc świecił jasno. Powietrze drżało nieznacznie, wzbudzone przez przyjemny chłodny wiaterek. Kiedy dotarły do szosy, Alicja przypomniała sobie o skręcie, o którym mówiła ciotka Józefina, zanim wyszły.

– Chyba powinniśmy tu skręcić – powiedziała. – Ciotka mówiła, że pierwsza nieutwardzona droga po wejściu na szosę prowadzi do kościoła, a tuż za nim znajduje się Rynek. Zaoszczędzimy pół godziny.

– Mnie tam nie zależy na oszczędnościach. – Dorota wzruszyła ramionami. – Noc taka cudna...

Alicja zawahała się, bo mimo że Księżyc dawał sporo światła, to jednak na nieznanym terenie nietrudno byłoby się zgubić. W myślach odtwarzała topografię wsi. Jezioro znajdowało się na północ. Jeśli więc miały je za plecami, to idąc teraz w lewo, rzeczywiście powinny dojść do kościoła. Stamtąd już powinny trafić. Wystarczy dojść do studni, a dalej drogę znała już niemal na pamięć.

Rzeczywiście, po zaledwie dziesięciu minutach marszu pojawiła się przed nimi oświetlona ciepłym blaskiem Księżyca wieża kościoła.

– Jesteśmy prawie w domu – powiedziała z uśmiechem Alicja.

– To już tu?

– Nie, stąd jeszcze jakieś pół godziny. Ale to i tak krócej niż szłyśmy w tamtą stronę.

– W tamtą stronę szłyśmy spacerkiem – zauważyła Dorota.

Alicja spojrzała na nią krzywo.

– Spacerkiem? – zdziwiła się. – Ty to nazywasz spacerkiem? Poganiałaś mnie, już nie pamiętasz? Prawie biegłyśmy, żebyś mogła puścić wianek zanim zwiędnie.

– To ty chyba w życiu nie biegałaś, jeśli w twojej ocenie nasz spacer był biegiem!

– Cicho. – Alicja zatrzymała się zdezorientowana na rogu dwóch uliczek. – Cholera! – krzyknęła. – Kłócisz się ze mną i przez ciebie pomyliłam drogę. Powinniśmy za kościołem skręcić w lewo i potem w pierwszą ścieżkę w prawo. A my skręciłyśmy od razu w prawo...

– No i dobrze. To teraz na logikę jak skęcimy w lewo to dojdziemy.

Alicja niepewnie spojrzala w słabo oświetloną uliczkę. Nie była tu jeszcze. Zazwyczaj nie zapuszczała się dalej niż do cukierni Marianny. Wieś wprawdzie nie była duża, ale z uwagi na specyficzne ukształtowanie terenu dość rozległa i niektóre uliczki przeplatały się dookoła ryneczku nieregularnymi wstęgami.

– Idziemy – zdecydowała Dorota, nie mając ochoty wracać pod kościół. – Szkoda czasu. Pić mi się chce. O... – Przystanęła nagle. – A to co? – Głową wskazała na stojący przed nimi budynek oświetlony białymi lampkami. U góry świecił się ciemnozielony neon z napisem Angel's Jazz Club.

– O kurcze. – Alicja też przystanęła. – Nie wiem. Jeszcze tu nie byłam.

– Jazz club na wsi? – Dorota wytrzeszczała oczy, niedowierzając.

– Nie mam pojęcia, Dora.

– Ale w środku się świeci, chyba otwarte...

Podeszły bliżej i zajrzały przez szyby. Ciepłe, rozproszone światło oświetlało elegancko zastawione stoliki. Na scenie stał kilkusobowy zespół. Dorota przystawiła ucho do szyby.

– Grają – szepnęła. – Ale jakoś cicho...

– Może to zamknięta impreza.

– Pić mi się chce – jęknęła Dorota i niewiele myśląc, pchnęła drzwi.

Nieśmiało weszły do środka. Już po chwili zjawił się przed nimi młody kelner w pełnym uniformie.

– Stolik dla pań? – spytał miękko.

– Poprosimy. – Alicja niepewnie spojrzala na Dorotę. Ta kiwnęła głową na znak, że chce tu zostać.

– Miały panie rezerwację?

– Nie...

– A zatem zapraszam tutaj. – Kelner zaprowadził je do dwuosobowego stolika naprzeciw sceny, skąd miały doskonały widok na całą salę.

Klub utrzymany był w stylu angielskim. Dominowały barwy

ciemnej zieleni i brązu. Miękkie krzesła przy stolikach współgrały z fotelami i kanapami typu Chesterfield, które ustawiono pod samą sceną najwyraźniej dla tych, którzy chcieli delectować się muzyką zatopieni w pachnące skórą siedziska.

Ale dziś nikt na nich nie siedział. Zespół składający się z trzech muzyków delikatnie jazzował, nie zwracając uwagi na przybyłe kobiety.

Kelner przyniósł karty.

– Dziś polecam perliczkę – powiedział przytłumionym głosem, starając się nie zagłuszyć muzyki. – Coś do picia na początek dla pań?

– Poprosimy pi... – zaczęła Dorota.

– Jeszcze chwilka – weszła jej w słowo Alicja. – Picie też będziemy chciały, ale jeszcze się zastanowimy, co konkretnie.

– Piwo chciałam – wyszeptała Dorota, gdy kelner odszedł.

– Wiem. Ale tu chyba nie wypada. – Alicja rozejrzała się dookoła.

– Zobacz, jak tu elegancko. Piwo chcesz chlać? Co sobie o nas pomyślą. Weźmy herbatę i uciekajmy.

– Nie będziemy nic jadły? – spytała rozczarowana Dorota.

– Oszalałaś? Nie mam kasy na takie fanaberie. W domu zjesz. Nie muszę otwierać karty, żeby stwierdzić, że nawet herbata puści nas z torbami.

– Kogo jak kogo. Mnie stać. Szczególnie, że lada dzień dzięki eliksirowi cioci awansuję. Wyluzuj, ja stawiam. Zamówmy coś pysznego. Po tej traumie w Smażalni należy nam się!

– Jak chcesz, ale ja na żadną perliczkę nie mam ochoty. Wezmę coś małego.

– Sałaty... Cezar za czternaście złotych... Tagliatelle z borowikami szesnaście... Ala, nie ma dramatu. Tanio jest. O, patrz, piwo za sześć. Taniej niż w Smażalni!

– Piwa nie bierzemy.

– Dobra, przecież tylko ci czytam ceny. Aż mi w brzuchu zaburczało. Ja wezmę carbonarę. Dobrą knajpę poznaję po tym, jak przyrządzają carbonarę.

– To ja może sałatę z łososiem... Ciekawe, czy mają to świeże...

Kelner z daleka zauważył zawahanie Alicji i w trzy sekundy pojawił się przy stoliku.



– Może coś doradzić? – spytał.  
– Zastanawiam się, czy dania są świeże... – nieśmiało powiedziała Alicja.

– Oczywiście. Wszystko świeżutkie, na miejscu robione. Mamy doskonałe steki, jeśli nie lubi pani drobiu.

– Myślałam raczej o sałatce z łososiem. Na noc wolę coś lekkiego.

– Proszę bardzo. Sałatka z łososiem będzie w sam raz.

– A dla mnie carbonara – wtrąciła Dorota. – Czy macie piwo pszeniczne? – spytała, nie zważając na Alicję.

– Paulaner – natychmiast odpowiedział kelner.

– Super. Poproszę.

– A dla pani? – Spojrzał na Alicję.

– Herbata.

– Czarna, biała, zielona?

Alicja przygryzła wargi, zdumiona wyborem.

– Zielona. Jest może jaśminowa?

– Proszę bardzo. Zielona z jaśminem. Coś jeszcze?

– Na razie dziękujemy – odparła Dorota.

– Przepraszam, do której grają? – spytała Alicja, zauważywszy, że zespół zaczyna się zbierać.

– Do dwudziestej trzeciej. Jeszcze dwadzieścia minut.

– Dziękuję.

Poczekwały, aż kelner się oddali. Dorota wzięła oddech i rozsiadła się wygodniej na krześle.

– Cudowne miejsce – przyznała, uśmiechając się miękko. – Cuuudowne. Aż trudno uwierzyć, że coś takiego tu jest. Jak oni się utrzymują na takiej wsi.

– Nie mam pojęcia. – Alicja pokiwała głową. – Może to pralnia brudnych pieniędzy?

Przez chwilę siedziały w milczeniu, delektując się muzyką. Kelner przyniósł piwo i herbatę. Nie mogły nadziwić się, jak smukły i elegancki był kufel na piwo i jak wspaniale prezentował się porcelanowy imbryczek.

– Nie do wiary. – Alicja kręciła głową, zaparzając herbatę. Już po chwili powtórzyła te słowa, kiedy przyniesiono dania.

Salata Alicji wyglądała niczym stworzone z kolorowych liści i różowego łososa arcydzieło. Sos, spływający po liściach cienką strużką, prezentował się jak wstęga, która kończy się na talerzu, obejmując danie. Przyozdobiono go w kilku miejscach drobnymi ziarnami czerwonego pieprzu. Z kolei makaron Doroty w białym sosie, z dodatkiem apetycznie wyglądającego boczku, niemal krzyczał z talerza: „Zjedz mnie!”. Osobno, w srebrnym pojemniczku, podano parmezan.

– Pachnie obłądnie – ekscytowała się Dorota, nawijając na widelec porcję makaronu. – A smakue... jechke lepej jak pachne – wybełkotała z pełną buzią.

Alicja spróbowała swojego dania. Sałaty okazały się świeże i kruche, łosoś idealnie doprawiony i miękki, a delikatny sos dodawał potrawie charakteru.

Zespół przestał już grać i jego członkowie powoli pakowali instrumenty. Rozmawiali ze sobą szeptem, aby nie zakłócać posiłku Dorocie i Alicji. W tym czasie z głośników puszczone dyskretną muzykę.

– Czy wszystko w porządku? Smakuje paniom? – Kelner pojawił się nagle. Dorota spojrzała na niego mętным wzrokiem.

– Makaron jest obłądny. Dawno takiego pysznego nie jadłam.

– Bardzo się cieszę. Może jeszcze piwa? – zapytał, widząc, że kufel Doroty jest już prawie pusty.

– Poproszę.

Kiedy skończyły jeść, a kolejny kufel stanął przed Dorotą, kelner wysunął propozycję deseru. Odmówiły. Alicja za to, ośmielona zachowaniem Doroty, również zamówiła piwo.

– Jak szaleć to szaleć – zamruczała ni to do siebie, ni to do siostry. – W końcu pierwszy od dawien dawna wieczór bez dziecka.

– Głupia, przede mną nie musisz się tłumaczyć. Pij – zaśmiała się Dorota. – A powiem ci, że ten kelner, ten... barman... – Rzuciła ukradkowe spojrzenie w stronę stojącego za barem kelnera. – To jest niczego sobie.

– Za młody dla ciebie.

– Co ty chrzanisz. Teraz, jak będę miała czarodziejską miksturę,

żaden nie będzie ani za młody, ani za stary. Albo odwrotnie...

– Że jak odwrotnie?

– No że ja nie będę za stara dla żadnego, jak go upoję.

Ponownie spojrzała na kelnera. Pochwycił jej wzrok i się uśmiechnął. Podniosła kufel.

– Naprawdę cudowne miejsce – powiedziała, uśmiechając się szeroko. – Cudowne. Kto by pomyślał, że tak dobrze tutaj zjemy.

– Wie pani – kelner wzruszył ramionami – mamy najlepszego szefa kuchni na południu kraju, a może nawet i w całej Polsce.

– Zgadza się! Jest wspaniały. Proszę mu to powtórzyć.

– Słyszałem... – Z zaplecza rozległ się cichy głosik. Po chwili z kuchni wyszedł niewysoki, drobny, obcięty na jeża i opalony na mahoń mężczyzna. Nieśmiały uśmiech tworzył na jednym z jego policzków uroczy dołek. W lewym uchu błyszczał kolczyk.

– Pan jest kucharzem? – wyrwało się Alicji. Spodziewała się raczej potężnej postury pewnego siebie mężczyzny. Ten, który właśnie stanął przy barze, sprawiał wrażenie zagubionego chłopca.

– To gratulacje dla pana. – Dorota nie straciła zimnej krwi. – Uważam, że ma pan prawdziwy talent, niełatwo jest zrobić naprawdę pyszną carbonarę. Marnuje się pan tutaj. Co to za miejsce w ogóle? – pytała ośmielona alkoholem. – Jazz club na wsi zabitej dechami?

– Rzeczywiście, miejsce podupadło – przyznał kelner. – Ale jeszcze rok temu... Jeszcze rok temu nie było tu gdzie palca wsadzić, takie tłumy. Trzech kucharzy na zmianę, sześciu kelnerów. Wycieczki z samego Wrocławia. Z Krakowa, Katowic, z Warszawy, zewsząd. Jeszcze niecały rok temu...

– Tutaj? – spytały równocześnie Alicja z Dorotą.

– Na koncerty przyjeżdżali, na jedzenie, na whisky. No i żeby mistrza na żywo zobaczyć.

– Jakiego mi-istrza? – Dorota dostała czkawki po piwie. Zaciśnęła usta, żeby wstrzymać powietrze.

Kelner wskazał brodą czarno-białe zdjęcie nad sceną. Przedstawiało ono szpakowatego mężczyznę dmuchającego w saksofon.

– A kto to taki? – spytała Alicja, widząc, że siostra męczy się, żeby nie czekać. Twarz miała purpurową, ale dzielnie wstrzymywała oddech.

– Victor Legrand. Wiktor Legrandow znaczy się, ale uciął nazwisko, żeby bardziej światowo brzmiało. Nie kojarzą panie?

– Nie... To jakiś rusek?

– Polak. Tutaj urodzony, chociaż rzeczywiście kiedyś czytałem w jakimś wywiadzie, że nazwisko odziedziczył po dziadku chyba gdzieś spod Petersburga.

– Ale uciął – wtrącił cichym głosem kucharz.

– No, uciął. Ale znany był przecież na całym świecie. Saksofonista, jazzman. Geniusz. Legrand, naprawdę panie nie kojarzą?

– My jazzu nie słuchamy – wyjaśniła Alicja.

– Słuchamy – weszła jej w słowo Dorota. – Ale nie aż tak, żeby po nazwiskach kojarzyć... I to jego knajpa? Taki światowy jazmann tu na wsi klub otworzył? Nienormalny?

Kelner skrzywił usta, kucharz wzruszył ramionami.

– Na starość chciał coś zrobić dla wsi, która go na świat wydała – wyjaśnił kucharz. – To był dobry człowiek.

– Tylko pijak – dodał kelner.

– A tam, pijak. Zaraz znowu pijak...

– Wątroba mu siadła, na zdrowiu podupadł, jeździć po świecie już nie mógł, od papierochów płuca mu siadły, to i w instrument nie mógł dąć.

– Przechlapane... – wymamrotał kucharz, przysiadając na barowym stołku.

– Wrócił na stare śmieci, ale nosiło go. We Wrocławiu najpierw chciał knajpę otwierać, ale tam się ponoć o coś z władzami pozałł, poczuł się niedoceniony, odtrącony...

– No, jakoś tak to było. Nieraz się do nas żalił na ten Wrocław.

– No więc tutaj kupił budynek i zrobił klub. My tu od początku pracujemy.

– Najlepszych brał – z dumą podkreślił kucharz.

– I najdroższych. Nie ma co ukrywać. Więcej dawał niż zarabiałem na Rynku w Krakowie, bo ja z Krakowa jestem. A jeszcze napiwki tu ludzie jak zostawiali, to...

– Ale się skończyło... – zauważyła Dorota, która w końcu odzyskała głos.

- Umarł.
- Ach... – westchnęły dziewczyny równocześnie. – To przykre.
- No, pół roku temu wypadek miał. Przed samymi świętami.
- W mikołajki – dodał kucharz. – I to akurat jak był trzeźwy.

W miarę... Naprawdę pech. Bo normalnie to sporo popijał. Samą dobrą whisky.

- Był człowiek i nie ma człowieka – zamyślił się kelner.
- Ale knajpa jest... – zauważyła Dorota.

– A, co to teraz za knajpa. – Kelner machnął ręką. – Syn wszystko przejął, Konrad. Cały spadek na niego, bo jednak. Ale głowy on do klubu nie ma. Kazał nam robić jak dotychczas, koncerty, zaopatrzenie, kuchnia, no takie tam. Ale ludzie się pozwalniali, menadżer czmychnął do Wrocławia. Nikt tego nie pilnuje. Przyjeżdżają zespoły, o, tak jak dzisiaj, bo umowy podpisane jeszcze przez starego na rok naprzód. Ale nikt nie dba o reklamę, ludzi nie ma... Nikt tu już nie przychodzi.

- No to jak zarabiacie? – dopytywała Dorota.

– Nie zarabiamy.

– Nie rozumiem...

– No, nie zarabiamy. Wydajemy tylko. Daruś jeździ w poniedziałki, środy i piątki przed południem po zaopatrzenie. Ja w tym czasie sprzątam, szykuję, takie tam. Tylko we dwóch jesteśmy. Ale wszystko zawsze świeżutkie.

– Ja z innego nie gotuję! – zaznaczył silniejszym niż dotąd głosem kucharz.

– No i na zmarnowanie idzie, bo klient jak się trafi zbłąkany to przecież nie tak często.

– A ten syn tu nie przyjeżdża, nie dba?

– Czasem na steka przyjedzie. I tyle. Pogada, dyspozycje wyda, że mamy robić jak dotąd i go nie ma. Nie zna się.

– To po co to trzyma?

– Cholera go wie. Może zamknie ten klub w cholerę... Ważne, że póki co płaci. I to niemało.

– Mnie tu dobrze – przyznał kucharz. – Spokojnie, ładna okolica. Nie to co smog miasta. Tylko szkoda, że nie ma dla kogo gotować.

– Mnie też tu dobrze. Rodziny nie mam, więc co zarobię, to odłożę.

Póki pieniądze wpływają, to zmieniał nic nie będę. A może się ruszy i będzie jak dawniej... – rozmarzył się. – Pokazać paniom mój album z autografami? Kto tu nie bywał! A może jeszcze piwa? Na koszt firmy. My też się napijemy. Już północ. Po pracy jesteście.

Dziewczyny spojrzały na siebie. Alicja wprawdzie miała ochotę już iść, była śpiąca, ale Dorota była zafascynowana tak kelnerem, jak kucharzem i całą tą historią. Zgodziła się na kolejne piwo i zaproponowała, żeby wszyscy przeszli na ty. Alicja zamówiła kawę, mając nadzieję, że dawka kofeiny rozbudzi ją na tyle, żeby po skończonym wieczorze zaprowadzić i siebie, i siostrę bezpiecznie do domu.

\*

– To był naprawdę miły wieieczór – ziewnęła Dorota, kładąc się do łóżka.

Alicja nie odpowiedziała. Przyłożyła głowę do poduszki. Przez uchylone okno wpadało przyjemne powietrze. Nie mogła zasnąć. Niepotrzebnie piłam kawę – pomyślała. Przewracając się z boku na bok, zastanawiała się nad tymi wszystkimi dziewczynami, które tego wieczoru z wypiekami na twarzach puszczały wianki. Czy naprawdę wierzą, że dzięki temu znajdą męża? Męża. To słowo nagle zabrzmiało w jej myślach obco.

– Mąż. Mąż – powtórzyła po cichu.

Czy Bartek byłby dobrym mężem? Czy gdyby byli małżeństwem, dopuściliby do tego, co się wydarzyło? Może rzeczywiście ciotka ma rację, że węzeł małżeński, choć symboliczny, związuje mocniej niż zwykle partnerstwo.

Sen nie nadchodził. Spod ściany, gdzie spała Matylda, dochodził miarowy oddech, a z łóżka Doroty rześiste pochrapywanie. Alicja chciała zagwizdać. To zawsze pomagało, kiedy Bartosz chrapał. Przypomniała sobie jednak, że chrapanie Doroty spowodowane jest nadmiarem alkoholu. Siostra zawsze chrapała po piwie i żadne gwizdy, łaskotki i poszturchiwania nie pomagały.

Alicja spojrzała na wyświetlacz w komórce. Dochodziła czwarta. Niebawem wzejdzie słońce, wstanie nowy dzień. Chrząknęła głośno

i poruszyła się na skrzypiącym łóżku. Upewniwszy się, że hałas nie obudził ani Matyldy, ani Doroty, wstała, ubrała się i uważając, aby schodząc po schodach, nie obudzić także ciotki, wymknęła się z domu.

Józefina przy śniadaniu, na które zeszły grubo po jedenastej, wychwalała Matyldę. Że grzeczna, że miła, że ładnie zjadła kolację i poszła spać. I że z ogromną przyjemnością częściej by się nią zajmowała. Dzięki wczorajszemu wieczorowi przypominała sobie, jak to jest usypiać dziecko, opowiadać mu bajki i samemu błogo przysypiać.

Matylda nie słyszała pochwał, bo już z rana wybiegła z domu, by pobawić się z dziećmi sąsiadów.

– Mój Boże – westchnęła Józefina. – A moje wnuki nieutulone przez babcię. Tak daleko, szmat drogi, Australia... Ale już niedługo, już niedługo.

– Wybiera się ciocia do nich? – spytała Dorota.

– Oczywiście. Z prezentami. Syn już nieraz zapraszał, bilet chciał kupić, ale ja przecie wiem, ile to pieniędzy kosztuje. Sama sobie zarobię. Już niedługo, w przyszłym roku może się uda pojechać. A jak tam wy, dziewczynki, spędziłyście wieczór?

Dorota uśmiechnęła się szeroko i nie czekając na Alicję, zaczęła opowiadać. Ponarzekła na swój mizerny wianek, przyznając, że inne były znacznie bogatsze, następnie krótko wspomniała o Smażalni, a na końcu rozpląwała się w zachwytach nad niespodziewaną wizytą w Angel's Jazz Club.

– A, to restauracja świętej pamięci Wiktora – pokiwała głową ciotka.

– Była tam ciocia? – spytała Alicja.

– Nie, gdzie tam! – Józefina parsknęła śmiechem. – Za wysokie progi jak na moje nogi. Ale słyszałam, że bardzo eleganckie miejsce. Nie miał szczęścia biedny Wiktor, oj, nie miał. Ledwie na ojcowiznę wrócił, restaurację otworzył, to Pan Bóg wezwał go do siebie.

– Podobno jego syn to przejął – powiedziała Dorota.

– No ponoć przejął, owszem. Ale nie bywa tu. To jak ma się interes kręcić? Ludzie ze wsi przecie na wykwintne jedzenie przychodzić nie będą. Wiktor nastawiał się na wielkomijską klientelę. Dobry z niego był człowiek. Szanowany... Aż szkoda, że tak mu się zmarło.

– A żony nie miał?

– Miał kiedyś, miał. Wielka miłość to była, Bożena Stachowiak.

Poznali się w liceum, chodzili ze sobą przez całe studia, potem wzięli ślub. Ona poszła na nauczycielkę, on był muzykiem. Urodził się Konrad, bardzo się z tego cieszyli. Ale potem świat upomniał się o Wiktora, zaczął robić karierę, wyjeżdżać. A Bożena w świat jechać nie chciała. Ona wolała spokój, ciepło rodzinne niż jakieś imprezy, tułaczy tryb życia. Rozwiedli się po czternastu latach małżeństwa. On się później nie ożenił, a ona stworzyła nową rodzinę. Mieszka teraz niedaleko, ma dwóch synów, dalej uczy w szkole. Ponieważ jednak byli po rozwodzie, cały spadek przypadł Konradowi. I to on teraz ma na głowie knajpę.

– Dziwne to wszystko – zadumała się Alicja. – Do Angel's nikt nie przychodzi, a knajpa działa. Podobnie jak cukiernia U Marianny. Ona też nie ma klientów, a lokalu nie zlikwidowała. Przedziwne. W Warszawie nie do pomyślenia. Tam, kiedy interes niedochodowy, to się go zamyka.

– A tu czeka na cud – wtrąciła Dorota. – Cholercia... A może... Ciociu, a znasz tego syna, on stary jest?

– Konrada? Gdzie tam stary. Młody chłopak, ładny, oczy wielkie, niebieskie, po matce.

– A ile ma lat? – dopytywała Dorota.

– A będzie po trzydzieście już... Chyba trzydzieści cztery czy pięć.

– To w moim wieku – zauważyła Alicja.

– Ty masz trzydzieści dwa, nie postarżaj się – surowo zganiała siostrę Dorota. – Ja mam trzydzieści pięć.

– I co? Chcesz się z nim zeswatać, że tak o wiek dopytujesz? Przecież chwaliłaś się, że masz faceta – dogryzła Alicja.

– Ja zeswatać z jakimś niedorajdą? – oburzyła się Dorota.

– Dlaczego niedorajdą? – zainteresowała się Józefina.

– O Boże. – Dorota wywróciła oczami. – Przecież jeśli facet utrzymuje klub, który nie przynosi zysku, i jeszcze do tego dopłaca nie wiadomo ile, ale na pewno dużo, to musi być niedorajdą. Tacy mnie nie interesują. Myślałam bardziej o Mariannie.

– O Mariannie? – zdziwiła się Alicja.

– No, sama pomyśl. I do niej nikt nie przychodzi, i do niego.

Dziwny zbieg okoliczności, prawda? Czyli mają wspólny temat: nie



przychodzą do nas goście. Mogliby razem ponarzekać, dogadaliby się. Marianna, z tego co opowiadałaś, ma dwadzieścia sześć lat i jest... – Dorota się skrzywiła – ...z tego, co mówiłaś, śliczna. A on stary nie jest i z tego, co ciocia mówi wynika, że jest niebrzydki, więc by do siebie pasowali. On nieudacznik, nie potrafi pociągnąć interesu po ojcu, a ona bogata, bo przecież niezły spadek.

– On też niezły spadek otrzymał – zauważyła ciotka. – Ale twoja myśl o zeswataciu ich na nic.

– Dlaczego?

– Bo się nie lubią. Romansu to z tego na pewno nie będzie.

– Oj, ciociu, ciociu, jak ja wejdę do akcji plus te twoje ziółka... – uśmiechnęła się Dorota.

– Oni się nie lubią – podkreśliła ciotka. – Jej rodzice i jego ojciec zginęli w tym samym wypadku.

– O Boże. – Alicja przysłoniła usta.

– Przyjaźnili się – wyjaśniła ciotka. – Nie od zawsze, ale odkąd on sprowadził się do Polanki. Często spędzali wspólnie czas. To były mikołajki. On był gościem na jakimś koncercie we Wrocławiu, oni wieczorem, wracając ze swojej wrocławskiej cukierni, zajechali po niego, bo trochę wypił i nie chciał prowadzić. Dziesięć kilometrów przed skrętem do Polanki mieli wypadek.

– To dlaczego Konrad i Marianna się nie lubią? Po takim wydarzeniu powinni się wspierać – zauważyła Alicja.

– No cóż... Marianna wyrzucała Konrowi, że gdyby nie jego ojciec, gdyby rodzice po niego nie pojechali, tylko wrócili do domu, to wciąż by żyli. On z kolei miał pretensje do jej ojca. Był przekonany, że Adam Jarecki jak zwykle przekroczył prędkość. Wszyscy wiedzieli, że lubił szaleć na drodze, szpanować samochodem... A potem przyszedł oficjalny raport, że to wina kierowcy, który jadąc z naprzeciwka i wyprzedzając na trzeciego, wpadł w poślizg i wypchnął ich z drogi. To był trudny wieczór, pierwszy śnieg, na drodze ślisko. Jarecka jeszcze walczyła o życie w szpitalu, ale na drugi dzień zmarła. Wiktor i Adam zginęli na miejscu. Podobno tak było. Tyle wiem, ile ludzie mówili.

– Straszne – westchnęła Alicja.

– Skoro policja stwierdziła, że to nie ich wina, to dlaczego

Marianna i Konrad dalej się nie lubią? – zainteresowała się Dorota.

– Każdy próbuje zrzucić na kogoś ciężar swojego bólu. Tak jest łatwiej – powiedziała ciotka.

\*

Dorota wciąż wspominała smak i zapach carbonary, którą zjadła w Angel's Jazz Club. Tym bardziej, że na niedzielny obiad ciotka podała rosół i schabowe, których Dorota nie znosiła. Nie chcąc podpadać Józefinie, udała, że je, ale kiedy tylko ciotka wyszła po coś do kuchni, Dorota szybkim ruchem zwinęła kotleta w chusteczkę higieniczną i wpakowała go sobie do kieszeni luźnych spodni.

– Co ty robisz? – oburzyła się Alicja.

– A co ciocia zrobiła? – spytała Matylda, która nie zauważyła incydentu.

– Młazcze – skłamała Alicja.

– Cicho, przecież wiesz, że nie znoszę kotletów – wyszeptała Dorota, gromiąc Alicję wzrokiem.

Po obiedzie Alicja planowała spacer. Chciała wspólnie z Dorotą i Matyldą wybrać się nad rzekę, pokazać siostrze stary młyn i przylegające do niego ukwiecone łąki. Matylda kręciła nosem, twierdząc, że jest już umówiona z koleżankami.

– Dorota, słyszysz to samo, co ja? – Alicja udawała naburmuszoną.  
– Moja córka od kilku tygodni w ogóle nie chce spędzać ze mną czasu, ważniejsze są koleżanki i koledzy.

– A dziwisz się jej? – Dorota się roześmiała. – Na nudne spacerki ma chodzić? Chyba lepiej się poganiać w berka. Co, Matylda? Bawicie się w berka? Skaczecie w klasy?

– Jakie klasy? – zdziwiła się dziewczynka.

– Nie gracie w klasy? To była moja i twojej mamy ulubiona zabawa w dzieciństwie. Malujesz kredą kratki z numerami, rzucasz kamyczek i skaczesz.

– E tam. – Matylda zmarszczyła nos. – My budujemy miasto dla ślimaków. Jak się wprowadzą, to będą zachwycone!

– A gdzie to budujecie? – zainteresowała się Alicja.

– W ogródku u Ewy i Michała.

– No, to ich mama będzie zachwycona. Setki ślimaków w ogródku...

– Nie martw się, mamusiu. Ich mama nic nie wie.

Kiedy Matylda wyszła, Alicja przyznała się Dorocie, że jest zachwycona przemianą córki. Mimo że Matylda teraz chętniej spędzała czas z nowymi koleżankami niż z nią, to w końcu zaczęła się uśmiechać, więcej mówi, a co najważniejsze – mniej choruje. Odkąd przyjechały na wieś tylko raz dorwała ją gorączka i kaszel i dwa razy pojawił się katar. Żadna z infekcji nie przerodziła się w nic więcej, nie trzeba było biegać po lekarzach, obyło się bez lekarstw. Dorota podzielała radość siostry, uznawszy jednak, że to nie pobyt na wsi tak korzystnie wpływa na Matyldę, ale magiczne właściwości herbatki, którą zaparza dziewczynce ciotka na dobranoc.

– Założę się, że coś tam dosypuje. – Dorota uśmiechnęła się przebiegle. – A ty, głupia, nie wierzysz, że czary działają. Zobaczysz, jeszcze się przekonasz, kto ma rację. Matylda dzięki ziółkom wyzdrowieje, ja się zakocham, a ty...

– O czym rozmawiacie, dziewczynki? – Józefina przyniosła z kuchni dzbanek z kawą.

– A nic, nic, posprzątam po obiedzie – zaoferowała się Dorota i zaczęła zbierać talerze. Alicja utkwiała wzrok w jej kieszeni, z której wystawał kawałek owiniętego chusteczką kotleta.

– Słyszałam coś o ziółkach – wspomniała ciotka.

– No tak. Dorota podejrzewa, że dodajesz czegoś do herbaty, dzięki czemu Matysia mniej choruje.

Józefina się roześmiała.

– Tak, tak, Dorota ma rację. Dodaję.

Alicja uniosła brwi.

– A co dodajesz, jeśli można wiedzieć? – spytała przerażonym głosem.

– Cytrynę i miód – zachichotała Józefina. – Ale nie zdradzaj nikomu tych tajemnych składników.

Dorota nie miała ochoty na spacer. Ledwie doszły do rozstaju dróg, pociągnęła Alicję w lewo, w stronę Rynku. Przekonała ją, że stary młyn nie ucieknie i jeszcze zdążą go zobaczyć. Podobnie jak rzeka, która

z pewnością i nazajutrz będzie płynąć. Teraz najważniejsze to zjeść coś smacznego, najchętniej makaron. Oczywiście carbonarę.

– Nie znoszę kotletów, nie znoszę – powtarzała, odwijając schabowego z chusteczki i kładąc go przy szosie z nadzieją, że niebawem znajdzie go jakiś bezański pies i będzie z tego powodu szczęśliwy.

– Skoro nie znosisz kotletów, to mogłaś zrobić sobie jajko sadzone. Nie szkoda ci kasy na wizytę w restauracji? – spytała Alicja.

– Nie szkoda. Dobra carbonara warta jest każdych pieniędzy. A jajek sadzonych też nie lubię. Nie marudź, tylko chodźmy do Angel's. To przecież kawał drogi, będziemy miały spacer. Co za różnica czy szosą, czy łąkami?

– Zasadnicza. Poza tym ja nie jestem głodna.

– To zamówisz sobie sok wyciskany. Ja stawiam. Odwiedzimy ich, zjemy, pogadamy... Mam plan.

– Jaki?

– No jak to? Wymyśliłam, jak można im pomóc! Zobacysz, jestem genialna! Ludzie zaczną przychodzić, interes zacznie się kręcić i chłopaki nie stracą pracy. – Oczy Doroty błyszczały z podniecenia.

– Daj spokój ze swoją pomocą. Ledwie przyjechałaś, a już chcesz wsadzać nos w nieswoje sprawy.

– Nie szkoda ci ich?

– Nie myślałam o tym – przyznała Alicja. – Każdy ma własne problemy. Co mnie obchodzi jakaś upadająca knajpa? Przecież kucharz jest świetny, kelner też zna się na swoim fachu jak mało który.

Z pewnością znajdą nową pracę.

– W to nie wątpię. Ale chyba widziałaś, jak smutni są z tego powodu. Podoba im się tutaj, jako jedyni zostali na tonącym statku. Szkoda by ich było, to poczciwe chłopaki, polubiłam ich. A uwierz mi, wcale nie tak trudno jest wdrożyć plan naprawczy.

– Ty już się chyba nie zmienisz – jęknęła Alicja i ruszyła za siostrą wzdłuż szosy.

Kiedy dotarły do restauracji, Alicja padała z nóg. Dotychczas albo jeździła w okolice Rynku rowerem, albo – tak jak poprzedniego wieczoru – szła spacerkiem, robiąc krótkie przerwy. Tym razem jednak

musiała tempo marszu dostosować do siostry, która niemal biegła, gnana głodem.

Kelner Maciek uśmiechnął się na ich widok i natychmiast zaproponował „najlepszy stolik”. Usiadły tam, gdzie poprzednio. Dorota zamówiła carbonarę, Alicja carpaccio z łososia.

– Mam plan! – oświadczyła gromko Dorota, kiedy tylko Maciek przyniósł zamówione dania. – Siadaj z nami. Zaraz ci wszystko naświetlę.

– Jaki plan? – Maciek przysiadł się, zaintrygowany.

– Naprawczy – wyjaśniła Dorota. – Wiem, jak tę waszą knajpę postawić na nogi. W najbliższą sobotę, mój drogi, będzie tu tłum!

– Aha. – Maciek z powątpiewaniem kiwnął głową.

– Po pierwsze zadzwonisz do kapeli, naświetlisz im, co mają grać – mówiła Dorota, wpychając sobie do ust makaron.

– Przecież oni wiedzą, co mają grać. Jazz.

– Jazz, jazz, oczywiście. Ale muszą grać bardziej przystępnie, dla ludzi. Bardziej swingowo, no wiesz...

– Aha... – Maciek nie był przekonany.

– Słuchaj. – Dorota między jednym a drugim kęsem wyjęła komórkę, połączyła się z internetem i puściła Maćkowi *The Girl from Ipanema*.

– Kapuję – uśmiechnął się kelner.

– Niezłe – przyznała Alicja, nucąc pod nosem.

– Otóż to. Niech chłopaki wymyślą, co mogliby zagrać, żeby było i jazzowo, i dla ludzi. Po drugie: reklama.

– No, tu musiałbym się skonsultować z właścicielem, bo to jednak wydatki, nie sądzę, żeby chciał inwestować w upadający interes...

– Daj mi spokój z tym właścicielem – przerwała Dorota. – Nie jego dupę chcę ratować, tylko twoją. A że znam się na rzeczy, to dla mnie żaden wysiłek. Reklama bezkosztowa, szeptana. Trzeba zaktywizować lokalsów.

– Kogo?

– Mieszkańców Polanki i okolicznych wsi. To oni będą tu przychodzić, zobaczysz.

– Ohohoho, już to widzę. – Maciek się roześmiał.

Zza baru wyjrzał Dariusz i także zaczął się śmiać.

– Dorota jest w swoim żywiole, bo pracuje w reklamie – wyjaśniła Alicja. – Jestem pewna, że wie, co mówi.

– A trzeci punkt – kontynuowała niezrażona Dorota – ma związek z drugim. Czekać. – Przerwała i włożyła do ust pokąsną porcję makaronu. Wszyscy w napięciu oczekiwali, aż przełknie. – Po trzecie – powiedziała w końcu – trzeba poinformować ludzi, że macie piwo za sześć złotych. W Smażalni mają za osiem. Ta informacja to klucz do sukcesu.

– Ale jak ich poinformować, skoro do nas nie przychodzą...

– Nie przychodzą, bo się boją.

– Nas? – piskliwym głosem spytał Maciek.

– Gdzie tam was! Miejsca! – krzyknęła Dorota. – Onieśmiela ich, odstrasza, myślą, że tu jest drogo i sztywno.

– Ale przecież wystroju nie zmienimy – zauważył Maciek.

– Ale postrzeżenie można zmienić. Wystawi się tablicę przed drzwiami, że piwo za sześć złotych, z wnętrza dobiegać będzie bardziej przystępna muzyka, a ty, Maciek, zamiast sztywno witać gości z pytaniem o rezerwację, wyjdiesz przed lokal i z uśmiechem będziesz zapraszał na pyszny makaron albo krwistego steka. Kucharz też może wyjść.

– O nie, nie – odezwał się Darek. – Mnie nie zmusicie. Nie wyjdę do gości.

– On jest za bardzo nieśmiały, lepiej go nie pokazywać – zgodził się Maciek.

– Okej, wiecie, co macie robić. Jeszcze dziś warto zadzwonić do kapeli. My się zajmiemy resztą.

– My? – spytała zdziwiona Alicja.

– Oczywiście, pomożesz mi. Musimy zareklamować to miejsce, a ty jednak jesteś tu dłużej ode mnie, znasz ludzi, pokierujesz mnie.

– Nikogo nie znam.

– Wystarczy kilka kobiet. – Dorota mrugnęła okiem.

Pierwsze kroki po wyjściu z Angel's skierowały ku cukierni U Marianny. Drzwi były otwarte, a przed wejściem, w cieniu markizy, stał wózek inwalidzki, na którym drzemała babcia. Alicja z Dorotą,

starając się nie obudzić staruszki, przeszły z drugiej strony i weszły do środka. Marianna nie od razu je zauważyła. Z wzrokiem utkwionym w ekranie laptopa, siedziała przy jednym ze stolików i mruczała coś do siebie.

– Cześć – przywitała się Alicja. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy.

– O, cześć, Ala – odpowiedziała Marianna i wyłączyła komputer.

– Chciałam przestawić ci moją siostrę, Dorotę.

– Bardzo mi miło. – Marianna uśmiechnęła się do Doroty.

– Mnie również. – Dorota odwzajemniła uśmiech. Zafascynowana, mierzyła Mariannę od stóp do głów. Dziewczyna ubrana była w pastelowoniebieskie spodnie z kantem i białą bluzkę z krótkim rękawem ozdobioną przy dekolcie delikatną falbanką. Czarne, tym razem rozpuszczone włosy, zdobiła szeroka opaska z niebieskiego materiału.

– Może macie ochotę na kawę i babeczki? – zaproponowała Marianna.

– No pewnie! – krzyknęła Dorota, zanim Alicja zdążyła odmówić.

– Jak udało ci się znieść babcię ze schodów? – zainteresowała się Alicja.

– Proboszcz i pan Marek, organista, ją znieśli. Byłyśmy rano na mszy, potem na krótkim spacerze. Obiad babcia zjadła tu, na dole, a teraz drzemie. Po wieczornej mszy proboszcz obiecał, że przyjdą i ją wniosą.

– Ciężko ci samej... – zauważyła Dorota.

– Ciężko – przyznała Marianna. – Ale dobrze, że przynajmniej babcię mam. – Uśmiechnęła się.

Podawała babeczki oblane jasnoniebieskim lukrem, doskonale współgrającym z kolorem jej spodni. Po chwili przyniosła trzy filiżanki kawy.

– Jednak nie będę robić remontu – powiedziała, siadając. – Uznałam, że to za duże wyzwanie, hałas, uciążliwość. Udoskonale tylko schody. Zainstaluję przy nich taką specjalną windę do przemieszczania wózka. Właśnie przeglądałam oferty w internecie. Schody są dość szerokie... Jutro zadzwonię i dowiem się szczegółów. Jak babeczki?

- Mmm, pycha – wymamrotała Dorota.
- To nowy przepis. Wczoraj wymyślony.
- Alicja wspominała, że nie masz tu tłumów... – zagadnęła Dorota, oblizując palce.
- No, nie mam. – Marianna się roześmiała.
- Szkoda, bo babeczki takie pyszne! – Dorota nałożyła sobie na talerzyk kolejną. – Myślę, że gdybyś obniżyła cenę, miałybyś klientów.
- Dziękuję, nie zależy mi. Ci, którzy mnie znają i odwiedzają, mogą liczyć na poczęstunek i nie potrzebują do tego pieniędzy. A ci, którzy mnie nie znoszą, a to jest jakieś pięćdziesiąt procent wsi, głównie moje koleżanki i koledzy ze szkoły, nie kupiliby nic nawet za złotówkę.
- A nie chciałabyś, żeby ci jakoś pomóc? – Alicja знаła plan Doroty, ale dla spokojnego sumienia wołała się upewnić, że Marianna nie życzy sobie żadnej pomocy.
- Niby w czym? Niedługo i tak stąd się wyprowadzę. Nie mam ochoty przekonywać nikogo do siebie. Ucieknę stąd i będę miała nowe koleżanki, po co mi te, które mnie nie lubią?
- Racja – przyznała Dorota.
- Mój wujek, który obecnie dogląda wszystkich interesów we Wrocławiu, kiedyś mi powiedział, że nie warto zmieniać rzeczywistości na siłę, czasem trzeba ją zaakceptować. Ja swoją zaakceptowałam.
- Właściwie to przyszedł do ciebie po prośbie... – powiedziała po krótkiej chwili ciszy Dorota. – Bo wiesz, tu niedaleko jest upadająca restauracja. Angel's Jazz Club. Tam też nikt nie przychodzi.
- Och, to zupełnie inny przypadek niż mój. – Marianna machnęła ręką. – Konrad nie nadaje się do prowadzenia. Ta knajpa była konikiem jego ojca, Victora.
- Wiemy, wiemy – przytaknęła Dorota.
- Nic z tego nie będzie, Konrad nawet tu nie przyjeżdża. Ja przynajmniej nie przepuszczam majątku, który zostawili mi rodzice. Kawiarnie i cukiernie we Wrocławiu działają, mam plany otwarcia kolejnych. Tu jestem tylko z uwagi na babcię. Konrad to zupełnie inna bajka. Ani nie zamknął restauracji, ani jej nie prowadzi. A pieniądze topnieją, bo przecież koszty z tego tytułu ma.
- No właśnie, o te koszty chodzi. A właściwie o ich ludzki wymiar.



A konkretnie o kelnera i kucharza. Prawdopodobnie stracą pracę.

– No, stracą – przyznała Marianna. – Nie przepadam za Konradem, ale mimo wszystko nie sędzę, żeby był aż takim durniem, żeby tę knajpę trzymać w nieskończoność.

– Szkoda chłopaków, fajni są. I chcą tu pracować. Dlatego postanowiłam im pomóc.

– Niby jak?

– Dorota to siostra miłosierdzia, ona wszystkim chce pomagać – wyjaśniła Alicja, przewracając oczyma.

– Nie ironizuj – zganiła ją Dorota. – Jak widzę nieszczęście, to pomagam, jeśli mogę. A tu zobaczyłam. Po pierwsze świetny kucharz, który nie ma dla kogo gotować i aż serce się kraje, bo chłopak jest tak wycofany i nieśmiały, że szukanie nowej pracy będzie kosztowało mnóstwo stresu. Poza tym uważam, że ta knajpa jest naprawdę doskonała. Szkoda by było, żeby upadła. Bo przecież będziemy odwiedzać ciotkę. Fajnie byłoby tu wpadać na kolację i koncerty w przyszłości.

– Ja też ich lubię – przyznała Marianna. – Po śmierci rodziców, kiedy na mnie spadła opieka nad babcią, nie mogłam się zorganizować. Przez pierwsze tygodnie, zanim nauczyłam się gotować, Maciek przynosił mi obiady. Wiem, że to na polecenie Konrada. Wtedy myślałam, że on w ten sposób chce odkupić winę ojca, bo właśnie Wiktora oskarżałam o wypadek. Konrad z kolei miał żal do moich rodziców. Ech, nieważne... W każdym razie przynosili te obiady, chociaż ja i Konrad nie rozmawialiśmy ze sobą. A ja je przyjmowałam, bo inaczej babcia nie zjadłaby porządnego, gorącego posiłku. Dziś już dawne pretensje minęły i mimo że, jak wspomniałam, nie pałam do niego szczególną sympatią, bo słabo się przecież znamy, to doceniam tamten gest. Teraz już sama gotuję. – Uśmiechnęła się. – Ale czasem biorę na wynos coś specjalnego, przyrządzonego przez Darka. Rzeczywiście, jest doskonałym kucharzem.

– To może zechciałabyś się przyłączyć do naszego planu pomocowego? – podchwyciła Dorota.

– Ale co miałabym zrobić? Ludzie we wsi nie jadają poza domem.

– Och, jadają, jadają. I pijają. W sobotę Smażalnia była pełna.

Ponoć tak jest co weekend w sezonie. Trzeba więc skierować te tłumy do Angel's. Poinformować ich, że tu jest równie przystępnie, co w Smażalni.

– Ale jak mogłabym... – zaczęła Marianna, ale Dorota powstrzymała ją gestem.

– Dorota ma plan – powiedziała Alicja z westchnieniem. – Posłuchaj.

– Tak. Otóż wymyśliłam – Dorota zmrużyła oczy – że mogłabyś powiesić na szybie kartkę z informacją...

– Do mnie mało kto zachodzi.

– Ale wystawę oglądają – wtrąciła Alicja.

– No tak, wystawę oglądają – przyznała Marianna. – I miałabym zamieścić informację, że...

– Że w Angel's jest piwo za sześć złotych! – Dorota, zadowolona z siebie, klasnęła w dłonie.

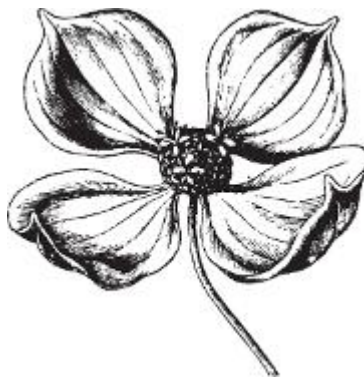
– Aha, już widzę, jak się przejmą tym, że o czymkolwiek informuję. Przecież tylko zaszkodzę w ten sposób.

– Otóż nie. To, że dziewczyny ze wsi cię nie lubią, może być tutaj wielkim atutem. Powiesz kartkę tej treści: „Nie kupujcie piwa za 6 zł w Angel's! Lepiej zjeść u mnie babeczkę! W tej samej cenie i zdrowsza!”.

– Nie rozumiem. – Marianna wyglądała na skołowaną. – Mam im odradzać wizytę w Angel's?

– Przecież jeśli napiszesz: „Idźcie do Angel's”, to cię nie posłuchają.

– Aaaa! – Mariannę nagle oświeciło. – To może być dobry plan – przyznała.



## *Rozdział 10*



Jacek od wielu dni odkładał rozmowę z Grzelakiem. W końcu zebrał się na odwagę i z samego rana, jeszcze przed wyjściem w teren, pojawił się w komisariacie. Komendant zagryzł wargi, kiedy ujrzał podopiecznego.

– Jakież wieści? – zapytał od niechcienia. – Co cię sprowadza?

– Panie komendancie, bo to raczej nie ma sensu. – Jacek spuścił wzrok i nerwowo skubał niteczkę wystającą z džinsów.

– Co nie ma sensu? Praca? Chłopcze! – Grzelak uderzył otwartą dłoń w biurko. – Jesteś dopiero na początku drogi! To nie wiesz, że praca zazwyczaj nie ma sensu? No, chyba że zarabiasz miliony, wtedy ma – przyznał spokojniejszym głosem. – Ale w każdym innym przypadku co chwila nachodzą człowieka kryzysy. Praca nie ma sensu, życie nie ma sensu. Nic nie ma sensu! Ale mimo to trzeba żyć i pracować, bo inaczej się nie da.

– Ale ja o tym śledztwie... Bo mnie się zdaje, że nic z tego nie będzie. – Jacek nadal skubał nitkę, nie patrząc Grzelakowi w oczy. – Ta cała Alicja wygląda na normalną kobietę. Jej siostra też nie planuje chyba morderstwa, zachowują się zwyczajnie, jak babcię kocham, nic a nic nie wyczułem. To już tyle dni, panie komendancie, i nic. Przecież nie możemy łązić za nimi w nieskończoność, można się wykończyć. Strasznie to nudne i męczące.

– Jak każda praca. – Komendant nie dawał się przekonać. Owszem, i jego nachodziły wątpliwości co do słuszności decyzji o śledzeniu, jednak nie chciał się poddać, dopóki nie wymyśli innego, potencjalnie spektakularnego dochodzenia.

– Panie komendancie, ale...

– Żadnego ale! – ryknął Grzelak, czerwieniejąc na twarzy. – Co ty myślisz? Że tak raz dwa się łapie przestępcę? Człowieku, czasem i kilka lat trwa śledztwo, czasem trzeba akta odłożyć, potem do nich wrócić!

– Ale zazwyczaj jest jakiś trup, cokolwiek – wszedł w słowo Jacek.  
– No, jakiś punkt zaczepienia.

– Dwie baby mamy obce! Mało ci? Obce baby we wsi, w której nie ma ani jednej atrakcji dla turystów! Mało ci? Tak nagle przyjechały, niby nic, urlopy takie długie mają? Obydwie? Mało ci punktów zaczepienia? Ty się lepiej weź do roboty, bo z referencji nici. Jak nie chcesz, to ja se znajdę z dziesięciu na twoje miejsce.

– Ja tylko chciałem...

– Lepiej na zegarek spójrz, już po dziewiątej. Moja o tej porze pieska wypuszcza, na nogach już jest. A twoja?

– Moje dwie.

– Dzieciak się nie liczy.

– Ale ta siostra przecież.

– No, to trzy baby mamy. Nagle się zjechały, nie wiadomo po co.

Jacek posłusznie kiwnął głową i wyszedł z posterunku. Grzelak zapalił papierosa. Też powinien już iść, ale rozmowa z Warańskim tak wytrąciła go z równowagi, że musiał chwilę odczekać, uspokoić się. Gnojek jeden, sensu nie ma w robocie. Niech no dłużej by gdziekolwiek popracował, toby znalazł sens, może kopiąc rowy albo przerzucając paczki w magazynie jakim.

Zaciągnął się głęboko, usiłując poczuć ostry, piekący dym w płucach. To już trzeci papieros tego ranka, ale najchętniej zjadłby całą paczkę, żeby się ogłuszyć.

On też miał wątpliwości. Ta, którą obserwował, rzadko wychodziła. Jeżeli już, to wsiadała w samochód i tyle ją widział. Na rowerze nie było co jej gonić, a własnego auta nie posiadał, żeby móc wysledzić, gdzie kobieta się udaje. Codziennie miał nadzieję na jakiś przełom, na znak, że jednak robi dobrze. Któraś z nich przecież powinna wkrótce podjąć jakieś działanie.

Zgasił niedopałek. Do torby, którą wieszał na kierownicy roweru, włożył półlitrową butelkę wody i wyszedł.

\*

Matylda gorączkowała. Co prawda termometr wskazywał niecałe trzydzieści osiem stopni, ale Alicja nie zamierzała czekać, aż temperatura skoczy.

– Tyle razy ci tłumaczyłam, wstrzymaj się, dziecko, z medykamentami – utyskiwała Józefina, kiedy Alicja szykowała się do podania córce paracetamolu. – To jeszcze nie dramat. U nas doktorka we wsi zawsze powtarza, że do trzydziestu ośmiu nic nie podawać! Niech organizm sam zwalczy, co tam go atakuje.

– Aha, będę czekać, aż rozwinie się coś gorszego. – Alicja nie była przekonana. – Gardło ma czerwone.

– Ale migdały nie są powiększone – zauważyła ciotka. – Wstrzymaj się. Będziemy obserwować. Jak się czujesz, kochanie? – zwróciła się do Matyldy.

– Dobrze. – Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Gardło cię nie boli? – spytała zatroskana Alicja.

– Trochę. Jak przelykam.

– Sodą trzeba przepłukać – zadysponowała ciotka.

– Ja bym posłuchała cioci – wtrąciła Dorota. – Sama mówiłaś, że już kilka razy jej rady pomogły. A to syropek z cebuli, o ile pamiętam, a to...

– Ale ja naprawdę boję się gorączki – przerwała jej Alicja.

– Trzydzieści siedem i sześć to jeszcze nie gorączka – powiedziała Józefina spokojnie. – Idę po sodę. A ty odłóż ten paracetamol, może się przyda kiedy indziej. I okno otwórzcie, trzeba wywietrzyć.

Alicja po wyjściu ciotki wywróciła oczami, ale uchyliła okno, wpuszczając do pokoju świeże powietrze.

Wieczorem temperatura Matyldzie wzrosła do trzydziestu ośmiu stopni i wówczas Alicja, zadowolona, że wreszcie może bez komentarzy ciotki podać córce lekarstwo, zaaplikowała jej paracetamol, napiła herbatą z miodem i nucąc dawno nieśpiewaną kołysankę, utuliła do snu. Tak dawno nie spędziła z Matyldą całego dnia, że teraz była wzruszona widokiem dziewczynki, słodko śpiącej w jej ramionach. Głaszcząc dziecko po włosach, jeszcze przez chwilę siedziała na łóżku. Kiedy jednak oddech Matyldy zrobił się miarowy, zdjęła jej główkę ze swoich

kolan i delikatnie ułożyła na poduszce.

Ciotka z Dorotą siedziały zamknięte w piwnicy. Józefina do tej pory była nieugięta wobec próśb Doroty, by ponownie zaprowadzić ją tam i wytłumaczyć, jak się robi nalewki z ziół i eliksiry.

Jednak tego dnia, po kolacji, Józefina dała za wygraną.

– Ale tylko na chwilę – zastrzegła. – I nic nie będziesz zapamiętywać, zapisywać. Pokażę ci, opowiem, ale masz obiecać, że to wszystko zostanie między nami i na własną rękę nie będziesz eksperymentować.

– Ależ skąd. – Dorota pisnęła na wydechu, ale wyraz jej oczu przeczył złożonej obietnicy.

– A spróbuj tylko! – Ciotka pogroziła palcem. – Myślisz, że jestem nieodpowiedzialna? Nie zdradzę ci właściwych składników. A pamiętaj, że źle dobrane proporcje mogą się skończyć katastrofą.

– Jak to? – zaniepokoiła się Dorota.

– Lepiej żebyś nie miała okazji się przekonać.

Alicja zeszła na dół i zrobiła herbatę. Przez chwilę siedziała w salonie, obserwując wesoły płomień zwyczajowo ustawionej na parapecie świecy. W końcu jednak znudziło jej się samotne siedzenie. Zastanawiała się, czy ciotka ma gdzieś farby, które zostały po wujku, może i płótno by się znalazło. Miała ochotę malować. Tak dawno tego nie robiła. Ile to już lat – zastanawiała się – dwanaście, może trzynaście, odkąd namalowała ostatni obraz.

Poszła do piwnicy. Pokonawszy ostatnie stopnie schodów, zatrzymała się. W pomieszczeniu panował półmrok, gęste powietrze aż drżało od mieszaniny zapachów. Alicji zakręciło się w głowie. Oparła się o chłodną i wilgotną ścianę. Przydałoby się tu otworzyć okno – pomyślała.

– ...jeszcze raz, ale musisz się skupić – usłyszała stłumiony głos ciotki.

Józefina stała przy wąskim, podłużnym stole na lewo od wejścia. Tuż obok pochylona nad blatem Dorota wzdychała ciężko, trzymając w ręku duży nóż. Alicja wstrzymała oddech, nie chcąc im przeszkadzać. Zamierzała wycofać się i zapytać o płótna kiedy indziej, jednak ciekawość okazała się silniejsza. Przysiadła na schodku i w milczeniu

obserwowała zaabsorbowane niezwykłą pracą kobiety.

– Nie lepiej posiekać? – wyszeptała wyraźnie zirytowana Dorota. – Kolejny raz próbuję i ciągle źle. Szybciej byłoby posiekać.

– Posiekać to można kaczkom – syknęła ciotka. – Musisz tę pokrzyć najpierw zgnieść aż puści sok, dopiero później siekasz. Jeśli ją posiekasz bez zgniecenia, to po wrzuceniu do wrzątku pory się zamkną i nic nie wypuści.

– Ciociu, to może ty gniesz i siekaj, a ja sprawdzę, jak tam nasza kozieradka.

– A odstawiłaś napar na północne okno? – upewniła się ciotka, nie patrząc na Dorotę. Wzięła od niej nóż i najpierw zaczęła gnieszć nim leżącą na stoliku roślinę, a później sprawnie ją posiekała.

– Odstawiłam. Piętnaście minut już minęło. Czy nasiona selera to teraz mam wrzucić?

– A nie wrzuciłaś jeszcze? – krzyknęła ciotka i spojrzała z wyrzutem na Dorotę.

– Ach, rzeczywiście, już wrzuciłam, przepraszam, seler z kozieradką na oknie. Chciałam zapytać o... co tam jeszcze miałyśmy dodać? – Dorota przetarła czoło. W piwnicy było duszno, a para unosząca się nad kociołkami potęgowała uczucie gorąca. Ciotka jednak zdawała się tym nie przejmować, zrezygnowała w dłoń posiekaną pokrzyć i uniósłszy za pomocą drewnianego kijka pokrywkę jednego z garnuszków, wyspała zawartość dłoni do środka.

– Tera ten napar daj z okna – powiedziała do Doroty, trzymając uniesioną pokrywkę. – Tylko wolno lej, przez sitko.

– Gdzie sitko? – Dorota nerwowo zaczęła się rozglądać. Mimo to nie zauważyła siedzącej na schodku pod ścianą Alicji, obserwującej wszystko z rosnącym zdumieniem.

– Tutaj wisi. – Ciotka brodą wskazała haczyki na ścianie nad kuchenką.

Dorota chwyciła sitko i posłusznie przelała napar z metalowego kubeczka do garnka. Ciotka, nachyliwszy się nad naczyniem, wzięła głęboki wdech i przez chwilę upajała się zapachem, po czym zamieszała drewnianą chochlą kilka razy i przykryła garnuszek pokrywką.

– Co teraz? – dopytywała Dorota.

– Teraz niech się podgotuje. A ty znajdź suszone fiołki. Szafka z lewej, lniany woreczek, przewiązany sznurkiem.

– Ciemno tu – utyskiwała Dorota, kucając przy szafce. – I za dużo woreczków, po czym poznam?

– Po zapachu.

– Dobrze sobie.

Ciotka się zniecierpliwiła, widząc, jak Dorota wyjmuje i wacha woreczek za woreczkiem. Podeszła do niej i błyskawicznie zidentyfikowała właściwe zawiniątko.

– Wrzucamy? – spytała podekscytowana Dorota. – Cały woreczek wsypać? To będzie już wszystko?

– Nie pamiętam, chyba jeszcze tymianek, chwila. – Józefina podeszła do stołu, na którym leżała otwarta gruba księga i najpierw palcem przebiegła po tekście, aż w końcu zaczęła czytać: – *Mieszaj trzy kola do wschodu i dwa do zachodu chochlą z drewna olchowego. Już zamieszałyśmy. Fiołek kruszony dorzuć i garść tymianku ino nie takiego, co przed brzaskiem rwany. Czyli miałam rację, tymianek jeszcze. Miesiąc do garnca niech nie zagląda...*

– O Boże! – krzyknęła Dorota. – Miesiąc mamy nie zaglądać do garnka? Przecież ja tego na przyszły tydzień potrzebuję! Za miesiąc już będzie po ptakach!

– Jaki miesiąc? – zdziwiła się ciotka. – Przecież robię ci gotową esencję. Tu chodzi o Księżyc. Światło Księżyca ma nie dochodzić do naparu!

– Aaaa... – Dorota westchnęła z ulgą.

Alicja kichnęła. Józefina z Dorotą aż podskoczyły na ten dźwięk.

– Co tu robisz? – spytały równocześnie.

– Matylda już śpi – powiedziała Alicja, zawstydzona, że została przyłapana na podglądaniu. – Co robicie? – spytała szybko, żeby zmienić temat.

– Elik sir, który pomoże mi zdobyć awans – pochwalila się Dorota.

– Naprawdę chcesz rozkochać w sobie wszystkich przełożonych?

– Lepiej. Ten eliksir ma taką moc, że kiedy go wypiję, moje źrenice będą niczym u hipnotyzera. Podczas prezentacji zaczaruję słuchaczy i przekonam do swoich pomysłów. – Dorocie błyszcząły oczy,



naprawdę w to wierzyła.

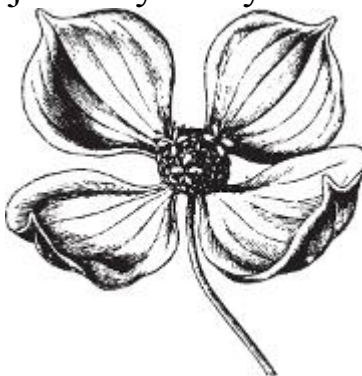
– Super – powiedziała Alicja bez euforii i wstała ze schodka. – Uchylcie tu lepiej okno, bo pomdlejecie z duchoty. Ciociu, zastanawiałam się, czy nie macie gdzieś jakichś płócien, farb. Mam ochotę malować.

– Niestety, co było mi niepotrzebne, porozdawałam albo wyrzuciłam.

– Szkoda. Wobec tego pójdę już spać, bawcie się dobrze.

– ...bawcie się dobrze – wyszeptała Dorota, kiedy Alicja wyszła. – Słyszała ciocia? Przecież to ciężka praca jest, a nie zabawa.

– Cicho, cicho, gdzie ja włożyłam tymianek...



## *Rozdział 11*



Matylda błyskawicznie dochodziła do siebie, po dwóch dniach nie było śladu ani po gorączce, ani po czerwonym gardle. Nie mogła się już doczekać, kiedy mama pozwoli jej wyjść z domu i dołączyć do koleżanek i kolegów.

– A nie wolałabyś pójść ze mną i ciocią na spacer? Albo wybrać się na wycieczkę rowerową, do lasu? – pytała Alicja zasmucona, że córka tylko podczas przeziębienia pragnęła spędzać z nią czas.

– E tam, nudy. Czy mogę iść do Ewy? Wrócę na obiad, obiecuję. Proooszę. – Matylda złożyła ręce i wyczekująco wpatrywała się w Alicję.

– Ja z tobą pójdę na spacer. Mamy sporo do załatwienia – zaoferowała się Dorota.

Matylda tylko na to czekała. W mgnieniu oka włożyła sandaalki i wybiegła z domu.

– Co mamy do załatwienia? – spytała Alicja, kiedy za córką zamknęły się drzwi.

– Działania promocyjne. – Dorota mrugnęła do siostry. Od kilku dni, w czasie gdy Alicja zajmowała się córką, Dorota sama objeżdżała okoliczne wsie i zachodząc do sklepów, rozpuszczała plotki o wspaniałym miejscu, gdzie w soboty grają taneczną muzykę i gdzie wszyscy przychodzą na piwo za sześć złotych.

– Obiad trzeba zrobić. Ciotka dzisiaj zostaje u Teresy do wieczora.

– To my zjemy w Angel's – ucieszyła się Dorota.

– A Matylda? Chleba suchego jej dam? Muszę ugotować normalny obiad. Na zakupy trzeba jechać.

– Jadę z tobą – podjęła Dorota. – W miejscowych sklepach jeszcze

nie byłam, zostawiłam je sobie na koniec.

Kiedy dotarli do Wojtaszka, za ladą stała Małgorzata. Alicja poprosiła o biały ser, ponieważ zamierzała zrobić uwielbiane przez Matyldę leniwe. Dorota tymczasem kręciła się po sklepie, udając zainteresowanie a to artykułami gospodarstwa domowego, a to słodyczami.

– Może kupimy na deser te ciasteczka? – spytała Alicję, biorąc do ręki pudełko oblanych czekoladą pierniczeków.

– Możemy wziąć – zgodziła się Alicja. – Chociaż jeśli zjemy leniwe, a potem pierniczki, to możemy się zasłodzić...

– Masz rację! – krzyknęła Dorota. – Co za dużo, to niezdrowo. A przecież trzeba trzymać formę przed sobotą! Taka impreza... Nie możemy się utuczyć.

Alicja spojrzała zdziwiona. Dopiero po chwili zorientowała się, o czym mówi siostra.

– No tak – bąknęła, pakując ser. – Nie możemy się utuczyć.

– Szczególnie, że jak przyjdą takie ładne młode – ciągnęła Dorota i zerknęła wymownie na Małgorzatę – to wstyd byłoby wyglądać gorzej.

– A, przepraszam, jaka impreza? – zainteresowała się Małgorzata.  
– Tu we wsi?

– To pani nie słyszała? – Dorota doskonale odegrała zdziwienie. – Oczywiście, że tu...

– Aaa, w Smażalni – roześmiała się Małgorzata.

– W Smażalni? Smażalnia już niemodna – prychnęła Dorota. – Teraz wszyscy walą do Angel's, przynajmniej tak słyszałyśmy, prawda, Ala? W ubiegłą sobotę były tam tłumy!

– W Angel's? – Małgorzata nachyliła się nad ladą. – Panie nietutejsze, musiały coś pomylić. Tam nikt nie przychodzi. Kiedyś, owszem, zjeżdżali ludzie z Wrocławia. Ale teraz to już nikt. Tam zresztą drętwo jest. I drogo. To na pewno o Smażalnię chodzi, tam się ludzie bawią.

– Znamy Smażalnię. Byłyśmy tam podczas wianków. Ale ja mówię o Angel's. Twierdzi pani, że drogo? Przecież tam piwo za sześć złotych, taniej niż w Smażalni. A takie imprezy, że hej. A jacy faceci, fiu, fiu – gwizdnęła Dorota. – Ale trudno o stolik – westchnęła. – Trzeba

rezerwować. Alicja, zarezerwowałeś na sobotę?

– Nie. – Alicja uparcie wpatrywała się w reklamówkę z serem.

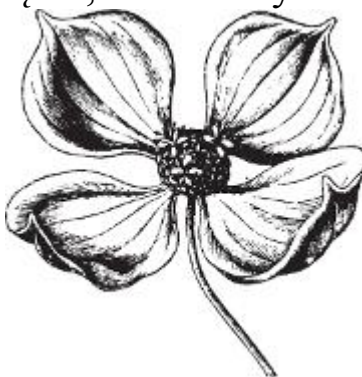
– To trzeba będzie jak najszybciej to zrobić.

Dorota uśmiechnęła się lekko do Małgorzaty i wzięła siostrę pod rękę, prowadząc w kierunku drzwi.

– Do widzenia. Dziękujemy! – krzyknęła na pożegnanie.

Małgorzata przez chwilę obserwowała wsiadające do samochodu kobiety, po czym, kiedy odjechały, chwyciła za telefon i wystukała numer.

– Renata? Leć szybko na Rynek do Angel's Jazz Club i zarezerwuj stolik na sobotę. Dobrze słyszysz! Nie mam teraz czasu, opowiem ci wieczorem. Na ile miejsc się da, weźmiemy dziewczyny. Tak, teraz, leć!



## *Rozdział 12*



Matylda siedziała na ławeczce pod domem i szlochała, odwracając głowę od obtartych po upadku kolan. Dorota z Alicją kucaly przy niej, próbując zdezynfekować rany. Alicja polewała wodą utlenioną, a Dorota przyklejała plastry.

– Po co plastry – utyskiwała Józefina, obserwując zabieg. – Na powietrzu lepiej się zagoi. Albo babkę przyłożyć...

Alicja udawała, że nie słyszy, powtarzając córce, iż to tylko niewielkie zadrapania i lada moment się zagoją. Kiedy na obu kolanach znalazły się plasterki, Matylda przetarła oczy, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Już nie boli. Mogę iść się bawić?

Nie czekając na odpowiedź, wybiegła za płot i żwawym krokiem udała się w kierunku domu Ewy i Michała. Alicja przysiadła na ławce i wystawiła twarz do słońca. Nie zdążyła się jednak zrelaksować, ponieważ usłyszała dramatyczny szept ciotki:

– A one tu czego?

– Kto? – spytała Dorota.

– Krystyna. Cholibka, idzie tutaj. Czy ty się, Alicjo, nie wypaplałaś przypadkiem? – Józefina spojrzała groźnie.

– A skąd, nic nie mówiłam.

– O czym? – zainteresowała się Dorota.

– To może ty? – spytała ciotka, wpatrując się w Dorotę.

– Ale o czym?

– Nic nikomu nie mówiłyśmy – pospieszyła z odpowiedzią Alicja.

– Naprawdę, nie rozgadujemy we wsi, że ciocia nadal zajmuje się ziołami, przysięgam. A tej Krystyny to nawet nie znamy.

– Ach, o to chodzi. Ja też nic nie mówiłam – powiedziała Dorota.

– Cicho już – wychrypiała Józefina, nie spuszczając oczu z Krystyny, która razem z dwiema innymi kobietami zbliżała się właśnie do furtki.

– Niech będzie pochwalony! – Krystyna krzyknęła bez uśmiechu. Była szczupłą, niewysoką kobietą z półdługimi siwymi włosami uczesanymi gładko w koński ogon. Miała na sobie ciemną bluzkę i spódnicę w kratę, która sięgała do łydek. Na nogach brązowe sandały, mocno przykurzone.

– Na wieki wieków, amen. – Józefina kiwnęła głową. – A kogóż to moje oczy widzą?

– Częściej by, Józiu, widziały, gdybyś bywała w kościele – odpowiedziała z lekkim uśmiechem Krystyna.

– Krysiu – Józefina również się uśmiechnęła – gdybyś raczyła spojrzeć za siebie, z pewnością byś mnie dojrzała. Lecz trudno cokolwiek zobaczyć z pierwszej ławki...

Kobiety, które towarzyszyły Krystynie, nie odzywały się. Ich twarze nie wyrażały emocji. Przytakiwały tylko w milczeniu każdemu słowu wypowiedzianemu przez Krystynę.

– Pierwszy rząd zajmują wierni o czystych sercach. Ciekawe, dlaczego ciebie tam nie ma, Józiu? – odgryzła się Krystyna.

Józefinie drgnęła powieka, ale mimo to uśmiechnęła się i odrzekła:

– No cóż, Krysiu, ja zajmuję ostatni rząd, ponieważ jak zapewne i tobie wiadomo, to ostatni będą pierwszymi. Ale chyba nie przyszedłeś do mnie, żeby się licytować, która z nas zajmuje lepsze miejsce w kościele?

– Rzeczywiście. – Krystyna odwzajemniła uśmiech. – Nie przyszłyśmy tu do ciebie. Mamy sprawę do pani. – Spojrzała na Alicję.

– Do mnie? – Alicja otworzyła ze zdumienia oczy.

– Bogusiu, to może ty powiesz – zaproponowała Krystyna, przesuając jedną ze stojących obok kobiet przed siebie.

Bogusia była niską, krępej budowy kobietą o krótkich, przeplatanych siwymi pasmami, ciemnych włosach. Jej usiana zmarszczkami twarz, wcześniej nieruchoma, teraz rozjaśniła się w uśmiechu, który objął również oczy.

– Bo widzi pani – powiedziała niskim, ciepłym głosem – moja

wnuczka, Ela, taka ruda...

Ach, Marchewa – zorientowała się Alicja.

– ... powiedziała, że pani jest malarką – ciągnęła Bogusia.

– To za dużo powiedziane – przerwała Alicja. – Ale rzeczywiście, maluję i wspominałam jej o tym.

– No właśnie! – ucieszyły się kobiety równocześnie. – Bo my chciałyśmy panią prosić o pomalowanie naszej Bozi – powiedziała Bogusia.

– Matki Boskiej znaczy się – wtrąciła Krystyna.

Zanim Alicja zdążyła o cokolwiek zapytać, trzecia z kobiet, najwyższa i zarazem najmłodsza, ubrana w granatowe dzinsy i jasną bluzkę, powiedziała:

– Chodzi o kapliczkę, o naszą Maryję przy drodze. Farba dawno już zeszła. Ksiądz proboszcz zgodził się, żeby ją odmalować, nawet środki dał, farby, pędzle już kupione...

– Ale ja nie wiem, czy potrafię. – Oszołomiona Alicja wydobyła z siebie słaby głos.

– Ale potrafi pani, potrafi – szybko przerwała jej Bogusława. – Na pewno lepiej niż nasz Jarek. Bo on chłop jest, a pani przecie kobieta.

– Jaki Jarek? – zainteresowała się Dorota.

– Nasz malarz, u wszystkich tu we wsi maluje – wyjaśniła Krystyna.

– Ale zwykły malarz jest do ścian, a nie artysta – wtrąciła Bogusia. – Poza tym chłop, ręce ma wielkie, a tu trzeba delikatnie, z sercem Bozi naszej suknię odmalować, usteczka, policzki uczerwienić. To się chłop do tego nie nadaje, proszę pani.

– Ale ja też nie wiem, czy się nadam – zauważyła Alicja. – Nigdy wcześniej nie przeprowadzałam takiej renowacji...

– Nadajesz się – ku zdumieniu wszystkich powiedziała ciotka. – One mają rację, Jarek może zdolny i pracowity, ale grabie ma jak niedźwiedź. Wałkiem ścianę pomaluje raz i dwa, ale tu mały pędzelek potrzebny i kobieca wrażliwość.

Krystyna i jej towarzyszki spojrzały na ciotkę i zgodnie pokiwały głowami.

– No dobrze – zgodziła się w końcu Alicja. – Mogę spróbować.

– Wspaniale! – krzyknęła Krystyna, klaszcząc w dłonie. – To kiedy mogłaby pani zacząć? Prognozy mówią, że w najbliższych dniach deszczu nie będzie, a potem to nie wiadomo, więc nie ma na co czekać.

– To może jutro? Przed południem przyszedłbym pod kapliczkę, oceniła, rozplanowała prace.

– Jutro to nie. My nie możemy. Sobota – wielka robota. Taki zwyczaj, że przy sobocie się sprząta i w domu, i w kościele, a i u Czarnej Marii w Bibliotece chcemy trochę poogarniać, opruć kobieciny, kurze pościerać.

– A wieczorem próba chóru – wtrąciła Bogusia.

– Najlepiej w poniedziałek, zaraz po porannej mszy o szóstej trzydzieści. Wpół do ósmej mogłybyśmy się stawić, pędzle, farby są, Renia przyniesie. – Krystyna spojrzała na blondynkę.

Siódma trzydzieści? – jęknęła w duchu Alicja.

– Dobrze – powiedziała wbrew sobie. Zawsze miała problem z asertywnością, nie potrafiła odmawiać. Dorota spojrzała na nią ze współczuciem.

– Dziękujemy. – Krystyna się ukloniła. – Bóg to pani wynagrodzi. Bardzo dziękujemy.

\*

Dorota przeglądała się w zawieszonym na zapleczu kawiarni z ciuchami lustrze. Z Warszawy wzięła sporo ubrań, ale żadne według niej nie nadawało się na większe wieczorne wyjście, a tak właśnie lubiła myśleć o imprezie w Angel's. Lumpeks może nie był szczytem jej marzeń, ale jako urodzona optymistka uznała, że lepsze to niż nic i już o dziewiątej rano zrobiła Alicji pobudkę, zmuszając ją, żeby wspólnie udały się na Rynek na zakupy. Mimo że Alicja była przeciwna, bo nie zamierzała się stroić, to uległa siostrze i obiecała, że ona również wybierze coś dla siebie.

Sprzedawczyni była zachwycona. Dwie klientki o nienagannych figurach, na których niemal wszystko dobrze leżało, były niczym nagroda za pracowity, ale finansowo bardzo kiepski poprzedni tydzień. Tymczasem Dorota, przebierając w sukienkach i bluzkach, aż piała z zachwytu, kiedy przeliczyła, że za kilka uroczych szmatek nie zapłaci



więcej niż sto złotych. Wybrała więc długą do ziemi falbaniastą spódnicę w jasne kolorowe kwiaty, a do niej przylegającą do ciała kremową bluzeczkę. Kupiła też krótką, wąską sukienkę w kolorze błękitu, którą zamierzała założyć wieczorem. W ostatniej chwili zdecydowała się także na rozszerzane u dołu kraciaste spodnie, dawno już niemodne, ale ponieważ wiele lat wcześniej nosiła podobne, kupiła te niejako z sentymentu do tamtych.

– Nawet jeśli będą wisieć w szafie, to miło będzie na nie popatrzeć i powspominać – westchnęła.

Alicja nie potrafiła nic wybrać. Rzeczy były albo zbyt krzykliwe, albo nie w jej kolorach. Zdecydowała się w końcu tylko na blad różową koszulową bluzkę, którą zamierzała założyć do wąskich džinsów.

– Słabo – uznała Dorota. – Nie będzie cię widać. Lepiej załóż sukienkę, co ci zależy?

– Sukienkę miałam na sobie ostatnio, na wiankach, w tym miesiącu wyczerpałam limit strojenia się – zaśmiała się Alicja. – Najwygodniej mi w džinsach. A ta bluzka będzie pasowała.

– Do džinsów wszystko pasuje. Ale to strój codzienny, a nie wyjściowy. Wieczorem mamy błyszczeć!

– Dobrze, kochana, ty sobie błyszcz i bryluj, a ja usiądę z tyłu i ocenię z daleka, kto był królową balu. Możesz być pewna, że wygrasz.

– Dzięki Bogu Marianna nie przyjdzie, więc szanse mam – zaśmiała się Dorota.

– Panie się wybierają do Angel's? – zagadnęła sprzedawczyni.

– Oczywiście. – Dorota spojrzała na nią udając urazę. – Wszyscy dziś będą w Angel's. Trzeba wyglądać, prawda? Co sobotę robią imprezy, już żałuję, że nie będę mogła przyjechać za tydzień.

– Kto by pomyślał – zamyśliła się sprzedawczyni. – Jeszcze kilka tygodni temu rozmawiałam z Borowską na temat Konrada, tej restauracji i w ogóle... Że zaniedbał, że mu nie zależy, że stary Legrandow w grobie się przewraca, widząc, jak knajpa upada. A dziś... Od kilku dni z każdej strony tylko Angel's i Angel's. Słyszały panie, że tam piwo taniej dają niż w Smażalni?

– Nieee... – Dorota pokręciła głową z niedowierzaniem. – W takim eleganckim miejscu? Co też pani opowiada?

– No, też się zdziwiłam, ale to prawda. Po sześć złotych mają.  
Kazik sprawdził.

\*

Matylda jadła powoli, zerkając spod oka na Alicję. Obiad, który przygotowała ciotka, był smaczny i dziewczynka w innej sytuacji zapewne wzięłaby dokładkę ulubionych kopytek, ale tym razem męczyła się nad talerzem z miną cierpięcicy.

– Źle się czujesz? – Zaniepokoiła się Alicja.

– Matysia, pewnie jesteś obrażona, że nie możesz wyjść z nami wieczorem, ale zazwyczaj wieczorne imprezy przeznaczone są dla dorosłych – wtrąciła Dorota. – Kiedy ty dorośniesz...

– Nie jestem obrażona – wyszeptała Matylda. – Wcale nie chcę tam iść.

– No pewnie – roześmiała się ciotka. – My tu sobie z Matyldą urządzimy taki bal!

– To dlaczego nie jesz? Przecież lubisz kopytka – spytała Alicja, przyglądając się z troską córce.

– Mamooo. – Matylda przeciągała samogłoski, kiedy miała naprawdę trudną prośbę.

Alicja spojrzała na nią pytającym wzrokiem.

– Mogę ci coś pokazać? – Matylda przygryzła wargi.

– Oczywiście. Ale po obiedzie.

Matylda kontynuowała skubanie widelcem w potrawie, jednak nie wkładała jedzenia do ust. Alicja, obserwując córkę, także straciła apetyt.

– Dobrze, o co chodzi? – spytała, wstając od stołu.

Matylda uśmiechnęła się lekko i poprowadziła ją za dom, do ogródka. Dorota z Józefiną, zaintrygowane, podążyły za nimi.

– O rany, a co to jest? – spytała Alicja, kucając przy wskazanym przez dziewczynkę niewielkim koszyczku przykrytym ciemną szmatką.

– Kotki.

– Kotki? – Alicja podniosła szmatkę. Rzeczywiście, w środku znajdowało się pięć malutkich, puszystych stworzonek.

– Jejku, jakie słodkie – przyznała Dorota. – Skąd je masz?

– Wzięłam.

– Jak to wzięłaś? Czyje to? – spytała Alicja.

– Niczyje. U Ewy się urodziły. To znaczy jej Kropka urodziła, ale tata Ewy powiedział, że już za dużo tych kotów i te utopi.

– Jak to utopi? – zdziwiła się Dorota.

– Na pewno żartował – powiedziała Alicja, uśmiechając się do córki. – Trzeba oddać im te kotki, nieładnie je zabierać.

– Ale powiedzieli, że jeśli się zgodzisz, to mogę je wziąć. Mogę? Maaamooo, prooszę.

Alicja zaniemówiła. Ciotka uśmiechała się pod nosem, stojąc oparta o ścianę budynku. Dorota skrzywiła usta, ciesząc się, że to nie ona jest matką Matyldy i nie ona musi jej odmawiać.

– Kochanie, ale nie możemy wziąć tych kotków – powiedziała w końcu Alicja.

– Dlaczego? Są takie biedne.

– I słodkie. To prawda – przyznała Alicja. – Jednak nie możemy ich wziąć. To kłopot i duży obowiązek. Teraz są małe i precudne, ale kiedy dorosną, nie będą już takie słodziutkie.

– Będą – upierała się Matylda. – Obiecuję, że będę je karmić i opiekować się nimi.

– Dziecko, ale w Warszawie nie mamy ogrodu, po którym mogłyby biegać. Nasze mieszkanie jest za małe na pięć kotów. Musisz je zwrócić.

– Mamooo. Proszę. Nie zwrócę ich, bo tata Ewy chce je utopić. Nie dam utopić moich kotków! – Matylda uderzyła w płacz.

– To może ja porozmawiam z tatą Ewy i on ci wytłumaczy, że żartował – zaproponowała Alicja.

– Ale ja chcę kotki! Ja chcę kotki! Ja je kocham, to są moje kotki!

Alicja spojrzała na Dorotę, z twarzy której nie była w stanie nic wyczytać. Siostra tym razem nie pomoże – pomyślała.

– Dobrze, zgadzam się na jednego kotka. Ale resztę oddamy – powiedziała w końcu.

– Weźmy wszystkie – płakała Matylda.

– Mam pomysł – wtrąciła Józefina. – Poprosimy Grzegorza, żeby na razie trzymał kotki u siebie, bo są zbyt małe na odstawienie od matki. Muszą ssać mleczko. A potem pomyślimy, co dalej. Na pewno nie damy

ich utopić, zgoda?

Matylda przetarła oczy. Chwilę myślała nad odpowiedzią, w końcu przystała na propozycję. Przykryła koszyk szmatką.

– To idę do Ewy. Jak wychodziłam, to Kropka spała w stodole.

\*

Spódnica z falbanami prezentowała się doskonale. Dorota z zadowoleniem obracała się i przeglądała w lustrze. Przyznała, że w mieście nie poszłaby tak ubrana do klubu, ale tu, na wsi, można sobie pozwolić na odrobinę ekstrawagancji.

Dochodziła siedemnasta. Alicja była jeszcze w proszku. Umyła włosy i owinęła je ręcznikiem. W rękach obracała małą suszarkę, ale nie podłączyła jej do prądu. Wciąż myślała o Matyldzie i kotkach. Nie mogła wszystkich przygarnąć, to byłoby szaleństwo. Ale też nie miała ich komu oddać. Co prawda ciotka podczas popołudniowej herbatki zaproponowała, że ona je weźmie i będą mieszkały u niej w piwnicy, ale biorąc pod uwagę sprzęty, które w tej piwnicy się znajdowały, gromada kotów byłaby tam niewskazana. Poza tym ciotka planowała wyjazd do Australii, nie pojedzie przecież na tydzień, ale na co najmniej dwa miesiące. Kto w tym czasie zajmie się kotami?

– Przestań już rozmyślać, szykuj się – ponagliła Dorota. – Boże, aż się boję, czy moja metoda wypali. Jeśli nie przyjdą tłumy, będę spalona!

– Co ty gadasz. Jeśli nie przyjdą tłumy, to same się zabawimy przy muzyce i też będzie dobrze.

– Szykuj się!

Alicja włączyła suszarkę. Dorota zbiegła na dół, pochwalić się ciotce spódnicą.

– No, wreszcie wyglądasz jak prawdziwa kobita. – Ciotka cmoknęła z uznaniem.

– Ciociuniu, a może już dojrzały nasze eliksirki? Wzięłabym ze sobą i poeksperymentowała, co? Sprawdzę, czy działają.

– Już ja ci dam eksperymentowanie! Dziewczyno, przecież jeśli nie daj Boże wypijesz za dużo i zaczniesz wlewać eliksir komu popadnie, to będzie nieszczęście!

– Ależ ciociu, będę się pilnować.

– Taaa, szczególnie jeśli zauważysz szybkie efekty. Już widzę, jak się będziesz pilnować. Jutro dostaniesz, przed wyjazdem. Na imprezę nie dam ani kropli.

– Ależ ciocia jest... – westchnęła Dorota. – A tobie co? – spytała, zauważywszy stojącą przy schodach Alicję. – Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczyła.

– Rzeczywiście, zbladłaś, dziecko. Stało się co? – zaniepokoiła się ciotka.

– Bartek dzwonił. – Alicja przełknęła ślinę.

Dorota podniosła brew. Przez chwilę wpatrywała się w siostrę w milczeniu.

– No i co z tego? – spytała, odzyskawszy głos.

– Chce się spotkać. Jutro tu będzie.

– Ale po co?

– Nie wiem. Pytałam, ale powiedział, że to rozmowa w cztery oczy. Prosił, żeby nie było przy niej Matyldy.

– O co może mu chodzić? – Dorota podrapała się w czoło.

– Nie mam pojęcia. – Alicja wzruszyła ramionami. – Prosiłam go, żeby powiedział przez telefon, ale upierał się, żeby jutro przyjechać. Jakiś był dziwny... O Boże! – krzyknęła nagle i oczy jej rozblęły. – Mój wianek dopłynął! Mój wianek!

– Jaki wianek? – zdziwiła się Dorota.

– Siedem dni minęło, rzeczywiście – przyznała ciotka.

– Alicja nie puszczała wianka – wyjaśniła Dorota.

– Puściłam.

– Puściłaś? Kiedy?

– Nad ranem. Nie mogłam zasnąć.

– Super. – Dorota z dezaprobatą pokręciła głową. – To mnie wyzywasz od naiwniaczek, a sama wianki puszczasz...

Alicja przygryzła wargi. Wciąż trzymała w dłoni telefon.

– Puściłam wianek i poprosiłam anioły o miłość. Tylko tyle. Nie wierzę w to, ale skoro wszystkie dziewczyny puszczały... – zaczęła się tłumaczyć. – O rany, nie mogę w to uwierzyć. Bartek zadzwonił! Nie odzywał się od miesiąca. Nie interesowało go, co u nas. I nagle dzwoni – wyrzucała z siebie słowa. – I taki dziwny był... Nie wiem, jak to

wytłumaczyć.

– Czary. – Dorota uśmiechnęła się kwaśno.

– Ciociu, ale przecież on ślub miał brać – gorączkowała się Alicja.

– I nagle odwoła? Co mam o tym myśleć? Nie kocha jej?

– Przecie mówiłam, że jeśli wianek dopłynie, to przyjdzie ten mężczyzna, który jest pisany – westchnęła ciotka.

– A może on wcale ślubu nie odwoła, tylko w innej sprawie chce się spotkać? – głośno myślała Dorota.

– Niby w jakiej? – warknęła Alicja. – Każdą inną sprawę mógł omówić przez telefon. Skoro przyjeżdża aż tutaj i to już jutro, to znaczy, że sprawa jest ważna. Poważna. A to znaczy, że...

– I co, masz zamiar tak po prostu mu wybaczyć? – prychnęła Dorota. – Po tym wszystkim, co ci zrobił?

– Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale to ojciec Matyldy. – Alicja spojrzała z powagą. – I choćby dlatego jestem w stanie mu wybaczyć. Obydwoje popełnialiśmy błędy, może za szybko pozwoliłam mu odejść, nie walczyłam...

– Zdradził cię – podkreśliła Dorota.

– Może miał powód... Oddaliliśmy się od siebie. Ja byłam zajęta dzieckiem.

– Co za gadanie! Już nieraz przerabialiśmy ten temat.

– Więc może wystarczy. Też nie chcę już o tym rozmawiać. Co było, to było. Nie buntuj mnie teraz przeciwko niemu. Jeśli do niego wrócę, to będzie moja decyzja.

– Okej, okej, nic już nie mówię. – Dorota rozłożyła ręce.

– O Boże! – krzyknęła Alicja. – Muszę się przygotować na jutro. Nie idę na imprezę.

– O nie! – zaproponowała Dorota. – Co to, to nie! Ja rozumiem, Bartuś znowu miesza ci w głowie, ale to nie znaczy, że wszystko inne masz rzucać w ką! Zobowiązaliśmy się, to przyjdziemy!

– No pewnie, idźcie – zgodziła się ciotka. – Dorota dobrze mówi. Ja z Matysią chciałam spędzić miły wieczór. Przyniosłam nawet baśnię z Biblioteki. Chyba nie będziesz nam przeszkadzać. – Spojrzała surowo na Alicję.

– Nawet nie chcę słyszeć, że nie idziesz. Już, szykuj się. O której

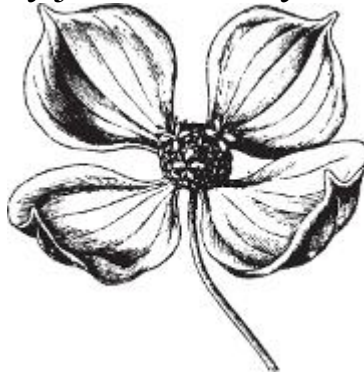
Bartek jutro przyjeżdża?

– Chce wyjechać z samego rana, powinien dotrzeć w południe.

– To świat i ludzie. Zdążysz się rano przygotować, wypindrzyć, wypachnić.

– Dobrze, już dobrze – powiedziała niechętnie Alicja, wlokąc się na górę. Wciąż czuła przyjemne podekscytowanie rozmową z Bartkiem i czekającej ją nazajutrz niespodzianki. W głowie majaczyły jej obrazy, w których Bartek przyjeżdża z wielkim bukietem róż i pada jej do stóp, przepraszając i błagając o wybaczenie. Ona nie od razu się zgodzi, najpierw się podąsa, pomarudzi, ale kiedy on spojrzy jej głęboko w oczy, nie będzie miała siły się opierać i padnie mu w ramiona.

– Pospiesz się! Musimy już iść! – krzyczała z dołu Dorota.



## *Rozdział 13*



Wieczór był ciepły i spokojny. Przez otwarte okno biura w kamienicy umiejscowionej przy wrocławskim rynku dało się słyszeć płynącą z kawiarnianych ogródków muzykę i wesołe głosy przechodniów. Konrad Legrandow przeciągnął się na krześle, nie odrywając wzroku od komputerowego monitora. W myślach analizował błędy systemu, który jego firma szykowała dla sieci restauracji, a na którego dopracowanie został niecały miesiąc. Na monitorze migotały kolorowe rybki, sprawdzony sposób na ukojenie zmysłów. Potrzebował spokoju i czasu. Wiedział, że problem tkwi w jakimś małym szczególe, który przegapili, wymyślając program.

– Tu cię mam! – Usłyszał nagle zza pleców. – Wiedziałem, że cię tu znajdę. Nie odpuszczisz nawet w sobotę.

Głos należał do Marcina Szadkowskiego, przyjaciela i współnika Konrada. Marcin, mimo że był wysoki i chudy, głos miał niski, niemal chropowaty. Kobiety za tym szalały, chociaż za samym Marcinem już mniej. Był bowiem bardzo gadatliwy, często nie dawał innym dojść do głosu. Aż dziw, że znalazła się jedna, której to nie przeszkadzało. Agata, zwana Kicią, uwielbiała gadanie Marcina. Mogłaby słuchać go godzinami, nawet jeśli nie miał nic szczególnego do powiedzenia. Sama była nieśmiałą introwertyczką, umysłem ścisłym, informatycznym geniuszem. Jeśli mówiła, to tylko wtedy, kiedy trzeba było coś ustalić. Nie plotkowała, nie komentowała. Nie lubiła mówić, ale lubiła słuchać.

– Ktoś musi pracować, żeby odpoczywać mógł ktoś – wymamrotał Konrad, nie odwracając się.

– Właśnie po to przyszedłem, żebyś się oderwał i zrelaksował. Od dwóch godzin próbuję się dodzwonić, telefon masz wyłączony?



– Wyładował się.

– Taaa. – Marcin przysiadł na biurku. – Nieważne, stary, idziemy w miasto. Teściowie dzisiaj przyjechali, zajmą się małą.

Zaproponowałem Kici, żebyśmy skrzyknęli znajomych i w końcu się trochę rozerwali. Ile można klocki układać? Pierwszy raz ucieszył mnie nagły najazd teściowej. – Roześmiał się. – Bo po raz pierwszy mnie olśniło, że przecież wcale nie muszę z nią siedzieć. Mało tego, Kicia też nie musi. Niech się teściowie na coś przydadzą.

– Super.

– A co ty taki markotny? Daj spokój z tym programem. Sobota jest. Mamy jeszcze miesiąc, damy radę. Przecież jeśli mózg ci się zlasuje, to nic nie wymyślisz. Wyłącz kompa i idziemy. Będzie Borys, Majkel, Aśka. Krzychu z Gonią mają jeszcze potwierdzić. Ale ogólnie plan jest taki, że za pół godziny spotykamy się wszyscy w meksykańskiej, bo Kicia miała ochotę na ostre, a potem idziemy, gdzie nas nogi poniosą. Jak za dawnych, dobrych lat. Od baru do baru, drink za drinkiem i doprawimy czystą. Zupełny spontan, bez okazji. Chociaż... może tobie się trafi okazja. Bo Kicia w nagłym przypływie radości obdzwoniła też kilka wolnych koleżanek. – Marcin puścił oko.

– Nie szukam okazji. – Konrad zmęczonym wzrokiem spojrzał na kolegę.

– A powinieneś. Prawdę mówiąc, i ja, i Kicia uważamy, że za dużo pracujesz. Od rozstania z tą pochrzanioną Carlą minęło już tyle miesięcy.

– Marcin westchnął. – A ty, zamiast korzystać z odzyskanej wolności, zamykasz się w czterech ścianach...

– Już o tym rozmawialiśmy – wtrącił Konrad, nie mając ochoty na roztrząsanie tematu.

– Tylko nie mów, że za nią tęsknisz.

– Odbiło ci?! – krzyknął Konrad i puknął palcem w czoło. – Robotę mam. Nie zawracaj mi dupy. Jeśli nie znajdę rozwiązania, to kontrakt diabli strzelą i jeszcze zapłacimy karę.

– Pitu, pitu. Jeszcze się to nie zdarzyło. Zawsze są jakieś problemy. Tylko że teraz największym problemem jesteś ty. Co mi po przemęczonym wspólniku? Znamy się od lat i wiem, że najlepiej ci się pracuje z rana, kiedy umysł jest świeży. Dlatego niepokoi mnie, że

odkąd zerwałeś z Carlą, przesiadujesz w biurze dniami i nocami. Naprawdę nie sądziłem, że aż tak cię to weźmie.

– Nic mnie nie wzięło. – Konrad odsunął się na krześle. – Przestań pieprzyć. Zapomniałeś już, że próbowała poderwać mojego ojca?

Myślisz, że po czymś takim miałbym jeszcze do niej jakiś sentyment?

– Cholera cię tam wie.

– Zapewniam cię, że nie mam żadnego sentymentu. I nie mam też ochoty na kolejne miłostki z kolejnymi ześwirowanymi babami. Swoją drogą, odnoszę wrażenie, że one wszystkie były ze mną tylko dlatego, że jestem synem... Byłem synem... – Konrad zamyślił się.

– ... Wielkiego Victora Legranda – pociągnął Marcin. – Tak.

Wiem, wiem. Kompleks sławnego ojca.

– Ta suka nawet na pogrzeb nie przyszła – przypomniał Konrad. – I ty sugerujesz, że mógłbym mieć do niej jakikolwiek sentyment? Ale rzeczywiście, masz rację. Koniec na dziś. Jadę do Polanki.

– Niepotrzebnie zaczynałem temat – westchnął ciężko Marcin. – Nigdzie nie jedziesz. Idziesz z nami na drinka.

– Stary, nie mam ochoty. Następnym razem. Masz rację, potrzebuję spokoju, muszę się zresetować, cyfry przemykają mi w mózgu jak w matriksie. Nie mam ochoty na chłanie nawet w tak wspaniałym towarzystwie. Pozdrów wszystkich. – Konrad wyłączył komputer i zaczął porządkować biurko.

– I co będziesz tam robił? Zjesz steka, pogadasz z kelnerem? Pójdiesz spać? Swoją drogą, już dawno ci mówiłem, że powinieneś zamknąć tę knajpę. To stracone pieniądze. Nie ma cię tam, klub na siebie nie zarabia. Po co to?

– To nie moje pieniądze. Ojca.

– Wiem, ale przecież twój spadek. Tylko głupek trzymałby ruinę.

– To dobry klub. Przed śmiercią ojca bywały tam tłumy.

– Dla niego! Teraz sam wiesz, jak jest. Przykro mi, Konrad, ale nie postawisz tej knajpy na nogi. Nie znasz się na tym, nie twoja bajka. Po co to utrzymywać?

Konrad wziął głęboki oddech. Nie chciał rozmawiać, ale wiedział, że przy charakterze Marcina trudno będzie przemilczeć temat, szczególnie że rzadko go podejmowali.

– Wiem – powiedział Konrad po chwili. – Ale to trudna decyzja. Ojciec dopiero co otworzył ten klub, to był jego konik, jego życie. Nie mam sumienia zamykać czegoś, co budował z takim zaangażowaniem... Nie mam sumienia.

– Ale to stracone pieniądze. Nie wiem, czy twój stary byłby zadowolony, że marnujesz spadek. Przecież mógłbyś go inaczej wykorzystać. Tyle kasy... – jęknął z rozrzewnieniem Marcin.

– Bez przesady. Nie aż tak dużo. I to nie ja ją zarobiłem. Nie mam pomysłu, co dalej. Ojciec miał tyle planów. Zamierzał przywrócić do życia ośrodek wczasowy w Polance, chciał organizować festiwal jazzu, sesje. Pragnął, żeby Polanka była niszowym ośrodkiem kultury, konkurencją dla Wrocławia, który stał się według niego zbyt rozproszony by przyjąć takich artystów. Ale to Angel's, ten cholerny Angel's był jego największym marzeniem. Na szczęście zdążył je zrealizować. I teraz ja mam go zamknąć?

– Lepsze to, niż czekać, aż stracisz wszystko i zbankrutujesz. Ile już minęło od śmierci Victora? Pół roku?

– Siedem miesięcy.

– Od kiedy klub przynosi straty?

– Od sześciu. W pierwszym miesiącu jeszcze przyjeżdżali stali bywalcy, przyjeżdżali fani ojca. Ale potem już nikt.

– Sam widzisz. Sześć miesięcy dokładania do interesu. Nie wskrzesisz klubu na odległość. Poza tym to paranoja trzymać klub na wsi. Rozumiem, jakie intencje miał Victor, otwierając go tam, ale osobie, która jest laikiem, niełatwo byłoby pociągnąć ideę jazzowej Polanki.

– Masz rację, Marcin, masz rację.

Rozmowę przerwał telefon. Melodyjka z komórki Marcina obwieszczała, że dzwoni Kicia.

– Cholera, już czas. Kicia miała dojechać taksówką prosto do restauracji. To co, idziesz?

– Dzięki, ale naprawdę nie mam dziś ochoty na chłanie.

– Wiesz, jak trudno się wyrwać z domu w weekend, kiedy ma się dziecko? A ty chcesz opuścić taką okazję, żeby w końcu z nami wyjść. Mówiłem, że Kicia zaprosiła też koleżanki, będzie fajnie.

– Tym bardziej życzę miłej zabawy. Dzięki, że o mnie pomyślałeś. Następnym razem zrobimy sobie męski wypad. Uwierz mi, że nie mam siły zabawiać rozmową samotnych koleżanek Kici. I tak wiem, o co by pytały.

– O ojca, jak zwykle. No cóż, nawet cię rozumiem – przyznał Marcin, przypomniawszy sobie, że rzeczywiście kobiety zazwyczaj, usłyszawszy nazwisko Legrandow, dopytywały Konrada, jak to jest być synem tak sławnego ojca. – Dobrze, to następnym razem męski wypad. Słowo?

– Słowo. Ucałuj Kicię.

– Opłaca ci się jechać? – spytał Marcin, będąc już prawie za drzwiami. – Przecież dochodzi ósma. Dojedziesz tam na dziewiątą.

– I pójdę spać – roześmiał się Konrad. – A jutro odpocznę na łonie natury, zjem coś pysznego, zregeneruję siły i w poniedziałek od rana walczymy!

– Tak jest!

\*

Muzycy rozłożyli instrumenty. Koncert miał się zacząć o dwudziestą, ale już było wiadomo, że zostanie opóźniony o co najmniej kilkanaście minut. Ludzie kłębili się przy stolikach, rozmawiając, pijąc piwo, jedząc i śmiejąc się głośno. Takiego tłumu nie było w Angel's nawet za czasów, gdy dowodził nim Victor Legrand. Dorota z zadowoleniem rozglądała się po sali.

– Ja pierdziele, ale jestem skuteczna – powiedziała, szturchając w łokieć zdumioną frekwencją Alicję. – Sukces, co?

– Sukces. Gratuluję. Jak tego dokonałaś? – Alicja nie mogła uwierzyć, ponieważ drzwi do klubu się nie zamykały, wciąż przychodziły kolejne osoby. Przy stolikach zaczynało brakować miejsca, Maciek uwijał się jak w ukropie, obsługując gości.

– W końcu jestem specjalistką od reklamy. – Dorota wzruszyła ramionami. – Ale o prawdziwym sukcesie będzie można mówić dopiero za kilka tygodni. Zaktywizować ludzi na jednorazową akcję to nic wielkiego. Ważne, żeby efekt był systematyczny. Przecież jeśli nie będą przychodzić, to dzisiejszy wieczór nic nie da.

– Racja.

– Teraz wszystko zależy od atmosfery i muzyki. Ja już tych grajków poinstruowałam...

– Jazzmanów, nie grajków.

– Muzykantów. Nie możemy ich nazywać jazzmanami. Chodzi o to, żeby było przystępniej, kapujesz?

– Słuchaj, tak się zastanawiam... – zmieniła temat Alicja – może powiem Matyldzie, że Bartek jutro przyjeżdża. Ona się ucieszy. Tak dawno się nie widzieli...

– Ja tu o muzyce, a ty o Bartku – powiedziała urażona Dorota, marszcząc nos.

– Przepraszam, ale cały czas o nim myślę, no w końcu to facet.

– Były. Były, póki co – podkreśliła Dorota. – Nic Matyldzie nie mów. Ja pójdę z nią na spacer w tym czasie. Jeśli poprosił, żeby jej nie było przy rozmowie, to ma jakieś powody. Nie lubię go, ale jednak nie jest głupi, na pewno brał pod uwagę różne scenariusze. Jeśli nie zgodzisz się na powrót, to co Matylda sobie pomyśli, słysząc to? A jeśli się zgodzisz... Ale on tego nie wie. Poza tym uważam, że mimo wszystko to sprawy dorosłych. Dziecko pozna decyzje w swoim czasie, nie musi w tym uczestniczyć.

Alicja kiwała głową. Wzrokiem bezmyślnie podążała za spoconym już mocno kelnerem.

– O cholera! – krzyknęła nagle, wstając. – Trzeba mu pomóc! Ruszaj tyłek. Przecież ludzi wciąż przybywa, a on biedny ledwo już wszystko ogarnia.

– Masz rację – zreflektowała się Dorota, dopijając piwo. – To ja biegnę na nalewak, a ty do kuchni, bo przecież i kucharzowi trzeba pomóc. Albo nie! Kucharz sobie poradzi, gorzej z Maćkiem.

Alicja poderwała się i podbiegła do Maćka, wyjaśniając jaki jest plan. Mężczyzna ucieszył się, utyskując na to, że nie przewidzieli tego wcześniej.

– Kochane jesteście – powiedział, przekazując Alicji bloczek do zapisywania zamówień. – Muszę lecieć po makaron dla stolika ósmego. Ty ogarnij jedynekę. Trzy duże piwa! – krzyknął w kierunku baru, przy którym już stała Dorota.

– A która to jedynka? – spytała przerażona Alicja. Nigdy wcześniej nie miała do czynienia z obsługą gości w restauracji.

– Pod oknem. Tam. – Maciek machnął brodą.

Alicja podeszła do wskazanego stolika. Siedziały przy nim trzy kobiety w średnim wieku i jeden starszy mężczyzna.

– Dobry wieczór, co dla państwa? – spytała Alicja, modląc się w duchu, żeby zamówienie było nieskomplikowane. Nie potrafiłaby doradzić niczego z karty, ponieważ dotychczas jadła tu tylko sałatki.

– A pani to kto? Przecież kelner jest tam. – Brunetka o brązowych oczach spojrzała w kierunku Maćka. – Pani nawet nieubrana jak kelnerka.

– Nie jestem kelnerką. Pomagam koledze – wyjaśniła Alicja.

– A zapamięta pani? – upewniała się brunetka, machając kartą.

– Nie ma problemu, zapiszę.

– To poprosimy tatara dla tatusia. Tylko czy aby świeży?

– Świeżutki.

– Dla mnie makaron z grzybami, a dla koleżanek tylko herbatka.

– A dla pani coś do picia?

– Też herbatka. I dla tatusia herbatka.

– Dla mnie piwo – wtrącił drżącym głosem staruszek. – Chyba że wódeczka jest?

– Jest, oczywiście – wymamrotała niepewnie Alicja, spoglądając w kierunku baru. Nie była pewna, czy jest wódka, jednak widoczny z daleka arsenał wszelakich alkoholi obiecywał, że jest i wódka.

– Do tatarka to tylko wódeczka – poinstruował starszy pan.

– To setka wódki. Ale herbatkę też pani dopisze – dodała brunetka, patrząc z wyrzutem na ojca.

Alicja uśmiechnęła się, dygnęła i odeszła, zapisując kolejne pozycje zamówienia. Kiedy dotarła do baru, Maciek odbierał właśnie z kuchennego okienka kilka talerzy z przekąskami.

– Widzisz? – powiedziała z uśmiechem Dorota, lejąc szóste już z kolei piwo. – Mówiłam, że ludzie się przekonają do cen. Widzą, że jest taniej niż w Smażalni. Ile tam kosztowała ryba z frytkami?

– Szesnaście złotych – przypomniała Alicja. – I śmierdziała starym tłuszczem.

– A tu mają łososia z frytkami na sałacie za dwadzieścia dwa. Opłaca się. Będą wracać – powiedziała z przekonaniem Dorota.

– No, zamawiają, zamawiają – przyznał Maciek. – Myślałem, że tylko piwo będzie się lało, a tu i jedzenie idzie. Niesamowite, Darek jest przeschęśliwy. Wreszcie ma dla kogo gotować.

– Mam zamówienie na tatara i makaron z grzybami – wtrąciła Alicja, podając kartkę. – I cztery herbaty, i jedną wódkę.

– Ja zrobię herbatę – zaoferowała się Dorota. – A ty idź do gości. Przypilnuję zamówienia i dam ci znać, kiedy będzie do odbioru.

– Aha! – krzyknęła za odchodzącym Maćkiem Alicja. – Ludzie się dopytują, kim jestem. Nie wyglądam jak kelnerka, nie mam żadnego fartuszka.

– Po co ci fartuszek? Dobrze wyglądasz – uśmiechnął się Maciek.

– W porównaniu do ciebie... – Alicja spojrzała wymownie na jego elegancki uniform.

– Nie musisz się nikomu tłumaczyć. W razie czego mów, że jesteś menadżerem.

Muzyka zaczęła grać. Dorota przez chwilę zastygła w bezruchu, ale już po pierwszych taktach jej twarz się rozjaśniła.

– Sinatra. Dobrze jest. Bystre chłopaki, zrozumieli, o co biega.

Rzeczywiście, ludzie, usłyszawszy melodię, ucichli i z uśmiechem wpatrywali się w muzyków. Wiele osób podrygiwało, kilka się kołysało. Mimo że utwór grano bez wokalu, to z kilku kątów dało się słyszeć mamrotane przez gości słowa.

\*

Konrad uchylił okno w samochodzie. Nie lubił klimatyzacji, a wieczorne powietrze przyjemnie ochładzało wnętrze. Przez pół drogi jechał w ciszy, w końcu włączył radio, żeby odgonić natrętne myśli o oprogramowaniu, nad którym pracował. Kiedy dojechał do Polanki, było już po dwudziestej pierwszej. Dojeżdżając do kamieniczki, w której mieścił się klub, zauważył, że na pustej zazwyczaj uliczce zaparkowano wiele samochodów. Znalazł wolne miejsce dopiero przy Rynku.

W Angel's było gwarnie. Przez chwilę stał przed wejściem, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Wszystkie stoliki były zajęte, ludzie

kłębili się przy barze, kilka osób siedziało pod ścianami obok sceny. Zawahał się przez chwilę. Czyżby coś przegapił? Zapomniał o jakimś wydarzeniu? Nie, nic takiego nie było omawiane. A zatem skąd taki ruch w klubie, który dopiero co umierał.

Niepewnie wszedł do środka.

– Dobry wieczór – usłyszał nagle przyjemny kobiecy głos. Zanim zdążył odpowiedzieć, stojąca przed nim delikatna blondynka z zatroskaną miną rozglądała się po restauracji. – Niestety nie mamy wolnych stolików. Przy barze także wszystko jest zajęte.

– Nie szkodzi, postoję – wydukał oszołomiony. Dziewczyna uśmiechnęła się, wskazując brodą scenę.

– Mają przerwę – powiedziała. – Ale za chwilę zaczną grać. Przynieść panu piwo?

Nie miał ochoty na piwo, ale przytaknął, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. Kobieta odwróciła się i poszła w kierunku baru. Obserwował, jak zwinnie lawiruje między stolikami, zbierając z nich po drodze puste kufle i szklanki. Była ubrana w dzinsy i bluzkę, a mimo to oczyma wyobraźni dostrzegł jej szczupłe opalone nogi, przyjemnie zaokrąglone pośladki i niewielkie, ale apetyczne piersi, które skrzątnie ukrywała pod opadającą na dekolt zmyslną falbanką u bluzki.

Kiedy kobieta podeszła do baru, dostrzegł tam drugą, która stała przy nalewaku z piwem. Były do siebie podobne, choć brunetka zdawała się trochę wyższa i zdecydowanie bardziej energiczna, co wywnioskował po nieustannej gestykulacji. Nie znał żadnej z nich. Czyżby Maciek bez jego zgody zatrudnił kogoś? Na jakiej podstawie? Kto im płaci?

Muzyka zaczęła grać. Konrad od razu zauważył, że nie są to typowe jazzowe standardy, do jakich przywykł w tym miejscu.

– Pana piwo. – Zapatrzony w muzyków, nie zauważył, kiedy znów pojawiła się przed nim blondynka, podając kufel.

– Dziękuję. A pani to... – zawiesił głos, czekając aż sama go naprowadzi na właściwy trop.

– Jestem menadżerem – wyjaśniła krótko i odeszła do gości przy stoliku obok.

\*



Józefina już była na nogach, kiedy Alicja zeszła do kuchni. Podawała jej kawę i spytała, czy ma ochotę na jajecznicę. Alicja odmówiła. Czowała, że żołądek jej się skurczył z podekscytowania. W nocy przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Wciąż myślała o czekającym ją spotkaniu z Bartkiem. Zastanawiała się, jak powinna go przyjąć. Czy z uśmiechem, czy może z powagą? Jak się ubrać, jak uczesać? Jak się zachować, kiedy oświadczy jej, że chce do niej wrócić? Udawać zaskoczoną i wahać się, czy może porozmawiać rzeczowo o tym, jak ma wyglądać teraz ich życie?

– Pytam, czy udała się impreza. – Ciotka zamachała Alicji przed nosem łapką na muchy.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Tak, było wspaniale, goście dopisali. Przyszły tłumy! A Matysia? Ładnie poszła spać?

– Z nią nie ma żadnych problemów. A kto był? – dopytywała zaciekawiona ciotka.

– Nie wiem, ciociu, nie wszystkich kojarzę. Sporo osób ze wsi, ale i z okolicznych miejscowości chyba też pojeżdżali. Naprawdę tłumy. Była sklepowa, ta młoda. Musiałyśmy jej z Dorotą tłumaczyć, dlaczego obsługujemy gości. Bo wyobraź sobie, ja robiłam za kelnerkę, a Dora za barmankę. Inaczej chłopaki nie daliby sobie rady.

– Muszę ich poprosić o referencje. – Usłyszały zaspány głos Doroty. – Byłam doskonałą barmanką. – Ziewnęła. – Uważam, że to był wspaniały wieczór. Oby tak dalej. Jeśli pociągną to, co zaczęłyśmy... Która godzina?

– Dziewiąta – powiedziała Alicja. – A Matylda jeszcze śpi?

– Och, późno poszłyśmy spać – wyjaśniła niedbale ciotka. – My też miałyśmy wspaniały wieczór.

– Muszę się przygotować. Dorcia, jak Bartek zadzwoni, że dojeżdża, to może weź Matysię na lody, co? Żebyście za szybko nie wróciły.

– Nie ma sprawy. A dawał znać, że wyjechał?

Alicja znieruchomiała.

– Cholera! – krzyknęła. – Zostawiłam telefon w Angel's.

Sprawdzałam wczoraj, czy Bartek nie przysłał wiadomości i położyłam go na półeczce pod barem. – Muszę lecieć! Błagam, wyprasuj mi bluzkę,

wisi na wieszaku. – Alicja zarzuciła na siebie lekki, wiszący w sieni sweterek i nieumalowana, nieuczesana wybiegła czym prędzej z domu i wsiadła na rower.

Restauracja na szczęście była otwarta. Maciek już krzątał się przed wejściem, zamiatając i zbierając porzucone wczoraj przez palaczy niedopałki.

– Dzięki Bogu! – krzyknęła na jego widok Alicja. – Bałam się, że będzie zamknięte, przecież otwieracie o jedenastej!

– Stało się coś?

– Stało. Komórki zapomniałam, jest na barze.

Alicja, nie czekając na pozwolenie, wbiegła do restauracji. Szybko znalazła telefon i z ulgą stwierdziła, że Bartek jeszcze nie dzwonił. O ósmej rano wysłał jednak wiadomość, że już wyjechał. Mocniej zabiło jej serce. Przeliczyła, że powinien dotrzeć około południa.

– Cześć, Alicja. Chcesz śniadanie? Może kawę? – zapytał wesoło Darek, wychylając się z kuchni.

– Dziękuję, muszę lecieć. Pogadamy kiedy indziej.

Schowała telefon do kieszeni i już miała wychodzić, kiedy zatrzymał ją Maciek.

– Pozwól, chcę ci kogoś przedstawić. – Odwrócił się w kierunku stolika pod oknem. Mężczyzna, który przy nim siedział, czytając gazetę, wstał i uśmiechając się podszedł do nich.

– Konrad Legrandow – przedstawił go Maciek. – Obecny właściciel Angel's. A to Alicja Gawęda.

– Miło mi. – Konrad podał dłoń. – My się już wczoraj widzieliśmy.

– Tak? – spytała Alicja niepewnie. Wśród tylu gości niełatwo było zapamiętać konkretną twarz.

– Przedstawiła się pani jako menadżer.

– Och, rzeczywiście, przepraszam. Głupia sprawa z tym menadżerem, ale...

– Już wszystko szefowi opowiedziałem – zaśmiał się Maciek.

– Przyznaję, jestem pod wrażeniem wczorajszego wieczoru.

– Dziękuję. To zasługa mojej siostry. Może ją pan widział, stała za barem. Jest specjalistką od reklamy, zna się na tym i po prostu pomogła rozreklamować to miejsce. Bardzo nam się tu podoba. Szkoda by było,

gdyby restauracja upadła.

Alicja spojrzała na Maćka, oczekując, że przytaknie jej słowom. Tymczasem milczał, za to na jego twarzy rysował się dziwny uśmieszek. Dopiero teraz, biegnąc za jego wzrokiem, zauważyła, że jej dłoń wciąż znajduje się w dłoni Konrada. Zawstydzona wysunęła ją i sięgnęła do kieszeni po telefon. Zerknęła na wyświetlacz i nie podnosząc wzroku, krzyknęła:

– Ojej, już ta godzina! Muszę lecieć!

Zrobiło jej się gorąco. Wciąż czuła na sobie wzrok Konrada. Czuła się niezręcznie, w dodatku nagle zdała sobie sprawę z tego, jak wygląda. Odruchowo przeczesła ręką włosy.

– Może napije się pani jednak kawy? Zapraszam. – Konrad wpatrywał się w nią, jakby nie zauważył braku makijażu i nieuporządkowanej fryzury.

– Niestety, nie mogę. Naprawdę, bardzo się spieszę, wpadłam tylko po telefon.

– W takim razie zapraszam na kolację. Chciałbym się jakoś odwdzięczyć za pomoc i zaangażowanie w promowanie restauracji...

– Och, naprawdę, nie ma o czym mówić. Cała przyjemność po mojej stronie. Naszej stronie. To znaczy Doroty i mojej. I waszej... – Alicja czuła, że jej myśli zaczynają uciekać, a wzrok niebezpiecznie krąży wokół rozpiętej przy ostatnim guziku koszuli Konrada.

Nie był w jej typie. W przeciwieństwie do surowej urody Bartka, Konrad wydawał się delikatny i chłopięcy. Jego urok potęgowały dwa dołeczki w policzkach, które uwydatniały się przy uśmiechu. Był przystojny. Zdecydowanie zbyt przystojny, zbyt zadbany i zbyt dobrze ubrany, żeby mógł się podobać Alicji. Mężczyźni tacy jak on wydawali jej się niedostępni dla zwykłych kobiet. Na pewno jest zapatrzony w siebie – przemknęło jej przez myśl. Teraz zrozumiała, dlaczego jej siostra, zwykle odważna i pewna siebie, w towarzystwie przystojnych mężczyzn traciła rezon.

– Oczywiście zapraszam obydwie panie. Z przyjemnością poznam i siostrę – dodał szybko Konrad.

– Niestety, Dorota musi wracać do pracy. Niestety... Muszę już lecieć. Dziękuję. Było mi miło. Do widzenia. – Alicja skinęła głową i nie

czekają na odpowiedź, wycofała się do wyjścia.

Żwawym krokiem poszła w prawo, na Rynek, ale już po chwili zakłęła siarczyście, przypomniawszy sobie, że przecież przyjechała do Angel's rowerem. Z daleka dostrzegła Mariannę, która rozkładała nad stolikami przy cukierni obszerny parasol.

– Błagam, daj mi ze dwie babeczki. Nie mam kasy, zapłacę później, ale potrzebuję babeczek! – krzyczała, biegnąc w jej stronę.

Marianna, widząc przerażoną minę koleżanki, zostawiła parasol i nie pytając o nic, wbiegła do cukierni, gdzie zapakowała w papierową torbę kilka muffinek.

– Dzięki. – Alicja chwyciła torbę i pobiegła z powrotem.

Kiedy znalazła się na wysokości Angel's, zwolniła kroku, starając się uspokoić oddech. Przechodząc obok otwartych drzwi, pomachała torebką, uśmiechając się do Maćka i Konrada.

– Babeczki kupiłam!

Wsiadła na rower i odjechała, mając nadzieję, że wszystko wyszło w miarę naturalnie.

\*

Dorota popędzała Matysię, która wcale nie miała ochoty jechać do cukierni. Umówiła się z koleżankami u Ewy, gdzie miały grupowo wymyślić imiona dla kotków.

– To i dla koleżanek kupimy. Na pewno lubią ciastka – upierała się Dorota.

Bartek miał być lada moment, dzwonił godzinę wcześniej, że przyjedzie o umówionej porze.

– Nie możemy później? – Matylda kręciła nosem, ale widząc poważną minę cioci, wyszła na podwórko, skąd miały pojechać samochodem. Szybko jednak wróciła, uśmiechając się od ucha do ucha i trzymając w ręku torebkę z babeczkami.

– Ciociu! – krzyknęła. – Nie musimy nigdzie jechać, mama kupiła! Były zawieszony na rowerze!

Dorota z rysującym się na twarzy zdziwieniem spojrzała na Alicję.

– Kupiłaś babeczki?

– Babeczki? – Alicja próbowała zebrać myśli. – Babeczki.

Kupiłam.

– Ale dlaczego?

– Musiałam.

Przez chwilę wpatrywały się w siebie w milczeniu, w końcu Alicja powiedziała do Matyldy:

– Możesz iść do koleżanek, poczęstuj je. Jeśli nie starczy dla wszystkich, to się jakoś podzielcie.

– Dobrze, dziękuję, mam. – Matylda w podskokach wybiegła na szosę i skierowała się w stronę ogródka Ewy. Nie zauważyła nadjeżdżającego właśnie samochodu ojca.

Bartek jechał powoli, wyglądając drewnianego płotu i rosnącego przy nim krzewu migdałowca. Alicja przez telefon wytłumaczyła mu, jak dojechać, gdzie skręcić. Objąśniała także, że migdałowiec wprawdzie już nie kwitnie, jednak przy tej drodze jest jedynym krzewem rosnącym przy samej furtce. Nie powinien mieć zatem problemów z trafieniem. Ale nie zatrzymał się, przejechał, tocząc się dalej w stronę lasu.

Alicja, zauważywszy samochód przez okno, wybiegła na drogę i zamachała. Samochód stanął, po czym zaświeciły się światła cofania.

– Ala, może kompocikiem go napoisz? – wyszeptała wychylająca się zza drzwi Dorota. Tuż za nią widać było twarz zaciekawionej ciotki.

– Jakim kompocikiem?

– No, ciociny, z piwnicy. Zwabisz go do domu, a my go poczęstujemy, już nasza w tym głowa. – Mrugnęła okiem.

– Dorota. – Alicja spojrzała na siostrę z wyrzutem. – Zapewniam cię, że nie potrzebuję żadnego kompociku. I nie będziemy rozmawiać w domu, pójdziemy na spacer.

– Jak chcesz. – Dorota wywróciła oczami.

Alicja stała przy furtce, patrząc na zbliżający się samochód. Serce biło jej coraz mocniej. Oblizła spierzchnięte usta, zapomniawszy, że dopiero co starannie je wyszminkowała. Czuli się przygotowana do tego spotkania, poprzedniej nocy wiele razy przerabiała je w myślach, mimo to nie potrafiła opanować zdenerwowania.

Bartek zaparkował przy furtce i wyszedł z samochodu. Zauważyła, że schudł odkąd ostatnio się widzieli. Jego nos stał się bardziej wydatny, a oczy pod ciężkimi okularami wyraźnie zapadnięte. Był ubrany

w długie ciemne spodnie i mimo słonecznej pogody miał na sobie brązową sztruksową marynarkę.

\*

Jacek Warański po raz pierwszy, odkąd podjął się pracy dla Grzelaka, poczuł napływ adrenaliny. Wreszcie działo się coś nadzwyczajnego. Ledwie rankiem zajął swoje miejsce na posterunku w krzakach naprzeciwko domu Józefiny, Alicja wsiadła na rower i pojechała do Angel's. Gnała tak, że o mało co sam nie wpadł do rowu, kiedy jego rower stracił przyczepność na zakręcie. Nie zabawiła tam długo, po kilkunastu minutach pobiegła do cukierni, gdzie Marianna wcisnęła jej do rąk paczuszkę. Kiedy wróciła do domu, otworzyła okno, dzięki czemu dosłyszał, że jej siostra nerwowo namawia dziecko, by pojechało z nią do cukierni. Czyżby cukiernia miała odegrać kluczową rolę w zabójczym planie? Nie zdążył się zastanowić, bo dziewczynka wybiegła i zdjęła z roweru paczuszkę, a potem wbiegła ucieszona do domu, by zaraz wybiec i razem z paczuszką pobiec do sąsiadów.

Jacek przez chwilę zastanawiał się, czy oby nie powinien śledzić teraz dziecka i paczuszki, jednak porzucił tę myśl, bo za chwilę zza zakrętu wyłonił się samochód, który jechał podejrzenie wolno, a jego kierowca, zamiast patrzeć przed siebie, przyglądał się mijanym krzakom. Z bijącym sercem wystukał numer komendanta.

– Czego tam? – usłyszał ochryply głos.  
– Tu delta, tu delta, melduję się. – Jacek z podekscytowania zapomniał, że nie ustalono żadnych pseudonimów ani haseł.  
– Jaka delta? Przecież wiem, że to ty, wyświeglasz mi się, głupku!  
– Panie komisarzu, to ja, to ja – drżącym głosem szeptał Warański.  
– Dzwonię, bo coś się dzieje.

– Co się dzieje? – W głosie Grzelaka dało się wyczuć zainteresowanie.

– Mój obiekt. Zachowuje się dziwnie od rana. – mówił cicho do słuchawki, przesuając się na czworakach w rowie wzdłuż szosy, żeby nie stracić z oczu Alicji i jej towarzysza. – Teraz spotkała się z mężczyzną, idę za nimi.

– Gdzie jesteś?

- Przy lesie, naprzeciwko domu Józefiny.
- A skąd się wziął ten facet? Kto to jest?
- Nie wiem. To znaczy przyjechał samochodem. Ale to obcy jakiś.

Blachy warszawskie.

– Obcy... Dobra jest! Może to dziś. Miej ich na oku – zasyczał podekscytowany.

\*

Józefina i Dorota weszły na piętro, żeby lepiej widzieć. Uważając, żeby nie poruszać firanką, wyglądały jedna przez drugą, starając się dojrzeć spacerujących Alicję i Bartka.

– Kwiatów jej nie dał? – dopytywała ciotka.

– Nie widziałam. Może później. On zachowawczy jest, ciociu, najpierw musi wybadać grunt. Co będzie, jeśli da mu kosza? – tłumaczyła Dorota.

– E tam, za moich czasów chłopcy były odważniejsze. Nawet jakby mieli kwiatami po łbie dostać, to i tak dawali.

– Ciociu... – Dorota nagle zastygła, mrużąc oczy. – Czy mi się zdaje, czy jakiś człowiek tam, w rowie przy lesie, pełza?

– Gdzie? – Józefina odwinęła firankę.

– No tam, po prawej, o, teraz jakby skoczył czy coś.

– Nic nie widzę. A, czekaj, jest coś, rzeczywiście! Pewnie to Krawczak wraca po balandze. Rowem to akurat trafi do domu, oni za lasem mieszkają. Chodź, dziecko, lepiej herbatki zaparzemy, ciasta się ukroi. Jak młodzi dojdą do porozumienia i zajdą do domu, to poczęstować wypada. Bartosz to pewnie głodny po podróży, może już obiad naszykuje?

Dorota poprawiła firankę i niechętnie zeszła na dół. Pomogła obierać ziemniaki, a potem zajęła się nakrywaniem do stołu.

– Jestem! – Z zamyślenia wyrwał ją wesoły krzyk Matyldy. – Gdzie mama? To przecież samochód taty przed bramą stoi!

– Tak, tata przyjechał, ale poszli z mamą na spacer – powiedziała Dorota. – Wymyśliłyście imiona dla kotków?

– To ja pobiegnę za nimi! – Matylda zignorowała pytanie i w podskokach cofnęła się do drzwi.

– Stój! Nie wiem, dokąd poszli. Zaraz wrócą. Siadaj tutaj i czekaj.  
– Kochanie, mamusia zaraz przyjdzie, może masz ochotę na sok? – wtrąciła ciotka, stawiając na stole dzbanek z sokiem z czarnych porzeczek.

Ledwie wypowiedziała te słowa, gdy drzwi się otworzyły i do środka weszła Alicja. Trudno było wywnioskować cokolwiek z jej miny, ale na widok Matyldy uśmiechnęła się powiedziała:

– Tatuś przyjechał. Chce cię zabrać na wycieczkę. Masz ochotę?  
– No pewnie! Super!  
– Czekaj w samochodzie. Weź ciepłą bluzę.  
– A ty nie jedziesz z nami?  
– Nie, muszę pomóc cioci Dorocie się spakować, przecież dzisiaj wyjeżdża.

– No właśnie – podchwyciła Dorota, robiąc smutną minę. – Pewnie się szybko nie zobaczymy. Dasz buziaka na pożegnanie?

Matylda wyściskała ciocię, pożegnała się z mamą i Józefiną i chwyciwszy podany przez Alicję sweterek, pobiegła do samochodu.

Alicja zamknęła za nią drzwi.

– To Bartek nie wejdzie na obiad? – zaniepokoiła się ciotka. – Nie przywita się?

– Przepraszam, nie pomyślałam, żeby go zaprosić. A sam też nie wpadł na to, żeby wejść i się z wami przywitać... – mówiła wolno Alicja, ze wzrokiem wciąż utkwionym w zamkniętych drzwiach.

– Ala? – Dorota położyła dłoń na ramieniu siostry. – Wszystko w porządku?

– Tak. Wszystko w porządku. – odpowiedziała energicznie, siląc się na uśmiech.

Przeszły do saloniku, w którym na stole błyszcząły wypucowane przez ciotkę, nieużywane na co dzień kryształowe szklanki oraz porcelanowa zastawa. Stół przygotowano na pięć osób. Usiadły. Józefina nalała do szklanek soku.

– Zupa już gotowa. Pomidoróweczka. Podać? – spytała Józefina i podniosła się.

Dorota spojrzała na nią na tyle wymownie, że ciotka usiadła z powrotem przy stole.



– Ala, przecież widzimy, że nie jest w porządku – powiedziała delikatnie Dorota, nachylając się nad Alicją. – Nie zgodziłaś się na jego powrót? No powiedz, przecież wiesz, że jesteśmy po twojej stronie. Jeśli zmieniłaś zdanie, to bardzo dobrze. Przecież ja ci od razu mówiłam, że to nie miałyby sensu. Dobrze zrobiłaś, Ala.

– Nic nie zrobiłam. – Alicja przełknęła ślinę.

– Czyli że co? – Dorota nie zrozumiała. – Zgodziłaś się?

– Nie zgodziłam. On mi nic nie zaproponował. Nie chciał wrócić.

– Nie chciał? – spytały równocześnie Dorota z Józefiną.

– Nie. – Alicja miała twarde, nienaturalny głos.

– To po co przyjechał? Po co chciał się spotkać, robił takie ceregiele, że musi na żywo, że nie przez telefon... – dopytywała Dorota.

Alicja milczała. Nagle zaczęła drżeć jej broda i mimo że zacisnęła usta, to z oczu i tak spłynęły strużką łzy. Józefina, widząc to, poderwała się z krzesła, podeszła i przytuliła Alicję.

– Płacz, dziecko, płacz. Trzeba wszystkie smutki wypłakać i od razu robi się lżej na sercu.

– Ciocia ma rację. Nic teraz nie musisz opowiadać, już o nic nie pytam. Wypłacz się. – Dorota przyniosła chusteczki.

– Anusia... – zaczęła szlochać Alicja, ale szybko wysmarkała nos i opanowała drzenie głosu. – Anusia jest w ciąży. Dlatego Bartek chciał ze mną porozmawiać w cztery oczy. O Matyldzie. Wcześniej nie planował spędzić z nią wakacji, bo miał na głowie przygotowania do ślubu i takie tam. Ale teraz okazuje się, że Anusia jest w ciąży i dziecko przyjdzie na świat w grudniu albo na początku stycznia.

– Nie rozumiem. Co ma jedno do drugiego? – spytała Dorota.

– To, że on zapragnął pomagać Anusi, chce się zajmować noworodkiem, nagle obudził się w nim instynkt ojcowski. A zatem nie będzie mógł wyjechać z Matyldą na ferie.

– O Boziu! – krzyknęła ciotka. – Czyli dzisiejsza wycieczka to wszystko, co ma swojej córce do zaoferowania?

– Niezupełnie. Zaproponował, że mogliby teraz wziąć Matyldę na wakacje, na całe trzy tygodnie lipca. Bo potem, jak to określił, nie wiadomo, kiedy nadarzy się okazja. Bał się, że przez telefon prościej będzie mi odmówić, wolał przekonać mnie do tego pomysłu

bezpośrednio.

– Czyli nie bierze ślubu? Dobrze zrozumiałam? – Dorota próbowała uporządkować informacje.

– Bierze, bierze. Ale Anusia jest tak podekscytowana ciążą, że zrezygnowała z wielkiego wesela na rzecz kameralnej imprezy. Nie jadą też w podróż poślubną, będą szykować w tym czasie dom na przyjęcie dzidziusia. – Alicja wybuchła płaczem.

– Ala, bardzo mi przykro. – Dorota pogłaskała siostrę po włosach.  
– Wiem, że miałaś nadzieję na jego powrót, ale trudno. Nie ma co płakać. To nie był facet dla ciebie.

– No, pewnie. Nawet się nie przyszedł przywitać – bąknęła ciotka.  
– Co to za wychowanie.

– Ja go nigdy nie lubiłam – powiedziała z przekonaniem Dorota.

– Nic nie rozumiecie – łkała Alicja.

– Rozumiemy, Ala. Kochasz go nadal, tak? – spytała Dorota.

Alicja zastygła w zamyśleniu. Po chwili otarła łzy, spojrzała na siostrę, potem na ciotkę.

– Chyba go nie kocham. To dziwne, bo myślałam, że rozplnę się na jego widok, że nie wytrzymam i rzucę mu się w ramiona, tyle o tym spotkaniu myślałam, ale... wcale się nie rozplnęłam, kiedy przyjechał. Nawet nie miałabym ochoty go pocałować. Zresztą on mi się już nie podoba... Zmizerniał, w ogóle się nie uśmiecha. Rozmawiał ze mną rzeczowo, bez cienia jakichkolwiek uczuć. Jakby Matylda była jednym z punktów do załatwienia na całej liście spraw.

– No widzisz. Nie ma tego złego... – ucieszyła się Dorota. – Gdyby w tej sytuacji przyjechał z kwiatami, powiedział, że odwołał ślub z Anką i prosił o wybaczenie, to miałabyś dylemat.

– Dorota, nie mogę tego zrozumieć – ciągnęła Alicja, nie zważając na to, co powiedziała siostra. – Był ze mną tyle lat. Kochaliśmy się, a przynajmniej tak mi się zdawało. Byłam w stanie zrobić wiele dla tej miłości. Kiedy urodziła się Matylda, to ja się nią zajmowałam, on robił karierę, rozwijał się, nie miał dla niej czasu... A teraz? Już planuje urlop, bo dzidzius ma się urodzić. Pokoik już dla niego szykują. Matyldzie nawet łóżeczka nie złożył, musiałam prosić tatę, żeby mi pomógł.

– Pamiętam – westchnęła Dorota. – Wiem, Ala, to boli. Ale nic na

to nie poradzisz. Było, minęło. A kiedy on chce wziąć Matyldę, przecież nie dzisiaj?

– Coś ty, w ogóle jej nie weźmie – prychnęła Alicja. – Nie zgodziłam się.

– Jak to?

– Zwyczajnie. Nie zgodziłam się i już.

– Ale dlaczego?

– No chyba sobie żartujesz z tymi pytaniami! – obruszyła się Alicja. – Mam mu dać Matyldę, bo sobie tak z Anusią wymyślili? Myślisz, że będę tańczyć, jak mi zagrają? Wcześniej nie chciał słyszeć o wakacjach, mimo że co roku spędzał dwa tygodnie z Matysią. Ale teraz ślub, Anusia najważniejsza. Nawet nie chciał się dorzucić do wyjazdu na wieś, w ogóle go to nie obchodziło. I nagle co, dzidzius w drodze i zmiana planów? A ja mam się cieszyć, że łaskawie zaproponował wakacje córce. Z podtekstem, że kolejne wakacje z nią planuje w bliżej nieokreślonej przyszłości, a może nawet nigdy. Poza tym, sorry, Dorota, ale nie będzie się obca baba zajmować moim dzieckiem!

– A oni razem chcieli jechać?

– No tak, bo przecież z podróży poślubnej nici, więc teraz wymyślili dwie pieczenie na jednym ogniu. Wyjazd w góry i zabranie ze sobą Matyldy.

– Z drugiej strony patrząc – zawahała się Dorota – to miło ze strony Anki, że wpadła na taki pomysł. Przecież to pierwsze miesiące, z pewnością nie czuje się najlepiej, wolałaby poleżeć, a nie zajmować się Matyldą.

– Och, nie sądzę, żeby to był jej pomysł. – Alicja pokręciła głową. – Zresztą wątpię, żeby to ona zajmowała się Matyldą na wyjeździe. Myślę, że Bartek chciałby się popisać, jaki to z niego supertata.

– To ja przyniosę pomidorówkę – zaproponowała nagle ciotka i wyszła z salonu. – Na drugie będą schabowe. Ziemniaki wstawiłam – dodała z kuchni.

\*

– Źle robisz, dziecko – powiedziała ciotka, kiedy Dorota pojechała

i zostały z Alicją same. – Niepotrzebnie chowasz złość i urazę. Powinnaś dać mu Matyldę, niech spędzą ze sobą te kilka tygodni wakacji.

– Co to, to nie. Nie przeżyłabym świadomości, że Anusia i Bartek dobrze bawią się z moją córką.

– Raczej tego, że Matylda mogłaby dobrze bawić się nimi. Że mogłaby polubić Annę...

– Tak, ciociu, właśnie tak. Nie będę udawała, że jest inaczej.

– Ala, sama się zdręczasz. Jeśli nie odpuścisz, całe życie będzie cię to gnębić. I ani ty nie będziesz przez to szczęśliwa, ani oni.

– Uważasz, że powinnam zadbać o ich szczęście? – Alicja spojrzała na ciotkę zdumiona. – Może jeszcze pogratulować Annie ciąży i kupić w prezencie jakieś ubranka dla dzidziusia? – ironizowała. – Albo, jeśli będzie dziewczynka, to dać jej kilka sukienek po Matysi?

– Nie rozumiesz mnie, Ala. Wiem, że jesteś rozgoryczona, to normalne. Ale próbuję ci wytłumaczyć, że nie masz wpływu na związek Bartka. Nie jesteście już razem. Ale macie wspólne dziecko, nie możesz kierować się własnymi uczuciami, złością i zabraniać mu kontaktów z córką. Pomyśl o Matyldzie. Poza tym... – Ciotka spojrzała Alicji w oczy. – Co ci po tej złości, po tym zdręczaniu siebie i ich? Spróbuj mu wybaczyć, niech idzie własną drogą, niech buduje szczęście z inną. Zobaczysz, od razu zrobi ci się lżej na sercu. A jak serce będzie lżejsze, to i miejsce się w nim zrobi dla kogoś innego.

– Nie chcę, żeby inna kobieta zajmowała się moim dzieckiem – powtórzyła z mocą Alicja.

– Dobrze ją znasz?

– Wcale jej nie znam! I nie chcę jej znać.

– Kochanie. A ta kobieta niczemu nie jest winna, przecież sama przyznałaś, że nie wiesz, jak było. Może ona też się męczy w tej sytuacji. Nie wiesz tego, Ala. Niech budują z Matysią własne relacje. Ona, kiedy będzie starsza, sama oceni. A może... kto wie... może za jakiś czas uznasz, że dobrze się stało...?

– Dobrze się stało, że mnie rzucił? Że rozbił rodzinę? Zostawił mnie i dziecko? – prychnęła Alicja.

– Odpuść. Ala, mówię ci. Stara baba jestem i może nie wyznaję się na dzisiejszych czasach, ale wiem, że nie da się żyć w chaosie. Odetnij

to, co było. Daj sobie prawo do nowego życia.

– Łatwo się cioci mówi.

– Bo to wcale nie jest trudne! Wystarczy wybaczyć. Życie od razu stanie się prostsze! Idź na spacer, odetchnij świeżym powietrzem, połóż się na łące, poczuj naturę, czerp z niej siłę. Spójrz w niebo, pomyśl sobie, że jesteś wysoko, wysoko ponad tymi ziemskimi sprawami. Jesteś młoda, wszystko jeszcze przed tobą.

– Ten spacer to dobry pomysł – przyznała Alicja, bo rzeczywiście nabrała ochoty, żeby wyjść z domu. Nie chciała dłużej słuchać wywodów ciotki. Czowała zbyt duże napięcie, bała się, że znowu się nad sobą rozczuli albo wybuchnie i popłyną łzy.

Było wpół do czwartej. Odstawiła niedopitą kawę, związała włosy w kucyk, założyła trampki i wyszła. Najpierw chciała pojechać rowerem na Rynek, żeby spotkać się z Marianną i jej się wyzalić. Potem jednak uznała, że może ciotka ma trochę racji w tym, co mówi, i być może warto nabrać dystansu.

Dziarskim krokiem ruszyła wzdłuż szosy. Zamierzała maszerować przez wieś, dopóki nie ochłonie.

Wybaczyć – myślała. – Jak można tak po prostu wybaczyć? Ciotka chyba nie wie, co mówi. Ale z drugiej strony... gdyby tak powiedzieć sobie, że trudno, stało się, jak się stało. Nieważne, czyja to wina. Po co teraz roztrząsać? Matylda potrzebuje ojca. Jeśli nie zgodzę się na wyjazd, to ona na tym straci. Jeśli będę się upierała, żeby jej teraz nie zabierał... co mi to da? Satysfakcję? Nie, nie będę odczuwała satysfakcji.

Alicja, pochłonięta myślami, nie zauważyła, kiedy doszła do łąki. W oddali zamajaczyła postać Czarnej Marii, która wolno przesuwała się przy brzegu strumyka. Ptaki ćwierkały, słychać było kumkanie żab oraz delikatne dźwięki bzyczących ważek.

Przystanąła, rozglądając się wokół. Było tak spokojnie. Tak spokojnie... Odetchnęła głęboko.

Upewniwszy się, że nikt jej nie widzi, przysiadła na trawie, a po kilku sekundach położyła się. Dopiero po dłuższej chwili jej ciało odprężyło się na tyle, że poczuła przyjemny chłód płynący z ziemi, zapach trawy i gleby.

Chmury wolno płynęły się na wschód. Jedna z nich przypominała wielkiego psa z przyklapniętym uchem. Jak dawno nie patrzyłam w niebo – pomyślała Alicja i uśmiechnęła się.

Zamknęła oczy.

– Właściwie, to o co mi chodzi? – wyszeptała. –

Pseudointelektualista z wielkim nosem, który wiecznie tylko jęczał i narzekał, że zapracowany... Bartek, rób sobie, co chcesz. Wal się. Możesz nawet w kosmos polecieć z tą swoją Andzią. I bądźcie szczęśliwi. – Roześmiała się w głos. – Bądźcie szczęśliwi. A niech mnie! Nawet wózek wam oddam po Matysi, taka będę wspaniałomyślna. Na nową drogę życia. Boże, jakie to wspaniałe! – Otworzyła oczy. – Ciociu, jesteś wielka!

\*

Jackowi burczało w brzuchu. Kiedy siedział w lesie przy domu Józefiny, zjadł kilka kanapek i wypił herbatę z termosu. Teraz z rozrzwinięciem myślał o kawałku kiełbasy, który został w plecaku przy rowerze. Kto mógłby się spodziewać, że Alicja postanowi zrobić sobie taką długą pieszą wycieczkę. Przełknął ślinę. Nie dla niego ta praca. Albo z głodu umrze, albo się wykończy. Rozsiadł się za chaszczami nieopodal dróżki i utyskiwał w myślach na swój los. Adrenalina, która trzymała go przed południem, dawno odpuściła. Znów stracił sens działań, których wykonania się podjął. Chodzenie za nudną kobietą nijak się miało do wizji komendanta, w której już niebawem będą świadkami spektakularnego morderstwa, wielkiej sprawy, która zatrzęsie całym powiatem i gminą. Ba! Całą Polską, a może nawet światem.

Jacek podparł brodę ręką opartą na kolanie. Przez chwilę obserwował Alicję, ale ponieważ położyła się w trawie i nic się nie działo, on także pozwolił sobie na chwilę błogiego relaksu. Wyjął telefon i upewniwszy się, że dźwięk jest ściszony, zaczął grać w *Angry Birds*. Nie zdążył jednak przejść kolejnego poziomu, kiedy komórka zawibrowała.

– Jak sprawy? – Usłyszał po drugiej stronie zdyszany głos Grzelaka, zanim sam zdążył się odezwać.

– Nic się nie dzieje, panie komendancie. Obiekt się położył i leży.  
– Jak to leży?  
– Leży. Coś tam krzyczy do siebie, ale z tej odległości trudno mi usłyszeć...

– Leży i krzyczy – powtórzył Grzelak. – Dziwne.  
– Panie komendancie... – Warański zebrał się na odwagę. – Czy moglibyśmy się spotkać wieczorem? Ja chyba chciałbym zrezygnować...

– Że co? Nie słyszę. Zasięg mi ginie. Halo?  
– A gdzie pan jest? Może teraz bym wpadł? – spytał Jacek, uznając, że jego obecność i wpatrywanie się w leżącą bez ruchu Alicję jest stratą czasu.

– Idę za tą paniusią. Z pieskiem wyszła i łązi już od godziny. Halo? O, to dziamgota! – wychrypiął cicho, usłyszawszy poszczekiwanie psa.

Jacek też usłyszał szczekanie – nie tylko w słuchawce, ale także na żywo. Zdezorientowany wychylił się zza krzaków i ujrzał biegnącą za niewielkim pieskiem kobietę. Kilkanaście metrów za nimi dostrzegł ociężałą sylwetkę komendanta przeskakującego między drzewami.

Jacek zamarł, próbując ocenić sytuację. Przestraszył się, że pies wyczuł jego obecność i już za chwilę zostanie zdemaskowany. Zwierzak jednak nie dobiegł do krzaków, ale skręcił w bok, na łąkę, gdzie wśród wysokich traw leżała Alicja.

Hałas nie od razu ją wybudził. Najpierw jak przez mgłę usłyszała szczekanie, które z każdą sekundą wzmagało na sile. Otworzywszy oczy, próbowała sobie przypomnieć, gdzie jest. Dopiero po chwili świadomość i pamięć wróciły. Usiadła i mętnym wzrokiem przyglądała się biegającemu wokół niej i ujadającemu małemu psu. Spojrzała na zegarek. Musiała drzemać zaledwie dziesięć minut, ale wydawało się jej, że spała całą wieczność.

– Nic pani nie jest? – Nad głową ujrzała blondynkę, z którą tydzień temu miała wątpliwą przyjemność rozmawiać. – Daisy, przestań! – Blondynka krzyknęła na psa.

– Nic mi nie jest. Opalałam się – wyjaśniła Alicja, wstając. – Ale i tak miałam już wracać.

– Aha. A którądy pani idzie?

– Słucham?

– Którędy pani idzie... Bo chyba się zgubiłam... A w ogóle, Kaja jestem. – Blondynka wyciągnęła dłoń.

– Sorry, nie szukam sobie przyjaciół. – Alicja uśmiechnęła się złośliwie i odwróciła się na pięcie.

Kaja uniosła brwi.

– Okeeej... – powiedziała, wdychając powietrze. – Rozumiem, już sobie przypominam. Głupio się wtedy zachowałam. Przepraszam. Miałam zły dzień. Możemy zacząć jeszcze raz?

Alicja przystanąła i przez chwilę w milczeniu przyglądała się dziewczynie. Wyglądała na trzydzieści kilka lat i była bardzo zadbana. Nie pasowała do tej łąki i wiejskiego krajobrazu. Równo podcięte półdługie włosy z prostą grzywką nie poruszały się, mimo że wiał lekki wiaterek. Ubrana była w zielonkawą, luźną bluzkę i długie białe spodnie z kantem. Na nogach Alicja dostrzegła eleganckie, jasne espadryle. W uszach błyszczały delikatne kryształowe kolczyki, a usta obrysowane były idealną kreską i pociągnięte jasnoróżową szminką. Oczy, z mocno wytuszowanymi rzęsami, zdobiły modne oprawki okularów.

– To jak będzie? – ponowiła pytanie Kaja. – Naprawdę miałam wtedy zły dzień. I naprawdę przepraszam – podkreśliła.

– Dobra, zacznijmy jeszcze raz. Alicja. – przywitała się, podając dłoń. – Mieszkam u Józefiny Koperskiej, choć pewnie i tak nic ci to nie mówi.

– Nie mówi. Ja mieszkam na Kwiatowej. I niestety kompletnie straciłam orientację. Bałam się, że zawędrowałam do drugiej wsi.

– Do drugiej wsi wcale nie jest tak blisko. – Alicja prychnęła, ale zgodziła się zaprowadzić Kaję. Po miesiącu pobytu знаła już nazwy tych kilku wiejskich ulic, kojarzyła również dom, który wynajmowała Kaja.

– Daisy zerwała się ze smyczy, ma cieczkę, o mało nie uciekła – tłumaczyła kobieta. – Musiałam za nią biec, a potem, jak wskoczyła w lasek, to już kompletnie się zgubiłam. Dobrze, że trafiłam na ciebie, bo tutaj ani żywego ducha. No, chociaż...

– Chociaż co? Pewnie spotkałaś Czarną Marię. Ona trochę wygląda jak duch.

– Nikogo nie widziałam. Za to od pewnego czasu odnoszę



wrażenie, że ktoś za mną łązi...

– Och, to normalne – roześmiała się Alicja. – Ja do tej pory tak mam.

\*

Przez uchylone okna wpadało do mieszkania coraz więcej komarów. Alicja pogasiła światła, żeby ich nie zwabiać. Józefiny nie było, ponieważ pod pozorem wieczornego spaceru, poszła z Teresą na łąki. Według niej niektóre rośliny o właściwościach magicznych najlepiej zbierać po zachodzie słońca, podczas gdy inne powinno się zrywać o świcie.

Bartek się spóźnił. Mimo to Alicja nie czuła niepokoju ani złości. Wiedziała, że w jego przypadku kilkanaście minut spóźnienia to norma. Popołudniowy spacer i relaks na łące nastroiły ją pozytywnie. Uznała, że nie ma o co kruszyć kopii i jeśli tylko Matylda wyrazi chęć, to pozwoli jej wyjechać w góry z Bartkiem i jego narzeczoną.

Wyszła na zewnątrz i usiadła na ławeczce pod domem. Wieczór był przyjemnie chłodny. W końcu w oddali ujrzała światła samochodu. Stała przed furtką.

– Co tu tak ciemno? Myśleliśmy, że nikogo nie ma! – Matylda, wysiadłszy z auta, zaczęła wesoło szczebiotać. – Tata powiedział, że może już śpicie.

– Ciocia poszła do pani Teresy – wyjaśniła Alicja. – A ja wietrzyłam, ale komary wpadają, więc pogasiłam światła. Jak się bawiłaś?

– Świetnie!

Bartek zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Alicja zaproponowała, żeby wszedł na herbatę, ale tłumaczył, że z powodu późnej pory wolałby już wracać.

– Jedziesz do Warszawy? – zapytała.

– Nie, nocuję we Wrocławiu. Słuchaj, Ala, przemyślałaś sprawę, o której rozmawialiśmy? Zależy mi.

– Tak, myślałam nad tym – powiedziała Alicja łagodnie i z uśmiechem.

– Mamo, siusiu mi się chce. Strasznie! – jęknęła Matylda,

przestępując pod drzwiami z nogi na nogę.

– No to leć!

– Ale jest ciemno.

– Ojej, a co ty mała dzidzia jesteś, że nie potrafisz zapalić światła?

– spytała Alicja, ale weszła do domu, żeby pomóc córce. – A głodna nie jesteś? – spytała, kiedy Matylda zniknęła za drzwiami łazienki.

– Nie, jedliśmy pizzę i lody. Takie wielgaśne z pyszną czekoladową rurką. Mówię ci, przepyszna ta rurka. Maczałam ją w lodach i gryzłam. Pychota. Ciocia Ania dała mi też swoją, więc miałam dwie. Szkoda, że tata nie wziął lodów, bo wtedy miałabym trzy rurki. Mniam, mniam. Mamo, pojedziemy kiedyś jeszcze na te lody?

Alicja poczuła, jak zasycha jej w gardle. Oparła się o drzwi łazienki.

– Fajna ta ciocia Ania? – spytała po chwili, starając się, żeby jej głos brzmiał naturalnie.

– Fajna, fajna, rurkę mi swoją oddała.

Na zewnątrz zerwał się wiatr. Bartek stał przy samochodzie i rozmawiał przez telefon. Na widok Alicji przerwał rozmowę.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że Anna też dzisiaj będzie? – zagała Alicja.

– Nie pomyślałam, że muszę cię o tym uprzedzić. Jest moja narzeczoną, to chyba naturalne.

– No tak, no tak... – westchnęła Alicja. – Szkoda, że musisz już wracać. Ciocia upiekła ciasto.

– Może następnym razem. Przemyślałaś sprawę moich wakacji z Matyldą?

– Tak, myślałam nad tym... Ale nie mogę się zgodzić. – Alicja nie patrzyła mu w oczy. – Wiesz, jak zależało mi na pobycie na wsi. To zalecenie lekarki. Matylda naprawdę tutaj świetnie się czuje. I widać poprawę. Miała co prawda ze trzy razy niewielką gorączkę, ale nie rozwinęło się żadne zapalenie oskrzeli, żadna angina. Nic. W dodatku ciocia daje mi wiele cennych rad. Myślę, że będziemy tu do końca wakacji.

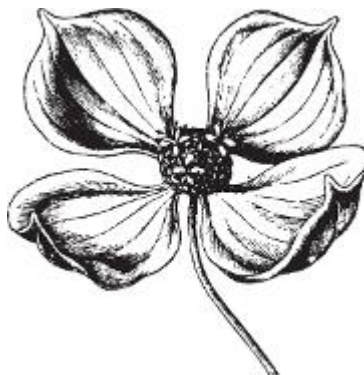
– Ala, przecież my też przecież nie będziemy w metropolii, ale w górach, w Krynicy. To miasteczko uzdrowiskowe, świeże powietrze.

Dasz mi wskazówki, jak postępować z Matyldą, i ja się dostosuję.

– Mimo wszystko wolę, żeby została tutaj.

– Ala... – Bartek zacisnął wargi. – Przemyśl to jeszcze.

Zadzwonię.



## *Rozdział 14*



Szosa była jeszcze mokra, kiedy Alicja jechała rowerem. W nocy musiało nieźle padać, ale nie słyszała ulewy, ponieważ zmęczona całym dniem zasnęła natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki.

Żałowała, że zgodziła się przyjechać tak wcześnie. W dodatku ciemne chmury znowu zapowiadały deszcz. Nie zacznie malowania kapliczki, jeśli będzie padać. A przecież prognozy były inne. Ubrała się w rzeczy, których nie będzie szkoda ubrudzić farbą: szare dresowe spodnie oraz top, który już miała dawno wyrzucić, ponieważ z lewej strony tuż przy ramieniu zrobiła się spora dziurka. Ciotka wyciągnęła z szafy starą bluzę, którą miała oddać Czarnej Marii, ale uznała, że to ubranie bardziej się teraz przyda Alicji do pracy podczas chłodniejszych dni. Miała rację, bo bluza, mimo że zbyt wielka, to jednak była wygodna i ciepła.

Próbując ominąć jedną z większych kałuż, Alicja przystanąła i czekała, aż najpierw wyminie ją jadący z naprzeciwka samochód. Auto przejechało powolutku, ale już po chwili kierowca zawrócił.

– Dzień dobry! Mało co pani nie poznałem! – Usłyszała przyjazny głos Konrada. Zatrzymał samochód na poboczu i wysiadł.

Alicja poczuła, że robi się jej słabo. Gorzej już być nie mogło. Nie dość, że niewyspana, a przez to blada i z podpuchniętymi oczami, to jeszcze ubrana w stare łachy, wśród których główną rolę grała brązowa i wyjątkowo nietwarzowa bluza ciotki.

On tymczasem świeży, pachnący i w dobrym humorze. Jak można mieć taki dobry humor o siódmej rano? – przebiegło jej przez myśl.

– Dzień dobry – wymamrotała, siląc się na uśmiech. – A pan tak wcześnie na nogach?

– Do Wrocławia jadę, do biura po kilka dokumentów... Za kilka godzin wracam. Świetnie, że panią spotkałem. Mam wspaniałe wiadomości! Proszę sobie wyobrazić, że wczoraj podczas obiadu mieliśmy pełne obłożenie. Maciek ledwie wyrabia. Jeśli tak dalej pójdzie, to będę musiał zatrudnić dodatkową obsługę.

– Świetnie, gratuluję.

– To przecież pani zasługa! Naprawdę nie wiem, jak pani dziękować. Przecież już miałem zamykać tę knajpę... Kolacja to za mało. Proponuję...

– Ależ nie ma za co. Mówiłam panu, że to pomysł mojej siostry, jest specjalistką od reklamy. Ludzie ze wsi bali się wchodzić, bo tak elegancko... To naprawdę nic wielkiego. Miałyśmy z siostrą dobrą zabawę i... eee... – zaczęła się jąkać, bo z powodu niewyspania uciekło jej słowo – dużą przyjemność. Nie musi pan dziękować.

Alicja modliła się w duchu, żeby przytaknął i odjechał. Nie czuła się komfortowo. Miała wrażenie, że z bluzy ciotki unosi się zapach naftaliny.

– Mimo wszystko dziękuję. I nie przyjmuję odmowy, jeśli chodzi o kolację. A może teraz miałyby pani ochotę na kawę? Porozmawialibyśmy. Zdradziłaby mi pani kilka sekretów... Ciekaw jestem, jak tego dokonaliście.

– Z przyjemnością – wydukała Alicja. – Ale teraz nie mogę, śpieszę się.

Błagam, jedź już sobie! – krzyczała w myślach.

– Tak rano? – zdziwił się Konrad. – Maciek wspominał, że jest tu pani na wakacjach.

– Tak, ale naprawdę, bardzo się spieszę. Matka Boska na mnie czeka. Do zobaczenia.

Nie czekając na odpowiedź, uśmiechnęła się przepraszająco, wsiadła na rower i pojechała.

– Do zobaczenia! – odkrzyknął.

Po chwili usłyszała dźwięk odpalanego silnika. Pojechał. Ulżyło jej.

– Matka Boska na mnie czeka?! – jęknęła, uświadomiwszy sobie, że tak właśnie powiedziała Konradowi.

Naprawdę gorzej już być nie mogło.

\*

Sekretarka omal nie rozlała kawy, którą niosła, kiedy Konrad wpadł do biura i oświadczył, że bierze urlop do końca wakacji. Ten pracoholik od kilku miesięcy przychodził pierwszy, a wychodził ostatni. Gdyby nie to, że w biurze nie było kanapy, posądzałyby go o to, że tu śpi. Lubił tę pracę. Zawsze miał głowę pełną pomysłów, które natychmiast realizował. Od wszystkich wiele wymagał, ale najwięcej od siebie. Firma pręźnie się rozwijała, wygrywali przetarg za przetargiem, a drobniejsze zlecenia wypełniały resztki czasu, który poświęcano na pracę. Jego wspólnik, a zarazem najlepszy przyjaciel – Marcin – mniej się poświęcał, ale był równie zaangażowany. Koncentrował się na zdobywaniu nowych klientów. Rzadko kiedy jednak przeznaczal na to swój czas wolny. Weekendy spędzał z żoną, podczas gdy Konrad w soboty pracował, a niedziele wypełniało mu obmyślanie nowych programów i rozwiązań informatycznych.

– Jak to bierzesz urlop? – Marcin nie ukrywał zdumienia.

– Sam mówiłeś, że powinienem odpocząć. – Konrad uśmiechnął się i mrugnął okiem.

– No tak, ale...

– Spokojnie, nie wyjeżdżam na koniec świata, będę w Polance.

Biorę ze sobą sprzęt, przekopiuję dane i tam przeanalizuję ten system. Nie martw się, zdążymy przed czasem.

Marcin milczał, przyglądając się badawczo przyjacielowi. Nie znał go takiego. Dwumiesięczny urlop? Nawet kiedy był w dobrej formie, nie brał wolnego na więcej niż dwa tygodnie.

– Dobrze się czujesz? – spytał, mrużąc oczy.

– Dobrze. Powiem więcej, dawno nie czułem się lepiej. A urlop mi się przyda. Przecież dacie tu sobie radę beze mnie, prawda? Poza tym będę pod komórką, pod mailem...

– Konrad. Znam cię nie od dziś. To nie jest normalne. Skąd nagle taki pomysł? Przecież dopiero co, w sobotę...

– Sobota to była sobota. A propos, jak wieczorne wyjście?

– Udało się, dziękuję. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Dobra. – Konrad ściszył głos i zamknął drzwi od pokoju. –  
Poznałem kogoś.

– Kobieta? – wyszeptał podekscytowany Marcin.

– Nie, facet, wspaniały mięśniak. Oczywiście, że kobieta!

– Ale jak, gdzie?

– W Polance.

– I?

– No i dlatego chcę wziąć urlop. Dopiero co ją poznałem, kumas?

– Była randka?

– Nie.

– O rany, powiedz coś więcej. Rzucasz temat i ledwie co można z ciebie wycisnąć. Ładna?

– Śliczna. – Konrad usiadł i spojrzał w bok z rozmarzeniem. –  
Delikatna, drobna, oczy... chyba niebieskie albo szare. Tak, chyba szare.  
Albo niebieskie... Jasne włosy do ramion. I pachnie rumiankiem. Mówię  
ci, Marcin, kiedy przy niej stoję, robi mi się gorąco.

– I nie zaprosiłeś jej na randkę?

– Nie mogę tak prosto z mostu! Staram się, ale to twarda sztuka.  
Nie dała się namówić ani na kolację, ani na kawę. Nie jest prosto.

– Ile ma lat?

– Nie wiem. Maciek mówił, że coś koło trzydziestki, ma  
ośmioletnią córkę.

– Mężatka?

– Podobno nie.

– Cholera, mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz.

– Dlatego chcę tam być, żeby ją lepiej poznać. Póki co wiem tyle,  
ile udało mi się wyciągnąć z Maćka. Czyli niewiele. Ale mówię ci, stary,  
czegoś takiego jeszcze nigdy nie doświadczyłem. Już przy pierwszym  
spojrzeniu poczułem, że coś iskrzy.

– Ale nie zaiskrzyło – przyznał trzeźwo Marcin. – Nie dała  
namówić się na kolację.

– Zaiskrzyło. Tylko ona jeszcze o tym nie wie.

– Aha... To rzeczywiście trudna sprawa.

– Dziś rano ją widziałem. – Konrad uśmiechnął się na  
wspomnienie Alicji. – Jechała rowerem. Była tak słodko zaspana.

- Ranny z niej ptaszek – zauważył Marcin. – Rozmawialiście?
- Bardzo krótko. Spieszyła się na spotkanie z Matką Boską.
- Z kim?!

Okrzyk Marcina spowodował, że Konrad zmarszczył brew i zastygł na moment w zamyśleniu.

– No właśnie, nie zastanawiałem się nad tym – przyznał. – Z Matką Boską...?

– Może to jakaś dewotka?

– Chyba nie... Ale jeśli nawet, to jest to najcudowniejsza dewotka, jaką kiedykolwiek spotkałem.

– A spotkałeś jakąś wcześniej? – parsknął Marcin, ale natychmiast zamilkł, zauważywszy karcący wzrok Konrada. – Słuchaj – powiedział łagodniejszym tonem – jeśli ona taka pobożna, to nie dziwne, że nie chciała się umawiać na kolację. Na taką to trzeba sposobu. Na przykład, możesz jej powiedzieć, że znasz papieża.

– Przecież nie znam.

– A sprawdzi to?

– Proszę cię, Marcin.

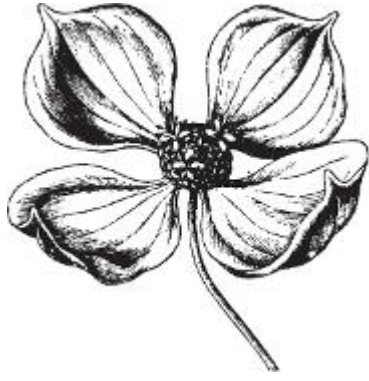
– No to zamiast na kolację, zaprosz ją na pielgrzymkę. I mówię poważnie.

– Dobra, muszę spadać. – Konrad się uśmiechnął. – W razie czego, dzwoń.

– Ale jeśli ma dziecko, a nie ma męża, to może nie jest taka aż bardzo pobożna – zamyślił się Marcin. – Czyli jest nadzieja – zawyrokował. – Zabierz na pielgrzymkę, pochwal się znajomością z jakimś kardynałem... Albo wiem! Powiedz, że nasza firma właśnie opracowuje system informatyczny na zlecenie Watykanu. Tajny.

– Bardzo śmieszne – rzucił Konrad i wyszedł.





## *Rozdział 15*



Czarna Maria z powodu opuchniętych stóp od kilku dni nie mogła chodzić. Marianna, która starała się w miarę regularnie przynosić do Biblioteki jedzenie, namawiała ją na wizytę u lekarza. Kobieta jednak milczała, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem i masując stwardniałe pięty i kostki. Od Krystyny dostała maść na odciski, jednak jej nie używała. Kiedy tylko masowanie przynosiło ulgę, chciała wstawać i iść przed siebie. Wracała po kilku minutach i z powrotem siadała na schodach, żeby ulżyć obolałym stopom.

Dopiero w połowie tygodnia nogi odpoczęły na tyle skutecznie, że mogła podjąć kolejną wędrówkę wzdłuż strumyka.

Matylda nauczyła się unikać Czarnej Marii. Denerwowało ją, że kiedy bawiła się z koleżankami nad wodą i spotykały Marię, kobieta właśnie do niej chciała biec, krzycząc ochrypłym niskim, głosem: Maria, Maria. Na szczęście widać ją było z daleka, bo czarny ubiór wyróżniał się na tle zielonej łąki, i dzieci, kiedy tylko Maria pojawiała się na horyzoncie, zmykały w przeciwnym kierunku, przeczekując w krzakach, aż pójdzie dalej.

– Dlaczego ta pani mieszka w Bibliotece? – spytała któregoś dnia Matylda, usłyszawszy, jak Alicja rozmawia o Marii z Józefiną.

– Bo nie ma własnego domu – wyjaśniła Alicja.

– A dlaczego?

– Nie wiem. Może się zgubiła. – Alicja wzruszyła ramionami, nie potrafiąc znaleźć innej odpowiedzi.

– A może myśli, że to jest jej dom?

– Nie wiem, kochanie. Może tak być.

Alicja zauważyła, że Matylda, odkąd przyjechały na wieś,

wydoroślała, dojrzała, stała się bardziej otwarta i ciekawa świata. Zadawała wiele pytań, sama też bardzo dużo mówiła. Czas najchętniej spędzała z koleżankami i kolegami, ale nadal uwielbiała wieczorne przytulanie i czytanie książek z Alicją. Po wizycie Bartosza zaczęła zadawać pytania o miłość, o związki. Nigdy wcześniej nie interesowała się takimi tematami. Było dla niej naturalne, że rodzice nie mieszkają razem. Być może spotkanie z Anną zainspirowało ją do takich przemyśleń.

Alicja odpowiadała cierpliwie, starając się, aby jej głos brzmiał łagodnie i ciepło. Próbowwała wytłumaczyć córce, że miłość, choć piękna, to czasem się wypala.

– To dotyczy tylko kobiety i mężczyzny – podkreśliła. – Bo miłość do dziecka nie wypala się nigdy.

Ani słowem nie wspomniała o propozycji Bartka, tak się umówili. Nie chciała, żeby Matylda miała jej za złe tę decyzję. Wołała jej w ogóle o tym nie mówić.

Rozmawiała natomiast z ciotką, wyrażając swoje ubolewanie nad tym, że nie potrafi odpuścić, chociaż się starała.

– Jestem zwyczajnie zazdrosna, ciociu. Nie dałam rady. Nie dałam.

– Dziecko, na to potrzeba czasu.

Siedziały właśnie z Józefiną i Matyldą w kuchni i jadły kolację, kiedy zadzwonił telefon.

– Ala, jutro przyjeżdżam! – Dorota nie bawiła się w przywitania.

– Jak to? Przecież dopiero co byłaś, tydzień ledwie minął.

– No to co? Reglamentację wprowadzasz?

– Nie, tylko zdziwiona jestem. Dorota chce jutro przyjechać – powiedziała Alicja, zwracając się do Józefiny.

– A niech przyjeżdża. Stęskniła się za nami? – Ciotka się roześmiała.

– Stęskniłaś się już za nami? – spytała Alicja.

– Tak, bardzo! Cały tydzień o was myślałam. Szczególnie o cioci... Ala, to naprawdę działa!

– Co działa?

– No wiesz... Te kropelki! Miałam w środę prezentację.

W czwartek była narada. A dziś z rana ogłoszono, że zostałam szefową

całego działu! Hurra! Zadzwoiłabym wcześniej, ale wiesz, byłam taka podekscytowana, odbierałam gratulacje. Wieczorem musiałam opić z koleżankami sukces.

– No słyszę. Dasz radę jutro prowadzić?

– Nie uchlałam się przecież. Nie dałabym tym sukcom satysfakcji z oglądania mnie pijanej. Tylko łyczek szampana i lampkę białego wina. No, dwie lampki.

– Od nas też gratulacje.

– My wiemy, Ala, czyja to zasługa – zachichotała Dorota. – To działa! To działa!

– Dorota, a nie sądzisz, że naprawdę byłaś najlepsza?

– Oj, siostra, ty to naprawdę jesteś zrzęda. Oczywiście że byłam najlepsza, ale nie zauważyliby tego, gdybym nie wlała im do kawy wiesz czego. Lepiej powiedz, co u ciebie, bo u mnie, jak widać, cudownie.

– Zmęczona jestem. – Alicja westchnęła. – Od poniedziałku zajmuję się kapliczką, sporo z tym roboty. W dodatku Marianna wczoraj poprosiła mnie, żebym jej pomogła wynieść na spacer babcię. Wiesz, jaki ten wózek ciężki, ciągle mnie plecy bołą.

– Powinnaś ćwiczyć.

– No wiem. Kaja też mnie do tego namawia.

– Kaja?

– Ta, która nie chciała się zaprzyjaźnić, pamiętasz, opowiadałam ci.

– A tak, kojarzę.

– Teraz prawie prawie każdego dnia się widujemy, bo akurat przejeżdżam rowerem obok jej domu, wracając z kapliczki. Ona codziennie ćwiczy jogę.

– Sorry, muszę kończyć, bo woda mi się przeleje w wannie. Do jutra, pa! – Dorota się rozłączyła, nie czekając na odpowiedź.

Alicja odłożyła telefon i upiła łyk zimnej herbaty. Józefina uśmiechała się pod nosem.

\*

Pod nogami Grzelaka chrzęścił żwir. Szedł wolno, z ociąganiem, nie spieszyło mu się do domu. Wiedział, że zastanie tam siostrę żony,

która miała przywieźć córkę na wakacje. Nie znosił szwagierki. Była jedną z tych, które kiedy tylko trafia się okazja, chwalą się stanem posiadania, opowiadają o wspaniałym życiu, niezliczonych podróżach, wpływowych przyjaciółach i imprezach, na których trzeba być. Ciekawe, dlaczego więc córkę przywozi na wieś zamiast opłacić jej kolonie? – parsknął w myślach. Nie odważyłby się jednak powiedzieć tego na głos, a już na pewno nie w obecności szwagierki czy żony.

Wiedział, co czeka go w domu, kiedy Zdzisława odjedzie. Dzieci pójdą spać, a jego wiecznie niezadowolona z życia żona, Wiesława, będzie jeszcze bardziej niezadowolona i jeszcze więcej będzie narzekać. Prawdopodobnie nawet się popłacze, narzekając na swój los. I Grzelak znów usłyszy, że to on jest jej największym życiowym błędem. Że gdyby dwanaście lat temu nie zaszła w ciążę, a potem w drugą, to na pewno wyszłaby za jakiegoś bardziej obrotnego mężczyznę, który zabrałby ją do pięknego domu w mieście, obsypywał klejnotami i zapraszał do najlepszych restauracji. A ona pracowałaby w jakimś eleganckim biurze, a nie tak jak teraz, na gospodarstwie teściów. I tak jak siostra, jeździłaby eleganckim samochodem, a włosów nie farbowała we własnej łazience, tylko u profesjonalnego stylisty fryzur. I na pewno, ale to na pewno, jej mąż byłby kimś ważnym, a nie jakimś tam podrzędnym policjantem ze wsi.

Grzelak aż się zatrząsnął na samą myśl, że dziś znów będzie musiał wysłuchać tej tyrady. Ale już niedługo. Już on wszystkim pokaże, wszystkim udowodni na co go stać!

Gorzej, że ten cholerny gówniarz, Jacek, zaczynał się buntować. Nie dość, że stracił zapal i przestało mu zależeć na referencjach, to jeszcze zaczął mieć wątpliwości co do słuszności sprawy. Już od tygodnia trzeba mu było płacić, bo zagroził, że nie będzie śledził tej baby. Na razie zadowolili się pięćdziesiątką tygodniowo, ale co będzie za miesiąc? Palant.

Grzelak splunął. Przeliczył w myślach, ile musi sobie odmówić, żeby opłacić Jacka i żeby Danka nie zauważyła dziury w budżecie. Oddawał jej całą pensję, a ona wyznaczała mu kieszonkowe. Na papierosy i na drobne słodczy. Piętnaście złotych dziennie.

To jednak nie pieniądze były jego największym problemem, ale

podskórna świadomość, że Jacek ma rację. I choćby śledzili przez rok, to nie wyśledzą nic oprócz tego, że wrocławianka czasem wychodzi na wieczorny spacer z psem niezle zawiana, a warszawianka gada do siebie, kiedy tylko myśli, że nikt jej nie widzi. Żadna z nich raczej nie planuje morderstwa. Nie ma żadnego spisku, żadnej zmowy, tajnego planu.

– Przestań się nakręcać, dupku! – warknął w głos do siebie. – Przecież wiesz, że jest jakiś spisek. Po co by tu przyjeżdżały? Musi coś być, musi!

Jęknął, zauważywszy pod domem błyszczące, wypucowane audi szwagierki. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i stanął. Zapalił papierosa. Nagle przypomniał sobie, że przecież nie ma co czytać. Odkąd Czarna Maria z powodu bolących nóg nie opuszczała Biblioteki, omijał budynek szerokim łukiem. Ale przecież wczoraj widziano ją w sąsiedniej wsi, a zawsze, kiedy tamtędy przechodziła, nie wracała wcześniej niż po dwóch dniach.

Ulżyło mu, kiedy znalazł powód, żeby nie wracać do domu. Piętą przygasił niedopałek i wyjął telefon, na którym wystukał do żony wiadomość o tym, że z powodu pilnych spraw służbowych będzie w domu nieco później.

\*

Trzasnęły drzwi samochodu. Alicja na ten dźwięk oderwała się od książki i wybiegła z domu.

– Nareszcie jesteś! – krzyknęła na widok siostry. – Odśwież się, przebierz i zaraz jedziemy!

– Ale dokąd? – spytała Dorota, wyciągając z bagażnika torbę.

– Na obiad do Angel's. Ten Konrad, właściciel, przypiął się do mnie jak rzep. Wczoraj, jak wracałam z kapliczki, znów zapraszał na kolację. Wiesz... On chce się koniecznie odwdzińczyć za tę akcję wtedy. Mają teraz wielu klientów.

– Fiu, fiu. – Gwizdnęła Dorota. – Skoro zaprosił cię na kolację, to po co ja ci jestem potrzebna? Przecież nie będę się wpraszać na trzeciego. To może ma być romantyczny wieczór. – Mrugnęła do siostry.

– Dorota. – Alicja westchnęła. – Żaden romantyczny. Facet chce się wypytać, jak to zrobiłyśmy, że przyszło tylu ludzi. Powiedziałam, że

to był twój pomysł. On chce poznać szczegóły. Dlatego umówiłam się na obiad zamiast na kolację, bo wieczorem znowu będą tam tłumy i pogadać w spokoju się nie da.

– Zgłupiałaś?! Przecież nie możemy zdradzić mu wszystkich szczegółów!

– Nie mówię o wszystkich, tylko ogólnie mu powiesz, co zrobiłaś. On nie ma bladego pojęcia na temat marketingu.

– Ogólnie to mogę... – zgodziła się Dorota.

– Naprawdę nie sądziłam, że reklama szeptana może być taka skuteczna...

– Ważny był zapalnik – mruknęła z uśmiechem Dorota.

– Zapalnik?

– No wiesz... – Dorota wywróciła oczami. – Mówiłam ci, że to działa.

– O Boże! Poiłaś ludzi eliksirem ciotki?

– Nie wszystkich! Ukradłam z piwnicy tylko troszkę. Dla wszystkich by nie starczyło. Ale jak widać trafiłam na tych najbardziej wpływowych. – Dorota uniosła dumnie brodę. – To się nazywa szczęście. No i dalej już poszło. Nie poiłam ich. Częstowałam nasączonymi ciasteczkami. *Notabene* babeczkami Marianny.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bo była akcja z Bartkiem i wypadło mi z głowy...

– Nieważne. – Alicja machnęła ręką. – I tak w to nie wierzę.

– Jak to? Przecież widzisz, że działa. Do Angel's przyszli ludzie...

Ja dostałam awans. Jak niby to wytłumaczysz?

– Twoją skutecznością! – Alicja się roześmiała. – To ty byłaś zapalnikiem. Potrafiłaś przekonać ludzi, żeby mówili innym o imprezie w pubie. Tak samo, jak potrafiłaś przekonać swoich szefów, że jesteś najlepsza! Dorota, jesteś inteligentna, energiczna, masz niesamowitą siłę, dar przekonywania. Zawsze tak było. Tylko czasem brakuje ci pewności siebie. I dlatego uwierzyłaś w moc eliksiru.

– Głupoty gadasz. Po prostu nie chcesz dostrzec faktów. Wiara wiarą, ale liczą się efekty. A jakoś dziwnie się składa, że udało mi się osiągnąć w krótkim czasie pożądane cele, częstując ludzi kropelką czarodziejskich ziółek.

Zanim Alicja zdążyła odpowiedzieć, Dorota już wchodziła do domu, ciągnąc za sobą walizkę.

– Dzień dobry! Przyjechałam! – krzyknęła.

– Cioci nie ma – poinformowała Alicja. – Poszły z Matyldą po truskawki do pani Teresy. Będą dzisiaj piekły ciasto. Matylda już zaprosiła koleżanki na poczęstunek.

– Widzę, że przyjaźń między Matysią a ciotką kwitnie. – Dorota się uśmiechnęła. – To dobrze. Obydwie na tym korzystają. I ty też.

– Ja?

– No pewnie. Do tej pory byłaś z Matyldą non stop. A teraz ona albo z koleżankami, albo z ciotką...

– Sugerujesz, że jestem wyrodną matką, bo mniej zajmuję się dzieckiem? – zachnęła się Alicja.

– O rany, a ty znowu swoje. Negacja wszystkiego. – Dorota z dezaprobatą pokręciła głową. – Sugeruję, że w końcu wyluzowałaś i dajesz córce żyć jej własnym życiem. Jeszcze chwila, a odkryjesz, że sama masz jakieś życie poza Matyldą. – Zachichotała.

– A żebyś wiedziała, że mam! I nie myślę tu o renowacji kapliczki. Wyobraź sobie, wczoraj dostałam maila, że wydawnictwo z Niemiec kupiło prawa do serii książek dla dzieci, do których robiłam ilustracje...

– Nie mów...

– Tak! Chcą kupić prawa do wszystkich moich ilustracji! A było ich w sumie z pięćdziesiąt w całej serii.

– O rany, płacą w euro?! – podekscytowała się Dorota.

– Domyślam się, że próbujesz zapytać o wysokość stawek – uśmiechnęła się Alicja. – Oczywiście to będzie do podziału z macierzystym wydawcą, jednak i tak moja dola pozwoli mi pozbyć się stresu na jakiś czas.

– Alicja, to wspaniale! – ucieszyła się Dorota. – Gratuluję. Musimy to opić.

– Może poczekajmy, aż pieniądze wpłyną...

– Ech, ta twoja zapobiegliwość i przesadna ostrożność! Dzisiaj pijemy! Zostawimy samochód i pójdziemy do Angel's piechotą.

\*



Konrad czuł narastające podenerwowanie. Wiedział, że musi działać ostrożnie i z rozwagą. Alicja nie była jedną z tych kobiet, które z wrodzoną naturalnością podejmują flirt. Ona, podczas tych kilku przelotnych spotkań, trzymała go na dystans. Odrzucała zaproszenia na kolację czy kawę, a wszelkie rozmowy, które odbiegały od tematu restauracji, natychmiast uciniała, tłumacząc się brakiem czasu i nagłymi obowiązkami. Owszem, uśmiechała się, jednak widział, że jest to uśmiech z grzeczności. Poza tym uciekała wzrokiem, co odbierał za przejaw znudzenia rozmową. Najwyraźniej głowę miała zaprzątniętą innymi sprawami.

Teraz wreszcie nadarzyła się okazja, żeby ten schemat przełamać. Tylko ona i on. I jej siostra... Westchnął. Ale już po chwili przyszła go myśl, że może obecność siostry okaże się pomocna. Może dzięki temu Alicja poczuje się swobodniej, otworzy się i wtedy dostrzeże, że jego chęć poznania sekretów reklamy była tylko pretekstem. Może zauważy te świeżo ścięte kwiaty, których okazały bukiet zdobił akurat ich stół. Może usłyszy tę muzykę w tle, którą dobierał dla niej przez ostatni tydzień. Może rozsmakuje się w tym winie, po które jeszcze wczoraj jechał do Wrocławia, bo w Angel's tego akurat szczepu nie serwowali. Wyjątkowe, delikatne, z owocową nutą. I wreszcie – czy Alicja zgodzi się na kolejne spotkanie, zawołaną randkę, która w jego głowie urastała do rangi najważniejszego wydarzenia nadchodzącego tygodnia. Odruchowo sprawdził zawartość wewnętrznej kieszeni w letniej marynarce. Były tam dwa z trudem zdobyte bilety na czwartkowy zamknięty koncert Mulatu Astatkego we Wrocławiu. Kameralne wydarzenie, do którego dostęp miała tylko wąska grupa zapaleńców, ale dzięki znajomym ojca Konradowi w ostatniej chwili udało się zdobyć zaproszenia na koncert mistrza jazzu. Planował zaprosić tam Alicję pod pozorem rewanżu za to, co zrobiła dla jego restauracji. Teraz jednak, kiedy miała przyjść z siostrą, musiał zmodyfikować plany. Nie wypadało zaprosić Alicji bez uwzględnienia Doroty. To na szczęście nie problem – pomyślał. Przecież Alicja wspomniała, że siostra wpadnie tylko na weekend. A zatem nie da rady skorzystać z zaproszenia na czwartkowy wieczór i siłą rzeczy Alicja pójdzie z nim. Uśmiechnął się.

– Kwiaty porozkładać na wszystkich stolikach? – Z zamyślenia

wyrwał go głos Maćka.

– Słucham? – spytał Konrad, patrząc na kelnera nieprzytomnym wzrokiem.

– Przywieźli duży bukiet. Mam go rozwiązać i powkładać kwiaty do wazonów?

– Bukiet tutaj, na ten stolik. – Wskazał głową.

– Jakaś okazja?

– Spotkanie. – Konrad wzruszył ramionami. Nie miał potrzeby uzewnętrzniania się przed kelnerem. – Przyjedzie ta twoja znajoma, Alicja, z siostrą. Zaprosiłem je na obiad w ramach podziękowania za to, że się aż tak zaangażowały w promowanie naszego klubu.

– I te kwiaty też dla nich?

– Nie będę ich wręczał. Pomyślałem, że będzie im miło. W końcu od tamtej soboty co chwila ktoś do nas wpada. Nieważne, że najczęściej na piwo, ważne, że zaczął się ruch.

– Na dzisiejszy wieczór mam sześć stolików zarezerwowanych – powiedział z dumą Maciek.

– No widzisz.

– Czyli póki co nie musimy się z Darkiem martwić o pracę? – zapytał z nadzieją Maciek.

Konrad przez chwilę milczał.

– Będę z tobą szczery – powiedział w końcu. – Na razie sam nie wiem, co będzie z Angel's. Teraz można liczyć na turystów, bądź co bądź jest ich spora grupa w okolicznych miejscowościach. Ale co będzie jesienią, zimą... Nie wiem.

– A o której mają być dziewczyny?

Konrad spojrział na zegarek.

– Za pół godziny.

Spóźniły się ponad piętnaście minut. Weszły roześmiane, rozbawione wcześniejszą rozmową. Jednak kiedy usiadły przy stoliku, wcześniejsze rozbawienie zgasło, a zastąpił je stonowany uśmiech na obu twarzach. Alina i Balladyna – przemknęło Konradowi przez myśl, kiedy przyglądał się siostrze. Dorota była brunetką, o podkreślonych makijażem wyrazistych niebieskich oczach, w których czaiły się wesołe ogniki. Mimo że nie emanowała zbyt pewnością siebie, to w jej

ruchach, gestykulacji dało się zauważyć temperament. Co innego Alicja, blondynka z rozjaśnionymi od słońca kosmykami. Włosy miała związane w kucyk, a długą grzywkę co chwila zawijała za ucho. Jej szarawe oczy jak zwykle zdawały się nieco smutne. Onieśmiałała go swoją delikatnością. Mówiła niewiele, ale często z uśmiechem przytakiwała słowom siostry. Od razu przekazała jej pałeczkę w rozmowie na temat restauracji, przedstawiając Dorotę jako wybitnego specjalistę od reklamy.

Konrad udawał, że słucha z zainteresowaniem. Mimo że naprawdę był ciekaw pomysłów na promocję Angel's, to nie potrafił się skupić. Kilka razy udało mu się przez chwilę przytrzymać wzrok Alicji, jednak nic nie był w stanie wyczytać z jej twarzy.

Na szczęście wino, które wybrał, okazało się strzałem w dziesiątkę. Zarówno Alicja, jak i Dorota, rozplywały się nad jego bukietem i smakiem, nie zauważając, że Maciek pojawia się z butelką akurat w tych momentach, kiedy ich kieliszki są już prawie puste. Dzięki temu po godzinie spotkanie z formalnego zmieniło swój status na mniej formalny i temat restauracji przestał być wreszcie wiodącym. Dorota podniosła toast za sukces siostry, opowiedziała Konradowi o jej talencie malarskim i pracy w charakterze ilustratorki. Alicja odwdzieczyła się tym samym, wznosząc toast za awans Doroty w agencji reklamowej.

Konrad, podbudowany coraz lepszymi humorami sióstr, namawiał je, aby zostały na wieczornym koncercie i kolacji. O ile Dorota prawie się zgodziła, o tyle Alicja jak zwykle wymigiwała się obowiązkami. Nie dała się przekonać nawet wtedy, gdy do restauracji dotarli muzycy i rozstawili instrumenty, zrobili sobie małą próbę przed występem.

– Tak świetnie grają – westchnęła Dorota. – Może jednak zostaniemy. – Spojrzała z nadzieją na siostrę, ale ta pozostała nieugięta.

\*

– Dobrze się czujesz? Odniosłam wrażenie, że mimo wszystko podczas tego spotkania byłaś spięta... – spytała Dorotę Alicja, kiedy wyszły z Angel's i spacerkiem szły w stronę rynku.

– Bo nie mówiłaś, że on jest taki przystojny! Przecież wiesz, że w towarzystwie przystojnych facetów tracę pewność siebie. Dobrze, że

trochę wypiliśmy, w przeciwnym razie do końca dukałabym jakieś głupoty na temat reklamy i promocji.

– Naprawdę ten facet ci się podoba?

– Tego nie powiedziałam. To kompletnie nie mój typ, zdecydowanie wolę brunetów. Ale jest przystojny, bez dwóch zdań. Tobie się nie podoba?

– Nie zastanawiałam się nad tym. Też wolę brunetów...

– Aha, bo ciągle myślisz o Bartku...

– Już nie.

– To dobrze, bo wydaje mi się, że miałabyś szanse u tego Konrada. Patrzył na ciebie tak...

– Patrzył na mnie? – przerwała jej Alicja, parsknawszy śmiechem, chociaż uwaga siostry mile ją polechtała. – Na ciebie też patrzył – dodała jednak. – Nie wyczułam, żeby na mnie jakoś specjalnie.

– Może masz rację. Ja już tak mam, że jak facet jest przystojny, to odnoszę wrażenie, że wpatruje się w każdą, tylko nie we mnie. Swoją drogą, uważam, że to było udane popołudnie. Miło z jego strony, że nas zaprosił. Miło też, że pomyślał o prezencie. Zdobycie zaproszenia na koncert Astatkego musiało go wiele kosztować.

– Prawdę mówiąc, kompletnie nie znam tego muzyka. Nie wiedziałam, że aż tak interesujesz się jazzem – przyznała Alicja, mrużąc oczy.

– Aż tak to nie – roześmiała się Dorota. – Nie słyszałabym o gościu, gdyby nie to, że uwielbiam filmy Jarmuscha, a Astatke skomponował fenomenalną wręcz ścieżkę dźwiękową do *Broken Flowers*.

– Dasz radę przyjechać w czwartek do Wrocławia? – zaniepokoiła się Alicja. – Wspominałaś, że w poniedziałek musisz być w pracy.

– Szczerze? Aż taką fanką kolesia nie jestem. Nie bardzo będzie mi się chciało tu gnać, szczególnie że musiałabym wziąć wolny dzień. Ale skoro Legrandow zdobył to zaproszenie dla nas, to głupio mi było odmawiać. O! – krzyknęła nagle. – A ta co taka robotna?

Alicja podążyła za wzrokiem siostry i zauważyła Mariannę, która z zaangażowaniem pucowała szyby w oknach cukierni. Dziewczyna na ich widok uśmiechnęła się i zamachała, zapraszając gestem do środka.

– Sobota – wielka robota? – zagała Alicja, przypomniawszy sobie powiedzenie Krystyny i jej świty.

– A, od czasu do czasu trzeba przetrzeć. – Marianna machnęła ręką. – Macie ochotę na kawę? Na babeczkę?

– Na wino. – Dorota uśmiechnęła się zawadiacko.

– Wina już nam starczy – powiedziała się Alicja. – Właśnie wracamy z obiadu, na który zaprosił nas Legrandow w ramach podziękowania za tę akcję promującą restaurację.

– I uraczył was winem, jak rozumiem. – Marianna się uśmiechnęła.

– Uraczył, uraczył. Ale chyba nie wypiliśmy aż tak dużo, żeby stracić poczucie rzeczywistości. A chyba właśnie tracę... – westchnęła Dorota. – Bo widzę babeczki po trzy złote... Ostatnio, kiedy tu byłam, sprzedawałaś je po sześć... Albo mi się w oczach mieni.

– No tak – spieszyła się Marianna. – Obniżyłam cenę. Nie to żeby jakoś specjalnie zależało mi na sprzedaży, bo jak wiecie, nie zależy, ale...

– Ale? – zainteresowała się Alicja.

– No... Dorota, nie wiedzieć czemu, wykorzystwała je do swojej promocji. Częstowała ludzi... Posmakowało im.

– I zaczęli przychodzić?

– Tak, kilka osób wpadło po ciastka. Ale narzekali, że drogo. Właściwie nie miałam zamiaru obniżać ceny, ale skoro tak chwałą...

– I bardzo dobrze! – Alicja klasnęła. – Przynajmniej widzisz, że ludzie nie są wobec ciebie tak niechętni, jak myślałaś.

– Nie do końca. – Marianna westchnęła. – Już słyszałam komentarze Kaśki i Marchewy, że obniżyłam ceny, ponieważ chcę się ludziom przypodobać.

– Nimi się nie przejmuj! To złośliwe zołzy są – zauważyła Alicja.

– A jednak z nimi gadasz.

– No cóż... Mnie krzywdy nie zrobiły. Owszem, obgadują cię i wcale nie chcą mnie słuchać, kiedy im tłumaczę, że jesteś inna. One swoje wiedzą. Zazdrosne i tyle. Ale nie mogą się obrazić za to, że ciebie nie lubią. To byłoby dziecinne. Poza tym Kaśka pożyczyła mi rower.

– Ech, te zależności towarzyskie. Właśnie dlatego chcę się wyprowadzić do miasta. Tam jest zupełnie inaczej.

– Akurat! – wtrąciła się Dorota. – Myślisz, że w mieście nie ma złośliwców? Grubo się mylisz.

– Są. Ale przecież nie muszę ich spotykać. Na wsi wszyscy się znają, co chwila oglądasz te same twarze. Trudno uniknąć spotkania z wrogami.

– Gadanie. – Dorota wzruszyła ramionami. – Przecież mieszkałaś w Londynie, studiowałaś tam. To duże miasto. A ile osób znałaś?

– To co innego, mieszkałam w wiosce studenckiej...

– Nieważne. Nawet gdybyś zamieszkała w centrum Warszawy i prowadziła cukiernię na Marszałkowskiej, to i tak grono znajomych, przyjaciół i wrogów po pewnym czasie będzie wąskie. Bo sami tworzymy nasze światy. Nie znam branży cukierniczej, ale z pewnością jest to w miarę stała grupa ludzi. Jedni się wykruszają, inni przychodzą. Tak samo z sąsiedztwem, z koleżankami. Przecież anonimowy tłum nic nie znaczy. Ani ci nie popsuje humoru, ani go nie poprawi. Wpływ mogą mieć osoby, z którymi będziesz miała do czynienia na co dzień, regularnie.

Marianna wysłuchiwała wyводу, marszcząc brwi. Nie była przekonana o słuszności teorii Doroty, ale też nie miała kontrargumentów. Dorota natomiast rozkręcała się, przytaczając przykłady z własnego życia, z pracy i z osiedla, na którym mieszkała.

– Dorota, idziemy! – Alicja wstała energicznie, przerywając słowotok siostry.

– Jaka ty jesteś nudna – wymamrotała Dorota. – Stamtąd idziemy, stąd idziemy. Ciągłe mnie poganiaasz.

Alicja chciała coś odpowiedzieć, ale uśmiechnęła się tylko w obawie, by na nowo nie rozpocząć jakiegoś tematu, który sprowokowałby Dorotę do dłuższej dyskusji.

\*

Józefina właśnie podlewała rosnące w kuchni sadzonki, kiedy usłyszała rumor i głośne trzaśnięcie drzwiami. Podniesione głosy Alicji i Doroty wskazywały na to, że przydarzyło się coś niedobrego. Natychmiast odłożyła plastikową butelkę z wodą i pobiegła zobaczyć, co się dzieje.

– Klóćcie się? – zapytała, wpadając do salonu, gdzie siostry dyskutowały zaciekle.

– Nie klóćmy się, ciociu – powiedziała Dorota. – Staram się wytłumaczyć Ali, że nie ma co iść na policję po tym, jak wypła wino. Nie jesteśmy pijane, ale mimo wszystko glina może być wyczulony. Poczuję, sprawdzi alkomatem i jeszcze będzie wmawiał, że miałyśmy pijackie zwidy.

– A niby co ten alkomat wykaże? – zapiekliła się Alicja. – Ile wypłam? Dwa kieliszki? Do obiadu przecież, w dodatku kilka godzin temu, już dawno wywiało. I nie krzycz tak, nie chcę, żeby Matylda usłyszała.

– Nie ma Matyldy – uspokoiła ciotka. – Poszła do kotków. A co się stało? Mówcie mi tu natychmiast, jaka policja? Konrad wam co zrobił?

– Jaki Konrad? – Alicja spojrzała na ciotkę zdumiona. – Ach, Konrad – oświeciło ją. – Nie, u niego wszystko w porządku.

– Bardzo miło było – przytaknęła Dorota.

– No to co się stało? – Ciotka była podenerwowana.

– No przecież śledzą nas! – krzyknęła Alicja. – Traktują tu jak zbirów jakichś, podejrzanę!

– Ale o co podejrzanę? – Ciotkę zatchnęło. – Kto was śledzi? Nic nie rozumiem.

– A, żebym to ja rozumiała. – Alicja zaśmiała się nerwowo.

– Policja śledzi, ciociu. Ludzi najęli, żeby Alicję śledzić. I mnie też przy okazji – wyjaśniła pospiesznie Dorota. – I jeszcze tę z Wrocławia, jak jej tam?

– Kaja – dopowiedziała Alicja.

– Jak to policja? Kto? Przecież tu nie ma żadnej policji... Tylko Grzelak... Znaczą się, komendant.

– Tak, on, on! – przytaknęła Alicja.

– Ale dlaczego? Po co?

– Już ja mu dam – wycedziła Alicja. – Matkę z dzieckiem śledzić, posądzać o plany nieczne, o planowanie zbrodni! Niech ja go dorwę w swoje ręce!

– Zbrodni? – Józefina zadrzała. – O czym ty mówisz, dziecko? Dużo wypiliście tego wina?

– No, a nie mówiłam? – zarechotała Dorota. – Jakbyś poszła teraz do komendanta, to zapytałby o to samo.

– Nic nie wypłam! Mogę chuchnąć!

– Uspokój się, Alicja, skąd w ogóle pomysł, że was śledzą?

– Bo nam powiedzieli – wyjaśniła Dorota. – Taki jeden, Jacek. On nas śledził.

– Nic nie rozumiem. – Ciotka bezradnie pokręciła głową. – Poproszę wszystko od początku. I bez nerwów. Może to jakiś żart, niepotrzebnie się denerwujecie. Przecież to niemożliwe. Siadaj, Alicja, i mów.

Alicja posłusznie usiadła. Dorota stanęła przy oknie i dyskretnie się rozejrzała, żeby sprawdzić, czy Jacek nie czai się gdzieś w pobliżu.

– Wracałyśmy z Angel's... – zaczęła Alicja spokojniejszym już głosem. – Po drodze zajrzałyśmy do cukierni, gdzie Marianna żaliła się na Kaškę i Marchewę, które jej dokuczają. Miała trochę pretensji do mnie, że z nimi w ogóle rozmawiam. Pewnie bym nie gadała, ale ten rower... Poza tym one nie zrobiły mi przecież żadnej krzywdy. A że są, jakie są...

– Nieważne, leć dalej – ponagliła siostrę Dorota.

– W każdym razie, idąc już w stronę domu, akurat je spotkałyśmy.

– Kaškę i Marchewę? – upewniła się Józefina.

– Tak. Wracały z lasu ze spaceru z dziećmi. W Dorocie obudził się instynkt Matki Teresy i postanowiła z nimi porozmawiać na temat tej sytuacji z Marianną.

– To też nieważne, leć dalej – niecierpliwiła się Dorota.

– Nie przerywaj mi. Ciocia chciała od początku.

– Ale nie musisz ze wszystkimi szczegółami. – Dorota wywróciła oczami. – Przejdź do sedna.

– No, Dorota trochę je ochrzaniła i nie przebierała w słowach. Atmosfera zrobiła się gęsta. Chciałam ją jakoś rozładować, żeby się nie poobrażały, więc zmieniłam temat i zapytałam o plany wakacyjne. Kaška powiedziała, że wyjeżdża niedługo nad morze, natomiast Marchewa zaczęła utyskiwać, że ona nigdzie się wybiera i nie znosi wakacji, bo znajomi wyjeżdżają i niebawem nie będzie z kim wychodzić na spacer, a jak pójdzie sama, to nie spotka żywej duszy.



– Na co Ala stwierdziła, że tak źle chyba nie będzie – dokończyła Dorota – bo ona nie zauważyła, żeby wieś jakoś nagle zaczęła się wyludniać. Po czym roześmiała się, że właściwie to ona nie jest autorytetem w tym temacie, ponieważ i tak cierpi na syndrom braku tłumu.

– Na co? – zdziwiła się Józefina.

– Syndrom braku tłumu. To teoria Doroty. – Alicja wściekłym wzrokiem spojrzała na siostrę. – Od początku miałam wrażenie, że ktoś za mną łązi. Mówiłam o tym Dorocie, a ona wymyśliła, że brakuje mi tłumu miasta i dlatego mój mózg dorabia wrażenie, że ktoś jest obok.

– Naprawdę o czymś takim słyszałam – broniła się Dorota.

– W każdym razie – kontynuowała Alicja – Kaśka też zapytała, czym jest ten syndrom, więc wytłumaczyłam jej, że mam wrażenie, iż ktoś mnie śledzi. A one wtedy w śmiech, że przecież naprawdę śledzi. Ten cały Jacek. Mówię ci, ciociu, jakby mnie ktoś gromem strzelił. Zaczęło mi się wszystko układać. I odgłosy, które słyszałam, i to, że kilka razy go widziałam, ale skręcał w inną stronę, więc do głowy mi nie przyszło, że mógłby za mną jeździć.

– Ja też go raz widziałam. Pamiętasz, ciociu? To on był w tym rowie, kiedy Ala rozmawiała z Bartkiem.

– Trzeba przyznać, że mimo wszystko potrafił się kamuflować – przyznała Alicja.

– A Kaśka i Marchewa zauważyły i nie powiedziały ci o tym? – dopytywała zdumiona ciotka.

– Podobno zauważyły już jakiś czas temu, ale uznały, że może chłopak się zakochał. On młody, ciociu, osiemnaście czy dziewiętnaście lat! Nie chciały mu popsuć zabawy.

– To może się zakochał naprawdę... – zadumała się ciotka.

– A gdzie tam – parsknęła Dorota. – Nie to, żeby w naszej Ali nie mógł się zakochać młodzik. Tyle że zrobiliśmy na niego zasadzkę, po tym jak dowiedziałyśmy się, że nas śledzi. Pożegnałyśmy się z dziewczynami, a same zaczęłyśmy się w krzakach. Siedziałyśmy tam po cichu z dziesięć minut. W końcu Jacek się wystraszył, że nas zgubił, i zaczął biec. A wtedy my hyc z tych krzaków na niego. Nie miał szans. Musiał się przyznać.

– Dorota powiedziała, że o wszystkim wiemy. Z początku udawał, że nie rozumie, o co chodzi.

– Ale wystarczył sposób – roześmiała się Dorota. – Jak z filmów. Spytałam się go, kto mu płaci i ile. I że dam mu dwa razy więcej za wszystkie informacje.

– No, drogo się nie sprzedał – zachichotała nerwowo Alicja. – Pewnie teraz pluje sobie w brodę, że powiedział prawdę. Przecież gdyby podał wyższą kwotę, to też byś zapłaciła.

– Zapłaciłyście mu? – Józefina otworzyła oczy zdegustowana.

– Honorowa jestem. – Dorota wzruszyła ramionami.

– Tak czy siak wyśpiewał nam wszystko. Powiedział, że zatrudnił go komendant, który jest przekonany, że przyjechałam tu z jakimś tajnym planem popełnienia przestępstwa.

– No co ty, dziecko, opowiadasz? – Ciotka złapała się za głowę. – Grzelak? Toż to do niego wcale niepodobne! Mądry chłop, trzyma w rękę całą wieś. Tu przecie nie ma żadnych przestępstw!

– Nie wiem, ciociu, ale taka jest prawda. Nie sądzę, żeby Jacek kłamał, bo i po co. Przyznał się zresztą, że mu ulżyło, bo też chciałby pojechać na wakacje zamiast za mną łązić.

– Nie do wiary! Grzelak? Cóż mu do głowy strzeliło?

– Właśnie dlatego chciałam do niego iść i to wyjaśnić – powiedziała Alicja.

– Ale odradziłam jej, bo u Konrada piłyśmy wino i chyba lepiej, żeby gliniarzowi w nos nie chuchała.

– Co prawda, to prawda – przyznała ciotka. – On wyczulony jest.

– Jutro pójdę – oznajmiła Alicja.

– Daj spokój, dziecko, jutro niedziela, dzień święty.

W poniedziałek pójdziesz, na spokojnie, nerwy ci odpuszczą. Może to jaka pomyłka. No, cóż mu do głowy strzeliło? – biadoliła ciotka. – Dziewczyny śledzić! Może z nudów... – zastanawiała się głośno. – On ambitny, a tu u nas niewiele się dzieje. Odkąd zamknęli ośrodek wczasowy, nawet burd zbyt wielu nie ma. Ludzie spokojni, pracowici. Niektórzy owszem, piją, ale za kółko nikt po pijaku nie wsiada. Grzelaka się boją. Rowerów też ostatnio nikt nie kradnie, przynajmniej nie słyszałam... Może on z nudów... Co frustracja potrafi zrobić

z człowiekiem... Na mózg musiało mu paść. Albo to pomyłka. Innego wyjścia nie widzę.

Alicja wstała i podeszła do okna. Próbowwała dojrzeć krzaki, w których chował się codziennie Jacek, żeby obserwować dom. W zagajniku, który znajdował się naprzeciwko, takich zarośli było wiele.

– Dobra, w poniedziałek z rana pójde zrobić aferę. – Alicja westchnęła ciężko. – Dziś jestem rzeczywiście zbyt nakręcona, chyba bym mu łeb ukręciła, temu komendantowi. Idę po Matyldę, późno się robi.

– A to nie on, tam po lewej? – Dorota zauważyła czyjąś sylwetkę w oddali.

– Nie, to Czarna Maria – powiedziała. – Do Biblioteki wraca na noc. Biedna kobieta.

Nagle wszystkie trzy spojrzały na siebie. Józefina zmrużyła oczy.

– Myślicie o tym, o czym ja? – spytała.

– Chyba tak. – Alicja się uśmiechnęła, a Dorota przytaknęła poważnie.

\*

Niedzielny poranek nie napawał optymizmem. Siąpił deszcz, a słońce ledwie przebijało się przez chmury. Mimo to Józefina wróciła z kościoła radosna i uśmiechnięta. Otrzepawszy w progu parasolkę, odłożyła ją w sieni i lekkim krokiem weszła do salonu.

Alicja z Dorotą w milczeniu jadły śniadanie.

– O proszę! – zdziwiła się ciotka na ich widok. – Panienki już na nogach?

– Prawie. Dopiero się rozbudzamy – wyjęczała Dorota, starając się nie ziewać. – Najmłodsza jeszcze śpi.

– Trza było wstać jeszcze wcześniej i pójść ze mną do kościoła. Kto to widział, żeby spać niemal do południa i dnia świętego nie święcić.

– Józefina, jak co niedzielę, wyraziła swoje niezadowolenie. –

A żałujcie, żeście nie poszły. Szczególnie ty, Ala. Specjalne podziękowania dla siebie przegapiłaś.

– Podziękowania?

– A jakże! Za kapliczkę ksiądz pochwalił. Ona już skończona?

– Już prawie. – Alicja się ożywiła. – A co mówił? Podoba im się?  
– Jakbyś była, tobyś słyszała. – Ciotka wzruszyła ramionami i sięgnęła po kanapkę.

– Skoro dziękują, to znaczy że się podoba, Ala – wydedukowała Dorota zasparym głosem. – A komendant był?

– Grzelak? Oczywiście! Z całą rodziną. Tyle że siedział przede mną, to jego miny nie widziałam. Ale musiał mieć nietęgą, że jego podejrzana, choć cały czas trudno mi w to uwierzyć – podkreśliła ciotka – jest wyczytywana przez księdza jako uzdolniona letniczka, która nam Maryję pięknie odmalowała.

– Już ja sobie z tym Grzelakiem jutro porozmawiam. Chociaż miałaś rację, Dorota, największe nerwy mi minęły. Ochrzanię go rzeczowo i spokojnie. I oczywiście rzeczowo wdrozę nasz plan „Czarna Maria”.

– Aż żałuję, że mnie przy tym nie będzie – westchnęła Dorota.

– Nie możesz sobie zrobić dnia wolnego? – spytała Alicja.

– Coś ty! – zachnęła się Dorota. – Po awansie? Nie ma mowy! Co prawda stanowisko przejmuję dopiero za miesiąc, ale muszę pokazać, że się nie pomylili co do mnie. Szczególnie że przecież w sierpniu idę na dwutygodniowy, dawno już zaplanowany urlop. Najchętniej bym go przełożyła, właśnie z uwagi na ten awans... Ale Artur...

– Razem jedziecie? – zainteresowała się Alicja.

– Tak. – Dorota się uśmiechnęła. – Do Grecji. Dlatego chcę się uzbroić po zęby w eliksiry, żeby po powrocie z wakacji w końcu mi się oświadczył – powiedziała rozmarzona. – A że teraz każdy weekend będę miała zajęty, aby zdążyć ze wszystkim przed wyjazdem, to nie dam rady już tu przyjechać. À propos, na ten koncert jednak też nie dam rady się wyrwać, więc weź ze sobą Marianne albo kogoś innego. Właśnie, ciociu, nie będę mogła już tutaj wpaść w wakacje, więc gdyby ciocia była taka miła i przelała tego miłosnego eliksirku do jakiejś porządnej buteleczki... – Spojrzała wyczekująco na Józefinę.

– Miłosnego? – upewniła się ciotka. – Czy tego, co ostatnio, na dar przekonywania?

– Tego, co ostatnio, już nie potrzebuję... Chociaż... Ze dwie kropelki by się przydały. Może przekonałabym dzięki temu Artura do

tego i owego...

– Dziecko, ale tych eliksirów nie można mieszać.

– Nie będę mieszać. Raz tego naleję, a raz tamtego. Już moja w tym głowa, żeby wypić w odpowiednim czasie.

– Dorota, przecież jeśli się kochacie, to nie lepiej bez eliksirów? Prędeż czy później się oświadczy. Jeśli kocha... – Alicja zniżyła głos.

– Nie mam cierpliwości – burknęła Dorota. – Poza tym... – zaważała się – no... są sprawy, które muszę u niego przyspieszyć.

– Mówisz o przeprowadzce do Warszawy? – spytała Alicja.

– Między innymi.

– A to on nie z Warszawy? – zainteresowała się ciotka.

– Nie, ciociu – wyjaśniła Alicja. – Z Poznania. Przyjeżdża do naszej Dorotki raz na dwa tygodnie albo i rzadziej.

– Czasem częściej – wtrąciła Dorota.

– W każdym razie jak już przyjedzie, to Dorota kryje go przed światem – prychnęła Alicja. – Spotykają się już od niemal roku, a nie poznali go ani jej znajomi, ani ja, nie mówiąc o rodzicach.

– Przyjdzie na to czas – wymamrotała Dorota.

– No pewnie – zaśmiała się Alicja. – Tyle że każdym poprzednim narzeczonym chwaliłaś się od razu. Na obiad do rodziców wpraszałaś już po miesiącu. A ten...

– Może nie chce zapeszać – wtrąciła ciotka.

– No właśnie – przytaknęła Dorota. – Nie chcę zapeszać.

– E tam, zapeszać. – Alicja skrzywiła brwi. – Nie znasz jej, ciociu.

Gdyby Dorota dostała pierścionek zaręczynowy, cała Warszawa by o tym wiedziała. A tu coś jest nie tak. Myślę, że albo facet jest brzydki i czeka na operację plastyczną – zachichotała. – Albo go w ogóle nie ma. Wymyśliła go sobie i sama w to wierzy.

– Bardzo śmieszne. Nikogo sobie nie wymyśliłam.

– To dlaczego od roku niby to się spotykacie, ale nikt go nie zna? Zawsze z facetem lubiłaś iść a to do klubu, a to do teatru, a to do restauracji. A tu? Siedzicie w domu i nawet nosa nie wychylicie na zewnątrz. Rozumiem, że on rzadko przyjeżdża, jesteście stęsknieni i wolicie spędzać czas w łóżku, ale sama przyznasz, Dorota, że ten wasz układ jest nieco dziwny. Albo coś ściemniasz, albo facet nie istnieje.

– Albo jest żonaty... – wtrąciła ciotka od niechcienia. – I dlatego niechętnie się pokazuje na mieście.

Alicja zamilkła i spojrzała na Dorotę.

– Dorota?

Dorota zastygła, zaskoczona logiką myślenia ciotki.

– Dorota! – Alicja wpatrywała się w siostrę z wyczekiwaniem.

– To nieudane małżeństwo – powiedziała w końcu Dorota, unikając wzroku Alicji. – Jest nieszczęśliwy. Już dawno by się rozwiódł, chciał to zrobić zanim mnie poznał, ale trudno mu podjąć taką decyzję ze względu na dzieci.

– Mają dzieci?! – krzyknęła Alicja.

– Wiedziałam, że tak zareagujesz – warknęła Dorota. – Dlatego nie mówiłam. Ale to nie tak, jak myślisz. Artur jest z nią naprawdę nieszczęśliwy, to małżeństwo to pomyłka. Wzięli ślub, bo Aśka była w ciąży. Potem w drugiej. A on, ponieważ jest odpowiedzialny, został z nią, mimo że jej nie kocha.

– Dobrze sobie – parsknęła Alicja.

Ciotka dyskretnie opuściła salon i poszła do kuchni.

– Poznaliśmy się w pracy – ciągnęła Dorota. – On nie mieszka w Poznaniu, tylko w Warszawie, jest dyrektorem w firmie producenckiej, nasza agencja z nimi współpracuje. Od razu wiedziałam, że jesteśmy sobie pisani. Ala, to nie moja wina, nie rozbiłam jego rodziny, ona już dawno nie istniała.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Bo wiem. To się czuje. Nawet nie wiesz, jaki on jest. Czuły, opiekuńczy... Obiecał, że jeszcze zanim pojedziemy do Grecji, złoży wniosek rozwodowy.

– Dorota... – przerwała Alicja, ale zamilkła. Zabrakło jej słów po tym wszystkim, co właśnie usłyszała.

– Nie musisz nic mówić. Wiem, co sobie myślisz – powiedziała Dorota. – Tylko że nie możesz wszystkich mierzyć swoją miarą i odnosić mojej sytuacji do tego, co ciebie spotkało. Wiem, że zostałam porzucona i wiem, jak bardzo to przeżyłaś. Ale nie możesz porównywać mnie do Anki. Zresztą nie wiesz, jak z nią było... Miłość nie wybiera...

– rzuciła z przekonaniem.

– No pewnie. Od roku jesteś kochanką jakiegoś dupka, który pewnie nawet nie poinformował żony o tym, że zamierza się z nią rozwieść. To ty, Dorota, nie wiesz, jak jest! Prawdopodobnie Artur prowadzi podwójne życie. Tak samo jak Bartek.

– Ale mimo wszystko Bartek w końcu wybrał Ankę... – wymusnęło się Dorocie i natychmiast tego pożałowała. – Przepraszam. Nie chciałam być złośliwa – powiedziała ze skruchą. – Naprawdę, Ala, jest mi bardzo przykro z powodu tego, co stało się w twoim życiu. Ale ja i Artur to zupełnie co innego. My się naprawdę kochamy. A Joanna... No cóż... Nie zazdroszczę jej. Ale zapewniam cię, że Artur i ja zrobimy wszystko, żeby nie czuła się aż tak bardzo pokrzywdzona.

– Słyszysz, co mówisz? – parsknęła histerycznym śmiechem Alicja. – Brak mi słów, Dorota. Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie zamierzam się tłumaczyć – powiedziała Dorota. – Bo ty i tak swoje wiesz. Ale powiem tylko, że ten rok pokazał, zarówno mnie, jak i Arturowi, że pasujemy do siebie pod każdym względem. To, że tak długo zwlekał z rozwodem, było spowodowane tylko tym, że dzieciaki były małe. Franek kończy pięć lat, a Antek od września idzie do przedszkola. Aśka w końcu będzie mogła iść do pracy, więc to też świadczy dobrze o Arturze, że poczekał, aż ona stanie na nogi, zanim ją rzuci.

– Jezu! – Alicja złapała się za głowę. – Dobrze to o nim świadczy? Nie wierzę, że tak uważasz! Dorota! Co się z tobą stało?

– Kocham go, Alicja – wyszeptała Dorota. – Zależy mi na nim. Wiem, że to źle wygląda. Ale przysięgam, nie ja rozbiłam to małżeństwo. Gdyby kochał Aśkę, gdybym miała choć cień wątpliwości, to nie wchodziłabym w ten układ, znasz mnie. Ale nie mogę zrezygnować z miłości, tylko dlatego że...

– Nic więcej nie mów – przerwała Alicja. – Zastanawia mnie jedno... – Zmrużyła oczy. – Skoro tak cię kocha, to dlaczego chcesz posiłkować się eliksirem?

Dorota umilkła, szukając w głowie odpowiedzi, ale kiedy otworzyła usta, do pokoju weszła Matylda, domagając się kanapki z białym serem i dżemem.

Alicja gestem nakazała Dorocie milczenie i zajęła się córką. Mimo

że za oknem się wypogodziło i do pokoju wpływało miękkie słoneczne światło, mimo że Matylda szczebiotała, opowiadając swój niesamowity sen o kotkach, to atmosfera w salonie wciąż była gęsta. Nawet ciotka, która przyniosła z kuchni świeżo zaparzoną kawę i apetyczny, upieczony dzień wcześniej sernik, nie zdołała zniwelować napięcia między siostrami. Wciąż unikały swojego wzroku, a Dorota, choć początkowo planowała wyjechać po obiedzie, nagle przypomniała sobie, że droga jest długa i najlepiej będzie, jeśli wyruszy jeszcze przed południem.

\*

Alicja wolno stąpała pomiędzy krzaczkami jagód, wypatrując najbardziej dorodnych owoców. Koszyk, który wzięła, wciąż był pusty, bo zamiast do niego, jagody trafiały prosto do ust. Żałowała, że Matylda nie dała się namówić na spacer po lesie. Było przyjemnie – niezbyt gorąco i cudownie cicho. Matylda z pewnością wypełniłaby koszyk w błyskawicznym tempie. Córka jednak jak zwykle wybrała popołudnie z koleżankami. Tego dnia miała w planach, razem z innymi dziećmi ze wsi, bawić się na przyszkolnym boisku.

Alicja starała się wyciszyć. Nie chciała wracać myślami do porannej rozmowy z Dorotą, ale trudno było o niej zapomnieć. Siostra wyjechała przybita. Wyznanie, że od roku spotyka się z żonatym mężczyzną, musiało ją wiele kosztować. Jednak argumenty, że miłość nie wybiera, że to nie ona rozbiła rodzinę, zupełnie do Alicji nie przemawiały. Zabrakło czasu i chęci, żeby przetrwać ten temat. Zdaniem Alicji nie był wart dłuższej rozmowy. Dorota przecież i tak nie chciała słuchać. Podobnie zresztą jak Alicja.

W oddali zaświergotał ptak, którego Alicja nie potrafiła rozpoznać, jednak zauroczona wysokim, melodyjnym dźwiękiem, przystanąła, wpatrując się w zalesioną przestrzeń. Wreszcie czuła się sama. Mimo że wciąż, kiedy usłyszała trzaśnięcie gałęzi, oglądała się za siebie, to nie towarzyszyło już jej poczucie czyjejś obecności. Teraz wiedziała, że gałąź ułamała się pod ciężarem jeża lub spłoszonej nornicy.

Mimo porannego deszczu leśne poszycie było suche, niemal przesuszone. Z każdym krokiem słychać było chrzęst igliwia. Alicja przykucnęła i zaczęła zrywać jagody, tym razem wkładając je do



koszyczka. Nieopodal miejsca, w którym była, zauważyła polanę, na której aż niebieściło się od jagód. Zadowolona podniosła się i żwawym krokiem podążyła w tamtym kierunku. Nagle krzyknęła z bólu i przysiadła. Idąc i patrząc wprost przed siebie, nie zauważyła ukrytej w ziemi norki, która okazała się dla niej pułapką. Stopa wykręciła się nienaturalnie i błyskawicznie spuchła.

O Boże, mam nadzieję, że nie jest złamana! – pomyślała w panice Alicja. Przez chwilę siedziała, próbując rozmasować stopę, ale ból tylko się wzmacniał. Nadgarstkiem otarła kilka łez.

Chwyciła za telefon i w pierwszej chwili chciała zadzwonić do ciotki, szybko jednak uznała, że nic to nie da. Staruszka przecież nie przyjdzie na piechotę do lasu i nie pomoże jej stąd wrócić. Telefon na pogotowie odrzuciła od razu, wiedząc, że nawet gdyby zechcieli przyjechać, to ona nie potrafiłaby wytłumaczyć im, gdzie jej szukać. Kaja, która miała samochód, jak na złość nie odbierała.

Po namyśle Alicja wystukała numer Maćka, uznawszy, że może kelner pobiegnie do Marianny, a ona coś już wymyśli.

Okazało się jednak, że Maciek sam postanowił pomóc. Rzucił do słuchawki, że to żaden problem i zaraz pojawi się w lesie.

Rzeczywiście już po dziesięciu minutach dało się słyszeć silnik samochodu, a chwilę później nawoływanie.

– Tu jestem! – odkrzyknęła słabym głosem Alicja. Poczuła, że oprócz nogi zaczęła ją także boleć głowa. – Tu jestem! – Z jej ust wydobył się nieco głośniejszy jęk, a zauważywszy biegnącą w jej stronę postać, odetchnęła z ulgą i przymknawszy oczy, oparła głowę o drzewo. Musiała na sekundę przysnąć ze zmęczenia, ponieważ kiedy się ocknęła, był już przy niej Konrad Legrandow.

– Raczej nie jest złamana, ale warto się upewnić. Idziemy do samochodu – zdecydował Konrad. Nie czekając na odpowiedź, uniósł Alicję.

– Przepraszam – wyjąkała oszołomiona nie tylko tym, z jaką lekkością ją niósł, ale także jego zapachem, którym nagle zapragnęła się otulić. – Dzwoniłam przecież do Maćka, nie chciałam sprawiać kłopotu...

– Maciek nie ma prawa jazdy. – Konrad się uśmiechnął.

– Aaaa... Nie wiedziałam. Tym bardziej przepraszam, że pana zaangażował. Naprawdę, dałabym sobie radę... jakoś... Może jednak pójdę o własnych siłach? – zaproponowała wbrew sobie, ponieważ wcale nie miała ochoty, żeby wypuszczał ją z rąk.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Zaraz będziemy na miejscu. Na szczęście zaparkowałem niedaleko. Nie to żebym się użalał, ale dawno nikogo nie niosłem – roześmiał się. – Wyszedłem z wprawy.

– Tym bardziej mi przykro. – Alicja mimo woli się nadała. Woląaby nie usłyszeć zawołanej uwagi o tym, że jednak nie jest lekka jak piórko. – Jeśli panu za ciężko, to może mnie pan puścić. Naprawdę, dam sobie radę. Już mi lepiej.

– Byłoby mi lżej, gdyby nie tłukła mnie pani tym koszykiem po plecach.

Alicja dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że wciąż zaciska palce prawej ręki na uchwycie koszyka, który rzeczywiście, kiedy obejmowała Konrada, znalazł się na wysokości jego pleców.

Natychmiast zwolniła uchwyt i koszyk wypadł z ręki.

– Nie jest mi już potrzebny – powiedziała zmieszana.

– Tak lepiej – przyznał Konrad. – Teraz mogę panią zanieść i do Wrocławia.

– Dziękuję. Wystarczy, że dojdziemy do samochodu i zawiezie mnie pan do domu.

– Najpierw do lekarza.

– Ale jest niedziela...

– Nie szkodzi. Podjedziemy do miasta.

\*

Środki przeciwbólowe zaczęły działać, a przyniesiona przez pielęgniarkę woda skutecznie ugasiła pragnienie. Alicja, siedząc na wysokim łóżku i czekając na wynik prześwietlenia, poczuła się na tyle dobrze, że dyskretnie usiłowała przejrzeć się w zawieszonym nad umywalką lekarza lusterku. Fryzura pozostawiała wiele do życzenia, dlatego przeczesła ręką włosy, korzystając z tego, że Konrad pochłonięty był odpisywaniem na SMS-a.

– Maciek pyta, co u nas – wyjaśnił i wsunął telefon do kieszeni.

Co u nas – powtórzyła w myślach Alicja i poczuła, jak oblewa ją fala przyjemnego ciepła. Chciała zapytać, co odpisał, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł lekarz, wachlując się zdjęciem stopy Alicji.

– Mam dwie wiadomości. Dobrą i złą – powiedział niskim głosem, patrząc na nich spod opadających na czubek nosa okularów.

– Zacznijmy od dobrej – zaproponował Konrad, podchodząc do łóżka, na którym siedziała Alicja.

– No cóż... Dobra jest taka, że żona będzie żyć. – Lekarz spojrział na Konrada i zaśmiał się chrapliwie.

– A zła?

– A zła jest taka, że... żona będzie żyć. – Doktor ponownie się roześmiał i usiadł przy biurku. – Przepraszam... – wymamrotał, zauważywszy ich zdziwione miny. – Taki żarcik.

Alicja miała ochotę sprostować, że nie jest żoną Konrada, ale powstrzymała się, uznawszy, że lekarza raczej nie interesują ich relacje. Zajęty opisywaniem zdjęcia, wyjaśniał, zwracając się bardziej do Konrada, który siedział bliżej biurka, niż do Alicji, mimo że to ona była stroną zainteresowaną:

– Złamania nie ma. Zwichnięcie pierwszego stopnia. Nic groźnego, obędzie się bez stabilizatora, wystarczy opaska elastyczna i kompresy z lodu, które pomogą zmniejszyć obrzęk. Opuchlizna była spora, ale widać taka pani uroda, bo z mojego punktu widzenia to niewielki uraz i za kilka dni będzie mogła pani hasać. Tylko oczywiście bez szaleństw. W góry niech się pani nie wybiera. No i nie biegać, nie skakać. Tańczyć można, ale tylko przytulańce. – Mrugnął okiem, spojrzawszy na Konrada. – Zapamięta pan?

Konrad przytaknął, starając się ukryć rozweselenie. Alicja natomiast starała się ukryć irytację lekceważącą postawą lekarza.

– Halo, ja tu jestem – powiedziała, machając dłonią. – Może pan zwracać się bezpośrednio do mnie. Rozumiem, co pan mówi.

– Tak, droga pani. – Lekarz westchnął ciężko. – Tylko że wyjdzie pani z gabinetu i zapomni. Już ja was znam, kobiety.

Alicja zaniemówiła, zdumiona postawą lekarza. Przecież te kilka prostych zaleceń nawet dziecko by zapamiętało. Już miała odpowiedzieć,

że jego złośliwa uwaga dotycząca kobiet jest krzywdząca i nie na miejscu, ale czując, że wzmaga w niej złość, powstrzymała się, żeby nie wszczynać niepotrzebnej kłótni. Tym bardziej, że lekarz skończył już wypisywanie karty, a Konrad poderwał się z krzesła, żeby przenieść Alicję na wózek. Niezadowolona, wywróciła oczami na znak, że ten rodzaj transportu jest zbyteczny. Podstawiono go, kiedy tylko dotarli do przychodni, i choć początkowo była szczęśliwa, że aż tak dobrze się nią zaopiekowano, to teraz uznała, że jednak przyjemniej byłoby zostać przeniesioną do samochodu na rękach Konrada.

– Jeśli potrzebują państwo kule, to można je u nas wypożyczyć – poinformował przy pożegnaniu lekarz, kierując te słowa oczywiście do Konrada, który skwapliwie skorzystał z propozycji i zanim Alicja zdążyła zaprotestować, pielęgniarka już wypisywała odpowiedni kwitek.

\*

Józefina była w swoim żywiole, opiekując się Alicją. Zamiast okładów z lodu, zarządziła okładanie opuchniętej kostki kapustą wymiennie z listkami babki. Nawet Matylda zaangażowała się w pomoc i zwołała kolegów, żeby wspólnie nazrywać liści leczniczej rośliny.

Alicja zastanawiała się, czy to jej podświadomość tak działa, czy może metody ciotki rzeczywiście są tak skuteczne, bo już w poniedziałek wieczorem, mimo iż chodzenie wciąż sprawiało jej trudność, to opuchlizna jakby się zmniejszyła, a ból, choć wciąż odczuwalny, nie był aż tak wyraźny, by musiała uśmierzać go proszkami.

Kule, które wypożyczył dla niej Konrad, okazały się bardzo przydatne. Odciążając chorą stopę, poruszała się po domu w miarę sprawnie. Na tyle sprawnie, że postanowiła nazajutrz wybrać się o kulach na posterunek, by wreszcie rozprawić się z Grzelakiem. Z każdym dniem bowiem ta niezalutwiona sprawa coraz bardziej jej ciążyła. Wiedziała, że za kilka dni jej dotychczasowa złość na niego osłabnie na tyle, że w końcu mogłaby mu całkowicie odpuścić. Tym bardziej, że jej myśli coraz częściej biegły w zupełnie innym kierunku... Nawet ciotka zwróciła uwagę, że Alicja po wypadku stała się łagodniejsza, że uśmiecha się sama do siebie, nuci pod nosem, a nawet

żartuje.

– Co oni ci tam wczoraj zaaplikowali w tym szpitalu, dziecko? – zagadnęła przy kolacji. – Rozmarzona chodzisz, jakaś taka nieobecna... Mam nadzieję, że to nie morfina. Aż tak chyba nie bolało?

Alicja spojrzała na ciotkę zaskoczona. Nie zauważyła u siebie zmiany w zachowaniu. Rzeczywiście, co chwila wspominała upadek w lesie, przyjazd Konrada, jego zapach, wizytę w szpitalu. Ale że uśmiecha się, że nuci? Musiała to robić nieświadomie.

– No tak, ciociu, coś mi silnego dali, może jeszcze działa – powiedziała, usiłując przypomnieć sobie, jakie leki dostała. Może ciotka ma rację, że podano jej coś na tyle mocnego, że organizm, nieprzyzwyczajony do takich dawek, zareagował przyjemnym odlotem.

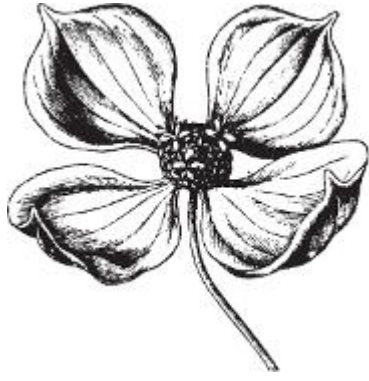
Tuż przed zaśnięciem odkryła, że przyszedł SMS: „Jak Twoje samopoczucie, droga żono? Mam nadzieję, że odpoczywasz. Pamiętaj, że lekarz zabronił szaleństw. Jeśli już koniecznie pragniesz wybrać się na tańce, to tylko ze mną”.

Przeczytawszy go, poczuła, że do krwi dostała się potężna dawka adrenaliny, która przyjemnie kołysze, ale nie pozwala zasnąć. Pół godziny myślała nad odpowiedzią. Chciała odpisać w równie żartobliwym tonie, jednak każdy kolejny pomysł wydawał jej się gorszy od poprzedniego. W końcu, zmęczona wymyślaniem, zdecydowała się za zachowawcze: „Dziękuję, z nogą już lepiej. Alicja”. W ostatniej chwili, kiedy miała już nacisnąć przycisk „wyślij”, zawahała się i wstrzymawszy oddech, dopisała szybko: „PS Bez Ciebie nigdzie się oczywiście nie wybieram”.

Kiedy wysłała wiadomość, serce biło jej jak oszalałe. Nigdy wcześniej nie przeżywała takich emocji z powodu zwykłego SMS-a. Ale też nigdy wcześniej z nikim w ten sposób nie korespondowała.

O Boże, jaka jestem głupia – pomyślała nagle. Przecież on pewnie grzecznościowo napisał, podejmując konwencję narzuconą przez lekarza. A ja denerwuję się, pocę, myślę sobie nie wiadomo co. Jak jakaś durna małolata. Odpisałaś, wysłałaś, nie myśl już o tym. Śpij!

Ale nie mogła zasnąć.



## *Rozdział 16*



Droga wydawała się prosta. Na oko dwa kilometry asfaltem i potem skręcić w prawo i dalej iść jakieś pół kilometra. Cóż to jest, kiedy spaceruje się dla przyjemności. Jednak spacer o kulach okazał się wyzwaniem ponad siły Alicji. Będąc w połowie drogi, żałowała, że nie posłuchała ciotki. Konając ze zmęczenia, wyrzucała sobie niefrasobliwość i głupotę. Dochodziła jedenasta, słońce zaczynało prażyć, a zawieszona przez ramię torba, w której była tylko woda, portfel i telefon, ciążyła niemiłosiernie.

Alicja, przysiadłszy na niewielkim kamieniu, zastanawiała się, czy wracać czy położyć się i umrzeć przy drodze. Jak na złość nie przejeżdżał żaden samochód, który mogłaby zatrzymać i poprosić kierowcę o podwózkę. Stopa zaczęła znów boleć. Po dwóch tabletkach panadolu i dziesięciu minutach odpoczynku ból zelżał i Alicja uznała, że nie ma sensu zawracać.

– Dam radę – powiedziała na głos, żeby dodać sobie sił i podpierając się kulami, wstała z kamienia.

Kiedy dotarła do posterunku, była z siebie dumna. Stopa dawała się we znaki, jednak nie myślała teraz o niej. Ważne, że drzwi były otwarte, a Grzelak w środku.

Zastała go zatopionego w lekturze. Nie zwróciła uwagi na tytuł, ale książka musiała być wciągająca, bo mimo że Alicja pukała, chrząkała, a w końcu powiedziała donośne „dzień dobry”, komendant trwał w bezruchu z półotwartymi ustami i wiele mówiącym, przerażonym spojrzeniem utkwionym w tekście.

Dopiero kiedy chciał przewrócić kartkę, poruszył się i zauważył Alicję.

– Aaaa... – wymamrotał na jej widok, przy czym jego głos przypominał jęk, a ponieważ wzrok miał z początku nieprzytomny, Alicja wywnioskowała, że mężczyzna nie tyle jest zdumiony jej obecnością, ile próbuje powrócić ze świata fikcji do rzeczywistości.

Dała mu kilka sekund, aby się otrząsnął, po czym, usiadłszy na krześle naprzeciwko niego, odstawiła kule, opierając je o biurko i powiedziała:

– Pan wie, kim jestem.

– Nie – szybko odpowiedział Grzelak. – A powinienem? – spytał, udając że wpatruje się w Alicję z zaciekawieniem. Był przygotowany na jej wizytę, bo Jacek przyznał się do tego, że puścił farbę, jednak ponieważ nie pokazywała się przez kilka dni po zajściu, uznał, że odpuściła temat i nie będzie go nękała.

– Proszę nie udawać. Dobrze pan wie, kim jestem i dlaczego tu przyszedłem. To pan zlecił śledzenie mnie i Kai Grochowskiej. A przy okazji mojej siostry i zapewne też kilku innych osób, które mnie odwiedzają, w tym mojego byłego... – zawahała się, nie wiedząc, jakiego słowa użyć – męża.

– Ja?! Co też pani opowiada. – Grzelak odchylił się na krześle i zaśmiał nerwowo. – Czy pani zdaje sobie sprawę, że takie insynuacje w stosunku do policji...

– Proszę pana – przerwała mu z błyskiem w oku – mogłabym powiedzieć to samo. Takie insynuacje, które pan skutecznie w stosunku do obywatela są niedopuszczalne! I proszę się nie wypierać, dobrze pan wie, że mam świadka, który wszystko nam powiedział.

– I uwierzyła pani Jackowi? Przecież to małolat! Wakacje są, chłopak pewnie napił się piwa, zaszalała mu wyobraźnia, a ponieważ już nieraz go goniłem za chłanie i straszylem poprawczakiem, to se wymyślił zemstę... – tłumaczył zaciekle według wcześniej obranego scenariusza, lecz nagle zamilkł, uświadomiwszy sobie, że Alicja nie wymieniła imienia świadka.

Grzelak przełknął ślinę.

– Tak. Bo... no słyzałem co nieco... – powiedział zmieszany. – Wieś mała, plotki szybko się rozchodzą. Już mi ludzie donieśli, że ten Jacek... no, opowiada, że niby ja śledzić kazałem...



– Zostawmy Jacka. – Alicja podniosła rękę w geście uciszenia komendanta. – Nie przyszłam tu po to, żeby się z panem wyklócać. Pomijam fakt, że pomysł śledzenia mnie, w ogóle myśl o tym, że mogłabym być przestępcą, uważam za tak abstrakcyjny i niedorzeczny...

– Aha. Każdy przestępca tak uważa – wtrącił Grzelak, odzyskując rezon.

– Nieważne. Nie zamierzam z panem dyskutować. Tylko pan zna motywy swojego postępowania. Nie wnikam. Ja uważam je za niedorzeczne i pan dobrze wie, że gdybym chciała, mogłabym pociągnąć pana do odpowiedzialności. Ale powstrzymam się, ponieważ pomyślałam, że skoro ma pan aż tyle energii i czasu, żeby zajmować się śledzeniem mnie czy Kai, to może warto byłoby tę pana energię skierować w lepszym kierunku.

– A co pani jest? Mój przełożony? Kierunki mi pani przyszła wyznaczać? – obruszył się Grzelak i przez chwilę Alicja bała się, że z jej planu nici. Ponieważ jednak nie miała nic do stracenia, powiedziała spokojnie:

– Pomyślałam sobie, że skoro wpadł pan na tak abstrakcyjny pomysł dotyczący mnie, to znaczy, że posiada pan nieograniczoną wręcz wyobraźnię...

Grzelak opuścił brwi i spojrzał na nią z zaciekawionym wyrazem twarzy.

– A taka wyobraźnia to nieocenione narzędzie w znajdowaniu niekonwencjonalnych metod pracy związanej z...

– Proszę jaśniej. – Grzelak odchrząknął.

– No cóż. Chodzi o to, że zastanawialiśmy się razem z siostrą i ciocią, u której mieszkam...

– Pani Koperska to pani ciocia? – zdziwił się Grzelak.

– Oczywiście. To pan tego nie wyszedł?

Grzelak zmieszał się, odruchowo sięgając po papierosa, którego jednak nie zapalił.

– No więc – ciągnęła Alicja – zastanawialiśmy się, dlaczego tak inteligentny i z tego, co mówiła ciocia, pracowity i oddany służbie policjant zajmuje się błahostkami, zamiast skoncentrować siły na ważniejszych rzeczach.

– Niby jakich? – wymusnęło się Grzelakowi.

– Ano weźmy taką na przykład Czarną Marię. Wszyscy twierdzą, że to bezdomna. A ja mam przekonanie, że to chora kobieta, która się zagubiła. I że wcale nie ma na imię Maria. Myślę, że ona szuka jakiejś Marii. Może spróbowałby pan właśnie nią się zająć? Może ma jakąś rodzinę? Może ta Maria gdzieś tu niedaleko mieszka? Przecież wystarczy popytać, pan ze swoimi uprawnieniami ma dostęp...

– Oho, myśli pani, że nie mam co robić, tylko zajmować się bezdomnymi? – wszedł w słowo Grzelak.

– Myślę, że teraz, skoro już nie musi mnie pan śledzić, to znalazłby pan czas na zaangażowanie się w pomoc kobiecie, która być może wcale nie jest bezdomna. Może na skutek choroby nie potrafi znaleźć tej Marii. Nie mam pojęcia, może Maria to córka, która też szuka matki.

– To byśmy już dawno wiedzieli, przecież nie żyjemy na odludziu, a policja też nie śpi – powiedział Grzelak z przekonaniem, chociaż w głębi czuł, że kłamie. Od dobrych lat nie przeglądał bazy poszukiwanych i zaginionych. Ba! Nawet nie wiedziałby jak z niej korzystać. Wcześniej zajmował się tym Konirski, zresztą rzadko, ponieważ zaglądali tam tylko w wyjątkowych sytuacjach. We wsi nikt nie zaginął ani też nie było potrzeby nikogo tu szukać. Kilku bezdomnych pojawiało się i odchodziło, jak co roku latem. Czarna Maria jako jedyna zagrzała miejsce na dłużej.

– Wiem – przyznała Alicja po krótkiej chwili. – Ale przecież słyszy się czasem o cudownie odnalezionych ludziach. Może to taki przypadek? Może zdjęcie w bazie było niewyraźne i pan jej nie rozpoznał? – drążyła. – Takie rzeczy przecież się zdarzają.

– Naoglądała się pani filmów – prychnął Grzelak. – A życie to nie film. Ludzie giną z trzech powodów. Albo z własnej woli, a wtedy po co ich szukać? – zapytał filozoficznie. – Albo w wyniku porwania, a tu, sama pani przyzna, o takim przypadku nie mówimy. Albo tracą domy z powodu alkoholizmu albo innych takich. Tracą rodziny. Może to ten przypadek? I może córka, dajmy na to Maria, wcale do mamusi nie chce się przyznawać. A kobieta ma wyjście, może iść do jakiegoś przytułku...

– Nie widzi pan, że ona jest chora? Nie mówi, trudno nawiązać z nią kontakt.

– Może być tak, że uciekła ze szpitala wariatów – zauważył

Grzelak. – Chciałaby pani tam wracać? – zarechotał.

– Mimo wszystko chciałabym prosić, żeby jeszcze raz, tym razem dokładniej, sprawdził pan bazę zaginionych. Tak w ramach przeprosin, których od pana nie usłyszałam – podkreśliła ze złością. – Czarna Maria rzuciła się do wody, żeby uratować moje dziecko – wyjaśniła, patrząc komendantowi w oczy. – Dzięki Bogu nic złego się nie działo, ale jestem przekonana, że zrobiłaby to nawet, gdyby woda była głęboka i nurt silny. Jestem jej winna – zawahała się, próbując znaleźć odpowiednie słowo, bo przysługa nie była tu trafnym określeniem – podziękowania. A pan jest mi winien przeprosiny.

– Nic nie jestem winien – zaperzył się Grzelak. – Już pani mówiłem, że to insynuacje.

Alicja puściła jego uwagę mimo uszu.

– Niech pan sam pomyśli, jaka by to była ogromna radość, gdyby udało się rozwikłać tę sprawę. A pan jaką by miał z tego satysfakcję.

\*

Kiedy wyszła z posterunku, poczuła, że opada z sił. Zarówno fizycznych, jak i psychicznych. Droga powrotna tą samą trasą nie wchodziła w grę. Noga poboлеwała, a słońce grzało już mocno i Alicja uznała, że nawet idąc wolno i z wieloma przerwami, prędzej padnie rażona udarem niż dotrze na miejsce.

Przez chwilę rozglądała się, próbując w myślach odtworzyć topografię wsi. Gdyby poszła w prawo, doszłaby na Rynek. A tam mogłaby przesiedzieć do wieczora w cieniu u Marianny. Albo u Konrada... Nie, lepiej, żeby mnie nie widział w takim stanie – pomyślała, przekonana, że wymęczona spacerem i niełatwą rozmową z Grzelakiem nie prezentuje się zbyt atrakcyjnie.

Spojrzała w lewo. Pół kilometra stąd znajdował się sklep Wojtaszków. Być może Wojtaszek byłby na miejscu i zgodziłby się ją podwieźć do ciotki.

Już miała ruszać w tym kierunku, kiedy olśniła ją myśl, że przecież gdyby okrążyła niewielki staw znajdujący się tuż za posterunkiem i przeszła na skróty przez pole, dotarłaby do domu Kai, która przecież także dysponowała samochodem. Odwróciła się w stronę stawu.

Rzeczywiście, orientację w terenie miała niezłą, ponieważ tuż za około stumetrowej szerokości pasem ugoru bieleł się dom wynajmowany przez koleżankę.

Kiedy dotarła na miejsce, była z siebie naprawdę dumna. Nie sądziła, że przejście przez pole będzie aż tak proste. Spodziewała się raczej, że kule będą się wbijać w zaoraną ziemię. Tymczasem przesuszona i popękana gleba okazała się twarda niczym asfalt. A nawet twardsza, bo asfalt spalony słońcem rozmiękał i dałoby się w nim zauważyć miejsca, które wyżłobiły kule.

Furtka prowadząca do domu była otwarta, a Daisy w towarzystwie innych psów biegała po ulicy, nieograniczona smyczą. Alicję zaniepokoił ten widok. Kaja dotychczas bardzo uważała, żeby suczka nie zapuszczała się poza ogrodzenie, szczególnie teraz, kiedy miała cieczkę. Panicznie bała się, aby jej wypieszczona rasowa pupilka nie zaszła w ciążę z jakimś przypadkowo napotkanym kundlem.

Alicja odgoniła kulami psy i złapała delikatną, lecz wyraźnie zadowoloną z męskiego towarzystwa Daisy, po czym zamknęła furtkę i szybkim krokiem podeszła do drzwi domu. Te także były lekko uchylone, co tylko wzmogło niepokój Alicji. Z wnętrza dobiegał odgłos telewizora i głośny szloch.

– Przynajmniej żyje – powiedziała do siebie Alicja i odetchnęła z ulgą. Niepokój jednak wciąż jej towarzyszył.

Zastała Kaję siedzącą na podłodze przed telewizorem, z butelką wina w ręku. Co chwila pociągała łyk, a po przełknięciu zanosila się łzami.

– Co się dzieje? – spytała przerażona Alicja, nie siląc się na przywitania.

Kaja spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem.

– Oglądam *Miłość w Seattle* – wyjaśniła po chwili zduszonym głosem. – Skąd się tu wzięłaś?

– Stało się coś? – ponowiła pytanie Alicja.

– A co się miało stać? – Kaja z trudem przetykała łyzy.

– Wystraszyłam się! Furtka otwarta, drzwi otwarte, Daisy biega samopas, a ty ryczysz, wspomagając się winem, mimo że dopiero minęło południe.

- Która godzina?
- Piętnaście po pierwszej.
- Wracasz z kapliczki?
- Tak – skłamała Alicja, ponieważ nie miała ochoty tłumaczyć będącej w takim stanie koleżance, dlaczego poszła na posterunek. Tym bardziej że musiałaby jej powiedzieć, iż ona też była śledzona przez Grzelaka. A nie wiadomo jak Kaja, znajdując się pod wyraźnym wpływem wina, zareagowałyby na taką wiadomość.
- Myślałam, że już skończyłaś, wczoraj cię nie było.
- I dlatego pijesz?
- Nie pochlebiaj sobie – prychnęła Kaja, biorąc potężny łyk wina.
- Są o wiele gorsze problemy na świecie niż brak twojej wizyty.
- Domyślam się. Dlatego spytałam, czy coś się stało. Wyglądasz strasznie.
- Nic się nie stało. Oglądam *Miłość w Seattle*.
- I aż tak rozczuliła cię komedia romantyczna? Okeeej...
- Kaja pociągnęła nosem i przytaknęła, ale już po chwili z jej oczu trysnął nowy strumień łez i rozkleiła się na dobre.
- Bo wszystko jest bez sensu, wszystko – łkała, nie patrząc na Alicję, która przysiadła obok i wyjęła z rąk Kai do połowy opróżnioną butelkę.
- Ale co jest bez sensu? – spytała, głaszcząc koleżankę po plecach.
- Wszystko! Nie mam po co żyć!
- O Boże! Co ty mówisz, Kaja?
- Dziewczyna zamilkła na moment, wycierając nos końcówką rękawa. Daisy zaczęła skakać przy niej, nie rozumiejąc, co się dzieje.
- Kaja? – ponowiła pytanie Alicja.
- Jesteś moją przyjaciółką? – spytała nagle Kaja poważnym głosem.
- Alicja znieruchomiała. Nie uważała się za przyjaciółkę Kai, co najwyżej koleżankę z wakacji, ale w obliczu jej obecnego stanu bała się zaprzeczyć, dlatego przytaknęła. Kaja znowu pociągnęła nosem i ponownie wytarła go o rękaw.
- Już nie mogę wytrzymać tego napięcia – przyznała dramatycznie.
- Jestem skończona. I towarzysko, i finansowo. Rozumiesz?

Alicja nie rozumiała, ale taktownie milczała, widząc, że Kaja zadała pytanie, nie oczekując odpowiedzi.

Koleżanka wyłączyła telewizor i wciąż szlochając, zaczęła tłumaczyć, dlaczego tak naprawdę przyjechała do Polanki. Z jej opowieści wynikało, że rok temu poznała naprawdę, ale to naprawdę (co kilkakrotnie z naciskiem podkreślała) przystojnego czterdziestoletniego biznesmena. Nie dość żeby przystojny, to jeszcze uroczy, szarmancki, a do tego bogaty. „Ideal faceta, mówię ci” – zanosila się płaczem, opowiadając Alicji o swojej miłości. Oświadczył się jej już po miesiącu znajomości, co nawet jej nie zdziwiło, ponieważ od pierwszej randki powtarzał, że czuje do Kai coś, czego nie czuł nigdy do żadnej kobiety i serce mu mówi, że to właśnie jest ta prawdziwa, jedyna i niepowtarzalna miłość. Był szalony i niecierpliwy, co Kai imponowało, bo dzięki tym jego cechom miała okazję zniemacka wyskoczyć do Paryża na kolację albo pływać się w kąpeli pełnej różanych płatków i szampana. To było coś.

Oczywiście pochwaliła się Filipem (bo tak miał na imię jej Romeo) wszystkim przyjaciółkom, koleżankom i znajomym, nie wyłączając bliższej i dalszej rodziny, a także wrogów w postaci byłych przyjaciółek, które – była o tym przekonana – czekały tylko na jakieś potknięcie. Dlatego kiedy Romeo się oświadczył, bez wahania przyjęła olbrzymi diament, ponieważ i jej zależało na szybkiej finalizacji ich związku. Oczami wyobraźni widziała już bajeczną suknię i wytwornie zastawione, koniecznie okrągłe stoły. I te artykuły na ostatnich stronach kolorowych magazynów, w towarzyskich rubrykach, że to był najpiękniejszy ślub dekady. Ona – wrocławska księżniczka przemysłu urodowego (była właścicielką dużego salonu piękności) i on – księżę z bajki, który przyjechał tylko na chwilę z Włoch (tam był właścicielem kilku winnic oraz jednego hotelu) na wakacje do rodzinnego kraju, ale został we Wrocławiu ze względu na nią. Cóż za romantyczna historia.

Przygotowania do ślubu ruszyły pełną parą. Ona się w nie zaangażowała, ponieważ on musiał załatwiać interesy. Wpadał do Wrocławia tylko na weekendy. I właśnie podczas któregoś z tych weekendów otrzymał telefon (leżeli akurat w łóżku, popijając białe wino), że trafia się niebывала okazja kupienia hotelu wraz z olbrzymią

połacią ziemi w Polsce. Świetna lokalizacja. Nad jeziorem. Ledwie godzinka drogi od Wrocławia. Jest dwóch zainteresowanych, trzeba się spieszyć. Romeo wiedział, że to niebывały dar losu, ponieważ dzięki temu mógłby przenieść się do Polski i Kaja nie musiałaby rezygnować z własnych ambicji. Tylko że inwestycja wymagała środków, którymi w tej chwili akurat nie dysponował („Kupiłem kolejne dwie winnice” – tłumaczył zasmucony. – „Ech, cofnąłbym te transakcje, gdybym wcześniej wiedział o tej okazji w Polsce”). Kaja miała na to radę – własne oszczędności. Nie była biedna, salon urody prosperował znakomicie. Fundusze w banku w wysokości prawie miliona leżały i gniły, jak to określiła. A przecież mogłyby pracować na ich wspólne dobro. Romeo nie chciał się zgodzić, wszak to on był mężczyzną, miał być głową rodziny. „Zostaw sobie ten milion na sukienki” – tłumaczył. – „Ja coś wymyślę”. Ale Kaja się upierała. Wszak skoro on chciał, żeby za milion kupiła sobie sukienek, to czy ona nie mogłaby tego miliona zainwestować w coś, co i jemu się przyda? „Za miesiąc będziemy małżeństwem” – nalegała. „Co jest moje, będzie twoje” – mówiła z miłością, licząc, że mimo wszystko to ona więcej zyska na takim podziale. Wszak cóż znaczy milion w obliczu miliardów, które ulokowane zostały w winnicach i włoskim hotelu. Romeo z oporem zgodził się w końcu na pomoc. Zaproponował jednak, aby nie czuła się wykorzystana, że umowa kupna ziemi zostanie podpisana przez nią. I to ona będzie pełnoprawną właścicielką tych wszystkich hektarów. Zgodziła się, doceniając wspaniałomyślny gest z jego strony.

Alicja wysłuchiwała zwierzeń z oczami wielkimi jak spodki. Była pod wrażeniem, do tej pory myślała, że takie historie zdarzają się tylko w filmach czy na kartach książek. Tymczasem Kaja, o ile nie zmyślała, opowiadała jej właśnie jedną z najbardziej romantycznych historii, jakie Alicja kiedykolwiek słyszała. Koleżanka zamilkła na chwilę, oddając się wspomnieniom. Było widać, że bardzo to przeżywa, że nawet opowiadanie, choć mówiła bez przerwy, sprawia jej trudność. Emocje wylewały się niemal każdym porą jej ciała. Jeśli akurat nie szlochała, to cedziła słowa przez zaciśnięte wargi, jakby mówienie sprawiało jej ból. Alicja wyczekiwała cierpliwie na dalszy ciąg opowieści, chociaż w głębi duszy, wiedząc już przecież, że ta historia nie doczekała się

happy endu, bała się tego, co usłyszy.

Ponieważ Kaja milczała już dość długo, Alicja odważyła się zadać pytanie.

– I co się stało? Kaja? – Przełknęła ślinę, ponieważ Kaja spojrzała na nią pełnym bólu wzrokiem.

– No, co się stało? – powtórzyła machinalnie Kaja. – Miało być tak cudownie. Mieliliśmy żyć długo i szczęśliwie. Jak w bajce. Ale bajki, moja droga, nie istnieją.

– Co się stało? On umarł?

– Kto?

– Romeo. To znaczy Filip...

– Och, byłoby wspaniale zobaczyć go martwego! – Żrenice Kai zwięziły się złowrogo. – Jeszcze bym go przydusiła, żeby mieć pewność, że nie wstanie. Rozgniotłabym jak karalucha to jego jabłko Adama, które wesoło podskakiwało, kiedy roztaczał przede mną wizję bajkowej przyszłości.

– Nie rozumiem...

– A co tu jest do rozumienia? To, że jestem głupią pindą, która dała się omamić pieprzonemu oszustowi? To, że kupiłam za niemal milion pieprzony kawał lasu?! – Po łzach Kai nie było już śladu, teraz krzyczała niczym rozwścieczona Furia.

– Jak to?

– A tak to. Wyruchał mnie jak jakąś pierwszą lepszą napaloną idiotkę. Przy pomocy podstawionego kolegi sprzedał mi las. Kuuurwa... – płacząco jęknęła Kaja. – Właśnie ten, który widać z balkonu. Możesz wejść na piętro i go sobie obejrzeć. Miał być hotel. Dupa, nie hotel. Jest, owszem, postkomunistyczny, opuszczony ośrodek, który może by się i dało odremontować, ale stoi nie na mojej ziemi! W dodatku, jak się dowiedziałam w gminie, kilku przedsiębiorczych ludzi ze wsi, tak, z tej pieprzonej wsi, w której ugrzęzłam, zawiązało spółkę i kupili ten ośrodek już jakiś czas temu. Czekają teraz tylko na środki, żeby go odpicować i uruchomić.

– O Boże – westchnęła Alicja. – Ale nie da się nic zrobić? Nie możesz pójść do sądu? Przecież to oszustwo – spytała naiwnie.

– Jakie oszustwo? Byłam świadoma, co kupowałam. Wszystko



odbyło się zgodnie z prawem.

– Ale przecież miał być hotel...

– Miał. Sra! Gdybym nie myślała wtedy dupą, to teraz siedziałabym we Wrocławiu i sprawdzała odsetki od mojego miliona na koncie! Ale wtedy nawet się nie wczytywałam w papiery. Nie było czasu tu przyjeżdżać, wszystko działało się tak szybko. Pokazał mi, owszem, zdjęcia w Google Maps. Z lotu ptaka. Widziałam budynek, jezioro. Widziałam też las. I nawet się cieszyłam, że takie wspaniałe otoczenie dla hotelu. Kuuurwa. Myślisz, że przeglądałam te kwity? Że umowę przeczytałam? A gdzie tam. Gdyby dał mi cyrograf do podpisania własną krwią, to też bym się nie zawahała. Kochałaś kiedyś tak nieprzytomnie? – spytała z oczami ponownie pełnymi łez.

– No, ja na szczęście nie mam miliona na koncie – odpowiedziała wymijająco Alicja.

– Czy ty wiesz, co ja przeżyłam, kiedy zjawiłam się w kościele, a jego nie było? – Kaja przełknęła łzy, głos ugrzązł jej w gardle.

Alicja litościwie podała jej butelkę z winem.

– Nawet nie chce mi się mówić – wychrypiała koleżanka po dłuższej chwili. – Zapewniam cię, że wszystko, co się później działo, było jak z najgorszego snu, nie chciałybyś tego przeżywać. Aż dziw, że nie skoczyłam do Odry. Właściwie trzymała mnie wtedy i trzyma teraz chęć zemsty. Chcę jemu, a przede wszystkim sobie, pokazać, że potrafię tę porażkę przekuć w sukces. Że wrócę do Wrocławia z tarczą i znikną te wszystkie uśmiešky z twarzy moich koleżanek. A on udławi się tym milionem, kiedy usłyszy, że ziemia była warta o wiele więcej.

– Masz z nim jakiś kontakt?

– A skąd. Upłynnił się razem z pieniędzmi. Szukaj wiatru w polu. Ale jestem pewna, że dowie się, kiedy wrócę do Wrocławia. Tacy jak on lubią chępić się swoimi ofiarami, więc z pewnością będzie chciał zobaczyć jak bardzo mnie zniszczył. Obiecałam sobie, że tego nie doczeka. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

– Ale jak chcesz to zrobić?

– No właśnie. I tu jest problem. – Kaja upiła łyk wina i jej hardy ton głosu ponownie zamienił się w jękliwy płacz. – Nie wiem. Teraz nic już nie wiem – załkała. – Powiedziałam w firmie, że wyjeżdżam do

Toskanii. A przyjechałam tutaj. Wynajęłam ten dom, żeby mieć widok na las. Stwierdziłam, że będę się w niego wpatrywać tak długo, aż wpadnę na pomysł, co zrobić, żeby sprzedać go za dwie albo trzy bańki. Ale nie wpadłam. Próbowałam już wszystkiego. Nawet chciałam przekupić urzędników, żeby pozwolili go wykarczować i przerobić grunty na budowlane. Przecież gdyby podzielić tę ziemię na mniejsze działki i sprzedać pod zabudowę, to kupiłoby pół Wrocławia, stawialiby swoje wille nad jeziorem. Byłaby korzyść i dla wsi...

– Nie zgodzili się? – spytała retorycznie Alicja, na co Kaja zmierzyła ją takim wzrokiem, że wołała już o nic nie pytać.

– Miałam też pomysł, żeby... A, nieważne. – Kaja westchnęła i pociągnęła łyk wina. – Nic nie da się zrobić. Nic. Straciłam milion, reputację, o miłości nawet nie chcę myśleć, bo przecież wcale jej nie miałam.

– Ale przecież masz firmę, jesteś młoda, odkujesz się – próbowała pocieszać Alicja.

– Nie rozumiesz, że zrobiłam z siebie pośmiewisko? Tego się nie da naprawić! Nie mogę wrócić do Wrocławia ot tak. Nie wytrzymam tych pogardliwych spojrzeń i szeptów za plecami.

– Masz pierścionek! – ożywiła się nagle Alicja. – Wspominałaś, że to duży diament, może uda się go sprzedać?

– Kiedy facet ci się oświadcza i daje pierścionek – wycedziła wolno Kaja – to zawsze dopominaj się o certyfikat. Bo w przeciwnym razie może się okazać, że błyskotka...

– Nie mów!

Kaja machnęła ręką i przechyliła butelkę. Oczy jej błyszczały ni to z zastygniętych łez, ni to z alkoholowego upojenia. Znów zaczęła chlipać. Tym razem rzewniej i nieco ciszej, ale na tyle intensywnie, że Alicję przechodził dreszcz. Nie miała pomysłu, jak mogłaby pomóc koleżance. Jedyne, co jej wpadało do głowy, to głaskanie i szeptanie, że wszystko będzie dobrze.

Kaja podniosła głowę i otarła opuchnięte powieki.

– Nic nie będzie dobrze – powtarzała jak mantrę.

Alicja wstała i nie zważając na pobolewającą nogę, podeszła bez pomocy kul do okna. Stąd nie było widać lasu. Przesłaniały go inne

domy. Jednak był gdzieś tam, zapewne przyjemny i pachnący. Wart obecnie milion, bo przecież każda rzecz jest warta tyle, ile ktoś skłonny jest za nią zapłacić – przypomniała sobie słowa Bartka i ogarnęło ją ciepłe uczucie, że mimo wszystko miłość, która jej się przytrafiła, choć także nie doczekała *happy endu*, to jednak była tańsza.

– Kaja! – krzyknęła nagle, odwracając się do pogrążonej w smutku koleżanki. – Nie ma co użalać się nad sobą i płakać! Wstawaj, weź prysznic, ogarnij się i idziemy! – Uznała, że spacer na świeżym powietrzu pozwoli Kai odnaleźć lepszą perspektywę, odświeży umysł i sprawi, że negatywne myśli odejdą w zapomnienie.

– Ale dokąd?

– Nie pytaj, tylko rób, co każe. Najpierw prysznic, potem ubranie. Nie możesz wyjść w tych zasmarkanych ciuchach.

Kaja nie pytała o nic więcej. Najwyraźniej potrzebny jej był taki kop. Poszła posłusznie pod prysznic, a następnie ubrała się w świeże lniane spodnie i lekki top odsłaniający jej apetyczny biust. Włosy umyła i uczesała. Równa grzywka trafiła na swoje miejsce. Chociaż cały czas była opuchnięta i smutna, to wyglądała teraz o niebo lepiej niż jeszcze pół godziny wcześniej.

Alicja zarządziła, że pojedą samochodem i poprosiła Kaję o kluczyki. Wrzuciła do bagażnika kule, o które Kaja ani razu nie zapytała, wsadziła Daisy na tylne siedzenie, a Kaję upchnęła na fotel pasażera z przodu i przypięła pasem.

– Jedziemy – powiedziała z uśmiechem, ciesząc się, że to automat, więc nie będzie musiała angażować lewej, chorej nogi. Co prawda dawno nie prowadziła samochodu, jednak, jak powtarzał zawsze jej ojciec, takich umiejętności nigdy się nie zapomina. A przy automatycznej skrzyni biegów, którą miała okazję przećwiczyć w jego nissanie, to już w ogóle bułka z masłem nawet i po kilku latach nieprowadzenia auta.

Kiedy dojechały do lasu i Alicja zaparkowała pod opuszczonym ośrodkiem wczasowym, Kaja nie ukrywała zdumienia.

– Po co mnie tu przywiozłaś? Chcesz mnie dręczyć? Policzymy drzewa i wycenimy, ile każde z nich jest warte? Już to robiłam.

– Nie. Chcę, żebyśmy zrobiły sobie przyjemny spacer. Wsiadaj.

Pokaż mi swój las.

– Sorry, ale jakoś nie mam ochoty.

– Wsiadaj. – Alicja wyjęła z bagażnika kule.

– A tobie co? – zainteresowała się nagle Kaja.

– Nic takiego, zwichnięcie. – Alicja wzruszyła ramionami. –

Wychodź.

Kaja niechętnie wywlokła się z samochodu. Za nią wyskoczyła uradowana wolnością Daisy.

Powoli przeszły w stronę lasu.

– Sama zobacz, jak tu cudnie – westchnęła Alicja, kiedy znalazły się pośród drzew. – Jak pachnie, jak ptaki śpiewają. Jak wspaniale migocze tafla jeziora. To naprawdę piękne miejsce, Kaja. Może pogadać z urzędnikami, czy można by tu było zrobić na przykład pole namiotowe? Przecież są polany, byłoby gdzie się rozbijać. Na pewno znalazłabyś chętnych.

– Dobrze sobie – prychnęła Kaja. – Harcerzy za pięć złotych od łebka.

– To tylko pomysł. Po to tu jesteśmy. Co dwie głowy to nie jedna. A może park linowy?

– To jest myśl – ożywiła się Kaja. – Tyle że kolejna inwestycja, a na to mnie nie stać – zmarkotniała.

Alicja myślała intensywnie, rozglądając się wokoło w poszukiwaniu inspiracji. Szły wolno, nie rozmawiając, każda pogrążona we własnych myślach. Tylko Daisy, rozochociona przestrzenią, biegała jak szalona między drzewami, wpychając delikatny nosek w napotkane jamki, poszukując zapewne kompanów do zabaw.

– Daisy! – krzyknęła Kaja, dostrzegłszy, że suczka intensywnie kopie, poszerzając jakiś otwór. – Zostaw! Ubrudzisz się!

Ale psina nie reagowała na jej krzyki, z radością wpychając łebek w coraz większą norę w ziemi.

– Daisy! – Zirytowana Kaja podbiegła bliżej i kucnąwszy, zaczęła odciągać psa. – Niedobra mała. Co ci mówiłam? – tłumaczyła jak dziecku, z czułością. – Cała jesteś zakurzona. Brzydki piesek, be. Zobacz, jaka jesteś brudna! Alicja! – krzyknęła nagle. – Chodź tu szybko!

Alicja, która odeszła już spory kawał, cofnęła się na ten krzyk i dokuśtykała do wciąż kucającej Kai.

– Patrz – skinęła głową koleżanka, wskazując na trzymaną w palcach grudkę ziemi, nieco rozszarpaną już przez pazury Daisy.

– Co?

– Czy to ci czegoś nie przypomina?

Alicja nachyliła się bardziej i przyjrzała obiektowi, który teraz kojarzył jej się z kamieniem o nieregularnych kształtach. Kaja podniosła go do nosa i powąchała. Z błyskiem oku spojrzała na Alicję i uśmiechnęła się.

– Pachnie torfem. Jak nic, moja ukochana, cudowna Daisy znalazła właśnie trufkę. Alicja! – Kaja spojrzała już nie tylko z błyskiem, ale całą roziskrzoną baterią petard w oczach. Natychmiast otrzeźwiała, a jej umysł zaczął pracować na wysokich obrotach.

– Jeśli to jest trufla, a wszystko na to wskazuje – powiedziała rzeczowo – to znaczy, że gdzieś tu jest grzybnia. A zatem jest ich więcej. Może nawet cały las – zapaliła się.

– Ale trufle chyba nie występują w Polsce – powiedziała z wahaniem Alicja.

– A kto tak powiedział? Oczywiście, że są, tylko trudno je znaleźć. Sama kiedyś słyszałam, że jakiś rolnik ze wsi pod Opolem... Ty, a jak daleko tu jest do Opola? Przecież to wcale niedaleko. Ala, to całkiem możliwe, że jak on znalazł kilka, to u mnie może być całe złożo. W moim lesie! Ty wiesz, ile trufle są warte? Ala! – Oczy Kai błyszczały teraz niczym rozżarzone gwiazdy. – Mój las! – krzyczała. – Las za milion, ale okazja! – Roześmiała się w głos. – To się dupek wkurzy, kiedy się dowie, że siedzę na truflach!

– Ale ona są chyba pod ochroną...

– W dupie tam z ochroną. Przecież to mój las. Co mi zrobią? Tylko, Ala... – Kaja spojrzała na nią poważnie – nikomu ani mru-mru, rozumiesz? Taka informacja nie może wyjść poza nas dwie, dopóki nie przemyślamy sprawy. To za droga impreza, żeby mi tu miały nocą biegać jakieś chłopy i grabić teren. Nikt się nie może dowiedzieć o naszym znalezisku.

– Oczywiście – zapewniła Alicja. – Przecież nikomu nie

wypaplam.

– Będę musiała wszystko ogrodzić. Cholera, to kawał lasu, ile to będzie kosztowało... – Kaja liczyła w myślach. – No i zatrudnić jakieś świnię.

– Kaja, opanuj się, rozumiem, że jesteś podekscytowana, ale nie możesz tak mówić o ludziach, którzy będą dla ciebie pracowali.

– Nie o ludziach mówię! O świniach. Są najlepsze w poszukiwaniu truflí, czytałam. Tak samo jak psy, ale odpowiednia rasa kosztuje, a świnię są zdecydowanie tańsze i pod ręką. Przecież tu na wsi na pewno ktoś hoduje. Zatrudnię wszystkie świnię ze wsi!

– Jesteś pewna, że to jest trufla? – Alicja wzięła z rąk Kai grudkę i przyglądała się jej uważnie.

– Na dziewięćdziesiąt procent. Chociaż... Na żywo, tak prosto z ziemi, to nie widziałam. Cholera, masz rację, warto się upewnić. Tylko jak? Przecież jak zaniosę tę truflę do ekspertyzy, to zaczną wypytywać, skąd ją mam. Może do jakiegoś kucharza zanieść? Tylko to też ryzyko, że wypapla. Musiałby być zaufany.

– Znam takiego. – Alicja uśmiechnęła się, oddając truflę Kai. – Możemy podjechać jutro i sprawdzimy.

– A to daleko?

– Tu, w Polance. Znam kucharza z Angel's. Jest zaufany.

– Jest jakaś restauracja we wsi? Żartujesz?

Alicja spojrzała na Kaję z wyrzutem. Była pewna, że mówiła jej o Angel's i całej akcji, którą prowadziły z Dorotą, ale po chwili uświadomiła sobie, że rzeczywiście nie wspominała o tym, na tyle pochłonięta ostatnimi czasy odnawianiem kapliczki, że podczas krótkich spotkań z Kają dzieliła się z nią głównie tym tematem.

– Coś mi się zdaje, że w wiejskiej knajpie to co najwyżej maślaka mogliby rozpoznać. – Kaja zmarszczyła nos i uśmiechnęła się kąśliwie.

– Mylisz się.

\*

Serce Alicji zaczęło bić mocniej, a pod mostkiem poczuła rozlewające się ciepło, kiedy wchodziły do Angel's. Kaja, zapewniona przez Alicję, że restauracja nie jest wiejską chatą, ale knajpą

z prawdziwego zdarzenia założoną przez światowej sławy jazzmana, zażądała, żeby pojechać tam zaraz, natychmiast.

Alicja nie chciała. Woląca zawitać w Angel's świeża, ładnie ubrana i uczesana, a przede wszystkim nie o kulach, które sprawiały, że jej sylwetka była nienaturalnie zgarbiona i niższa niż w rzeczywistości. Przekonywała koleżankę, że nie należy się spieszyć, warto odczekać chociaż jeden dzień, żeby emocje opadły i pokazać truflę na chłodno. Kaja jednak nie chciała czekać. Była na tyle podniecona wizją własnej polany pełnej truflí, że pragnęła jak najszybciej uzyskać potwierdzenie, że to rzeczywiście te najszlachetniejsze grzyby, i móc wcielić w życie plan zarabiania milionów. Błagała i jęczała na tyle skutecznie, że Alicja w końcu się poddała i pojechały do Angel's

Konrada nie było, co tylko częściowo uspokoiło Alicję. Mimo że ucieszyła się, iż nie zobaczy jej w takim niezbyt atrakcyjnym wydaniu, to w głębi duszy poczuła rozczarowanie. Jego nieobecność mogła znaczyć, że już wyjechał i niekoniecznie jeszcze wpadnie tego lata do Polanki.

Przywitawszy się z Maćkiem, miała ochotę zapytać o Konrada, ale powstrzymała się, w obawie, że kelner wyczuje jej intencje, a co gorsza usłyszy bijące jak młot serce.

– Tylko pamiętaj, żeby nie wydać, gdzie jest las – przypominała Kaja szeptem, kiedy Alicja prowadziła ją w stronę kuchni, skąd dobiegały apetyczne zapachy. Przy stoliku nieopodal baru siedziało dwóch młodych mężczyzn pochłoniętych rozmową i to zapewne dla nich Darek przygotowywał zamówienie.

Alicja z Kają odczekały, aż kucharz przyrządzi dania i kiedy Maciek zaniósł je do stolika, Ala konspiracyjnym szeptem wywołała Darka z kuchni.

– Mam prośbę – powiedziała, przedstawivszy Kaję. – Kłócimy się właśnie, bo Kaja twierdzi, że to trufla. A przecież truflie w Polsce nie występują. Może to purchawka albo jeszcze coś innego? Mógłbyś spojrzeć?

Darek obejrzał grudkę, ponaciskał, powąchał, po czym naciął nożem i dotknął językiem.

– Trufla. Skąd to macie?

– Kupiłam w Opolu. Od rolnika – powiedziała bez zająknięcia Kaja. – Sos chciałam zrobić.

– Od rolnika? – zdziwił się Darek.

– Też nas to zdziwiło, dlatego wolałam się upewnić, czy aby nie oszukał – wyjaśniła Alicja. – Jesteś pewien, że to trufla?

– Trufla. A ile zapłaciłaś? – spytał Kaję zaciekawiony, oddając jej truflę.

Nie była przygotowana na to pytanie, nie miała pojęcia, ile mogłaby kosztować taka trufla, dlatego zmarszczyła nos i przez chwilę udawała, że się zastanawia.

– Kupowałam u niego kilka rzeczy – powiedziała, mrużąc oczy, żeby wyglądało, że stara się sobie przypomnieć. – Pół kilo jabłek, truskawki... No i tę truflę. W sumie zapłaciłam stówę.

– Niewiarygodne – przyznał Darek. – Rolnik z Opola handluje truflami... – Zamyślił się. – Dużo ich miał?

Kaja poczuła, że pytania stają się niewygodne i uszczypnęła Alicję dyskretnie w kolano na znak, że najwyższy czas się zawijać.

– Nie przyglądałam się – powiedziała z ociąganiem. – Byłam w Opolu przejazdem, facet stał przy drodze, zachciało mi się truskawek. Ale że tak mnie zachęcał, że świeże truflę... No wiesz, ja tam się nie znam. Nie wiedziałam, że w Polsce ich nie ma. Może skądś przywiózł...

– No raczej w ogródku nie znalazł – zarechotał Maciek, przysłuchujący się rozmowie.

– Musimy lecieć – powiedziała Kaja, uśmiechając się do Darka. – Obiecałam Alicji obiadek. Makaron w sosie truflowym. Dziękujemy za pomoc.

Podchodziły już do samochodu, kiedy tuż przed nimi zatrzymało się granatowe audi i wysiadł z niego Konrad. Na widok Alicji twarz wyraźnie mu pojaśniała, uwydatniając w uśmiechu urocze dołki w policzkach.

– Dzień dobry! – przywitał się, podając rękę. – Byłyście w Angel's? – spytał, kiwnąwszy głową do Kai.

– Tak. Miałyśmy sprawę do kucharza – wyjaśniła Alicja, starając się, aby jej głos brzmiał naturalnie. Nie było to łatwe, ponieważ w środku drżała. Dotyk dłoni Konrada, jego zapach i uśmiech



wywoływał u niej niezrozumiałe uczucie ściśnięcia w żołądku. – To jest Kaja – przedstawiła koleżankę.

– Kaja Poznańska. – Dziewczyna podała rękę z dużą pewnością siebie, której Alicja natychmiast jej pozazdrościła. Mimo że koleżanka wyglądała równie załośnie co ona, nieumalowana, nieubrana wyjściowo, w dodatku z widoczną pod oczami opuchlizną, to jednak nie dawała po sobie poznać, że coś jest nie tak. Przywitała się z szelmowskim uśmiechem, niemal puszczając zalotnie oko do Konrada.

– Konrad Legrandow. Miło mi. – Konrad odwzajemnił uśmiech i uściśnął dłoń Kai, po czym jego wzrok znowu spoczął na Alicji, a spojrzenie stało się miękkie i pełne czułości, co Alicja zauważyła, ale natychmiast wytłumaczyła sobie, że to z powodu jej nogi.

Grzecznościowa troska, miło z jego strony...

– Jak noga? – zapytał, jakby na potwierdzenie jej myśli.

– Coraz lepiej.

– To kiedy idziemy na tańce? – zażartował.

Alicja w odpowiedzi skrzywiła się w uśmiechu, co miało być wyrazem jej rozbawienia, jednak później, kiedy analizowała tę sytuację w domu, zamartwiała się, czy ów krzywy uśmiech nie został odebrany przez Konrada jako manifestacja znudzenia. Bo kiedy próbowała powtórzyć go przed lustrem, zamiast naturalnego, nieco kpiącego w zamiarze uśmiechu, wychodził grymas, niewiele mający wspólnego z radością czy filuterną odpowiedzią na żart o tańcach.

– Kto to był? – spytała Kaja, sadowiac się na siedzeniu pasażera. Daisy, którą na czas wizyty w restauracji zostawiły w samochodzie, natychmiast wskoczyła na kolana swojej pani, liżąc ją po policzku.

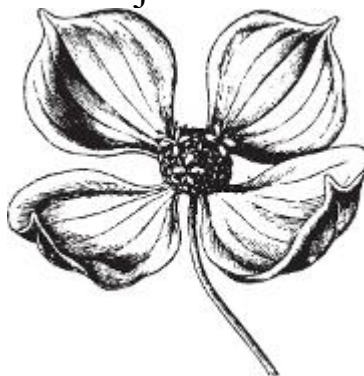
– Konrad Legrandow. Jest właścicielem Angel's.

– No coś ty, mówiłaś, że to jakiś jazzman, myślałam, że jest starszy. A ten... Hmm, niezłe ciacho – powiedziała z uznaniem.

Alicja zacisnęła wargi, nie komentując ostatniej uwagi.

– Mówiłam o jego ojcu, Wiktorze Legrandzie. To on założył Angel's. Niestety, nie żyje. Konrad odziedziczył restaurację. Na co dzień mieszka we Wrocławiu – wyjaśniła Alicja, ruszając. W lusterku wciąż widziała uśmiechniętą twarz Konrada, który stał przy swoim aucie i patrzył za nimi.

- Co ty powiesz, we Wrocławiu? A co tam robi?
- Nie wiem, ma jakąś firmę. Komputery czy coś.
- Hmm... Ile ma lat? – dopytywała Kaja, a Alicję zaczęła nagle drażnić ta jej nadmierna ciekawość.
- Nie wiem – skłamała.
- Ale raczej w sam raz, nie za stary, nie za młody – uznała Kaja, cokolwiek to znaczyło. – A ma kogoś? Żonę? Narzeczoną? Wiesz coś o tym?
- Nie mam pojęcia, Kaja – mruknęła Alicja, włączając z rozmachem kierunkowskaz. – Co cię to obchodzi? – warknęła, zdziwiona własną reakcją. – Myślisz, że znam życiorysy wszystkich ludzi, których spotykam?
- Sorry, nie wkurzaj się tak. Myślałam, że się znacie. – Kaja wzruszyła ramionami. – Tak tylko pytam, z ciekawości.
- Znamy się, ale nie do tego stopnia – wyjaśniła Alicja nieco już spokojniej. – A co?
- A nic. Mówiłam już, z ciekawości pytam. Słuchaj – zmieniła temat. – Jeśli ten twój kucharz przyznał, że to trufla, to chyba mogę być pewna na sto procent? Wyglądał na takiego, co się zna.
- Zna się – potwierdziła Alicja.



## *Rozdział 17*



Małgorzata Wojtaszek cicho pobrzękiwała monetami, podrzucając je w dłoni. Grzelak kupił dwie wody i schłodzonego w lodówce czekoladowego batona, dał dychę, a reszty nie odebrał. Już dawno zauważyła, że coraz częściej bywał zamyślony. Owszem, zdarzało mu się, że chodził zaczytany, ale zazwyczaj pod sklepem wracała mu czujność i sprawdzał, czy aby chłopaki nie piją alkoholu nieopodal. Tymczasem dziś było ich pięciu, wyraźnie rozweselonych, a komendant nawet nie spojrzał ani nie zagadał, czy nie chowają tam czego za pazuchą.

Poczekwała, aż odejdzie na tyle daleko, żeby nie mógł jej usłyszeć i słabym głosem, dla zachowania pozorów, krzyknęła:

– Panie komendancie! Reszta!

Ale się nie odwrócił. Nie słyszał.

Małgosia z uśmiechem zwycięzcy wrzuciła drobne do kieszeni.

Grzelak tymczasem szedł przed siebie i nerwowo pogryzał batonika, starając się nie myśleć o tym, ile to kalorii przyjdzie mu spalić. Pocieszał się, że nie kupił coli, choć bardzo go ciągnęło, ale wodę, w dodatku niegazowaną. Dwie butelki i ten jeden przepyszny baton powinny wystarczyć, żeby zagłuszyć ssanie w żołądku, który podczas stresu dopominał się olbrzymich ilości cukru.

A stres go dopadł jeszcze przed wizytą Alicji na posterunku. Cała żmudnie budowana wizja, w której po schwytaniu groźnej zabójczyni czekają na niego pochwały i honory, uznanie, awans i pieniądze poszła w łeb, kiedy Jacek – nawet nie osobiście, ale telefonicznie – poinformował go, że obiekty wszystkiego się domyśliły i pod groźbą tortur wymusiły na nim zeznania. Jakich tortur? – zastanawiał się

Grzelak, ale nie dopytywał, ponieważ i tak było już po wszystkim, a z niego uszło powietrze.

I ta wizyta, której się spodziewał i na którą był przygotowany. Nie obawiał się Alicji, wszelkie dowody łatwo byłoby obalić. Słowo przeciw słowu. Kto uwierzyłby smarkaczowi, który nie ma nawet matury, gdyby przyszło co do czego? Nikt. Ale Alicja, zamiast krzyczeć i grozić prawnymi konsekwencjami, poprosiła go o przysługę. Baby jednak są durne. Przemawia przez nie wrażliwość czy raczej głupota? Po cholere interesować się żebraczką. Chyba tylko po to, żeby nie zaśmiecała okolicy swoją obecnością.

Wzdrygnął się na myśl o Czarnej Marii. Nie znosił, nienawidził bezdomnych i żebraków. Brudni i śmierdzący, włączający się bez celu i wyciągający rękę po nieswoje sprawiali tylko kłopoty. Nie, nie awanturowali się, nie wszczynali burd, nie kradli, ale zdarzało mu się, że wzywano go do pijanego obdartusa, który dogorywał w rowie przy lesie, upojony tanim winem do nieprzytomności. Trzeba było wzywać karetkę i zagryzać wargi z męczącą świadomością, że podrzuca się śmierdzące jajo ratownikom, podczas gdy mogliby w tym czasie pojechać do umierającej na zawał staruszki.

Otarł rękawem łzę. Matka była jedyną osobą, która go doceniała, chwaliła, dla której był bohaterem, policjantem, walczącym o dobro.

Zmarła, bo ekipa jedynej karetki w okolicy próbowała dwadzieścia kilometrów dalej reanimować bezdomnego pijaczynę, który ledwie odzyskał cuchnący oddech, zapytał, czy nie mają kroplówki z wódeczką.

Czarna Maria pijaczką nie była, ale kto ją tam wie, z jakiego powodu popadła w obłąd? Może w pijackim widzie wymyśliła sobie córkę Marię i wizja ta trzyma ją tak skutecznie, że nie potrzebuje już kolejnych dawek alkoholu, aby ją podtrzymać?

Może i ta córka nawet istnieje, może nawet mieszka w okolicy. Ale po co ją odnajdywać? Może już z ulgą pogodziła się z myślą o stracie matki-wariatki.

Po co ją odnajdywać? – zadał sobie jeszcze raz to pytanie, miętoląc w rękę papieraek po batoniku. Dla durnej satysfakcji, że się ją znalazło? Co innego kasa. Gdyby Alicja położyła na stół tysiąka i powiedziała: „Stary, to zaliczka. Trzeba odnaleźć rodzinę kobiety”, to by było co

innego. A tak? Satysfakcja dla satysfakcji? Całe życie bujał się z wątpliwą przyjemnością odnalezienia starego roweru czy złapania drobnego złodziejaska na kradzieży piwa w sklepie. Chwalono go, a jak. Ale premie za tym nie szły. Patrząc z tej perspektywy, dziś powinien być najbardziej usatysfakcjonowanym człowiekiem na Ziemi. Satysfakcja dla satysfakcji. Wzdrygnął się.

Ale z drugiej strony – nagle pomyślał z ożywieniem – sprawa jest trudna. I nie wiadomo, co się za nią kryje. Jeśli odnalazłby po tylu latach rodzinę Czarnej Marii, cała wieś musiałaby przyznać, że to wielki sukces. A wieś to wieś, nie byle co – prawie pół tysiąca ludzi. Można by wtedy sprawę nagłośnić. – Mózg Grzelaka zaczął pracować na wyższych obrotach. – Poszłoby do mediów, gazet, telewizji. Efekt ten sam, który już próbował osiągnąć przy pomocy Alicji i Kai. – Zapalił się, a wyobraźnia podpowiadała mu kolejne scenariusze. Gdyby rozwikłał tę skomplikowaną zagadkę, świat mógłby go uznać za najlepszego detektywa wszechczasów. Odszedłby z policji i założył własne biuro detektywistyczne. Zlecenia spływałyby z całego świata. Danuta byłaby szczęśliwa, gdyby zabierał ją do Francji czy Portugalii. On tam szukałby śladów zaginionych, a ona opalała się i robiła zakupy w najdroższych sklepach. I przyjeżdżałoby do Wrocławia, do tej marnej chałupy jej siostry, zajeżdżając z piskiem opon wypucowanym ferrari, koniecznie czerwonym, biadoląc, że mają tylko kilka dni na wizytę w Polsce, ponieważ Grzelak dostał zlecenie w Wenezueli, gdzie lokalna policja trafiła na ślad mężczyzny, który twierdzi, że jest ukrywającym się przed światem Elvisem Presleyem. Tak, tak, tylko Grzelak ze swoimi niekonwencjonalnymi metodami byłby w stanie zweryfikować te rewelacje. A gdyby tak rzeczywiście odnaleźć Presleya. Już nieraz czytał, że facet wciąż żyje. To by było coś! Wówczas nie mógłby opędzić się od zleceń. Mógłby zainwestować we własny odrzutowiec.

Tylko co z dziećmi? – zastanowił się przez chwilę. Chodzą jeszcze do szkoły, nie mogłyby tak intensywnie podróżować. Dziadkom się zapłaci za opiekę – mruknął do siebie, zadowolony, że tak szybko znalazł rozwiązanie błahego problemu.

Pożałował, że nie kupił więcej batoników i chociaż małej puszki coli. Wyteżony umysł domagał się cukru. Woda nie gasiła

pragnienia.

Zamaszystym krokiem skierował się w stronę posterunku. W jego głowie klarował się plan.

\*

Dźwięk telefonu oderwał Alicję od garnka, w którym pichcił się gulasz wołowy. Apetyczny zapach roznosił się po kuchni i Alicja pomyślała ze smutkiem, że dziś obiad zje samotnie. Ciotka razem z Matyldą wybrały się z rana do pani Teresy i miały zamiar spędzić u niej cały dzień a także noc. Świętej pamięci mąż Teresy interesował się astronomią i Teresa obiecała Matyldzie, że któregoś wieczoru wygrzebie ze strychu stary, radziecki teleskop i pokaże dziewczynce malownicze kraterzy na Księżycu. Alicja żałowała, że wybrały akurat ten wieczór, gdy wyszedł jej tak pyszny gulasz. Lekko pikantny, ale nie na tyle, żeby Matylda kręciła nosem. Pocieszała się, że cały znowu garnek starczy na kilka dni, więc zarówno Matylda, jak i ciotka, będą miały okazję go spróbować. No, ale co świeży to świeży – westchnęła.

– Halo? Żyjesz? – Po drugiej stronie słuchawki usłyszała wesoły głos Kai.

– Dlaczego miałabym nie żyć? To nie ja wczoraj próbowałam uchlać się do nieprzytomności – zauważyła Alicja.

– No tak, no tak – zaszcebiotała Kaja. – Ale mimo wszystko dzień był i dla ciebie pełen wrażeń. Nie codziennie znajduje się trufle w prywatnym lesie koleżanki – parsknęła dźwięcznym śmiechem. – Słuchaj, mam prośbę. Czy mogłabyś mi odstawić samochód? Potrzebuję na już. A dopiero teraz oświeciło mnie, że przecież ty nim jeździłaś.

– Bo ty nie byłaś w stanie.

– No tak, no tak. To czy mogłabyś przyjechać? Oczywiście odwiozę cię do domu, żebyś nie musiała drałować o kulach. À propos, jak tam noga?

– Trochę pobolewa, ale da się wreszcie chodzić.

– To jak, przyjedziesz?

– Przyjadę, oczywiście. Tylko pozwól mi zjeść obiad.

Alicja zdumiona wpatrywała się w Kaję. Z wczorajszej zapłakanej ofiary losu, której podpuchnięte oczy przypominały worki na ziemniaki,

nie pozostał nawet ślad. Kaja, ubrana w błękitny żakiet i białe spodnie, prezentowała się nad wyraz elegancko. Wyszczotkowane, proste włosy lśniły, mieniając się trzema odcieniami chłodnego blondu, a twarz, wczoraj blada i zapuchnięta, dziś olśniewała świeżością i migotliwymi, skrzącymi się w słońcu drobinkami bronzera, którym podkreślone zostały kości policzkowe. Zapach, który Kaja roztaczała wokół siebie, był mieszanką owoców cytrusowych i tajemniczej woni drzewa sandałowego. Z podniesioną dumnie głową uśmiechała się do swojego odbicia w lustrze, ostatni raz muskając usta malinowym błyszczkiem.

– O rany, co się tak odstawiłaś? Dokąd jedziesz? – Alicja nie ukrywała zdziwienia wyglądem Kai.

– No cóż... – Na twarzy koleżanki pojawił się przebiegły uśmiezek, który równie szybko zniknął, co się pojawił. –

Pogooglowałam wczoraj trochę... Ty wiesz, że ten Konrad to całkiem niezła partia? Trzydzieści cztery lata, współwłaściciel jednej z lepszych wrocławskich firm informatycznych. W dodatku, uwaga, nie ma żadnej wzmianki o żonie. Ba! Przetrzepałam wszystkie serwisy społecznościowe i jedyne, co znalazłam, to kilka jego zdjęć z jakąś laską, ale sprzed dwóch lat. Oczywiście wyczytałam tę laskę wśród jego znajomych, wlałam na jej profil. I co? Dwa miesiące temu zmieniła status na „zaręczona” z jakimś potentatem chemicznym z Niemiec.

– I co z tego? – wydukała Alicja, czując, jak z każdą sekundą robi jej się słabo.

– To z tego, że potentat chemiczny, niejaki Jens Kirchner to nie Konrad Legrandow. Rozumiesz? Mój ptaszek jest wolny – zachichotała, mrużąc oczy.

– Twój ptaszek? – spytała Alicja, starając się utrzymać głos w normalnym tonie, chociaż w głowie zaczynało jej wirować i wiedziała, że lada moment głos zacznie się łamać.

– Taka okazja nie trafia się często. To musiało być zrządzenie losu, przeznaczenie. Alicja, przecież gdyby nie ten kutas, Filip, to nie kupiłabym tego lasu. A gdybym nie kupiła lasu, nie przyjechałabym do tej dziury i nie wynajęłabym tu domu. A gdybym wczoraj nie leżała zdychająca w tym domu, to nie wpadłabyś na pomysł, żeby zabrać mnie do lasu – wyliczała z zapalem. – A gdybym w tym lesie nie znalazła

truflif, przepraszam, gdyby Daisy jej nie znalazła, to raczej wątpliwe, aby moja noga w ogóle stanęła w Angel's. Kumaszc? Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Nie sądzę, żebym we Wrocławiu, choć mój salon znajduje się zaledwie kilka przecznic od jego biura, miała okazję poznać Konrada. A tak... Gdyby nie trufla, gdyby nie las...

– Gdyby nie Filip... – wtrąciła załamana Alicja, przysiadając na kanapie.

– Och, Filipa skreśli z zazdrości, mówię ci. Wszystkich skreśli. Sama pomyśl. Wracam po kilku miesiącach nie tylko bogatsza o las z truflami, ale o mężczyznę – przystojnego i bogatego. Prawdziwego księcia, a nie jakiegoś oszusta jak Filip – prychnęła, krzywiąc brwi. – A do tego syna samego Wiktora Legranda. – Uśmiechnęła się. – Nie interesuję się jazzem, ale sprawdziłam w Google. To była postać... No wiesz, zawsze to dodatkowy bonus, taka wisienka na torcie, mały smaczek. Wejdę do rodziny, zmienię nazwisko. Nikt już nie będzie pamiętał tej afery. Będę kojarzona ze światowej klasy jazzmanem – westchnęła rozmarzona. – Tak po prostu miało być. Nic nie dzieje się przez przypadek. Czy ty wiesz – spojrzała na Alicję bystrym wzrokiem – że Konrad jest jedynym spadkobiercą? Owszem, ma rodzeństwo, ale przyrodnie, bo Wiktor rozwiódł się z żoną ponad dwadzieścia lat temu. I później już się nie ożenił. Wiesz, co to znaczy? Nie mówię tu o knajpie, ją trzeba będzie zamknąć, po co nam trup na takiej wsi. Ale prawa autorskie do utworów, bo przecież Wiktor także komponował, apartament w Nowym Jorku, który stoi teraz pusty...

– Skąd masz takie informacje? – zainteresowała się Alicja, zdumiona wiedzą koleżanki.

– Och! – Kaja klasnęła w dłonie. – Wujek Google wszystko ci powie. Całą noc nie spałam.

Alicja milczała, niezdolna wydać z siebie głosu. Patrząc na pewną siebie, elegancką Kaję, roztaczającą właśnie wizję szczęśliwego życia u boku przystojnego Konrada, poczuła się mała i zakompleksiona. Czemu miałyby wybrać ją, skoro pod nos podstawia się mu tak atrakcyjna kobieta jak Kaja?

– A właściwie jaki masz plan? Zdążyłaś się już dziś umówić na randkę? – wydukała cicho, nie mając już wątpliwości, dlaczego Kaja tak



się wystroiła i po co był jej samochód.

– No coś ty! – Kaja puknęła palcem w czoło. – Ja nie jestem z tych, co się same pchają do łóżka! Owszem, umówiłam się, ale nie na randkę, zgłupiałaś?!

– To po co?

– A widzisz. – Kaja się rozjaśniła i na jej twarzy znów pojawił się uśmiezek. – Działam strategicznie. Wyszukałam numer restauracji i poprosiłam o spotkanie z właścicielem w celach biznesowych. Zgodził się, pewnie sam jest ciekaw, o co chodzi. Mam zamiar zaproponować mu współpracę. No wiesz, ja mam pole truflowe, on ma knajpę, interesy da się połączyć. Na początek, dopóki jej nie zamkniemy.

– Poważnie? Naprawdę już tworzysz taki plan, nie wiedząc nawet, ile trufli znajduje się lesie?

– Daj spokój, Alicja, nie bądź dzieckiem. Przecież to tylko pretekst. Zaprezentuję mu swoją wizję, pogadamy. Godzinka, dwie, wystarczy, żeby go oczarować, mam w tym wprawę – mówiła z przekonaniem Kaja. – A potem... – Machnęła ręką. – Potem to już nieważne, ile tych trufli tam jest. Kiedy zostanę panią Legrandow, częściej będę siedziała w Nowym Jorku niż tutaj. Dobra. Nie ma co gadać, zbieramy się, bo za pół godziny muszę być na miejscu. Jeszcze cię podrzucę do domu. Jak wyglądam?

Alicja wpatrywała się przez chwilę w koleżankę, próbując znaleźć odpowiednie słowa, które mogłyby zobrazować sytuację, w jakiej się właśnie znalazła. Wiedziała, że nie ma szans z napędzaną kolorową wizją życia Kaja, ale mimo to odważyła się spróbować.

– Kaja, przepraszam, bo może popsuję ci nastrój, ale... – zaczęła, stanąwszy przy drzwiach i odwróciwszy się do koleżanki.

– Coś jest nie tak? – Kaja doskoczyła do lustra.

– Nie, wyglądasz zabójczo – uspokoiła ją Alicja. – Tylko dziwnie się poczułam, kiedy opowiadałaś o swoim planie.

– Dlaczego?

– Bo mnie Konrad także się podoba.

– Słucham? – Kaja autentycznie była zdziwiona. – Przecież nic wczoraj nie mówiłaś.

– Wiesz, ja nie jestem z tych wylewnych... Ale wydaje mi się, to

znaczy... tak mi się tylko wydaje...

– Że? – niecierpliwiła się Kaja.

– Że może ja też mu się podobam... – wyrzuciła z siebie Alicja, czując, że się czerwieni. Pierwszy raz wypowiedziała na głos to, o czym w gruncie rzeczy po cichu marzyła.

Kaja parsknęła śmiechem.

– Wydaje mi się, wydaje mi się – westchnęła, naśladowując Alicję. – To nie ma co się wydawać, Ala, sorry, ale to się wie. Nie chodzi mi to, że nie mogłabyś mu się spodobać. Uważam, że faceci to nawet lubią takie trochę zahukane, nieśmiałe, miłe kobiety. Poza tym jesteś całkiem ładna, mogłabyś się podobać. Ale...

Alicja przełknęła ślinę, poczuła, jak nagle zasycha jej w ustach.

– ...spójrzmy prawdzie w oczy. Nawet gdyby się tobą zainteresował, to myślisz, że mogłabyś liczyć na coś więcej niż tylko wakacyjny romans? On z Wrocławia, ty z Warszawy... Nie wierzę w związki na odległość. Poza tym – Kaja zrobiła pauzę – no jednak, co jak co, ale wiązać się z kobietą po przejściach, z bagażem w postaci dziecka... No wiesz, to już facet naprawdę musiałby być dojrzały i moocno, oj, mocno zakochany. A ja? Z Wrocławia, wolna, przedsiębiorcza i bez zobowiązań. Sama powiedz... Nic, tylko zakładać rodzinę. Mam nadzieję, że cię nie obraziłam, ale takie są fakty – dodała sucho, wskazując gestem, żeby Alicja otworzyła drzwi. – Ala – dodała pobłażliwie, zanim wyszły. – Nie zrozum mnie źle, na moje oko masz duże szanse u facetów. Ale nie u Konrada. Znajdziesz sobie kogoś w Warszawie i sama przyznasz, że miałam rację. Niepotrzebnie w ogóle zaczynałaś temat, tylko czas straciłyśmy.

– Powiedziałaś ci, bo jeszcze wczoraj utrzymywałaś, że jesteś moją przyjaciółką – przypomniała Alicja odzyskawszy głos. – Myślałam, że...

– Indyk myślał o niedzieli, a w sobotę łeb mu ścięli – zarechotała Kaja. – Jak widzisz, sytuacja z dnia na dzień potrafi się zmienić. Bo jeśli chodzi o naszą przyjaźń, to oczywiście możemy ją kontynuować, pod warunkiem, że zapomnisz o Konradzie. On jest mój. Przyjaźń przyjaźnią, ale jeśli chodzi w grę wchodzi facet, to trzeba zmieniać reguły gry.

– I właśnie je zmieniasz.

– Nie. To przecież twoja decyzja, czy zostaniemy przyjaciółkami.

Ja bym bardzo chciała – powiedziała Kaja z uśmiechem, na widok którego Alicji zrobiło się niedobrze.

– Okej. Nie musisz mnie odwozić do domu, przejdę się.

– Jak wolisz.

Na szczęście szosą akurat przejeżdżał pan Piotr, który z samochodu pomachał do Alicji przyjaźnie. Ucieszona, że nie będzie musiała kuśtykać na pobolewającej wciąż nodze, zatrzymała go, pytając, czy nie podrzuciłby jej do domu ciotki. Mężczyzna zgodził się z uśmiechem, zadowolony, że ma kompana do rozmowy. Przez całą drogę opowiadał jej o wnuczku, który dopiero co kilka dni temu zaczął mówić, a już okazał się geniuszem, tworzącym całe elaboraty przez telefon.

– Rozmawia ze mną jak stary, mówię pani – ekscytował się pan Piotr, przytaczając niektóre fragmenty, a Alicja kiwała głową z przyklejonym do twarzy uśmiechem, udając, że słucha z zainteresowaniem. Ale nie słuchała.

Kiedy weszła do domu i opadła ciężko na kanapę, nie miała siły na nic. Przymknęła oczy i zwyczajnie zaczęła się nad sobą użalać. Co ja sobie myślałam – przeszło jej przez głowę. Z odrętwienia wyrwał ją dźwięk telefonu i przez chwilę była przekonana, że to Kaja przemyślała sprawę i dzwoni teraz z przeprosinami, ale nie – na wyświetlaczu ukazała się twarz roześmianej Doroty.

– Halo? – Alicja nawet nie siła się na zwyczajowo wesoły ton.

– Cześć, siostra. Co u ciebie? Jak leci? – spytała ostrożnie Dorota, próbując wyczuć nastrój Alicji.

– Nic ciekawego.

– Dalej się na mnie boczysz?

– Daj spokój, Dora, jesteś dorosła.

– A co tam u tego parszywego komendanta, rozmawiałaś z nim?

– Tak. Powiedziałam, co miałam powiedzieć i wyszłam. Nie chce mi się o tym gadać.

– Dalej się gniewasz. Przepraszam.

– Nie gniewam się. Twoje życie, twoja sprawa.

– Przecież słyszę, że jesteś zła.

Alicja westchnęła.

– Nie na ciebie – powiedziała. – Naprawdę, to nie najlepszy moment na rozmowę.

– Co się stało? Chodzi o Bartka?

– O Bartka? – powtórzyła Alicja, zdziwiona, bo właśnie sobie uświadomiła, że nie myślała od Bartku od dobrych kilku dni. – Nie, nie chodzi o Bartka.

– To o co? – dopytywała Dorota. – Przecież cię znam. Ala, możesz mi powiedzieć, jestem twoją siostrą. Stało się coś?

Alicja pękła. Spokojny ton siostry podziałał na nią jak balsam i najzwyczajniej w świecie rozczuliła się nad sobą. Opowiedziała Dorocie o Konradzie, o skreconej nodze, o szpitalu. O SMS-ach i wcześniejszych zaproszeniach na kawę. Dorota słuchała cierpliwie, czekając, aż siostra wypłacze się i wygada do woli. Kiedy jednak nastąpiła dłuższa przerwa, wzięła oddech i powiedziała autorytarnie:

– Weź się w garść. Nie będzie ci jakaś wybotoksowana lala z Wrocławia podbierać faceta.

– Skąd wiesz, że wybotoksowana? – zachlipała Alicja w słuchawkę. – Nie zauważyłam.

– Sama mówiłaś, że ma jakiś salon piękności. Myślisz, że nie korzysta z dobrodziejstw? Nieważne zresztą. To ty byłaś pierwsza. I jeśli zależy ci na nim, to walcz.

– Łatwo ci mówić. Nawet nie wiem, czy rzeczywiście on ze mną flirtował, czy tylko to sobie wmówiłam. Pewnie zapraszał mnie na kawę z grzeczności, ponieważ chciał się odwdzińczyć za to, co zrobiłyśmy dla Angel's.

– No, ale jak zwichnęłaś nogę, to przyjechał niczym rycerz na białym koniu.

– Bo Maciek nie ma prawa jazdy.

– A te SMS-y?

– Nawiązał do rozmowy z lekarzem, który myślał, że jesteśmy małżeństwem.

– Ala, wszystko tak logicznie tłumaczysz, a jednak sama przyznałaś, że odniosłaś wrażenie, że...

– Tak, ale to mogło być tylko wrażenie! Nie mam doświadczenia

we flirtowaniu. Z Bartkiem było inaczej, przecież wiesz. Nawet nie czułam wtedy tych motyli w brzuchu.

– A teraz czujesz?

– Czuję. Dorota, to cudowne uczucie, ale boję się, że właśnie ono sprowadza mnie na manowce, bo nie potrafię myśleć rozsądnie.

– Zakochałaś się – zawyrokowała Dorota. – A skoro się zakochałaś, to walcz. Nieważne, co on sobie myśli, czy zapraszał grzecznościowo czy nie. Walcz.

– Nie zakochałam się – zaprzeczyła Alicja. – Bez przesady, nie jestem jakimś podlotkiem, żeby...

– Co ty chrzanisz? – weszła jej w słowo Dorota. – Zakochałaś się i już, nie ma co dyskutować. A czy będzie z tego miłość, to czas pokaże.

– Chyba nie będę miała okazji sprawdzić – ucięła smutno Alicja i przytoczyła argumenty, którymi strzelała do niej Kaja.

– Nie do wiary! – krzyknęła Dorota. – Dlatego że mieszkasz w innym mieście, to powinnaś odpuścić? Dobre sobie – prychnęła. – A co to, rejonizację na miłość wprowadzili? Jakoś nie słyszałam... I że niby dziecko to taka przeszkoda? Ja rozumiem, że gdybyś miała pięcioraczki, to rzeczywiście mógłby się wystraszyć.

– Dzięki, Dorota, podbudowałaś mnie. Jednak mimo wszystko...

– Mimo wszystko, mimo wszystko – przedrzeźniła Dorota. – Alicja, żałuję, że mnie tam nie ma, bo dostałabyś kopa w dupę. Rozumiem, że po doświadczeniach z Bartkiem masz opory i ogólnie wycofałaś się z życia, ale przecież ja cię znam, Alicja! Przypomnij sobie, jaka kiedyś byłaś torpeda. Energiczna, przebojowa, radosna. Miałaś przed oczami cel i go realizowałaś. A potem pojawił się ten cholerny Bartek. I co? Ani nie masz swojej wymarzonej galerii, ani miłości.

– Mam Matyldę.

– Dzięki Bogu. Bo inaczej to w ogóle byłoby na minusie przez drania. Ala, nie ma co się zastanawiać. Czujesz motyle w brzuchu, to leć za nimi. Nikt ci nie da gwarancji, czy coś z tego będzie, ale przynajmniej spróbujesz.

– Nie potrafię! Nigdy nie podrywałam faceta. Nie mam wprawy. Nie mam pojęcia, jak to się robi.

– O rany, to siedź w domu i nic nie rób. Niech Kaja działa.

– Wszystko tak dobrze szło, gdyby nie ona – zaperzyła się Alicja. – Te wiadomości, które mi przysłał... Nawet planowałam wieczorem coś napisać, puścić oczko, no wiesz... Ale teraz to nie wiem, jakby to odebrał. Żebyś ją widziała, jak się odstawiała! Gdybym była facetem, w ogóle bym się nie zastanawiała. Każdy chciałby mieć u boku taką laskę.

– Laska jakich wiele – prychnęła Dorota. – Ty też jesteś laska. Tylko zapomniałaś, że jesteś.

– Nie widziałaś Kai w dzisiejszym wydaniu.

– Alicja. – Dorota zniżyła głos do szeptu. – Ona nie ma z tobą żadnych szans. Siedzisz na bombie, wystarczy ją odpalić.

– Na jakiej bombie?

– No pomyśl... wystarczy zejść do piwnicy.

– O nie, ja się nie posuwam do takich metod.

– Bla, bla, bla. To sobie w domu siedź i czekaj, co się wydarzy.

Tylko potem mi nie płacz, że Kaja... Słuchaj, muszę kończyć, zaczęło się zebranie. Buziaki. – Dorota się wyłączyła, nie czekając na odpowiedź.

Alicja odłożyła komórkę i przymknęła powieki. Trawiła słowa siostry. Przez jej głowę przetaczał się tabun myśli. Oczyma wyobraźni zobaczyła mizdrzącą się do Konrada Kaję. Siedzą teraz w restauracji, a ona opowiada mu o swoim lesie pełnym trufli, przedstawiając wizję wspólnego biznesu. Otwiera eleganckiego laptopa, w którym już sporządziła biznesplan. Przysuwa się bliżej Konrada, żeby lepiej widział ekran... A może to on, zwiedziony zapachem jej drogich perfum, podchodzi i staje tuż za nią, a po chwili nachyla się, żeby wskazać palcem jakiś szczegół w tym jej misternie sporządzonym pliku w Excelu. A wtedy ona się odwraca i muska niechcący policzkiem jego policzek...

Alicja gwałtownie wstała. Obrazy, które podsuwała jej wyobraźnia, były nie do zniesienia, jednak nie potrafiła przestać o tym myśleć. W dodatku, jak na złość, w uszach zaczął rozbrzmiewać głos Kai i jej słowa powtarzane niczym echo: „Masz duże szanse u facetów, ale nie u Konrada. Nie u Konrada. Nie u Konrada...”.

– Nie dam ci tej satysfakcji, jędo – powiedziała na głos Alicja i kuśtykając, pobiegła do kuchni. Opracowując w głowie strategię,

przetrzęsała szafki w poszukiwaniu odpowiedniego kompotu, który mógłby zagłuszyć zapach i smak ziół. Znalazła go na samym dole, zaraz za wekami z konfiturą malinową. Kompot z suszu i wędzonych śliwek nadawał się idealnie.

Przełała niewielką ilość do pustego słoiczka i zeszła do piwnicy, gdzie w kilka minut udało jej się znaleźć odpowiedni eliksir. Wiedziała, że to odparowany już koncentrat. Nie pamiętała tylko, ile kropeł powinna wlać do słoika, w którym znajdowało się około pół szklanki kompotu. W głowie kołatało jej się, że pięć. Chyba taką ilość podawała ciotka Dorocie. Nabrała płynu do pipetki i zaczęła odliczać krople.

– Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć... Sześć, siedem, osiem... Jeszcze ze dwie na wszelki wypadek. Dziesięć. A, co mi tam, jeszcze jedna. I jeszcze jedna.

Nagle przypomniała sobie o zaproszeniu na koncert Astatkego, z którego z wiadomych względów nie mogła skorzystać Dorota. Może zaprosić Konrada? To jeszcze ze dwie kropelki, żeby się zgodził. Trzy, cztery. Dla pewności pięć. I już.

Zamieszała kompot w słoiku, powąchała, a ponieważ nie wyczuła różnicy – ze słoika wciąż wydobywał się aromat wędzonych śliwek – zadowolona zakręciła wieczko i poszła na górę. Teraz wystarczyło ubrać się odpowiednio i umalować. Z żalem pomyślała, że nie ma żadnych butów na obcasie, ale szybko pocieszyła się myślą, że i tak – z uwagi na nogę – nie mogłaby ich założyć. Zrezygnowała ze strojenia się – to mogłoby wydać się nienaturalnie i zbyt podejrzanie. Zamiast tego zdecydowała się na czarne, sportowe, ale doskonale eksponujące nogi legginsy i jasnoszarą, podkreślającą talię bluzkę, zrobiła delikatny makijaż i skropiła nadgarstki rozrzedzoną, delikatną mgiełką perfum.

Tak przygotowana wsiadła na rower. Wiedziała, że podróż rowerem może sprawić jej trudność, ale lepsze to niż dojście do Angel's o kulach na piechotę. Zacisnęła wargi, starając się nie myśleć o bólu. Co tam noga, kiedy się idzie na wojnę.

\*

W radiu leciały ostatnie takty popularnego tego lata hitu, kiedy Marcin Szadkowski skręcił w asfaltową drogę prowadzącą do Polanki.

Nucił po nosem, żałując, że nie zna słów piosenki na tyle dobrze, żeby móc śpiewać razem z wokalistą.

Lubił śpiewać i uważał, że jest w tym dobry. Niestety, jego żona miała na ten temat inne zdanie, dlatego wprowadziła zakaz śpiewania w domu. Zakaz kategoriyczny i nieodwołalny, obejmujący wszystkie pomieszczenia, łącznie z prysznicem i piwnicą. Jedynym miejscem, w którym Marcin mógł wyrażać swoją ekspresję i szlifować talent wokalny, był samochód. Ale tylko wtedy, kiedy jechał nim sam.

Teraz nucił, przeklinając odtwarzacz CD, który popsuł się akurat dziś, i Marcin, zamiast ulubionych, doskonale znanych sobie piosenek, musiał słuchać tego współczesnego radiowego szajsu, gdzie trudno było o Bruce'a Springsteena czy Michaela Jacksona.

Cieszył się, że jedzie do Polanki. Konrad Legrandow był nie tylko jego współnikiem, ale i przyjacielem, dlatego odkąd tak niespodziewanie podjął decyzję o wyjeździe i spędzeniu całego lata w Polance, plotkom w firmie nie było końca. Wszyscy, na czele z Agatą, szefową działu informatycznego, a prywatnie żoną Marcina, byli ciekawi, kim jest tajemnicza kobieta, która była powodem tej decyzji.

Wiedzieli o niej tylko tyle, że ma na imię Alicja, jest blondynką i pachnie rumiankiem. Oraz że umawia się z Matką Boską, co dla Marcina było ewidentnym dowodem na to, że dziewczyna jest zahukaną dewotką. Współczuł przyjacielowi, że akurat ten typ dziewczyny wpadł mu w oko, ponieważ wiedział, jak oporna może być na wszelkie próby zaproszenia jej na randkę, o pocałunku nawet nie wspominając.

Kiedy więc trzeba było dostarczyć Konradowi do podpisania umowę, Marcin zamiast wysłać dokumenty kurierem, wykorzystał okazję, żeby osobiście przyjechać do Polanki.

Dochodziła siedemnasta, kiedy zaparkował nieopodal Angel's. Przez szybę zauważył Konrada, który siedział przy stoliku z jakąś kobietą. To Alicja – przebiegło Marcinowi przez myśl i aż się zatrząsł z ekscytacji, że będzie mógł ją poznać. Wyglądała inaczej, niż sobie wyobrażał. Proste, modnie obcięte włosy, elegancki strój i niebotycznie wysokie szpilki stanowiły kontrast z tym, co o niej słyszał. Pachnie rumiankiem? Raczej wygląda na taką, która używa Chanel. Był pod wrażeniem. Nie dziwił się przyjacielowi, że stracił głowę dla takiej



kobiety. Ale widać też było, że mimo uśmiechów, którymi wymieniali się podczas rozmowy, jest między nimi dystans. Siedzieli naprzeciwko siebie, nie nachylali się ku sobie, nie szeptali, nie gruchali, nie dotykali. Rozmowa wyglądała zwyczajnie, Marcin nie zauważył żadnych gestów, które mogłyby wskazywać, że to randka. To potwierdziło jego obawy. Dziewczyna, mimo że piękna i sprawiająca wrażenie nowoczesnej, to z pewnością poprzez swoją religijność jest konserwatywna i zachowawcza. Widać, że ona nie z tym, które dadzą się złapać na tani podryw. Tu potrzebny jest sposób – pomyślał Marcin i z rozmachem otworzył drzwi, pędząc koledze z pomocą.

– O! A co ty tu robisz? – zapytał Konrad na widok Marcina, który z uśmiechem podszedł do stolika.

– Urwałem się wcześniej, żeby dostarczyć ci dokumenty do podpisu. Potrzebne na jutro – wyjaśnił Marcin.

– Poznajcie się. – Konrad wstał, żeby dokonać prezentacji. – To jest...

– Ach – przerwał mu Marcin. – Witam piękną panią. Marcin Szadkowski. Jestem przyjacielem Konrada, a pani nie trzeba przedstawiać. Naj–pięk–niej–sza ko–bie–ta świa–ta – wyartykułował.

Kaja uśmiechnęła się, skinąwszy głową z aprobatą. Konrad przełknął ślinę, zaskoczony szarmanckim zachowaniem przyjaciela, który dotychczas był w miarę powściągliwy w komplementowaniu nowo poznanych osób.

– Nie będę państwu przeszkadzał – ciągnął Marcin. – Wpadłem tylko na chwilę, zostawiam dokumenty i lecę z powrotem. Obowiązki rodzicielskie wzywają – wytłumaczył, patrząc na Kaję. – Aha, zapomniałbym! – krzyknął nagle i spojrzał na Konrada. – Arcybiskup o ciebie pytał – powiedział teatralnym szeptem.

– Kto? – zdziwił się Konrad.

– Biskup. Pytał, kiedy wracasz, bo nie może się dodzwonić – wypowiadając te słowa, zamiast na Konrada, patrzył na Kaję, żeby dobrze usłyszała.

– A, mówisz o Jurku Biskupie, oddzwonię do niego – wycedził Konrad, próbując tonem głosu dać Marcinowi znak, żeby zaniechał tych bzdur. Ale Marcin ani na niego nie patrzył, ani go nie słuchał.

– Arcybiskup dzwonił, coś tam wspominał o papieżu, że też się nie może do ciebie dodzwonić – ciągnął Marcin, nie zważając na protesty Konrada. – Konrad pewnie pani nie wspominał, bo to skromny chłopak i nie lubi się chwalić, ale jest świetnym specjalistą. Ostatnio pracował dla Watykanu, stworzył program...

– Marcin, mogę cię prosić? – Konrad pociągnął kolegę za ramię. – Przepraszamy na chwilę – zwrócił się do Kai. – Podpiszę tę umowę i Marcin będzie mógł wracać, pewnie chce zdążyć na kolację.

– A tak, tak. Kolacja w gronie rodziny to świętość – odparł zadowolony z siebie Marcin, wciąż patrząc na coraz bardziej oszołomioną Kaję. Miał ochotę jeszcze więcej jej powiedzieć, ale ponaglany przez Konrada posłusznie odszedł z nim kilka stolików dalej.

– Co ty wyprawiasz? – warknął półgłosem Konrad, kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości. – Oszalałeś? Jaki arcybiskup? Na głowę upadłeś?

– Wyluzuj, stary. W swoim czasie się odkręci. – Marcin spojrzał na Konrada z wyrzutem. – Przecież widzę, że kiepsko ci idzie ten podryw. Po tym, co ode mnie usłyszała, jest twoja, zobaczysz. Jeszcze będziesz mi dziękował.

– Co ty chrzaniasz?

– Sam mówiłeś, że taka religijna. Trzeba było od razu wdrożyć te pomysły, przecież ci je podrzucałem w biurze, nie pamiętasz? Nie czekałbyś tyle. Już dawno sama by ci się oświadczyła. Swoją drogą całkiem niezła ta Alicja. – Marcin mrugnął okiem z uznaniem, zerkając na Kaję.

– Durniu, to nie ona – zirytował się Konrad.

– Nie ona? To kto?

– Nie mam pojęcia. Dopiero, co ją poznałem wczoraj. Kaja. Nie pamiętam nazwiska.

– Bierzesz się za nią?

– Zgłupiałeś? To jakaś wariatka. Od ponad godziny truje mi o jakichś grzybach.

Nagle w drzwiach stanęła Alicja. Zdyszana, z rozbieranym wzrokiem.

Kiwnęła głową do Darka, który stał za barem, zamieniła kilka słów

z Maćkiem, uśmiechnęła się do zdziwionej Kai i kuśtykając, skierowała się w stronę Konrada.

– To jest Alicja – szepnął Konrad, a jego twarz pojaśniała.

Marcin nie był w stanie ukryć swojego zaskoczenia. Patrzył na zbliżającą się kobietę, nie mogąc pojąć, co takiego dostrzegł w niej przyjaciela. Była ładna, owszem, jednak jej delikatna i dziewczęca uroda, w porównaniu z modną i dostojną Kają, wydawała się zwyczajna i pospolita. W dodatku dziewczyna była kulawa.

– Cześć. – Alicja przywitała się z Konradem. – Przepraszam, że przeszkadzam...

– Nie przeszkadzasz – szybko odparł Konrad. – To mój wspólnik, Marcin, właśnie wychodził.

– Dzień dobry – przywitał się Marcin wciąż oszołomiony tym, że Kaja nie jest Alicją. – Tak, już muszę lecieć. Przyjechałem, bo kardynał dzwonił... – zaczął mówić nieskładnie, usiłując zebrać myśli.

– Jaki kardynał? – żywo zareagowała Alicja.

– Dziwisz. – Marcin przytoczył jedyne nazwisko, które znał.

– Kardynał Dziwisz dzwonił tutaj? – zdziwiła się Alicja, patrząc na Konrada.

– Nikt nie dzwonił. Marcinowi się pomyliło... Zresztą, już wychodzi. – Delikatnie popchnął przyjaciela w stronę drzwi.

– Tak, już wychodzę. Miło mi było panią poznać. – Marcin uśmiechnął się niemrawo do Alicji, a potem skinął dłonią na pożegnanie Kai, która z niepokojem kręciła się na krześle, obserwując ich.

– Masz ochotę na kawę? A może jesteś głodna? – spytał Konrad, zapraszając Alicję do stolika. – Twoja koleżanka wpadła podzielić się pomysłem na biznes truflowy – wyjaśnił szeptem. – Ale już właściwie skończyliśmy. Pani Kaju – powiedział głośno – nie ma pani nic przeciwko, żeby Alicja się przysiadła?

– Ależ skąd. – Kaja wyszczerzyła zęby w nieszczerym uśmiechu.

– Nie chcę przeszkadzać – wyjaśniła pospiesznie Alicja, siadając. – Ale mam ważną sprawę. Ciocia, u której mieszkam, ma syna w Australii. Tam tak trudno o polskie potrawy... – westchnęła. – Obiecała mu, że przyśle przez znajomych, którzy wkrótce wylatują, słoiki z kompotem, żeby miał na święta. Takim z suszonych śliwek. Mam go tutaj. – Wyjęła

słoik z plecaka i postawiła go na stoliku. – Świeżo zrobiony, pyszny. Ale ciocia uważa, że czegoś w nim jeszcze brakuje. Przypomniała sobie, że najlepszy kompot świąteczny robiła twoja babcia. – Alicja zwróciła się do Konrada, modląc się w duchu, żeby nie wyczuł blefu. – Podobno legendy chodziły o tym kompocie, że taki pyszny. Wiadomo, przepisu już nie zdobędzie, ale uparła się, żebym przyjechała i poprosiła cię, abys spróbował. To smak twojego dzieciństwa. Ty jedyny możesz powiedzieć, czy kompot jest dobry, czy jeszcze trzeba coś dodać.

– Ale... – zawahał się Konrad.

– Przecież kompot to kompot, wszystkie smakują tak samo – wtrąciła się Kaja, usiłując opanować złość z powodu wtargnięcia Alicji.

– Też tak uważam – przyznała Alicja. – I to samo powiedziałam cioci. Ale ona się uparła, wiecie, w tym wieku ludzie mają swoje dziwactwa. Tak bardzo jej na tym zależy... A że czasu mało, bo znajomi niedługo lecą, to uparła się, żebym dzisiaj tu przyszła. Bardzo cię proszę, Konrad, w imieniu mojej cioci. – Uśmiechnęła się przymilnie. – Wypij i oceń, czy dobry. Będę miała spokojne sumienie.

Przełała kompot do przyniesionej przez Maćka szklanki i postawiła przed Konradem.

– Mogę cię prosić? – spytała nagle Kaja, wpatrując się w Alicję. – Coś mi wpadło do oka. – Zamrugowała nerwowo. – Pójdiesz ze mną do toalety? Sama nie dam sobie rady, to chyba muszka.

Alicja niechętnie wstała.

– To co? Wypijesz? – upewniła się, zanim Kaja pociągnęła ją za rękaw do łazienki.

– Oczywiście – odpowiedział z uśmiechem Konrad.

– Co ty kombinujesz? – Głos Kai przypominał syk rozjuszonych żmii. – Przecież wiedziałaś, że tu będę. Koniecznie chciałaś mi popsuć wieczór? Smaki dzieciństwa? Tak chcesz go zdobyć?

– Kaja, wybacz, ale nie zamierzam się tłumaczyć. Ciocia mnie poprosiła, to przyjechałam. Jej zależy na czasie, bo ci znajomi, którzy lecą do Australii...

– Sraty-taty. Akurat dzisiaj. Bardzo ciekawe. Posłuchaj mnie uważnie. – Kaja wyjęła z torebki puder i szminkę. – Nie chcę być niemą, ale czas leci, a mnie się bardzo miło rozmawiało z Konradem

zanim przyszedł.

– Zdaje się, że najpierw wpadł tu jego wspólnik...

– Och, wpadł i wypadł. Świr jakiś. Przy mnie Konrad zdobędzie lepszych przyjaciół. W każdym razie od ciebie też oczekuję, że skoro wpadłaś, to raz dwa wypadniesz. Masz pięć minut. – Przypudrowała policzki. – Kiedy stąd wyjdę, ma cię nie być.

– Myślisz, że możesz mi rozkazywać? Jeśli będę miała ochotę, zostanę. To restauracja. Mogę sobie siedzieć i pić soczek tyle, ile mi się podoba.

– A pij sobie. Byle nie przy naszym stoliku. A zresztą, zostań. Porozmawiamy sobie o dzieciach, o pracy. To na pewno fascynujący temat dla Konrada. Poranne wstawanie do szkoły, robienie kanapek, wywiadówki – prychnęła. – Na pewno marzy, żeby właśnie o tym sobie posłuchać.

Alicja nie odpowiedziała. Miała ochotę trzasnąć drzwiami, ale powstrzymała ją myśl o tym, że Konrad zainteresowałby się, co ją sprowokowało do takiego zachowania.

Wróciła do stolika. Szklanka była pusta.

– Wszystko w porządku? – spytał Konrad.

– Tak. Kaja zaraz wróci, wpadła jej do oka tłusta, obrzydliwa mucha. – Alicja się skrzywiła. – Musi poprawić makijaż. A jak kompot?

– Świąteczny! Typowo świąteczny, bardzo dobry. Ciocia może rozpocząć produkcję.

Alicja spojrzała w oczy Konrada, próbując dostrzec w nich wskazówkę, czy eliksir dostał się już do krwiobiegu. Ale nie wiedziała, czego szukać. Oczy miał chabrowe i spojrzenie tak głębokie, że mogłaby się w nim zatopić na dłużej. Przytrzymał jej wzrok, uśmiechając się lekko. Mimo że dzieliła ich odległość stolika, wyczuwała emanujące od Konrada ciepło, które zaczęło i ją ogarniać.

Działa! – nagle nabrała przekonania, że eliksir zrobił swoje i teraz już nic nie stanie na przeszkodzie, żeby rozkochać w sobie Konrada.

– Muszę lecieć – powiedziała, wciąż patrząc mu w oczy. – Ale mam jeszcze jedną sprawę. Chodzi o ten koncert Astatkego... Niestety, Dorota nie może przyjechać. Myślałam o Mariannie, ale ona też nie da rady.

– Więc?  
– Muszę oddać ci te bilety. Przepraszam. Naprawdę, bardzo bym chciała tam iść, ale nie mam z kim.  
– To może ze mną?  
– Och, nie śmiałybym cię o to prosić. Na pewno masz inne plany – wyszeptała, odwracając wzrok.  
– Nie mam planów na czwartek. Przyjadę po ciebie o osiemnastej. Może być?

Serce Alicji biło jak oszalałe. Czuła przepływającą przez żyły adrenalinę. Czwartek z Konradem. Nie do wiary.

– A może wolałbyś pójść z Kają? – zaryzykowała, pragnąc upewnić się, że eliksir działa. – Ja nie jestem aż taką fanką jazzu.

– Alicjo – miękki głos Konrada spowodował, że na chwilę przestała oddychać. – Czy zgodzisz się pójść ze mną na koncert?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Do zobaczenia w czwartek.

Wychodząc, prawie zapomniała o bolącej nodze. Czuła się unoszona przez latające w jej brzuchu motyle.

Ledwie wsiadła na rower i odjechała kilka metrów, zatrzymała się, żeby zadzwonić do siostry.

– Nie mogę teraz rozmawiać. – Głos Doroty mieszał się z hałasem ulicznym. – Próbuję złapać taksówkę. Coś ważnego?

– Dorota, to działa! – Alicja wydała z siebie stłumiony krzyk, przysłaniając dłonią usta i telefon.

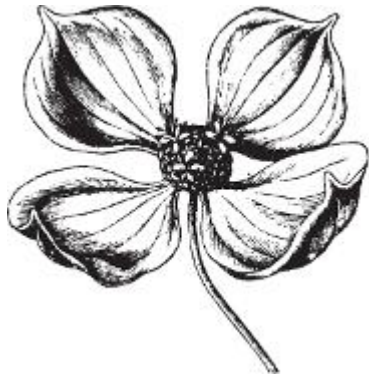
– Co działa?

– Elixir! Konrad zgodził się pójść ze mną na koncert!

– Zapodałaś? Ile?

– Końską dawkę, od razu zadziałał. Czuję się jak spiskowiec, ale jestem taka szczęśliwa. Jak ja się ubiorę w czwartek?

– Pożycz coś od Marianny. Kochana, stoję na Marszałkowskiej i ledwie cię słyszę. Taxi! Cholera, nie zauważył mnie – zaklęła. – W każdym razie jestem z ciebie dumna, że zaczęłaś działać! Trzymam kciuki! Żyj, kobieto, bo życie jest krótkie! Pa!



## *Rozdział 18*



Grzelak spodziewał się większej liczby zaginionych kobiet, ale po zawężeniu pola poszukiwania do osób płci żeńskiej w wieku od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu lat, bo na tyle określał przedział wiekowy Czarnej Marii, wyskoczyło mu zaledwie dwadzieścia jeden wyników. Dwie kobiety miały na imię Maria, ale żadna z nich nie przypominała wyglądem zaginionej. Przejrzał pozostałe zdjęcia i westchnął. Nie było wśród nich Czarnej Marii.

Może nikt jej nie szuka – przemknęło mu przez myśl. Dla spokoju sumienia wysłał do bazy zrobione z ukrycia zdjęcie Czarnej Marii, podając przy nim podstawowe informacje na temat przybliżonego wieku kobiety oraz jej wzrostu i wyglądu, dopisał swój numer jako osoby do kontaktu z ramienia policji i zamknął komputer. Na biurku leżała szara koperta z wydrukiem. Wyjął powiększone zdjęcie i przyglądał się przez chwilę. Czarna Maria siedziała na ganku Biblioteki, patrząc przed siebie. Nie potrafił kadrować, dlatego – żeby wyraźniej było widać jej twarz – powiększył fotografię do rozmiarów A4. Teraz żałował, że nie zrobił mniejszego formatu. Prościej byłoby go włożyć do kieszeni, kiedy ruszy w teren.

Jeszcze nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Logika podpowiadała mu, że gdyby Czarna Maria została rozpoznana we wsi, to dawno już by o tym wiedziano. A zatem może szukać w okolicznych wsiach i miasteczkach? Może gdzieś jeszcze nie dotarła w swoich wędrówkach?

Spojrzał na zawieszoną na ścianie mapę województwa z niebieszcącym się płatem jeziora w centralnym punkcie. Mazakiem zaznaczył trasę, którą pokonywała kobieta, ale nie dostrzegł w tym



jakiejś regularności. Z rozmów przeprowadzonych ze świadkami, jak lubił nazywać mieszkańców, wynikało, że raz chadzała na północ, raz na południe. Ponoć widziano ją także aż kilka kilometrów za jeziorem, co mogło oznaczać, że Czarna Maria nie ma ściśle określonego celu wędrowania.

A jednak... Zmrużył oczy, zapalił papierosa i podszedł do mapy. Czarne kreski flamastra biegły wzdłuż cienkich niebieskich niteczek. Rzeki i strumyki. To jej trasa. Niezależnie od kierunku, zawsze chodziła wzdłuż rzeki.

\*

Alicja odliczała dni. Czowała na przemian podekscytowanie i podenerwowanie z powodu czekającego ją wyjścia z Konradem. Tak dawno nigdzie nie wychodziła, nie mówiąc już o randkowaniu, że zupełnie nie wiedziała, jak powinna się ubrać, jak zachować i czego oczekiwać.

Zdecydowała się udawać przed Konradem, że spotkanie jest niezobowiązujące. Po cichu liczyła jednak, że eliksir spowoduje, iż Konrad odpowiednio zadba o atmosferę.

Nie przeliczyła się.

Wieczór we Wrocławiu uznała za bardziej niż udany. Była zauroczona i miastem, i muzyką Astatkego, a przede wszystkim samym Konradem, który okazał się jeszcze bardziej czarujący i uroczy niż mogła to sobie wymarzyć. Nie dość, że doskonale się bawiła, to czuła się adorowana, rozpieszczana, a w dodatku miała wrażenie, że Konrad najchętniej nie rozstawałby się z nią tego wieczoru. Widziała w jego oczach ogień, żar, który zapewne zapłonąłby jeszcze bardziej, gdyby zamiast zachowawczego całusa w policzek na pożegnanie, pozwoliłaby sobie na prawdziwy pocałunek.

Na samą myśl o tym poczuła dreszcze i przełknęła mimowolnie ślinę. Mogłam go pocałować – pomyślała z żalem. Przecież by mnie nie odrzucił, jest pod wpływem eliksiru. Wystarczyło poddać się chwili, odpłynąć. Całowałby mnie, całował... A potem...

Znowu poczuła dreszcze. Na samą myśl o namiętności, jaka mogłaby ich ogarnąć, dostała gęsiej skórki.

Nigdy czegoś takiego nie przeżyła, nawet w myślach. Teraz dawała upust fantazji, projektując w głowie miłosne scenariusze. Mogliby się kochać w samochodzie albo na ławce w parku. A może tutaj, w Polance, nad jeziorem lub w lesie.

Alicja, jadąc do Marianny, uśmiechała się sama do siebie. Czuła, że wszystko w niej śpiewa, a ona sama promienieje. Kilka razy omal nie spadła z roweru, ponieważ była zbyt zamyślona, żeby uważnie kierować, omijając zdradliwe dziury w drodze.

– Dzień dobry! – Usłyszała za sobą przyjazny krzyk Wojtaszkowej. Chciała odkrzyknąć, ale głos okazał się zbyt ochrypliwy i grząski. Uśmiechnęła się więc do sklepowej i skinęła głową.

Kiedy dojechała na Rynek i przejeżdżała obok studni, kierując się w stronę cukierni, skręciła delikatnie w lewo, żeby rzucić okiem na uliczkę, przy której znajdował się Angel's. Nie miała zamiaru odwiedzać Konrada, ale chciała chociaż spojrzeć na witrynę, żeby poczuć w brzuchu miłe ciepło i łaskotanie. Kiedy jednak jej wzrok pobiegł w tamtym kierunku, zamiast motylków poczuła w żołądku niemiły ucisk. Pod wejściem do restauracji stał samochód Kai.

Alicja, niewiele myśląc, docisnęła pedał i już po chwili parkowała swój rower obok samochodu koleżanki.

– Dzień dobry! – Weszła do środka i krzyknęła wesoło, starając się przybrać bez troski wyraz twarzy. Od razu zauważyła Kaję, która popijając kawę, rozmawiała z Konradem.

– Alicja. – Konrad na jej widok wstał i uśmiechnąwszy się szeroko, ruszył jej na powitanie. Kaja zagryzła wargi.

– Cześć, Ala – odkrzyknął Maciek. – Mamy świeżo zrobioną lemoniadę.

– Dziękuję. Ja tylko na chwilę. Wpadłam podziękować za wczorajszy wieczór – zwróciła się do Konrada i ostentacyjnie cmoknęła go w policzek. – Było naprawdę cudownie. Wciąż w uszach wybrzmiewa mi ta muzyka. Kto by pomyślał, że zostanę fanką jazzu...

– Cieszę się. – Oczy Konrada błyszczały. Zdziwiony nieoczekiwaną wizytą i tym bardziej nieoczekiwanym całusem, miał ochotę porwać Alicję w ramiona i unieść. Przez chwilę stali, wpatrując się w siebie i uśmiechając, dopóki głos Kai nie sprowadził ich na ziemię.

- Cześć, Alicja. Co tam u ciebie i u twojej córki? – spytała.
- Wszystko w porządku, dziękuję.
- À propos córki – Konrad podjął temat. – Niedaleko stąd rozbiło się wesołe miasteczko. Może pojedziemy jutro?
- Byłoby wspaniale.

\*

Telefon dzwonił od pięciu minut, ale Alicja, pochłonięta szykowaniem kolacji, nie słyszała nic oprócz własnych myśli. Była w kuchni sama. Matylda pobiegła do koleżanek, żeby pochwalić się jutrzejszym wyjazdem do wesołego miasteczka, a Józefina jak zwykle spędzała czas w piwnicy.

Na kuchennym stole pojawiały się kolejne wymyślnie przystrojone dania. Jajka na twardo w kołderce z majonezu i zielonymi akcentami groszku, żółty ser ułożony w spektakularne piramidki, szynka w rulonikach, twarożek ze szczypiorkiem i rzodkiewką oraz talerz kolorowych warzyw. Upieczony przez Józefinę chleb pokroiła dość grubo i wyłożyła kromki do koszyczka. Wstawiła wodę na herbatę.

- Ooo, a co to za święto? – Ciotka przystanęła w progu oniemiała.
- Żadne święto, ciociu. Miałam ochotę na przyjemną kolację.
- Ale aż tak? Trza było kanapki zwykle zrobić, też by się zjadło.
- Zjadło by się, zjadło. Ale miałam ochotę na coś bardziej odświętnego.

- No, ale co to za okazja? Urodziny, imieniny? Przegapiłam coś?
- A skąd. Żadna okazja. Tak po prostu. Zapraszam do stołu.– Alicja wskazała gestem krzesło. – Matysia też zaraz będzie.

– Tak bez okazji się natrudziłaś? – Ciotka nie mogła wyjść ze zdumienia.

– A bez okazji... Tak mi jakoś dobrze ostatnio. Poza tym – Alicja zniżyła głos – od kilku dni nie odpalałam komputera, a dziś po południu to zrobiłam i...

– Uznałaś, że niepotrzebnie – roześmiała się ciotka. – Że życie bez komputera jest o wiele przyjemniejsze.

– Może i tak – westchnęła Alicja. – Ale ja nie o tym. Niech sobie ciocia wyobrazi, że wpłynęły mi pieniądze na konto. Pierwsza transza za

moje ilustracje do książek, które kupiło niemieckie wydawnictwo. Całkiem sporo pieniędzy.

– Ach, czyli to tylko pieniądze, bo już myślałam, że może jaka miłość wprowadza cię w taki dobry stan.

Alicja poczuła, że się czerwieni, ale nie chciała przyznawać się ciotce, że w tym, co mówi, jest sporo prawdy. Zamiast tego uśmiechnęła się i powiedziała:

– W poniedziałek pojedę do miasta i wypłacę gotówkę z bankomatu. Chciałabym ci zapłacić za pobyt.

– A broń cię Panie Boże, żeby mi płacić! Jeszcze czego!

– Ale ciociu, ja wiem, że ty nie chcesz, i jestem bardzo wdzięczna, że nas gościsz. Jednak to teraz dla mnie naprawdę nie problem, żeby choć częściowo się odwdzińczyć.

– Ani mi się waż! Nie chcę żadnych pieniędzy! Oszalałaś? Dziecku do szkoły kup książki, plecak jaki, ubrania nowe, a nie mnie będziesz uszczęśliwiać. Mnie nie potrzeba.

– Potrzeba, nie potrzeba, ale przecież się przyda. Ja na książki i ubrania teraz już mam. A ciocia przecież zbiera na Australię.

Józefina spojrzała na Alicję w zamyśleniu i sięgnęła po pajdę chleba. Przez dłuższą chwilę milczała, skubiąc i przeżuując chleb.

– Przecież wiesz, że ja do żadnej Australii nie wyjadę – powiedziała w końcu ze słabym uśmiechem.

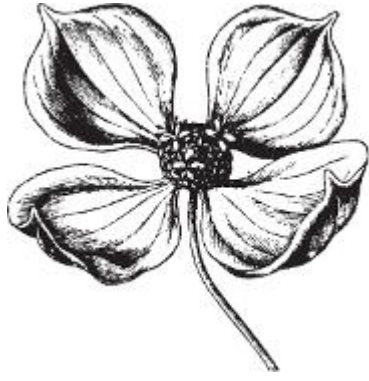
– Jak to?

Józefina wzruszyła ramionami i sięgnęła po kolejną kromkę chleba. Na talerzyku przed nią pojawiały się okruszki, które zbierała i gniotła w palcach, zanim włożyła do ust.

– Nie rozumiem – drążyła temat Alicja. – Przecież mówiłaś, ciociu, że właśnie na to zbierasz pieniądze, że chcesz pojechać do Marka, poznać wnuki...

– Bo chcę. Bardzo chcę. Ale nie pojedę. Za stara już jestem. Nie wytrzymałabym tak długiej podróży. Nigdy nie leciałam samolotem. Poza tym, nie chcę lecieć tam ze świadomością, że mogłabym nie wrócić. Co wtedy byłoby ze Stasiulką? Gdybym umarła na obcej ziemi, kto mi da gwarancję, że spocznę obok męża? Marek to dobry chłopak, ale... Nieważne. W każdym razie nie pojedę.

- Ale bardzo ci na tym zależało. Tyle lat odkładania pieniędzy...
- Przydały się. Za pierwszym razem, kiedy udało mi się uzbierać odpowiednią kwotę i właściwie już byłam zdecydowana na lot, pomyślałam sobie, że nie mogę polecieć, dopóki nie kupię Stasiulkowi porządnego nagrobka. Ty wiesz, ile kosztuje granit?
- Wujek ma piękny nagrobek – przyznała Alicja, a Józefina z dumą pokiwała głową.
- Drugim razem z kolei przekazałam pieniądze Markowi. Jego starszy syn, Robert szedł na studia... Powiedziałam, że to po Stasiulku jeszcze. Że niby ze sprzedaży obrazów. A teraz lekarz mi powiedział, że z moim nadciśnieniem to może być podróż w jedną stronę... Nie polecę. Trudno.
- A oni nie mogą przylecieć?
- Marek był. Dwa lata temu. Ale chłopcy... No wiesz, młodzież ma swój świat, co ich obchodzi stara baba, której nawet nie znają.
- Przykro mi.
- Takie życie. – Józefina zagryzła wargi. – Powiedz lepiej, kochanie, ja tam z Konradem sprawy się mają? Widzę, że przyjaźń kwitnie? Sam zaproponował wesołe miasteczko?
- Sam. – Alicja się zmieszała. Miała nadzieję, że ciotka nie zauważyła tych kilku brakujących mililitrów eliksiru i nie domyśla się, jaka jest prawda.
- To miły chłopak – przyznała Józefina. – Przeprowadził się tu? Będzie prowadził restaurację?
- Nie wiem.
- Ale lubisz go? – dopytywała ciotka.
- Lubię, ciociu. – Alicja wzruszyła ramionami. – Przyjemnie spędziliśmy czas na koncercie, dobrze nam się rozmawia...
- Ja jestem chętna, żeby siedzieć z Matyldą, więc jakbyś miała ochotę wyjść gdzieś wieczorem...
- Dziękuję. – Alicja parsknęła śmiechem, zauważywszy, że ciotka wyraziście puszcza do niej oko.



## Rozdział 19



Żdźbło trawy łaskotało Alicję w nos, kiedy leżała na łące i rozmarzonym wzrokiem podążała za leniwie płynącymi chmurami. Zapach trawy, chabrów i maków mieszał się z zapachem lasu, na obrzeżach którego rozłożyła koc. Tuż za jej głową wrzeszczały dzieciaki, przekomarzając się, kto z nich znalazł najwięcej suchych gałęzi. Nie przeszkadzały jej te krzyki. Wręcz przeciwnie – przywodziły na myśl wrzawę wesołego miasteczka, w którym spędzili niemal cały wczorajszy dzień. Matylda była zachwycona łańcuchową karuzelą i strzelnicą, w której Konrad ustrzelił dla niej błękitnego misia. Drugiego chciał wygrać dla Alicji, ale się nie udało i musieli zadowolić się nagrodą pocieszenia w postaci plastikowego wiatraczka.

– Mamo, czy tyle wystarczy? – Głos Matyldy wyrwał Alicję z zamyślenia. Podniosła się z koca i podeszła do stojącej nieopodal taczki.

– Mało – oceniła. – Powinna być cała taczka. Do roboty! – Z uśmiechem patrzyła za zgrają, która nie czekając na dalsze polecenia, pobiegła w stronę lasu, żeby już po chwili wrócić z kolejną porcją chrustu. Bez narzekania zapełniali taczkę, aż w końcu Alicja zarządziła przerwę.

– Pierwsza partia gotowa. Zawiozę, a wy w tym czasie zbierajcie kolejne gałęzie i układajcie tutaj. – Brodą wskazała wyznaczone miejsce.

– Aż tyle ma być? – wyjęczała Matylda.

– Oczywiście. Chyba że chcecie malutkie ognisko.

– Malutkie to nie – zaprotestował Michał. – Chcemy porządne, wielkie ognicho!

– Dlatego musicie jeszcze trochę zebrać. Wyładuję i wracam.

Alicja podźwignęła taczkę, dziwiąc się, że wcale nie jest aż tak ciężka, jakby się tego spodziewała. Gałęzie wypełniały ją niemal po brzegi, jednak objętość nie przekładała się na masę. Obróciła taczkę o sto osiemdziesiąt stopni i pociągnęła za sobą w kierunku domu bliźniaków.

Karolina Zadura stała w kuchni i w myślach biadoliła nad swoją siostrą, Patrycją, która już trzeci raz przysłała jej niechcianą paczkę z jedzeniem. W niewielkim kartonie jak zwykle znajdowały się dziwaczne wiktuały w porcjach tak mikroskopijnych, że nawet jeśli Karolina pokusiłaby się o jakiś przepis na francuskie wykwinne danie, to starczyłoby może na pół porcji dla jej postawnego i wiecznie głodnego małżonka. Karolina roześmiała się w duchu, myśląc o upartym charakterze siostry. Odkąd Patrycja zamieszkała na francuskiej wsi, stała się zagorzałą francuską patriotką. To nic, że nie mówiła jeszcze w tym języku, a z mężem komunikowała się strzępkami angielskiego lub na migi. Ważne, że mieszkała za granicą i to za tą lepszą, w jej mniemaniu. Jak próbowała przekonać i Karolinę, i resztę rodziny, wszystko było tam lepsze. I pogoda, i ludzie, i zwyczaje. No i kuchnia. Och, kuchnia, to już w ogóle. Nie jakieś tam kotlety czy kapusta. To ślimaczki, żabie udka, trufle, mule, delikatnusia wątróbeczka w winie – prawdziwe rarytasy, delicje, którymi się trzeba delektować, a nie zajadać nimi, jak to zwykło się robić w Polsce.

Do swoich racji Patrycja przekonywała rodzinę pochylona nad aromatycznym schabowym, głównym punktem obiadu podczas komunii bliźniaków w maju. Mimo że zjadła całego i nawet poprosiła o dokładkę, to nie omieszkała zaznaczyć, że taki kotlet to zabójstwo dla zdrowia, a cała kuchnia polska to obraz najgorszych nawyków. Tłuszcz, tłuszcz i jeszcze raz tłuszcz. Nie to co u nich, we Francji, gdzie do przyrządzania chudych i zdrowych dań podchodzi się z należytą estymą i nikt się tam nie obżera, a co najwyżej podje troszkę, żeby zostawić na języku posmak jednego czy drugiego cuda.

Ponieważ jednak Karolina i jej mąż zgodnie te cuda obśmiewali, Patrycja wzięła sobie za punkt honoru przekonanie ich do francuskich delikatesów. „Sama zobaczysz, że się rozsmakujesz, Karolciu” – mówiła z przekonaniem. „Wszystkiego trzeba w życiu spróbować, a kuchnia



francuska to prawdziwy majstersztyk, szkoda, że nie możecie do nas przyjechać, ja rozumiem żniwa, Jeana też to przecież czeka, ale przynajmniej przyślę ci raz czy dwa jakąś paczkę, to chociaż w ten sposób posmakujesz”.

Karolina, owszem, może by posmakowała, ale produkty, które znajdowała w paczkach nie poruszały jej wyobraźni na tyle, żeby przyrządzać z nich jakieś potrawy. Spróbowała raz ślimaka i wypluła, spróbowała dodać do mięsa francuską przyprawę, ale Grześkowi to nie podeszło. Tak samo jak ser, który tylko powąchali i natychmiast wylądował w koszu. Inne rzeczy porozdawała albo wyrzuciła.

Mówiła siostrze, że szkoda pieniędzy na te cholerne paczki, z których i tak nie korzysta, ale tamta uparcie twierdziła, że trzeba się przemóc, bo polskie, chłopskie, twarde podniebienie nie jest przyzwyczajone do tych smakołyków, ale powoli trzeba je oswajać.

Karolina przymknęła wieczko pudełka i wstała, żeby rozprostować kości. Nalała sobie kompotu, uchyliła szerzej okno, żeby zrobić przeciąg.

Zauważywszy w ogrodzie Alicję, westchnęła z niechęcią. Tam Francja-elegancja, a tutaj hrabianka-warszawianka – pomyślała, obserwując sąsiadkę, która zamiast przechylić taczkę i wyrzucić z niej drewno, delikatnie wyciągała pojedyncze gałązki i równiutko układała je nieopodal miejsca na ognisko.

Przez chwilę przyglądała się Ali, zaśmiewając się w duchu z jej nieudolności, ale nagle naszła ją myśl, że może ta warszawianka nie jest taka damulkowata, jak wcześniej myślała. W końcu przywlekła tu te badyle, a teraz w upale szykuje zawzięcie ognisko, żeby dzieciaki miały frajdę.

Pod wpływem impulsu Karolina wychyliła się z okna i krzyknęła:  
– Pani zajdzie na szklanekę kompotu! W taki skwar to trzeba dużo pić. A ja mam świeży kompocik z truskaweczek z własnego ogródka.

– Nie odmówię. – Alicja się uśmiechnęła, bo rzeczywiście po dwóch kursach z taczką okrutnie chciało jej się pić. Butelkę z wodą zostawiła dzieciom, które nabrawszy wprawy w znajdowaniu gałęzi, postanowiły pobawić się dłużej i wybudować dający cień prawdziwy szałas.

W kilku susach dopadła drzwi wejściowych i już niebawem znalazła się w zadbanej, jasnej kuchni.

– Zapraszam. Niepotrzebnie się pani tak męczy. Mąż wróci z pola, to im naznosi chrustu. – Karolina uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Nie ma problemu, dzieciaki mają frajdę, ja też. A państwo już i tak wiele zrobili, godząc się na to ognisko. Zapewne przyjdzie kupa dzieciaków.

– E tam, kupa. Kilku ledwie, reszta na koloniach albo na wywczasach. Pani sobie usiądzie. – Podsunęła taboret. – A może pomidorka pani skosztuje? Naprawdę pyszne.

– Dziękuję, kompot wystarczy, rzeczywiście upał straszny.

– Ale deszcze zapowiadają na środek. To i dobrze, nie trzeba będzie podlewać. Najgorsza jest susza. I jak kompocik?

– Pyszny.

– Nie ma to jak nasze polskie truskawki, prawda?

– Prawda – przytaknęła Alicja.

– I pomidorki, ogóreczki, rzodkieweczki. Albo ta kiełbaska. Niech pani tylko powącha. – Wyjęła z lodówki spory pakunek i podsunęła Alicji pod nos. – Świeżutka. Wojtaszek rano przywiózł. Prawdziwa, swojska kiełbasa, idealna na ognisko.

– Pysznie pachnie.

– No. Prawdziwa kiełbasa. Polska. A nie jakieś dziwactwa, nie wiadomo co. Pani tylko patrzy. – Podniosła się i zaczęła wyciągać niewielkie słoiczki, ze stojącego na kuchennym blacie pudełka od siostry.

– A co to jest? – zainteresowała się Alicja.

– No mówię właśnie. Nie wiadomo, co. Siostra moja za Francuza wyszła, pani sobie wyobrazi. Jakby chłopów tu u nas było mało. To nie, musiała pojechać do Francji i tam se przygruchać. Do roboty pojechała trzy lata temu na winogrona. Wcale tak dużo nie płacili – przyznała, marszcząc usta. – No, ale popracowała krótko, bo zaraz tego Jaśka, Jean mu na imię, ale ja to Jasiek mówię, poznała. No i teraz Francuzką jest nasza Patrysia. Żeby jeszcze w Paryżu mieszkała, to nie, bo on, proszę pani, zwykły rolnik. Zwykły, nawet nie taki od winnic. Zwyczajny, najzwyczajniejszy. Jakby u nas takich nie było... – Pokręciła głową

z dezaprobatą. – Na wsi mieszkają. Nawet nie potrafię wymówić nazwy. Ale co to za wieś, jak takich truskawek jak u nas, to nie ma.

– Takich jak w Polsce to nigdzie nie ma.

– Otóż to – przyznała z zadowoleniem Karolina. – Ale Patrycja za truskawkami nie tęskni. Ona teraz wielka Francja-elegancja, proszę pani. Że niby u nich we Francji to nawet na wsi srebrne patery i półmiski, białe obrusy do obiadu. A na stole francuskie pasztety i jaja przepiórcze, a nie tak, jak u nas, kluchy albo zalewajka. Akurat – prychnęła, wyjmując z pudła kolejne francuskie wiktuały. – I przysłała mnie toto nie wiadomo, po co. Co to jest w ogóle? – Pokręciła głową. – Może pani chce ślimaczki w zalewie?

– Ślimaczki w zalewie?

– O, proszę. Puszka. A nawet dwie tym razem. Jakbym ja się tym co najmniej zajadała. Mówiłam jej, żeby nie słała tego cholerstwa, bo idzie na zmarnowanie. A ona do mnie, że trzeba się przemóc i świata innego pokosztować, a nie w kółko tylko te ziemniaki i kotlety. A mój stary właśnie najlepiej to kotlety lubi. I w grubej panierce żeby były. A nie jakieś ślimaki w zalewie. Ślimaki to ja jej mogę wysłać. Z ogródka, świeżutkie. Po deszczu to z kilogram by uzbierał. Dziennie.

Alicja się roześmiała.

– Dziękuję za ślimaczki. Też mam pod dostatkiem w ciocinym ogródku. Ale na ognisko nie uzbierałam – powiedziała, puszczając oko. – Zdecydowanie wybieram kielbaskę.

– No. – Karolina klasnęła. – Czyli że pani normalna. Bo myślałam, że może wy tam, w Warszawie, delikatniejsze macie żołądki. Przynajmniej tak się u nas gada, że ludzie w miastach to powariowali. Moda podobno nastała, że wszystko bez tłuszczu, a chleb to tylko czarny.

– A tam, delikatniejsze – zaśmiała się Alicja. – Niejeden miastowy rękę dałby sobie uciąć za prawdziwego świniaka.

– Och, to nie jest tak źle – ucieszyła się Karolina. – Moja siostra to już pewnie świniaka do ust by nie wzięła. W głowie jej się przewracało. Ale jeszcze zatęskni, zatęskni, mówię pani. Zresztą nie wierzę, żeby się zajadała tymi ichnimi serami. Pani wie, jak to cuchnie? Jak buty mojego męża, kiedy wraca z pola – zarechotała. – O, zaraz pani

znajdę, gdzieś tu miałam taki kawałeczek śmierdziucha. – Zaczęła grzebać w pudełku, wyjmując i stawiając na blat kolejne paczki i słoiczki.

Alicja z uśmiechem przyglądała się całej operacji, nie będąc pewna, czy w ogóle ma ochotę wachać taki mocno śmierdzący ser. Nagle jednak jej wzrok padł na jeden ze słoiczków i zmrużyła oczy.

– A to co? – spytała, wskazując palcem zanurzoną w przezroczystym płynie ciemną grudkę.

– Trufla. – Karolina podniosła słoik na wysokość oczu. – Czy pani da wiarę, ile to kosztuje? Ponoć najdroższy grzyb świata.

– Najdroższa to jest chyba biała – zauważyła Alicja.

– Ja tam się nie znam. Próbowала pani? Przecież to ani nie pachnie jak grzyb, ani nie smakuje. Za pierwszy razem ugryzłam, pomiętoliłam w ustach, ale wyplułam. A siostra wyśmiała mnie przez telefon, że to profanacja. Przysłała drugi raz i kazała dodać do makaronu.

– Dodała pani?

– A gdzie tam! Makaron z jednym grzybem? Nawet nie starczyłoby na sos. Po cholere mi jedna trufla? Już nawet nie chce mi się dyskutować z tą moją Patrycją, bo ona nierozumna w tym względzie kompletnie.

– Ja też się nie znam – westchnęła Alicja. – Mimo że kiedyś sporo gotowałam, to nie wiedziałabym, co można zrobić z taką truflą...

– No, u mnie się w końcu przydała – roześmiała się perliście sąsiadka. – Jak mój stary zaczął gadać, że to dziadostwo takie drogie, to Michałek szybko podchwycił temat. „Mamo, to może zasadzimy i wyrośnie nam więcej. Sprzedamy Francuzom za euro”. Wie pani, jak to dzieciaki. U nich wszystko proste. To mówię – a sadź sobie Michasiu, niech ci wyrośnie. I dałam mu. Niech ma dzieciak radochę. Teraz się ekscytują, że za rok będą bogaci i Michał sobie kupi Gwiazdę Śmierci Lego, a Ewa taką zabawkę, zapomniałam jak tam się ona nazywa, w telewizji reklamę widziała, taka gadająca...

– Zakopali? – zainteresowała się żywo Alicja, czując, jak zaczynają pulsować jej skronie.

– Dwa tygodnie temu ledwie, więc liczę, że do przyszłego lata zapomną. A jeśli nie, to się im powie, że lisy wygrzebały i dlatego

innych trufli ni ma. – Karolina skrzywiła się zabawnie i rozłożyła ręce.

– Ale gdzie zakopali? – dopytywała nerwowo Alicja.

– W lesie. A co? Chce pani ją odkopać? To przecież ja pani dam świeżą, w słoiku. Proszę bardzo. Mnie tam ona na nic. I tak bym wyrzuciła.

– Nie, nie, dziękuję. Ja tak z ciekawości pytam. W którym lesie zakopali?

– Przy jeziorze – odpowiedziała Karolina wolno, niepewna intencji Alicji. Skoro twierdzi, że nie chce odkopywać, to po co się tak dopytuje?

– Przy jeziorze? – Alicja niemal krzyknęła.

– A co to, nie wolno? Przecież grzyba zakopali, a nie minę piechotną. Zabronione to, czy jak?

Karolina usiadła, czując wzmagające podenerwowanie. Czego ta baba chce? Po cholere w ogóle ją było zapraszać. Niby normalna, a jednak okazuje się, że wariatka.

– Nie zabronione, oczywiście, że nie – powiedziała z uśmiechem Alicja, zorientowawszy się po minie sąsiadki, że jej nerwowe pytania mogą się wydawać cokolwiek dziwaczne. – Tylko zastanawiam się, dlaczego przy jeziorze? Przecież to daleko. Ma pani las pod nosem...

– A pani to widać, że jedno dziecko ma, a nie bliźniaki.

– A co to ma do rzeczy?

– Bo jakbym im powiedziała, żeby zakopali pod nosem, to poszliby i wrócili za pięć minut, a tak... dwie godziny spokoju. Trzeba było tylko powiedzieć, że trufle lubią wysoką wilgotność i dlatego trzeba ją zakopać w lesie nad jeziorem – zachichotała. – Dzieci łykną wszystko.

\*

Komendant Grzelak był zmęczony i zrezygnowany. Napędzająca go do tej pory wizja sławy przeradzała się w ponurą frustrację, ponieważ śledztwo w sprawie Czarnej Marii nie posunęło się naprzód nawet o milimetr. Mimo że zjeździł rowerem dziesiątki kilometrów, mimo że pukał niemal od drzwi do drzwi w każdej wsi, która leżała nieopodal rzeki, to nikt nie kojarzył kobiety ze zdjęcia. Owszem, rozpoznawali w niej Czarną Marię, ale jako bezdomną a nie poszukiwaną lub kogoś poszukującą.

Zrobił jej zdjęcie z ukrycia, kiedy siedziała na schodach domu-biblioteki. Miał nadzieję, że w końcu trafi się ktoś, kto z rozczeniem powie: „Ojej, to moja zaginiona matka, babka, ciotka... Dziękuję, panie komendancie, szukaliśmy jej od wielu lat. Dokonał pan prawdziwego cudu”.

Niestety, mimo że ludzie byli chętni do współpracy i z zaciekawieniem oglądali zdjęcie, to żaden z nich nie wypowiedział tak wyczekiwanych przez Grzelaka słów.

Czując, jak dzień po dniu uchodzi z niego coraz więcej zapachu, odwiedzał kolejne rodziny bez towarzyszącego mu na początku entuzjazmu.

Teraz stał, przecierając zwilżoną chusteczką spocony kark, i beznamiętnie wpatrywał się w ujadającego przy furtce prowadzącej do domu z czerwonej cegły psa.

– Pan do kogo? – Usłyszał skrzekliwy kobiecy głos, który usiłował przekrzywić hałaśliwego kundla.

– Do królowej angielskiej – mruknął pod nosem Grzelak, próbując dostrzec właścicielkę głosu.

– Fafik, do budy! – Niewysoka, pulchna, około sześćdziesięcioletnia kobieta wyszła z domu, machając ścierką na psa. – Do budy! Pan do kogo? – ponowiła pytanie, zbliżając się do furtki. – Ach, to przecie pan komendant z Polanki! – krzyknęła nagle, rozpoznawszy Grzelaka. – Proszę, proszę, niech pan zachodzi! A co się stało, że pan do nas? Zabójstwo jakie we wsi czy co? – roześmiała się chrapliwie.

Grzelak wziął oddech, żeby coś powiedzieć, ale kobieta nie przestawała trajkotać.

– Mój Boże, ależ pan spocony. Leje się z pana! Po co to było w taki gorąc długie spodnie wkładać? Ja już pana zara schłodzę, pan idzie za mną. Najlepsza maślanka...

Grzelak posłusznie wszedł do domu, gdzie panował spory rejwach. Kilkoro dzieci – prawdopodobnie wnucząt – biegało, przekrzykując się i kłócąc o coś. Pod nogami przemykały dwa koty i pies, podobny do tego, który wcześniej ujadał na podwórzu.

– Wynocha mi z kuchni, wszyscy! – Kobieta nieznoszącym

sprzeciwu głosem błyskawicznie rozgoniła towarzystwo. Przetarła ścierką drewniane krzesło i usadziła Grzelaka przy odrapanym stole. Już po chwili pojawił się przed nim talerz młodych ziemniaków posypanych koperkiem i szklanka maślanki.

– Pan je i pije, zara nabierze sił.

Grzelak na widok jedzenia poczuł dotkliwy głód i nie czekając na powtórne zaproszenie, zabrał się za pałaszowanie. Widać było, że mu smakuje.

– A co komendanta do nas sprowadza?

– A to. – Grzelak przełknął porządny łyk maślanki i położył na stole wyświechtane już mocno zdjęcie. – Poznaje ją pani?

– Z raz ją może widziałam... – Kobieta zrobiła zatroskana minę. – A co?

– Próbuję ustalić, kim jest.

Kobieta wzruszyła ramionami i odłożyła zdjęcie.

– A to ona nie wie, kim jest?

– No właśnie nie wie i w tym cały problem.

– Ech, ludzie to mają problemy – westchnęła kobieta i dołała Grzelakowi maślanki.

W tej samej chwili do kuchni wszedł stary, przygarbiony mężczyzna i szurając nogami, podążył w stronę kuchenki. Nie zwrócił uwagi na siedzącego przy stole Grzelaka.

– A ojciec co mi tu do garów zagląda? – krzyknęła kobieta. – Przecie dopiero co jedliśmy, już tatuś zapomniał?

Staruszek odłożył pokrywkę i rozejrzał się bezradnie po kuchni.

– Nie może się ojciec przejadać – wyjaśniła spokojniejszym głosem kobieta. – Lekarz zakazał. Herbatki zrobię. I kawałek strucli dam, ale tylko kawałeczek. – Spojrzała groźnie. – Niech ojciec siada.

Mężczyzna z westchnieniem opadł na krzesło. Spojrzał krzywo na Grzelaka, ale zaraz uśmiechnął się, puszczając do niego oczko, niczym dzieciak, któremu udało się wytargować kolejną porcję lodów.

Grzelak nie bardzo wiedział, jak się zachować, dlatego zamiast odwzajemnić uśmiech, zapchał sobie usta ziemniakami i w milczeniu przeżuwał. Chciał jak najszybciej stamtąd wyjść, jednak pokusa dokończenia posiłku była zbyt silna, żeby wstać od stołu, nie kończąc

jedzenia.

Staruszek, w oczekiwaniu na herbatę i ciasto, wystukiwał bliżej nieokreślony rytm, uderzając długimi i niezwykle chudymi palcami w stół. Nagle jego uwagę zwróciło leżące tam zdjęcie. Zaprzestał stukania i podniósł fotografię, po czym oddalając ją od twarzy, zmrużył oczy.

– Toż to dom Michalskich – powiedział ledwie słyszalnym, zachrypniętym głosem.

– Zna pan tę kobietę? – ożywił się Grzelak.

– Toż to dom Michalskich – powtórzył starzec, jeszcze bardziej oddalając zdjęcie od twarzy.

– Pan się pyta, czy ojciec zna tę kobietę na zdjęciu! – krzyknęła gospodyni, stawiając przed staruszkiem szklankę z herbatą.

– Nie znam.

– Szkoda – mruknął Grzelak i dopił do końca maślankę.

– Oj, pamiętam Michalskich, pamiętam. W pani Michalskiej to się wszystkie chłopy we wsi kochały – ciągnął staruszek. – Wielcy państwo byli. Szanowani. Piękny dom. To tera ta pani tam mieszka? – zainteresował się.

– Nie. To bezdomna, próbuję ją zidentyfikować. A dom służy we wsi za bibliotekę – wyjaśnił uprzejmie Grzelak, zerkając z zazdrością na kawałek strucli, która pojawiła się na stole obok szklanki z herbatą. – No cóż, dziękuję państwu za gościnę, na mnie już pora. – Odchrząknął i wstał.

– Ale może spróbuje pan ciasta? Świeżo upieczone – zachęcała krzątająca się po kuchni kobieta. – Zaraz dla pana ukroję.

– Właściwie nie powinien, jestem na diecie...

– A tam, dieta to dla kobit! Mężczyzna to powinien zjeść! – roześmiała się gospodyni, stawiając przed Grzelakiem potężną porcję strucli.

– No może... Nie wypada odmówić.

– Michalski lekarzem był, zęby rwał, ale i pijawki umiał stawiać, jak trza było... – ciągnął staruszek, nie zważając na to, że nikt go nie słucha. Wpatrywał się w zdjęcie i najwyraźniej odpłynął we wspomnienia. – Dobrze im się powodziło. Nawet z Opolą przyjeżdżali



się do niego leczyć. Nikomu nie odmawiał, dobry człowiek był. A pani Michalska, ech, co za kobieta... Prowadziła mu rachunki, ale jak kto chory nie miał z czego zapłacić, to nie odmawiała. Dobrzy ludzie byli. Raz mnie pogoniła, kiedy z chłopakami kradliśmy czereśnie z ich ogrodu. Ale z uśmiechem pogoniła. Krzyczała, że brzuchy nas rozboła po kradzionych i doktor na pewno nie przyjmie. – Staruszek odłożył zdjęcie i przyknął oczy.

– Już ojciec nie gada, tylko pije herbatę, bo stygnie.

– Pyszna strucla – pochwalił Grzelak.

– A, dziękuję, to własny przepis. Dodaję ździebko takiej ostrej przyprawy, pieprzu cayenne, ułatwia trawienie. Kto by kiedyś pomyślał, żeby dodawać do ciasta – roześmiała się kobieta. – A mnie się kiedyś niechący sypnęło, bom myślała, że to cynamon. Jak się zorientowałam, to zaczęłam wyjmować łyżeczką, ale trochę zostało i proszę, jakie pychoty. Niby nie czuć, a jednak coś czuć...

– Albo jak żeśmy z chłopakami biegali za piłką i Zygmunt Bieruch nogę przetrącił – kontynuował w zamyśleniu staruszek – to doktor od razu przybiegł, bo Zygmunt głos miał donośny, w całej wsi było go słychać, jak się darł z bólu. I doktorowa też przyleciała z kompotem, żeby się Zygmunt napił... Dobrzy ludzie to byli. A takie nieszczęście, takie nieszczęście... Toż człowiek nie może pojąć, dlaczego dobrym ludziom nieszczęścia się trafiają, a złych ni diabeł nie rusza... – Staruszek zamilkł i przełknął napływające do gardła łzy. – Dobrze, że chociaż jedno dziecko im zostało... Zawsze to jakaś pociecha... A dwie takie śliczne dziewczuszki były. Kokardy takie zawsze doktorowa im wiązała. – Staruszek ożywił się i zaczął gestykulować. – Takie fikuśnie związane. Zosia i Marysia im było. Zosia to taka poważna była, w doktora chyba poszła. A Manusia to rozszczebiotana, uśmiechnięta, raczej w doktorową, tak ludzie mówili... Takie nieszczęście...

Grzelak, skończywszy jeść, odsunął krzesło i spojrzął ze współczuciem na pomarszczonego staruszka. Schował zdjęcie do teczki, uśmiechnął się w podziękowaniu do gospodyni i już miał wychodzić, kiedy coś go tknęło i przystanął w pół kroku. Odwrócił się do starca, przez chwilę patrzył na niego w milczeniu, po czym wrócił do stołu.

– Pan mówi, że jak miały na imię te córki doktorostwa? – spytał

donośnie, żeby staruszek usłyszał.

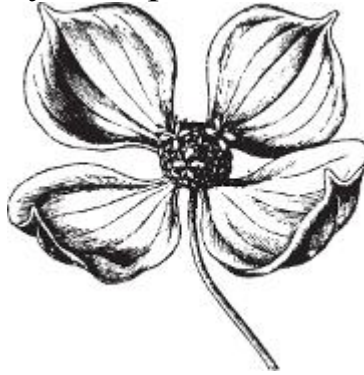
– Zosia i Marysia. Piękne dziewczuszki. Takie nieszczęście.

– Marysia... – powtórzył w zamyśleniu Grzelak. – Maria.

Nie zauważając zdziwionej miny gospodyni, usiadł z powrotem na krześle i wyjął z teczki fotografię.

– Jest pan pewien, że ten dom na zdjęciu to dom Michalskich?

– Ano ich, a jakże. Tu jeszcze, o – mężczyzna wskazał chudym palcem drzewo, które weszło w kadr – rośnie czereśnia, cośmy z niej owoce kradli. Szybsi byliśmy od szpaków.



## *Rozdział 20*



Błękitna suknia Matki Boskiej jaśniała w promieniach przedpołudniowego słońca. Odnowiona kapliczka powodowała niekłamany zachwyty u wszystkich, którzy ją podziwiali.

Alicja była dumna ze swojego dzieła. Zrobiła telefonem pamiątkowe zdjęcie. Przez moment nawet błysnęła jej myśl, czy nie zająć się tego typu renowacjami zawodowo, szybko jednak uzmysłowiła sobie, że taka praca wiązałaby się z uciążliwymi podróżami. Poza tym, trudno byłoby zapewne znaleźć klientów, którzy płaciliby gotówką, a nie tylko dobrym słowem.

– Pięknie wyszło – przyznała pani Krystyna, ustawiając pod kapliczką biały ceramiczny wazonik wypełniony świeżo ściętymi kwiatami. – Trochę to trwało... – westchnęła mimochodem – ale warto było czekać. Naprawdę dziękujemy, pani Alicjo. To wielka rzecz. Jestem pewna, że Pan Bóg to pani wynagrodzi.

– A i od nas taki symboliczny upominek – dodała, stojąca obok niej siwa babuleńka, otulona, mimo upału, kolorową chustą.

Alicja wzięła zawiniątko, które okazało się opakowanym w płócienny worek różańcem.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się, prezentując zebrany migoczące w słońcu czarne koraliki.

Rozległy się brawa. Po chwili kobiety, które tego poranka przyszły wraz z Krystyną podziwiać odmalowaną kapliczkę, ustawiły się pod miniaturowym płotkiem i odśpiewały rzewną pieśń na cześć Maryi.

Alicja stała przez chwilę w milczeniu, ale kiedy napotkała wzrok Krystyny, uśmiechnęła się przepaszająco i gestem dała jej znak, że na nią już pora.

Wsiadła na rower i ruszyła w kierunku ulicy Kwiatowej.

Poprzedniego wieczoru długo biła się z myślami, czy powiedzieć Kai o tym, czego dowiedziała się od sąsiadki. Pole trufli nie istnieje, to tylko jeden grzyb, zakopany przez dzieci – te słowa ciągle huczały jej w głowie. Z jednej strony nie miała ochoty ponownie spotykać się ze znienawidzoną obecnie Kają, a z drugiej zrobiło się jej żal dziewczyny, która już i tak przeszła wystarczająco dużo stresów. Kolejne inwestycje poczynione w celu poszukiwania przez nią trufli okażą się porażką.

Ostatecznie Alicja uznała, że byłoby nie fair, niezależnie od tego, jak bardzo nie lubi Kai, nie ostrzec jej przed finansową klapą.

Postawiła rower pod furtką, wzięła kilka głębokich oddechów dla dodania sobie otuchy i nacisnęła przycisk dzwonka. Dopiero po kilkunastu sekundach otworzyły się drzwi i najpierw wyskoczyła z nich Daisy, a wkrótce po niej Kaja. Mimo wczesnej pory, bo dochodziła dopiero jedenasta, koleżanka wyglądała nienagannie. Ubrana była w krótką, żółtą sukienkę i efektowne, wiązane za łydkach brązowe espadryle na lekkim obcasie.

– Ojej, a kogóż to moje oczy widzą? – spytała sarkastycznie Kaja, zbliżając się do furtki. – Nie do wiary!

– Nie przyjechałam z towarzyską wizytą – wyjaśniła Alicja, nie siląc się na uśmiech. – Wpadłam tylko na chwilę. Uznałam, że powinnaś o czymś wiedzieć...

– Ho, ho, ho. Powinnam o czymś wiedzieć – weszła jej w słowo Kaja, śmiejąc się tubalnie. – A to ciekawe – parsknęła. – No to wyobraź sobie, że już wiem.

– Już wiesz?

– Tak się składa, że wiem już wszystko. I obawiam się, że twoja wizyta nic nie zmieni. Właśnie wybieram się do Konrada, sądzę, że jego też zaciekawi twoja tajemnica.

Alicja przełknęła ślinę, próbując przetrwać słowa Kai. Nie rozumiała z nich nic, ale pewność, z jaką zostały wypowiedziane, wskazywała, że koleżanka mówi poważnie i rzeczywiście wie coś, co wprawia ją w taki dobry humor. Raczej nie chodziło o trufle.

– Do Konrada – powtórzyła niepewnie Alicja, mając nadzieję, że to skłoni Kaję do jaśniejszego wyrażenia myśli. Nie myliła się.

– Do Konrada – przytaknęła Kaja, uśmiechając się szyderczo. Pod furtką skakała Daisy, starając się zwrócić na siebie uwagę. – Jak myślisz, co powie, kiedy dowie się, że to całe jego zauroczenie twoją osobą to pic na wodę? Że został podstępnie i brutalnie napojony jakimiś bliżej nieokreślonymi ziołami, które spowodowały u niego zaćmienie? Ojoj, zbladłaś... – wymruczała, udając troskę. – Myślałaś, że jak tu przyjedziesz i powiesz mi, co zrobiłaś, to odpuszczę, bo uznam że nie mam szans? Za bardzo ci przeszkadzałam, kręcąc się obok Konrada, co? Może wspomniał, że jestem fajna, he? I to cię wkurzyło? Twój tok myślenia może i byłby słuszny, bo pewnie każda inna na moim miejscu by się wycofała. Jak tu mieć szanse w obliczu takich metod? Ale znalazłam sposób. Przynajmniej spróbuję. Powiem mu prawdę i zobaczymy. – Roześmiała się.

– Ale... o czym ty mówisz? Skąd wiesz... – Alicja była tak zaskoczona tym, co usłyszała, że nie potrafiła dobrać odpowiednich słów. Miała mętlik w głowie.

– Jak to skąd wiem? Od ludzi. A konkretnie od sołtysa. Podpytałam go, kto tu hoduje świnie. I skierował mnie do niejakich Krawczaków, którzy mieszkają pod lasem. Jeszcze za domem zielarki Józefiny, jak się wyraził. Nie jestem głupia, wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce.

– Jakie elementy?

– Chociażby akcja z kompotem! Ach, Ala, Ala, kto by się spodziewał, że w naszych czasach używa się miłosnych eliksirów... Ale przyznaję, że trochę mi ulżyło. Teraz już wiem, że to siła zewnętrzna pchnęła go ku tobie. W innym przypadku już dawno trzymałby w ramionach mnie. I myślę, że klapki spadną mu z oczu, kiedy się o tym dowie.

– Nic mu nie powiesz – wycedziła Alicja, patrząc Kai prosto w oczy.

– Ależ powiem. Chcesz się przekonać? To zapraszam ze mną. Sama ocenisz jego minę, kiedy się dowie.

– Nic mu nie powiesz – powtórzyła z naciskiem Alicja.

– Bo co? Bo będziesz mnie błagała, żebym tego nie robiła? Nie bądź żałosna. Sorry, ale ja już jadę.

– Jego i tak nie ma, miał dzisiaj jechać do Wrocławia na kilka dni.  
– Może jeszcze go złapię. – Kaja zmrużyła oczy w uśmiechu.  
– Okej. Jedź. Ja w tym czasie przejdę się po wsi i rozpowiem, gdzie znalazłaś trufle.

– Nie zrobisz tego.  
– Chcesz się przekonać?

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Kaja zdjęła z twarzy uśmiešek, a jej lewa powieka zaczęła nerwowo drgać. Alicja skrzywiła usta, pozorując przepraszającą minę.

– Suka – wycedziła Kaja cicho.  
– Suka – powtórzyła bezgłośnie Alicja.

\*

Dziewczynka w różowej sukience biegła przez plac, rozganiając gołębie. Tuż za nią matka, roześmiana, usiłująca podtrzymać rozwiewaną przez wiatr spódnice. To mogłaby być Matylda i Alicja – pomyślał Konrad, przypatrując się z sceny przez okno swojego biura. Po chwili dostrzegł idącego w ich kierunku mężczyznę, który lawirując między przechodniami, niósł trzy kręcone lody, oblizując spływające po wafłach kropelki.

– A to mógłbym być ja – wymruczał Konrad, nie zauważywszy, że do pokoju wszedł Marcin.

– Coś mówiłeś? – spytał przyjaciel, rzucając na biurko teczkę z dokumentami.

– Że gorąco dzisiaj. – Konrad niechętnie odsunął się od okna.

– A tam, nie ma co narzekać. Słuchaj, tutaj mam dwie umowy do przejrzania i podpisania. Nic wielkiego, ale zawsze to jakiś grosz, klienci sprawdzeni i wypłacalni. Siwek się tym zajmie, prosta robota. Tylko trzeba ustalić terminy. Ja wyjeżdżam pod koniec sierpnia. Mam nadzieję, że do tego czasu już wrócisz?

– Myślę, że tak...

– Myślę, że? Stary, nie komentuję, nie oceniam. Dobrze wiesz, że trzymam kciuki, żeby ci wyszło z tą laską. Cieszę się, że zacząłeś żyć, że wziąłeś urlop, wyjechałeś... Ale to przecież nie może wiecznie trwać. Chciałbym wiedzieć, jaki masz plan. Przecież nie możemy zostawić

ludzi samych, bo się rozleżą, sam wiesz.

– Spoko, jak wyjedziesz, to będę na miejscu.

– Okej. – Marcin odetchnął. – Ale co potem? Ostatnio jesteś w takiej fazie, że aż się boję, czy nie wpadnie ci do głowy przeprowadzić się do Polanki, żeby prowadzić tam knajpę.

– Daj spokój. Knajpę zamykam. Nie teraz, oczywiście. Na razie jest jaki taki ruch. Po wakacjach.

Marcin spojrzał na Konrada z nieukrywanym zdziwieniem.

– Zamykasz? Myślałem, że... To znaczy, wspominałeś ostatnio, że wciąż się wahasz, no i że te dziewczyny trochę ją rozruszały... Myślałem...

– Zamykam. Urlop dobrze mi zrobił. Odpocząłem, przemyślałem kilka spraw. Rozmawiałem już z ludźmi, wiedzą, że po wakacjach będą musieli szukać innej pracy. Nie ma co tego ciągnąć. To była pasja ojca, nie moja. Nie nadaję się do prowadzenia knajpy.

– Racja. W końcu to do ciebie dotarło.

– W końcu – przyznał z uśmiechem Konrad.

– No i dobrze. Aż się we mnie bulgotało, kiedy widziałem, jak wrzucasz w trupa kasę ze spadku.

– Bo to ojca kasa.

– Teraz twoja.

– Daj spokój, już i tak nic nie ma.

Marcin zamilkł przez chwilę, wpatrując się w zamyślonego Konrada.

– Nie ma? – spytał w końcu. – To ile ta restauracja zżera? Przecież odziedziczyłeś miliony, niemożliwe, żeby aż tyle poszło na głupią knajpę.

– Jakie miliony? – Konrad parsknął śmiechem.

– No... nie dopytywałem, bo to twoja sprawa, ale przecież wszyscy wiedzą, że twój ojciec...

– Kto wszyscy? Dziennikarze ze szmatławców? Błagam cię, Marcin, nie sądziłem, że wierzysz w te bzdury.

– Nie to, że wierzę – Marcin się zmieszał. – Ale jednak, no, wszyscy wiedzą, że ojciec zostawił ci fortunę. Bo przecież nawet kiedy żył... No wiesz, nawet mnie nieraz zapraszał na swój jacht, pamiętasz?

– Daj spokój, kiedy to było?

– Zanim się nie przeprowadził do Polski, ale...

– No właśnie. Ale. Kiedyś miał kasę, ale stracił. Dopóki nie pił, to zarabiał i mógł sobie pozwolić na wystawne życie. A potem... Stary, co ci będę gadał, myślałem, że wiesz. Mówiłem, że ojciec nie daje sobie rady, obiecywał, że pójdzie na terapię.

– Pamiętam, ale nie sądziłem, że przechlał cały majątek, to przecież niemożliwe!

– Bo majątku nie przechlał, ale przez chłanie go stracił. Rzadko kiedy trzeźwiał, a po pijaku miał mnóstwo różnych pomysłów. Kiedy przestał dostawać zlecenia i posypały się kontrakty, postanowił zostać biznesmenem. Artysta biznesmenem. – Konrad spojrzał wymownie. – Wystarczyło kilka nieudanych inwestycji. Angel's to była ostatnia próba. Za ostatnie pieniądze. Podjęta na ojczystej ziemi, bo myślał, że tu, w Polsce, zacznie od nowa i wszystko się jakoś ułoży.

– Nie mówiłeś, że miał aż takie problemy.

– Mówiłem. Ale nie słuchałeś.

– Kurwa – wycedził Marcin, uderzając dłonią w kolano. – Kto by pomyślał. Byłem przekonany, że to taki świetny, rozrywkowy gość, z głową do interesów, przecież nieźle mu szło.

– No, szło. Sam byłem z niego dumny, że się ogarnął. Naprawdę zaangażował się w tę knajpę, uwielbiał ją. Sam rozumiesz, że trudno mi będzie ją zamknąć.

Zapadła cisza. Marcin usiadł przy biurku i włączył komputer. Urządzenie zaszumiało. Konrad odwrócił się do okna.

– Myślę o przeprowadzce do Warszawy – powiedział po chwili, nie patrząc na przyjaciela.

Marcin zakaszlał nerwowo.

– Nie dosłyszałem. O czym myślisz? – spytał chrapliwym głosem.

– O przeprowadzce do Warszawy – powtórzył Konrad i usiadł naprzeciwko kolegi.

– Żartujesz chyba?

– Pytałeś o moje plany, to ci je naświetlam. Zamierzam zamknąć knajpę, wystawić budynek na sprzedaż... No i myślę o przeprowadzce. Przyda nam się filia w stolicy, nie sądzisz?



– Nie nadążam za tobą. Przechodzisz jakiś kryzys, czy co? Zakochałeś się, okej, myślałem, że dla niej osiadasz w Polance i zostaniesz restauratorem. Martwiłem się, żeby ci w ten sposób nie odbiło. Ale Warszawa? Do diabła! Skąd taka rewolucja?

– Alicja mieszka w Warszawie.

– To sporo wyjaśnia. – Marcin westchnął i otarł dłonią czoło. Mimo włączonej klimatyzacji poczuł, że robi mu się gorąco. – Jednak myślę, że za wcześnie na takie decyzje. Nigdy nie rozmawialiśmy o filii, nie wiem, czy to dobry pomysł. A ta Alicja właściwie czym się zajmuje?

– Jest graficzką, pracuje na zlecenia, w domu.

– No to lepiej niech ona przeniesie się do Wrocławia.

– Myślałem nad tym... Ale sprawa jest skomplikowana. Alicja w Warszawie ma całą rodzinę, siostrę, rodziców, nie mówiąc o tym, że jej córka zapewne będzie chciała się spotykać ze swoim ojcem. Gdyby przeniosły się do Wrocławia, ten kontakt byłby utrudniony. Ja natomiast jestem sam.

– Masz mnie i firmę – wszedł w słowo Marcin.

– Owszem, ale specyfika mojej pracy polega na tym, że siedzę przy komputerze. Wszystko jedno, czy będę siedział tu, w Warszawie, czy w Honolulu. Poza tym nie zostawiam cię przecież, nie wypisuję się z interesu, wręcz przeciwnie, zamierzam go rozwijać. Zdobędziemy klientów z centralnej Polski. Wszystko świetnie się złożyło. To dla naszej firmy duża szansa.

– Tak, ale jesteśmy współnikami i wszelkie decyzje dotyczące rozwoju firmy powinniśmy podejmować wspólnie – podkreślił Marcin. – Tymczasem decyzja, jak rozumiem, już została podjęta. Uważam, że działasz zbyt pochopnie, pod wpływem emocji. To niedojrzałe.

Konrad spojrział na przyjaciela i uśmiechnął się lekko.

– Mam trzydzieści cztery lata. Jestem sam. Pracuję od rana do nocy, ale nie czerpię z tego satysfakcji. Bo jak cieszyć się z pieniędzy czy sukcesów, kiedy nie ma się z kim ich dzielić? Potem wracam do pustego mieszkania i dalej pracuję, żeby zabić czas. Śnią mi się algorytmy i umowy.

– Okej, nie musisz kończyć...

– I nagle spotykam kobietę – ciągnął niezrażony Konrad – która

sprawia, że życie nabiera sensu. Rozumiesz?

– Rozumiem, stary. Ale przeprowadzka? Nie da się tego jakoś inaczej rozwiązać? Ona wpadła na ten pomysł?

– Ona jeszcze o tym nie wie.

– Daj spokój, nie gadaliście o tym?

– Dziwi cię to? Znamy się od kilku tygodni, nie jesteśmy nastolatkami, którzy zakochują się i od razu wpadają sobie w ramiona i biegną do łóżka.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że jeszcze z nią nie spałeś.

– Nie twoja sprawa.

– No tak. – Marcin ze świstem wypuścił powietrze. – Pewnie postawiła warunek, że dopiero po ślubie – parsknął śmiechem.

– Nie bądź złośliwy. Postaw się w naszej sytuacji. Ani ja nie szukam przygodnej znajomości, ani ona. Decydując się na łóżko, wydalibyśmy zgodę na związek.

– No i w czym problem?

– Czasem mam wrażenie, że chciałaby, ale jest ostrożna. Są dni, kiedy niemal fizycznie czuję jej przyspieszony puls, bicie serca. A jednak kiedy próbuję jej dotknąć, ucieka. Podejrzewam, że boi się zaangażować. Może nie wie, co będzie, boi się, że wakacyjny romans nie przetrwa i nie chce narażać siebie i córki na stres związany z ewentualnym rozstaniem. Dlatego chcę się przeprowadzić, pokazać, że myślę o nas poważnie.

– Konrad, ja wszystko rozumiem – jęknął zrezygowany Marcin. – Zakochałeś się i super. Tylko dlaczego akurat w niej? Po Wrocławiu chodzi tyle pięknych, młodych dziewczyn, które tylko czekają, żebyś zaprosił je na kolację. Naprawdę chcesz się wiązać z kobietą po przejściach, z jakimś byłym mężem w tle i bagażem w postaci dziecka? Sam mówisz, że wasza znajomość dość wolno się rozwija. Nie lepiej dać sobie spokój?

– Gdyby zakochanie się w kimś było takie proste, to po świecie nie chodziłoby tylu samotnych ludzi.

Konrad westchnął.

– To za dużo jak dla mnie – powiedział Marcin i odepchnął fotel od biurka, po czym wstał. – Muszę się przewietrzyć. Aśka przygotowała dla

ciebie dokumenty. Mamy zarys umowy dla Diggo, ale obawiam się że kwota, którą proponujemy, będzie dla nich nie do przełknięcia.

– Taniej się nie da.

\*

Winda schodowa, którą zainstalowano w domu Marianny, wzbudziła powszechne zainteresowanie. Wieść o tym, że jest montowana, rozeszła się błyskawicznie po całej wsi i już przed południem pod cukiernią zgromadziły się całe tłumy ciekawskich i zaintrygowanych, jak ów nabytek wygląda i jak działa.

Marianna, nieprzyzwyczajona do odwiedzin, przyglądała się nieśmiało sąsiadom. Niewielu z nich wcześniej przychodziło do cukierni i doskonale wiedziała dlaczego. Tego dnia jednak odniosła wrażenie, że ludzie nie przyszli po to, żeby nazajutrz ją obgadywać, jaka rozrzutna jest, montując w domu taką windę, ale szczerze przyklaskiwali pomysłowi, rozmawiając między sobą o tym, jak bardzo technika potrafi pomóc schorowanym ludziom, jeśli tylko ma się na to pieniądze.

Nawet Ela Marchewa, wyjątkowo sama, bez dziecka w wózku i bez towarzystwa Kaśki, zajrzała do cukierni, przyglądając się przez chwilę pracującym przy schodach montażyście.

– Kurde, fajna sprawa – przyznała pod nosem, ale zauważywszy spoglądającą na nią ze szczytu schodów Mariannę, udała, że za czymś się rozgląda, po czym wyszła.

W samo południe winda została zamontowana, przetestowana i można było zacząć jej używać. Kilkoro najbardziej wytrwałych sąsiadów czekało w napięciu na pierwszy zjazd babci Marianny.

Staruszka niechętnie zgodziła się na próbę generalną. W jej oczach widać było przerażenie. A co, jeśli winda nie utrzyma jej ciężaru?

Kiedy jednak po kilkunastu minutach udało się ją przekonać, podczas powolnego przemieszczania się na dół, strach ustępował miejsca zadowoleniu.

Gdy dotarła na dół, rozległy się brawa. Teraz i Marianna cieszyła się, że oto jej nie lubiani sąsiedzi cieszą się razem z nią i babcią. Być może nie są tacy źli – pomyślała.

Rozliczywszy się z ekipą montażową, przewiozła babcię na placyk

pod cukiernią, ustawiając wózek pod jednym ze stojących tam parasoli. Ponieważ kilka osób wciąż stało nieopodal, cały czas rozprawiając o windzie, Marianna zaproponowała im ciasto i kawę. Wyniosła poczęstunek na dwór i już po chwili ze zdumieniem obserwowała zadowolonych, uśmiechniętych sąsiadów, próbujących nawiązać rozmowę z jej babcią. Wróciwszy do cukierni, chwyciła za telefon i wykręciła numer Alicji.

– Nie uwierzysz, jakie mam dzisiaj tłumy– wyszeptała konspiracyjnym tonem, zanim koleżanka zdążyła cokolwiek powiedzieć.  
– Na zewnątrz wszystkie stoliki zajęte.

– A co się stało? Może we wsi zabrakło cukru i przyszli do ciebie się pożywić? – roześmiała się Alicja.

– Byłoby wspaniale, ale to nie zasługa moich babeczek, tylko tej windy schodowej. Dziś ją zamontowali.

– Ach! Rzeczywiście. Zapomniałam, że to dziś! Sama jestem ciekawa tego wynalazku.

– To wpadaj.

– Pewnie, że wpadnę, ale po obiedzie. Właśnie targam zakupy. Na piechotę, bo przebiłam oponę w rowerze. Nie pytaj.

– Okej, domyślam się, że przeklinasz wiejskie odległości.

Rzeczywiście. Alicja klęła pod nosem na czym świat stoi, powłócząc nogami wzdłuż zwirowej drogi. Reklamówki z zakupami może nie ciążyłyby aż tak bardzo, gdyby pogoda była bardziej przyjazna spacerom. Tego dnia jednak, jak na złość, słońce grzało jak oszalałe, a duchota, która unosiła się w powietrzu, gęstniała z każdą minutą.

– Idzie na burzę – zawyrokowała ciotka, kiedy Alicja dotarła w końcu do domu. – I dobrze, powietrze się trochę przeczyszczy. Dawno nie padało.

– Kupiłaś mamby? – zaświergotała zza pleców ciotki Matylda, dopadając pozostawione przez Alicję w przedpokoju reklamówki.

– Kupiłam – wydyszała Ala. – Dajcie pić.

Ciotka żwawym krokiem przeszła do kuchni i już po chwili wróciła ze szklanką.

– Matysia, daj te torby, ryba się pewnie rozmroziła. Trzeba ją szybko smażyć. Ziemniaczki już obrane.

– Są! – Matylda z triumfem wygrzebała z torby paczkę owocowych mamb i zaczęła rozdzierać opakowanie.

– Tylko mi teraz nie jedz słodczy! Po obiedzie! – wykrzyknęła Alicja. Czuła jak chłodny napój przyjemnie rozbiega się po jej wnętrzu i ciało nabiera sił.

– A wiesz, że był tu pan Konrad? – Matylda zmieniła temat i wrzuciła do ust cukierka, udając, że nie usłyszała polecenia.

– Kiedy?

– Kiedy byłaś na zakupach. Ciocia dzwoniła do ciebie, ale było zajęte.

Serce Alicji zabiło mocniej na dźwięk imienia Konrada, ucieszyła się, że wrócił już z Wrocławia.

– Czego chciał? – zapytała obojętnym tonem.

– Nie wiem. Pytał, czy jesteś.

– Chyba nic ważnego. Powiedziałam, że zadzwonisz – dodała Józefina, wykładając mrożone filety rybne na talerz.

– Może chodzi o te książki – wymamrotała Alicja na poczekaniu, bo zależało jej, żeby oddzwonić do Konrada jak najszybciej, a jednocześnie żeby ten pośpiech nie wzbudził zainteresowania Józefiny i Matyldy. – A, rozmawialiśmy o kryminałach. Konrad obiecał mi kilka pożyczyć.

– Po co czytacie takie okropności? – zaperzyła się ciotka. – Że też ludzi zawsze ciągnie do bagien zamiast na kwieciste łąki...

– Bo łąki są przewidywalne, a w bagnach nigdy nie wiadomo co się znajdzie.

– Zazwyczaj trup, skoro mówimy o kryminałach. Rzeczywiście, nieprzewidywalne. – Józefina wywróciła oczami.

Konrad odebrał już po pierwszym sygnale. Mimo że nie widzieli ani nie słyszeli się kilka dni, nie zapytał jak leci, ani co słyhać. Od razu przeszedł do rzeczy, pytając czy nie ma ochoty na świeże mule. Przywiózł je z Wrocławia, a ponieważ nie ma na wieczór żadnych rezerwacji, szkoda, żeby się takie pyszności zmarnowały. zaproponował, że po nią przyjedzie, bo zanosilo się na burzę i ani spacer, ani jazda na rowerze nie wchodziła w grę.

Alicja zgodziła się, udając krótkie zawahanie. Przyznała od

niechcenia, że rzeczywiście szkoda muli. Obiecała, że będzie gotowa na dwudziestą, a gdyby coś jej innego wypadło, to oczywiście zadzwoni wcześniej i poinformuje.

Kiedy odłożyła słuchawkę, uśmiechnęła się do siebie z satysfakcją. Bo choć nie wyczuła w głosie Konrada ani jednej nuty wskazującej, że miałyby to być randka, to jednak z tyłu głowy wiedziała, że wszystko zmierza ku jednemu.

No cóż, winda schodowa u Marianny będzie musiała poczekać – pomyślała bez żalu. W końcu winda nie zając, a wieczór z Konradem może okazać się wielce przyjemny. Szczególnie że podczas tych kilku dni, kiedy go nie widziała, naprawdę zaczęła tęsknić. Wiedziała, że on, mimo iż nie powiedział tego głośno, czuje to samo. Moc miłosnych ziół ciotki Józefiny może była nieodgadniona, ale za to skuteczna. I co do tego Alicja nie miała żadnych wątpliwości.

\*

Alicja wyszła z łazienki w doskonałym humorze. Chłodna woda orzeźwiła ją i nastroiła pozytywnie. Na zewnątrz wciąż panowała duchota, ale przynajmniej nie było już tak gorąco.

Zastanawiała się, co na siebie włożyć. Po przymierzeniu kilku zestawów, zdecydowała się na jasnoniebieskie dzinsy i błękitną bluzkę z krótkim rękawem. Na wszelki wypadek planowała wziąć ze sobą bluzę, gdyby zrobiło się chłodniej. Żałowała, że nie przywiozła z Warszawy czegoś bardziej eleganckiego. Na przykład kremowego, lekkiego sweterka, który idealnie pasowałby na taką okazję. Ech, gdyby wtedy mogła przewidzieć, że zamiast po błocie, będzie tu wychodziła na kolacje i jeździła na koncerty jazzowe do Wrocławia... Nie brałaby kaloszy, tylko szpilki.

Dochodziła dziewiętnasta, Alicja nałożyła fluid i puder a potem trochę szarego cienia, żeby podkreślić oczy. Wytuszczyła rzęsy. Nie miała różu, dlatego nałożyła na policzki trochę szminki i rozsmarowała ją, żeby wyglądać świeżo a zarazem delikatnie. Usta tylko lekko musnęła, żeby nabrały zdrowego odcienia.

Przez chwilę z zadowoleniem wpatrywała się w swoje odbicie. Nie jest źle. Jeszcze tylko włosy.

W domu panowała cisza. Józefina wyszła po obiedzie i miała wrócić przed ósmą. Matylda natomiast, jak co dzień, spędzała czas z dziećmi sąsiadów, w ich ogródku.

Perfumy – przypomniała sobie Alicja i zbiegła do łazienki. Miała jeszcze czas, ale wolała być gotowa wcześniej, w razie gdyby Konrad przyjechał przed czasem.

– Mamo! – usłyszała nagle zawodzący jęk Matyldy.

– Jestem w łazience!

– Katastrofa. – Matylda ze smutną miną usiadła na brzegu wanny.

– Wyobraź sobie, że Ewa i Michał niedługo wyjeżdżają z rodzicami na wczasy i dlatego musimy wziąć kotki. A przecież jeszcze nie znalazłyśmy im opiekunów.

– Rzeczywiście, katastrofa – przyznała Alicja, całując córkę w czubek głowy. – Ale nie martw się, coś wymyślimy.

– Będziemy musiały wziąć wszystkie do Warszawy.

– Wiesz, że nie możemy tego zrobić.

– Może babcia z dziadkiem je przygarną. Albo ciocia.

– Nie sądzę.

– A mogłabyś do nich zadzwonić?

– Babcia jest teraz w sanatorium. Nie mogę zawracać jej głowy.

Ciocia Dorota ma na głowie mnóstwo spraw związanych z pracą.

– To zadzwoń do taty.

– Myślę, że on też...

– Ja zadzwonię! – weszła jej w słowo Matylda i nie czekając na zgodę, pobiegła po telefon. Już po chwili Alicja słyszała jej szczebioczący głos, namawiający Bartka do przygarnięcia choć jednego kotka.

– I co? – spytała, kiedy Matylda skończyła rozmowę.

– Musi zapytać cioci Ani...

– No tak. – Alicja przygryzła wargi. Doskonale wiedziała, że Anusia, szczególnie teraz, będąc w ciąży, na pewno nie zgodzi się na kota. Toksoplazmoza, bakterie i inne niebezpieczeństwa czyhałyby na dzidziusia z każdej strony.

– Powiedział, że oddzwoni – dodała Matylda, oddając matce telefon.

– Kochanie. Taki kotek to jednak problem – zaczęła delikatnie Alicja, wiedząc, że nie ma co wzbudzać w Matyldzie nadziei. – Trzeba o niego dbać, zmieniać mu piasek, karmić, bawić się z nim. Nie wszyscy mogą sobie na to pozwolić. Myślę, że tata bardzo chciałby kotka, ale musi być odpowiedzialny. Kto zająłby się kotkiem, kiedy oni wyjechaliby na wakacje?

– Sąsiadka.

– To nie jest takie proste. Ale mam pomysł. Napiszemy na kartce ogłoszenie i zawiesimy je na drzwiach cukierni cioci Marianny. Na pewno już niebawem znajdziemy chętnych na wszystkie kotki.

Matyldzie rozbłysły oczy, a twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Ja zrobię ogłoszenie – zaproponowała. – Narysuję wszystkie kotki i napiszę, jakie są grzeczne!

– Doskonale.

Alicja odetchnęła z ulgą. Na jakiś czas udało się odwlec problem kotków, choć nie wiadomo, na jak długo. Spodziewała się, że ogłoszenie raczej nie przyniesie efektów, ale tym będzie się martwić później. Być może Konrad ma jakichś znajomych, którzy marzą o przygarnięciu kociaka. Będzie musiała go o to zapytać podczas kolacji.

Spojrzała na zegarek. Dwadzieścia po siódmej.

– Chcesz coś zjeść? – spytała Matylda.

– Ciocia obiecała racuchy z jabłkami na kolację.

– Ja mogę zrobić kolację. Ale nie racuchy, bo nie zdążę.

– Wolę poczekać na ciocię. Mogę jeszcze iść na dwór?

– Dziecko, masz dopiero osiem lat, a ostatnio wracasz tak późno, jakbyś była nastolatką. Normalne dzieci w twoim wieku o siódmej oglądają dobranockę, a potem idą spać.

– Ale są wakacje. I chyba wszystkie dzieci dookoła są nienormalne, bo przecież razem się bawimy i jakoś one też jeszcze nie śpią – odparowała Matylda.

Alicja otwierała usta, żeby skomentować wypowiedź córki, ale wtedy zadzwonił telefon.

– Tata! – krzyknęła Matylda, zerknąwszy na wyświetlacz.

Odebrała i już po chwili jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu, a w oczach rozbłysły ogniki radości.



Alicja patrzyła na córkę pytającym wzrokiem. Nie musiała długo czekać na wybuch euforii.

– Mamo, tata mówi, że wezmą wszystkie kotki! – krzyczała, wciąż trzymając słuchawkę przy uchu.

– Jak to, wszystkie? Daj mi tatę.

Matylda niechętnie oddała telefon, przesyłając w powietrzu głośne cmoknięcia.

– Oszalałeś? – warknęła Alicja półgłosem, idąc pospiesznie do kuchni, żeby Matylda nie słyszała rozmowy.

– Dlaczego oszalałem? Przecież Matysia mówiła, że macie problem. No to już nie macie. O co ci chodzi?

– Anusia tak chętnie przygarnie cztery kotki? – wyszczała Alicja. – Nie boi się toksoplazmozy? A jeśli dzidzius będzie miał uczulenie?

– A co ty się tak zaczęłaś nagle martwić o Anię i o dzidziusia?

– Nie martwię się. Ale jeśli bierzesz koty tylko po to, żeby pokazać Matyldzie, jaki z ciebie cudowny tatuś, a z tej twojej Ani wspaniałomyślna ciocia...

– Nie oddamy ich do schroniska, jeśli to sugerujesz. Anka lubi koty. Jednego zostawimy sobie, resztę rozda koleżankom--kociarom. A jeśli pojawi się u maleństwa uczulenie, to wtedy będziemy się martwić. Anka nie widzi problemu. Najwyżej odda naszego kota matce. Jej mama ma już jednego, to i drugiego przygarnie, jak zajdzie taka potrzeba.

– Jakie to proste – prychnęła Alicja.

– Proste. To ty próbujesz nas sabotować. Ale przypominam, że o przygarnięcie kotów poprosiła mnie Matylda i dla niej to robię.

– No jasne. Myślisz, że jednym gestem się zrehabilitujesz w jej oczach.

– Niby co mam rehabilitować? – teraz wycedził Bartek, Alicja wyczuwała wzrastające w nim podenerwowanie.

– Swoją nieobecność. Jeden gest tutaj nie wystarczy, Matylda potrzebuje ojca.

– Przecież proponowałem wyjazd, to się nie zgodziłaś. O co ci chodzi?

– Owszem, zaproponowałem nagle, żeby go odfajkować, bo potem

ślub, potem dziecko i sam mówiłeś, że nie znajdziesz czasu dla córki.  
Dla CÓRKI!

– Nic nie chciałem odfajkować. Po prostu...

– Co, po prostu? Po prostu masz ją w dupie.

– To nie tak, Alicja. Dobrze wiesz, że to nie tak. Schrzaniłem sprawę, okej, ale to nie tak, że mam ją w dupie. Uznałem, że potem, kiedy pojawi się dziecko, nie będę mógł poświęcić Matysi tyle uwagi, co teraz. Obydwoje z Anią stwierdziliśmy, że dobrze by było, gdyby Matyllda spędziła z nami trochę czasu, zanim... No wiesz, żeby ją także przygotować do tego, że będzie miała rodzeństwo.

– To nie będzie jej rodzeństwo. – Alicja czuła, jak wypluwa to słowo niczym twardą kluczę.

– Ala, nie chcę się kłócić. Mam nadzieję, że Matyllda nie słyszy.

– Bez obaw. I masz rację, ja też nie chcę się kłócić, dlatego skończmy tę rozmowę. Kotki możesz odebrać w Warszawie.

– Ala... – Głos Bartka zmatowiał, słysząc było, jak mężczyzna przetyka ślinę. – Posłuchaj, ja wiem, że to nie jest dobry moment... Ale może jednak zmienisz zdanie. Nie mam teraz zajęć na uczelni, Anka też nie pracuje. Siedzimy w domu. Przecież moglibyśmy wziąć Matyldę do jakiegoś gospodarstwa agroturystycznego. Też będzie na wsi. W każdej chwili mógłbym po nią do ciebie przyjechać. Na pewno by się ucieszyła. Proszę, przemyśl to. I zadzwoń, jeśli...

– Daj mi spokój.

Alicja rozłączyła się i opadła ciężko na taboret. Z sieni dało się słyszeć radosny głos Matyldy, streszczającej Józefinie rozmowę z ojcem o kotkach. Czyli ciotka wróciła. Wpół do ósmej. Jak szwajcarski zegarek.

Alicja upiła łyk kompotu, starając się uspokoić oddech. Nie czuła się dobrze. Rozmowa z Bartkiem wytrąciła ją z równowagi. A jednak przyjemnie było słyszeć zadowoloną Matyldę. Mimo to humor nie wracał. Za chwilę przyjedzie Konrad, może jednak powinnam odwołać kolację – pomyślała gorzko.

– A co ty taka blada? – Józefina weszła do kuchni z koszem pełnym zielska.

– Strasznie duszno. – Alicja teatralnie powachlowała się ręką.

– To ja, stara, i wytrzymuję, a ty marudzisz? I niewyszykowana jeszcze? – Ciotka gestem wskazała na nieuczesane włosy Alicji.

– Nie wiem, czy mam ochotę.

– Nie wiem, nie wiem. Co się z wami, młodymi, porobiło? –

Ciotka kręciła głową, krzątając się po kuchni. – To ja ci powiem. Planów nam nie będziesz psuła. Bo my mamy z Matyldą na dzisiaj własne plany i ciebie w domu ma nie być. Już mi śmigaj z kuchni, uczesz się i przygotuj, kawaler za chwilę będzie. Chyba nie chcesz, żeby zobaczył cię taką markotną. Duszno, też mi coś! Kropić zaczęło, zara duchota przejdzie.

– A Matylda gdzie?

– Poleciała do sąsiadów obwieścić dobrą nowinę.

Konrad przyjechał kilka minut przed czasem. Alicja ledwie zdążyła upiąć włosy, kiedy usłyszała pod domem znajomy warkot silnika. Wyjrzała przez okno i pomachała, dając znać, że już wychodzi.

Przez chwilę stała przed lustrem usiłując rozluźnić twarz i ubrać ją w uśmiech. Słabo to wychodziło. W głowie wciąż dźwięczało echo rozmowy z Bartoszem.

Zeszła w końcu na dół.

– Ciociu, wychodzę! – krzyknęła w stronę piwnicy.

– Baw się dobrze! – odkrzyknęła Józefina ochryplym głosem.

Alicja domyśliła się, że ciotka gotuje nowy specyfik z dodatkiem ziół, które tego dnia przyniosła. – I nie wracaj zbyt wcześnie!

– Matysi jeszcze nie ma, może trzeba będzie po nią pójść.

– Dam sobie radę, uciekaj!

Konrad stał oparty o samochód. Słońce, które powoli chyliło się ku zachodowi, oświetlało jego twarz miękkimi promieniami. Wyglądał obłądnie. A przynajmniej taka myśl zaświtała w głowie Alicji na jego widok. Podenerwowanie po rozmowie z Bartkiem nagle gdzieś odpłynęło, a jego miejsce zajął szczery uśmiech, choć dopiero co bała się, że tego wieczora żadnej radości już z siebie nie wykrzesze.

– Dobry wieczór. – Konrad uśmiechnął się miękko. – Ślicznie wyglądasz. Żono. – Rozpostarł ramiona. – Stęskniłem się.

– Doprawdy? – Alicja zalotnie przekrzywiła głowę. Miała ochotę wpaść w jego ramiona, ale powstrzymała się, nie bardzo potrafiąc

ocenić, czy jego gest nie jest formą żartu. Na wszelki wypadek udała, że nie widzi tego zaproszenia. Przystanęła kilka kroków przed nim, wystawiła rękę dłonią do góry i spojrzała w niebo. – Miało kropić. I nic.

Dopiero kiedy wypowiedziała te słowa, poczuła, jak bardzo są bez sensu.

Konrad nie czekał, aż Alicja rozwinie temat pogody, tylko podszedł do niej i chwycił wyciągniętą dłoń. Przyciągnął dziewczynę do siebie.

– Stęskniłem się – powtórzył, patrząc jej w oczy. – Wiesz, że to ja będę dzisiaj gotować?

– Naprawdę? – spytała cicho. Jego bliskość spowodowała, że Alicji zmiękły nogi, a w głowie otworzyła się niewidzialna zapadka, z której wylewała się przedziwna mgła, osnuwająca cały umysł.

– Naprawdę. Nie ma dzisiaj gości, dałem chłopakom wolne. Restauracja jest zamknięta. Dziś gotuję ja. Dla ciebie.

Mule? – chciała zapytać, ale słowa ugrzęzły jej w gardle. Mgła przesłoniła jej oczy. Nie zauważyła nawet, kiedy Konrad zbliżył usta do jej ust i oboje odpłynęli w długim pocałunku.

Ja też się za tobą stęskniłam – szeptała w myślach.

To trwało minutę, może dwie, a może sześć godzin. Alicja nie byłaby w stanie określić czasu, kiedy stali złączeni pocałunkiem pośrodku żwirowej drogi. W końcu zaczęło padać. Najpierw kropić, a potem zerwała się prawdziwa ulewa. Nie rzucili się jednak do samochodu, by uciec przed deszczem, ale stali jeszcze przez chwilę, wpatrując się w siebie pełnym tęsknoty wzrokiem.

Świat się zatrzymał; nagle przestał istnieć Bartek i kotki. Przestała istnieć Anusia. Byli tylko oni.

I Matylda, która nie wiedzieć kiedy przystanęła obok i moknąc wraz z nimi wykrzywiała twarz w szerokim uśmiechu.

– Matylda! – krzyknęła nagle Alicja, dostrzegłszy córkę.

– Wpadł mi ząb! – Matylda wbrew obawom Alicji, zignorowała scenę, której była świadkiem i wyciągnęła przed siebie z dumą dłoń, w której jaśniała zaróżowiona od krwi górna czwórka. – I wcale nie bolało – dodała z zachwytem. – Przyjdzie dziś Wróżka Zębuszka.

– Matylda... – zaczęła Alicja, choć nie wiedziała, co właściwie

chciałaby powiedzieć.

– Pada, lepiej już jedźcie. – Matylda włożyła ząb do kieszeni i pomknęła w podskokach do domu. Przed wejściem odwróciła się jeszcze, przesyłając Alicji szeroki uśmiech i unosząc z radością dwa kciuki.

Alicja nie wiedziała, czy to z powodu pocałunku, który miała okazję zobaczyć, czy z powodu zęba.

Jechali w milczeniu, każde pochłonięte własnymi myślami. Deszcz przybrał na mocy, wycieraczki pracowały na najwyższych obrotach. Konrad zerkał na Alicję, uśmiechając się lekko. Nie protestowała, kiedy delikatnie odgarnął wilgotny kosmyk włosów z jej szyi. Miała nadzieję, że nie zauważył gęsiej skórki, która pojawiła się na jej ciele po tym geście.

W restauracji panował półmrok. W głównej sali paliły się tylko punktowe światła. Z głośników zawieszonych na ścianach sączyła się przyjemna muzyka. Jaka szkoda, że Angel's nie będzie już istniał – pomyślała Alicja, zajmując miejsce na wysokim krześle przy barze.

Konrad poszedł do kuchni, która była częściowo otwarta na bar, dzięki czemu mogli swobodnie rozmawiać. Mówił o tym, jak zamierza przyrządzić danie. zaproponował wino. Alicja z uśmiechem przyjęła napełniony kieliszek i kolejny pocałunek. Nie udawali już, że jest między nimi dystans.

Konrad nalał wody do garnka, potem wstawił go na kuchenkę, żeby woda się zagotowała, i zabrał się za oczyszczanie muli. Cały czas mówił, co robi, niczym telewizyjny kucharz, który chce zabawić swoją widownię. Alicja słuchała oczarowana, obserwując z jak wielką wprawą męczyzna porusza się w kuchni. Nawet jeśli to miało być jedyne danie, które potrafiłby ugotować, wiedziała, że zrobi to po mistrzowsku.

Sączyła wino, upajając się chwilą. Czuła, jak jej serce zalewa spokój i jeszcze jedno dziwne uczucie, jakiego dotąd nie знаła. Coś w rodzaju błogości, poczucia, że wszystko zaczyna być dobrze.

Głos Konrada, który mówił właśnie o tym, że mule wrzuca się do wrzątku i trzeba czekać około pięciu minut, żeby się otworzyły, był melodią, która wpływała do jej uszu, lecz nuty straciły ostrość. Wróciła myślami do Bartka, który lubił jeść, ale nigdy nic dla niej nie ugotował.

Czekał, aż to ona o niego zadba, aż ona go dopieści, ona zabawi rozmową.

Tyle czasu zmarnowała, łudząc się, że to stan przejściowy, bo przecież tyle obiecywał. Że kiedyś będzie wspaniale. Że kiedyś on będzie profesorem i stać go będzie na to, żeby zadbać o nią. Że kiedyś będzie dla niej wsparciem, że pomoże jej w realizacji marzeń o galerii. Że kiedyś...

– Doleję ci wina, a resztę wykorzystam do muli. Zaraz otworzymy kolejną butelkę. – Głos Konrada wyrwał ją z zamyślenia. Podała kieliszek.

Spojrzała na mężczyznę, który nieświadom jej myśli, rozważał właśnie, czy nie wolałaby teraz spróbować innego wina – specjalnie dla niej wybrał te najlepsze jego zdaniem, które mogłyby jej zasmakować. Przytaknęła z uśmiechem. Patrzyła na Konrada z coraz większym uczuciem. Pragnęła, żeby ten wieczór nigdy się nie skończył. Bartek, o którym przed chwilą myślała, zaczynał powoli odpływać z jej umysłu, stając się jedynie mglistym wspomnieniem.

Miłość to nie wielkie słowa o tym, co mógłbyś zrobić dla mnie kiedyś – pomyślała. – Miłość to te proste rzeczy, które robisz dla mnie dziś.

Kiedy Konrad wrócił do kuchni, Alicja przeciągnęła się na krześle, oddychając głęboko. Czowała się tak lekko i doskonale, że nagle roześmiała się na myśl, że chciała ten wieczór odwołać. I to przez głupią rozmowę z Bartkiem. O co właściwie była na niego zła? Teraz wydało jej się to tak nieznaczące i tak odległe, że aż nierealne. Przypomniała sobie słowa ciotki. Dotychczas niezrozumiałe, dziś nabrały znaczenia.

„Odpuść, Alicja” – powtarzała Józefina. – „Oczyść serce ze złych emocji. Wybacz mu. Nie dla niego to zrób, lecz dla siebie. Nie da się zbudować szczęścia na nieszczęściu innych i Bartek także go nie zbuduje. Jeśli nie odpuścisz, wiele osób będzie pokrzywdzonych, nie tylko ty”.

Alicja uważała, że to niesprawiedliwe. Że to tylko puste słowa, którymi ciotka pragnie ją pocieszyć, wyrwać z szarości, w której tkwiła. Nie widziała powodów, dla których miałaby wybaczyć Bartkowi. Przecież to on ją zranił.

„Nielatwo jest wybaczać, ale trudniej jest nosić w sercu złość. Bo złość niszczy, a spokój buduje” – tłumaczyła ciotka. – „Chyba nie chcesz się wyniszczać, dziecko. Szkoda twojego życia i zdrowia. Jeszcze wiele dobrego cię spotka, tylko musisz mieć ku temu przestrzeń”.

– Szanowna pani, *voilà!* – Konrad podszedł i pomógł Alicji zejść z wysokiego krzesła. – Zapraszam do stolika.

– Pachnie cudownie.

– A jeszcze lepiej smakuje. Czy jest pani gotowa na wspaniałą ucztę?

Alicja uśmiechnęła się.

– Daj mi minutkę. Muszę wykonać telefon.

Bartek odebrał po trzecim sygnale. Głos miał zaspany. Alicja domyśliła się, że przysnął przed telewizorem lub nad książką. Kiedy byli razem, często mu się to zdarzało.

– Alicja? – wychrypiał, odchrząkując. – Coś się stało?

– Przemyslałam sprawę, jak prosiłeś – powiedziała bez wstępów. – Możesz zabrać Matyldę na wakacje.

Cisza. Widocznie jeszcze się nie rozbudził. Oczyma wyobraźni zobaczyła, jak siada wyprostowany na kanapie i nerwowo szuka okularów, które zsunęły się na dywan.

– Halo?

– Jestem. Jestem. Zaskoczyłaś mnie.

– Proponuję, żebyście spędzili z Matysią ostatnie dwa tygodnie sierpnia. Jeszcze z nią nie rozmawiałam, ale oczywiście zrobię to. Pewnie się ucieszy. Czyli co, przyjedziesz po nią?

– Tak, oczywiście.

– To daj znać, kiedy dokładnie. Zapraszam na obiad.

– U ciotki, tam w Polance?

– Tak. Ania też, mam nadzieję, będzie? Chętnie ją poznam.

– No co ty?

– Najwyższa pora, nie uważasz? Skoro będzie spędzała czas z moją córką...

– Alicja. – Bartek zniżył głos. – Dobrze się czujesz?

– Doskonale. – Roześmiała się.

– To skąd taka zmiana? Nie rozumiem. Piłaś coś?

– Ledwie pół kieliszka wina. Daj spokój, Bartek. Widziałeś mnie kiedyś pijaną?

– No nie. Ale...

– Jestem trzeźwa. I czuję się dobrze. Po prostu uznałam, że najwyższy czas zakopać topór wojenny i dać sobie prawo do szczęścia. I Matylda na to zasługuje, i my.

– My? Alicja, przecież nie ma już nas...

– Miałam na myśli nas oddzielnie.

– Oczywiście. Oczywiście – mamrotał, jakby nie mógł zebrać myśli. – Zaskoczyłaś mnie – wyznał po dłuższej chwili. – Nie wiem, co powiedzieć... Jakby kamień spadł mi z serca...

– Mnie też... – powiedziała cicho.

I naprawdę tak czuła.

Wichura za oknem powodowała, że od czasu do czasu spadało napięcie i gasły lampy. Jedyne światło dawały wówczas świece, ustawione przez Konrada na stoliku przy którym jedli. Alicja pomyślała, że właściwie one mogłyby wystarczyć.

Rozmawiali o wszystkim. I o Angel's, który niebawem miał przestać istnieć, i o pracy Konrada. Napomknął, że planuje stworzyć oddział swojej firmy w Warszawie i prawdopodobnie niebawem się tam przeprowadzi. Alicja nie potrafiła ukryć radości. Przyznała, że to świetny pomysł i wyraziła nadzieję, że Konrad przyjmie jej zaproszenie na kolację, którą tym razem ona ugotuje. Dla niego.

Potem przez chwilę rozmawiali o jej pracy i planach na przyszłość. O Matyldzie i wreszcie o Bartku. Alicja zdziwiła się, że opowiada o nim bez emocji. Ot, były facet, z którym mieszkała i ma dziecko. Nie mąż. Nie narzeczony nawet. Po prostu mężczyzna, z którym była. Rozstali się, bo po prostu tak wyszło. Nie wnikała w szczegóły, nie chciała się wyzalać czy oskarżać Bartka o to, że ją porzucił, zdradził.

Poczuła, że ta sprawa jest już naprawdę zamknięta.

Mule były wyśmienite. Wino, którego zdążyła wypić już drugi kieliszek, przyjemnie rozgrzewało krew.

– Ty nie pijesz? – spytała, zauważywszy, że Konrad ledwie zamoczył usta w swoim kieliszku.

– Innym razem. Przecież muszę cię odwieźć, kiedy zapragniesz



wrócić do domu. – Spojrzał na nią z delikatnym uśmiechem.

– No tak... Chociaż... – zawahała się. – Właściwie mogłabym się dziś przespać u Marianny. Wówczas mogliśmy wznieść toast, nawet niejeden, za twoje plany związane z przeprowadzką i rozwojem firmy.

– U Marianny?

– No tak. Przecież to dwa kroki stąd. Na pewno się zgodzi, tylko muszę do niej zadzwonić. – Alicja podeszła do stolika przy drzwiach, na którym leżały jej rzeczy i wyjęła z torebki komórkę. – No i do cioci, żeby się nie martwiła.

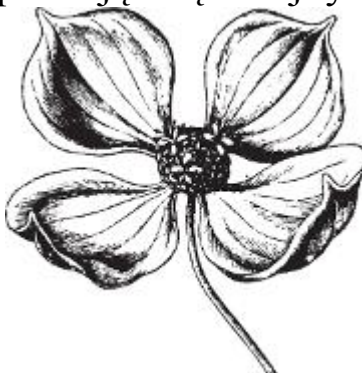
Ze wzrokiem utkwionym w telefon, przeglądając kontakty w poszukiwaniu numeru Marianny, Alicja czuła jak bije jej serce. Kątem oka widziała, jak Konrad wstaje, zapewne po butelkę wina, która została na barze. Tymczasem ona miała nadzieję, że powie coś, że zaproponuje, aby u niego została. Ale milczał. Była odwrócona tyłem do niego, dlatego cieszyła się, że Konrad nie może dostrzec rysującego się na jej twarzy rozczarowania. Zawiedziona, przełknęła cicho ślinę i wybrała numer koleżanki.

Zanim jednak usłyszała sygnał, poczuła na szyi ciepły oddech Konrada i jego dłoń, która wyjmując z jej dłoni telefon.

Anulował wybieranie numeru.

– Nie dzwoń do Marianny – wyszeptał i pocałował ją w szyję. – Zostań u mnie.

Alicja zastygła w bezruchu, czując, jak jej ciało przechodzi dreszcz. Odchyliła głowę, poddając się kolejnym pocałunkom.



## *Rozdział 21*



Komendant Grzelak jechał na rowerze zygzakiem, starając się omijać co większe kałuże. Po tym, jak upewnił się, że Czarna Maria wróciła z kilkudniowej wyprawy i znów przebywa w Bibliotece, poczuł wewnętrzny spokój. Już za kilka dni będzie odbierał podziękowania i gratulacje.

Może warto by było z tej okazji zwołać konferencję prasową? Tylko kto miałby na nią przyjechać? Grzelak nie znał nikogo z mediów, nie orientował się nawet, w jaki sposób organizuje się takie wydarzenie. Chyba nie wypada, żeby to on sam wydzwaniał do gazet.

– Cholera jasna – zaklął pod nosem. – Że też ten cymbał Jacek wyjechał, mógłby się teraz przydać.

Był tak zamyślony, że zamiast skręcić za piekarnią, żeby skrótem dotrzeć do komendy, wjechał na Rynek i przez chwilę krążył dookoła starej studni, zastanawiając się, dokąd właściwie chciał jechać.

– Panie komendancie! – Dopiero po kilku minutach dotarło do niego nawoływanie. Zatrzymał rower i spojrzał w kierunku dochodzącego głosu.

Cholera, jeszcze tej mi trzeba, pomyślał.

Alicja machała do niego energicznie. Nie mógł udać, że tego nie widzi. Skinął głową i już miał zawracać, kiedy krzyknęła ponownie.

– Panie komendancie, tutaj!

Nie chciał, żeby jego nagły odjazd został zinterpretowany jako ucieczka. Poza tym nagle naszała go myśl, że przecież jeśli sprawa się nagłośni, to to babsko może we wsi rozgadywać, że to był jej pomysł. Będzie szukała uznania i poklasku. Może warto z góry ustalić pozycje. Wy tłumaczyć, że on już od dawna toczył własne śledztwo, a ona nie była

jedyną, która przychodziła do niego w sprawie Czarnej Marii. Tak. Tak, będzie najlepiej. Wmówić jej, że nie była pierwsza.

Albo jeszcze inaczej. Ona też na pewno zna się na internecie. Niech ona zwoła konferencję. Można ją wtajemniczyć, niech wie, co odkrył. Ważne, żeby chciała to nagłośnić. Nawet jeśli pochwali się, że to ona wpadła na pomysł, żeby szukać rodziny Czarnej Marii, to przecież nie zrobiła nic w tym kierunku. To on podjął wyzwanie. A że jest najlepszy...

Uśmiechnął się pod nosem. Trzymając kierownicę roweru, wolnym krokiem poszedł w kierunku cukierni.

Byle tylko nie przyznać, że miała rację, byle tylko nie przyznać, że miała rację, byle tylko...

– Dzień dobry. – Ukłonił się, opierając rower o ścianę.

– Dzień dobry. Cieszę się, że pana widzę – powiedziała Alicja. – Zastanawiałam się, czy myślał pan o naszej rozmowie. Chodzi mi o Czarną Marię – uściśliła.

– Wie pani... No, cóż... Miałem rację. Metoda, którą obrałem przy poszukiwaniach, przyniosła oczekiwane rezultaty. Wiedziałem, że tak będzie. Jestem jednym z nielicznych, którzy potrafią nie tylko myśleć, ale i dedukować. A co najważniejsze, potrafią słuchać tego, co dla innych jest zwykłym bełkotem. – Pokiwał głową z uznaniem dla swojej osoby. – Dlatego jestem tak skuteczny.

– Czy to znaczy, że udało się panu coś ustalić? – spytała Alicja z pewnym wahaniem, nie bardzo wiedząc, czy dobrze zrozumiała Grzelaka.

– Oczywiście. Nie powiem, żeby było łatwo. Byle pierwszy żółtodziób nie dałby sobie rady, ale ja...

Grzelak odsunął metalowe krzesło i usiadł. Nagle poczuł niepowstrzymaną chęć opowiedzenia o wszystkim, co udało mu się odkryć, pochwalenia się efektami. Marzył o tym, żeby w końcu w czyichś oczach ujrzeć podziw.

Alicja patrzyła na niego na razie z zaciekawieniem, ale wiedział, że lada moment ten wzrok zmętnieje.

– Ma pan ochotę na kawę? – zagała Marianna, zauważywszy, że komendant rozsiadł się wygodnie, szykując do dłuższej pogawędki.

– A, chętnie. Czarną z kleksem mleka.

O kleksie mleka przeczytał w jednym z kryminałów. W ten właśnie sposób zamawiał kawę detektyw Bluberg. Bardzo się to Grzelakowi spodobało. Próbował tego określenia w domu, ale jego żona parsknęła tylko śmiechem i rzuciła z kuchni: „Sam se zrób”.

– A babeczkę do kawy? – spytała Marianna.

– Nie... dziękuję – odpowiedział Grzelak, ale na tyle nieprzekonująco, że już po chwili, oprócz kawy, stanął na stoliku także talerzyk z babeczkami.

– W razie, gdyby nabrał pan ochoty. – Marianna puściła do niego oczko.

Alicja z wyczekiwaniem wpatrywała się w komendanta. Poczekała, aż Grzelak posłodzi i zamiesza kawę, aż upije kilka łyków i sięgnie po babeczkę. Kiedy jednak połknął pierwszy kęs, nie wytrzymała.

– No i co, panie komendancie? – spytała. – Niech pan mówi, jak z tą Czarną Marią.

Marianna przysiadła się do stolika, także wbijając wzrok w Grzelaka.

Komendant odchylił się i uniósł brodę. Był wniebowzięty, że udało mu się wzniecić ciekawość, żałował tylko, że nie ma w cukierni klientów, którzy także mogliby tworzyć widownię.

– No cóż... – zaczął z ociąganiem. Zależało mu na tym, żeby stworzyć wrażenie zblazowanego. – Nie była to prosta sprawa, ale dzięki mojemu zaangażowaniu, wiedzy i determinacji, udało się ją rozwikłać. Otóż Czarna Maria naprawdę nazywa się Zofia Bielawska... Lat siedemdziesiąt sześć, zameldowana w ...

– Jest pan pewien? – Alicja i Marianna spytały niemal jednocześnie.

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Ostateczna weryfikacja będzie miała miejsce w najbliższy czwartek. Mają tu przyjechać jej bliscy. To znaczy syn z żoną.

– Dopiero w czwartek? – zdziwiła się Alicja. – Znalazł pan ich matkę, a oni chcą czekać do czwartku?

– Nie mają wyjścia. Są obecnie na wakacjach za granicą. Przyjadą tu zaraz po powrocie z urlopu.

– O kurczę. – Marianna westchnęła. – Czarna Maria ma rodzinę. Niesamowite. Byłam przekonana, że jest bezdomna. Jak panu udało się ją zidentyfikować?

– Och, teraz jest baza osób zaginionych – wtrąciła Alicja. – Pan komendant ma przecież do niej dostęp.

– Baza osób zaginionych! – prychnął Grzelak. – Gdyby to było takie proste! Baza, proszę pani, okazała się tu ostatnim ogniwem, kiedy już znałem imię zaginionej. Gdybym miał od początku szukać po zdjęciu... Nigdy bym jej nie rozpoznał. Zdjęcie, które udostępniła tam rodzina, jest z jakiejś uroczystości, pani Zofia umalowana, ufryzowana. Niepodobna do Marii, która zawsze chodzi w chustce na głowie. W życiu by pani jej nie poznała.

– To skąd wiadomo, że to ona? – spytała Marianna.

– Wszystko inne się zgadza. Wygląd też, bo przesłałem zdjęcie, które jej zrobiłem komórką, i wnuk potwierdził dzielnicowemu, że to może być jego babcia.

– To wnuk nie mógł przyjechać?

– A co mnie to? – Grzelak wzruszył ramionami. – Widocznie woli zostawić to rodzicom.

– Ale w takim razie, jak udało się panu zidentyfikować Czarną Marię, skoro baza okazała się nieprzydatna?

– Ma się swoje metody. – Grzelak uśmiechnął się tajemniczo. – Jak wspomniałem, potrafię niezłe dedukować. Przeanalizowałem drogę, którą przemierza Czarna Maria, naniósłem szkic na mapę i później systematycznie podążałem jej tropem. Pukałem od drzwi do drzwi, pytając ludzi, czy ją znają. Stwierdziłem bowiem, że stała trasa jej wędrówek musi mieć jakiś sens.

– Sama panu odpowiedziałam, że być może Maria kogoś szuka... – wtrąciła Alicja.

Grzelak puścił jej uwagę mimo uszu.

– To była ciężka praca. Mozolna. Nudna – ciągnął. – Ale ja jestem cierpliwy. Nigdy nie odpuszczam.

– Ktoś ją w końcu rozpoznał? – zainteresowała się Marianna.

– Nie ją. Dom. To na schodach Biblioteki zrobiłem Marii zdjęcie.

– Mój Boże... Niech pan nie mówi, że Biblioteka ma jakiś związek

z Marią?

– Otóż ma. Większy niż się panie spodziewają. Czy mogę prosić o kolejną filiżankę kawy? – Grzelak chciał budować napięcie, pławiąc się w pełnych rosnącej fascynacji spojrzeniach kobiet.

– Oczywiście. – Marianna natychmiast poderwała się i pobiegła do cukierni.

– Z kleksem mleka! – krzyknął za nią i włożył do ust drugą babeczkę.

Alicja westchnęła głośno.

– O kurczę, jak to dobrze, że pan mnie śledził. Gdyby nie to, nie wpadłabym na pomysł, żeby poprosić pana o zajęcie się sprawą Czarnej Marii.

Grzelak słysząc te słowa zakaszłał, o mało się nie dławiąc ciastkiem.

– Nie śledziłem pani, to nieporozumienie – wychrypiał. – Zresztą, nieważne. A Czarną Marię miałem na oku zanim pani przyjechała do wsi. Tyle że bieżące obowiązki spychały ją na drugi plan...

– No tak. – Alicja uznała, że nie ma co się sprzeczać. – W każdym razie dobrze, że po tylu latach, odkąd Czarna Maria tu jest, udało się odnaleźć jej rodzinę.

– Lepiej późno niż wcale.

– Co racja, to racja – powiedziała Marianna, stawiając przed komendantem filiżankę z kawą.

– No dobrze, to co z tą Biblioteką? – niecierpliwiła się Alicja.

Grzelak nie spieszył się z odpowiedzią. Dojadł napoczętą babeczkę, posłodził kawę, podmuchał i upił dwa łyki.

– Dom, w którym obecnie mieści się Biblioteka, należał niegdyś do państwa Michalskich. Jan Michalski był cenionym w okolicy dentystą. Jego żona prowadziła rejestr pacjentów, pomagała w buchalterii. Byli szanowanym małżeństwem. Mieli dwie córki: Zofię i Marię.

– Marię! – wykrzyknęła Alicja. – Jednak Marię! Wiedziałam! Czyli Czarna Maria szukała siostry.

– Ale dlaczego? – spytała Marianna.

– Niech mi panie nie przerywają. – Grzelak z dezaprobatą pokręcił głową. – Zofia była o trzy lata starsza od Marii. Kiedy to się wydarzyło,

miała sześć lat, a Maria nieco ponad dwa i pół, dopiero uczyła się mówić.

– Ale co się wydarzyło? – Alicja zmarszczyła brwi.

– Zaraz do tego dojdę. Prosiłem, żeby mi nie przerywać.

– Przepraszam.

– Podczas gdy rodzice przyjmowali pacjentów, dziewczynki bawiły się same. Oczywiście nie to, żeby były zaniedbywane, jednak czasy wtedy były zupełnie inne, dzieci zwyczajowo biegały koło domu, nie były trzymane pod kluczem, jak dziś.

– Coś o tym wiem, ciocia mi mówiła.

Grzelak skarcił Alicję wzrokiem.

– To było wczesną wiosną 1944 roku. Bodajże kwiecień albo maj. Szalała wojna, a Michalski, mimo że był dentystą, przyjmował także i chorych, ponieważ w czasie wojny był tu jedynym medykiem. Przychodzili do niego ludzie z różnymi sprawami, starał się pomagać każdemu. Nie brał pieniędzy. Pomoc ludziom traktował jako swój wkład w pomoc Polsce. Tak samo i jego żona. Może dlatego, zajęci innymi, nie zauważyli, że ich dziewczynki, dotychczas bawiące się nieopodal domu, z dnia na dzień oddalają się coraz bardziej, zaciekawione otaczającym je światem. Któregoś popołudnia Zosia wróciła do domu z płaczem. Okazało się, że razem z siostrą zbierała kwiatki nad rzeką. Chciała zrobić bukiet dla mamy. W tamtym miejscu prąd był wyjątkowo silny. Maria pośliznęła się...

– O mój Boże! – krzyknęła Marianna. – O mój Boże...

– To dlatego Czarna Maria rzuciła się na pomoc mojej córce – powiedziała cicho Alicja, czując, jak zasycha jej w gardle. – Muszę się napić wody.

– Rzuciła się na pomoc? – spytał Grzelak, ale w tej chwili zadzwonił jego telefon i komendant oddalił się na moment, żeby porozmawiać z żoną. A raczej wysyczeć jej, co doskonale usłyszały Marianna i Alicja, że telefonowanie do niego w czasie pracy z awanturą o nienaoliwione drzwi to przesada.

Kiedy wrócił, dało się wyczuć jego zdenerwowanie.

– O czym to ja...? – spytał zamyślony i usiadł przy stoliku. – Ach, tak, no właśnie. Więc żeby Zosia nie miała traumy z powodu śmierci

siostry, powiedziano jej, że Marysia popłynęła z nurtem bardzo daleko i tam pomogli jej dobrzy ludzie, u których zamieszkała i którzy się nią zaopiekowali.

– I Zosia uwierzyła w taką bajkę? – zainteresowała się Marianna.

– Nie wiem, a co mnie pani pyta? – obruszył się Grzelak. – Może i uwierzyła. Kiedyś były inne czasy. Dzieci głosu nie miały, nie dyskutowały. Jak dorośli coś powiedzieli, to tak miało być. Zresztą skoro teraz chodzi i szuka, znaczy się że uwierzyła.

– Albo w głowie jej się teraz poprzesztawiało i już nie potrafi odróżnić, co było kiedyś, co jest dziś... – wtrąciła Alicja.

– W każdym razie Zosia bardzo przeżywała to, co się stało. Ciągle płakała, nie mogła spać, jeść...

– Nie dziwi mnie to – powiedziała Marianna.

– No, dlatego rodzice wywieźli ją do dziadków, żeby nie musiała wciąż patrzeć przez okna w kierunku rzeki, a sami urządzili Marii pogrzeb. Wkrótce potem oni także wyjechali. I słuch po nich zaginął. A dom został.

– A teraz Zofia wróciła – zauważyła Alicja. – Dziwne...

– Mój Boże – westchnęła Marianna. – Biedna kobieta. Tyle lat szukała siostry. Tyle zim i wiosen... Tyle kilometrów przeszła wzdłuż rzeki...

– O ile oczywiście to wszystko prawda – zauważyła Alicja. – Może warto byłoby się przejść na cmentarz i odszukać grób Marii. Wówczas mielibyśmy pewność, że historia, którą pan usłyszał, rzeczywiście miała miejsce.

– A myśli pani, że tego nie zrobiłem? – obruszył się Grzelak. – Nie to, żebym nie wierzył swojemu... – zawahał się, szukając odpowiedniego określenia – informatorowi, ale to jednak bardzo stary człowiek. A pamięć w tym wieku bywa zawodna.

– Och, żeby się pan nie zdziwił – prychnęła Marianna. – Moja babcia lepiej pamięta to, co zdarzyło się pięćdziesiąt lat temu, niż to, co zdarzyło się wczoraj.

Grzelak puścił tę uwagę mimo uszu.

– Poszedłem na cmentarz, ale niełatwo jest znaleźć stary grób, kiedy nie wiadomo gdzie szukać. Mnóstwo jest mogił zaniedbanych,



zarośniętych, nieopisanych. Dlatego udałem się do naszego proboszcza, żeby pomógł mi zlokalizować nagrobek.

– I udało się?

– Udało – przytaknął Grzelak. – Na cmentarzu jest grób Marii Michalskiej. Tyle że pusty.

\*

Zaciągnięte zasłony ledwie przepuszczały światło. Gdyby nie to, że Daisy popiskiwała i niecierpliwie drapała w drzwi, domagając się wyjścia na dwór, można by pomyśleć że dopiero świta.

Tymczasem zbliżało się już południe. Kaja otworzyła ciężkie powieki i przez chwilę leżała bez ruchu. Nie miała siły obrócić się na drugi bok, a co dopiero wstać z łóżka.

– Litości, daj mi chwilę – wychrypiała zaspanym głosem bardziej do siebie niż do psa.

Daisy, usłyszawszy, że pani się obudziła, przybiegła w podskokach i wskoczyła na łóżko, racząc ją mokrymi pocałunkami. Bardzo chciała wyjść. Pęcherz uciskał ją coraz mocniej.

– No już – wymamrotała Kaja.

Z trudem wygramoliła się z pościeli i usiadła na łóżku. Kręciło jej się w głowie, musiała chwilę odczekać zanim wstała. Prawą ręką sięgnęła po leżący na szafce nocnej telefon, strącając stojącą tam szklankę wypełnioną w jednej czwartej wódką. Szklanka spadła na dywanik, dzięki czemu nie stłukła się, jednak alkohol błyskawicznie wsiąkł w tkaninę, roztaczając po pokoju nieprzyjemny zapach.

– Cholera jasna – zaklęła Kaja, omiatając wzrokiem sypialnię.

Nie było dobrze. Mimo że panował półmrok, to jednak przebijające się przez kotary promienie słońca oświetlały pomieszczenie na tyle, że dało się zauważyć przepełnioną petami popielniczkę, butelkę po wódce, zgniecione pudełko soku pomarańczowego i talerz z resztkami jedzenia, który nie wiedzieć czemu stał na podłodze.

– Ale burdel... – Kaja wolnym krokiem podeszła do okna, rozchyliła zasłony i otworzyła lufcik. Daisy przestała już skomleć. Zawstydzona rozległą plamą pod drzwiami, skuliła się w kuchennym kącie, oczekując najgorszego.

Kaja nie przejęła się jednak plamą. Ręcznik rzucony naprędce załatwił sprawę przynajmniej na chwilę. Najpierw musiała się rozbudzić i wrócić do żywych. Porządkami postanowiła zająć się w dalszej kolejności.

To była ciężka noc. Zamroczony alkoholem umysł podsuwał jej coraz to bardziej wymyślne strategie, jak unicestwić wroga.

Po rozmowie z Alicją nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Nie dopuszczała do siebie myśli o tym, żeby się wycofać. To byłoby oddanie pola walki, a przecież walka nie toczyła się uczciwie. To Alicja podjęła nierówną grę i otumaniła Konrada ziołami. Kaja próbowała zwyczajnych, kobiecych sztuczek. Jak można konkurować z szarlatanami i magią?

Wiedziała, że gdyby poszła z tym do Konrada, może choć odrobinę otworzyłyby mu się oczy. Ale nie mogła tego zrobić, bo Alicja wyciągnęłaby cięższą broń: zdradziłaby ludziom miejsce znalezienia trufli. Tylko czekać na tłumy rządne drogocennych grzybów...

Tej nocy jednak przyszło do Kai olśnienie. Myśl genialna i tak prosta, że aż zdziwiła się, że nie wpadła na ten pomysł wcześniej.

Szantaż traci na mocy, kiedy jest niewykonalny. Wystarczy więc ujawnić swoje plany. Ogrodzić teren, zatrudnić ochroniarza oraz gospodarzy ze świniami. Dość spora inwestycja, ale za to jaka stopa zwrotu, jeśli wszystko pójdzie po dobrej myśli.

Kaja nie miała już oszczędności, a dochód, który miesięcznie wypracowywał jej salon kosmetyczny, przeznaczała na bieżące potrzeby. Potrzebowała zatem wsparcia. Finansowego, bo emocjonalnie znów zaczynała sięgać nieba. Wizja ogrodzenia lasu pokryła się z wizją odzyskania Konrada. A te dwie małe wizje przerodziły się w jedną dużą: tryumfalny powrót do Wrocławia przy boku nowego mężczyzny i z perspektywą budowania truflowego imperium. Kto wie, gdzie jeszcze w Polsce Daisy wyniuchałaby pieniądze.

Po szybkim prysznicu, mocnej kawie i cienkim jak słomka papierosie, Kaja przystąpiła do działania. Wiedziała już, że o pomoc zwróci się do jednej ze swoich pseudoprzyjaciółek, Roksany, świeżo upieczonej rozwódki, która po podziale majątku otrzymała zawrotną kwotę i narzekała, że nie wie, co zrobić z taką gotówką. Najpierw jednak

Kaja chciała przygotować biznesplan i oszacować koszty. W tym celu zatelefonowała do swojej asystentki, mając nadzieję, że dziewczyna odbierze w sobotę.

– Magdo – powiedziała do słuchawki, bez słowa przywitania – znajdź mi na cito firmę, która zajmuje się ogrodzeniami. Może być siatka, byle porządna. Taka, której nie przetnie byle gówniarz nożyczkami.

– Dzień dobry. – Magda przywitała się, zaskoczona nagłym telefonem szefowej. – To pani już wróciła z Toskanii? Jest już we Wrocławiu? Bo wysyłałam ostatnio kilka maili, mamy ofertę od...

– Z Toskanii wróciłam, ale przyjechałam prosto do Polanki. Nie interesują mnie oferty, Sabina wie, co robić. Wszystko przekazuj jej, tak jak było ustalone, nie zwracajcie mi dupy na urlopie.

– Oczywiście. Tylko że pani Sabina, to znaczy pani dyrektor Sabina... właśnie kazała do pani wysłać, bo...

– Magda, nic mnie to nie obchodzi. A Sabinę rozliczę po powrocie. Jeśli nie potrafi podejmować decyzji, to może nie nadaje się na dyrektora mojego salonu. Nieważne. Potrzebuję na już firmy, która ogrodi mi teren.

– Ma pani jakąś działkę, tak?

– A co cię to obchodzi? Teren do ogrodzenia i już. Nie płacę ci za dociekanie, co mam, tylko za wykonywanie moich poleceń. Potrzebuję ogrodzić trzy hektary. Masz godzinę, żeby obdzwonić różne firmy i wybrać najlepszą ofertę.

– Ale dziś sobota, może być problem.

– Masz znaleźć. – Kaja rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

\*

Grzelak odchylił się na krześle zadowolony z efektu, jaki udało mu się wywołać słowami. Alicja i Marianna wpatrywały się w niego jak zaczarowane.

– Ale jak to grób jest pusty? – Pierwsza odzyskała głos Alicja.

– Zwyczajnie. Nie ma w nim ciała.

– Trumna jest pusta? – upewniała się Marianna.

– Tak. Trumna jest pusta. Pochowano Marię, mimo że jej ciała

nigdy nie odnaleziono. Jej rodzice jednak pragnęli pożegnać córkę zgodnie z obrządkiem. Oczywiście nie do końca można to było zrobić. Wszak ksiądz nie mógł dokonać odpowiednich, jakby to ująć, procedur. Zgodził się jednak by urządzono Marii symboliczny pogrzeb. No i urządzono. Jej grób umiejscowiono pod murem cmentarnym, w tamtych czasach to było dość osobliwe miejsce na pochówek.

– Razem z samobójcami – wtrąciła w zamyśleniu Marianna. – A przecież Maria nie popełniła samobójstwa.

– Ale ciała nie odnaleziono – powtórzył komendant. – To była wyjątkowa sytuacja, cały ten pogrzeb.

– I co dalej?

– Nic. To koniec historii. Jak wspomniałem, państwo Michalscy wyjechali i nie wrócili po wojnie.

– Myśli pan, że Maria gdzieś żyje? Może naprawdę ktoś ją znalazł?  
– zastanawiała się Alicja.

– Mało prawdopodobne – powiedział Grzelak. – Po pierwsze takie małe dziecko momentalnie udławiłoby się wodą i utopiło, tak myślę. Po drugie, z tego co opowiadał pan Krzysz... to znaczy mój informator, jeszcze tego samego dnia chłopci ze wsi rozpoczęli poszukiwania. Pan Michalski był znanym lekarzem w okolicy, prędko rozniosło się, że jego córkę porwał nurt rzeki. Jeśli ktoś by ją znalazł, to przecież wiedziałby czyje to dziecko. Prawdopodobnie ciało zostało wyrzucone na brzeg i tam rozszarpane przez zwierzęta. Kawalek dalej rzeka zakręca i zaczyna się las. Moim zdaniem to najbardziej prawdopodobna wersja. Chociaż nasz proboszcz, ksiądz Paweł, ma inną teorię. Ale zbyt naciągana.

– O, a jaką? – zainteresowała się Alicja.

– Kiedy byłem u niego, żeby zapytać o ten grób, siłą rzeczy musiałem wyjaśnić, skąd moje poszukiwania. Opowiedziałem pokrótce to, co sam usłyszałem na temat Marii i Zofii. Kiedy zaś okazało się, że grób jest pusty, co proboszcz znalazł w dokumentach, zaczęliśmy dumać, co tam się mogło wtedy wydarzyć. I nagle on zaczął się ekscytować, przypominać sobie różne historie z przeszłości, opowieści swojego mentora, świętej pamięci księdza Tadeusza. No i wiedzą panie, w ten sposób to wszystko można dowolnie dopasować...

Grzelak skrzywił się i wywrócił oczami na znak, że ta rozmowa jest bez sensu.

– Ale co konkretnie opowiadał? – Marianna nie dała za wygraną.

– Nic takiego. – Grzelak wzruszył ramionami. – Coś tam mu się przypomniało. Więcej gadania niż faktów... Mówił, że kiedy był młodym wikarym, to służył w parafii w Promnicach. Był tam proboszcz, ów Tadeusz właśnie, który pamiętał wojnę i często przy kolacji wspominał dawne czasy. Ksiądz Paweł przypomniawszy sobie historię, o której usłyszał, jak to ksiądz Tadeusz w czasie wojny był świadkiem cudu. Pewnego dnia na plebanię ktoś podrzucił dziecko. Otulone w koc, wychłodzone i mocno osłabione. Dziewczynkę. Ksiądz Tadeusz od razu domyślił się, że to Żydówka, bo włosy miała czarne i ciemne oczy. Ukrył ją na plebanii, a kilka dni później zawołał do siebie ludzi, pewne małżeństwo ze wsi, o którym wiedział, że nie mogą mieć własnych dzieci. Powiedział im, że oto nadarza się okazja, prosto od niebios, by przyjąć pod swój dach porzucone dziecko. Podobno z początku podeszli do tego niechętnie, bali się przyjąć Żydówkę, ale szybko uznali, że to znak od Boga i że oni są jedynymi, którzy mogą ją ocalić. Ich dom stał na uboczu, dość biedne to było gospodarstwo, nie wzbudzali zainteresowania Niemców. Ukryli dziecko w piwnicy. Dziewczynka jeszcze nie umiała mówić, była wystraszona, ale nad wyraz grzeczna. Może dlatego, że przeżyła szok i przekazywana z rąk do rąk, długo nie potrafiła dojść do siebie. Ksiądz Tadeusz czuł się odpowiedzialny za tę rodzinę, udało mu się nawet ich krótko po wojnie przesiedlić do lepszego domu, kilka wsi dalej, w Makowie. Widział, że to kochająca się rodzina, wychowywali dziecko jak swoje. W Makowie już nikt nie pytał, rodzina, to rodzina. A mało tego, wkrótce zaczęły im się rodzić dzieci. I to właśnie ksiądz Tadeusz uznał za cud i dlatego tak często tę historię wspominał. A ksiądz Paweł teraz uważa, że ta Żydówka, to wcale może nie była Żydówka, tylko właśnie zaginiona Maria.

– O kurczę – westchnęła Alicja. – Kto wie, może...

– A gdzie tam – przerwał jej Grzelak. Promnice są ponad dwadzieścia kilometrów stąd, jakby się tam dostała.

– No, ktoś ją znalazł na brzegu rzeki i podrzucił do kościoła. Może był z tamtej parafii, a tu tylko przyjeżdżał łowić ryby, sam pan mówił, że

Maria utonęła wiosną.

– Tak też uważa ksiądz Paweł, ale według mnie, a jednak jestem doświadczonym policjantem – Komendant uniósł mimowolnie brodę – to zwykły przypadek, że akurat w podobnym czasie tu zaginęła dziewczynka, a w Promnicach ktoś podrzucił w kościele też dziewczynkę w podobnym wieku. Pamiętajmy, że była wojna, ludzie ginęli, uciekali, porzucali swoje domy, byli wywożeni i tak dalej. Dzieci często błąkały się bez rodziców. Powojennych sierot są tysiące... Zresztą ksiądz Paweł sam nie potrafił powiedzieć, czy czas się zgadza. Równie dobrze obydwa te przypadki mogły się zdarzyć w różnych latach. Nikt tego dziś już nie sprawdzi, ksiądz Tadeusz nie żyje, nie ma świadków.

– Och, gdyby popytać, poszukać – zapaliła się Alicja.

– Mówi pan, że jak się nazywała ta wieś, w której zamieszkała ta rodzina? – spytała Marianna.

– Maków. Ale kto by tam pamiętał, przecież nawet nie znamy nazwiska, a imię dziewczynki też prawdopodobnie zostało zmienione.

– Moja babcia pochodzi z Makowa – wtrąciła Marianna.

– To kawał drogi stąd – wyjaśnił komendant Alicji. – Nieważne. Ten wątek akurat jest mało istotny. Czyste spekulacje. Najważniejsze, że Czarna Maria została zidentyfikowana. W czwartek przyjeżdża jej rodzina, może warto by było... – Grzelak odchrząknął – żeby przy tej okazji poinformować prasę... To byłby dla nich wspaniały temat, takie odnalezienie się po latach. Mnie nie wypada dzwonić do gazet, ale może pani by się podjęła. – Kiwnął głową w kierunku Alicji.

– Ale po co prasa? – zdziwiła się, wciąż oszołomiona całą historią. – Przecież to intymna, rodzinna sprawa. Dajmy tym ludziom spokój. Jeśli Czarna Maria to naprawdę pani Zofia Bielawska z domu Michalska, to przecież powinniśmy uszanować chwilę, kiedy się spotkają. Dziennikarze to sępy, sam pan wie.

– No tak, ale mimo wszystko uważam, że taka historia mogłaby dać nadzieję innym zaginionym i ich rodzinom. – Grzelak niemal fizycznie czuł, jak jego umysł pracuje, znajdując trafne argumenty.

– Może i ma pan rację – przyznała po krótkiej chwili namysłu Alicja. Spojrzała na Mariannę, pragnąc poznać jej zdanie na ten temat. Dopiero teraz zauważyła, że koleżanka nie uczestniczy w rozmowie.

Siedzi nieruchomo, wpatrzona niewidzącym wzrokiem w jakiś punkt przed sobą.

– Mój Boże, a ty co? Ducha zobaczyłaś? – Alicja pomachała Mariannie przed oczyma.

– Słucham? – Marianna zamrugła.

– Strasznie blada jesteś, wszystko w porządku?

– Moja babcia pochodzi z Makowa. – Marianna powtórzyła głośnym i zdecydowanym tonem.

– Sądzisz, że mogłaby znać tę rodzinę? Myślisz że coś może pamiętać? – spytała Alicja.

– Uwielbia Bibliotekę – powiedziała Marianna, ignorując pytania Alicji. – Mogłaby tam przesiadywać godzinami. To się zaczęło po wylewie. Wcześniej, ilekroć przyjeżdżała do Polanki i chodziłyśmy na spacer, ten dom nie robił na niej wrażenia. Ale teraz... przeszłość miesza jej się z teraźniejszością, płaczą jej się wspomnienia... Uwielbia Bibliotekę, kiedyś nawet powiedziała, że to jej dom. Jej dom...

– Nic dziwnego – wtrącił Grzelak. – Tyle książek. Może w domu rodzinnym była pokaźna biblioteka. Ludzie kiedyś więcej czytali. Pamiętam jak moja bab...

– Nie chodzi o książki – weszła mu w słowo Alicja. – Marianna, mów dalej. Jest coś jeszcze? Myślisz, że...

– Nic nie myślę. Nie ma nic więcej. Przecież nawet nie są do siebie podobne. To absurd.

– Ale o czym panie mówią? – Grzelak zaczął się niecierpliwić.

Alicja spojrzała na niego wymownie. Dopiero po chwili, pod presją jej wzroku, zaczął myśleć.

– To śmieszne – kaszlnął, roześmiewszy się. – Przecież ja poznałem panią Dworzakową. Nie ma na imię Maria.

– Ale ja mam na imię Marianna – powiedziała zduszonym głosem Marianna.

\*

Ciocia stanęła na wysokości zadania i włożyła w nocy pod poduszkę Matyldy dwadzieścia złotych od Wróżki Zębuszki. Kiedy więc Alicja wróciła do domu, córka od razu dopadła do niej, prosząc, aby

pozwoliła jej pójść razem z koleżanką do sklepu u Wojtaszka. Zamierzała wydać pieniądze na słodycze. Górę słodocy. Cukierków, żelków, czekolad i pianek. Chciała kupić wszystko to, czego nie kupowała jej Alicja.

Zdawało się, że nie pamięta już pocałunku Alicji z Konradem, którego była świadkiem. O nic nie pytała, nie czyniła żadnych aluzji, które mogłyby świadczyć o tym, że temat w jakiś sposób ją męczy. Skoncentrowała się na nagrodzie od Wróżki i tylko to było teraz dla niej ważne.

Józefina także nie dopytywała, jak było na kolacji i czy Alicja na pewno nocowała u Marianny. Utyskiwała za to na wichurę, która spowodowała odcięcie od prądu aż do rana, przez co nie mogła się skontaktować z synem, który tego dnia miał urodziny.

– A teraz telefon nie działa? – spytała Alicja.

– Działa, ale co po nim. Przecie tam jest teraz noc. Muszę czekać, aż wstaną.

– No tak, zapomniałam. Ale wiesz co, ciociu. Mam pomysł. Kiedy się już dodzwonisz, zapytaj, czy mają Skype'a. Mogłabyś porozmawiać przez kamerkę. Na pewno chciałybyś ich zobaczyć. Wystarczy internet.

– Dziecko, ja tu nie mam żadnych internetów!

– Ale ja mam przenośny modem, który podłączam do laptopa i gotowe. Już moja w tym głowa.

– Ja tak czasami gadam z tatą – wtrąciła z przedpokoju Matylda, która już szykowała się do wyjścia.

– A, właśnie – przypomniała sobie Alicja. – Kiedy wrócisz, będziemy musiały porozmawiać.

– Ale o czym?

– Tata chce cię zabrać na wyjazd.

– Super! – ucieszyła się Matylda, ale po chwili mina jej zrzedła. – Ale kiedy? Bo ja jestem umówiona z Ewą i Michałem, że będziemy łowić ryby. Ich dziadek obiecał, że pojutrze zrobi nam wędkę, złapie robale i pójdzie z nami i będzie nas uczył.

– Tata przyjedzie za półtora tygodnia.

– Hurra, zdążę na ryby!

Alicja z Józefiną uśmiechnęły się do siebie. Ciotka pokiwała głową



z aprobatą.

– Bardzo dobra decyzja – powiedziała, kiedy Matylda zniknęła za drzwiami. – Cieszę się, że w końcu dojrzałaś do tego.

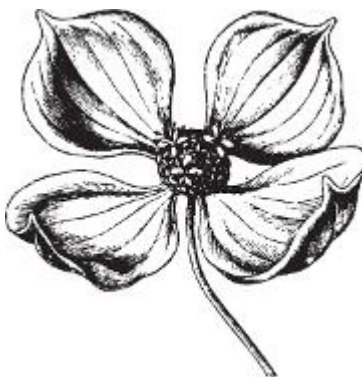
– Trochę to trwało – roześmiała się Alicja. – Ale nie chcę się już zadręczać, czas zacząć żyć.

– I bardzo dobrze! Chodź na herbatkę! Co tam u Marianny?

Oho – pomyślała Alicja – czyli ciocia jednak sprawdza. Delikatnie sonduje, czy coś się wczoraj wydarzyło. Jak to dobrze, że przez przypadek ma o czym opowiadać.

– Oj, u Marianny sporo – powiedziała. – Nie tylko u niej. Wyobraź sobie, że wiemy już, kim jest Czarna Maria.

– Co ty opowiadasz?



## Rozdział 22



Biały, dwudrzwiowy mercedes zaparkowało przy ulicy Kwiatowej w poniedziałek wczesnym wieczorem. Kobieta, która siedziała za kierownicą, opuściła auto i niepewnie rozejrzała się po okolicy. Na widok Daisy, klasnęła i zapiszczała:

– Trafiłam! Leć po panią, Stokrotko!

– Roksi! – ucieszyła się Kaja i otworzyła furtkę, zapraszając koleżankę do środka.

– Przedziwne miejsce – przyznała Roksana, kiedy usiadły w salonie i sączyły wino. – Mam na myśli tę wieś. Strasznie dziwna. Mało ludzi, nawet nie było kogo zapytać o drogę.

– A, bo o tej porze to już z pola wracają zmęczeni...

– Mów lepiej, dlaczego mnie tu ściągnęłaś. Umieram z ciekawości! Byłaś bardzo tajemnicza przez telefon. Co to za wiocha w ogóle? Rodzinę tu masz, czy co?

– Nie mam tu rodziny, wynajęłam ten dom. Z powodów biznesowych – wyjaśniła oględnie Kaja.

– Jaki można biznes robić na wsi? SPA błotne?

– Żadne SPA. Inny mam pomysł. Bo widzisz, to właśnie tu kupiłam kilka miesięcy temu działkę.

– Aaaa, no tak, przykra sprawa. Coś mi się obilo o uszy...

Kaja skrzywiła się w uśmiechu. Przeczynała, że już wszyscy wiedzą o jej porażce z Filipem. Wystarczyło, że wypłakała się Marcie zaraz po tym, jak Filip usunął się z pola widzenia.

– A co wiesz? – spytała Kaja, dolewając wina.

– No cóż... Właściwie wszystko. Nie dziwi mnie, że musiałaś wyjechać, odpocząć. Każdy by się załamał. Ale wiesz co, oczywiście

szkoda mi ciebie, że trafiłaś na takiego oszusta, jednak z drugiej strony naprawdę... Nie obraż się, ale uważam, że jesteś zwyczajnie gł...  
naiwna.

– O czym mówisz? – Kaja przełknęła ślinę i uśmiechnęła się, udając że nie wszystko rozumie.

– No jak o czym. O tym, jak cię zrobił w bambuko. Gośka mi mówiła. Słyszała od Anki. Ponoć mówiłaś Marcie, że facet zrobił cię na milion. Sprzedał ci działkę, która jak się okazało, funta kłaków nie była warta. No a potem zwiął. Nie dość, że straciłaś faceta, to i pieniądze. Dziewczyny mówią, że oszczędności życia. Dlatego wyjechałaś, prawda? Chciałaś się zdystansować. I racja.

Kaja cmoknęła i upiła łyk wina.

– Czyli wszystko poszło zgodnie z planem, z tego, co słyszę. – Zmrużyła oczy i roześmiała się. – Taki był właśnie mój plan, żeby Marta myślała, że to ja jestem ofiarą, że facet mnie zrobił na milion i uciekł.

– Nie rozumiem – powtórzyła Roksana, wpatrując się w uśmiechniętą tajemniczo Kaję. – I w ogóle co z tym wszystkim wspólnego ma Marta?

– No dobrze, wyjaśnię ci. Tylko błagam, niech to zostanie między nami. Obiecuj.

– Ależ obiecuję! Nikomu nie pisnę! – energicznie zobowiązała się Roksana. Kaja wiedziała już, że wieść szybko się rozniesie.

– Bo wiesz... – ciągnęła konspiracyjny tonem Kaja. – Nie chciałabym zostać odebrana jako perfidna suka. Przecież taka nie jestem...

– Perfidna suka? Ty? Ależ oczywiście, że nie jesteś – przyznała Roksana, pocierając mimowolnie czubek nosa.

– Widzisz, Roksi, z tą działką to było tak, że ja się nią zainteresowałam już w ubiegłym roku.

– Ale dlaczego?

– Zaraz do tego dojdę. W każdym razie bardzo mi zależało na kupnie. Znalazłam właściciela, czyli Filipa i mówiąc brzydko, zasadziłam się na niego.

– A nie mogłaś tak po prostu kupić?

– Dobrze pytanie. Tak po prostu to bałam się, że jeśli się zgłoszę, to

mi nie sprzeda.

– Aha.

Kaja obserwowała reakcję koleżanki. Wiedziała, że historia, którą wymyśliła, jest niedopracowana. Jak to mówią, diabeł tkwi w szczegółach. Ale Roksana, mimo że lubiła zadawać pytania, zazwyczaj zadowolala się prostymi odpowiedziami, nawet jeśli bywały zbyt banalne i brakowało im logiki.

– Uznałam, że prościej będzie, jeśli rozkocham w sobie faceta, owinę go sobie wokół palca.

– No tak. – Roksana pokiwała głową.

– Miałam szczęście, że Filip był akurat samotny, w przeciwnym razie nie wiem, jak by mi się to udało. Ale najważniejsze, że się udało.

– Rozumiem. Tylko nadal zadaję sobie pytanie, po co tak wielkie starania, żeby kupić działkę na wsi. W dodatku za milion. Gośka coś wspominała, że owszem, działka jest nad jeziorem, ale to ponoć zwykły las. Jakiś jej kolega ocenił, że taka ziemia to za trzy złote idzie od metra.

– Racja, zwykły las, to może i w takiej cenie, ale ten nie jest zwykły. I w tym cała tajemnica. Ta ziemia jest warta z dziesięć milionów. Jeśli nie więcej – z dumą oświadczyła Kaja i puściła wymownie oczko.

– Jak to? A co w nim takiego?

– Trufle! – oznajmiła z euforią Kaja.

– No co ty? Przecież w Polsce nie ma trufli.

– Ależ są. I właśnie ja je mam. Proszę bardzo. – Kaja postawiła ukryty wcześniej pod kanapą słoiczek z truflą.

– Prawdziwa? – Roksana oglądała eksponat, mrużąc oczy.

– Prawdziwa. I dlatego uważam, że wartość lasu to nic w porównaniu z tym, ile warta będzie moja firma zajmująca się wydobywaniem i sprzedażą trufli.

– O rany. Ale skąd wiedziałaś, że ten las...

– No cóż, mam swoje kanały.

– A Filip wiedział, że tam są trufle? Sprzedał za bańkę, skoro mógł mieć kilka razy więcej?

– Nie wiedział.

– To nie rozumiem. Nie lepiej było od niego kupić za trzy złote?

Po cholere dawałaś mu milion? Jak duży jest ten las?

– Sześć hektarów. Owszem, mogłam kupić od niego za grosze, bo nie był świadomy prawdziwej wartości, ale wiesz... Chciałam być uczciwa.

– No tak... O kurczę, Kaja, nie znałam cię od tej strony...

– Zarobię na tym kupę kasy. Źle bym się czuła, wiedząc, że z premedytacją kogoś naciągnęłam. I tak nieładnie się zachowałam, dając mu nadzieję na ślub...

– Ale dlaczego nie powiedziałaś tego Marcie? Przecież teraz wszyscy się z ciebie śmieją, że byłaś taka głupia. Myślą, że to facet cię wykorzystał, oszukał, że trafiłaś na jakiegoś tulipana i poszłaś za nim jak w dym.

– Wolę, żeby tak myśleli. To znaczy chciałam, żeby Marta tak myślała, nie sądziłam, że rozgada dalej. To plotkara! – Kaja udała oburzenie.

– Ale dlaczego?

– Och, Marta wiedziała, że skoro przeznaczyłam na zakup wszystkie oszczędności, to będę potrzebować kasy na dalsze inwestycje. Nie dałaby mi wtedy spokoju, naciskałaby, żebym wzięła ją do spółki, chciałyby zainwestować. A przecież znasz ją, ona nie nadaje się do biznesu, wszystko chce robić po swojemu. A tu trzeba z głową, umiejętnie. Bo przecież grzybnia jest bardzo cenna. Trzeba się z nią obchodzić ostrożnie. Marta robi wszystko na łapu-capu.

– To prawda. Na pewno chciałyby od razu przekopać cały las.

– Otóż to. Dlatego wymyśliłam tę historyjkę, że facet mnie oszukał i rzucił, bo i tak wiedziała, że kupuję działkę, poleciła mi notariusza. Wiedziała też, ile płacę. Musiałam więc coś potem wymyślić, żeby nie zadawała więcej pytań.

– Słusznie. Ale jesteś cwana – przyznała z uznaniem Roksana.

– No i właśnie chciałam cię poprosić o poradę. Może ja jednak źle myślę i Marta by się sprawdziła. Pieniądze rzeczywiście są mi teraz potrzebne. Ty ją znasz trochę dłużej niż ja...

– Och, ostatnio rzadko ją widuję. – Roksana wzruszyła ramionami.

– Nie chcę, żeby zabrzmiało to źle, bo przecież też lubię Martę, ale na twoim miejscu nie proponowałabym jej żadnych biznesowych układów.

A ile to konkretnie pieniędzy potrzeba?

– Samo ogrodzenie lasu siatką będzie kosztować jakieś osiemdziesiąt tysięcy...

– A można ogrodzić las?

– Przecież to mój las.

– Osiemdziesiąt tysięcy – zamyśliła się Roksana.

– Osiemdziesiąt na samo ogrodzenie, do tego koszt ochrony, żeby nikt się nie włamał, potem koszt świń, które będą szukały grzybków...

Na początek jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy. Dopóki nie sprzedam pierwszych zbiorów, bo potem to już zaczniesz się kręcić. Jeśli nie Marta, to chyba będę musiała wziąć kredyt... Tylko że jak Marta dowie się o kredycie, to będzie miała pretensje, że wolałam wziąć pieniądze z banku niż wejść w ten interes razem z nią. Ona nie przepuściłaby takiej okazji.

Okazja. Kaja wiedziała, że to słowo zadziała na Roksanę niczym magiczny dzwoneczek. Koleżanka była wyczulona na wszelkie promocje, wyprzedaże w drogich butikach. Wydając trzy tysiące na skórzane spodnie, które wcześniej kosztowały pięć, twierdziła, że to niebywała okazja. Kiedy była żoną bogatego męża, nie miała potrzeby troszczyć się o gotówkę. Nawet teraz, będąc już po rozwodzie, nie przychodziło jej do głowy, że pieniądze w banku nie biorą się znikąd i majątek kiedyś stopnieje. Nie to, żeby Kaja z dobrego serca pragnęła pomóc koleżance w jego pomnażaniu. Chciała po prostu skorzystać z niego, dopóki jeszcze jest.

– Okazja, mówisz. – Roksanie rozbłyły oczy. – No tak. Takie trufle... Wiesz co, ja myślę, że kredyt to nie jest najlepszy pomysł. Nie ufałabym bankom. Słyszałaś, jakie zmartwienie mają ci, co wzięli kredyty we frankach. Banki to szuje. Już lepiej naprawdę wziąć współnika.

– No tak, ale sama mówiłaś, że Marta...

– Nie mówię o Marcie. Ona się nie nadaje. Myślałam o sobie. Mam trochę pieniędzy, mogłabym zainwestować. Nawet jeśli Marta się obrazi, że wzięłaś do spółki mnie, a nie ją, to cóż. Takie jest życie.

– Może masz rację – powiedziała Kaja, udając wahanie. – W końcu biznes to biznes. To, że przyjaźnię się z Martą, nie musi przecież

oznaczać, że powinnam robić z nią interesy.

– Ależ oczywiście. Szczególnie że co ona niby ma do zaoferowania oprócz, ewentualnie, pieniędzy? Zna się na truflach? Nie sądzę – prychnęła Roksana.

Kaja przytaknęła. Woląla nie zadawać pytania, czy Roksana zna się na truflach i co ma w tym względzie do zaoferowania oprócz pieniędzy, ale powstrzymała się, nie chcąc zaczynać niepotrzebnej dyskusji. Sięgnęła po orzeszka i zanim wzięła go do ust, strzepnęła z niego nadmiar soli. Wszystko szło po jej myśli. Już niebawem las zostanie ogrodzony, a ona i Roksana założą jedyną w Polsce firmę zajmującą się wydobywaniem trufli.

\*

Józefina, odkąd przez kilka dni z rzędu rozmawiała z synem, synową i wnukami przez Skype'a, chodziła uszczęśliwiona i zafascynowana wynalazkiem. Zapragnęła kupić komputer, podłączyć go do sieci i zainstalować odpowiedni program.

– No widzisz, Alicjo – mówiła rozanielona – do Australii nie pojedę, bo za stara jestem, ale dzięki tobie czuję się, jakbym tam była. Chyba nawet już mają mnie dosyć.

– A gdzie tam, sama słyszałam, że są naprawdę zadowoleni. I ja się cieszę, że mogłam poznać rodzinę.

– Tylko ten komputer, jak to wszystko pozłatwiać? – martwiła się Józefina.

– Ty już się, ciociu, o nic nie martw. Konrad obiecał, że załatwi, on się zna na komputerach. Wybierze odpowiedni sprzęt, załatwi antenę...

– Bardzo miły chłopak, bardzo miły. Tylko się jeszcze dowiedz, ile to będzie kosztowało.

– A to już biorę na siebie.

– Ale ja przecie mam pieniądze. Ziółka dobrze się sprzedają, stać mnie, córciu.

– To trzymaj, ciociu, na jakąś inną okazję, bo to już postanowione. Za pobyt nie płaciłam, to przynajmniej w ten sposób się odwdzięczę. Mnie teraz też stać.

– Ty mi się nie musisz za nic odwdzięczać!

– Ale chcę. Jeśli nie przyjmiesz komputera, to zostawię pieniądze za tydzień, przy wyjeździe.

– A dokąd chcesz za tydzień jechać?

– No jak to, do domu. Bartek zabiera Matysię na ostatnie dwa tygodnie wakacji. Przecież nie będę tu bez niej siedzieć.

– A dlaczego nie?

– Oj, ciociu.

– Przecie ja widzę, co się święci. Chcesz tak po prostu wyjechać?

Alicja spojrzała na Józefinę zdziwiona.

– Ale co się święci?

– No jak to co? Przecie widzę, jak na siebie z Konradem patrzycie. Kiedy tu był wczoraj, mało cię nie zjadł wzrokiem. Już ja swoje wiem. Może i jestem stara, ale nie ślepa.

– No cóż. – Alicja odchrząknęła. Czowała, że się rumieni, nie była przygotowana na tę rozmowę, jeszcze nie teraz. – Rzeczywiście, coś tam się kluje między nami, ale nie chcę zapeszać...

– Się kluje i się wykluje, zobaczysz – powiedziała Józefina z uśmiechem. – Ja to wiem. A pamiętasz – przypomniała sobie nagle – jak puściłaś wianek? Dorotka mówiła, że zrobiłaś to z myślą o Bartku, a tymczasem, jak widać, inny jest ci pisany. Przeznaczenia nie oszukasz, moja droga.

Co tam wianek, nafaszerowałam go kilogramem ziół – pomyślała Alicja, unikając wzroku ciotki.

– Och, ciociu, nie wierzę w żadne wianki – powiedziała głośno. – Coś się kluje, ale na razie trudno ocenić, czy nasza znajomość się rozwinie.

– To dobry chłopak. – Ciotka pokiwała głową, nalewając wody do czajnika. – I jaki ładny. I kawaler. I na komputerach się zna – dodała z uznaniem. – Trzymaj się go, lepszego nie znajdziesz. Ja go może słabo znam, ale dobrze mu z oczu patrzy.

Alicja uśmiechnęła się na te słowa. Na myśl o Konradzie za każdym razem robiło jej się ciepło na sercu i natychmiast miała ochotę go zobaczyć, usłyszeć, przytulić się, pocałować. Wiedziała, że on czuje podobnie. Mimo że codziennie się widywali, wciąż było im siebie mało.

– Może rzeczywiście zostaną do końca wakacji – powiedziała



w zamyśleniu.

– Ale oczywiście, nie ma o czym gadać. A, mówiłam ci już, że Patryk chce przyjechać na studia do Wrocławia? Zamierza studiować na ASP. Odziedziczył talent po dziadku. Stasiulek byłby z niego dumny. – Józefinie, kiedy to mówiła, załamał się głos.

– To bardzo dobra wiadomość – ucieszyła się Alicja.

– Dobrze ten mój syn dzieci chowa, trzeba mu przyznać. Mogliby jechać gdziekolwiek, a ciągnie ich do Polski. Czy to nie wspaniałe?

– Wspaniałe, ciociu. Naprawdę bardzo się cieszę.

– Byle mu się nie odwidziało – mruknęła Józefina. – Wiesz, jak to młódzież. Dlatego szybko potrzebuję tego komputera, żeby być z nimi w ciągłym kontakcie i trzymać rękę na pulsie.

– Nie ma sprawy, już mówiłam Konradowi, że to pilne. Jutro ma pojechać do Wrocławia. Pojechałabym z nim, ale chcę być tu, na miejscu... Jutro przyjeżdża rodzina Czarnej Marii.

– A no tak, no tak – westchnęła Józefina. – Oj, Boziu, Boziu, żeby to była jej rodzina. Bo co, jeśli okaże się, że to jednak nie ona?

– Ze zdjęcia rozpoznali. Myślę, że wszystko będzie dobrze.

\*

Komendant Grzelak obudził się skoro świt, zanim rozbrzmiał ustawiony na godzinę ósmą budzik. Jego małżonka spała twarzą do poduszki, pochrapując lekko. Przez chwilę wpatrywał się w jej brązowe, lekko kręcone włosy. Miał ochotę złapać za nie i potrząsnąć. Dopiero co wczoraj wieczorem znowu zrzędziła. Zacisnął zęby i przytakiwał. Nie przyznał się, że już niebawem będą pisały o nim gazety, że już niebawem koledzy zaczną sobie o nim przypominać, a sam szef Komendy Głównej Policji przybiegnie z płaczem, że oprócz Grzelaka nikt się do roboty w policji nie nadaje. A on może przyjmie awans, a może nie. Wciąż bowiem nie potrafił się zdecydować, czy nie powinien rzucić munduru i zostać prywatnym detektywem.

Żona nie wiedziała o niczym, nie opowiadał w domu ani o pracy, ani o planach. Nie zdradził się ani słowem na temat sprawy, którą właśnie prowadzi i która kończy się tak wielkim sukcesem. Chciał, żeby dowiedziała się w ostatniej chwili, a najlepiej z gazet. Pragnął, żeby była

w szoku, żeby nagle odkryła, że nie знаła tego bohatera, tego supermana, superpolicjanta, z którym mieszka. Pragnął zobaczyć w jej oczach prawdziwy podziw i uznanie.

Już dziś spełnią się największe jego marzenia, które prowadzą do realizacji kolejnych.

Bo jak marzyć, to tylko o rzeczach wielkich, małe trzeba realizować od razu – pomyślał, wstając z łóżka.

Mimo że Alicja była przeciwna zawiadomianiu prasy i ustalili wspólnie, że najpierw pytają rodzinę o zdanie, Grzelak podjął własne działania.

Kobity nie muszą o niczym wiedzieć – tłumaczył sobie, mozolnie wyszukując w Google numery telefonów do stacji telewizyjnych, radiowych oraz gazet i tygodników. Nie ograniczał się do mediów lokalnych, pragnął dużego rozgłosu. Telewizja Polska, TVN, Polsat, a nawet National Geographic, bo pamiętał, że i oni mają cykl programów, do których świetnie pasowałby reportaż o odnalezionej kobiecie.

Obdzwanianie zaczął w poniedziałek rano, podając się za anonimowego mieszkańca Polanki. Pokrótkie wyjaśniał, o co chodzi, zaznaczając przy tym, że sprawa jest tajna i najwyższej śledczej rangi.

O ile stacje ogólnopolskie zbywały go, prosząc o kilka słów w tej sprawie w e-mailu, o tyle media lokalne okazały się zainteresowane i chętne do współpracy.

Rodzina Czarnej Marii miała przyjechać na godzinę dwunastą. Alicja postanowiła, że podczas spotkania, oprócz Grzelaka, będzie także ona i Marianna. Był przeciwny, Marianna też, ale Alicja się uparła. Tłumaczyła, że jeśli babcia Marianny naprawdę jest siostrą Czarnej Marii, to rodzina kobiety ma prawo o tym wiedzieć.

Grzelak długo zastanawiał się, czy spotkanie powinno odbyć się w Bibliotece czy na posterunku. Rozważał wszystkie za i przeciw. W końcu zdecydował się na posterunek, ponieważ uznał, że napięcie trzeba stopniować i nie od razu ujawniać miejsce, z którym wiąże się ta historia. Historia, która wywoła wiele emocji. A media lubią emocje. Media żywią się emocjami. A on im te emocje da.

Jako anonimowe źródło poinformował dziennikarzy, że rodzina ma

przyjechać na posterunek o jedenastej. Chciał, żeby przedstawiciele mediów byli wcześniej, żeby zdążył zabłysnąć i skupić na sobie całą ich uwagę, zanim przyjadą bohaterowie historii. Bohaterowie drugoplanowi, bo głównym czuł się on.

Dochodziło wpół do siódmej, kiedy wszedł do łazienki i wziął prysznic. Czuł się pobudzony. Przez niemal pół godziny stał pod strumieniem wody i uspokajał oddech. Pomogło. Następnie wytarł się tyle o ile i nasmarował wilgotne jeszcze ciało odrobiną balsamu, którego zazwyczaj używała jego żona. Tego dnia i on chciał czuć się wyjątkowo. Elegancko. Pachnąco.

Stał przed lustrem i uśmiechnął się do siebie. Ogolił się i wklepał w skórę twarzy kilka ładnych mililitrów wody kolońskiej. Nie żałował sobie. Do jedenastej zdąży wywietrzeć na tyle, żeby unosiła się za nim jedynie mgiełka tajemniczego, prawdziwie męskiego zapachu.

Obrócił się, by spojrzeć na siebie z boku. Wciągnął brzuch i poklepał się po pośladku. Uznał, że jest nieźle. Wprawdzie dieta jeszcze nie przyniosła spektakularnych efektów, ale było o niebo lepiej niż chociażby miesiąc temu. Jazda na rowerze także zrobiła swoje. Teraz na pewno zmieści się w odświętny mundur, który ostatni raz miał na sobie podczas ślubu.

Niestety, mylił się.

Ten cholerny brzuch! Nawet kiedy go wciągał, nie dało się wcisnąć spodni, góry już nawet nie przymierzał.

Może to i lepiej – pomyślał, starając się zachować zimną krew. Galowy mundur mógłby za bardzo kłuć w oczy, a on przecież chciał zaprezentować się jako ciężko pracujący, cholernie skuteczny, a przy tym skromny policjant. Taki, który wzbudza nieklamany podziw, jest lubiany i szanowany.

– No, czyli ja – mruknął do siebie Grzelak, zakładając codzienny mundur i świeżo wypastowane buty.

Nagle podskoczył na dochodzący z sypialni dźwięk budzika. Chwycił leżący na pralce mundur galowy, powiesił go na wieszaku i szybkim krokiem zaniósł do szafy w przedpokoju. Następnie poszedł do kuchni i kiedy przyczłapała, szurając kapciami, zaspana Danuta, siedział już przy stole i pił aromatyczną kawę. Sypaną, z dwóch

łyżeczek, tak jak lubił.

– Po cholerę nastawiasz ten budzik, skoro i tak wstajesz zanim zadzwoni – wyjęczała Grzelakowa, nie patrząc na męża. – Mnie to kawy nie zrobiłeś – dodała z pretensją.

Nie odpowiedział. Udawał, że czyta wczorajszą gazetę.

– Co dzisiaj jest? Środa? – spytała Danka, sięgając do szafki po rozpuszczalną neskę.

– Czwartek.

– Czwartek. Znowu czwartek. Dopiero co była niedziela. W sobotę Zdzisia przyjeżdża po małą. Trzeba by zakupy zrobić jakie. Może kurczaka upiekę... Albo nie, kaczkę lepiej. Zdziśka kaczki nie umie robić, zawsze zazdrości. Tak, kaczkę. Co tu tak zajężdża kamforą? – Zmarszczyła z obrzydzeniem nos i rozejrzała się po kuchni, szukając źródła zapachu. – O matko! – krzyknęła nagle, spojrzawszy na męża, świeżo ogolonego, uczesanego i w odprasowanym mundurze. – A co ty taki odstawiony! Święto jakie czy co? Przecież to jeszcze nie dożynki.

– Żadne święto – powiedział Grzelak i odchrząknął, żeby nabrać pewności w głosie. Wzrok małżonki zawsze działał na niego stresująco. – Żadne święto – powtórzył głośniej. – Zdjęcia będą mi robić, w telewizji mnie pokażą.

– Dobrze sobie! – Danka roześmiała się piskliwie. – Będą u nas kręcić jakiś serial i załapałeś się na statystę?

Grzelak pokręcił głową. Nie chciało mu się wyjaśniać, pragnął, żeby sama zobaczyła. Ale nie wytrzymał.

– Nie będą kręcić serialu. Przyjeżdżają do mnie.

Danuta oparła się o kuchenkę i mrużąc oczy, podejrzliwie spojrzała na męża.

– A to niby z jakiej okazji?

– Rozwikłałem zagadkę stulecia. Stu-le-cia – podkreślił z powagą.

– To normalne, że prasa się interesuje, radio, telewizja.

– Ty? – Danka wyprostowała się i przechyliła głowę z niedowierzaniem, ale oczy jej rozbłysły. – Ty rozwikłałeś jakąś zagadkę?

– A to jedną? Gdybyś się bardziej interesowała moją pracą, wiedziałabyś, że co chwila miałem telefony z prośbą o wywiad. Nigdy

się nie zgadzałem, aż do dziś. Tym razem to za duża sprawa, prasa nie odpuści. To sępy. Nie dadzą mi spokoju.

– Naprawdę, Gieniuś, telewizja? – Grzelakowa przysiadła się do stołu i nachyliła do męża. Jej głos stał się aksamitny, a twarz rozjaśnił uśmiech. – To może śniadanko ci zrobię, co? Nie możesz przecież głodny iść do pracy. Może jajeczka sadzone na boczusiu? Albo jajecznikę? Co, Gieniuś? Z czterech jajek czy z pięciu? Telewizja będzie wywiad robić z moim mężem, no, no.

Grzelakowi nieznacznie drgnęła dolna warga, ale powstrzymał się od uśmiechu. Na zewnątrz zachował powagę, lecz w środku rozpieęły go szczęście i duma. Nareszcie doczekał się chwili, kiedy żona nachyla się nad nim z czułością, a w jej oczach można dostrzec podziw.

– Sadzone – odpowiedział.

– A sam se zrób! – Grzelakowa nagle zmieniła ton i wstała. – Nie do wiary, jakim ty jesteś frajerem. Naprawdę myślisz, że telewizja przyjedzie? Tutaj, do tej dziury? Wywiad z tobą przeprowadzać? Ktoś sobie żarty zrobił, a ty łyknałeś!

Grzelak poczuł, jak jego oddech przyspiesza i zaczyna się robić gorąco. Przełknął ślinę i udał, że wraca do czytania. Litery w gazecie jednak skakały mu przed oczyma, nie był w stanie się skupić.

– Muszę już iść – powiedział i nie skończywszy pić kawy, wyszedł z domu.

W głowie mu wirowało. Kiedy minął zakręt, zauważył, że nie ma aktówki. Nie chciał jednak po nią wracać. Pocieszył się, że nie będzie mu potrzebna. Najważniejsze fakty o Czarnej Marii ma w głowie, a resztę może ponownie wydrukować na komisariacie.

Był głodny. Na myśl o jajkach wstrząsnął nim dreszcz. Mimo to czuł, że w brzuchu zaczyna mu burczeć. Nie był w stanie funkcjonować bez śniadania. Choćby i lekkiego, z uwagi na dietę. Musiał coś zjeść.

Idąc energicznym krokiem, dotarł do Rynku. W sklepie spożywczym był już spory tłumek. Grzelak odniósł wrażenie, że wszyscy we wsi mieli z rana ochotę na gorący chleb i świeże mleko. Niestety piekarnia spóźniała się z dostawą i na pieczywo trzeba było czekać. Nie miał na to ochoty. Udał się do Wojtaszków, którzy co prawda byli dalej od Rynku, ale za to Wojtaszek sam przywoził bułki

i już o szóstej rano można było delektować się chrupiącą skórką.

– Dzień dobry, panie komendancie! – krzyknęła Wojtaszkowa, widząc wchodzącego Grzelaka.

Kilka osób z kolejki odwróciło się w jego kierunku i przywitało się.

– Dobry, dobry – mruknął Grzelak, stając na końcu sznureczka. – Ja tylko bułkę i kefir, przepuszczą mnie państwo?

Ludzie z kolejki pokiwali głowami, kiedy pokazał odliczoną kwotę. Przeszedł na początek i położył monety na ladę.

– A co pan dzisiaj taki odświeżony? – zagadała sklepowa, przyglądając się jego nowej fryzurze i odmłodzonej po goleniu twarzy.

Grzelak już miał się pochwalić, że wystroił się pod telewizję, ale przypomniała mu się reakcja małżonki i ugryzł się w język. Wyobraził sobie, że podobnie jak ona, tak i ludzie w sklepie, na wieść o czekających go wywiadach zaczęliby się wyśmiewać. Nie uwierzyliby na pewno.

– Bardzo ładnie pan wygląda – przyznała Małgosia Wojtaszek. – Co to za okazja?

Grzelak spojrział na nią, a potem omiótł wzrokiem ludzi stojących w kolejce, którzy także z zaciekawieniem przyglądali się mu i czekali na odpowiedź. Poczł nagły przypływ złości.

– A pocałujcie się wszyscy w dupę. – Zgarnął bułkę i kefir i szybko wyszedł ze sklepu, zostawiając oniemiałych z wrażenia mieszkańców.

Kiedy dotarł do komisariatu, wciąż czuł podenerwowanie. Położył zakupy na biurku i mimo że nigdy nie palił na czczo, tym razem nie wytrzymał. Dwa mocne machy. Nikotyna dotarła do mózgu. Grzelak poczuł się lepiej. Kolejne dwa machy i świat wrócił na swoje tory. Ja wam wszystkim dzisiaj pokażę! – pomyślał z satysfakcją. Zgasił papierosa i zjadł śniadanie.

Było wpół do dziesiątej. Za wcześnie, żeby wypić kolejną kawę. Zazwyczaj parzył ją dopiero przed południem. Nagle przypomniał sobie, że przecież miał po drodze zajść do Biblioteki i upewnić się, że Czarna Maria ciągle tam przebywa.

– Cholera jasna – zaklął pod nosem zły, że musi wychodzić z komisariatu. Nie lubił ruszać się prosto po jedzeniu. Wolałby odpocząć

i zapalić kolejnego papierosa. Ale obowiązek to obowiązek – pomyślał. A cel to cel. Nie zrealizuje celu, jeśli nie dopilnuje obowiązków. Trzeba zadbać o wszystko.

To dopiero by było, gdyby przyjechała rodzina i dziennikarze, a nie byłoby bohaterki.

Na szczęście była.

Poznał to po butach, które jak zwykle stały na ganku.

Czarna Maria rzadko kiedy wychodziła z domu przed dziesiątą. Może dlatego, że ludzie, wracając rano ze sklepu, podrzucali jej jedzenie i o dziewiątej jadła swoje śniadanie. Bywały też dni, kiedy w ogóle nie opuszczała Biblioteki. Opuchnięte nogi i zmęczony kręgosłup dawały znać o sobie tego lata częściej niż kiedykolwiek.

Grzelak nie chciał ryzykować. Cicho, niemal bezszelestnie, wspiał się na murek przy schodach prowadzących do domu i sięgnął po buty Czarnej Marii, a następnie czmychnął, ukrywając się w krzakach. Serce biło mu jak oszalałe.

Przyjrzał się czarnym trzewikom. W prawym dostrzegł sporej wielkości dziurę w podeszwie. Do środka buta włożony był kawałek tektury. Pierwszy raz poczuł, że żal mu Czarnej Marii i naprawdę ucieszył się, iż kobieta wkrótce wróci do domu i do rodziny.

A może jej dom jest tu? – zamyślił się, zdumiony własną refleksyjnością. Szybko przywołał się do porządku. Teraz nie może się rozczulać. Nie dziś. Dziś musi trzymać fason, być pogromcą, mocarzem, detektywem stulecia i celebrytą w jednym.

Usiadł na kamieniu i przez dłuższą chwilę obserwował dom. Po cichu modlił się, pierwszy raz od bardzo dawna, żeby Czarna Maria nie wyszła, kiedy jego tu nie będzie i nie poszła przed siebie bez butów. W tym momencie pożałował swojej decyzji o spotkaniu na komisariacie. Powinien zwołać wszystkich od razu do Biblioteki, tak jak mówiła Alicja. Ale było już za późno. Gorączkowo zastanawiał się, co zrobić na wypadek, gdyby Czarna Maria jednak wyszła.

W końcu wybrał numer do Jacka.

– Halo? – Po kilku sygnałach usłyszał zachrypnięty, mocno zaspany głos chłopaka.

– Widziałem cię wczoraj, wiem, że już wróciłeś – powiedział

Grzelak bez zbędnych wstępów.

– Ale kto mó... Pan komendant?

– Raczej twoje wyrzuty sumienia za zdradę – wysyczał Grzelak.

Nie potrafił oprzeć się pokusie dokopania Jackowi.

– Dzień dobry, panie komendancie. Sam miałem do pana dzwonić... Bo wie pan, wszystko sobie przemyślałem. – Głos chłopaka przybierał na sile, słychać było, że Jacek błyskawicznie się rozbudził i gotów jest do działania.

– Że niby co przemyślałeś? – spytał Grzelak.

– No, ogólnie, głupio wtedy wyszło. Sam nie wiem czemu. Ale miałem czas zastanowić się nad wszystkim i chciałbym spróbować jeszcze raz. Z tym stażem. O ile pan komendant oczywiście wybaczy i da mi jeszcze jedną szansę. Obiecuję, że...

– Ty mi nic nie obiecuj, tylko pokaż, co potrafisz.

– Czyli co?

– Czyli masz być za piętnaście minut pod Biblioteką.

– Za piętnaście? Jeszcze w łóżku jestem, muszę się ogarnąć, coś zjeść...

– Nie chrzań mi tu o łóżku, służba nie družba. Masz być za piętnaście minut i ani sekundy spóźnienia.

– Tak jest, panie komendancie!

Grzelak właśnie kończył palić papierosa, kiedy Jacek, zdyszany i blady, przybiegł pod wejście do Biblioteki. Był punktualnie.

Komendant, ukrywający się w zaroślach, wyjrzał i cicho gwizdnął.

– Tu masz siedzieć – poinstruował chłopaka.

– Znowu w krzakach? – jęknął Jacek, ale posłusznie schylił się i wszedł w zarośla.

– Nie marudź. Siadaj i czatuj. Masz pilnować Czarnej Marii.

– O matko, a co ona zrobiła? Zamorduje kogoś?

Grzelak wywrócił oczami.

– Nie zadawaj pytań, tylko siedź. Masz przy sobie telefon?

– Mam.

– To dzwoń jak tylko zauważysz, że Maria gdzieś się wybiera. Nie powinna pójść daleko, schowałem jej buty. – Skinął brodą, wskazując leżące pod krzaczkiem czarne trzewiki.



- Zabrał jej pan buty? Ale po co?
- Ale ty jesteś głupi. – Grzelak westchnął głośno. – A po co się zabiera buty? Żeby nigdzie nie poszła, durniu.
- No tak... A jeśli mimo to pójdzie? Sam pan wie, że Czarna Maria to wariatka. Taka to i na bosy może...
- I właśnie po to tu jesteś. Masz ją zatrzymać wszelkimi sposobami.
- Siłą też?
- Oszalałeś? Chcesz się rzucać na staruszkę? Masz ją zatrzymać własną inteligencją.
- O Boziu – jęknął Jacek. – To ja nie wiem, czy mi się uda...
- Nic już nie mów. Po prostu siedź tu, a kiedy zauważysz, że Czarna Maria dokądś się wybiera, to dzwoń.

Grzelak żałował, że nie wziął roweru. Byłoby i szybciej, i wygodniej. Wszystko przez Dankę. To przez nią wybiegł z domu jak oparzony i nie był w stanie myśleć.

Teraz szedł żwawym krokiem, zastanawiając się, czy zaczęli zjeżdżać się dziennikarze. Było jeszcze piętnaście minut do jedenastej, może zdąży przed nimi. W scenariuszu, który sobie obmyślił, to oni mieli się do niego dobijać.

Kiedy zbliżał się do posterunku, ze zgrozą zauważył dwa zaparkowane tuż przy budynku samochody. Jeden z nich miał logo popularnej miejscowej gazety, drugi był, jak to określił Grzelak w myślach, nieoznakowany. Kilka metrów dalej stał van, z którego ekipa lokalnej telewizji wyjmowała sprzęt.

- O rany – wyjęczał Grzelak. Ugięły się pod nim nogi.

Stanął, żeby zebrać myśli i nabrać sił. Oparł się o drzewo i zapalił papierosa. Zaciągnął się ledwie trzy razy. Zgasił niedopałek i wykonał telefon do Jacka.

- Zadzwoń do mnie za dwie minuty i się rozłącz – rzucił do słuchawki.
- Ale po co?
- Bez odbioru. – Grzelak rozłączył się i ruszył dziarskim krokiem w kierunku komisariatu.
- Dzień dobry, a co to za zbiegowisko? – spytał dziennikarzy

kręcących się pod drzwiami.

– Dostaliśmy informację, że dziś ma dojść do spotkania zaginionej przed dwoma laty kobiety z rodziną. Pan jest policjantem z tego posterunku? Wie pan coś na ten temat? – Blondynka, która trzymała dyktafon, obrzuciła Grzelaka chłodnym spojrzeniem.

– Komendantem – poprawił ją Grzelak. – Nie sądzę, żeby to była państwa sprawa. Skąd w ogóle o tym wiecie?

– Od anonimowego mieszkańca tej wsi – wyjaśnił rudawy młodzieniec. – Ponoć zaginiona mieszkała tu w czasie wojny i została uznana przez rodzinę za zmarłą?

– Nie komentuję – rzucił Grzelak, udając, że szuka kluczy. W tym momencie zadzwonił jego telefon.

– Grzelak, słucham? – powiedział, odebrawszy. – Tak, to ja. Oczywiście. Rozumiem. Interpol, rozumiem – mówił, odwróciwszy się od dziennikarzy. Jego teatralny szept nietrudno było jednak usłyszeć. – Służby specjalne go zgubiły?! Poszukiwany przez FBI? Tak, rozumiem. Dobrze, wezmę tę sprawę... Proszę przesłać informacje. Zajmę się tym najszybciej, jak to będzie możliwe. Do widzenia.

Włożywszy telefon do kieszeni, nie patrząc na dziennikarzy, zaczął gmerać kluczem w zamku.

– Panie komendancie. – Usłyszał nagle przymilny głos za plecami. Domyślił się, że blondynka zmieniła taktykę. – Bardzo przepraszam, bo widzę, że jest pan zajęty... że ma pan na głowie tak wiele ważnych spraw... Ale czy moglibyśmy prosić o kilka słów dla prasy?

– Naprawdę nie mam czasu. Konferencję zwołam w innym terminie.

– Tak, oczywiście, ale tylko kilka słów, dosłownie dwie minutki. Grzelak ostentacyjnie westchnął.

– Dwie minuty dla państwa, nie więcej.

Nie musiał drugi raz powtarzać, natychmiast zostały wycelowane w niego dwa mikrofony, dyktafon i kamera. Posypały się pytania nie tylko o Czarną Marię, ale i o samego komendanta. Najwyraźniej rozmowa, którą przed sekundą przeprowadził, zrobiła odpowiednie wrażenie. Dziennikarze uznali, że może uda im się wyciągnąć jeszcze więcej ciekawych informacji, niż tylko tak, po którą tu przyjechali.

– Spokojnie. – Grzelak podniósł do góry dłoń. – Po kolei, proszę państwa, nie wszyscy naraz. Może w ogóle najpierw się przedstawię. Eugeniusz Grzelak. Komendant.

\*

Alicja już z daleka zauważyła zamieszanie pod posterunkiem.  
– Cholera jasna – zaklęła pod nosem. – Jednak powiadomił dziennikarzy. A to szuja.

Zatrzymała rower i przez chwilę obserwowała przeżącego się przed kamerą Grzelaka. Otaczał go spory tłumek ludzi, nie tylko dziennikarzy, ale i mieszkańców wsi, którzy zbiegli się zaintrygowani niecodziennymi wydarzeniami.

Alicja zatelefonowała do Marianny.

– Hej, gdzie jesteś? Dzwonię, żeby cię uprzedzić, że pod posterunkiem jest niezłe zbiegowisko. Komendant chyba zapragnął być gwiazdą. Co robimy? Przecież jak ci Bielawscy przyjadą, nie będą mieli spokoju...

– Kurczę, co za facet – westchnęła Marianna. – Co mu odbiło, przecież ustalaliśmy... Nieważne. Ala, nic teraz nie zrobimy. Może wprowadzić tę rodzinę tylnym wejściem albo coś. Zresztą nie wiem, po co w ogóle kazał przyjeżdżać na komisariat, nie lepiej byłoby od razu w Bibliotece?

– Oczywiście, że lepiej, ale mówił, że martwi się, że tam nie trafią. Teraz myślę, że raczej martwił się o dziennikarzy niż o Bielawskich. Cholera jasna.

– Słuchaj, ja już jestem w drodze. Pielęgniarka do babci trochę się spóźniła, ale już wszystko jest ogarnięte, więc dosłownie za pięć minut powinnam być.

– Okej. Czekam naprzeciwko komisariatu.

Rzeczywiście, Marianna dotarła na miejsce po niecałych pięciu minutach. Jej seledynowo-biały rower z białymi kołami i koszykiem przy kierownicy prezentował się niczym klejnot w porównaniu ze starym, pożyczonym od Kaśki składakiem Alicji. Sama Marianna też wyglądała pięknie. Jak zwykle ubrana była w sukienkę, tym razem jednak zamiast butów na obcasie, miała na sobie zwykłe tenisówki. Nie

ujmowało to nic z jej kobiecości. Wręcz przeciwnie – wyglądała w nich ładnie i dziewczęco.

Grzelak, na widok zmierzających w jego stronę Alicji i Marianny zmieszał się i ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

– Kończymy już, proszę państwa. Dziękuję. – Stanowczo zakończył udzielanie wywiadów i nie odpowiadając na wciąż zadawane przez dziennikarzy pytania, zniknął za drzwiami posterunku.

– Dzień dobry – powiedziały jednocześnie Alicja i Marianna, kiedy również weszły do budynku.

– Dobry, dobry – mruknął Grzelak. – Jak dla kogo! Nasłaly panie na mnie tych dziennikarzy, musiałem się z nimi użerać! Przecież umawialiśmy się inaczej...

– No właśnie... – wymamrotała Alicja, zerkając w stronę Marianny ze zdziwieniem. – Ale to nie my nasłalyśmy.

Grzelak spojrzął na nie spod oka.

– No to mamy kreta – powiedział grobowym tonem. – Ktoś musiał usłyszeć naszą rozmowę albo któraś z pań puściła farbę.

Alicja przełknęła ślinę. O całej sprawie mówiła tylko ciotce i Konradowi, ale to nie możliwe, żeby któreś z nich powiadomiło media. Marianna nie mówiła nikomu, nawet babci. Może żona Grzelaka?

Nie zdążyła jednak wyartykułować swoich myśli na głos, ponieważ usłyszeli podjeżdżający pod komisariat samochód.

– To pewnie oni – powiedział Grzelak, zerkając przez okno. – Są przed czasem.

– Może wpuścić ich tylnym wejściem? – zaproponowała szybko Marianna.

– Tu nie ma tylnego wejścia. Dam sobie radę. Panie niech tu poczekają.

Kiedy Grzelak wyszedł, Marianna usiadła na drewnianym krześle. Widać było, że denerwuje się spotkaniem z rodziną Bielawskich. Alicja doskoczyła do okna, żeby obserwować sytuację.

Z srebrnego opla wysiadła najpierw kobieta. Około pięćdziesięcioletnia, trochę przy kości, z krótkimi, natapirowanymi i zafarbowanymi na fioletowo włosami. Ubrana była w karmelowy komplet składający się ze spódnicy i krótkiego zakietu.

Zdezorientowana rozglądała się po okolicy, nie reagując na nawoływania dziennikarzy. Dopiero na widok umundurowanego Grzelaka na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi. Schyliła się i powiedziała coś do kierowcy. Prawdopodobnie poinformowała go, że dobrze trafili.

Kierowca wyłączył silnik i po chwili także wysiadł. Był to szpakowaty, szczupły mężczyzna o łagodnych rysach twarzy. Ubrany w dżinsy i kremowe polo wyglądał kilka lat młodziej niż jego żona, może dlatego że był zdecydowanie szczuplejszy, a jego chód bardziej sprężysty.

– Skąd ci ludzie znali nasze nazwisko? Czy to dziennikarze? – Już od wejścia dało się słyszeć skrzekliwy wysoki głos Bielawskiej. – Co oni tu robią? Płacą za udzielenie wywiadu?

– Wie pani, to mała miścina – tłumaczył Grzelak. – Najmniejsze wydarzenie urasta do miana sensacji. Nie wiem, kto ich poinformował, ale proszę się nie denerwować, opanowałem sytuację. Nie płacą – dodał. – Zapraszam tutaj. – Gestem wskazał im pokój, w którym już czekały Alicja i Marianna.

– Dzień dobry – przywitała się zdawkowo kobieta. Jej mąż skinął głową.

Alicja chciała podejść i przedstawić siebie i Mariannę, ale zanim udało jej się zrobić kilka kroków, Bielawska już zajęła jedno z wolnych krzeseł i zaczęła mówić.

– To co mamy podpisać, jakiś protokół? Czy mamusia gdzieś tu jest? Mój Boże, już ponad dwa lata jej nie widzieliśmy, a może to wcale nie ona. Ależ się denerwuję. Pewnie i tak nas nie pozna – mówiła, nie czekając na odpowiedzi. – Bo widzą państwo, teściowa od dawna choruje na Alzheimera. Raz pamięta, raz nie pamięta, taka to choroba. Prawda, Tomuś?

Mężczyzna przytaknął skinieniem głowy.

– Kto by to się spodziewał, że wtedy nam tak zniknie. Z dnia na dzień, proszę państwa, uciekła. No, może nie uciekła, bo przecież źle jej z nami nie było. Ale wyszła z domu i koniec. Szukaliśmy wszędzie. Sąsiedzi szukali, rodzina, ale nic. Policja nawet. Ba! Nagrodę żeśmy wyznaczyli, prawda Tomuś?

Grzelak na dźwięk słowa „nagroda” zaczął oddychać nieco

szybciej, zastanawiając się, czy wpadnie im do głowy, aby tę nagrodę mimo wszystko wypłacić.

– I tak po prostu wyszła z domu? – spytał, chcąc zwrócić na siebie uwagę, ponieważ do tej pory Bielawska mówiła raczej do Alicji i Marianny, niż do niego.

– No, tak po prostu. Znaczą się, szoku chyba jakiegoś dostała albo co. Nie wiemy. Dzień wcześniej byliśmy z nią na spacerze. Bo my, wie pan – teraz Bielawska mówiła do Grzelaka – mieszkamy w bloku, z takim malutkim tylko balkonikiem, więc jakby mamusia chciała zaczerpnąć powietrza, to nie bardzo ma jak. I wychodzimy, znaczą się, wychodziliśmy z nią raz lub dwa razy w tygodniu, pod rękę, bo inaczej to nerwowa się robiła.

– Lubi chodzić... – wtrącił Grzelak, ale Bielawska nie zwróciła uwagi na jego dopowiedzenie.

– A u nas tam kanałek taki płynie – ciągnęła – i w tym kanale proszę pana, jak przechodziłyśmy, to zaczęło się topić dziecko.

– Gdzie tam topić – wszedł jej w słowo mąż. – Dzieciaki się bawiły, bo to wiosna, ciepło. I jeden wskoczył do wody. Tam płytko jest. Ale dla zabawy zaczął krzyczeć.

– No i mamusia się chyba tego krzyku wystraszyła. – Bielawska pokiwała głową. – Bo nagle jak się nie rzuci, jak nie zacznie biec w tamtą stronę... Nie dałam rady jej trzymać. Tomek na szczęście w te pędy za mamusią. A ona już prawie w wodzie była.

Alicja spojrzała na Mariannę, a potem na Grzelaka. Ten otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Bielawscy byli tak pochłonięci wspomnianiem tamtego dnia, że raczej nie dałoby im się przerwać.

– Dobrze, że ten chłopak wszedł i pobiegł do kolegów – powiedział Bielawski. – Nic mu się oczywiście nie stało. Gdyby tam było głęboko czy niebezpiecznie, to przecież sam bym się rzucił na ratunek. Ale to zwykły kanałek, czasem tam dzieciaki sobie nogi moczą.

– Ale od tamtej pory z mamusią się coś porobiło. Obłąd jakiś w oczach zaczęła mieć – ciągnęła Bielawska. – Przestała w ogóle mówić. A na drugi dzień zawinęła się i tyleśmy ją widzieli.

– Przepraszam, a jak brzmi nazwisko panińskie państwa mamy? – zapytała Alicja, korzystając z chwili ciszy.

– Michalska, a co? – odpowiedział Bielawski.

– Drodzy państwo – Grzelak wstał i głośno odchrząknął. – Jestem przekonany, że kobieta, której szukacie, to właśnie ta, która mieszka obecnie w naszej wsi.

– Ale to nam się właśnie wydaje niewiarygodne, bo przecież tyle kilometrów – wtrącił Bielawski. – Co ona by tu robiła?

– Dobrze pytanie! – krzyknął Grzelak podnosząc dłoń. – I ja znam na nie odpowiedź. Otóż... – zaczerpnął tchu, żeby rozpocząć opowieść, ale Bielawska już wykorzystała moment zawieszenia i zaczęła wygłaszać swoją teorię.

– Nie, nie, Tomek ma rację. Mamusia jest chora, ona bez naszej pomocy to i na spacer by nie poszła. Zawsze pod rękę. A w domu to głównie leżała w łóżku. To niemożliwe, żeby ona tyle kilometrów przebyła, nawet jeśli pociągiem, to przecież nie miała pieniędzy. Nie, nie, ja wiem, że nadzieja to matka głupich i dlatego my tu jesteśmy, ale wiarę, proszę pana, już dawno straciliśmy. Teraz to tylko ta głupia nadzieja, jak policja zadzwoniła. Ale jak panu mówię, mamusia ma Alzheimera, tak daleko by nie zaszła.

– Chyba że miała naprawdę silną motywację – wtrąciła Alicja.

– Proszę państwa – odezwał się Grzelak – proszę tylko posłuchać.

– No, a gdzie ona w ogóle jest? – spytała Bielawska rozglądając się nagle po pokoju.

– W Bibliotece – wyjaśnił komendant.

Kobieta z kpiącym uśmiechem spojrzała na męża.

– A, to nie. Jak siedzi w Bibliotece, to na pewno nie ona – machnęła ręką. – Mamusia od lat nic nie czytała. No cóż, Tomuś, bardzo mi przykro – zwróciła się do Bielawskiego.

– Nie, nie, to nie jest zwyczajna biblioteka – powiedziała szybko Alicja. – To znaczy, biblioteka, ale nie zwyczajna. To dom, w którym przechowywane są teraz książki.

– Dobrze, nie ma co. – Grzelak energicznie wstał z krzesła i klasnął w ręce. – Najlepiej będzie, jak tam pojedziemy.

Bielawska spojrzała na męża i wzruszyła ramionami.

– Skoro już tu jesteśmy... Chociaż wątpię, żeby to była mamusia.

– To może ja się z państwem zabiorę samochodem – zaproponował

Grzelak. – Pokażę drogę, a przy okazji porozmawiamy.

\*

Alicja i Marianna, jadąc rowerami, wybrały skrót przez las, dzięki czemu były pod Biblioteką kilka minut wcześniej niż Grzelak z Bielawskimi.

– Cholera, chyba jej nie ma – zakląła Alicja. – Nie widzę butów. Mówiłam, żeby przyjechać tu z samego rana. Ale Grzelak oczywiście wszystko wie lepiej!

– Spokojnie, jest. Zobacz, drzwi są uchylone – zauważyła Marianna. – Przecież Czarna Maria, wychodząc, zawsze je zamyka.

– Cicho, nie patrz za siebie teraz – szepnęła nagle Alicja. – W krzakach ktoś siedzi. To pewnie ten gnojek, Jacek. Znowu mnie śledzi. Już ja mu teraz pokażę. Nogi z dupy powyrywam! – krzyknęła i odwróciwszy się energicznie, pobiegła w stronę zarośli. Już po chwili wyszła stamtąd targając za ucho skulonego Jacka.

– Ja nic nie zrobiłem – jęczał chłopak płaczącym głosem. – To pan komendant mi kazał.

– Przecież wiem, kto ci kazał! – krzyknęła rozwścieczona Alicja. – Że też wam się jeszcze nie odechciało! Co za świry! Niech no Grzelak tylko przyjedzie!

– Już są. – Marianna dostrzegła zbliżające się auto.

Za oplem jechały samochody reporterów, a jeszcze dalej kilku gapiów na rowerach.

– Niech pani mnie puści, ała! – Jacek skręcał się z bólu, ale nie miał odwagi wyrwać się z uścisku.

– Ala, może nie rób teraz scen – poprosiła Marianna. – Bo ci Bielawscy jeszcze się wystraszą i zwieją... Dokopiesz Grzelakowi później, na spokojnie.

– Masz rację. – Alicja puściła chłopaka.

Jacek zaczął rozcierać ucho.

Grzelak wyszedłszy z samochodu, natychmiast zwrócił się do chłopaka:

– Jest?

Jacek skinął głową potakująco, nie mając siły się odezwać.



– Dobra robota – pochwalił go Grzelak, poklepując po ramieniu.

Alicja spojrzała na Jacka pytająco. Ten wzruszył ramionami.

– To mój asystent, Jacek Warański – przedstawił Bielawskiemu Jacka. – Pilnował państwa mamy, żeby nigdzie nie wyszła.

– Dziękujemy. – Tomasz Bielawski uśmiechnął się do chłopaka.

Alicja także uśmiechnęła się do Jacka. Podniosła dłoń na znak, że temat mają zakończony.

Jolanta Bielawska, wcześniej rozgadana, teraz nagle ucichła i z zaciekawieniem patrzyła na dom. Usta miała otwarte, a w oczach rysowało się zdumienie. Grzelak odprawił Jacka, a Bielawskich zaprosił do środka. Zanim weszli, małżeństwo jeszcze przez chwilę stało pod Biblioteką, szepcząc coś między sobą. Wyglądali na oszołomionych.

– Powiedział pan im? – spytała cicho Alicja, dorwawszy komendanta na schodach.

– Jeszcze nie wszystko, bo nie było czasu. Ale o domu już wiedzą.

Czarna Maria siedziała odwrócona tyłem do wejścia, przy stole, łuskając ziarna słonecznika przyniesionego jej prawdopodobnie przez któregoś z mieszkańców.

– Mamusia? – spytał Bielawski, podchodząc bliżej.

Kobieta nie zareagowała.

– Mój Boże! Mamusia! – Mężczyzna przyklęknął obok Czarnej Marii i głos mu się załamał. – To ja, Tomek. Mamusia mnie nie poznaje? Bielawska natychmiast dopadła męża i teściowej i także zaczęła łkać.

– Nie do wiary! Nie do wiary! Mamusia!

Czarna Maria odłożyła słonecznik i spojrzała pustym wzrokiem na klęczących przy niej ludzi.

– Mamusiu, to ja, Tomek, a to Jola. W domu został jeszcze Szymek, twój wnuk, pamiętasz? A Adasia pamiętasz? Starszy, w ubiegłym roku córka mu się urodziła, masz prawnuczkę!

Czarna Maria nieznacznie drgnęła na dźwięk imion wnuków. Jakby poruszona została w niej niewidoczna struna. Jedna z niewielu nitki pamięci. Milcząco wpatrywała się w Bielawskich.

Bielawska wstała i otarłszy niewidoczne łzy, zaczęła rozglądać się po wnętrzu.

– To mówi pan, że dom należy do mamusi? – spytała Grzelaka.

– Na dziewięćdziesiąt procent. Stuprocentowej pewności niestety nie mamy. Ale wszystko na to wskazuje. Według moich informacji dom należał przed wojną do państwa Michalskich. Ale najlepiej, gdyby odnalazły się dokumenty posesji. Może są gdzieś?

– Nie ma, na pewno. Z tego co wiem, dziadkowie męża zginęli podczas wojny, a teściowa, wówczas mała dziewczynka, została przygarnięta przez daleką ciotkę, która też wkrótce umarła. Teściowa trafiła do sierocińca, nieraz o tym opowiadała. Ale o domu nie... Gdyby miała jakieś dokumenty, to przecież wiedziałaby o tym. Nie wspominała w ogóle o Polance...

– Była wtedy dzieckiem – zauważyła Alicja. – W dodatku przeżyła traumę. Nie dziwi mnie, że pewne zdarzenia, miejsca wypchnęła z pamięci. A może też sama nie wiedziała, że dom nie został sprzedany. Nie wiadomo też, co mówili jej rodzice...

– Tomuś – powiedziała Bielawska do męża, który wciąż klęczał przy matce – zostaw mamusię, niech mamusia trochę odpocznie po tych wszystkich wrażeniach. Chodź, obejrzymy dom. Jest nasz. Prawie – dodała cicho, choć w jej głosie dało się słyszeć podekscytowanie.

– Kto by pomyślał... – zadumał się Bielawski, wstając z klęczek. Czarna Maria spojrzała za nim mętnym wzrokiem, lecz zauważywszy w pokoju większą grupę ludzi, wróciła do monotonnego skubania słonecznika.

– Racja, może wyjdźmy na chwilę wszyscy. Pani Zofia rzeczywiście powinna przez chwilę odpocząć. Nie wiemy, co się dzieje w jej głowie – szepnęła Alicja. – Szczególnie że dzisiaj zabierają ją państwo do domu.

– No tak – przyznała Bielawska, przechodząc z salonu do kuchni. – Dziś jedziemy, ale zapewne wrócimy tu jeszcze. Tomek, trzeba będzie przeszukać papiery, może jednak coś się znajdzie. A jeśli nie, to znajdziemy prawnika, niech on się zajmie odzyskaniem nieruchomości – zadysponowała.

– Muszę usiąść. – Bielawski potarł dłonią czoło. – Dla nas to też dużo wrażeń...

– Marianna, a ty gdzie się zgubiłaś? – krzyknęła Alicja,

zauważywszy, że koleżanki nie ma w pobliżu.

– Nie chciałam przeszkadzać. – Marianna stała wciąż przy drzwiach w przedpokoju.

– Chodź, musimy jeszcze porozmawiać o tej drugiej sprawie... – przypomniała Alicja.

– No właśnie. Usiądźmy może tu, przy stole. Mnie też przyda się chwila odpoczynku – zaproponował Grzelak, rozglądając się po kuchni za choćby jedną szklanką, do której można by nalać wody z kranu.

Niestety, oprócz kubka, należącego prawdopodobnie do Czarnej Marii, nic nie znalazł.

– Pani Jolanto, zapraszamy – ponaglił ją Grzelak. – Jest jeszcze jedna kwestia do omówienia.

– Tak? – Bielawska jakby obudziła się z letargu. – O co chodzi?

– To może pani powie. – Grzelak spojrzał na Mariannę.

– Eeee... – Z ust dziewczyny wydobył się cichy jęk. Zaskoczona, nie potrafiła znaleźć słów, nie wiedziała, jak zacząć.

– Może ja powiem – zareagowała szybko Alicja. – Otóż, jak już pan komendant opowiadał państwu w samochodzie, siostry były dwie...

– No tak. Jedna się utopiła – dokończył Bielawski.

– Biedaczka. – Bielawska pokręciła głową.

– Nie do końca. To znaczy oficjalnie tak, ale ciała nigdy nie odnaleziono – uściśliła Alicja. – Od tamtego czasu minęło wiele lat, jednak na skutek dochodzenia, które przeprowadził pan komendant...

– Tak, tak – wszedł w jej słowo Grzelak, pragnąc, by uwaga ponownie skupiła się na nim. – To może ja przedstawię, jak sprawa dokładnie wygląda.

Dumny z siebie pokrótce opowiedział Bielawskim, jak teoretycznie mogło się potoczyć życie siostry Zofii.

– Tak więc, jak państwo widzą – ciągnęła dalej Alicja – mamy podstawy by sądzić, że babcia Marianny – Alicja wskazała na koleżankę – jest tą zaginioną siostrą...

Bielawscy spojrzeli na nią pytającym wzrokiem.

– Że co? – pierwsza odezwała się Bielawska. – Chyba pani żartuje.

– Nie mam pewności – wtrąciła szybko Marianna. – Jednak rzeczywiście, wszystko na to wskazuje... A przynajmniej sporo. Sama

jestem w szoku...

– Słyszysz, Tomuś? Czy ty to słyszysz?! – krzyknęła Bielawska.

– To panie nie są z policji? – zdumiał się nagle Tomasz Bielawski.

– Gdzie tam z policji! – grzmiała jego żona. – Przecież widzisz, jak poubierane! A pan komendant to w zmowie?

– W jakiej zmowie? – spytała Alicja.

Grzelak odchylił się na krześle, przyglądając się Bielawskiej. Nie spodziewał się takiej reakcji, żałował, że dziennikarze stoją pod domem, zamiast być teraz z nimi, w środku.

– A pani myśli, że co? – Bielawska nachyliła się do Alicji. – Że trafili się frajerzy? Aha! Słyszałeś, Tomuś? Siostra się nagle znalazła! Dobrze mi sobie! Lepszego żartu dawno nie słyszałam! – Bielawska roześmiała się sztucznie.

– Nie rozumiem, o co pani chodzi? – spytała zdumiona Alicja.

– Ja też nie bardzo wiem, co masz na myśli, Jolu – przyznał Bielawski. – Przecież sami do tej pory nie wiedzieliśmy nic o przeszłości mamusi ani o jej rodzinie. To brzmi niewiarygodnie, ale czyż cała ta historia nie jest niesamowita?

– Dopóki pani się nie pojawiła – Bielawska wycelowała palec w oniemiałą Mariannę – historia była prosta. Mamusia się znalazła i już wiemy, dlaczego właśnie tutaj. Wróciła do domu rodzinnego, w którym sołtys urządził bibliotekę. Bo dom niczyj, tak?

– No przecież teraz już wiadomo, że nasz... To znaczy, mamusi – powiedział cicho Bielawski.

– No właśnie, nasz! A nie jakiejś tam niby odnalezionej cudem zmartwychwstałej z topieli siostry! – wycodziła Bielawska, wbijając wściekły wzrok w Mariannę.

– Słucham? – Marianna zmarszczyła brwi, starając się przetrwać słowa kobiety.

– Już ja znam takie jak pani! – ciągnęła Bielawska, nie spuszczać wzroku z Marianny. – Sukienusia, kokardusia, butki, srutki. Tylko pieniędzy na to wszystko nie ma, co? – zarechotała złowieszczo. – I przychodzi pani z miną niewiniątka. Udaje pani bidulkę, że niby taka nieśmiała. A na dom to się cudzy łaszczy! Babcię swoją jako siostrę mamusi będzie nam tu wciskała! Może pan komendant to się dał nabrać

na te ładne oczka, ale nie ze mną paniusiu, takie numery!

– Słucham?! – powtórzyła Marianna, lecz tym razem w jej głosie słycać było zdenerwowanie. – Czy pani sugeruje, że jestem tu, bo zasadziłam się na dom?

– A niby po co pani tu przyszła? Przecież to czyste wymysły, nie może pani w żaden sposób udowodnić, że pani babcia jest siostrą naszej mamusi. Jeśli została przygarnięta w czasie wojny pod zmienionym imieniem i nazwiskiem, to i papierów pani nie znajdzie – z satysfakcją odrzekła Bielawska. – A może już razem z babunią drążyłyście naszej mamusi w głowie, co?

– Droga pani. – Alicja spojrzała na Bielawską, a jednocześnie chwyciła coraz bardziej zdenerwowaną Mariannę za rękę. – Tak się składa, że Marianna mogłaby kupić dziesięć takich domów, gdyby chciała!

– Daj spokój, Alicja. Dam sobie radę. – Marianna wysunęła dłoń i wstała. Powoli odzyskiwała spokój. – Nie będę się denerwować. Powiem tylko tyle, żeby była jasność: jestem tu, ponieważ jeśli moja babcia i pani Zofia są siostrami, to i my jesteśmy rodziną. Chciałam was poznać. Ale teraz to dziękuję za taką ciocię... – Uniosła brew i uśmiechnęła się gorzko. – Ma pani rację. Nie jestem teraz w stanie udowodnić, że to wszystko prawda, musiałabym zrobić badania DNA. Tyle że nie jestem pewna, czy chcę...

– Widzisz ją, jaka bezczelna? – warknęła do męża Bielawska, który tkwił w bezruchu, patrząc to na jedną, to na drugą.

– Nie wiem, czy chcę – ciągnęła Marianna – ponieważ, mimo że moja babcia jest po wylewie i podobnie jak pani Zofia, ma kłopoty z pamięcią, to jednak sporo rozumie, wciąż kojarzy wiele faktów, zachowuje wspomnienia. Nie wiem, czy mogłabym w jednej chwili zburzyć cały jej dotychczasowy świat i nagle powiedzieć, że jej rodzice nie byli jej rodzicami, bracia braćmi, a znana jej z widzenia Czarna Maria to jej siostra, o której istnieniu nie miała pojęcia. Jeśli zaś chodzi o dom... Nawet o nim nie pomyślałam – parsknęła śmiechem. – To by było na tyle. Wracam do babci.

Marianna, nie czekając na reakcję Bielawskich, odwróciła się i wyszła. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, dało się usłyszeć głosy

zaciekawionych dziennikarzy. Alicja wybiegła za koleżanką.

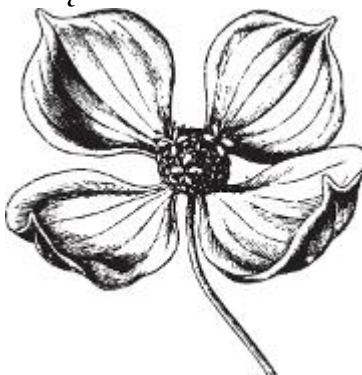
– Jolu, a może... No wiesz... – powiedział Bielawski, spoglądając z wyrzutem na żonę. – Jeśli mamusia przeszła taki szmat drogi, napędzana myślą o tym, że odnajdzie siostrę... I ta siostra być może tu jest. Być może tu jest – powtórzył z naciskiem. – Rozumiesz? To byłby prawdziwy cud... Gdyby to okazała się prawda, to byłby cud, Jolu.

– Nic już nie mów – wycodziła Bielawska.

– To ja już może państwa zostawię – zaproponował Grzelak. – Obejrzycie dom, porozmawiacie na spokojnie z panią Zofią. Na mnie już czas.

– A co z tymi dziennikarzami, którzy czatują pod domem? – spytał Bielawski.

– Nie ma problemu, biorę ich na siebie.



## *Rozdział 23*



Odkąd lokalna telewizja pokazała reportaż na temat Czarnej Marii, a gazety opublikowały wywiad z Grzelakiem, cała Polanka piała z zachwytu nad zasługami komendanta. Nawet jego żona, wcześniej opryskliwa, teraz zaczęła patrzeć na niego przychylnym okiem, a po wsi chodziła z dumnie uniesioną głową, przyjmując od sąsiadek gratulacje dla męża.

Sam Grzelak pławił się swoim sukcesem po cichu, w gabinecie na posterunku, wyczekując telefonu z Wrocławia lub Warszawy. Ponieważ jednak telefon milczał, komendant w końcu sam chwycił za słuchawkę. Modułując głos, wydzwaniał kilka razy dziennie.

– Dzień dobry, tu Piotr Kowalski, czy dodzwoniłem się na Komendę Główną? Chciałem tylko pochwalić policję, a szczególnie komendanta Grzelaka z Polanki, widziałem go w telewizji. Grzelaka. Grzelaka z Polanki.

– Halo, tu Adam Wiśniewski. Czy można z komendantem Grzelakiem z Polanki? Ach, to nie u państwa, przepraszam, myślałem, że na policji to łączą wszędzie... Bo chciałem pogratulować.

– Policja? A do Polanki, do Grzelaka to jaki numer? Halo?

– Dzień dobry, z tej strony profesor Bijalko z uniwersytetu. Gratulujemy państwu Grzelaka. Jak on ma na imię? Ach, nie wie pani. Ja słyszałem w telewizji, że Gienek... Z Polanki.

– Reprezentuję firmę odzieżową. Czy wizerunek pana Grzelaka, komendanta z Polanki, jest chroniony? Bo chcielibyśmy wykorzystać go na koszulkach z napisem „Najlepszy policjant w Polsce”. Gdzie można uzyskać zgodę?

Trzeciego dnia ciężkiej pracy przy telefonie komendant Grzelak

w końcu doczekał się małego cudu. Pod komisariatem zaparkował wóz policyjny i wysiadło z niego dwóch funkcjonariuszy.

Grzelak, zauważywszy ich przez okno, zerwał się na równe nogi, przyczesał włosy, poprawił koszulę, porzucił papiery na biurku i schował zawaloną petami popielniczkę do szafki. Kiedy mężczyźni weszli, udawał że rozmawia przez telefon.

– Posterunkowy Grzegorz Zawadzki i Adrian Lutek, Komenda Rejonowa – przedstawili się, kiedy tylko Grzelak odłożył słuchawkę. – Do komendanta Grzelaka.

– To ja. O co chodzi?

– Przyjechaliśmy sprawdzić, czy wszystko tu w porządku. Dostaliśmy zgłoszenie, że do kilku komend w kraju od paru dni wykonywane są telefony, które dotyczą pana.

– Mnie? – Grzelak uniósł brwi, udając zdziwienie.

– Tak. Telefonują ludzie z gratulacjami...

– Ach! – Grzelak ostentacyjnie pokręcił głową. – Ludzie naprawdę nie mają co robić – westchnął. – Do mnie też dzwonią. To się dzieje za każdym razem, kiedy jakaś telewizja przeprowadzi ze mną wywiad... Ale że do innych komend wydzwaniania, to nie rozumiem.

– My też nie. Tym bardziej że... – Zawadzki odchrząknął – Te wszystkie telefony wykonywane są z jednego numeru. Ustaliliśmy, że numer należy do pana. A właściwie do policji, to prawdopodobnie numer tego telefonu. – Zawadzki wskazał brodą na aparat stojący na biurku.

Grzelak zaczął kasłać.

– Niemożliwe – wyksztusił w końcu. – Zamykam komisariat, kiedy wychodzę. Chociaż... Ostatnio takie upały... Okno zostawiam otwarte, może gimnazjaliści, cholera ich jasna, włamują się tu pod moją nieobecność i żarty sobie robią. Nie mają co robić w wakacje. Odkąd pokazano mnie w telewizji...

– Czy mamy rozumieć, że młodzież wchodzi do komisariatu, kiedy pana tutaj nie ma?

– Nieee, oczywiście, że nie – zaprzeczył szybko Grzelak. – Okna też nie otwieram na oścież, tylko lufcik, no co panowie insynuują... Mówię, że gimnazjaliści włamują się do sieci telefonicznej, bo kable były niedawno zmieniane. W całej wsi. I oni się jakoś podpinali... Ale



już zrobiłem z tym porządek – zapewnił.

– Rozumiesz coś z tego, Adrian? – Zawadzki spojrzał na kolegę.

Grzelak poczuł, że robi mu się gorąco. Usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

– Dobrze – powiedział zrezygnowany. – Wytłumaczę wszystko...  
Od czego by tu zacząć... Mają panowie żony?

\*

Komputer ciotki Józefiny pachniał nowością. Staruszka głaskała błyszczący ekran i czule dotykała umieszczonej na nim kamerki. Nie mogła się już doczekać, kiedy zamówiona przez Konrada firma skończy montowanie anteny, dzięki której w domu będzie można korzystać z internetu.

Alicja tłumaczyła ciotce, jak uruchomić sprzęt, jakie programy ma w nim zainstalowane oraz które kable są do czego, w razie gdyby podczas sprzątanía się wypięły.

– Mnie tam żadne łordy nie interesują – niecierpliwiła się Józefina.  
– Mejla też nie potrzebuję. A na co mnie mejl, skoro będę gadać przez kamerkę.

– Ciociu, jak już podłączą internet, to maila będziemy musiały założyć. Jest potrzebny do konta na Skype. Wszystko ci zainstaluję. Nauczę, jak się nim posługiwać.

– Tylko mi pokażesz, jak włączyć kamerkę – zdecydowała ciotka.

– Dobrze. Ale i tak jestem przekonana, że jak już zaczniesz posługiwać się komputerem i odkryjesz internet, to szybko się wciągniesz. Może znajdziesz jakieś nowe przepisy na swoje eliksiry. – Alicja puściła oczko.

– A tam są?

– Tam jest wszystko.

– O, Boziu! – krzyknęła nagle Józefina i poderwała się na równe nogi. – Do Tereski miałam iść, za kilka dni przecie Matki Boskiej Zielnej! Ziola musimy naszykować do poświęcenia. Dobrze, że mi przypomniałaś, dziecko. Ale czy wy tu dacie sobie radę? – zatroskała się.

– Oczywiście, załatwiam swoje sprawy, a jak wrócisz, to będzie i antena, i internet, i wszystko.

– Ale Konrad to chyba zostanie na obiedzie? Szczawiową mam w garnku. Jajka tylko byś ugotowała. A na drugie to mięsko, co wczoraj robiłyśmy. Na pewno mu zasmakuje. Pamiętaj, dziecko, przez żołądek do serca. Nakarm go dobrze, a będzie twój.

Alicja się roześmiała. Chciała coś odpowiedzieć, ale zadzwonił jej telefon. Pomachała więc tylko na pożegnanie, wybiegającej w pośpiechu ciotce i odebrała.

– No cześć, siostra. – Głos Doroty wydawał się wyjątkowo odległy. Może dlatego że dawno nie rozmawiały. – Co tam u was słyszać?

– Cześć. O rany, dużo się dzieje.

– No proszę. A mówią, że na wsi nudy...

– Nie tutaj, kochana – parsknęła Alicja. – Tu mam wrażenie, że jestem w oku cyklonu.

– Aż tak? No to opowiadaj.

– Och, za dużo do opowiadania. Zapraszam na wino, jak wrócę.

– Nie mów. Ty zapraszasz na wino? Nie poznaję cię, siostra. A jak tam Matyllda? Pewnie też bym jej nie poznała.

– Wspaniale. W dodatku pogodziłam się z Bartkiem i Matyllda jedzie z nim i Anką na ostatnie dwa tygodnie wakacji.

– Nie mów!

– Ano, tak jakoś wyszło. I nawet się cieszę.

– Czyli wracasz do Warszawy niedługo?

– Co? A nie, ja jeszcze tu zostanę.

– Sama?

– To też nie na telefon. Ale tak tylko napomknę, że... No, już nie jestem sama...

– Konrad.

– To dopiero kielkuje, no wiesz...

– Okej. To trzymam kciuki. Fajny facet.

– Koniecznie musimy się spotkać, jak wrócę! A ty teraz skąd dzwonisz?

– Z pracy.

– A do Grecji kiedy?

– Po tym awansie mam strasznie dużo roboty. Przełożyłam urlop.

– Ale przecież miałaś jechać z tym swoim...

Dorota zamilkła.

– Halo, jesteś tam? – spytała Alicja, sprawdzając, czy nie straciła przypadkiem zasięgu.

– Jestem – mruknęła Dorota.

– Pytałam o wyjazd...

– Artur mnie rzucił – odparła szybko Dorota.

– Jak to?

– Tak to. Zwyczajnie. Uznałam, że nie chcę dalej być tą drugą. Dałam mu wybór. Albo żona, albo ja. Wybrał żonę... – Dorota załkała.

– A te zioła? Nie zadziałały na niego?

– Nie dawałam mu. Stwierdziłam, że on musi na trzeźwo podjąć decyzję. No to podjął. Och, Ala...

– Nie rozklejaj się – powiedziała zdecydowanym tonem Alicja. – Bardzo dobrze się stało. Czego się spodziewałaś, podrywając żonatego faceta?

– Przecież on mówił, że jej nie kocha.

– No to masz za swoje. Mówił, że nie kocha! – prychnęła Alicja. – Mówił, to, co chciałaś usłyszeć.

– Ala, ja go naprawdę kochałam... – jęknęła Dorota, szlochając.

– Znasz moje zdanie.

– Dobra, muszę kończyć – szepnęła Dorota, przełykając łzy. – Drugi telefon mi dzwoni. – Rozłączyła się, zanim Alicja zdążyła odpowiedzieć.

\*

Grzelak odprowadził policjantów do samochodu. Uśmiechał się słabo, kiedy pełni współczucia poklepywali go po ramieniu na pożegnanie.

Kiedy odjechali, czuł, jakby wielkie brzemie spadło mu z pleców. Przyznał się, że sam wykonywał telefony. Powiedział, że czuje się samotny, odrzucony i niepotrzebny. Że nie chce iść na emeryturę, bo wtedy już całkowicie straciłby motywację do życia. Że potrzebuje wyzwania, sukcesów, oklasków. Że pragnie uznania w oczach żony oraz swoich własnych. Że codziennie idzie do pracy z obawą, czy nie przyjedzie ktoś z góry z informacją, że posterunek zostanie

zlikwidowany.

Był zdumiony własną szczerością.

Był zdumiony tym, że go słuchają i że kiwają głowami ze zrozumieniem.

Obiecali, że zapomną o sprawie z telefonami. Powiedzieli też, że jeśli nadarzy się okazja, to szepną przełożonym o Grzelaku z Polanki – oddanym służbie policjancie, który doprowadził do końca bardzo skomplikowaną sprawę bezdomnej kobiety. Spytali, w których dokładnie gazetach ukazały się wywiady. Obiecali, że przeczytają i podrzucą do czytania kolegom.

Pożegnali się jak prawdziwi kumple. Kiedy odjeżdżali, Grzelak stał jeszcze przez chwilę na drodze i odprowadzał ich wzrokiem. Ocknął się dopiero na dźwięk głosu Jacka.

– Dzień dobry, panie komendancie! – przywitał się chłopak, stając na baczność przed Grzelakiem i salutując do sportowej czapki z daszkiem. – Nie chciałem przeszkadzać, widziałem, że ma pan gości. To z Wrocławia?

*Show must go on* – pomyślał Grzelak i wyprostował się, unosząc dumnie głowę.

– Tak. Przyjechali w pilnej sprawie wagi państwowej – odparł z powagą i już po chwili poczuł przyjemny dreszcz, rozchodzący się po ciele, kiedy dostrzegł błysk zaciekawienia w oczach nastolatka.

– O rany, specjalnie do pana przyjechali? – ekscytował się Jacek.

– Potrzebowali porady. A ty co chciałeś?

– Zapytać o ten staż, czy mogę wrócić. Bo nic pan ostatnio nie dzwonił...

– Na staż jeszcze przyjdzie czas. Pomyślę.

\*

Kolorowe babeczki piętrzyły się na srebrnej paterze. Marianna dokładała kolejne i kolejne, aż w końcu zabrakło miejsca. Przyniosła drugą paterę i zaczęła ustawiać na niej ciastka. Było ich tak dużo, że już po chwili i ta została zapełniona.

Cukiernia wyjątkowo tętniła życiem. Od czasu wizyty Bielawskich Marianna wpadła w szal pieczenia. To ją uspokajało, pozwalało

uporządkować myśli. W witrynie oprócz babeczek stały teraz i serniki, i szarlotki, a nawet dwa wymyślne torty. Ludzie walili drzwiami i oknami. Nie dlatego, że naszła ich nagle ochota na wypieki, lecz chcieli zaspokoić ciekawość. Wieść o tym, że babcia Marianny może być siostrą Czarnej Marii, szybko rozniosła się po wsi. Marianna z początku chciała zamknąć cukiernię, przynajmniej do czasu, aż emocje opadną. Potem jednak stwierdziła, że ludzkich języków nie przytnie, a lepiej, żeby się wygadały teraz do niej, niż ktoś miałby coś chlapanąć do babci, kiedy będzie z nią na spacerze.

Ciągle myślała o Bielawskim, który wrócił dwa dni po tym, jak zabrali Czarną Marię do Leszna. Przeprosił za zachowanie żony, tłumaczył jej trudnym charakterem. Sam pragnął poznać prawdę i namawiał do tego Mariannę, obiecując, że jeśli jej babcia okaże się siostrą jego matki, to dom-bibliotekę podzielią uczciwie, kiedy już uda się go odzyskać.

Marianna nie była zainteresowana domem. Doceniła jednak chęci domniemanego wujka. Długo rozmawiali, analizowali fakty, rozważali hipotezy, snuli domysły. Poznała go z babcią, przedstawiając jako znajomego z uczelni w Londynie. Polubiła go i rozumiała, że chce zmierzyć się z przeszłością dla swojej matki. Z pewnością nic nie sprawiłoby Zofii większej radości niż słowa: „To jest Maria, twoja siostra. Nie utonęła, żyje”. Zosia może by nie zrozumiała, może choroba była na tyle brutalna, że wciąż trzymałaby ją w przeszłości, każąc szukać dwuletniej siostry nad rzeką. Jednak jej syn wiedziałby, że zrobił wszystko, aby matka odzyskała spokój. Nawet jeśli w ostateczności miałby ją zaprowadzić na cmentarz i powiedzieć: „Mamo, już nie szukaj, tu leży Marysia”.

Badanie DNA pozwoliłoby udzielić choć częściowej odpowiedzi. Marianna jednak nie potrafiła podjąć tej decyzji.

\*

Zmierzchało już, kiedy Józefina wróciła do domu. Alicja prasowała w pokoju na górze i rozmawiała z Matyldą o planach na nowy rok szkolny. Chciała zapisać ją na jakieś zajęcia dodatkowe, może taniec albo karate. Usłyszawszy ciocię, Alicja wyłączyła żelazko i zeszła do

kuchni.

– Może ci usmażyć kilka naleśników? – spytała.

– A, jakoś nie mam apetytu. – Józefina westchnęła ciężko i opadła na krzesło. – Z Tereską niedobrze, było u niej pogotowie.

– Ojej, a co się stało?

– Serce. Nagle zaczęła się pocić, omdlewać, myślałam, że to jaki zawał. Dobrze, że Franek, ten co obok mieszka, był i zachował jasność umysłu, szybko zadzwonił po pomoc. Przyjechali, obadali, ale to nie zawał, tylko prawdopodobnie migotanie przedsionków. Chcieli zabrać Tereskę do szpitala, podłączyć ją pod kroplówkę, zrobić badania, EKG, ale tylko się zdenerwowała, nie wyraziła zgody. Dostała jakiś zastrzyk, po którym trochę się uspokoiło. Ona panicznie boi się szpitala. Jutro z rana do niej pójde i może przetłumaczę, że trzeba zrobić badania, to przecie dla jej dobra.

– No pewnie, w tym wieku z sercem nie ma żartów – zgodziła się Alicja.

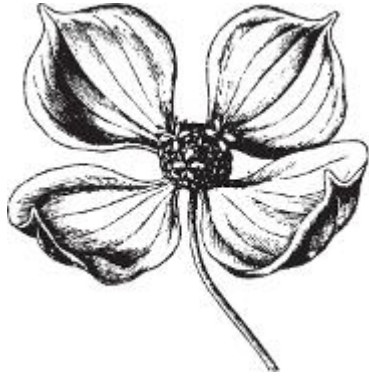
– Szczególnie że ona i na nadciśnienie bierze leki, niedawno jeszcze cukrzyca doszła. Z pół roku temu tak ją wymęczyli w tych szpitalach, że już ma dosyć, powiedziała że chce umierać w domu.

– No, ale chyba jeszcze nie umrze?

Ciocia spojrzała na Alicję spod oka.

– A kto to wie. Gdybyś ją dziś zobaczyła... Trupio blada, wyglądała jakby za chwilę miała zejść z tego świata. Wystraszyłam się. Nie wiadomo, co będzie, jeśli sytuacja się powtórzy...

Alicja, mimo odmowy Józefiny, usmażyła dla niej kilka naleśników. Postawiła na stole marmoladę, zaparzyła herbatę. Ciotka z grzeczności zjadła i wypila, ale widać było, że robi to niechętnie. Myślami błądziła wokół przyjaciółki. Nie spytała nawet, czy udało się podłączyć internet i czy Skype działa. Alicja wróciła do prasowania. Matylda zasnęła w ubraniu, spod koca wystawały jej brudne stopy.



## *Rozdział 24*



Poranek nie zapowiadał niczego niezwykłego. Ot, zwykły letni dzień, za oknem słońce, przyjemne trele ptaków. Sąsiad z podwórka obok jak zwykle wyjechał kombajnem na pole, dzieciaki już od rana rozpoczęły dzikie wrzaski, oblewając się wodą ze szlauchu. Alicja po śniadaniu zaczęła pakować rzeczy Matyldy. Nie chciała zostawiać wszystkiego na ostatnią chwilę. Wiedziała, że Bartek nie kupi nic nowego córce, nigdy nie miał do tego głowy, dlatego wołała zadbać o to, aby w walizce znalazły się wszystkie niezbędne rzeczy. Od ubrań poprzez szczoteczkę do zębów i pastę aż po ulubione książki i lalki. Martwiła się tylko butami. Sandałki, w których biegała po wsi Matylda, były już mocno zdarte i tak brudne, że nawet pranie nic by tu nie pomogło. Miała jeszcze kalosze i trampki, ale i tych wygląd pozostawiał wiele do życzenia. W Polance nie było niestety sklepu obuwniczego. Alicja pocieszała się, że do wyjazdu Matysi zostało jeszcze kilka dni, bo Bartek miał przyjechać w środę, może więc zdąży podjechać do miasta i kupić jej nowe buty.

Składając kolejne rzeczy, przysiadła na łóżku. Wydawało jej się, że o czymś przed chwilą myślała, ale nie mogła przypomnieć sobie o czym. Miała jednak przeczucie, że coś ważnego jej umknęło.

Zerknęła na listę. Bluzki są, spodnie są, sukienki są, piżama jest... Nie chodziło zatem o pakowanie. O czym myślałam – zastanawiała się intensywnie. Myśli zaczęły jednak biec chaotycznie, a to pojawiała się w głowie Marianna, a to Konrad, a to Józefina i Teresa, w końcu Bartek z Anią. Alicja wstała i podeszła do okna. Otworzyła je na oścież, bo zrobiło jej się nagle duszno. Nie potrafiła się skupić. Czuła przechodzące przez nią fale podenerwowania. Może podświadomie przeżywam wyjazd



Marianny – pomyślała, patrząc na otwartą walizkę.

– Albo coś się dziś wydarzy – szepnęła do siebie, poruszając energicznie głową, żeby zmniejszyć napięcie w karku.

Wzięła kilka głębokich oddechów. Nie pomogło. Zeszła na dół, żeby zaparzyć melisę. Nagle naszła ją myśl, żeby zadzwonić do ciotki, która skoro świt pobiegła do Teresy. Wybierając numer, Alicja poczuła, jak jej ręka się poci. Przełożyła telefon do drugiej.

– Halo, ciociu? Jak tam pani Teresa? – spytała, kiedy tylko Józefina odezwała się po drugiej stronie.

– Oj, niedobrze dziecko, dopiero co było pogotowie.

– Znowu?

– Znowu. I powiedzieli, że trzeci raz nie przyjadą. Teresa uparła się zostać w domu. Nie mogę jej przetłumaczyć, że musi jechać do szpitala, że nie ma wyjścia. Chciałam zadzwonić do jej córki, ale nie pozwoliła, każe im głowy nie zawracać, bo są na zagranicznych wczasach. No, uparta jak koza, mówię ci. Wyszłam na ogródek, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, nie mam do niej siły. Leży i jęczy, że zara umrze, księdza kazała zawołać.

– I zawołałaś?

– A gdzie tam! Przecie numeru nie mam na plebanię, a nie zostawię jej tera samej. Może jak Franek z pola wróci, to znajdzie po księdza, bo przecie Teresa spokoju nie da.

– O Boże, tak coś czułam, że dzisiaj coś się wydarzy! No, ale dlaczego pani Teresa nie chce do szpitala?

– Bo twierdzi, że już ma tyle chorób i taka stara jest, że jeśli jej będą chcieli robić operację, to nie przeżyje. I woli już umrzeć w domu, niż w szpitalu. Nie przetłumaczysz. Zupełnie się poddała.

– Ciociu! – olśniło nagle Alicję. – To może daj jej ziółek, odpraw jakieś zaklęcia na wzmocnienie, nabranie sił? A potem się ją namówi na ten szpital.

– Dziecko – parsknęła Józefina. – Tu żadne czary nie pomogą. Wiesz, jak to jest, one działają dopiero wtedy, kiedy człowiek wierzy, że działają. No przecie nie muszę ci tłumaczyć. A Teresa głupia nie jest. Zioła jej nie uleczą, tu trzeba lekarstw porządnych, badań, specjalistów. A najpierw wiary, prawdziwej wiary w wyzdrowienie.

Alicja zmarszczyła brwi. Nie do końca rozumiała, co ciocia miała na myśli, mówiąc, że zioła i czary mają moc dopiero wtedy, kiedy człowiek wierzy, że zadziałają. Nie było jednak czasu, żeby teraz to roztrząsać. Odłożyła słuchawkę i wybiegła z domu. Wiedziała, dokąd iść po pomoc.

\*

Jesiotr w sosie cytrynowym, podany z purée selerowym i ozdobiony kilkoma szyjkami rakowymi robił duże wrażenie. Marcin Szadkowski, który z namaszczeniem nadziei na widelec kawałek ryby, rozczulił się nad losem Angel's. Pierwszy raz przyznał się Konradowi, że naprawdę lubił tu bywać. Miejsce kojarzyło mu się nie tylko z dobrą muzyką, wyśmienitym jedzeniem, ale przede wszystkim z ojcem Konrada, Wiktorem Legrandem, który kiedy żył, potrafił stworzyć tak wspaniały klimat, że goście niechętnie opuszczali lokal oraz z wielką przyjemnością do niego wracali.

Marcin nie przyjechał jednak do Polanki rozmawiać o Angel's, ale podjął kolejną, tym razem ostateczną i desperacką próbę namówienia Konrada do rezygnacji z przeprowadzki.

– Warszawa jest zimna. To beczpłciowe miasto, w którym na próżno szukać jazzu – westchnął, spoglądając na zawieszoną nad sceną czarno-białą fotografię Wiktora Legranda.

Jesiotr rósł mu w ustach, bo zauważył po minie Konrada, że jego słowa uderzają w próżnię.

– Stawiasz wszystko na jedną kartę – ciągnął mimo to Marcin. – A co, jeśli ta kobieta nie jest tego warta? Co, jeśli po wakacjach uzna, że znudził ją romans i wróci do męża?

– Nie wróci, bo po pierwsze, męża nie miała. A po drugie, mężczyzna z którym była, ma już inną kobietę i dziecko w drodze. Ta sprawa jest już dla Alicji zamknięta. Nie mam wątpliwości.

– No wiesz... – szybko podjął Marcin – to może, skoro facet ją rzucił, to może ona nie jest taka idealna?

– Oczywiście, że nie jest – roześmiał się Konrad. – Zupełnie nie jest idealna. Powiem więcej, jest uroczo i cudownie nieidealna. Trochę wycofana, roztrzepana, zamartwiająca się wiecznie o dziecko.

W dodatku gada przez sen i to niewyraźnie. – Zaśmiał się na wspomnienie dyskutującej ze sobą Alicji. – Ale nawet kiedy bełkocze, jest urocza.

– Spałeś z nią?

– Uświłeś się sosem. – Konrad podał Marcinowi serwetkę i wstał. – Przyniosę laptopa i coś ci pokażę. Wpadłem wczoraj na pewien patent. Tylko trzeba dopracować jeszcze...

– Nie zmieniaj tematu. Naprawdę razem z Agatą martwimy się o ciebie. Może jednak namów tę dziewczynę, skoro już tak bardzo chcesz z nią być, żeby to ona przeniosła się do Wrocławia. Tak będzie prościej dla wszystkich.

– Tak byłoby prościej dla ciebie. I dla mnie. Ale nie dla niej. Może przyjdzie taki dzień, kiedy wrócę. Ale wtedy wrócę z nią i z dziećmi.

– Z dziećmi? To ile ona ich jeszcze ma? – Marcin o mało się nie zakrztusił.

– Jedno. Ale ze mną będzie miała drugie. – Konrad puścił oczko.

– Już?

– Jeszcze nie. Ale przecież to oczywiste, że będziemy mieli kiedyś wspólne dziecko. Albo nawet dwoje – rozmarzył się Legrandow. – I dom. I psa. I kota. I cały ten majdan, który się kojarzy z rodziną.

– No tak – prychnął Marcin. – Teraz rozumiem twoją desperację. Ojciec ciągle w podróży, rozbita rodzina, chcesz stworzyć dom...

– To nie desperacja – odpowiedział spokojnie Konrad. – To miłość.

\*

Alicja minęła zamknięty kościół i wbiegła zdyszana na plebanię. Kobieta, która umyła w holu podłogę i właśnie wyciskała mopą, zacisnęła wargi, powstrzymując się od komentarza. Była zła, że Alicja nie zapukała i nie zatrzymała się w progu. Podłoga była jeszcze wilgotna.

– Dzień dobry, szczęść Boże – powiedziała Alicja, rozglądając się po wnętrzu. – Ja do księdza proboszcza.

– Teraz nie przyjmuje – odburknęła gospodyni.

– Ale jest? To sprawa życia i śmierci.

Kobieta westchnęła głośno, afiszując swoje niezadowolenie.

– Zawsze jest sprawa życia i śmierci. Czekać nie umiata nigdy.

– Którędy?

– Drugie drzwi na lewo. Tylko na paluszkach, bo podłogę zmyłam, nie zauważyła?

Alicja zapukała dwa razy, ale nie usłyszawszy odpowiedzi, nacisnęła klamkę. Ksiądz ślęczał na kolanach, zaabsorbowany niezwykłą, stojącą na podłodze budowlą z zapalek. Właśnie doklejał kolejną część, starając się powstrzymać delikatne drżenie ręki.

– Szczęść Boże – przywitała się Alicja.

Proboszcz cofnął dłoń i spojrzał na gościa.

– Szczęść Boże – odpowiedział, wstając. – Pani to... ?

– Alicja Gawęda. Jestem na wakacjach w Polance. Przyjechałam do pani Józefiny Koperskiej – wyjaśniła szybko. – To ja odrestaurowałam kapliczkę.

– Ach, cieszę się, że w końcu panią poznałem! I co panią do mnie sprowadza?

Alicja przełknęła ślinę. Na ścianach wisiały zdjęcia, mnóstwo zdjęć, z różnych uroczystości, pielgrzymek, odpustów. Na wielu z nich zauważyła Krystynę stojącą nieopodal księdza. No, to ładnie – pomyślała. Na pewno został podbuntowany przeciwko ciotce i Teresie.

– Chodzi o panią Teresę Stasiak... – powiedziała, obserwując reakcję proboszcza. – Jest schorowana, było u niej pogotowie. Uważa, że umiera.

– A tam umiera – zachnął się ksiądz. – Zaraz tam umiera. Jak tydzień temu grała ze mną w pokera, to też ze dwa razy umierała. Nie potrafi przegrywać. Blefuje. Więcej nie będę z nią grał. Tylko nerwy tracę.

– W pokera gracie? – zdziwiła się Alicja.

– Zapalki mają większą wartość, kiedy się je wygra. – Proboszcz wskazał głową z dumą na swoją budowlę.

– Ale teraz naprawdę umiera. To znaczy tak twierdzi, bo dostała już dwa dni pod rząd migotania przedsionków serca. Nie chce jechać do szpitala, wmówiła sobie, że tam będzie miała operację i umrze. No i woli umierać w domu.

– Czyli z ostatnim namaszczeniem mam iść?

– I tak, i nie. Bo ona chce ostatnie namaszczenie, ale obawiam się, że wtedy to już w ogóle zrezygnuje z walki o zdrowie i będzie się szykować na tamten świat. Trzeba jej jakoś dać nadzieję, żeby nabrała sił na szpital. No wie ksiądz, jakąś modlitwę o zdrowie, o opiekę aniołów. Ja nie bardzo się znam... Może ksiądz coś wymyśli. Bardzo mi i cioci Józefinie zależy. Pani Teresa w ogóle nie chce jej słuchać, może ksiądz jakoś wpłynie...

Proboszcz zamyślił się głęboko, po czym wyjął telefon.

– Krystyna? – powiedział do słuchawki.

Alicja drgnęła. Byle nie Krystyna...

– Zwołaj dziewczyny, do Teresy trzeba iść – zakomenderował. – Koronkę odmówicie, pośpiewacie. Jak najszybciej. Do zobaczenia.

– Pani Krystyna ma przyjść? – spytała z niepokojem Alicja. – One się chyba nie bardzo lubią z panią Teresą...

– Krystyna to ze wszystkimi nie bardzo się lubi – mruknął proboszcz. – Ona jest specyficzna, że tak powiem. Ale przydatna.

– No tak, ale z panią Teresą to naprawdę się nie lubią.

– O te zioła im poszło, hę?

– To ksiądz wie?

– Och, jak się ma Krystynę przy boku, to się wszystko wie. – Wzruszył ramionami. – Tłumaczyłem jej, że niepotrzebnie się oburza. Zielarstwo od wieków jest znane. A przecież nie wzywają szatana, czarów nie odprawiają...

– No niby nie... – Alicja przyznała z zawahaniem, bo sama nie była pewna, czy ciocine zaklęcia nad garnkiem z ziołami można uznać za prawdziwe.

– To co. – Ksiądz klasnął i zatarł dłonie. – Komu w drogę, temu czas. Idziemy?

\*

Niewielki ogródek sprawiał wrażenie zaniedbanego. Kwiaty rosły niemal wszędzie. Prawie zarastały dróżkę prowadzącą do domu.

Drzwi były otwarte. Alicja i proboszcz mimo to zapukali.

– Kto tam? – usłyszeli głos ciotki Józefiny.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – odkrzyknął ksiądz.

Kiedy weszli do skromnie urządzonej sypialni, Alicja zauważyła bezradny wzrok ciotki. Pani Teresa siedziała w łóżku, z plecami opartymi o stos poduszek i piła herbatę.

– Oj, jak dobrze widzieć księdza proboszcza – powiedziała słabym głosem. – Bo mnie to już niewiele życia zostało...

– Jak się czujesz, drogie dziecko? – spytał ksiądz.

– Tera już lepij. Zastryk dali. Ale co mnie po zastrzykach, proszę księdza. Chciałabym się wypowiedzieć.

Alicja z ciotką wyszły przed dom, zostawiając chorą z księdzem. Józefina usiadła na ławeczce wyciągając twarz ku słońcu. Widać było, że jest zmęczona i zatroskana. Teresa była jej najbliższą przyjaciółką.

– Nie martw się, ciociu, może ksiądz przemówi pani Teresie do rozumu...

– O Boże, a co to? – Józefina otworzyła szeroko oczy, wpatrując się przed siebie. Alicja podążyła za jej wzrokiem i dostrzegła podążający drogą w stronę domu Teresy tabun kobiet na czele z Krystyną.

– Ksiądz je zawołał – wyjaśniła Alicja.

– Ale po co? – Józefina pokręciła głową. – Przecie się tylko biedaczka wystraszy. Pomyśli, że koniec nadszedł, jak zobaczy Kryskę i świtę.

– Ksiądz je zawołał – powtórzyła Alicja, nie potrafiąc znaleźć innego wytłumaczenia.

Kobiety zwawym krokiem weszły na posesję. Krystyna delikatnie zapukała w okno sypialni, być może był to umówiony z księdzem znak, ponieważ już po chwili proboszcz krzyknął: „Zapraszam!”. Weszło ich osiem. Józefina, załamując ręce, udała się do kuchni, zapagnawszy nagle napić się mocnej kawy. Alicja natomiast poszła z kobietami do sypialni, zaintrygowana rozwojem wydarzeń. Usiadła na podłodze w kącie, ponieważ ani przy łóżku, ani na fotelu i krzesłach, które przyniesiono, nie było już miejsca. Ksiądz wyjaśnił pani Teresie, że oto przyszła grupa wsparcia i będą się modlić o jej zdrowie. Już za chwilę rozpoczął się monotony i melodyjny dźwięk kilku głosów, powtarzających zgodnie słowa modlitwy. Ksiądz z zamkniętymi oczami stał przy łóżku.

Teresa patrzyła zdumiona to na otaczające ją kobiety, to na

księdza.

– O mój Boże – westchnęła. Oparła głowę o poduszkę, a z jej oczu pociekły łzy.

– Nie martw się, córko. – Ksiądz w przerwie między modlitwami położył dłoń na czole Teresy. – Będziesz żyć.

Kiedy wyszedł, Alicja pobiegła za nim.

– Ale czemu ksiądz ją okłamał? – spytała z wyrzutem. – Przecież widzi ksiądz, jaka słaba. Jeśli nie pojedzie szybko do szpitala, to kolejnym razem serce może nie wytrzymać. Prosiłam, żeby pomodlić się o zdrowie, a nie żeby ksiądz kłamał, że będzie żyć.

– Nie kłamałem – obruszył się proboszcz. – Nawet jeśli umrze, to będzie żyć wiecznie.

\*

Pikuś, Łatka, Gizela, Migotka i Gutek. Takie imiona wymyśliła dla kotków Matylda z koleżankami. Alicja ustaliła z sąsiadami, że podczas ich nieobecności o koty będzie dbała ciocia, a ona przyjedzie po nie na jesieni, kiedy już będzie je można odstawić od matki. Matylda błagała wprawdzie, żeby zabrać kotki wcześniej, najlepiej żeby pojechały z nią i Bartkiem na wakacje, ale Alicja wybiła jej to z głowy. Obiecała, że jeśli same nie będą mogły przyjechać pod koniec września z Warszawy, to poprosi Konrada. On z pewnością będzie kursował do Wrocławia, przynajmniej na początku, dopóki całkiem się nie przeprowadzi.

Matylda wieczorem zatelefonowała do babci, chwając się kotami. Była podekscytowana myślą, że niebawem babcia będzie mogła je zobaczyć na własne oczy. Mimo że matka Alicji nie była zainteresowana przygarnięciem żadnego, to wysłuchiwała cierpliwie, szczególnie mocno przyciskając telefon do ucha na wieść, że kilka kotów weźmie Bartek z narzeczoną. A kiedy dowiedziała się, że Matylda niebawem jedzie z nimi na wakacje, nie wytrzymała i poprosiła Alicję do słuchawki. Najpierw wyrzuciła z siebie żal, że córka nie dzwoni i nie dopytuje o jej zdrowie, a potem jeszcze większy o to, że to od wnuczki dowiaduje się o zmianie stosunków między Alicją a Bartkiem.

– Mogłaś zadzwonić, zapytać o radę – mówiła z pretensją w głosie.  
– Powiedziałabym ci, że to nie ma sensu. Już lepiej byłoby uciąć

kontakty z tym Bartkiem raz na zawsze.

– Mamo, to ojciec Matyldy i zawsze nim zostanie. – Alicja wyszła z pokoju, żeby Matylda nie słyszała rozmowy.

– Taki ojciec to nie ojciec. Więcej z niego złego niż dobrego.

– Nieprawda. Po prostu nam nie wyszło, ale Matysia ma prawo się z nim spotykać.

– No, uważaj, bo jeszcze będziesz przez niego płakać.

– Już przez niego płakałam. I się wypłakałam. Wystarczy.

– Obydwie jesteście takie mądre – parsknęła matka Alicji. – Dorota też się wymądrzała, wymądrzała, i co? Teraz płacze. A mówiłam, żeby narzeczonego mi przedstawiła, od razu powiedziałabym, czy się nadaje na męża. Ale nie, ona mądrzejsza, że za wcześnie, że to, że tamto. Tajemnicę wielką z księcia robiła. No to teraz niech ryczy.

Alicja wzięła oddech, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Nie była pewna, ile mama wie. Prawdopodobnie tylko tyle, że Dorota z kimś się spotykała i była zakochana. Ale to, że wybrankiem był żonaty mężczyzna, siostra z pewnością przemilczała.

– A co tam u Józefiny? – Mama zmieniła temat.

– Po staremu – odpowiedziała Alicja, cokolwiek to znaczyło. Skoro mama i tak nie utrzymywała kontaktu z ciotką, zapewne było jej wszystko jedno, jak zabrzmie odpowiedź.

\*

Matylda przybiegła do domu podekscytowana, ponieważ wygrała ogłoszony przez sąsiadkę konkurs pod tytułem „Kto uzbiera najwięcej poziomek?”. Matyldzie udało się zebrać całe wiaderko, podczas gdy Ewa i Michał wspólnie zdołali przynieść tylko pół pojemnika. Prawdopodobnie dlatego, że większość owoców lądowała prosto z krzaka w ich ustach.

W nagrodę Matylda dostała bransoletkę z plastikowych kulek i to zmotywowało ją tak bardzo, że nie mogła się już doczekać poranka, kiedy to miał zostać ogłoszony kolejny konkurs.

Oho – pomyślała Alicja – sąsiadka wpada na kolejne skuteczne pomysły, jak tu pozbyć się dzieci z domu. A przy okazji ma korzyść w postaci pysznych owoców.



Kiedy Józefina weszła do domu, Matylda wciąż zachwycała się bransoletką. Od razu pochwaliła się swoim sukcesem i z zapalem opowiadała o tym, jak trudno jest oprzeć się zjadaniu posiłków, kiedy się je zacznie zbierać.

Alicja od razu zauważyła, że ciotka jest w lepszym humorze. Uśmiechała się, żartowała, miała ochotę na odrobinę wiśniówki.

– Po tylu emocjach należy mi się – stwierdziła, rozsiadając się w fotelu, kiedy Matylda poszła już na górę. – Najważniejsze, że Teresie się poprawiło.

– O! – krzyknęła Alicja. – To dobrze, bo trochę się obawiałam, czy wizyta pani Krystyny jej nie dobieje...

– O dziwo stało się odwrotnie. Wręcz nabrała ochoty na wizytę w szpitalu. Jutro ma przyjść lekarka i wypisać skierowanie. Pojadę z nią, kochana, na te kilka dni do Wrocławia, dasz sobie sama tu radę, prawda?

– Oczywiście. To wspaniała wiadomość – ucieszyła się Alicja. – Jak udało ci się panią Teresę przekonać?

– Nie ja. Ksiądz ja namówił. Podobno stwierdził, że Teresa będzie żyć.

– Tak powiedział? – Alicja udawała zdziwienie.

– Tereska twierdzi, że on prawdopodobnie dostał jakiś znak od Ducha Świętego. Bo powiedział jej to w trakcie tych wszystkich modłów... Ja tam nie wiem, czy dostał znak, czy nie dostał, ważne, że zdołał ją przekonać. Teresa od razu rumieńców dostała, taka wiara w nią wstąpiła, że nic się złego w tym szpitalu nie stanie. Wiara czyni cuda. – Ciotka się uśmiechnęła.

– A propos wiary i cudów... Ciociu, co miałaś na myśli, mówiąc, że twoje zioła i zaklęcia działają dopiero wtedy, kiedy się uwierzy, że zadziałają?

– No, a jak inaczej? Przecie to trzeba dużej wiary, żeby decydować się na same tylko zioła przy leczeniu czegokolwiek. Nie mówię o drobnostkach, bo na to mam sposoby, ale jeśli chodzi o poważne choroby, to ani ja, ani Teresa aż takie odważne nie jesteśmy, mówiłam ci, że ona musi do szpitala, porządne badania zrobić, z lekarzem skonsultować.

– No tak... No tak... Czyli te eliksiry miłości to też ściema?

Myślałam że... To znaczy... Ja oczywiście w to nie wierzę... – Alicja poczuła, że się rumieni. – Ale Dorota twierdzi, że zadziałały, że to dzięki nim dostała awans.

– Och, zioła miłosne, to zupełnie co innego! – Józefina uśmiechnęła się i wzruszyła bez troski ramionami. – Te napary działają od razu. Krew, jak mówią, nie woda i jak się ją trochę podbuzuje... No co ja ci będę tłumaczyła. Jak dobrze skomponujesz zioła, to nie ma mocnych, zadziałają zawsze. Tyle że wiadomo, po pewnym czasie esencja się ulatnia i efekt przestaje się utrzymywać.

– Jak to?

– Zwyczajnie. Wszystko się przecie wyplukuje. Magnez, żelazo, potas. Żeby były, trzeba je uzupełniać. Z ziołami jest to samo. Jak się ulotnią, to człowiek wraca do punktu wyjścia. A myślisz, że skąd mamy z Tereską tyle stałych klientek. Zresztą nawet Dorocie tłumaczyłam, że z eliksirami to trzeba ostrożnie, bo jak już zaczniesz, to wiesz, że masz władzę, ale nie daj Bóg efekt minie, a ty nie zdążysz wybrankowi dolać... Ech, różnie to bywa. Choć myślę, że przy awansie to i bez ziółek by sobie poradziła. Sama mówiłaś, że jest dobra.

Alicja przełknęła ślinę. W głowie zaczęło jej wirować, oddech przyspieszył. Poczowała suchość w ustach. Drżącą ręką sięgnęła po szklankę z kompotem. Ciocia na szczęście dolewała sobie właśnie wiśniówki, dzięki czemu nie była w stanie zauważyć reakcji Alicji.

– No a jak długo taki efekt się utrzymuje? – spytała cicho Alicja, starając się, aby jej głos brzmiał w miarę naturalnie.

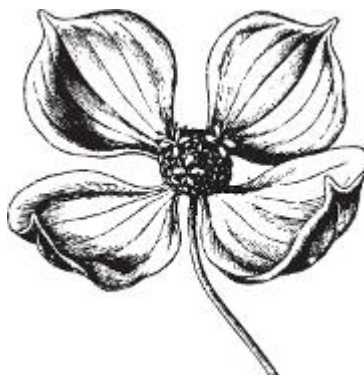
– A to różnie. U jednych tydzień, u innych nawet i trzy. Zależy od chłopca. Niektóre kobity to robią zapasy i kupują kilka buteleczek naraz. Kiedyś jedną miałyśmy jedną taką – rozgadała się ciotka – co chciała od razu cały baniak. Ale się z Teresą nie zgodziłyśmy. Z ziołami to trzeba ostrożnie.

– A czy zdarza się tak... – Alicja podrapała się w czoło – że ktoś się i tak zakocha, mimo wypicia eliksiru? Czy możliwe jest, że ten ktoś dalej będzie zakochany, nawet jak efekt minie?

– Jak miłość się wykluła wcześniej, to czy z ziołami, czy bez, i tak będzie trwała przecie. No, ale ja takich przypadków nie znam. Do nas przychodzą takie, co już inaczej chłopca by nie dorwały.

Alicja poczuła, że uchodzi z niej powietrze. W panice zaczęła obliczać, ile czasu zostało Konradowi. Zaaplikowała mu eliksir jakieś trzy tygodnie temu, ale za to dawkę jak dla konia. Może więc dotrwałby pod wpływem mikstury do miesiąca, albo i dłużej. Ale co potem?

– Też się napiję wiśniówki – słabym głosem powiedziała Alicja i sięgnęła po butelkę.



## *Rozdział 25*



Noc była niespokojna. Alicja przewracała się z boku na bok, to przykrywając się kołdrą, to ją odrzucając. Raz było jej zimno, raz gorąco. Nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedziała ciocia. Działanie eliksiru jest krótkotrwałe. Zwyczajne oszustwo, nie żadna tam miłość na wieki.

Zauroczone Konradem i zafascynowana rozwijającą się znajomością, nie zastanawiała się nad tym wcześniej. Przyjęła za pewnik, że raz zaaplikowana mikstura działać będzie zawsze.

Trudno jej było wyobrazić sobie reakcję Konrada, kiedy zioła stracą moc. Bała się zapytać cioci, czy to się dzieje stopniowo, czy może mężczyzna nagle odkrywa, że z kobietą, z którą jest, nie łączy go żadne uczucie.

Ze smutkiem stwierdziła, że pojąc Konrada miłosną mieszanką, zachowała się jak idiotka. Działała pod wpływem chwili, nie myśląc o tym, jakie mogą być tego konsekwencje.

Dzięki eliksirowi uwierzyła, że taki mężczyzna jak Konrad, inteligentny, przystojny i czuły, a przede wszystkim kawaler, mógłby zakochać się w niej – zwyczajnej, szarej, samotnej matce. Przecież mógłby mieć każdą, z pewnością nie narzekał na brak zainteresowania ze strony kobiet. Wystarczyło spojrzeć na Kaję, która od pierwszego dnia, kiedy go poznała, chciała zarzucić na niego sieci.

Mógł mieć kobietę bez przeszłości i bez zobowiązań. I pewnie takiej właśnie by szukał, gdyby nie zioła, którymi napoiła go Alicja. I zapewne takiej szukał będzie dalej, kiedy eliksir przestanie działać.

Nagle poczuła, że czar pryska i ta bajka, ułuda, w której od kilku tygodni tkwiła, właśnie się kończy. Konrad za chwilę przejrzy na oczy

i dostrzeże, że Alicja nie jest tą, o której marzył.

Zapra gnęła zadzwonić do Doroty, usłyszeć jej głos i słowa pocieszenia. Siostra zawsze była dla niej wsparciem. Zawsze gotowa do niesienia pomocy, znajdująca dobre rozwiązania.

Alicja rozczuliła się na myśl o siostrze. Nagle naszła ją myśl, że zachowuje się jak najgorsza egoistka. Jest pierwsza w nocy, a ona sięga po telefon, bo ma ochotę się wyzalić.

Wiedziała, że Dorota, nawet wyrwana ze snu, mimo że rano wstawała do pracy, byłaby gotowa jej wysłuchać.

Tymczasem kiedy to Dorota potrzebowała pociechy, Alicja zbagatelizowała jej problem. A przecież nieważne, z kim Dorota była, nieważne, jak wyglądał jej związek. Ważne, jak czuła się teraz.

Alicja uzmysłowiła sobie, że to Dorota zawsze do niej dzwoniła, odwiedzała ją, wykazywała zainteresowanie jej życiem. Alicja natomiast telefonowała do siostry tylko w nagłych przypadkach. I zazwyczaj były to zwięzłe telefony: „Zostawiłaś u mnie swój szalik” albo „Matylda chora, czy mogłabyś wpaść i posiedzieć z nią, bo muszę iść do apteki”.

Na Dorotę zawsze można było liczyć.

Przypomniała sobie Czarną Marię i ogarnęło ją wzruszenie. Jak silne musiały być siostrzane uczucia, skoro na starość, toczona chorobą i tracąca rozum kobieta, wyruszyła w daleką podróż napędzana nadzieją, że odnajdzie siostrę.

Siostra to siostra – pomyślała z czułością Alicja. Mężczyźni mogą się zmieniać, ale siostra zostaje na zawsze.

Nie bacząc na porę, wykręciła numer Doroty.

– O Boże, dlaczego dzwonicz tak późno? – Głos siostry brzmiał dźwięcznie, najwyraźniej jeszcze nie spała.

– Przepraszam, po prostu chciałam cię usłyszeć.

– Coś się stało?! – krzyknęła zdenerwowana Dorota.

– Nic. Zwyczajnie leżałam w łóżku i myślałam o tobie... Przykro mi, że cierpisz. Wiem, że kochałaś tego faceta. Ale nie martw się, znajdziesz następnego. Takiego, co będzie wolny i tylko ciebie pokocha. A póki co wiedz, że ja cię kocham.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowało milczenie.

– Jesteś tam? – spytała po chwili Alicja.

– Jestem. Tylko nie rozumiem, co ty do mnie mówisz. Dzwonisz o pierwszej w nocy i wyznajesz mi miłość... Dobrze się czujesz?

Bywało lepiej – pomyślała Alicja.

– Dobrze się czuję – powiedziała głośno. – Chciałam cię tylko usłyszeć i powiedzieć, że możesz na mnie liczyć, gdybyś się chciała wygadać, wypłakać albo coś...

– Alicja... Powiedz prawdę, stało się coś? Mam przyjechać?

– Nie. – Alicja się uśmiechnęła. – Tym razem ja przyjadę do ciebie.

\*

Józefina nie kryła zdumienia, kiedy Alicja przy śniadaniu oświadczyła, że pojutrze wyjeżdża.

– Przecie miałaś zostać do końca wakacji. Liczyłam na to, że ty i Konrad... No, że... Mówiłaś, że coś się kluje.

– No tak, ale jednak przemyślałam sprawę – powiedziała Alicja. – Nasz romans to taka trochę dziecinada, wakacyjna miłość – powiedziała z przekonaniem. Po nocnych przemyśleniach właśnie takie wytłumaczenie znalazła, żeby się pocieszyć. – Konrad ma swoje życie we Wrocławiu, ja swoje w Warszawie. Cieszę się, że go poznałam i coś tam do niego poczułam. Bo to znaczy, że jestem już gotowa na nowego mężczyznę. Ale nie będzie to Konrad.

– Oj, dziecko, co ty opowiadasz? Przecie widziałam, że taka jesteś zakochana. A on w tobie. Co ci do głowy strzeliło, żeby tak nagle wyjeżdżać?

– A co tu będę siedziała sama. Ty się wybierasz do Wrocławia, Matyldy przecież też nie będzie.

– Ale jest Konrad.

– Konrad też ma swoje sprawy. Owszem, jesteśmy może sobą zauroczeni, ale każda wakacyjna miłość kończy się z upływem lata. Pora wrócić do rzeczywistości. Naprawdę odpoczęłam tu u ciebie, mam mnóstwo planów. Już się nie mogę doczekać, aż wrócę do Warszawy i zacznę działać. Zamierzam otworzyć galerię – zdradziła, zniżając głos.

– Galerię?

– Tak, to było moje marzenie. W nocy dużo myślałam i olśniło mnie, że wciąż mogę je zrealizować. Nie mam pieniędzy, ale mogłabym

skorzystać ze środków unijnych. Mam sąsiada, który pisze takie wnioski. Być może są jakieś dofinansowania na kulturę i sztukę. Muszę się dowiedzieć.

– Ja tam się, dziecko, nie znam – powiedziała kwaśno Józefina. – Ale po mojemu to źle robisz. Galeria nie zajac, nie ucieknie. A lepiej wykorzystać szansę, którą dostałaś od losu. Mówię o Konradzie. Bo miłości na zawołanie nie dostaniesz.

– Ciociu, wiem. Ale to nie jest miłość. To tylko zauroczenie, nic więcej – upierała się Alicja. – Cieszę się, że mi się przytrafiło. Dzięki niemu odkryłam, że jestem gotowa na nowy związek. Najważniejsze, że wyleczyłam się już z Bartka. Sama mówiłaś, że muszę mieć w sercu przestrzeń. Zrobiłam ją sobie. I niebawem ktoś ją wypełni. Naprawdę w to wierzę.

– Ech, głupia dziewucho – wyjęczała ciotka. – Czy ty nie widzisz tego co ja? To nie zauroczenie, on jest naprawdę zakochany! Świat by ci oddał!

No pewnie, że to widzę – pomyślała z żalem Alicja. Ale to nie zakochanie, tylko ziołowy narkotyczny omam. Nie chciała jednak mówić ciotce, jaka jest prawda. Wołała znosić obecne utyskiwania niż przyznać się do napojenia Konrada nieprzepisową ilością ziół i tym samym narazić się na gorsze potępienie ze strony Józefiny.

– Ciociu, Dorota rozstała się z facetem – powiedziała Alicja, żeby zmienić temat. – Rozpacza, bo to on dokonał wyboru. Niezależnie, co o niej myślałam i co myślałam o tym ich romansie... to jednak moja siostra. Uznałam, że jak Matysia będzie z Bartkiem, ja spędzę więcej czasu z Dorotą. Ona mnie teraz potrzebuje. Wiem, jak to jest, kiedy się ma złamane serce...

– No chyba że tak – przyznała po chwili wahania Józefina.

\*

Alicja spędziła dzień na pożegnaniach. Razem z Matyldą i Józefiną poszły do pani Teresy, wyściskały ją i życzyły powrotu do zdrowia. Odwiedziły także Kaśkę, która mieszkała nieopodal. Alicja wręczyła jej pudełko czekoladek w podziękowaniu za rower. Obiecała, że odda go nazajutrz, przed wyjazdem do Warszawy.

– Spoko – powiedziała Kaśka, zadowolona z prezentu. – Co będziesz specjalnie przywoziła i wracała na piechotę. Grześka wyśle.

Po obiedzie Matylda uparła się, żeby spędzić ostatnie popołudnie i wieczór z koleżankami, Alicja natomiast pojechała rowerem na Rynek.

Wiedziała, że Konrada nie ma, ponieważ miał tego dnia odwiedzić matkę, żeby poinformować ją o zamiarze zamknięcia Angel's oraz o przeprowadzce do Warszawy. Chciał nawet, żeby Alicja pojechała z nim, ale odmówiła, tłumacząc się nawałem pracy związanej z wyprawieniem Matyldy na wyjazd. Obiecała, że przy następnej okazji z przyjemnością pozna jego rodzinę.

Teraz wiedziała już, że ta chwila nigdy nie nastąpi.

Z nostalgią spojrzała w kierunku restauracji. Zakłuło ją serce na myśl o Konradzie oraz wszystkich chwilach, które razem spędzili. Wiedziała, że czeka ją nazajutrz trudna rozmowa. Nie chciała uciekać jak szczur. Zamierzała przyznać się do wszystkiego. Uznała, że tak będzie uczciwie, Konradowi należały się wyjaśnienia.

Stojąc nieopodal studni, objęła wzrokiem Rynek. Kościół, kawiarnię z ciuchami, sklep spożywczy, cukiernię Marianny. Przypomniała sobie pierwszy dzień, kiedy miejsca te zdawały jej się tak obce. Dziś czuła się tu jak w domu. Pomachała uśmiechającej się do niej Krystynie, która przechodziła nieopodal, kierując się w stronę plebanii. Na jej widok Alicja pomyślała o kapliczce, obiecując sobie, że wieczorem podjedzie tam rowerem, żeby sprawdzić, czy farba po ostatnich deszczach dobrze się trzyma.

Cukiernia była zamknięta, ale Alicja dostrzegła Mariannę, krzającą się za ladą. Delikatnie zapukała w szybę.

– I znów u ciebie zamknięte – zauważyła z uśmiechem. – Gdybym była klientem i chciała babeczkę, odeszłabym z kwitkiem.

– Och, bez przesady. Sama wiesz jak jest z tą moją klientelą. – Marianna wywróciła oczami. – Pojawiają się tylko wtedy, kiedy chcą zaspokoić ciekawość. Bynajmniej nie chodzi o smaki. – Mrugnęła znacząco.

– No właśnie, Bielawski jeszcze przyjeżdżał, dzwonił?

– A, tak, teraz słyszę go częściej niż wujka Karola. – Marianna roześmiała się dźwięcznie. – Ale naprawdę go polubiłam, to miły



człowiek. Choć z jego żoną wolałabym się więcej nie spotykać – zaznaczyła.

– Ustaliliście coś?

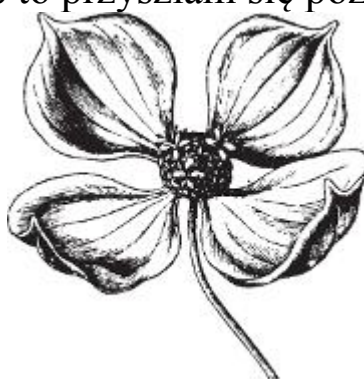
– Pytasz o badanie DNA? Jemu bardzo zależy, chce partycypować w kosztach. Ja jeszcze się nie zdecydowałam, nie wiem, co robić.

Bielawski powiedział, że, jeśli okazałoby się, iż jednak są siostrami, to on nie sprzeda tego domu. Przeniosą się tutaj z panią Zofią, żeby mogła się z moją babcią widywać. Już nawet planują wspólne święta. To miłe. Może więc powiem babci... Przecież jej rodzice zawsze pozostaną rodzicami. A zyska siostrę. Zobaczymy. A z drugiej strony, może niepotrzebnie nad tym dumam. Może rzeczywiście trzeba zrobić badania i dopiero potem zdecydować, co dalej. Może moja babcia i pani Zofia wcale nie są siostrami, wówczas nie byłoby problemu.

– Masz rację. Lepiej operować faktami, niż się zamartwiać na zapas.

– Masz ochotę na kawę?

– Chętnie. Właściwie to przyszłam się pożegnać...



## Rozdział 26



Czerwony lakier na paznokciach błyszczał, odbijając światło. Kaja podziwiała swoje wypielęgnowane dłonie, trzymające skórzaną kierownicę. Była w doskonałym humorze. W radiu leciała najnowsza piosenka Rihanny. Kaja nuciła razem z piosenkarką. Nagle przyhamowała, zauważywszy, że na rowerze przed nią jedzie Alicja. Zrównawszy się z koleżanką, otworzyła okno.

– Hej! – krzyknęła, pokazując zęby w szerokim uśmiechu.

– Hej – odpowiedziała Alicja, nie patrząc na Kają.

– Co, humor straciłaś? Pewnie doszły cię już słuchy?

– O czym? – Alicja zatrzymała rower. Nie miała ochoty na rozmowę, ale wiedziała, że Kaja, skoro już zaczęła, to nie odpuści, zanim nie powie wszystkiego, co ma do powiedzenia.

– No cóż, skończyła się zabawa. Jestem panią na włościach. Od wczoraj pracują geodeci, za chwilę las zostanie ogrodzony. Możesz więc zdradzać miejsce występowania trufli komu chcesz – parsknęła z satysfakcją. – Widzisz, kochana, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni! Właśnie jadę do Konrada. Zamierzam powiedzieć mu, w jaki sposób rozkochałaś go w sobie. Mogę się założyć, że wtedy czar pryśnie i klapki spadną mu z oczu. Nie wiedziałaś, kochana, z kim zadarłaś. – Kaja podniosła brwi. – Tak się składa, że ja zawsze dostaję, to, co chcę.

– Gratuluję. Ale Konradowi nie musisz nic mówić – powiedziała Alicja zrezygnowanym głosem. – Sama to zrobię. Też do niego jadę.

– Zobaczmy, która będzie pierwsza – roześmiała się Kaja, naciskając nogą pedał gazu.

– Kaja – Alicja spojrzała na koleżankę – daj mi porozmawiać z nim na spokojnie, wszystko mu wyjaśnię. A potem ty już sobie rób, co

chcesz. Wracam dziś do Warszawy.

– O! – Kaja nie kryła zdziwienia. – Grzeczna dziewczynka. Dobrze, dam ci trochę czasu. Tylko nic nie kombinuj, bo i tak sprawdzę, czy mu powiedziałaś.

Kiedy Alicja odjechała rowerem, Kaja zatarła rękę. Wszystko wreszcie szło po jej myśli. Zdziwiła się, że poszło tak łatwo, myślała, że Alicja zacznie się buntować i złościć, co byłoby zapewne bardziej ciekawe. Niemniej uśmiechnęła się do siebie zadowolona. Droga do Konrada wolna.

\*

Maciek starym zwyczajem stał przy drzwiach, by witać gości i proponować najlepszy stolik. Robił tak z przyzwyczajenia oraz z sentymentu. Mimo iż w Angel's klientów było jak na lekarstwo, to kiedy już się jakiś trafił, mógł liczyć na wyjątkową obsługę.

Alicja przywitała się i uśmiechnęła. W gardle urosła jej gula ze strachu przed czekającą ją rozmową, dlatego kiedy Maciek dla żartu spytał o rezerwację, nie była w stanie odpowiedzieć równie dowcipnie.

– Ja do Konrada – wyjaśniła, nie patrząc Maćkowi w oczy.

– Alicja? – Konrad, który siedział przy jednym ze stolików w głębi sali i pracował przy laptopie, wstał, a na jego twarzy zagościł uśmiech. – Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Wszystko w porządku? Matylda spakowana? Gotowa do wyjazdu?

– Tak – odparła zmieszana Alicja. Na widok Konrada straciła pewność siebie. Bała się, że nie będzie potrafiła dobrać odpowiednich słów, żeby wyjaśnić mu, po co tu przyszła.

– Cieszę się, że cię widzę. – Konrad podszedł i nie zważając na stojącego obok Maćka oraz Darka, który wyrzwał z kuchni, ujął twarz Alicji w obie dłonie i czule pocałował ją w usta.

Alicja przymknęła powieki i wydała z siebie cichy jęk. Pocałunek przypomniał jej wszystkie te cudowne chwile, które razem spędzili. Miała ochotę wyszeptać, że go kocha i że bez względu na wszystko chce z nim być. Chciała wycofać się z pomysłu, by powiedzieć prawdę. Dla takich pocałunków mogłaby poić go ziołami do końca życia.

Niestety, kiedy otworzyła oczy, dostrzegła parkujący pod Angel's

samochód Kai i to sprowadziło ją na ziemię. Wróciła do brutalnej rzeczywistości, w której nawet jeśli ona się nie przyzna, to zrobi to za nią koleżanka.

– Mam dla ciebie niespodziankę – powiedział Konrad, a Alicja dostrzegła, że Maciek i Darek uśmiechają się tajemniczo.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała poważnie Alicja.

– Stało się coś? – zaniepokoił się Konrad. Maciek dyskretnie się oddalił.

– Głupia sprawa... – zaczęła Alicja. – Chodzi o to, że nie do końca byłam względem ciebie uczciwa.

Konrad spojrzał na nią pytająco.

– Nie, nie, nie myśl sobie, że mam jakieś wielkie sekrety – dodała szybko. – Właściwie wszystko o mnie wiesz. Tylko... No... Zrobiłam coś...

– Może usiądziemy? – zaproponował zaintrygowany Konrad.

– Nie. Posłuchaj, to dla mnie trudne, żeby o tym mówić. Nawet nie wiem, jak to wytłumaczyć.

– Ale o co chodzi?

– Bo widzisz... Moja ciocia jest, jakby to powiedzieć... zielarką. Ma w piwnicy całe laboratorium, zna się na tym, przygotowuje różne mikstury, odprawia czary...

– Ciocia Józefina? – zdziwił się Konrad.

– Za rzadko tu bywałeś, żeby o tym wiedzieć – wyjaśniła Alicja. – Ale ludzie ze wsi znają ciotkę. Nieważne. Chodzi o to, że ona robi też miłosne eliksiry. O Boże... – Alicja westchnęła, czując, że wypowiedzenie każdego kolejnego zdania sprawia jej coraz większą trudność. – Naprawdę, nie mam dla siebie wytłumaczenia, działałam bezmyślnie, pod wpływem chwili, impulsu. Spodobałeś mi się – wyrzucała z siebie słowa coraz szybciej. – I uwierz mi, jest mi wstyd za to, co zrobiłam, chciałabym cofnąć czas, tak mi głupio teraz.

– Ale o czym ty mówisz, Alicja? Nic z tego nie rozumiem.

– Nie rozumiesz? Napoiłam cię eliksirem, żebyś się we mnie zakochał – powiedziała, odważnie patrząc mu w oczy. Teraz już nie było odwrotu.

– Słucham? – Konrad próbował zachować powagę, patrząc

z czułością na Alicję. Informacja o rzekomym eliksirze była dla niego na tyle abstrakcyjna, że nawet nie próbował jej analizować.

– Tak, to prawda. Napoiłam cię eliksirem – powtórzyła Alicja. – Przyszłam tu dziś, żebyś miał tego świadomość. Cokolwiek o mnie pomyślisz.

– Nic nie myślę, Słońce. – Konrad uśmiechnął się i prawą dłonią ujął podbródek Alicji. – Nie znam się na ziołach, ale raczej nie ma takich, kochanie, które miałyby aż taką moc. Nawet jeśli coś mi dolewałaś, to wybaczam. – Roześmiał się. – I tak cię kocham.

– No właśnie – jęknęła Alicja. – Nie kochasz mnie. Tylko tak ci się wydaje. Nic nie rozumiesz. To wszystko przez te zioła... Tak bardzo mi wstyd... – wyszeptwała. – One niebawem przestaną działać... Wołałam nie doczekać tej chwili. Naprawdę jest mi wstyd. Nie bądź na mnie zły, kiedy już otrzeźwiejesz. Dziękuję za każdą chwilę i przepraszam. Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz. Potraktujmy naszą znajomość jako wakacyjny romans... – wyrzucała z siebie słowa, żeby skończyć jak najszybciej i uciec.

– Alicja, błagam, przecież to jest śmieszne.

– Przepraszam – załkała Alicja i wybiegła z restauracji. Nie chciała dłużej roztrząsać tematu, bała się, że Konrad w końcu ją przekona, zatrzyma. Wołała zdezerterować, wyjechać i spróbować zapomnieć. On niebawem, być może już za kilka dni, gdy eliksir przestanie działać, także uzna, że to było z jej strony najlepsze rozwiązanie.

– Alicja! – krzyknął za nią zdenerwowany Konrad, ale nie wybiegł z restauracji. Przez szybę patrzył jak wsiada na rower i odjeżdża. Z jednej strony pragnął ją zatrzymać, ale z drugiej był zły z powodu jej zachowania i tych głupot, o których mówiła. – Co za kobieta – mruknął, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Słyszeliście to? – Odwrócił się w stronę baru, przy którym stali Maciek i Darek.

– Niedokładnie – przyznał Maciek.

– Twierdzi, że zakochałem się w niej pod wpływem eliksiru... – denerwował się Konrad. – Ona naprawdę wierzy w jakieś zioła... Co ją ugryzło, to jakiś obłąd....

– No, wariatka – przyznała Kaja, która od kilku minut stała niezauważona przy wejściu. – Ja już się dawno na niej poznałam. Ale

z tym eliksirem to przesadziła. Jak można uciekać się do takich metod? – prychnęła zniesmaczona. – Ja nigdy bym się do czegoś takiego nie posunęła. Można espresso? – spytała, przysiadając na wysokim krześle przy barze. – Przejeżdżałam obok i nagle naszła mnie ochota na mocne, czarne espresso.

Konrad spojrział na Kaję chłodno.

– Szefie, ale przecież takie zioła to mają swój zapach, smak. Nic nie wyczułeś? – zainteresował się nagle Darek.

– Nic – powiedział oszołomiony Konrad. – Daj spokój, nawet jeśli coś mi dolewała, to... Proszę cię. – Konrad puknął się palcem w czoło. – Elixir miłosny, co za bzdura.

– No, nie taka bzdura – wtrąciła Kaja. – Wy, mężczyźni, nawet nie wiecie, co może działać taki eliksir.

– Też w to wierzysz? – roześmiał się Darek.

– Oczywiście. To są mieszanki znane od wieków. Niby dlaczego niegdyś palono czarownice na stosach?

– No, szefie, kto by pomyślał – gwizdnął Maciek. – Ale naprawdę nic nie wyczułeś? Może do kawy dołała. Mocny aromat, to może nie było czuć...

– Nie do kawy. Ja wiem, do czego – prychnęła Kaja. – A co, Alicja nie powiedziała?

– Do czego? – spytał zaciekawiony Darek.

– Do kompotu ze śliwek. Tego niby-świętecznego – wyjaśniła Kaja. – Pamiętacie akcję? Sama przy tym byłam.

– Do kompotu ze śliwek – zamyślił się Konrad i usiadł zrezygnowany na krześle. – No przecież ja tego nie wypilem...

– Jak to, sama pamiętam – podchwyciła szybko Kaja. – Alicja pytała wtedy...

– Nie wypilem tego – powtórzył Konrad. – Nie znoszę suszonych śliwek.

\*

Matylda płakała, żegnając się z przyjaciółkami. Wszystkie zaprosiła do Warszawy i obiecała, że na kolejne wakacje także przyjedzie do Polanki.

Alicja pospieszała córkę. Pan Piotr zapakował walizki i siedział już za kierownicą, pogwizdując pod nosem melodię z *Czterech Pancernych*.

Józefina wyściskała Alicję.

– Przyjeżdżajcie, kiedy tylko najdzie was ochota – powtarzała, ocierając łzę. – Tak dobrze mi było z wami.

– Nam też, ciociu, dziękujemy za gościnę. To było naprawdę cudowne, magiczne lato – przyznała wzruszona Alicja. – Będzie nam brakowało i ciebie, i Polanki...

– Odwiedzajcie starą ciotkę.

– A może teraz ty, ciociu, odwiedzisz nas? Może przyjedziesz na święta?

Józefina przełknęła łzy i pokiwała głową.

– Może przyjadę. Chyba że do mnie przyjedzie Australia – wyraziła cichą nadzieję. – No, jedźcie już, z Bogiem, bo wam pociąg ucieknie. Po mnie też za chwilę Franuś przyjedzie. Dzwonił przed chwilą, że Teresa już spakowana do szpitala.

– Ucałuj ją od nas.

– Ucałuję, ucałuję. A ty daj znać, jak dojedziecie.

– Oczywiście – przytaknęła Alicja. – Ale to już z domu zatelefonuję, bo coś mi szwankuje komórka i musiałam ja wyłączyć – skłamała, ponieważ celowo wyłączyła aparat, żeby Konrad nie mógł się do niej dobijać. Nie chciała, żeby namawiał ją na zmianę decyzji.

\*

Konrad siedział przy barze, bębniąc palcami o blat. Kaja po wypiciu espresso wyszła, afiszując złość, i odjechała spod Angel's z piskiem opon. Konrad nie dociekał, skąd u niej nagła zmiana humoru, nie interesowało go to. Myślał o Alicji.

Maciek obsługiwał parę, która przyszła napić się piwa, a Darek wycierał szklanki, oglądając je dokładnie, czy aby nie szpecą ich żadne smugi. Był pod tym względem perfekcjonistą.

– Zadzwoń do niej i powiem, że nie wypilem tego cholernego kompotu – stwierdził w końcu Konrad, ni to do siebie, ni to do Darka i wziął do ręki telefon. – Niech wie, a co z tym zrobi, to już jej sprawa. Wariatka... Jak mogła w ogóle wierzyć w to, że zadziałał na mnie jakiś

durny napar?

– A kto tam zrozumie kobiety – westchnął melancholijnie Darek.

– Wariatka, wariatka. Ale urocza. Moja słodka wariatka – rozczulił się Konrad. – W końcu zrobiła to, bo chciała mnie w sobie rozkochać...

Telefon nie odpowiadał. Abonent czasowo niedostępny.

Konrad poderwał się energicznie i wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu.

Dom Józefiny był zamknięty, a na dzwonek do drzwi nikt nie reagował.

– Pani Koperskiej nie ma! – krzyknęła przez płot sąsiadka, która akurat zdejmowała pranie ze sznurka rozwieszonego na podwórku. – Dopiero co pojechała do szpitala w Oławie z panią Tereską.

– A Alicja? – spytał Konrad, czując podskórnie, że i jej nie będzie.

– Ach, pani Alicja to już jakieś pół godziny temu wyjechała z córką. Pan Piotr je zawiózł na pociąg.

– Cholera – zaklął pod nosem Konrad i rzucił się z powrotem do samochodu.

Kiedy dotarł na stację, pociąg już ruszał. Konrad pobiegł wzdłuż wagonów, próbując znaleźć Alicję. Niestety, od tej strony był korytarz, po którym kręciło się niewiele osób. Alicji nie dostrzegł. Zauważył jednak starszą kobietę, która wyglądała przez okno.

– Dzień dobry, proszę pani, mam prośbę – wydyszał, biegnąc wzdłuż peronu. – Gdzieś w tym pociągu jest kobieta z dzieckiem, z dziewczynką. Kobieta, blondynka, ubrana dziś w niebieską bluzkę – przypomniał sobie. – A dziewczynka około ośmioletnia...

– Nie widziałam!

– Błagam, niech pani jej poszuka, to ważne! – krzyknął, próbując dogonić przyspieszający pociąg. – Niech pani jej powie, że nie wypilem kompotu ze śliwek.

– Że co?! – spytała kobieta, nie dosłyszawszy. Hałas pociągu zagłuszał słowa Konrada.

– Proszę jej powiedzieć, że nie wypilem! To ważne!

– Czego pan nie zrobił?

– Nie wypilem! Nie wypilem! – krzyczał zawzięcie za odjeżdżającym pociągiem. Po chwili kobieta zniknęła mu z oczu,



a ostatni wagon błyskawicznie się oddalał.

Konrad kolejny raz spróbował wybrać numer. Abonent czasowo niedostępny.

– Co on chciał? – Renata Karaśko, przetrzepując torebkę w poszukiwaniu biletów, przyglądała się, jak jej matka rozmawia z mężczyzną biegnącym po peronie.

– A nie wiem, to jakiś alkoholik. Krzyczał coś, żeby przekazać jego żonie, że nie pił. Ona tu gdzieś siedzi z córką.

– O rany. Pewnie ucieka od niego.

– Znalazłaś?

– Tak. Ale kupiłam bez miejscówek, nie było już. Może coś znajdziemy.

Szły wzdłuż korytarza, rozglądając się za wolnym miejscem w przedziale.

– A pamiętasz ciotkę Wieśkę? Też wyszła za pijaka. Ciągle chlał, a potem ją bił, a jak wytrzeźwiał, to ją przeproszał, a ona mu wybaczała. Pamiętasz?

– No, pamiętam. Co to za życie. – Renata pokręciła głową.

– Cicho, to chyba ta – szepnęła matka Renaty, zauważywszy w przedziale zamyśloną blondynkę w niebieskiej bluzce. – Z dzieckiem. Myślę, że to ta.

– I co, powiesz jej?

– Daj spokój. Niech ucieka jak najdalej. Dobrze robi. Już ja znam takich pijaków. Szkoda jej i dzieciaka. Nic jej nie powiem.

– Masz rację – przyznała Renata.

Patrząc przez chwilę na Alicję, westchnęły zgodnie i uśmiechnąwszy się do siebie z poczuciem dobrze i słusznie podjętej decyzji, ruszyły dalej w poszukiwaniu wolnego miejsca.

